

Burmistrz

Griffin Kate

Książka II z Matthew Swift



calibre 0.9.43



KATE GRIFFIN

NOCNY

BURMISTRZ

CZYLI INAUGURACJA MATTHEW SWIFTA

The Midnight Mayor

Przełożył Michał Jakuszewski

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2011

Spis treści

Wstęp Heavymetalowe widma

w którym czarnoksiężnik z zaskoczeniem zauważa,

że go przeklęto, poparzano, napiętnowano, ścigano

i skazano bez żadnego wyraźnego powodu, a w dodatku ma na nogach cudze buty / 5

Część 1 Nocny Burmistrz

w której omawia się naturę telefonów, nawiązuje połączenie,

demaskuje kłatwę i przekazuje tytuł zaskoczonemu spadkobiercy / 61

Pierwsze interludium Buty czarnoksiężnika

w którym przy kolacji opowiada się historie pary adidasów / 127

Część 2 Wszystkie drogi prowadzą do Kilburn

w której para butów kończy swą podróż, ujawnia się spisek

i śmierć miast brudzi sobie garnitur / 153

Drugie interludium Inauguracja Matthew Swifta

w którym rozmaite martwe stworzenia mówią,

co mają do powiedzenia, poddaje się analizie etykę miejskiego planowania

a nowy Nocny Burmistrz dowiaduje się ważnych rzeczy o kilku starych ideach / 248

Część 3 Śmierć Miast

w której traci się żonę, znajduje wroga,

a czarnoksiężnik sprzeciwia się okrucieństwu nieznajomych / 268

Część 4 ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

w której dyskutuje się o potępieniu, znajduje się kapelusz,

a naturę obcych gruntownie omawia się na London Bridge / 309

Trzecie interludium Potępienie, pogarda i strażnicy ruchu

w którym wszystko tłumaczy się pod groźbą pistoletów / 342

Epilog Uczennica czarnoksiężnika

w którym wszystko się kończy, a zaczyna się coś nowego i niespodziewanego / 389

Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień!

Pełzniemy w błękitnej płonącej krwi, śpiewamy brzęczenie neonów, tańczymy niebo!

Stań się mną i bądź wolny.

Jam jest niebieski elektryczny anioł.

- Anonimowe graffiti, Old Street

Skończcie już z tymi bzdurami o Nocnym Burmistrzu. Próbujecie mi wmówić, że istnieje człowiek będący wybranym obrońcą miasta? Człowiek, który nie może umrzeć, dopóki miasto istnieje, który nosi jego znak wypalony w ciele i słyszy sny kamieni? Jeśli naprawdę chcecie, bym uwierzył, że Nocny Burmistrz istnieje i po zmierzchu broni nas przed paskudami, które chcą nas zjeść, najpierw musicie mi pokazać, gdzie są te paskudy, przed którymi tak bardzo trzeba mnie bronić.

- M. Swift „Nocny Burmistrz i inne mity”

Urban Magic Magazine, vol. 37, czerwiec 2003

Wstęp

Heavymetalowe widma

*W którym czarnoksiężnik z zaskoczeniem zauważy,
że go przeklęto, poparzone, napiętnowano,
ścigano i skazano bez żadnego wyraźnego powodu,
a w dodatku ma na nogach cudze buty.*

Telefon zadzwonił.

Odebrałem go.

A potem...

...to skomplikowane.

* * *

Ból.

Brak miejsca na cokolwiek innego.

Tylko ból.

Minęło trochę czasu.

Nie wiem ile. Zegarek się spalił, przywarł do nadgarstka. Nie było tam zegarów.

Komórka została w torbie, ale nie miałem jej na ramieniu. Nie leżała też w pobliżu. Uniosłem głowę. Krzepnąca krew puściła z trzaskiem jak rzep. Zobaczyłem własne nogi. Miałem na nich cudze buty. Minęła dłuższa chwila, nim sobie przypomniałem dlaczego.

Uniosłem głowę nieco wyżej.

Torba leżała na ziemi. Spadła jednak w niewielkiej odległości ode mnie. Wysypały się z niej puszki z farbą i stare skarpetki. Nad nią kołysała się słuchawka. Krew skapywała z niej na ziemię. To musiała być moja krew. Nie widziałem tu żadnego innego kandydata.

Położyłem głowę na betonie i zamknąłem oczy.

Minęło jeszcze trochę czasu.

Zaczął padać deszcz. Porządna nocna ulewa, wyczuwająca chłód wiatru i pragnąca stać się śniegiem. Zorientowałem się, że moja lewa ręka, ta, którą nie odebrałem telefonu, wykonuje podstawowe polecenia. Powiedziałem „rusz się” i się ruszyła. Powiedziałem

„sprawdź, czy nic się nie złamało” i sprawdziła. Złamań nie było. Nawet krew spływająca mi po karku była tylko tanim efektem. Są dwa rodzaje ran głowy - te, które wyglądają na groźniejsze niż w rzeczywistości, i śmiertelne. Nie zginąłem po raz drugi.

Pozwoliłem lewej ręce odpocząć.

Wiatr niosł strugi deszczu pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W mroku było je widać jako tafłę rozświetloną sodowym blaskiem latarni usytuowanej na granicy tego skrawka wybetonowanej pustki. Słyszałem bębnienie kropel o dachy i szum spływającej rynsztokami wody, z którą niesprzątany od trzech tygodni syf spływał do kanalizacji. Deszcz był błogosławieństwem. Unieśliśmy drżącą prawą rękę ku chłodnej wodzie, by zmyła nam krew z palców. Później, gdy wilgoć zaczęła przesiąkać przez płaszcz, palący ból ustąpił

miejsca wnikającemu w kości zimnu.

Pora było uciec z deszczu, a to znaczyło, że trzeba wstać.

Herkules nie mógłby nam niczym zaimponować. Muhammad Ali byłby pod wrażeniem.

Wstaliśmy.

W połowie tej czynności moje kolano pośliznęło się na mokrym betonie. Prawa dłoń uderzyła o szorstką powierzchnię i omal nie krzyknęliśmy.

W tym punkcie Terminator dałby za wygraną i poszedł spać. Templariusze przełożyliby resztę na jutro.

Wstałem. Otaczający mnie świat przechodził od krwawej czerwieni do szafirowego błękitu i z powrotem. Dogasająca latarnia bzyczała jak komar. W plastikowej osłonie żarówki zebrała się woda, rzucająca na czarno-srebrną ulicę falujące cienie. Powlokłem się do telefonu. Podniosłem wyblakłą torbę z plastikowego włókna udającego bawełnę i przerzuciłem ją sobie przez ramię. Słuchawka kołysała się bezwładnie na przewodzie.

Dobiegał z niej najbardziej samotny dźwięk na świecie:

Piiiiiiiiiiiiiiii...

W szczelinę między aparatem telefonicznym a ścianą wetknięto wizytówki z ofertami takimi jak:

!!!SEKSSEKSSEKSSEKSSEKS!!

Albo:

****FAJNA WESOŁA BLONDYNKA****

Albo:

CHCESZ SKOŃCZYĆ ZE WSZYSTKIM?

ZADZWOŃ DO SAMARYTANÓW.

Miałem na szyi szalik; zauważyłem, że jego koniec jest nadpalony. Zaciągnąłem go mocniej i schowałem pod płaszcz o beżowawym kolorze, na deszczu przeradającym się w brązowawy. Bolała nas głowa. Wszystko nas bolało. Tak wiele części naszego ciała domagało się uwagi, że trudno je było zidentyfikować. W torbie miałem solidnie sfatygowaną apteczkę.

Znalazłem bandaż i owinąłem nim prawą rękę. Widziałem tylko krew, deszcz i ciało koloru gniewnej purpury, obrzmiałe tak bardzo, że trudno było określić, gdzie się zaczynają palce.

Żeby bandaż nie spadł, włożyłem czarną rękawiczkę bez palców. Ucisk zwiększył ból, ale to było korzystne. Pozwalało zlokalizować cierpienie, nie zauważać sygnałów płynących z innych miejsc.

Rozejrzałem się wkoło.

Byłem w stacji obsługi. Wiedziałem o tym dzięki zwróconemu w stronę ulicy brudnemu szyldowi barwy słabej herbaty. Napis głosił: „MYJNIA I CZĘŚCI ZAMIENNE”.

Nie było żadnych innych znaków wskazujących na funkcję tego miejsca. Tylko betonowa podłoga pod gołym niebem, cztery ściany z blachy falistej i łańcuch zamykający wjazd. Nie widziałem żadnego sprzętu poza telefonem i kilkoma porzuconymi wiadrami. Ze szczelin w betonie wyrastały chwasty. Rozerwana plastikowa płyta, mogąca kiedyś być dachem, łomotała na wietrze.

Nieopodal przejechała ciężarówka. Dźwięk rozpryskujących wodę kół zawsze wydaje się bardziej odległy, niż jest w rzeczywistości. Tak późną nocą, czy może tak wczesnym rankiem, po ulicach jeżdżą właściwie wyłącznie ciężarówki, dostarczające do supermarketów świeżą żywność, którą ułoży się na półkach za niesprzedanymi resztkami z wczoraj.

Ciężarówki i nocne autobusy, w których każdy pasażer jest podejrzany, choćby dlatego, że nie śpi, a wszyscy kierowcy to szaleńcy słyszący zew piątego biegu, gdy tylko wjadą na pustą ulicę.

Głowę wypełniał nam ból. Czułem pulsowanie każdej tętnicy. Dręczyły nas mdłości.

Spojrzałem na słuchawkę, a potem wyciągnąłem rękę, kostkami dłoni do przodu, bo bałem się musnąć ją palcami. Dotknąłbym słuchawki, ale powstrzymał mnie dźwięk, czy raczej jego brak.

Płynące z niej *piiiiiiiiiiiiiiiii* umilkło nagle.

Cofnąłem odruchowo rękę. Słuchawka zwisała bezwładnie jak zdechła kałamarnica.

Wyteżyłem słuch. Szum deszczu, brzęczenie gotowej zgasnąć latarni. Cofnąłem się o kilka kroków, osłaniając prawą dłoń. Nie spuszczałem wzroku z telefonu.

Szum deszczu, brzęczenie latarni, odległy świst opon...

I co jeszcze?

Przymknęliśmy oczy, nasłuchując uważnie.

Szum deszczu, brzęczenie latarni, świst opon, tupot szczurów pod ziemią, kroki miejskiego lisa, króla środka drogi, szelest gołębia moszczącego się w rynnie na dachu i co jeszcze? Buczenie przewodów elektrycznych tuż na granicy słyszalności, zapach deszczu, ta niewiarygodnie czysta woń usuwająca na kilka minut wszelkie zanieczyszczenia powietrza, stukot drzwi frontowych gdzieś daleko, trzeszczenie niewyłączonego na noc radia, zawodzenie alarmu samochodowego, śpiewne wycie syreny, w wielkiej dali *babachbabachbabach* pociągu towarowego zmierzającego na stację Willesden Junction i... i...

Tak jest, na samej granicy percepcji, wykryłem coś niezwykłego.

Brzmiało to tak:

Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi bum bum czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi bum bum...

Nie potrafiłem określić, co to może być. Przeraził nas fakt naszej ignorancji.

Potrzebowaliśmy broni.

Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi. Dźwięk nasilał się z każdą chwilą. *Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi.* Nie musieliśmy już nawet zamykać oczu, by go usłyszeć. Był coraz bliżej. *Czi-cziczi czi-cziczi...*

Brzęcząca lampa pękła w końcu i zgasła. Sodowy oranż przeszedł w migotliwy błękit widoczny w samym środku. Potem pochłonęła go ciemność. W wielkim mieście łatwo zapomnieć, jak ciemna potrafi być prawdziwa noc.

Ruszyłem przed siebie. Przeszedłem nad łańcuchem. Wyszędłem na ulicę.

Na jej drugim końcu, kilkaset jardów ode mnie, dostrzegłem jakieś skryte w cieniach sylwetki.

Zwracały się ku mnie.

Odwróciłem się w drugą stronę. Gdybym miał na nogach własne buty, zacząłbym biec.

* * *

Byłem w Willesden.

Jezu.

W Willesden to znaczy wszędzie i nigdzie.

Leży za daleko od centrum Londynu, by można je uznać za część właściwego miasta, ale za blisko, by kwalifikowało się jako przedmieścia. Nie jest wystarczająco eleganckie, by być zadbane albo mieć

mieszkańców wywodzących się z jednej klasy, ale za mało nędzne, by pełni przekonania o własnej sprawiedliwości miejscowi biurokraci uznali je za „strefę działań”. Nie ma szczególnego charakteru etnicznego, lecz zamieszkuje je mieszanka wszelkich możliwych elementów, od Anglików w dziesiątym pokoleniu, marzących o południu Francji, aż po Afroantylników w trzecim pokoleniu, którzy nigdy nie widzieli równikowego słońca. Przebiega przez nie cały labirynt ulic, linii autobusowych, torów kolejowych oraz kanałów, ale większość z nich przecina je tylko, zmierzając ku w jakiemś lepszym miejscu. Nikt właściwie nie wie, gdzie Willesden się zaczyna i gdzie się kończy.

Można tam znaleźć wszystko, czego dusza zapragnie, pod warunkiem, że nie próbuje się tego szukać.

Nigdy w życiu nie wybrałbym się do Willesden z własnej woli. Coś jednak komuś obiecał i ta obietnica zaprowadziła nas tutaj. Potem w opuszczonej stacji obsługi zadzwonił telefon i odebraliśmy go...

...a teraz na nocnych ulicach pojawiło się coś nowego.

Czułem to.

Słyszałem.

Odgłos przywodzący na myśl rozjuszoną pszczołę uwięzioną w słoiku i tłukącą głową o szkło w szybkim, regularnym rytmie.

Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi...

Cynicy zwą to losem, romantycy przeznaczeniem, a prawnicy złą wolą. Nikt nie używa słowa „przypadek”. Ja również nie. Jeśli ktoś widzi krążące na niebie sępy i słyszy odległy huk dział, nie twierdzi, że to przypadek. W tym mieście nie brakowało ścierwojadów, które nocą mogła przywabić woń krwi. A nasza krew bynajmniej nie była wyłącznie ludzka.

Pomyśleliśmy o odwadze, zastanowiliśmy się nad walką, rozważyliśmy ucieczkę.

Doszliśmy do wniosku, że dzisiejsza noc nie jest odpowiednią porą na dumę. Uciekniemy.

Próbowałem biec, ale nie byłem w stanie. Buty, które miałem na nogach, również były elementem obietnicy. Były dla mnie za duże, a dwie pary skarpetek, który włożyłem, by zaradzić tej sytuacji, nasiąkły deszczówką. Moja prawa dłoń nadawałaby się na przynętę na rekiny, głowę zaś odpiłowano i przytwierdzono z powrotem za pomocą zszywacza. W głębi duszy wiedzieliśmy też, choć nie odważyliśmy się o tym myśleć, że zapewne są to tylko powierzchowne skutki dzisiejszych wydarzeń. Odebranie telefonu może wywołać efekty poważniejsze niż poparzenie dłoni.

Szedłem tak szybko, jak tylko mogłem w deszczu. Unosiłem głowę jak gołąb, by spojrzeć przed siebie, a potem ją opuszczałem, by mruganiem usunąć wodę z oczu. Skrzynka pocztowa, latarnie, padający deszcz, domy bliźniaki, przejście dla pieszych, ze światłami, w których dawno już rozbito jedną z mrugających, pomarańczowych lamp. We wszystkich oknach było ciemno, tylko w jednym jaśniał ekran telewizora. Staruszka jak co dzień zasnęła przy płynących z pudła pocieszających

bzdurach. Gdzieś w ogrodzie za domem kot rozdarł

się nienaturalnym głosem oznaczającym seks albo śmierć.

Na skrzyżowaniu w kształcie litery T, widocznym przede mną, stał nocny autobus, w jasnej bieli jego okien siedziały cienie. Nie był piętrowy, kursował tylko na krótkiej trasie.

Staruszkowie jeżdżą nimi po książeczki emeryta. Przy każdej zmianie prędkości po podłodze takich pojazdów turlają się puszki po piwie. Nie widziałem numeru, ale było mi wszystko jedno. Cztery czerwone ściany i koła zapewnią mi wystarczającą osłonę.

Przyśpieszyłem kroku, pół idąc, a pół padając przed siebie w rytm własnych kroków.

Przestałem się już przejmować zimmem i wilgocią, chciałem tylko jak najszybciej znaleźć się gdzie indziej. Przy ulicy stały teraz budynki komunalne, zbudowane z szarego betonu naznaczonego przez deszcz czarnymi plamami. W bramach paliły się światła, a na niskim murku dzielącym parter od ulicy jakiś dowcipniś napisał wielkimi białymi literami:

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

Odwróciłem się w stronę autobusu akurat na czas, by zauważyć, jak jego światła stopu znikają za rogiem. Podeszedłem bliżej i zauważyłem białawy blask bijący od ulokowanej pod platanem wiaty. Ruszyłem ku niej. Gdy przechodziłem pod latarniami, mój cień przemieszczał się w przód i w tył jak wskazówka na zegarze słonecznym.

Pod wiatą ktoś był. Albo przedtem go nie zauważyłem, albo przyszedł dopiero przed chwilą.

Istniały też inne, mniej przyjemne możliwości, ale staraliśmy się je ignorować.

Siedział na wąskiej, czerwonej ławce, którą celowo uczyniono tak niewygodną, jak tylko się dało. Rozstawiał szeroko kolana, jakby ktoś wepchnął mu frisbee do portek, ręce zaś skrzyżował na piersi, by podkreślić, że wszystko mu zwisa. Miał na sobie o trzy numery za duże jasnoszare spodnie, odziedziczone po starszym bracie, który zdołał poprawić swój byt.

Ich krok zaczynał się na wysokości kolan. Miał też czarne rękawice przypominające noszone przez motocyklistów, sportowe buty ozdobione fałszywymi znakami firmowymi oraz szary kaptur, opuszczony tak nisko, że nie widziałem nawet nosa. Przypominał raczej element mnisiego habitu niż modny dodatek, czy - Boże broń - ochronę przed deszczem. Głowa kołysała się lekko w rytm muzyki płynącej ze słuchawek o przewodach znikających pod dressem. Słysząc było tylko regularne:

Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi...

Nie była to rozjuszona pszczoła, lecz rytm nastawionej za głośno muzyki. Melodię, jeśli w ogóle istniała, całkowicie zagłuszały basy. Szaleństwo nie oznaczało już mówienia do siebie. Technika wszystko zmieniała.

To jednak było coś więcej.

Ktoś wrzucił na dach wiaty mały plastikowy śrubokręt i coś, co wyglądało na dziecięcy lewy but. Miał kiedyś ładny, różowy kolor, ale deszcz oraz ciemność uczyniły go brudnoszarym. Pojedynczą białą lampę pokrywały brudne plamki pozostałe po setkach owadów, które wlażyły do środka i przekonały się, że ich skrzydełka nie są w stanie znieść gorąca. Przetrwała tylko ćma, tłukąca bezsilnie o plastikową osłonę.

Zakapturzony osobnik nadal kiwał się w rytm niedostrzegalnego rytmu.

Czekając na autobus, nie powinno się wdawać w rozmowę z nieznajomymi.

Zwłaszcza wczesnym rankiem. Oparłem się o wiatę z jej wykazem tego, co miało o której przyjechać, ściskając poparzoną rękę.

O przypadku z reguły wspomina się wtedy, gdy wydarzy się coś dobrego. Gdy chodzi o coś złego, łatwiej jest winić kogoś albo coś. Nie lubiliśmy przypadków, choć byliśmy na tym świecie krócej niż ja. Zamieszkiwaliśmy moje ciało, byliśmy mną, jak ja byłem teraz nami, szybko uświadomiliśmy sobie, dlaczego tak wielu czarnoksiężników zginęło z powodu braku cynizmu. Byłem przedtem naiwnym czarnoksiężnikiem i to kosztowało mnie życie.

My, którzy narodziliśmy się na nowo w moim ciele, nie zamierzaliśmy powtórzyć tego samego błędu. Zbyt wielu ludzi słyszało o niebieskich elektrycznych aniołach, by nasz nowo zdobyty status śmiertelnika mógł być bezpieczny.

Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi...

Ponieważ nie wierzyłem w przypadki, uniosłem głowę, przerywając kontemplację rozkładu jazdy, zwróciłem się do siedzącego na czerwonej ławce indywiduum i zapytałem:

- Hej, która godzina?

Mężczyzna nawet nie drgnął.

- Halo, kolego, masz ogień?

Rozejrzał się wkoło, niezbyt szybko. Nie musiał się śpieszyć, tacy jak on nigdy tego nie robią. Odsunąłem się, instynktownie sięgając zabandażowanymi palcami do najbliższego światła, najbliższego odprysku elektrycznej mocy.

Dobrze by było choć raz przeżyć miłą niespodziankę.

Okazało się, że to nie „on”, tylko „ono” i że „ono” nie ma twarzy. Ubrania wypełniało jedynie powietrze, a para białych słuchawek unosiła się w pustce jego nieuszu. Łachom wypchanym na podobieństwo ludzkiego ciała kształt nadawały powietrze, pogarda dla grawitacji i wypaczenie ciśnienia, unoszący się nad ziemią cień i dryfująca z wiatrem pustka, połączone razem w coś-nic ubrane w dres. To było ono i ono było widmem.

Kiedyś, gdy byłem jeszcze młody, zabrano mnie do jasnowidza. Nazywał się Khan.

Potrafił wyczytać przyszłość z wnętrzości starych toreb na zakupy oraz krzyżujących się ze sobą śladów pary na niebie. Opowiedział mi o bardzo wielu rzeczach. Większość z nich przypominała coś, co można znaleźć w bożonarodzeniowej tubie z niespodzianką, na koniec jednak oznajmił:

- Hej, stary, mówię ci, na sto procent kopniesz w kalendarz.

Odpowiedziałem mu: „Ehe, też tak myślę” albo coś w tym rodzaju. Czarnoksiężnicy nie żyją zbyt długo, zwłaszcza miejscy.

- Hej, stary, nic nie rozumiesz! - obruszył się wtedy. - Po prostu... kopniesz w kalendarz. Dopiero później zaczną się komplikacje.

Wówczas pomyślałem, że to miała być pretensjonalna przenośnia.

* * *

Na dar prorocstwa można patrzeć z dwóch różnych punktów widzenia. Pierwsza teoria brzmi następująco: prorok widzi przyszłość istniejąca z góry wytyczona ścieżka, którą postrzega

= przeznaczenie wolna wola nie istnieje = wszechmocny Bóg z naprawdę chorym poczuciem humoru. To zła wiadomość dla każdego, kto w duchowym porządku dziobania zajmuje pozycję niższą niż papież.

Druga teoria: prorok widzi przyszłość = zdolność określenia z niemal wszechmocną dokładnością i biegłością najprawdopodobniejszego biegu wydarzeń za pomocą bardzo licznych elementów, takich jak ludzka wolna wola, czynniki losowe, nieustanne, niespodziewane zakłócenia = wszechmoc = Bóg w ludzkim ciele. Khan w żadnym wypadku nie przypominał mi Boga, ale jak zawsze mawiał pan Bakker, czarnoksiężnik musi mieć otwarty umysł, na wypadek gdyby ktoś spróbował walnąć weń młotem kowalskim.

To było w dawnych dobrych czasach.

Nim jeszcze pan Bakker dostał wylewu. Nim postanowił, że nie umrze. Nim jego cieniowi wyrosła para zębów i nim polubił smak krwi. Nim Wieża zabiła wszystkich czarnoksiężników w mieście w imię pana Bakker. Nim jego cień zamordował mnie, pewnej pochmurnej nocy nad rzeką, w swym nieustannym poszukiwaniu życia. Przed niebieskimi elektrycznymi aniołami, bitwami, zemstą i życiem pozostawionym w przewodach telefonicznych.

Przed naszym powrotem do świata śmiertelników.

Żaden człowiek nie zdoła przeżyć wyprucia narządów wewnętrznych przez gniewną manifestację wcielonej woli umierającego czarnoksiężnika. Albo i przez ostre narzędzie, jeśli już o tym mowa. A choć fakt, że nadal tu jestem, może zaprzeczać owej medycznej prawdzie, kiedy patrzę w lustro, zawsze sobie przypominam, że moje oczy były piwne. Nie miały barwy gorejącego elektrycznego błękitu.

Khan miał rację, choć, rzecz jasna, jego ostrzeżenia w niczym mi nie pomogły.

Wyobraźcie sobie, jak się zawstydzilem.

* * *

Rzuciłem się do ucieczki.

Widzicie, do czego możemy być zdolni, jeśli sytuacja tego wymaga?

Nasze stopy uderzały rytmicznie o mokry chodnik, a para oddechu znikła w strugach deszczu. Nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie, jak śmiesznie brzmi biegnący człowiek.

Podskakująca torba i tupot nóg. Niezgrabny i zmoknięty. Przemknąłem przez pustą ulicę i w ciągu kilku sekund, z których każda trwała godzinę, znalazłem się na osiedlu domów komunalnych. Mijałem drzwi zabezpieczone żelaznymi kratami i drzwi pokryte dziecinnymi bazgrołami, okna wybite i okna umyte, oraz wyszorowane progi, rowery zabezpieczone kłódką i rowery rozbite, puszkę przewróconą i puszkę opróżnioną, kwiaty zadbane i doniczki porzucone, postanowienia rady wykonane i zapomniane, a także mury pokryte graffiti wyrażającymi beładne myśli mieszkańców...

C O J NA WIEKI

KTO NIE LUBI SUPERSZYBKICH POCIĄGÓW ZASTANÓWCIE SIĘ NAD TYM

GRAFFICIARZE ŚMIERDZĄ

Şapkami geri ver!

Pośrodku zapuszczonego trawnika znajdował się plac zabaw: dwie smętne huśtawki nad „bezpieczną” nawierzchnią, od której miały się odbijać spadające dzieci. Do poręczy przymocowano łańcuchem rower bez kierownicy, kół i siodełka.

Przy rowerze czekało kolejne widmo. W pierwszej chwili pomyślałem, że to zwykły chłopak, ale kiedy uniosło wzrok, zobaczyłem, że pod kapturem jest pustka. I ta pustka gapiła się na mnie. Było ubrane identycznie jak to na przystanku, ale nic nie mogłoby się poruszać tak szybko, a poza tym z jego słuchawek dobiegało *dumdumdumdumdumdumdum*, monotonne jak bicie serca. Spoglądaliśmy na siebie przez chwilę. Byłem zbyt zmęczony, by wyglądać na przestraszonego, ono zaś zbyt puste, by w ogóle na coś wyglądać. Potem odchyliło głowę i ryknęło. To był dźwięk starych hamulców, które zaraz przestaną działać, ich ostatni krzyk protestu na oblodzonej jezdni, zgrzyt ostrego metalu trącego o zardzewiałą powierzchnię, brzęk pękającej struny gitarowej. Pochyliłem się i osłoniłem uszy, licząc na to, że dźwięk przejdzie górą. Szyby w oknach drżały i pękały, huśtawki kołysały się rozpaczliwie.

Widma zawsze polują w grupach, a ich zew łatwo pomylić z krzykiem. Wcisnąłem lewe ucho w bark i wsadziłem rękę głęboko do tornistra. Po chwili znalazłem to, czego szukałem: puszkę czerwonej farby. Potrząsałem nią, nacisnąłem guzik i otoczyłem się podwójną czerwoną linią. Deszcz natychmiast zaczął ją rozmywać. Przez chwilę myślałem, że się nie utrzyma, ale podwójna czerwona

linia to potężny czar, nawet przy najgorszej pogodzie. Kiedy zamknąłem krąg, farba rozjarzyła się jaśniej, przybierając utrwaloną postać.

Dźwięk umilkł. Być może widmo doszło do wniosku, że krzyk zda się na nic przeciwko namalowanej na ziemi osłonie. Albo zabrakło mu tchu w niematerialnej piersi.

Trudno jest coś wyczytać z fizjonomii stworzenia, które jej nie ma. Słyszałem zawodzenie alarmów samochodowych, a w przed chwilą wybitych oknach zapalały się światła. Wkrótce obudzi się całe osiedle. Potem zjawi się policja, a wraz z nią pytania o tych, którzy nie żyli, ledwie żyli i którzy powinni nie żyć. Nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie czasu na takie nieistotne drobiazgi.

Widmo ruszyło ku mnie. Nie rzucało cienia i nie wydawało żadnego dźwięku, poza płynącym ze słuchawek *dumdumdumdumdumdum*.

Za plecami usłyszałem *czy-cziczi czy-cziczi* stworzenia z przystanku autobusowego.

Przez dźwięki alarmów przebijał się też inny, coraz głośniejszy, basowy odgłos: *Bum bum bum bum-te-bum bum bum bum bum-te-bum*.

Przykucnąłem wewnątrz czerwonego kręgu, wcisnąłem palce w nawierzchnię i powęszyłem. Nie miałem odpowiedniego sprzętu, nic, co mogłoby zrobić coś więcej niż spowolnić widma. Tylko w chwili, gdy sprawdzałem zawartość tornistra, zdążyły pokonać dwadzieścia jardów. Najbliższe z nich zatrzymało się, dotykając palcami u nóg krawędzi podwójnej czerwonej linii. Sięgnęło urękawiczoną dłonią do obwisłej kieszeni kangura w swej szarej kurtce i wyjęło z niej nóż sprężynowy. Był tani, z czarnego plastiku, a u podstawy srebrnawego ostrza zrobiono kilka nacięć, zapewne niesłużących żadnemu celowi poza tym, by dodatkowo oszpecić i tak brzydki nóż i w ten sposób uczynić go bardziej bajeranckim.

Ostrze miało najwyżej cztery cale długości, ale to i tak dwa cale więcej niż grubość naszego nadgarstka, więc rozmiar nie miał znaczenia. Gapiliśmy się na to z fascynacją.

Widmo uniosło nóż i uderzyło nim w kierunku mojej twarzy. Gdy ostrze wniknęło w powietrze nad czerwoną linią, zatrzymało się nagle, jak wbite w gęstą pianę. Farba na ziemi zagotowała się z sykiem. Widmo nie przestawało napierać, ściskając rękojeść w obu rękach.

Po chwili ostrze zaczęło się powoli do mnie zbliżać.

Z tyłu dobiegł świst powietrza. Towarzyszył mu smród palonego plastiku. Drugie widmo robiło to samo, co pierwsze. Z kąta przy śmietniku wyłoniło się trzecie, zbliżając się do mnie niedbałym krokiem. Wiedziałem, że nie musi się śpieszyć.

Wbiłem palce głębiej w nawierzchnię. Ugięła się pod naciskiem jak suche płatki zbożowe, zimne i kruche. Opierała się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie się rozstała.

Wepchnąłem pod ziemię palce, nadgarstek, a wreszcie całe przedramię aż po łokieć. Nadal za płytko. Pochyliłem się z przekleństwem na ustach, dotknąłem policzkiem ziemi i wcisnąłem bark głębiej w

nawierzchnię. Źródło było słabe i odległe, ale wystarczająco bliskie, bym mógł

go dotknąć palcami. Co ważniejsze, czułem jego zapach. Rury gazowe zawsze umieszcza się głęboko pod ziemią. To oczywisty środek ostrożności.

Wysunąłem palce z ziemi. Ciągnęły się za nimi kawałki czarnej, smolistej nawierzchni. Do mojej kończyny przylepiła się wilgotna ziemia barwy gliny. Moje kończyny pozostawiły w nawierzchni szerokie rozdarcie. Powietrze nad nim tańczyło jak fatamorgana na pustyni. Poczulem woń gazu, sztucznie dodawaną do niego w fabryce, suchy smród wypełniający każdą część nosa i powodujący łaskotanie gardła. Wstałem, pozwalając, by gaz mnie otoczył, obserwowałem, jak tworzy kałuże wokół moich stóp i kostek. Uniosłem ręce, by zaczerpnąć go w górę, w tej samej chwili, gdy czerwone linie, które namalowałem na ziemi, zaczęły topnieć, spływać, zamazywać się. Migotliwa zasłona otoczyła mnie ze wszystkich stron. Z oczu ciekły mi łzy, a w płucach czułem ból. Sięgnąłem głęboko do tornistra, wyciągając mocno sfatygowaną zapalniczkę, która nigdy nie przypaliła papierosa.

Wsunałem ją w prawą, zabandażowaną dłoń, osłoniłem twarz płaszczem i zgarbiłem się, starając się stanowić jak najmniejszy cel.

Osłona pękła w jednej chwili. Trzecie widmo, pan *Bum bum bum bum-te-bum*, było jeszcze kilka jardów ode mnie. Gotująca się u moich stóp farba poczerniała i złuszczyła się, jak skóra na trupie. *Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi* uderzył nożem, wspierając cios całym swym ciężarem. Ostrze zatoczyło łuk wymierzony w moją szyję. Zamknąłem oczy i obróciłem kółko zapalniczki.

Poczulem ból w okolicach lewego obojczyka, ale to nie był czas na takie drobiazgi.

Choć zaciskałem mocno powieki, rozbłysk ognia wypalił mi siatkówki, jak słońce w samym środku lata. Mimo że otuliłem się szczelnie płaszczem i skupiłem całą pozostałą mi jeszcze siłę woli na odpychaniu płomieni, żar wysuszył każdy cal moich płuc, wypalił wnętrze nosa, zamienił język w kawał wygarbowanej skóry, osmalił brwi i sprawił, że z włosów buchnął

czarny dym. Z dźwiękiem *łup-sss*, zawsze towarzyszącym zapalaniu gazowych pieców, otoczył mnie krąg żółtych płomieni, oddalających się od jaskrawobłękitnego wnętrza. Fala uderzeniowa wgniotła wszystkie pobliskie okna, które przetrwały krzyk widma, a potem rozerwała zasłony, wbijając w ściany odłamki szkła. Ustawione w szeregu puszki na śmieci eksplodowały, a ich zawartość natychmiast ogarnął ogień.

Zgasł jednak szybko, pozostawiając tylko syczący jęk nadal sączącego się z nawierzchni gazu. Jego dotyk parzył mnie w stopy niczym przycięta przez deszcz świeca.

Wszelkie dźwięki musiały się przebijać przez wypełniający mi uszy szum; wszystko, co widziałem, wydawało się bledsze, wypełnione roztańczoną bielą towarzyszącą ruchom gałek ocznych. Z moich włosów i płaszcza buchała para, tworząc iluzję tropiku. Podeszwy butów o zwęglonych sznurowadłach oderwały się od gorącej nawierzchni, pozostawiając w niej zagłębienia.

Fala uderzeniowa odrzuciła widma do tyłu. Dwa z nich nadal płonęły. Chwiały się w strugach

deszczu, próbując ugasić ogień, który pochłaniał ich ubrania, odsłaniając nicość kryjącą się pod strzępami rękawów i poczerniałymi workowatymi spodniami. Ze słuchawek wciąż dobiegały nieustanne rytmy, charakterystyczne dla każdego z widm. Wybuch, który powstrzymałby rozjuszonego mamuta, te stworzenia zaledwie osmalił. Kupiłem dla siebie znacznie mniej czasu, niżbym tego pragnął. Z ust wyrwało mi się płynące z najgłębszych warstw duszy przekleństwo. Rzuciłem się do ucieczki. Gorące podeszwy moich butów z sykiem uderzały o zimną, moką nawierzchnię.

Minąłem dwie przecznice, nim brak tchu w płucach i wypełniający mięśnie ogień kazały mi zwolnić. Poruszałem się teraz naprzód długimi niepewnymi susami. Mój zaprzątnięty sprawami ciała umysł zameldował o nowym wrażeniu. Tuż pod lewym barkiem po skórze spływał mi gorący swędzący strumyk. Nie zatrzymując się, zdjąłem szalik i płaszcz, by sprawdzić, w czym problem. Koszulę miałem różową od zmieszanej z deszczówką krwi. Nóż widma uderzył daleko od zamierzonego celu, w coś jednak trafił.

Krwawa szrama zaczynała się tuż poniżej obojczyka, a kończyła głęboko pod pachą.

Otwierała się i zamykała przy każdym moim kroku, jakby opowiadała jakiś niesmaczny kawał. Odwróciliśmy twarz i przycisnęliśmy obandażowaną dłoń do rany, by zasłonić ją przed naszym wzrokiem. Niedaleko z tyłu znowu rozległy się krzyki widm i dźwięk pękających szyb. Spróbowaliśmy poderwać się do biegu, ale zdołaliśmy wykonać tylko kilka pozbawionych godności kroków, nim ból przeszywający kończyny przekonał nas, że wolimy śmierć od pośpiechu.

Minąłem róg i wyszedłem na ulicę pełną sklepów, takich, nad którymi znajdują się mieszkania właścicieli. Światła były przygaszone, a kotary zaciągnięte. To były osobliwe, niewiarygodne punkty, już przed wielu laty wyparte z centrum miasta: dyskonty oferujące wyłącznie plastikowe skrzynki i suszarki do naczyń, fryzjerzy specjalizujący się w dredach, hurtownicy handlujący jamajską przyprawą, szewcy przy okazji dorabiający klucze i sprzedający płaszcze przeciwdeszczowe, podejrzane sklepy komputerowe proponujące rozmowy z Zambią w cenie pięciu pensów za minutę. Z wystaw sklepów z tanią odzieżą spoglądały na mnie ze wzdargą anorektyczne manekiny, stworzenia o taliach cienkich jak mój nadgarstek. Wewnątrz mrocznego pubu maszyna do bingo wabiła klientów wszystkimi kolorami tęczy i trzema wirującymi wisienkami, obiecując dwadzieścia funtów wygranej w zamian za jednofuntową inwestycję. Z przepelnionych puszek na śmieci wypadały darmowe gazety i pojemniki z żywnością na wynos, których zawartość obwąchiwał miejscowy, uzależniony od falafeli lis. Przejeżdżał tędy może jeden samochód na minutę. Światła przechodziły z czerwonych w żółte, zielone, żółte i znowu czerwone, nie przepuszczając niczego poza mną i deszczem.

Słyszałem...

...nadal daleko z tyłu, ale nie sposób było zaprzeczyć, co to było, dawno już minąłem punkt, w którym wyobraźnia może kłamać...

Dumdumdumdumdumdum

Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi

Bum bum bum bum-te-bum bum

Szhhszhhszhhszhhszhha szhhszhhszhha szhhszhhszhhszhha Widma zawsze polują w grupach. Przeciętnie cztery albo pięć sztuk, ale czytałem artykuł wspominający, że w niektórych miastach widuje się stada dochodzące liczebnością do dwunastu.

Wlokłem się wzdłuż ulicy, ściągając po drodze gorące światło latarni i ściskając je w zaciśniętych pięściach. Trzymałem jego pocieszającą sodową jasność blisko twarzy i piersi, zmywając z nich strach i zimno, aż wreszcie moja skóra zalśniła w nim różowopornarańczowym blaskiem. Po prawej stronie miałem szkołę podstawową o zamkniętych bramach i wysokich murach pomalowanych farbą antywspinaczkową. Ułożona przez dzieci mozaika mówiła, że narkotyki są niedobre, a superbohaterowie dbają o rodzinę.

Dalej była przychodnia lekarska, nieco odsunięta od ulicy, położona za mokrym błotnistym trawnikiem. Żaluzje były zasunięte, a drzwi zamknięte na kłódkę. Po lewej znajdowała się pralnia samoobsługowa. Przed wielkimi, śpiącymi maszynami stały krzesła z pomarańczowego plastiku. Dalej był sklep z płytami winylowymi, w dzisiejszych czasach rzadkość mająca zapewnione powodzenie u entuzjastów; zamknięte metalowe drzwi klubu bilardowego; również zamknięte drewniane drzwi dyskretnej kliniki akupunktury; nieczynny urząd pocztowy sprzedający zabawki dla dzieci i karty urodzinowe; apteka obiecująca lepsze ciało DLA CIEBIE; billboardy reklamujące filmy akcji z przepojonymi męskością bohaterami oraz perfumy używane przez eleganckie kobiety o nagich plecach.

W moje plecy mógł się wbić nóż, nim nadejdzie nowy dzień.

Szbkszkkszkhszbhhszhha szhhszhhszhha szhhszhhszhkszhha Kiedy je zobaczyłem, było już niemal za późno. Wynurzyło się bezgłośnie z wejścia i uderzyło nożem, celując w moje zebra. Złapaliśmy je odruchowo za nadgarstek i wykręciliśmy mu rękę, ale w pustym rękawie nie było ciała, które mogłoby poczuć ból. Nóż nadal posuwał się ku mnie. Odsunąłem się na bok i uświadomiłem sobie, że wszystkie moje zwyczajowe reakcje zdadzą się na nic. Nie było w co kopnąć, nie było czego zranić, w co uderzyć ani czego uszkodzić. Przyjrzałem się twarzy widma. Falowała przez chwilę, a potem plunęła prosto we mnie gorącym popiołem i czarnym dymem. Osłoniliśmy się, czując, jak popiół płonie nam na rękawach, a skórę pokrywa warstwa czarnej sadzy. Zatoczyliśmy się do tyłu i potknęliśmy, na wpół oślepieni przez żar i dym, a potem zwaliliśmy się bezsilnie do rynsztoka. Oczy zaszyły mi łzami. Widmo było tylko zmierzającą ku mnie zamazaną plamą.

Uniosłem ręce i choć raz ból mi pomógł. Pozwolił mi się skupić, dał determinację potrzebną do tego, co musiałem zrobić. Chodnik zazgrzytał jak metal rozgrzany letnim słońcem, pękł i się rozstał. Szare przewody wynurzyły się spod ziemi niczym bluszcz. Pociągnąłem je ku górze, karmiąc ich wzrost siłą woli i strachem. W tej samej chwili wyczołgałem się z rynsztoka na środek jezdni. Przewody rosły, dzieliły się, falowały i znowu rosły, jak na filmie przyrodniczym przyśpieszonym tysiąc razy. Pokrywały coraz większą przestrzeń, wylaniały się z nich kolczaste kwiaty. Przywołałem druty pod stopami widma i kazałem im wbić się mocno w stopy, owinać się wokół łydek i otoczyć kolana.

Widmo zignorowało ten atak. Nadal się zbliżało, choć jego spodnie powoli rozdzierały się z

trzaskiem, odsłaniając ukrytą pod spodem pustkę. Buty sprawiły mi jednak więcej trudności. Kolce wbiły się głęboko w modne adidasy, druty oplótły się wokół nich, zaczepiając o sznurowadła, które się rozciągały, ale nie chciały pęknąć. Widmo się zachwiało.

Przetoczyłem się na ręce i kolana, a potem wstałem. Uwięzione przez druty stworzenie raz jeszcze uniosło głowę i krzyknęło. Pochyliłem się, osłaniając uszy, a potem rzuciłem się do ucieczki przed zgrzytem tysiąca hamulców o starych metalowych szczękach.

Żebrak śpiący pod drzwiami kościoła spojrział na mnie, gdy przemknąłem obok krokiem pośrednim między biegiem a padaniem.

- Uciekaj stąd! - warknąłem, nie zwalniając tempa. Tylko wytrzeszczył na mnie oczy.

W oknie na górze zapaliło się światło.

- Co to, kur... - zawołała jakaś kobieta.

Minąłem małe, trawiaste wysypisko śmieci, zwane przez miejscową radę „zielenią osiedlową”, a potem skręciłem w ulicę, na której rosły stare drzewa. Parkował tam samochód naprawczy, pomarańczowa platforma unosiła się ku potłuczonej latarni. Zmoknięty, przemarznięty facet w odblaskowej kamizelce wymieniał żarówkę. Przebiegłem obok, a on mnie zignorował, wiedząc, że krwawiącym nieznanym biegnącym przez noc lepiej nie zadawać pytań.

Były za mną. Nie musiałem się oglądać, żeby to wiedzieć. Ból pod obojczykiem, do tej pory powstrzymywany przez szok, zaczynał dawać mi się we znaki. Czułem, że przy każdym kroku rana się otwiera i zamyka jak skrzela złotej rybki. Wywierało to dziwnie elektryzujące wrażenie, jakby nasze ciało nie w pełni należało do nas, jakby było czymś, co tylko ze sobą nieśliśmy, a ból dotyczył kogoś innego, my zaś doświadczyliśmy go tylko pośrednio, na sposób biernego palenia. Z czasem z pewnością się to zmieni, a myśl o tym osłabiała nas dodatkowo, powodując ucisk w żołądku. Zauważyłem po prawej kwadrat światła. Zignorowałem go, ale potem przyjrzałem się uważniej. Miałem ochotę zaśmiać się albo rozplakać w głos.

Na szyldzie widniał napis: „Qwickstop”, jaskrawopomarańczowe litery na intensywnie zielonym tle. Oświetlona wystawa stanowiła cmentarzysko nieatrakcyjnych warzyw i owoców, poczynając od standardowych poobtłukiwanych jabłek, a kończąc na skamieniałym kabaczkowi orzechowej barwy. Z obwisłej markizy na chodnik skapywały niemiarkowo krople wody. Wywieszki na drzwiach zachwalały niezliczone cuda. Trudno było uwierzyć, że małe przybytki mogą mieć tak wiele do zaoferowania. Był sklepem monopolowym, punktem sprzedaży biletów oraz kart doładowujących telefony komórkowe, członkiem straży sąsiedzkiej, oddziałem akcji Stop Przystępności, centrum dystrybucji miejscowych wiadomości i biuletynów, punktem sprzedaży *Evening Standard*, punktem sprzedaży *Willesden Enquirer*, przestrzegał zasad uczciwej konkurencji i ofiarował żywność halal, a co najważniejsze, jak oznajmiały migające w oknie diody LED, był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Wszedłem chwiejnym krokiem do pełnego cudów lokalu.

Za ladą stał mężczyzna słuchający miejscowej pirackiej stacji nadającej w języku urdu. Miał upstrzone siwizną wąsy ze swym własnym ekosystemem, łysinę sterylną i błyszczącą jak księżyc, oraz ciemną skórę, przypominającą zaschnięty nierówno na skalpie lak. Spojrzał na mnie i doszedł do wniosku, że oznaczam kłopoty. Uśmiechnąłem się tak sympatycznie, jak tylko mogłem, ścierając z twarzy mokrym rękawem część sadzy i brudu.

Odpowiedział mi uśmiechem wyglądającym jak przyfastrygowany do jego skóry. Starając się oddychać spokojnie, podszedłem do wielkiej lodówki o szklanych drzwiach i wyjąłem z niej cztery butelki najtańszego piwa. Pokuśtykałem z tą zdobyczą do lady.

- Paczkę papierosów - poprosiłem.

- Jakich, proszę pana?

Zawsze należy być uprzejmym dla ewentualnych morderców. To zasada obowiązująca we wszystkich całodobowych sklepach.

- Najtańszych, jakie pan ma. I do tego najsilniejsze tabletki na ból.

Najtańsze papierosy w sklepie kosztowały 5,99 funta. Na opakowaniu widniał obrazek poczerwiałych, zrakowaciałych płuc. Tabletki przeciwbólowe wabiły klientów barwą neonowej zieleni i futurystycznym wyglądem, nie składem chemicznym.

- I pańską taśmę klejącą - dodałem.

- Słucham?

- Taśmę klejącą.

Rolka wisiała przy kasie, w plastikowym pudełku ułatwiającym oddzieranie.

- Nie jest na sprzedaż, proszę pana.

Pochyliłem się ku niemu, wsparty o ladę. Ten ruch sprawił, że kark ogarnęły mi płomienie, a biodro zadrżało.

- Dam za nią dwadzieścia funtów - obiecałem.

Zareagował instynktownie. Tak korzystna propozycja zawsze budzi podejrzenie oszustwa.

- Przykro mi, ale...

- Jeśli nie dasz nam taśmy, zginiesz - warknęliśmy przez zaciśnięte zęby. - Pytanie brzmi tylko, czy my cię zabijemy, czy one to zrobią.

Spojrzał nam w oczy. Kiedyś miały piwny kolor, podobnie jak moje włosy. Ale to było kiedyś. Teraz są jaskrawobłękitne jak letnie niebo i błyszczą w ciemności jak kocie ślepie. Podsunął mi taśmę.

Wyjąłem portfel i zauważyłem, że po ręce i palcach spływa mi strużka krwi. Odliczyłem czterdzieści funtów w zakrwawionych banknotach, podsunąłem je sprzedawcy, zabrałem piwo, papierosy, tabletki i taśmę klejącą, a potem wyszedłem chwiejnym krokiem w noc. Sprzedawca zadzwonił pod 999. W dzisiejszych czasach za czterdzieści funtów nie kupi się zbyt wiele.

Potrzebowałem teraz spokojnego miejsca, w którym będę mógł się przygotować.

Znalazłem wąski zaułek przerobiony na miejscowe śmietnisko. Usiadłem na plastikowym wieku puszki na śmieci i otworzyłem wszystkie butelki. Pociągnęliśmy łyk z jednej z nich, by się upewnić, czy piwo jest w porządku, a potem wylaliśmy resztę. Nie minie wiele czasu i widma poczują zapach, nawet w deszczu. Postawiłem butelki na ziemi, po czym wyjąłem z pudełka cztery białe papierosy i ostrożnie zapaliłem wszystkie po kolei. Płomień gasł co chwila na deszczu, ale te papierosy paliły się przy każdej pogodzie. Wkrótce wszystkie rozjarzyły się słabym ogniem. Wrzuciłem po jednym do każdej butelki. Po chwili wypełnił je dym. Taśmę klejącą schowałem do kieszeni kurtki. Końcówka wystawała na zewnątrz, bym mógł ją wyciągnąć szybko jak rewolwerowiec. I czekałem.

Nie trwało to długo.

Dumdumdumdumdumdum

Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi

Szhhszhhszhbszhhszhha szhhszbhszkha szhhszhhszhbszhba Bum bum bum bum-te-bum bum

Wszystkie zjawiły się jednocześnie, po dwa z obu stron. Tylko na filmach przeciwnicy atakują bohatera jeden po drugim. Wciągnąłem nagle powietrze z bólu. W oczach zapłonął mi migotliwy szafirowy blask. To był nasz błękitny ogień, czekający, aż go uwolnię.

- Cześć, słoneczka.

Ubrania dwóch widm zamieniły się w zwęglone szmaty spowijające puste powietrze.

Stworzenia wyglądały zupełnie jak tradycyjne duchy, pomijając tylko słuchawki. Trzecie miało podarte dolne części nogawek oraz buty. Kiedy podeszły bliżej, zsunąłem się z puszki, uniosłem najbliższą butelkę i potrząsałem nią lekko, czując ruch powietrza wciąganego do środka, by karmić słaby płomień papierosa.

Wybrałem to widmo, które wyglądało na najmniej sfatygowane. Jego szary dres pozostawał nietknięty, a głowa kołysała się w rytm stłumionej muzyki. Powlokłem się ku niemu.

- Hej, stary - zaintonowałem - szacun.

Każdy mag przyzna, że słowa mają w sobie moc.

A każdy miejski czarnoksiężnik powie, że najpotężniejszy język mocy, to ten, którym mówi ten drugi skurczybyk.

Gdy się odezwałem, widmo, poznając początek zakłęcia wiążącego, cofnęło się, łypiąc na mnie podejrzliwie. Być może w niemózgu ukrytym za nietwarzą osłoniętą szarym kapturem zrodziła się świadomość tego, co się zaraz stanie. Było już jednak za późno.

Byliśmy zbyt wściekli, by myśleć o skrusze. Wbiłem szyjkę otwartej, dymiącej butelki w sam środek owej pustki, wrażliem ją w gęstą nicość, jakby była włócznią i jakbyśmy toczyli wojnę. Chyba próbowało krzyknąć, ale butelka wessała dźwięk. Uniosło ręce, przesywając powietrze, ale było już za późno, o wiele, wiele za późno. Jęczało i gwizdało, gdy esencja jego nieegzystencji była wsysana do wnętrza butelki po piwie, szarpało się i wiło. Szary kaptur zaczął opadać, gdy nieczaszka, na której się wspierał, się zapadła, wnikając do szklanego więzienia. Potem ramiona opadły, tułów załopotał na wilgotnym wietrze, rękawiczki zsunęły się z rąk za małych, by je podtrzymać, rękawy zrobiły się zupełnie płaskie, spodnie osunęły się na ziemię, a buty skurczyły nagle.

Po krótkiej chwili, nie dłuższej niż sekunda, nie zostało nic poza stosem szarej, targanej wiatrem odzieży. Zatkąłem wylot butelki kciukiem i zajrzałem do środka. Papieros nadal palił się jasno. Będzie tak płonął przez dziesięć tysięcy lat, chyba że jakiś idiota stłucze flaszkę. Wypełniający wnętrze dym kłębił się w oburzeniu niczym miniaturowy sztorm uwięziony w butelce razem z modelem statku.

Pozostałym widmom dało to trochę do myślenia. Zalepiłem wylot butelki taśmą klejącą i uniosłem drugą, wyciągając ją ku nim.

- No jazda! - zawołałem. - Chcecie spędzić następne dziesięć tysięcy lat na dnie puszek na śmieci?

Zawahały się.

- No jazda! - krzyknęliśmy. - Jeśli myślicie, że cienie i mrok naprawdę mogą nam zaszkodzić, pokażcie, co potraficie! Nie mamy powodu oszczędzać wam konsekwencji waszej lekkomyślności!

Nasz głos niósł się na deszczu stłumionym echem. Trzy pozostałe widma zaczęły się cofać. Roześmialiśmy się i potrząsnęliśmy butelką z uwięzioną wewnątrz nicością, przyglądając się, jak dym tańczy i kłębi się pod taśmą klejącą, a papieros płonie gniewnym karmazynowym płomieniem.

- No jazda! - ryknęliśmy.

Uciekły.

Najwyraźniej nawet nicość ceni własne życie.

Staliśmy w deszczu na zlanym piwem i pokrytym śmieciami chodniku, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać, czy może i jedno, i drugie. W końcu nie zrobiliśmy nic. Bez względu na swe przechwałki, nie mieliśmy ochoty ścigać widm, by dokończyć robotę.

Potrafiły rozpoznać niebezpieczeństwo. Mokry dres leżał u moich stóp, czerniejąc od deszczu, niczym gnijące wnętrzności pozostałe po wróżebnym rytuale.

Uniosłem butelkę, którą wbiłem w twarz widma, przystawiłem do niej ucho i wyteżyłem słuch. Nie

wiem, czy to była tylko sztuczka wyobraźni, ale wydało mi się, że ze środka dobiega ledwie słyszalne...

Bum bum bum bum-te-bum bum

Potrząsnąłem jeszcze butelką i dla pewności oblepiłem jej wylot warstwą taśmy klejącej grubą na pół centymetra. Zauważyłem, że krew przesączyła się przez bandaż na mojej prawej dłoni i skapuje do lepkich zakamarków rękawa. Na myśl, że potrzebujemy pomocy, zachciało się nam płakać, jak jakiemuś bachorowi.

Poszedłem poszukać nocnego autobusu, który zabierze mnie z miejsca leżącego wszędzie i nigdzie w jakiejś innej, które jest gdzieś.

Po drodze zastanowimy się, dokąd chcemy jechać.

* * *

Według tabliczki, piętrowy autobus miał 36 miejsc siedzących w dolnym salonie, 48

w górnym salonie i 23 miejsca stojące. Nic nie wspominało o tym, czy w „salonie” podaje się herbatkę i czy damy grają tam na fortepianie.

Na dole było dwóch pasażerów, a na górze trzech.

- Jezu! - zawołał kierowca, gdy wsiadłem.

Położyliśmy dłoń na ranie pod obojczykiem.

- O co chodzi? - warknęliśmy.

- Dobrze się pan czuje?

- Nie - odpowiedzieliśmy. - Jedzie pan gdzieś czy nie?

- Mogę zadzwonić...

- Nie.

Wzruszył ramionami. Kierowcy nocnych autobusów uczą się nie okazywać przesadnego zainteresowania.

- Jasne. Jak pan sobie życzy.

Miałem bilet travelcard. Druidzi mówią, że nie ma potężniejszej różdżki niż róg jednorożca dany dobrowolnie błagalnikowi. W mieście najpotężniejszym artefaktem mocy jest jednak bilet travelcard na strefy 1-6. Pozwala posiadaczowi udać się w dowolne miejsce i można go zdobyć tylko za znaczną część dochodu. Z drugiej strony, rogi jednorożców z reguły wymagają questów i walk z

pradawnymi demonami, więc nowe czasy nie we wszystkim są takie złe. Wsunąłem bilet do czytnika, który pisnął z aprobatą. Kierowca był na tyle dobrze wychowany, że nie okazał zdziwienia. Wgramoliłem się z wysiłkiem na górę i klapnąłem ciężko na tylne siedzeniu. Tam właśnie zawsze siadają wychodzące ze szkoły dzieciaki, by szokować pasażerów głośnym przeklinaniem. Podłoga lepiła się od rozlanego piwa. Wałało się też na niej mnóstwo tanich, cienkich frytek z czterdziestoprocentową zawartością ziemniaków. Na co trzecim siedzeniu leżały niedoczytane wczorajsze gazety.

Sudoku rozwiązano i rogi urwano.

Wiedziałem, że jeśli położę się na tylnych siedzeniach, już z nich nie wstanę.

Wsunąłem się w najciemniejszy kąt, dotknąłem głową zimnej szyby i gapiłem się na swe odbicie o niebieskich oczach i poszarzałej twarzy, obserwujące ulicę z jej szybko zostającymi z tyłu jasnymi latarniami i neonowymi reklamami. Wydłubałem tabletki przeciwbólowe z opakowania i przełknąłem kilka z ostatnim łykiem śliny, na jaki zdołałem się zdobyć. Potem zacisnąłem mocniej palce na krwawiącej ranie i zacząłem obserwować otoczenie.

Na samym przodzie autobusu siedziała młoda, zapewne jeszcze nastoletnia para.

Oboje przycupnęli grzecznie obok siebie i nie całowali się, choć ich dyskretne milczenie sugerowało, że mają na to wielką ochotę. Miejsce nad schodami, skąd można obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących pasażerów, zajął facet o krótko ostrzyżonych włosach, odsłaniających białe linie kilkunastu blizn na skórze czaszki. Na szyi miał świeże szwy. Ktoś zaatakował go krótkim nożem, omal nie trafiając w tętnicę szyjną. Mężczyzna wytatuował sobie na skroni skorpiona, a spod rękawów jego dzinsowej kurtki sterczały fragmenty kilkunastu innych tatuaży. Mieliśmy ochotę zapytać go, czy go bolało, gdy robiono mu tatuaż na skroni, kto uratował mu życie, zaszywając ranę na szyi, i skąd wzięło się tyle blizn na tak młodej twarzy. Liczne tatuaże z pewnością oznaczały recydywistę.

Przed naszymi oczyma przesuwały się przyćmione deszczem światła. Minęliśmy cmentarz, ciemność za nieprzerwanymi, posępnymi murami. Potem były puste, zalane deszczem boiska miejscowych amatorskich drużyn piłkarskich, z nadal włączonym oświetleniem, niekończące się tory kolejowe, po których ze stukiem posuwały się naprzód kursujące nocą powolne pociągi towarowe; zajezdnie, warsztaty, składy, magazyny, szroty pełne wraków oraz stosów zniszczonego metalu i rozwalonych silników, wyższych niż miejscowe bloki komunalne. Zmierzaliśmy ku rozległemu White City, gdzie wiadukty rywalizowały w brzydocie z mieszkalnymi wieżowcami i budynkami BBC. W White City łatwo zabłądzić: uliczki pełne identycznych, anonimowych domów łączą się ze sobą pod hałaśliwą autostradą; wielkie pasażer handlowe umieszczono nad sklepami wideo i sklepami z pasmanterią specjalizującymi się w sari; bloki komunalne łypią z góry na uliczki z domami bliźniakami dla bogatych, gdzie członkowie medialnej kadry kierowniczej knują spiski, by ukraść sąsiadom bezcenną przestrzeń parkingową. Północ i południe zamieniają się miejscami, wprowadzając w błąd nieostrożnego wędrowca, a znajdowanie kierunku na podstawie poczucia stylu jest niemal niemożliwe. Wszystko to sprawia, że White City ma własną, nerwową magię. Jej przyplawy i odpływy są niepokojąco nieregularne. W jednym miejscu zachęca ona człowieka do sięgnięcia po zaciśniętą pięść mocy, a dwie przecznice dalej znika pośród delikatnych oparów. To magia cegieł i

neonów, twardej materii mieszającej się z niedotykalną, jakby życie zapomniało o różnicy między nimi.

White City.

Biali.

Czy nam się to podobało, czy nie, w nasze ubranie wsiąkała krew. Potrzebowałem pomocy.

A ponieważ autobus i tak jechał w tamtym kierunku, udałem się na poszukiwania Długiego Klanu z White City.

* * *

Nie wiedziałem, jak założono Długi Klan. By znaleźć odpowiedź na to pytanie, trzeba by poznać historię graffiti, czego nigdy nie próbowałem zrobić, ponieważ z samej natury tej sztuki, nikt poza policją nie prowadzi jej rejestrów, a policja niechętnie zdradza informacje na ten temat.

Wiem tylko, że w późnych latach sześćdziesiątych minionego stulecia ci, którzy zwracają uwagę na takie sprawy, zauważyli, że w części Londynu znanej jako White City powstała wspólnota łącząca malarzy i magów, którzy na spółkę stworzyli nową, interesującą postać magii. To Biali, w większym stopniu niż jakakolwiek inna grupa, dali początek badaniom nad nowymi magicznymi symbolami, pojawiającymi się, gdy sztuka przystosowywała się do warunków miejskich. Odrzucono pentagram jako symbol mocy na rzecz czerwonego ośmiokąta znaku „stop”, mistyczne runy w wikińskim stylu ustąpiły miejsca zakrętasom nabazgranym srebrną farbą na pustych ścianach. Okazało się, że taniej jest namalować maskarona stróżującego, niż kazać wyrzeźbić go z marmuru, i że obie formy spełniają w przybliżeniu te same zadania. Przekonano się też, że wielkie oko namalowane na końcu peronu czternastego Dworca Clapham Junction jest narzędziem wróżbiarskim nieporównanie skuteczniejszym niż tradycyjna miska wypełniona srebrzystą wodą i że nic nie wiąże skuteczniej niż podwójna czerwona linia parkingowa wypalona chemicznie w ziemi.

Uświadomiono sobie, że ci, którzy znajdują magię w słowach i malowanych nocą obrazach, wyjdą na tym lepiej, jeśli będą się trzymać razem.

W ten sposób powstał Biali, obdarta zgraja egoistów, magów, artystów i niewyspecjalizowanych badaczy mistycznych tajemnic. Wszyscy łożyli na wspólny cel.

Szanowałem ich metody, ponieważ tylko idiota zaprzeczałby ich skuteczności, ale w zasadzie moje zainteresowania zwracały się w inną stronę.

Budowa nowej „megagalerii” w White City zmusiła większość klanu do przeniesienia się w inne miejsce. Wojna z Wieżą, w swoim czasie najpotężniejszą mistyczną organizacją w mieście, doprowadziła do tego, że musieli szukać schronienia pod ziemią, w starych tunelach centrali telefonicznej Kingsway. To było w czasach pana Bakker, dawnych, niedobrych dniach żyjących cieni, martwych czarnoksiężników i złamanych obietnic. Zginąłem w tej wojnie, nim jeszcze się dowiedziałem, że się zaczęła. A kiedy wróciliśmy, ja i my, my i ja, razem w tym samym ciele,

stanęliśmy do walki. Pan Bakker postradał życie. Jego cień również. A także...

...wielu innych.

Śmiertelnicy giną bardzo łatwo.

Koniec wojny pozwolił Białym wrócić na powierzchnię, choć było ich już mniej niż przedtem. Niemniej fakt, że wojna się zakończyła, a oni ją przetrwali, miał wiele wspólnego z nami i mieliśmy nadzieję, że o tym pamiętają.

Wypatrywałem znaków.

Pusta puszka po farbie w sprayu, rzucona na szczyt wiaty.

Namalowany na bocznej ścianie domu słoń grający na wielkim puzonie. Jego trąba wskazywała na południe.

Ściana, na której dodano cztery okna i drzwi wejściowe. Wyglądające z nich dziecko z czerwonym balonikiem patrzyło na najbliższy przystanek autobusowy.

Przesiadłem się na inną linię.

Wiadomość wydrapana na szybie autobusu: KONIEC TRASY.

Nie pochodziła od Białych. Oni by wiedzieli, że coś takiego będzie nie tylko instrukcją, lecz również groźbą. Zignorowałem ją.

Szczur na ścianie zielonej telefonicznej skrzynki abonenckiej, trzymający w malowanych łapkach puszkę z masłem fistaszkowym. Jego nóż, ociekający kompromitującą porcją żółtej substancji, wskazywał na zachód.

Zostałem w autobusie.

Wyższy od okolicznych budynków słup z kamerami obserwacyjnymi. Nieusuwalną farbą namalowano na nim białą dłoń. Drugą taką zobaczyłem kilkoro drzwi dalej, a za nią następne, powtarzające się coraz częściej, aż wreszcie ujrzałem mur budynku szkoły, pokryty tysiącem różnobarwnych dłoni. Tylko jedna była biała. Wyprostowany palec wskazywał na drzwi.

Tym razem wysiadłem.

Czułem się, jakbym trzymał głowę w wirówkosuszarce, a moje gardło zmieniło się w rurę z gorącym powietrzem. Ktoś wpychał mi do środka przez dziurę w piersi stare skarpetki powiązane ładunkami elektrycznymi, a potem je wyciągał. Moje dłonie stały się płonącymi przewodami, przez które nieustannie przepływał prąd, a kolana zamieniły się w rozklekotane resory, na których kołysała się chwiejnie cała konstrukcja.

Między sklepem z żywnością organiczną, eksponującym na ciemnych wystawach lampy z różowego

kryształu, a punktem przyjmowania zakładów, oferującym niezbyt korzystne stawki za wątpliwe typy, znajdowały się drzwi. Nie było tam żadnego nazwiska ani szyldu. Po prostu solidne, zaryglowane drzwi z metalu umieszczone wśród zamkniętych na kłódki sklepów. Namalowano na nich tygrysa. Bestia wrywała się z metalowego zamknięcia.

Paszczę miała otwartą, a jej oczy gorzały furją. Patrzyłem na nią, a ona gapiała się na mnie, na wieki unieruchomiona w chwili skoku. Łatwo jest sobie wyobrazić, że oczy obrazu spoglądają na ciebie. W tym przypadku rzeczywiście tak było.

Załomotałem do drzwi.

Nikt mi nie odpowiedział.

Załomotałem mocniej.

Na piętrze otworzyło się okno.

- Kto tam? - zapytał ktoś melodramatycznym, przechodzącym niemal w krzyk, szeptem typowym dla wszystkich dobrych sąsiadów pragnących zakłócić ludziom spokój.

Odsunąłem się kilka kroków, by lepiej widzieć kobietę, ale dostrzegłem tylko jej niewyraźną sylwetkę na tle białego neonowego blasku.

- Szukam Very - odpowiedziałem tym samym, cicho-donośnym głosem znanym na wszystkich nocnych ulicach.

- Kogo?

- Jestem Swift! Matthew Swift!

- I co z tego?

- Potrzebuję pomocy!

- Nie znam pana!

- Proszę powiedzieć Verze, że przyszedł Swift!

- Pierdol się!

Nasz żołądek znajdował się w kadzi, w której przerabia się stare kości na klej.

Wszystkim czerwonym i białym ciałkom naszej krwi wyrosły krótkie noski, jak u wija, łaskoczące od środka nasze naczynia.

- Potrzebuję pomocy - powtórzyłem.

- To kurwa idź na policję.

- Jestem czarnoksiężnikiem...

- No jasne.

Unieśliśmy wzrok, spoglądając na kobietę.

- Jesteśmy aniołami. Prosimy o pomoc.

Ciemność w oknie się zawahała. Unieśliśmy rękę, pokazując krew spływającą nam między palcami. Kręte, ciągłe rzeczułki czerwieni zaczęły się rozpadać na tłuste, płynne czerwie wijące się z sykiem na naszej skórze. Wszystkie płonęły zimnym niebieskim elektrycznym ogniem.

- Jesteśmy... - zawołaliśmy przez zaciśnięte zęby, gdy światło krwi nadało naszej twarzy jaskrawobłękitny odcień - ... jesteśmy niebieskie elektryczne anioły! Proszę, niech pani mi pomoże!

- Niech to szlag - mruknęła stojąca w oknie kobieta.

Drzwi się otworzyły.

Weszliśmy do środka.

* * *

Dalej były schody prowadzące do piwnicy.

Na dole znajdował się klub. Na ścianach namalowano tańczących ludzi. Większość nosiła bardzo skąpe ubrania.

Nieruchome sylwetki pokrywały wszystkie ściany i kontuary, włączyły na każdą kolumnę i na sufit. Śmierdziało tu farbą, magią, piwem, papierosami i potem. Przed kilkoma godzinami te postacie tańczyłyby razem z całą resztą. Na podłodze widniały tysiące śladów farby, pozostawionych przez szpilki, adidasy, mokasyny, buty z cholewami, sandały i wszelkie inne obuwie znane na zabawach. Niektóre ślady były jeszcze wilgotne i gdy weszliśmy do środka, nasze buty - nie, nie do końca nasze - zostawiały na podłodze niebieskie odciski. Góra próbowała zamienić się miejscami z dołem. Kolor starał się stać dźwiękiem, a dźwięk sensem. Wszystko chciało wprowadzić nas w błąd, tabletki były jedynie pajęczyną, przez którą ból przebijał się z łatwością.

Bramkarz, który spotkał mnie na dole, miał skórę prawie fioletową od tatuaży. W

przeciwieństwie do zdobiących młodego kryminalistę z autobusu, te cuchnęły surową, spoconą mocą wypaloną w skórze. Mężczyzna przyjrzał mi się w półmroku wypełniającym cichy, śmierdzący klub.

- Tędy - rzekł.

Podążyłem za nim bez słowa. Weszliśmy za bar i dotarliśmy do drugich metalowych drzwi, tym

razem strzeżonych przez rozjuszonego niedźwiedzia polarnego. Z jego kłów ściekała srebrzysta ślina, na moich oczach spływająca po zimnej jak lód skórze. Cały czas patrzył mi w oczy. Drzwi prowadziły do korytarza, w osiemdziesięciu procentach zastawionego butelkami po piwie. Świetlówki na suficie migały, bucząc irytująco. Korytarz wiódł do biura, w którym stały obita skórą sofa oraz vipowskie biurko, pełne pustych kubków po kawie oraz kolejnych butelek.

- Siadaj - powiedział bramkarz, wskazując na sofę. Posłuchałem go, przekładając nogi przez jeden boczny wałek i wspierając głowę na drugim. Przełknąłem następną porcję tabletek. Z miejsca, w którym leżałem, widziałem obity blachą automat do kawy, zdjęcie jakiejś pomniejszej sławy, której nazwiska nie pamiętałem, oraz wielki niczym monolit blok betonu. Nie musiałem wahać emitowanej przezeń mocy, by się domyślić, czym jest.

Magowie ze wszystkich pokoleń zawsze kolekcjonowali potężne artefakty. Zastanawiałem się, ile kosztował Biały i czy w ogóle za niego zapłacili. Kawałki Muru Berlińskiego osiągały w dzisiejszych czasach wysoką cenę, i to nie bez powodu, mimo że niewielu ludzi rozumiało ich prawdziwą wartość.

Na murze zachowały się fragmenty haseł:

- *STIAN LIEBE FAMK* -

Albo:

GEBEN SIE MIR MEINEN HU -

Albo smętna pozostałość logo CND, otoczona kwiatami.

Dowlokłem się do końca sofy, nie mogąc powstrzymać ciekawości, mimo że ogień wypełniał mój układ nerwowy rytmemi czaczy, a resztę ciała przygniatał ciężar lodu.

Wyciągnąłem rękę, by dotknąć bloku, musnąłem palcami kilkanaście warstw jaskrawej farby, poczułem... smak szarego pyłu w ustach, ucisk w pustym brzuchu, trzask pękającego neonu w uszach, eksplodujący zachwyty w karku, płonący ciężar u koniuszków palców, błękitny smutek pod powiekami - przede wszystkim smutek, tak głęboki i dojmujący, że mógłbym spadać bez końca i nawet nie zauważyć, że lecę w dół. Właściciel artefaktu nie potrzebował zakłec ochronnych. Wystarczy powiew tej magii i dorośli zamachowcy odejdą z westchnieniem.

Cofnąłem palce. Za moimi plecami otworzyły się drzwi. Usłyszałem to - w tym sensie, że nie byłem zaskoczony, gdy rozległ się głos - ale nie wsłuchiwałem się w ten dźwięk!

- Podoba się panu?

- Tak - odpowiedzieliśmy, cały czas gapiąc się na betonowy blok.

- Cztery i pół tysiąca euro. Potrafi pan w to uwierzyć? Cztery i pół tysiąca pierdolonych euro za kawał pomalowanego betonu. Najlepszy interes, jaki zrobiłem w życiu.

Napije się pan?

Wreszcie zdołałem oderwać wzrok od bloku. To było równie trudne jak odwrócenie się od umierającego, który właśnie poprosił o pomoc. Przyjrzałem się mężczyźnie. Był

młody, ale starał się robić wrażenie starszego - obciął włosy tak krótko, że wydawał się niemal łysy, nosił parodniowy zarost, ale nie brodę i miał na sobie starannie podniszczoną kurtkę z czarnej skóry. Opierał się od niechcienia o blat swego biurka jak ktoś, kto widział w życiu wszystko i wie, że nic mu już nie zaimponuje, ale to i owo może go jeszcze rozbawić.

Poczuliśmy do niego instynktowną antypatię.

- Muszę pogadać z Verą - oznajmiłem.

- Pan Swift, zgadza się?

- Tak. Muszę porozmawiać z Verą.

- No, wie pan, o piątej rano jest raczej zajęta. W czym mogę panu pomóc?

Jego uśmiech wyglądał jak wirująca biel kuli lustrzanej.

- Może mnie pan skontaktować z Verą.

- Muszę powiedzieć, że wygląda pan paskudnie.

- Proszę mi pomóc. Potrzebuję... potrzebuję lekarza. Muszę pogadać z Verą.

- Myślałem, że Matthew Swift to twardy facet.

- Nie jestem twardy - odparłem przez zaciśnięte zęby. - Po prostu mam farta. Tak wielkiego, że jeśli na ulicy zabije mnie cień, wrócę do życia bez ani jednej blizny na skórze.

Mam tak cholernego farta, że kiedy usłyszę dzwoniący telefon, muszę go odebrać i zawsze okazuje się, że jest do mnie. Tak wielkiego, że może mnie napaść banda widm i nie stracę ani jednej kończyny. Tak wielkiego, że ja jestem nami, a my jesteśmy mną. Muszę panu powiedzieć, że moglibyśmy teraz wyrwać panu oczy i kazać je zjeść, a rankiem zapomnielibyśmy, że w ogóle tu byliśmy. Czy ma pan takiego farta? A teraz proszę mnie skontaktować z Verą!

* * *

Obserwowałem go, kiedy dzwonił. Rozmowa brzmiała następująco:

- Hej, tak, przepraszam, że dzwonię o tej godzinie, ale... tak, przed tobą... posłuchaj...

nie, mam tu takiego faceta... mówi, że nazywa się Swift... co? Hmm... niebieskie.

Jaskrawoniebieskie. Ehe. Nie, wygląda fatalnie. No wiesz... krew. Jasne. Jasne. Ehe, jasna sprawa. Nie... Powiem mu.

To było wszystko.

* * *

Nazywała się Vera.

Była mniej więcej prawomocnie wybranym wodzem Białych. Mniej więcej prawomocnie, ponieważ wszyscy się zgadzali, że gdyby przeprowadzono wybory, ona by je wygrała, więc po co to sprawdzać?

Miała dług wobec mnie.

Wobec nas.

Jako jedna z nielicznych osób w Londynie wiedziała, że gdy wystawiano mi akt zgonu, zapomniano sprawdzić wszystkie szczegóły.

Kiedy się zjawiała, zegar na ścianie pokazywał piątą czterdzieści pięć. Miała na sobie obszerny pikowany płaszcz, dwa razy szerszy od jej drobnego ciała i niemal dorównujący mu długością. Była nieuczesa. Para jaskrawozielonych skórzanych butów niknęła pod srebrną górą lodową płaszcza, a dłonie kryły się w różowych mitenkach.

- Jezu, wyglądasz paskudnie - stwierdziła, obrzuciwszy mnie spojrzeniem.

- Zaatakowano mnie - wyjaśniłem.

- Wiesz, kto to zrobił?

- Nie.

- Zabiłeś ich?

- Jednego zamknąłem w butelce po piwie - wyjaśniłem.

- Nie rób sobie jaj.

- Nie robię - odpowiedziałem, a potem, ponieważ była za kwadrans szósta rano, nie spaliśmy stanowczo zbyt długo, wszystko nas bolało, od cieknącej krwi ubranie lepilo się nam do ciała, a do tego byliśmy poparzeni i brudni, parsknęliśmy głośnym śmiechem.

* * *

Załadowali mnie do samochodu. To był zaskakująco nudny pojazd, jak na wodza Białych - mały, powolny volkswagen dorównujący charyzmą wyschniętemu pęcherzowi.

Vera prowadziła, mknąc przez opustoszałe ulice, by zdążyć przed wczesnoporannym ruchem.

- Potrzebuję bezpiecznej kryjówki - oznajmiłem. - Po prostu jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy wrócić do siebie.
- Wiem, wszystko w porządku.
- I jeszcze lekarza.
- Kazałam to załatwić.
- ...kogoś, kto nie pójdzie na policję... żadnej dokumentacji...
- Wiem, wiem. Już się tym zajęliśmy.

Różowe światła latarni pojawiały się i znikwały. Deszcz przeszedł w siąpiącą słabo mżawkę. Ulice były gładkim czarnym lustrem, w którym odbijały się wszystkie szczegóły miejskich świateł. Okna biur, w których nie zgaszono na noc lamp, były pustymi białymi prostokątami na ciemnych ścianach budynków, ludzie w niebieskich czapkach otwierali bramy stacji metra. Uliczne studzienki były zatkane i spod kół samochodu Very tryskały potężne strugi wody, pozostawiające brązowe plamy na czystych szybach mijanych sklepów.

W oknach kuchni rannych ptaszków zapalały się światła, kobiety w ciepłych szlafrokach i futrzanych pantofelkach wstawiały wodę na herbatę, a drżący z zimna mężczyźni biegli włączyć ogrzewanie. Na ulicach pojawiły się pierwsze samochody pocztowe, rozwożące przesyłki polecone i ekspresowe paczki do nielicznej garstki mieszkających poza hotelami szczęśliwców, którzy zasługiwali na ich uwagę. Zagraniczni turyści śpieszyli się do taksówek, by zdążyć na pierwsze dziś loty. Chciało nam się spać, ale byliśmy zbyt zmęczeni, by powstrzymać myśli.

White City przeszło w Shepherd's Bush, długą obwodnicę prowadzącą wszędzie i nigdzie. Umieszczono przy niej wielki, od dawna nieczynny barometr, termometr, czy co tam właściwie miało to być, zanim skończyły się fundusze. Nazwa obwodnicy sugerowała, że przed tysiącem lat jakiś pasterz mógł mieć tu swój krzak. Teraz były tu tylko tunele, światła uliczne oraz floletowobrazowe hotele o kwadratowych oknach ze zwierciadlanego szkła, przez które można było to wszystko podziwiać.

Shepherd's Bush ustąpiło miejsca Bayswater, które szybko nabrało eleganckiego charakteru - wielkie domy, godne króla i jego świty, podzielone na apartamenty odpowiednie dla baronów i ich dziedziców, potężne, kilkusetletnie drzewa o nagich konarach wyciągających palce gałązek w żółtym świetle latarni. Jechaliśmy wzdłuż biegnącej pod ulicą Central Line i czułem, że szept miejskiej magii zmienia się stopniowo, przechodząc z wczesnoporanego spokoju w gwałtowny, pełen pośpiechu rwetes. Miasto budziło się do kolejnego dnia. Słyszałem, jak ów dźwięk wdiera się do mojej piersi i wypełnia krew energią. Uśmiechnąłem się, choć nie chciałem jej i nie byłbym jej teraz w stanie użyć.

Bayswater z kolei przeszło w Paddington, labirynt ulic zbyt wąskich, by mogły pełnić przypisaną

funkcję. Nędzne hotele na godziny mieszały się tu z rezydencjami wielkich i norami zamieszkanymi przez chwilowych gości. Niektóre rezydencje padły ofiarą wojny i zastąpiono je blokami komunalnymi, były one jednak nieliczne i położone z dala od siebie.

Między wspaniałymi białymi budynkami na chodnik nadal wysuwały swe brukowane nosy budynki przerobione z dawnych stajni.

Słońce jeszcze nie wzeszło. Londyn zawsze sprawia wrażenie zaskoczonego nadejściem zimy, tym, jak mało jest wówczas słońca. Zawstydzony dzień nadciąga gdzieś między wpół do ósmej a ósmą, gdy większość mieszkańców jedzie metrem albo jest tak padnięta, że nic nie zauważa, i macha ręką na pożegnanie gdzieś o wpół do czwartej, w porze zebrania, kiedy z kolei mieszkańcy są zbyt zajęci, by spostrzec jego odejście. Zima nigdy by się nie skończyła, gdyby czas jej trwania zależał od siły przebiccia słońca.

Vera zatrzymała samochód na parkingu przed białym budynkiem, jednym z szeregu podobnych na białej ulicy. Z pewnością byliśmy w Paddington. Odpięła pas i wysiadła z samochodu. Ja również odpiąłem pas i dotknąłem klamki, ale moja dłoń ześliznęła się z niej, zostawiając na metalu paskudną plamę krwi. Vera otworzyła drzwi z mojej strony i pomogła mi wysiąść. Moje nogi były gdzieś bardzo daleko. Dzieliło mnie od nich opóźnienie satelitarne. Zarzuciła sobie moją rękę na ramiona i zaprowadziła mnie jak staruszka po schodach do czarnych drzwi wejściowych. Poszukała w kieszeni kluczy, znalazła je i otworzyła drzwi. Nasze kroki na pokrytej płytkami podłodze odbijały się echem od nagich ścian. Na końcu korytarza znajdowała się winda wielkości trumny grubasa. Z wyraźną niechęcią zawiozła nas na trzecie piętro. Czekwały tam kolejne czarne drzwi i Vera znowu szukała kluczy. W mieszkaniu były meble prosto z Ikei, sama sklejka i poliester. Nie widziałem żadnych obrazów na ścianach ani innych indywidualnych cech. Tylko na drzwiach od środka ktoś namalował farbą w sprayu wielki obraz kobiety przeprowadzacza. Kapelusz opadał jej na oczy, a znak odwracała na stronę z napisem „stop”. Biali umieli malować dobre osłony.

Salon służył jednocześnie jako kuchnia. Łazienka była tak mała, że ledwie mieściła się w niej wanna, a w sypialni było łóżko z gołym materacem. Vera nie zawracała sobie głowy szukaniem pościeli, tylko położyła mnie wprost na nim. Cienkie firanki zasłaniały zarysy latarni ulicznych, wpuszczając do środka ich żółte światło. Na podłogę i ścianę padały wielkie cienie.

- Lekarza... - wyjąkałem.

- Niedługo przyjdzie - zapewniła.

Pokiwałem głową, a potem opuściłem ją na łóżko. Zamknąłem oczy, nie trując się ściąganiem sfatygowanego ubrania.

- Jezu, Matthew - mruknęła Vera. - Co ci się stało, do licha?

- To był atak - wymamrotałem. - Atak. Zadzwoił telefon, odebrałem go i... to mnie poparzyło. Uderzyłem się w głowę. Zadzwoił telefon i... potem nadeszły stworzenia. Chciały nas dorwać. Telefon był do nas. Potrzebuję bezpiecznego miejsca...

- Wstawię wodę - oznajmiła.

A może tylko nam się zdawało.

Zamknęliśmy oczy.

* * *

Świt był szary i posępny.

Ten, kto zdejmował mi zegarek, robił to przy świetle lampy stojącej przy łóżku.

Plastik wydawał dźwięk przywodzący na myśl rozpinany rzep. Otworzyłem oczy. Vera stała w nogach łóżka, pijąc kawę z kubka, na którym ktoś napisał wielkimi, różowymi literami „I ♥

London”. Zdjęła płaszcz i zauważyłem, że pod spodem wciąż ma pizamę i szlafrok. Z

jakiegoś dziwnego powodu zachciało się nam płakać.

- Zrób to - odezwała się Vera, zobaczywszy, że otworzyliśmy oczy.

Okazało się, że nie mówiła do mnie.

Nagły, przeszywający ból świadczył, że zamierzony słuchacz wykonał polecenie, zrywając spalone resztki zegarka niczym przylepiony do skóry plaster. Pojawiło się tysiąc maleńkich kropelek krwi. Odwróciliśmy się, zniesmaczeni tym widokiem.

- Nieźle - rozległ się czyjś głos przy moim lewym uchu.

Zaryzykowałem spojrzenie na jego właścicielkę.

Okrutna istota, która zerwała mi zegarek, dorównywała mniej więcej wzrostem długości swych słuchawek, gdyby je w pełni rozwinięto. Miała pyzată, wesołą twarz oraz ciemne, krótko obcięte włosy, które jakimś sposobem zdołały być jednocześnie proste i sprężyste. Radosny spokój, z jakim podchodziła do moich cierpień, jednoznacznie świadczył, że reprezentuje medyczną profesję. Skądś ją znałem.

- Znowu się pan wdał w jakiś syf czy co? - zapytała.

- Znam panią - wydyszałem.

- Naprawdę? No, wie pan, to mi się bardzo często zdarza.

Otworzyła torbę. Miała w niej rzeczy, które mógłby wynaleźć jedynie geniusz pozbawiony wszelkich zasad moralnych. Kobieta wyciągnęła strzykawkę. Gdy coś nam grozi, perspektywa często wprowadza nas w błąd. Trzycalowa strzykawka wymierzona w żyłę kogoś innego jest tylko trzycalowa strzykawką. Gdy celuje w nas, staje się złowrogim, długim na stopę narzędziem.

- Co pani robi? - zapytałem.

- To doktor Seah. Możesz jej zaufać - uspokoiła mnie Vera.

- Nie może pani... - zacząłem.

Doktor Seah potrafiła rozpoznać sprzeciw i wiedziała, że jedyny sposób, by sobie z nim poradzić, to zignorować go, nim przybierze postać możliwą do uznania przez sąd.

Bezgłośnie wbiła igłę w skórę mojego odsłoniętego łokcia i nacisnęła tłok. Wyobrażaliśmy sobie, że czujemy, jak nasze naczynia pękają od tego, co w nie przemocą wprowadzano. Tak się jednak nie stało.

- Przytrzymaj to - rzekła dziarsko doktor Seah, przyciskając do miejsca wkłucia kawałek waty.

Vera wykonała polecenie.

- Co pani nam podała? - wyszeptaliśmy.

- To pomoże na ból. Hmm... w pewnym sensie. Ujmijmy to tak. Zapewne nie będzie pan potem pamiętał bólu, a to poniekąd to samo, jeśli nie zastanawiać się przesadnie nad semantyką. Mam rację?

- Jest... zaatakowano mnie - odparłem. - To był atak. Znalazły mnie. Odebrałem telefon i potem przyszły po mnie. Znalazły mnie wtedy i mogą mnie znaleźć znowu. Muszę się ukryć...

- Tu jesteś tak bezpieczny, jak to tylko możliwe - zapewniła Vera. - Jeśli znajdą cię tutaj, odszukają cię wszędzie. Przynajmniej będą mogli szybko cię udusić częściami twojego ciała, nim wykrwawisz się na śmierć.

Środek podano prosto do żyły. Trudno mi było unieść głowę, słyszałem własne słowa jak dobiegające spod wody, a gdy próbowałem mówić, własne wargi wydawały mi się olbrzymie i nie moje.

W głąb rany pod moim obojczykiem wniknęły palce uczone uzdrawiania na plastikowych lalkach, które nie mogły krzyczeć.

- Ma pan szczęście - odezwała się po chwili doktor Seah. - Jest długa i płytka.

Wygląda paskudnie, ale z medycznego punktu widzenia jest zupełnie nieszkodliwa.

- Ehe - wychrypiałem. - Wielki farciarz ze mnie.

- Brał pan kiedyś morfinę?

- Raz mi ją dali. Czuję się potem niedobrze.

- Ehe, wiem. Tak samo jak teraz, tak? Vero, czy mogłabyś zagotować wodę?

- Do przemycia ran? - zapytała Vera z entuzjazmem kogoś liczącego na wdzięczność.

- Chcę się napić herbaty - odparła lekarka.

Ta odpowiedź wyraźnie rozczarowała mniej więcej prawomocnie wybranego wodza Białych. Vera opuściła pokój dumnym krokiem kogoś, kto jest stanowczo zbyt rozsądny, by mógł nie okazać pomocy, ale nie przywykł, by się nim wysługiwano.

Doktor Seah poczekała, aż Vera wyjdzie, a potem pochyliła się nad moim uchem.

- Jaką wiadomość chce pan usłyszeć najpierw, dobrą czy optymistyczną?

Ponieważ nie byliśmy do końca pewni, na czym polega „optymistyczna” wiadomość, zdecydowaliśmy się na dobrą.

- Będzie pan żył - oznajmiła lekarka.

- Rewelacja - wymamrotałem. Mój język robił wrażenie zrobionego z nasiąkniętej gąbki.

- A chce pan usłyszeć tę optymistyczną?

- Jasne.

- Pomijając to... - stalowe palce wniknęły do szramy na mojej piersi, tysiąc mil od czuwającego mózgu - ...nic wielkiego się panu nie stało. Trzeba będzie założyć szwy i choć fajnie by było zrobić to w pełnym znieczuleniu, potrzebowalibyśmy do tego anestezjologów, facetów z defibrylatorami, no wie pan, maszyn, które robią „ping”. Dlatego zadowolę się znieczuleniem miejscowym. To będzie bolało jak wydupczenie przez dziesięciu facetów. Tu i ówdzie ma pan parę dziwnych poparzeń, ale one tylko oszpecą pana na pewien czas. Jest pan dorosły, poradzi pan sobie. Rana na potylicy wygląda paskudnie, ale jeśli nie pozwolimy, by się paskudziła, nie grozi panu nic poza odrobiną przedwczesnej siwizny i utratą kilku komórek mózgowych. Tylko to jedno nie napawa mnie całkowitym optymizmem.

Minęła chwila, nim sobie uświadomiłem, że unosi moją prawą dłoń, czerwoną jak burak.

- He?

- Widać, że w ciągu kilku ostatnich godzin kopnął pana prąd, i to zdrowo. Jak już mówiłam, gdyby życie było fajne, podłączyłabym pana teraz do monitora akcji serca na wypadek, gdyby coś się nagle zepsuło.

- Uczyli panią zachowania przy łóżku pacjenta? - warknąłem.

- Jasne - odparła. - Ale tak sobie myślę, pieprzyć to. Niech pan popatrzy, jest coś jeszcze.

Zbliżyła dłoń do mojej twarzy, bym mógł się jej przyjrzeć uważniej. W pierwszej chwili nie rozumiałem, na czym polega problem. Burak wyglądał na nieco lepiej ugotowany i mniej surowy niż przed kilkoma godzinami. W paru miejscach opuchlizna wręcz się nieco cofnęła. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że nawet w ciężkich przypadkach porażenie prądem rzadko powoduje krwawienie.

Źródłem krwi, która splamiła mój prawy rękaw, było coś innego. Tym czymś, niemal całkowicie ukrytym w fałdach obrzękłej skóry, był cienki, czerwony krzyż, zrobiony skalpelem na wewnętrznej powierzchni dłoni.

- Co nam pani zrobiła? - pisnęliśmy.

- Że niby ja? Nie mam z tym nic wspólnego.

- My nie... to nie jest...

- Chce pan powiedzieć, że nie zauważył, kiedy ktoś bawił się na pana dłoni w chrześcijański symbolizm? - zapytała. - No... jeśli lubi pan samookaleczenie, stanowczo to odradzam.

- My tego nie zrobiliśmy. Nic tu nie było... dopóki... nic tu nie było, dopóki nie odebraliśmy telefonu!

- Ehe. Choć przyznaję, że każdy przypadek jest inny, muszę panu powiedzieć, że porażenie prądem po odebraniu telefonu, prowadzące do pojawienia się na dłoni ofiary wyciętego krzyża, to coś niezwykłego, nawet w centrum Londynu. Naprawdę nie ma pan pojęcia, skąd się to wzięło?

Tego nie powiedziałem. Po prostu nie chciałem o tym myśleć.

- Niech pani to ukryje - wyszeptaliśmy. - Błagamy. Proszę zrobić wszystko co konieczne.

- Dlaczego chce pan...

- Niech pani to zrobi! Prosimy.

Doktor Seah się zawahała. Na chwilę na jej twarzy pojawiło się coś, czego nie powinno tam być. Coś głębokiego i poważnego, a także odrobinę smutnego, jakby jej stworzone do uśmiechów oblicze zapadło się w siebie. Potem wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się promiennie, odsłaniając śnieżnobiałe zęby, kontrastujące z twarzą koloru gorącej czekolady w letnią noc.

- Jak pan sobie życzy - odparła.

* * *

Zabandażowała mi prawą dłoń. Narkotyk, który mi podała, sprawił, że sufit to unosił

się powoli, to opadał nagle tak nisko, że niemal uderzał mnie w nos. Nigdy dotąd nie przeżyliśmy podobnej degradacji. Niemniej lek pomógł nam zachować spokój, leżeć nieruchomo, i sprawił też, że wypełniający nas gniew wydawał się daleką opowieścią, jaką powtarzałem swej dziecinnej wersji,

siedzącej mi na kolanach. To była historia o człowieku, który cierpiał ból i podano mu narkotyk. Rozgrywała się w bardzo dalekim kraju.

Nie można powiedzieć, byśmy znosili ból dzielnie. Gdy lekarka wzięła w rękę igłę, odwróciliśmy wzrok, a kiedy wbijała ją w ciało, wciskaliśmy twarz w poduszkę, by ukryć łzy, biorące się nie tyle z bólu, ile z myśli o nim, o tym, co mogłoby się wydarzyć, ale w rzeczywistości wcale się nie działo poza naszą wzburzoną wyobraźnią, prezentującą nam obrazy gorsze od prawdy. Przygryzłem wargę i zacząłem powtarzać sobie różne pozbawione znaczenia słowa: teksty piosenek, listy zakupów, trasy autobusów, skrzyżowania dróg, deklinację czasowników w różnych egzotycznych językach - wszystko, co skieruje nasze myśli jak najdalej od ciała, zamknie je w prozaicznej klatce ze sztucznych słów i liczb.

Gdy już było po wszystkim, sen przyszedł łatwo. Prawdziwy ból stał się mglistym wspomnieniem, pocieszającym pluszowym misiem, którego tuliliśmy do siebie niczym starego przyjaciela.

Spaliśmy.

* * *

Kiedy się obudziłem, na dworze było ciemno. Latarnia za oknem mogła się palić o najróżniejszych porach, ale dźwięki pozwalały dokładniej określić czas. Słyszałem odległy szum ruchu ulicznego, zbyt intensywny na najciemniejszą noc, a z końca ulicy dobiegały odgłosy z pubu. Przy każdym otwarciu drzwi na ulicę wydostawała się cichnąca powoli fala rozmów oraz muzyki. Wbiłem wzrok w posuwającą się powoli przez sufit plamę blasku samochodowych reflektorów. Nie chciało mi się już spać, ale nie miałem też najmniejszej ochoty wstawać. Leżałem na nagim materacu, zbrukany śladami mojej krwi, na widok których robiło mi się niedobrze, i rozważałem swą sytuację. Moja prawa dłoń była jak igloo owinięte w bandaż, pokrywające również lewy bark oraz znaczną część piersi. Potylicę oczyszczono mi z krwi i zdezynfekowano, ale na reszcie mojego ciała nadal dostrzegało się ślady wydarzeń poprzedniej nocy. Czułem się, jakby moja skóra zrobiła się dwa cale grubsza niż zwykle, mój język nadal był sztywną bryłą wypełniającą mi usta, a żołądek miałem skurczony i zapadnięty.

W pierwszej chwili owe dolegliwości wydawały mi się niemal interesującą nowością, szybko jednak obudziła się we mnie niecierpliwa furia. Syknąłem z frustracji i postawiłem nogi na podłodze.

Na stoliku stały dwie buteleczki. W jednej były tabletki, a w drugiej płyn. Na kartce napisano: „←TA jest na ból, a TA→ służy do odkażania ran. Tylko niech ich pan nie pomyli.

M. Seah”.

Nie zostawiła żadnych innych instrukcji. Najwyraźniej wierzyła w moją inteligencję bardziej ode mnie.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu swych rzeczy. Nadal miałem na sobie spodnie i skarpetki, ale moje buty - czy raczej nie moje, tylko te, które nosiłem - stały w nogach łóżka, obok płaszcza. Swetra i koszuli nigdzie nie widziałem, tornistra też nie. Wywlokłem się z sypialni do oślepiająco jasnego

salonu. Vera siedziała na pokrytej narzutą sofie, jedząc prażynki krewetkowe z torebki i oglądając telewizję. Nie słyszała, jak wszedłem, a gdy zastanawiałem się, co powiedzieć, zdążyłem zauważyć kilkanaście osób, które zdaniem autorów programu powinienem znać, uczących się śpiewać operowe arie podczas tańca na lodzie, podczas gdy jurorzy, których najwyraźniej również powinienem rozpoznawać, obrzucali płaczących celebrytów obelgami.

Gdy wreszcie się odezwałem, byłem równie zaskoczony jak Vera.

- Dziękuję - powiedziałem.

Poderwała się nagle, rozsypując prażynki na sofę, a potem wstała, udając, że nic się nie stało, i łypnęła na mnie groźnie, ostrzegając, bym nie ważył się tego skomentować.

- Ehe, nie ma sprawy. Cześć. Widzę, że już wstałeś.

- Dziękuję - powtórzyłem.

- Słyszałam. Nie ma sprawy. Wyglądasz paskudnie.

Wyraźnie zastanawiała się nad jakimiś miłszymi słowami.

- Masz tu łazienkę?

- Ehe. Ale nie ma w niej mydła, a żeby odkręcić ciepłą wodę trzeba mieć palce zręczne jak kasiarz.

- Dziękuję.

- Nie musisz nic mówić.

- Wiem. Za to też dziękuję.

- Przestań, bo zaraz się roztkliwię. Chcesz coś zjeść?

- Tak.

- Świetnie. Doktor Seah powiedziała, że kiedy wstaniesz, powinieneś wypić co najmniej dwa litry wody, żeby wyrównać straty po ataku... Matthew?

- Słucham.

- Chodzi mi o ten atak. Chyba powinniśmy porozmawiać. Ale najpierw doprowadź się do porządku. Wsadzę coś do mikrofali.

* * *

Vera powiedziała prawdę o łazience. Kurek był wrażliwy na najlżejszy dotyk, tylko włoszek dzielił arktyczną śmierć od gorejącego piekła. Gdy sąsiad mieszkający dwa numery dalej włączył prysznic,

ciśnienie wody spadło tak bardzo, że z kranu sączył się tylko posępny strumyczek, a kiedy go wyłączył, z kurka eksplodował parujący wrzątek.

Starałem się umyć lewą ręką, a jednocześnie nie zamoczyć prawej oraz reszty zabandażowanych obszarów. Owinąłem się w pełne podejrzanych plam ręczniki i wystawiłem głowę z łazienki.

- Gdzie się podziały moje łachy? - zapytałem.

- Były obrzydliwe - dobiegł z oddali głos Very. - Jeszcze kilka dni i zaczęłyby mówić.

Mężczyźni nie mają pojęcia, jak trudno jest usunąć plamy z krwi. Szczerze mówiąc, szkoda było mojego czasu.

- To znaczy, że nie mam ubrania?

- Zostawiłam parę rzeczy pod półką. Są na ciebie za duże, ale przecież twoje buty też.

Jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment, by opowiedzieć jej o butach.

Podziękowałem i przeszukałem łazienkę, aż wreszcie znalazłem ubranie, o którym mówiła.

Czułem się w nim jak uciekinier z dziecięcej kreskówki. Rękawy były za szerokie, a nogawki wlokły się po ziemi. Przynajmniej jednak rzeczy były czyste.

Posiłek okazał się odgrzewaną chińszczyzną, mogącą wywołać skurcze żołądka.

Nigdy nie jedliśmy nic, co smakowałoby równie bosko. Kiedy wydawało się nam, że Vera nie patrzy, przesuwalismy palec po brzegu talerza, by zlizywać z niego sos. Przez cały czas posiłku kobieta nie odzywała się ani słowem, ale gdy tylko odstawiłem talerz, zapytała:

- A więc zaatakowano cię?

Poruszyłem barkiem, czując sztywność szwów rozciągających mięśnie poniżej obojczyka. Zgiąłem palce prawej dłoni i poczułem gorący, naciągnięty krzyż wycięty w mojej skórze. Płonął pod bandażem, ale nie było to nieprzyjemne wrażenie. Narkotyk sprawiał, że oparzenie wydawało się czymś żywym i interesującym, nie czystym bólem przyćmiewającym wszystko inne.

- Czego chcesz się dowiedzieć? - zapytałem.

Od razu przeszła do najważniejszej sprawy.

- Czy napastnicy tu przyjdą?

- Nie wiem.

- Myślisz, że mogą cię tu odnaleźć?

- Niewykluczone.

- Czy wiedzą o naszych kontaktach?

- Nie wiem.

- Czy pomaganie ci naraża na niebezpieczeństwo mnie i moich ludzi?

- Nie wiem. Niewykluczone.

- Dobra. A co w takim razie wiesz?

Zastanawiałem się nad tym pytaniem długo i intensywnie.

- Nic - odpowiedziałem wreszcie. - Absolutnie nic.

- Uważam, że zasługuję na coś więcej.

- Przysięgam, że nie wiem nic. Ani kto, ani dlaczego, ani nawet jak. Wiem tylko, że zadzwonił telefon, odebrałem go, a potem niebo zrobiło przewrót w tył. Wiem też, że jakiś czas potem pojawiła się banda widm, ale one zapewne już nie będą próbowały mnie szukać.

- A to dlaczego?

- Złapałem jedno z nich. Wiedzą, że potrafię to zrobić. Widma nie są głupie.

- „Złapałeś” widmo?

Jawne niedowierzanie słyszalne w głosie Very powinienem zapewne uznać za komplement. Nie chodziło o to, że uważała mnie za kłamcę. Po prostu wiedziała co nieco o widmach.

- Do butelki po piwie - uściśliłem.

- Naprawdę? A mogę zobaczyć tę butelkę?

- Jest w mojej torbie.

Zniknęła w sypialni. Po chwili wróciła, niosąc mój tornister, trzymany na długość wyciągniętej ręki, jakby mógł zaraz zacząć tykać. Położyła go u moich stóp. Otworzyłem tornister i wyjąłem flaszkę. Papieros w jej wnętrzu nadal tlił się posępnym blaskiem.

Vera bardzo ostrożnie ujęła butelkę w palce.

- Posłuchaj jej - poradziłem.

Zrobiła to, unosząc flaszkę do ucha. Nagle otworzyła szerzej oczy.

- Jezu - mruknęła. - Pojmałeś ducha, który słucha heavy metalu.

Wziąłem od niej butelkę i postawiłem ją z szacunkiem na stole między nami.

- Ehe. Tylko nie otwieraj jej zbyt szybko. Widma nie słyną z poczucia humoru.

- Dlaczego użyłeś butelki po piwie?

- A dlaczego dziny zamyka się w lampach?

- Nie próbuj mi wciskać metaforycznego kitu. Zadałam proste techniczne pytanie.

- I otrzymałaś prostą techniczną odpowiedź. Trzeba użyć najodpowiedniejszego pojemnika. Lampa to cenny przedmiot, który daje oświecenie. Butelka piwa... no cóż... nie chcę się wdawać w socjopolitykę...

- To się nie wdawaj.

- ...ale teoria mówiąca, że w takiej butelce można utopić wszystko, kryje w sobie trochę prawdy. A nawet gdyby tak nie było, wystarczająco wielu ludzi w nią wierzy.

- Cóż za głębia.

- Sama pytałaś.

- To był humor połączony z sarkazmem. Potrafię dokonać tej sztuki. - Westchnęła, nie odrywając spojrzenia od butelki. - Widma nie są głupie - podjęła po chwili. - I nie atakują nikogo bez powodu. Myślisz, że świadomie wybrały ciebie?

- Tak.

- Dlaczego?

- Dlatego że nie wierzę w przypadki. Zadzwoił telefon i...

- Ehe, o co chodzi z tym telefonem? Myślałabym, że skoro jesteś tym, kim jesteś...

niebieskimi elektrycznymi aniołami, bogami telefonów, pieśnią w przewodach, ogniem, światłem, życiem, szumem w słuchawce, który stał się ciałem, Swiftem i aniołami, i tak dalej, i tak dalej... czemu się krzywisz?

- To była pułapka - mruknęliśmy. W tej samej chwili uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy wściekli. - Pułapka zastawiona specjalnie na nas. Jeśli usłyszymy telefon na pustej drodze w środku nocy, z pewnością go odbierzemy, zawsze go odbieramy i on zawsze nas odnajduje. My... to część tego, czym jesteśmy. Zaatakowali nas przez telefon, a potem wysłali widma, żeby nas wykończyły.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem.

- Dlaczego zaatakowali ciebie?

- Nie wiem.

- O którego z was chodziło?

Ton jej głosu się nie zmienił, gdy zadawała to pytanie. Ani na moment nie oderwała spojrzenia od butelki, by zerknąć na naszą pełną zdumienia twarz.

- Myślę... - wymamrotałem. - To nieważne.

- Nieważne dla ciebie - poprawiła mnie. - Zginąłbyś bez względu na to, kogo chcieli załatwić „oni”. Ale dla „nich” to mogło być istotne. Jeśli jakiś facet pragnie płonąć elektrycznym ogniem, nie ma powodu atakować Matthew Swifta, ale myśl o załatwieniu niebieskich elektrycznych aniołów może mieć dla niego sens. Z drugiej strony, jeśli jakaś dziewczyna wkurzyła się na Matthew Swifta, bo puścił ją w trąbę na przyjęciu, może spróbować się na nim odegrać, a niebieskie elektryczne anioły oberwą tylko przy okazji. Fakt, że jesteś dwoma jestestwami zamieszkującymi to samo ciało i mózg, jeszcze nie znaczy, że inni będą szanować to rozróżnienie. Pytanie brzmi... czy ten, kto wysłał widma i zadzwonił

do ciebie, pragnął dorwać Matthew Swifta, czy elektryczne anioły? A może i jego, i je, ponieważ, formalnie rzecz biorąc, jesteście jednym i tym samym.

- Zapytamy „ich” o to, gdy tylko „ich” spotkamy - odparliśmy.

Zapadła cisza.

- Dlaczego masz za duże buty? - zapytała po chwili Vera.

- To skomplikowana sprawa. Szukałem kogoś.

- I dlatego musiałeś włożyć za duże buty?

- Ta para ułatwiała mi zadanie.

- Kogo szukałeś?

- Jednego chłopaka. To nieważne.

- Myślisz, że to on cię zaatakował?

- Nie. Nie potrafiłby tego zrobić. Przywołanie widm, atak za pośrednictwem telefonu, wszystko to są trudne sprawy.

- Ehe - zgodziła się z westchnieniem. - Na tym właśnie polega problem. Nie mówimy o jakimś świrze, prawda? Gdybyś przed kilku laty zapytał mnie, kto to zrobił, na sto procent odpowiedziałabym „czarnoksiężnik”. Przywołanie potworów, wysłanie ognia przez druty

telefoniczne, wszystko to śmierdzi poważną magią. Ale czarnoksiężnicy zginęli albo wpadli w obłąd, wszyscy oprócz ciebie, a ty raczej nie jesteś typowym przykładem. Pozostaje więc pytanie, kto albo co próbuje cię załatwić?

- Dawni czarnoksiężnicy nie żyją - poprawiłem ją. - To nie znaczy, że nowi nie mogli zająć ich miejsca.

- Uczyłeś ostatnio jakichś nowicjuszy przywoływania widm?

Potrząsnąłem głową.

- Widzisz? Żeby robić podobne rzeczy, potrzeba mocy i doświadczenia. Jakiś przypadkowy niedorostek nie poradzi sobie z czymś takim. Kim jest ten chłopak, którego szukałeś?

- Nikim szczególnym.

- Na pewno?

- Tak. Złożyłem obietnicę i chcę jej dotrzymać. Nie ma w nim nic nadzwyczajnego.

- No dobra. Na pewno wiesz, co mówisz.

Znowu zapadła cisza. Wróciły zawroty głowy. Byłem przejeżdżony i rozleniwiony od ciepła. Przebiegły mnie lekkie ciarki. Podciągnąłem kolana do klatki piersiowej, wsparłem na nich podbródek i wpatrzyłem się w nagie konary za oknem, poruszające się w świetle latarni.

- Która godzina? - zapytałem.

- Po dziewiątej. Spałeś głęboko.

- Jestem ci wdzięczny...

- Matthew?

W jej głosie zabrzmiała osobliwa nuta, jakby oddech wydostał się z płuc wbrew jej woli, przedzierając się przez zaciśnięte gardło. Rozejrzałem się i zauważyłem, że kobieta wpatruje się w sufit.

- Matthew - powtórzyła bardziej stanowczym tonem, odzyskując panowanie nad sobą.

- Matthew, Matthew, Matthew - powtórzyła z westchnieniem.

- Vero?

- Wierysz w przypadki, Matthew? Wierysz, że takie... sprawy mogą nie mieć ze sobą związku?

- Nie wierzę.

- Ja też nie - przyznała wreszcie.

Czekałem, aż powie coś więcej, ale cały czas wpatrywała się z fascynacją w sufit i nic nie mogło odwrócić jej uwagi.

- Rano sobie pójdę - oznajmiłem.

- Myślisz, że to rozsądne?

- Lekarka dała mi środki przeciwbólowe.

- Chyba wspominała też coś o tym, że nie powinieneś się przemęczać.

- Ktoś nas zaatakował - przypomnieliśmy. - Musimy go odnaleźć.

- Jasne. - Westchnęła, pocierając kark bladą dłonią. - Masz rację.

Znowu włączyła telewizor. Chciała powiedzieć coś więcej, ale najwyraźniej zmieniła zdanie, a ja byłem zbyt zmęczony, by na nią naciskać.

Wróciłem do łóżka.

* * *

Obudził nas telefon. Nie zadzwonił, ale gdy tylko się ocknęliśmy, wiedzieliśmy, że w pobliżu toczy się rozmowa telefoniczna. Czuliśmy mrowienie energii przepływającej wzdłuż naszego kręgosłupa. Na dworze nadal było ciemno, zapewne minęło tylko kilka godzin.

Słyszałem dobiegający zza drzwi sypialni głos Very, serię niewyraźnych dźwięków i kształtów unoszących się w powietrzu. Stoczyłem się sztywno z łóżka, podszedłem do drzwi i wyteżyłem słuch. Nie wiem, dlaczego podsłuchiwałem. Być może ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale paranoja służy jako winda szybkiej do tego miejsca.

- Tak. Tak, wiem - mówiła Vera. - Jeszcze mu nie powiedziałam. Jest w kiepskim stanie... Posłuchaj, wiem, jak to wygląda, ale nie wierzę, żeby to on... nie, nie rób tego. Nie.

Mam tylko jego słowo i widmo zamknięte w butelce. Widziałeś kiedyś, żeby przywołał

widmo? Czy to w jego stylu? Nie wciskaj mi takiego kitu. Jezu, nie wierzę w to ani przez chwilę. Posłuchaj, on wygląda na szczerze przerażonego. Nie sądzę, żeby to była odpowiednia chwila, by... tak. Tak, wiem. Posłuchaj, ja... jeśli musisz. Ale nie będą zadowoleni. Mówisz tak, bo nigdy ich nie spotkałeś. Przysięgam na Boga, że gdyby w tej skórze nie żył jeszcze pierdolony czarnoksiężnik, dawno już zniszczyłyby miasto, po prostu dla zabawy. Nie, to nie znaczy... ehe, rozumiem. Wiesz, dokąd się udać? W takim razie w porządku. Cześć.

Przerwała połączenie.

Cofnąłem się w cień wypełniający mój pokój i usłyszałem zbliżające się kroki Very.

Szybko, instynktownie, jak dziecko, któremu grozi przyłapanie na czytaniu po ciemku, wtoczyliśmy się na łóżko i odwróciliśmy plecami do drzwi, oddychając powoli i miarowo -

wdech przez nos, wydech przez usta. Gdy Vera otworzyła drzwi, na nas i na ścianę nad nami padło jaskrawe światło. Kobieta zajrzała do środka, po czym zamknęła drzwi. Policzyliśmy do dziesięciu i usiedliśmy w łóżku, rozglądając się w rozświetlonym padającym z ulicy światłem półmroku. Paranoja wydaje się rozsądniejsza, gdy człowiekowi zrobią kilkanaście szwów. Rozejrzałem się, szukając torby i płaszcza, niekoniecznie dlatego, że chciałem zaraz wyjść, jeszcze nie w tej chwili. Po prostu pewniej bym się poczuł, wiedząc, że są pod ręką.

Płaszcz przewieszono przez oparcie łóżka. Czyjeś opiekuńcze palce zaszyły rozdarcie jaskrawoczerwoną nicią. Buty, dwa numery za duże, stały przy drzwiach sypialni. Na krześle leżał wielki zielony pulower z workowatym kapturem i kieszenią kangura. Wciągnąłem go, a potem włożyłem płaszcz i rozejrzałem się w poszukiwaniu torby.

Była w drugim pokoju, z Verą. Zegarek również, ale ponieważ do paska przywarła przypalona krew, strata nie była zbyt wielka. Sprawdziłem, jakie zapasy mam w kieszeni płaszcza. Kilka kwitów za kanapki, parę torebek po chrupkach i kawałek sznurka. Sam Merlin nie zdołałby zrobić z tego nic sensownego, nawet porządnej kociej kołyski. Usiadłem na skraju łóżka i sięgnąłem po buty.

Zabrział dzwonek. Zdążył zagrać kilka pierwszych taktów „Oranges and Lemons”, nim Vera dotarła do drzwi. Poruszała się szybko, nie chcąc mnie niepokoić.

- Ehe, zaraz was wpuszczę - wymamrotała do domofonu.

Zawiązałem sznurowadła, poruszając niezgrabnie prawą dłonią i starając się zachować koordynację i grację w ruchach lewej. Potem podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Dwa czarne opływowe samochody zaparkowano niezgrabnie. Wnętrze kryło się za matowymi szybami, a warkot silników był pełen głodu. O jeden z pojazdów opierał się jakiś mężczyzna.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to duchowny, z uwagi na wielki czarny kapelusz oraz pozbawiony ozdób płaszcz i skórzane buty, wszystko tego samego koloru. Nie miał jednak koloratki, a niedbała poza i skrzyżowane na piersi ręce sugerowały, że jest za młody i zbyt pewny siebie jak na księdza.

Nagle uniósł wzrok i spojrzał na nas. Odsunęliśmy się instynktownie od okna.

Rozsądek mówił nam, że nie mógł nas zobaczyć, ale byliśmy pewni, że tak się stało.

Z zewnątrz dobiegło pukanie do drzwi i grzechot odsuwanej łańcucha. Paranoja nie jest dobrą metodą rozwiązywania problemów. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu gniazdek elektrycznych i szybko podłączyłem się do wszystkich, bez względu na to, czy były w nich wtyczki. W niepewnej sytuacji prąd z sieci zawsze jest pierwszą linią obrony czarnoksiężnika i chciałem go mieć pod dostatkiem.

Za drzwiami usłyszałem głos Very, odpowiedziały mu inne głosy.

- Śpi. Posłuchajcie, czy to konieczne? Wiem, że... Nie, nie, ja to zrobię.

Drzwi się otworzyły. Ujrzałem w świetle sylwetkę Very.

- Matthew? - zawołała cicho, patrząc na łóżko.

- Tu jestem - odpowiedziałem. - Już wstałem.

- Tak - wyszeptała, omiatając mnie spojrzeniem. - Przyszło paru ludzi. Chyba powinieneś z nimi porozmawiać.

- Kim oni są?

- Może będą mogli ci pomóc.

- Kim oni są?

- To Rajcy.

* * *

Rajcy.

Nie znoszę ich. Nie mówię o tych gościach od koktajli, kielbasek i szampana. Oni są niegroźni. Chodzi mi o tych drugich Rajców. Tych, którzy wychodzą nocą. Obrońców miasta.

Tych, którzy zrobią wszystko co konieczne, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Na tym właśnie polega problem. Czasami „konieczne” nie znaczy „moralne”.

Boję się ich.

Rzecz w tym, że oni nigdy się nie zjawiają, gdy sprawa jest drobna.

Było ich troje. Na pierwszy rzut oka wyglądali jak uciekinierzy z czasów Cromwella -

wielkie kapelusze i czarne płaszcze z masywnymi, również czarnymi guzikami. Kiedy zdjęli wierzchnie okrycia, okazało się, że to, co mają pod spodem, wcale nie wygląda lepiej: szare garnitury w prążki, srebrne krawaty i jaskraworóżowe koszule, mające sugerować, że ich właściciel jest jedynym w swoim rodzaju indywidualistą. Każdy młody modny krawaciarz chodzi teraz w takich do pracy. Jeśli jednak przyrzeć się uważniej, można było zobaczyć drobiazgi zdradzające ich prawdziwą naturę. Pierwszy mężczyzna miał na prawej dłoni zestaw pierścieni, a na jednym z nich wypalono symbol dwóch kluczy. Drugi, nad jedwabną chusteczką wystającą z kieszeni staromodnej kamizelki przypiął sobie małe znaczki wyobrażające czerwonego smoka trzymającego tarczę. Kobieta nosiła znaczek z dwoma czerwonymi krzyżami, jak na godle Corporation of London. Mniejszy umieszczono w górnym lewym polu większego. Tajne stowarzyszenia są bardzo

ekscytujące. Można z dumą nosić ich emblematy, a i tak nikt się nie zorientuje.

Przybysze gapili się na mnie, a ja na nich. Odnosiłem wrażenie, że oni również nie są zadowoleni z mojego widoku.

- To którym z nich pan jest? - zapytał wreszcie jeden z nich.

Vera wzniosła oczy ku niebu. Pytający był młodym mężczyzną, przekonany, że jest mu pisana władza nad światem. Miał ciemnoblond, lekko kręcone włosy, początki ciemnej opalenizny na twarzy, jaskrawoniebieskie oczy, trochę piegów i zęby, z których można by zrobić klawisze do fortepianu. Rajców nie znosiłem z zasady, ale jego zniechęciłem za wygląd.

- To nie takie proste... - zaczęła Vera.

Uświadomiłem sobie, że ona również się boi, a Verę trudno było przestraszyć.

- Z pewnością - zgodził się drugi mężczyzna. Był starszy, miał na twarzy lekkie bruzdy, donośny dźwięczny głos oraz zgrabne zadbane dłonie. Kiedy się uśmiechał, całą twarz pokrywały mu gnomiczne zmarszczki. Jego głos i wszystkie inne aspekty osobowości promieniowały dobroduszością tak intensywną, że poczułem do niego instynktowną nieufność. - Panie Swift, nazywam się Earle.

Wyciągnął dłoń, tylko o kilka żyłek grubszą niż plik papieru. Uścisnąłem ją.

- To jest pan Kemsley - dodał, wskazując na młodzieńca z zębami - i pani Anissina.

Pani Anissina była trzydziestokilkuletnią kobietą. Nosila strój godny radosnej dwudziestolatki, ale miała twarz twardą jak umierający watażka. Poza tym, wszystko w niej było zimne i pozbawione wyrazu. Nie była ani przyjazna, ani wroga; ani wesola, ani smutna; ani ożywiona, ani przybita. Bryła kamienia w eleganckim kostiumie. Albo kryły się w niej niezbadane głębie, albo pod marmurową powierzchnią nie było zupełnie nic.

- Jak rozumiem, został pan ranny. Zechciałby pan usiąść?

Skinąłem głową, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu udawać silnego, gdy jestem tak wyraźnie osłabiony. Na jedynej tu sofie było miejsce najwyżej dla trojga dobrych przyjaciół. Oddali mi ją całą, rozpraszając się po pokoju w ten sposób, że w danej chwili mogłem patrzeć tylko na jednego Rajcę.

Pan Earle zajął miejsce przy oknie. Pomyślałem o jasnych światłach i karabinach snajperskich.

- Panie Swift, na początek chciałbym wyrazić współczucie. Najwyraźniej padł pan ofiarą jakiegoś rodzaju przemocy - oznajmił pozbawionym wyrazu tonem przepracowanego kapłana, który musi przed zmierzchem odfajkować jeszcze trzy pogrzeby, a do tego zaczyna mu dokuczać migrena. Nie odpowiedziałem, a on się tym nie przejął.

- Co pan wie o zakresie naszych obowiązków, panie Swift?

- Jesteście Rajcami - odparłem po prostu. - Grupą utalentowanych magicznie osób o zbliżonych upodobaniach, których zadaniem jest, „ochrona miasta”, cokolwiek by to miało znaczyć.

- Tak. Zwrócił pan uwagę na pewną dwuznaczność.

Wzruszyłem ramionami.

- Z grubsza ma pan rację. Nasze zadania nie ograniczają się do luźno pojętej „ochrony miasta” i rzecz jasna nasi starannie dobierani członkowie są czymś więcej niż tylko „osobami o zbliżonych upodobaniach”, ale nie chcę zanudzać pana szczegółami.

Ponownie wzruszyłem ramionami, czując, że skóra rozciąga mi się wokół szwów.

Wzdłuż kręgosłupa ściekła mi strużka bólu.

- Domyślam się, że nie sprowadziła was tu troska o moje zdrowie.

- Niestety, nie to jest dla nas najważniejsze. Jestem też pewien, że rozumie pan źródła naszych uprawnień - dodał pan Earle nagle ostrzejszym tonem.

- Rozumiem, że od blisko tysiąca lat w Londynie byli Rajcy czuwający nad jego bezpieczeństwem i że ten, kto sprzeciwia się ich woli, prędzej czy później marnie kończy -

odparłem. - Wiem też, że służycie Nocnemu Burmistrzowi, który, jeśli rzeczywiście istnieje, jest świętym obrońcą kamieni Londynu, a jego serce bije w rytm życia miasta itede, itepe.

- Nie wierzy pan w Nocnego Burmistrza? - zdziwił się. - To ciekawe.

- Czy to miał pan na myśli, mówiąc o „uprawnieniach”?

- Jeśli uważa pan uprawnienia po prostu za synonim władzy, to tak. Moglibyśmy się spierać o kwestie semantyczne przez cały dzień, ale mam wrażenie, że rozumie pan najważniejsze fakty. W takim razie, czy mógłbym zadać panu kilka pytań? Gdzie pan był

wczorajszej nocy między pierwszą a trzecią?

Spojrzałem na niego z zaskoczeniem, w każdej chwili mogącym się przerodzić w gniew.

- Padałem ofiarą ataku widm - odpowiedziałem.

- Ale gdzie, panie Swift?

- W Willesden.

- A co pan tam robił?

- Już panu mówiłem. Dźgano mnie nożem.

- Panie Swift... - Westchnął. - Czy to pański zegarek? - zapytał po chwili.

Uniósł smętny, spalony przedmiot z tkaniny i metalu, kupiony za 99 pensów od ulicznego handlarza. Za nieruchomymi wskazówkami widniała wyblakła twarz Myszki Miki.

Nie pytałem, skąd go wzięł, i nie miałem do Very pretensji o to, że mu go dała.

- Tak - potwierdziłem.

- Jak rozumiem, uszkodzono go podczas tego... spotkania z widmami?

- Tak. Zatrzymał się w chwili ataku.

- O drugiej dwadzieścia pięć w nocy?

- Nie zwracałem zbyt wielkiej uwagi na godzinę.

- Tak, tak, to oczywiste. Dlaczego miałby pan to robić? - Wyraźnie chciał zapytać o coś jeszcze, ale się powstrzymał. - Chce pan kubek herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Jest pan pewien? Vero, moja droga, zrobisz nam herbaty?

- Już wstawiam wodę - warknęła Vera.

Poczułem przepływający w ścianach prąd, poczułem w powietrzu jego smak.

Wystarczyłoby poruszyć palcami, bym mógł się nim owinać, wypełnić pokój płynącymi z sieci błyskawicami, wzmocnionymi wolą czarnoksiężskiej magii do smażącej ciała mocy.

- Może jednak się napiję - oznajmiłem.

- Herbata dla wszystkich - westchnęła Vera.

- Dla mnie kawa - odezwał się pan Kemsley. - Bezkofeinowa, jeśli można prosić.

Przywódczyni Białych - jednej z największych organizacji magicznych malarzy i czarowników ukrywających się w podziemiach Londynu - uśmiechnęła się z zaciśniętymi zębami i wstawiła wodę.

- Jak rozumiem, nikt nie widział tego incydentu w Willesden? - zapytał pan Earle.

- Podejrzewam, że widziało go mnóstwo ludzi. Ale nie mieli pojęcia, co o tym sądzić.

- Nie było wśród nich nikogo o... alternatywnych skłonnościach?

- Jak sądzę, nie ma pan na myśli seksu, biologii ani moralności?

- Niech pan mi wybaczy, panie Swift, ale w mojej pracy trzeba ostrożnie dobierać słowa.

- Niech pan zapyta tych, którzy mnie zaatakowali. Oni z pewnością wiedzą, co się stało.

- Ach, tak. Pan nie wie, kto to był?

- Nie wiem.

- Nie widział pan twarzy napastnika? Nie rozmawiał z nim?

- Nie. Wszystko zrobiono zdalnie. Panie Earle?

- Słucham, panie Swift?

- Dlaczego was to interesuje?

Pan Kemsleyomal nie prychnął pogardliwie. Skierowaliśmy na niego wzrok. Poczuliśmy na chwilę nasze spojrzenie i wzdrygnął się przed nim.

- Och, wie pan, jak to jest, panie Swift - odparł od niechcienia pan Earle. - Po tym zamieszaniu z Bakkerem i Wieżą trudno w mieście spotkać czarnoksiężnika. A czarnoksiężnicy o tak... niech mi pan wybaczy... swobodnym stosunku do śmierci, zmartwychwstania i sieci telefonicznej jak pan, budzą w nas zrozumiałą troskę, gdy tylko przydarzy się im coś złego.

- A więc jednak chodzi wam o moje bezpieczeństwo - stwierdziłem, nie kryjąc sarkazmu.

- Coś w tym rodzaju.

- Panie Earle? - dodaliśmy z westchnieniem, pocierając grzbiet nosa.

- Słucham, panie Swift?

Unieśliśmy wzrok. Zobaczyliśmy nasze oczy. Nie byliśmy tylko panem Swiftem. Nasz stosunek do telefonów nigdy nie był swobodny.

- Panie Earle, dlaczego pan uważa, że napastnik to mężczyzna?

Był dobry, ale gdyby był naprawdę świetny, nic by po sobie nie okazał.

- To zapewne skutek moich naturalnych, socjokulturowych uprzedzeń - wyznał. -

Wybaczenie, drogie panie - dodał, kiwając głową do pani Anissiny, której twarz nic nie wyrażała, i do Very, która skrzywiła się wściekle.

Moja torba stała przy nodze stolika. Butelkę z widmem umieszczono na jego skraju. U

sufitu paliły się trzy małe żarówki, wypełniające pokój białym blaskiem. Płaszcz i buty miałem na

sobie. Pan Earle odgadł moje myśli. To nie mogło być trudne.

- Nie lubi pan Rajców, prawda, panie Swift?

- Nie lubię - przyznałem.

- Czy mogę zapytać, dlaczego?

- Zjawiacie się tylko w przypadku wielkich spraw.

- Nie rozumiem...

- Gdy za panowania Ryszarda II zbuntowali się chłopci, Rajcy ponownie uśpili koszmary zrodzone ze strachu przed zniszczeniem. Kiedy na ulicach szalała dżuma, Rajcy nie pozwolili umarłym wstawać z grobów. Gdy miasto strawił Wielki Pożar, Rajcy uratowali drogocenne skarby, kruki z Tower i Londyński Kamień, ołtarz ponoć umieszczony przez Brutusa w sercu miasta i całego cholernego kraju. A gdy na miasto sypały się bomby, to Rajcy nie pozwolili wrócić do życia odgrzebanym spod gruzów stworzeniom.

- I... uważa pan to wszystko za niekorzystne?

- Gdy do miasta przybyły szczury zarazy, Rajcy dopilnowali, by jej ofiary nie wstawały z grobów. Ale nie ruszyli nawet palcem, by uratować im życie.

- Ach! Rozumiem.

- Jesteście obrońcami kamieni, panie Earle, pamięci miasta, jego bogactw i budynków.

Nie bronicie ludzi. Dlatego muszę zapytać jeszcze raz: czemu ma służyć nasza rozmowa?

W pokoju zapadła cisza, maćona tylko cichym szumem czajnika. Stojący pod ścianą pan Kemsley przestąpił z nogi na nogę. Pani Anissina zaczerpnęła tchu. Pan Earle się uśmiechnął. Czaszki również się uśmiechają i w grobie aż po kres wieków będzie szczyrzył

zęby z jakiegoś żartu, który tylko on rozumie.

- Szanuję pańską szczerłość - oznajmił wreszcie. Kłamcy zawsze tak mówią. - W

związku z tym ja również będę z panem szczerzy. Bez względu na pana stan, interesuje nas coś znacznie więcej niż to, czy będzie pan żył, czy też umrze znowu. Nic by nas nie obchodziło, że pana zaatakowano, i nie dbalibyśmy o to, kto to zrobił, gdyby nie fakt, że... pewne sprawy wymagają naszej interwencji. I pan, panie Swift, najwyraźniej znalazł się w ośrodku tych spraw.

- Co to za sprawy?

- Nie sądzę, bym musiał zawracać panu nimi głowę.

- Już mi ją pan zawraca.

- W takim razie będę się streszczał, by oszczędzić nam dalszych komplikacji. Wierzę, że rzeczywiście pana zaatakowano. Wierzę, że został pan ranny. Wierzę, że był pan przerażony. Wszystko to łatwo potwierdzić empirycznie. Jestem też przekonany, że w tym mieście, a może nawet na całej Ziemi, jest bardzo niewiele mocy, które mogłyby zranić bądź

przerazić istoty takie jak niebieskie elektryczne anioły. Jedną z tych mocy jest Nocny Burmistrz. Sądzę, że zaatakował pan Nocnego Burmistrza i zabił go.

To dziwne, ale nikt dotąd nie oskarżał nas o zabicie człowieka.

Wbiłem wzrok w pana Earle'a i nie zobaczyłem w jego drobnej, poranej bruzdami twarzy nic poza powagą i szczerością. Spojrzałem na panią Anissinę i dostrzegłem lód, zerknąłem na pana Kemsleya i ujrzałem ogień. Potem odwróciłem lekko głowę, by przyjrzeć się Verze, i zauważyłem... przez mgnienie oka, coś innego, co stało tam, gdzie powinna być ona. Mrugnąłem i znowu była tam Vera. Twarz miała pustą jak trzymane w rękach kubki.

Przeniosłem wzrok z powrotem na pana Earle'a.

- Robi pan sobie jaja.

- Mówię absolutnie poważnie - zapewnił urażonym tonem. - I kropka.

To była groźba, nie tylko stwierdzenie faktu.

- Dlaczego miałbym zabijać Nocnego Burmistrza? - zapytałem. - Nawet nie wierzę w jego istnienie.

- Proszę nie gadać głupstw - skarcił mnie. - To kiepski argument. - Wie pan, że Bezdomna istnieje, spotkał pan Króla Żebraków, wie pan, że Lady Neon grasuje po oświetlonych ulicach, a Tłusty Szczur skrada się pod ziemią. Taka... istota jak pan, powinna rozumieć, że Nocny Burmistrz istnieje.

- Bynajmniej - zaprzeczyłem. - Zresztą, gdyby istniał, nie mógłby umrzeć.

- Oczywiście! Nocny Burmistrz to idea, pojęcie, przechodni tytuł, nazwa niosąca ze sobą znaczną moc. Nie, nie, nie, Nocny Burmistrz nie zginął. Tylko człowiek, który nosił ten tytuł, postradał życie. Gdzieś w mieście jest już nowy Nocny Burmistrz, czekający, aż się przebudzi i poczuje woń tlenku węgla. Nawet pan nie może zabić idei.

Z różnych stron pokoju zwracały się ku mnie trzy twarze wyglądające jak wyciosane kilofem ze starego, twardego marmuru. Potarłem obolałe ramię, starając się przegnać brzęczenie trzmieli wypełniające mi uszy.

- Zakładając, że rzeczywiście go zabito, co nasunęło wam myśl, że ja to zrobiłem? -

zapytałem, starając się nie patrzeć na torbę i butelkę z widmem.

- No cóż - odparł z westchnieniem pan Earle. - Pomijając oczywiste kwalifikacje, mówię o fakcie, że wiemy, że jest pan zdolny do zabójstwa i posiada w tym kierunku znaczne predyspozycje, jest też sporo poszlak.

- Poszlak? I to wszystko?

- Powiedziałem, że jest ich bardzo wiele - zganił mnie.

- Lepiej, żeby były monumentalne - warknąłem.

Zaczął odliczać na palcach.

- Po pierwsze, pańska nieskrywana nienawiść do Rajców i, co za tym idzie, również naszego szefa, Nocnego Burmistrza...

- Jeśli wierzy się w jego istnienie - dodałem.

- Który z całą pewnością istnieje, był moim przyjacielem i szefem, i zginął ostatniej nocy, z twarzą we własnych płynach ustrojowych. Po drugie, sposób w jaki zginął...

- A mianowicie?

- Śmierdzący czarnoksięstwem - uściślił. - Po trzecie, akta odnalezione w gabinecie Burmistrza. Muszę z przykrością stwierdzić, że jest pan ich gwiazdą. Po czwarte, pańskie obrażenia. Najprawdopodobniej zadał je panu Burmistrz podczas waszego spotkania. Po piąte, warunki panujące w Londynie sugerują aktywność czarnoksiężnika albo kogoś jeszcze gorszego. Nadal pozostaje pan jedynym czarnoksiężnikiem w mieście, prawda?

- To jeszcze nie znaczy, że inni nie mogli przybyć spoza niego albo nagle odkryć swych talentów - odparłem. - Życie to magia. Prędzej czy później zawsze znajdzie się ktoś, kto odkryje ten fakt. Jakiego rodzaju aktywność ma pan na myśli i dlaczego to was obchodzi?

Nie odpowiedział. Być może bał się stracić rachubę.

- Po szóste, pański zegarek.

- Zegarek?

- Zegarek - powtórzył. - Zatrzymał się o drugiej dwadzieścia pięć, jak sądzę, uderzony impulsem magicznej energii.

- Tak. I co z tego?

- Zgodnie z raportem koronera, Burmistrz umarł o drugiej dwadzieścia sześć.

Zapadła cisza.

Przypadki nie istnieją. A przynajmniej nie wtedy, gdy w grę wchodzi złe wieści.

Każdy potrzebuje kogoś, na kogo można zrzucić winę.

- Ja tego nie zrobiłem - zapewniłem.

- Zabijał pan już przedtem.

- Zabiłem cię, który przedtem zamordował mnie! I chodzącego trupa z papierem wepchniętym do gardła. Nigdy nie zabiliśmy...

- Zabił pan Roberta Jamesa Bakker. Swego nauczyciela, mentora i...

- Robert Bakker był paliwem podtrzymującym chodzący cię, który przez dwa lata karmił się krwią i śmiercią! Był człowiekiem, którego cię rozerwał mi pierdolone gardło i zabił moją uczennicę, który...

- Nie jest pan człowiekiem, Matthew Swift. Powiem to szczerze. Nie jest pan człowiekiem.

Wstaliśmy powoli.

- Jesteśmy człowiekiem - odparliśmy. - Mamy cały aparat człowieczeństwa, a nawet więcej. Stworzyli nas ludzie. Wy, śmiertelnicy, wlewacie swe myśli, uczucia, opowieści i wiedzę, wlewacie wszystko, czym jesteście, do przewodów telefonicznych. Dlatego prędzej czy później musiały ożyć. Jesteśmy wszystkim, czym wy jesteście, a także czymś więcej. Nie zabiliśmy waszego Nocnego Burmistrza.

Ponownie zapadła cisza.

- Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo - zmącił ją po chwili pan Kemsley.

Pan Earle nie powiedział nic. Jego wargi koloru brudnego śniegu wygięły się poniżej ostrego jak temperówka nosa.

- Jeśli Burmistrz nie żyje, kto zajął jego miejsce? - zapytała Vera, podchodząc do mnie ze spokojem.
- Czy to się załatwia przez mianowanie, czy jakoś inaczej?

Nikt nie miał ochoty jej odpowiadać.

Odwróciliśmy głowę w bok i popatrzyliśmy na pana Earle'a. Ten poruszył nerwowo palcami.

- Nie - oznajmił po chwili. - Tak czy inaczej, to się nie uda.

Trudno jest uśmiercić czarnoksiężnika za pomocą magii, ponieważ w dziewięciu przypadkach na dziesięć rzeczonego czarnoksiężnik jest tak nią wypełniony, że nawet nie zauważy podjętej próby. Natomiast bardzo łatwo jest go zabić z broni palnej. Umieramy jak zwyczajni ludzie - w większości przypadków.

Wiedziałem o tym. Przypomniałem sobie ten fakt, gdy tylko pani Anissina sięgnęła do kieszeni płaszcza. Dlatego uniosłem obandażowaną dłoń ku sufitowi i owinałem palce wokół

żarówek, unicestwiając ich blask, nim kobieta zdążyła wystrzelić.

Dobra wiadomość brzmiała tak, że pani Anissina w ostatecznym rozrachunku była jedną z Rajców i uczono ją magii, nie posługiwania się bronią. I tak wystrzeliła. Pełen przyzwyczajających się do ciemności oczu pokój wypełnił biały rozbłysk. Usłyszałem, że ktoś powiedział „ach”, bardzo cicho. To nie byłem ja. Brzmiało to jak coś pośredniego między zaskoczeniem a poparzeniem przez pokrzywę. Wtem na moim gardle zacisnęły się dłonie pana Kemsleya. Jego palce - gdy już raczył je wyprostować - nie składały się wyłącznie ze śmiertelnego ciała. Z linii u nasad jego paznokci wyrosła aluminiowa zbroja, ostra, zimna, twarda i nieustępliwa, a nade wszystko przewodząca prąd.

Padłem na podłogę pod jego ciężarem, pozwoliłem, by mnie obalił i stracił

równowagę na skutek własnego impetu. Padając, sięgnąłem ku najbliższemu gniazdku i zaczerpnąłem jego moc. Elektryczny ogień, posłuszny mej woli, przeszył powietrze, sięgając do koniuszków moich palców. Ścisnąłem w garści błyskawicę i uderzyłem nią w skroń mężczyzny. Zrzuciłem go z siebie i cisnąłem na przeciwległą ścianę.

Elektryczny błysk pozwolił pani Anissinie coś zobaczyć. Była czarnym cieniem unoszącym pistolet. Cisnąłem jasność ukradzioną ze zgaszonych świateł prosto w twarz kobiety. Oślepiająca sfera wielkości piłki futbolowej zawierała w sobie oświetlenie całego pokoju. Pani Anissina odwróciła głowę, zasłaniając ręką oczy. Pistolet znowu wystrzelił, koniec lufy eksplodował światłem gwiazd. W suficie pojawiła się dziura.

Podniosłem się, porwałem torbę i okrążyłem po ciemku sofę od tyłu. Oczy zaczynały mi się przyzwyczajać do żółtej poświaty latarni napływającej zza okna oraz niebieskiego elektrycznego blasku tańczącego wokół mojej pięści. Nagle na moim karku zacisnęła się czyjaś dłoń. Z pięciu palców wyrosło pięć metalowych, pomalowanych na czarno pazurów, skóra przybrała srebrzystą barwę, a słabość zmieniła się w siłę imadła, grożącą wyrwaniem mojego kręgosłupa z ciała. Nikt nie powinien być tak silny, ale pan Earle nie był zwykłym człowiekiem. Odciągnął mi głowę do tyłu, aż ujrzałem sufit. Mój kręgosłup wygiął się w ślad za szyją. W blasku latarni i skwierczącego elektrycznego płomienia widziałem jego twarz. Na moich oczach srebrnawy metal pokrywający jego ciało sięgnął nawet tam, pokrywając wargi, powieki i wciskając się do uszu. Wysunął język - cienki, czerwony i rozwidlony. Oddech napastnika był tak gorący, że wysysał wilgoć z moich oczu, jego oczy zaś były wypukłe jak u ryby i gorzał w nich biały ogień. Odchyłał mi głowę coraz dalej, grożąc złamaniem kręgosłupa. Nagle zauważyłem, że maleńka szpilka w jego klapie, czerwony krzyż symbolizujący Corporation of London, rozjarzyła się intensywnym blaskiem. To było interesujące. Osobiste ozdoby bardzo rzadko świecą, nawet w magicznych sytuacjach, chyba że ich wpływ na sytuację nie ogranicza się do złego smaku.

Pan Earle uniósł drugą rękę, która również była szponem. Ostro zakończone pazury wyciągały się ku moim oczom. Próbowałem sięgnąć do nich elektrycznymi palcami, ale ścisnął mnie tak mocno i tak nisko, że mało brakowało, bym stracił równowagę i zwałił się na podłogę. Poruszył ustami - nie w wyrazie ludzkich uczuć, lecz jak rozwścieczone zwierzę.

- O cholera - odezwała się nagle Vera.

Z maksymalnym wysiłkiem odwróciłem głowę i zobaczyłem kącikiem oka, że przywódczyni Białych stoi obok, z czajnikiem w ręce i irytacją na twarzy. W piersi miała okrągłą dziurę wielkości pistoletowej kuli. Płynęła z niej krew. Nagle kobieta się uśmiechnęła.

Nie krew.

Farba.

Jej skóra lśniła nieco zbyt jaskrawo, lustrzanym, akrylowym blaskiem, a włosy skapywały powoli po plecach i spływały po twarzy niczym kredka do oczu w deszczu. Twarz również się topiła, błądy róż ściekał na ubrania, które falowały, pokrywały się pęcherzykami i mieszały ze sobą, a gdy kobieta się uśmiechnęła, jej spływające wargi zalał płynny biały plastik. Pan Earle i ja gapiliśmy się bez słowa na kurczące się, płynne stworzenie. Obaj byliśmy zbyt zaskoczeni, by coś powiedzieć albo zrobić. Nagle Vera uniosła czajnik. Mały palec skapnął na podłogę, tworząc gęstą różową plamę. Ściskając czajnik w tym, co zostało z jej dłoni, walnęła nim z całej siły w skroń pana Earle'a.

Rajca osunął się bezgłośnie na podłogę. Padłem na niego, całkowicie tracąc równowagę. Zaraz się wyplątałem z jego uścisku, ale on również tylko się przewrócił i nic mu się nie stało. Kiedy podnosiłem się z wysiłkiem, zacisnął pięść na mojej stopie i wbił we mnie spojrzenie gorejących oczu. Po srebrnej skórze jego twarzy spływała cienka czerwona strużka krwi. Działając pod wpływem instynktu, dobrego wykształcenia oraz adrenaliny, pochyliłem się i złapałem za gorejący znaczek wpięty w klapę jego marynarki. Był chłodny w dotyku.

Gdy zacisnąłem palce na odznace, Rajca uśmiechnął się, ponownie odsłaniając rozwidlony język i białe zęby, zmienione w nieduże kły. Na chwilę zwątpiłem w prawidłowość swego rozumowania. Potem jednak jego uśmiech przerodził się w coś innego, mrocznego i pełnego strachu. Z głośnym trzaskiem oderwałem znaczek razem z klapą jedwabnej marynarki. Z

mojej skóry posypały się skry, gdy straciłem koncentrację i ukradziona z sieci elektryczność odpłynęła do ziemi.

Srebrna powłoka na twarzy mężczyzny natychmiast zaczęła znikać, wtapiając się w jego skórę równie szybko, jak się pojawiła. Krew, dotąd ciekąca wąską strużką, zbrukała mu włosy gęstymi strumieniami. Ze stojącej po lewej Very został tylko topniejący szybko bałwan z rozplływającej się po podłodze farby, smętna bryła niknąca w kałuży kolorowej cieczy.

Wyrwałem nogę z nagle osłabłego uścisku Earle'a i pobiegłem ku drzwiom. Namalowana na nich przewodzączka zwracała się do mnie plecami, unosząc jedną rękę ku niewidocznej ciężarówce po drugiej stronie. Otworzyłem bez zastanowienia drzwi i wybiegłem na korytarz.

Znaczek Earle'a zgasł. Schowałem go do kieszeni i nadziałem się na pięść czwartego Rajcy, tego, który czekał przy samochodzie. Cios nie był szczególnie silny i mężczyzna nie bardzo wiedział, co zrobić, gdy już go zadał, ale i tak zatoczyliśmy się na ścianę, unieśliśmy odruchowo ręce i warknęliśmy gniewnie, uderzając impulsem zaczerpniętej ze ścian i sufitu elektryczności prosto w

pierś napastnika. Wstrząs cisnął nim o poręcz, która pękła z sykiem, gdy prąd spłynął po metalowych poprzeczkach.

Znowu rzuciłem się do ucieczki, potykając się na schodach. Wyciągałem przed siebie rękę w półmroku w poszukiwaniu oparcia. Drzwi były otwarte. Czarne samochody Rajców warczały pod nimi. Rozejrzałem się w poszukiwaniu drugiego wyjścia, ale nigdzie go nie znalazłem. Zacząłem walić w drzwi mieszkania na parterze, aż otworzył mi jakiś dżentelmen o poważnym wyglądzie i imponującej brodzie, odziany w szlafrok w kratę.

- W czym mogę... - zaczął.

Otworzyłem drzwi kopniakiem, nim zdążył dokończyć zdanie, wpadłem do mieszkania, przebiegłem przez korytarz pełen obrazów przedstawiających martwe ryby i poważnych przodków - czasami na tym samym płótnie - i znalazłem kuchnię. Okno było za małe, a w dodatku blokował je wyciąg. Potem dotarłem do sypialni. Kobieta odziana w stanowczo zbyt skąpą koronkową koszulkę, przeznaczoną dla kogoś młodszego o dwadzieścia lat i lżejszego o pięć kamieni, zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy. To nie było moje zmartwienie. Na drugim końcu sypialni było okno, wychodzące na mały, brukowany zaułek, pełen puszek na śmieci oraz miejsc do parkowania umieszczonych pod niewiarygodnymi kątami. Wyczołgałem się przez okno i zasunąłem je za sobą. Kobieta nie przestawała się drzeć, jakby sądziła, że mam siłę lub ochotę.

Z zaułka było tylko jedno wyjście, prowadzące na ulicę pełną drogich samochodów, dla których było tu za mało miejsca. Nie widziałem żadnych Rajców ani nie słyszałem syren.

Dobiegłem do rogu, gdzie znalazłem sieć przejść dla pieszych i świateł ulicznych. Czarne taksówki i samochody dostawcze mknęły obojętnie we wszystkie strony. Zwolniłem kroku, kryjąc się na cienistym skraju prywatnego ogrodu. Szedłem przed siebie, przez pewien czas trzymając się cieni. Idący człowiek nie przyciąga tyle zainteresowania, co biegnący, i niekiedy może dotrzeć na miejsce szybciej. Choć czaszkę wypełniał mi pulsujący ból, posuwałem się naprzód niespieszonym, pewnym krokiem każdego dobrego londyńczyka.

Nawet jeśli człowiek nie ma pojęcia, dokąd idzie, powinien sprawiać wrażenie, że świetnie to wie. Po tym właśnie odróżnia się tubylców od obcych.

Byłem w Bayswater. Zważywszy wszystko razem, to maleńki obszar wielkiego miasta, wciśnięty między szerokie ulice, ale ma własny, niepowtarzalny charakter. Ktoś, kto nie przyglądał się zbyt uważnie, na widok wspaniałych domów o białych tarasach mógłby pomyśleć, że mieszka tu klasa wyższa. Bardziej wścibski obserwator dostrzeże jednak pęknięte szyby w oknach zasłoniętych wystrzępionymi, brudnymi od herbaty szmatami, kilkanaście dzwonek przy jednych drzwiach, komunalne mieszkanie jakiejś staruszki wciśnięte między odnowione rezydencje o zajętych przez sublokatorów piwnicach. W

Londynie żadna okolica nie ma jednolitego charakteru. Mijałem graffiti w kilkunastu różnych językach, wliczając długie, płynne linie arabskiego alfabetu, najróżniejsze nazwy i gryzmoły.

RIDAMMI IL CAPELLO

Albo:

POPIERAJCIE REWOLUCJĘ FRANCUSKĄ

Albo:

SuPaSTARz.

Były tam też inne slogany i przekazy, pozbawione sensu dla wszystkich, poza jedną osobą, która już znała ich znaczenie. Owe tajemnicze bazgroły namalowane na nagich ścianach albo na skrzynkach pocztowych miały w sobie coś, co budziło nasz niepokój.

Czarodzieje od dawna wiedzieli, że opłaca się znaczyć swój teren - już od czasów, gdy pierwszy druid pomyślał, że ciekawie by było wyciąć gwiazdę w korze drzewa i przekonać się, czy zaświeci. Pomyślałem o panu Earle'u. Rajcy interesowali się tylko ważnymi sprawami.

Pozorna godność Bayswater ustąpiła miejsca nieustannie się zmieniającym budynkom przy Edgware Road. Biurowce i podziemne parkingi; palmy w donicach z fałszywej terakoty pod suwanymi szklanymi drzwiami, bary kawowe i wszystko co arabskie. Co drugi szyld miał napis w eleganckim, krętym arabskim piśmie, biegnący od prawej ku lewej nad angielskim tłumaczeniem, czytany w przeciwnym kierunku. Olbrzymie okna pełne dywanów, fajki wodne i wyściełane meble; samochody mknące ruchliwą ulicą, mężczyźni w jedwabnych garniturach idący przed kobietami trzymającymi ciemnookie dzieci i wycierającymi im nosy jednorazowymi chusteczkami z połączonych pudełek. Na Edgware Road władzę sprawowały gotówka i konsumpcyjny tryb życia. Było tu pełno ludzi, samochodów, kamer ulicznych, restauracji, klubów oraz otwartych do drugiej w nocy sklepów oferujących rachatlukum i podpłomyki.

Co ważniejsze, było tutaj też metro.

* * *

Na Edgware Road są dwie stacje. By dotrzeć z jednej na drugą, trzeba przejechać cztery przystanki i przesiąść się na inną linię. Natomiast, by pokonać tę drogę piechotą, wystarczy przejść pod małym wiaduktem. Skierowałem się na większą ze stacji, wsunąłem bilet do otworu i zszedłem na pierwszy peron, który przyciągnął moją uwagę. Kierunek nie miał dla mnie znaczenia. Osunąłem się na ławkę, przyciskając do piersi poparzoną dłoń i grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu środków przeciwbólowych. Obok stał automat oferujący wulkanicznie czystą, organicznie oczyszczaną, kochaną, schłodzoną, dopieszczoną wodę w cenie 2,50 funta za butelkę albo kartonowe opakowanie nasyconego cukrem i środkami chemicznymi soku owocowego za sześćdziesiąt pensów. Połknąłem tabletki, popijając je przez słomkę ulepkim o smaku czarnych porzeczek. Potem udałem się do drugiego automatu, który po paru kopniakach wydał mi czekoladę.

Na przeciwległym peronie zatrzymał się pociąg. Twierdził, że jedzie do Barking, ale po przybyciu po prostu stał sobie na stacji, warcząc i postukując. Nie raczył nawet zamknąć drzwi. Nieliczni

pasażerowie siedzieli spokojnie. Nie sprawiali wrażenia zaskoczonych.

Na tablicy nad moją ławką pojawiła się zapowiedź, że wkrótce zjawi się pociąg zmierzający Circle Line na wschód. Nie podano jednak czasu jego przybycia. Jeśli londyńskie metro nie informuje o czasie przybycia pociągu, można bezpiecznie założyć, że wiadomości są złe. Czekałem cierpliwie, siorbiąc owocową słodycz. Po drugiej stronie torów jakiś śmiały grafficiarz, nieobawiający się porażenia prądem, napisał:

GEEF ME MIJN HOED TERUG.

Moje myśli, które zostały z tyłu, gdy reszta tego, co składało się na mnie, postanowiła uciekać, wróciły wreszcie na opuszczone miejsce w mózgu. Rozkładały teraz interes, eksponowały towary, domagając się raportu w sprawie zdrowia i bezpieczeństwa.

Earle powiedział: Nocny Burmistrz.

To samo w sobie było niepokojące, on jednak posunął się dalej: Nocny Burmistrz nie żyje.

A Rajcy uważali, że to ja go zabiłem.

Choć nie było to prawdą, mogło wystarczyć jako usprawiedliwienie naszej egzekucji.

Faktycznie zaatakowano nas o drugiej dwadzieścia pięć, a oni powiedzieli, że Burmistrz zginął o drugiej dwadzieścia sześć. Dlaczego mieliby kłamać?

Zakładając, że Burmistrz rzeczywiście istnieje.

I że naprawdę zginął.

Pojechałem Circle Line, na stacji Baker Street przesiadłem się na Bakerioo Line i dotarłem do Oxford Circus, skąd pojechałem Central Line do stacji Bank i londyńskiego City.

Do starego miasta, Złotej Mili. Terenów łowieckich Rajców i domu Nocnego Burmistrza.

Część 1

Nocny Burmistrz

*W której omawia się naturę telefonów,
nawiązuje połączenie, demaskuje kłótnię
i przekazuje tytuł zaskoczonemu spadkobiercy.*

Oto historia burmistrzów londyńskiego City.

Raz do roku, w zazwyczaj zimny i często deszczowy listopadowy poranek, ciężki powóz, pełen niegustownych złocień i miękkich aksamitów, wytacza się z miejsca spoczynku w Guildhall, w sercu Corporation of London, najstarszej gminy miejskiej w Londynie.

Odkurza się go, dodaje dwóch lokajów w białych, obcisłych spodniach i stangreta w wielkim kapeluszu, a potem wysyła się go po burmistrza londyńskiego City. Owo indywiduum, odziane w jaskrawoczerwone szaty i noszące na szyi absurdalny łańcuch, przejeżdża następnie przez centrum miasta, składa pewną liczbę przysiąg, ściska mnóstwo rąk i uczestniczy w ogólnej zabawie dla dobra miasta. Ludgate Circus i Fleet Street wyłączają się z ruchu, by przepuścić orszak. Cheapside, London Wall i Bank Street również są zamknięte.

Zamiast samochodów poruszają się po nich policjanci, a także turyści i gapie, którzy przyszli obejrzeć paradę. Na ulicach pojawiają się nieproporcjonalnie wielkie platformy, wyglądające jak nadmuchane, a także zespoły taneczne, śpiewający tancerze, żonglerzy i sprzedawcy hot dogów. Zabawa jest dobra, choć nieco pretensjonalna. Po zmierzchu burmistrz wsiada na statek pływający po Tamizie, między Blackfriars a Waterloo Bridge, a z zakotwiczonych pośrodku rzeki barek puszcza się fajerwerki, ufundowane przez wielkie firmy finansowe działające w mieście. Dygnitarze piją szampana na ich pokładach, a gapie, gdy tylko ostatni huk ucichnie nad Oxo Tower, szybko udają się do pubów ukrytych w zaułkach między Fleet Street a Farringdon Road albo za National Theatre, Gabriel's Wharf i Southwark. Ludzie przyjemnie spędzają w nich czas i na resztę roku zapominają o istnieniu burmistrza.

Ten wypełnia tymczasem swe obowiązki, promując finansową dzielnicę miasta i zawierając umowy z firmami takimi, jak KPMG, Merrill Lynch, Price Waterhouse Coopers i inne megality kryjące się w swych szklanych wieżowcach. Uczestniczy w spotkaniach z gubernatorami, komitetami, sekretarzami i rajcami, ściska co tydzień co najmniej sto nowych dłoni, jeździ za granicę na koszt podatnika, by promować cuda Londynu, powarkuje cicho na Greater London Authority i jej burmistrza, uważających Corporation of London za kaprys historii lokalnych rad. Być może w chwilach próżności przypomina sobie, że, formalnie rzecz biorąc, Magna Carta pozwala mu nie wpuścić królowej w obręb starych miejskich murów.

Otwiera muzea, chodzi na przyjęcia, spotyka się z ludźmi dla dobra miasta, a od czasu do czasu zapraszają go na ślub w katedrze św. Pawła albo na herbatkę w Pałacu Buckingham.

Można powiedzieć, że żyje mu się nieźle i spełnia swoje zadanie.

Po upływie roku poprzez tajemnicze machinacje władz City wyłania się nowego burmistrza. Rezydujące tam finansowe olbrzymy zawsze wykazują spore zainteresowanie wynikiem owych wyborów.

Gdy burmistrz londyńskiego City kładzie się spać, na ulice wychodzi Nocny Burmistrz. Podobnie jak jego dzienny odpowiednik, on również musi mieć swój orszak.

Kiedy wypelza z cieni, ma na szyi wielki czarny klucz symbolizujący jego urząd. Tym żelaznym okropieństwem ongiś zamykano bramy miejskich murów. W ręce dzierży czarną laskę, której stukanie o bruk potrafi przywołać do porządku wzburzony tłum, na sobie ma zaś płaszcz tego samego koloru, uszyty z sadzy i całunów ofiar dżumy. Gdy przechodzi obok katedry św. Pawła, posągi ponoć śledzą go wzrokiem. Kiedy zatrzymuje się pod Monumentem, wielki złoty płomień na jego szczycie rozpala się gorejącym ogniem. Gdy idzie wzdłuż starego londyńskiego muru, podążają za nim cienie. Podobnie jak burmistrz londyńskiego City, on również ma swe obowiązki. Jak kruki w Tower, Londyński Kamień, a nawet sama rzeka, broni miasta, czuwa nad nim i osłania je przed... kto wie, przed czym? W

naturze jego obowiązków leży to, że nigdy nie możemy wiedzieć, przed czym nas obronił, ponieważ temu właśnie zapobiegł. Niektórzy teoretycy twierdzą, że Nocny Burmistrz w ogóle nie jest człowiekiem, lecz stworzeniem wyrosłym z kamieni, ożywionym posągiem powstałym z kamieni brukowych i rzecznego mułu. Inni utrzymują, że to po prostu tytuł, jakby tytuły nie miały własnej mocy, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, od jednego starego cwaniaka do drugiego. Jeszcze inni mówią, że Nocny Burmistrz to człowiek, którego duszę pochłonęło miasto - do tego stopnia, że nie pamięta, że ma nogi, lecz widzi oczami gołębi, a oddychając spalinami piętrowych autobusów, znajduje w nich ambrozię. Rajcy są jego sługami - nie ci zwyczajni, którzy chodzą na przyjęcia i ściskają dłonie, towarzysząc burmistrzowi City - ale ci inni Rajcy, dupki z magicznej społeczności, noszący kapelusze na głowach i pistolety za pazuchą. Kiedy miasto śpi, Nocny Burmistrz wędruje jego ulicami, broniąc nas przed różnymi nieprzyjemnymi zagrożeniami.

Jeśli ktoś w to wierzy. Ja dotąd nie wierzyłem.

Nastaly jednak ciekawe czasy.

A to znaczyło, że stoją przede mną dwa poważne problemy: 1. Co mogło być aż tak nieprzyjemne, że sam Nocny Burmistrz (zakładając, że rzeczywiście istnieje) się tym zainteresował?

2. Co mogło być aż tak nieprzyjemne, że dało radę go zabić?

Mój zegarek zatrzymał się o drugiej dwadzieścia pięć, a Burmistrz zginął o drugiej dwadzieścia sześć. Pragnąłem się dowiedzieć dlaczego.

Pan Earle wspominał o raporcie koronera.

Cokolwiek by złego powiedzieć o Rajcach, są doszczętnie zbiurokratyzowani. To oczywiste, że musieli dostać raport koronera, opisujący śmierć ich szefa, Nocnego Burmistrza. Totalnie oczywiste. Raport koronera i rachunek wystawiony za pogrzeb, o ile zostało coś, co można było pochować.

Podziękują za to wszystko uprzejmie, a potem odliczą koszty od podatku.

Dość dobrze wiedziałem, gdzie w Corporation of London można znaleźć koronera.

* * *

Tuż na zachód od Moorgate i na południe od Old Street ciągnie się rozległy szary teren, na który ongiś spadło mnóstwo bomb. Nazwy ulic mówią tu o przeszłości miasta więcej niż architektura i archeologia. London Wall (gdzie kiedyś był stary mur miejski), Bishopsgate (brama dla biskupów), Cheapside (ulica handlowa), Poultry (trasa, którą pędzono kury na targ) i tak dalej. To miejsce nosi nazwę Barbican, pochodzącą od kolejnej bramy dawnego londyńskiego City. Każdy mag, turysta czy zbłąkany wędrowiec powie wam, że to czasoprzestrzenny wir z twardego betonu.

Ktoś najwyraźniej zaprojektował je jako samowystarczalną utopię. Pod wieloma względami tym właśnie jest. W jego sercu znajduje się płytkie, pokryte rzęsą jezioro, w którym czasem brodzi jakaś optymistyczna czapla. Otacza je labirynt domów mieszkalnych, kawiarni, restauracji, teatrów, kin, sal konferencyjnych, galerii sztuki, szkół, kościołów, sal gimnastycznych, bibliotek i ogrodów, połączonych ze sobą chodnikami, mostami, tunelami oraz tajemniczymi, żółtymi liniami zawsze prowadzącymi na dach, nawet jeśli zapewniały, że wskazują drogę do podziemnych parkingów. Szkoła muzyczna przycupnęła za teatrem, którego afisze reklamowały występy japońskich mimów i kubańskich orkiestr ulicznych, kawałek starego, rzymskiego muru rozsypywał się bezgłośnie w prywatnym ogrodzie, a na co drugim balkonie z doniczek smętnie zwisało półżywe geranium, reprezentujące najniższy standard tolerowany przez miejscową radę. Do samotnego, nieco niechlujnego sklepu z artykułami spożywczymi i różnościami prowadziły śliskie schody, pośród wysokich wieżowców, nad wyłożonymi płytkami chodnikami, szalały zaś minitornada, targające nawet najbardziej zadbane fryzury. Można tu było znaleźć wszystko, czego potrzeba do artystycznie uporządkowanego życia klasy średniej, a co za tym idzie, również do spokojnej, niestwarzającej problemów śmierci. Biuro koronera było wciśnięte w róg na końcu mostu nad biegnącą jakieś trzydzieści stóp w dół ulicą.

Trudno było ocenić, co o tym sądzą miejscowi mieszkańcy. Podejrzewaliśmy, że traktują je podobnie jak przeciętny przechodzień żebraka: widzą je, zauważają jego istnienie, a potem, celowo, z całą uwagą i uprzejmością, je ignorują, po chwili zaś o nim zapominają.

Właściwie trudno było uwierzyć, że szyldu z napisem „koroner” nie umieścił tu jakiś dowcipniś ze skłonnością do czarnego humoru.

Wiatr szarpał moim płaszczem, a w obandażowanej dłoni czułem pulsujący ból.

Podszedłem do małych niebieskich drzwi ukrytych za rogiem i zadzwoniłem.

Nic się nie wydarzyło.

Zadzwoniłem po raz drugi.

Za wzmocnioną siatką drucianą szybą pojawił się strażnik. Z wyglądu przypominał

wielu ochroniarzy w mieście: zbliżający się do pięćdziesiątki, krótko ostrzyżone, siwiejące włosy, ciemny uniform, czarne radio, buty na wysoki połysk, skóra koloru dobrze wypalanej kawy. Otworzył drzwi, ale nie wpuścił mnie do środka. Trudno wzbudzać zaufanie, kiedy człowiek wygląda jak Michelin Man na głodowej diecie.

- Szuka pan kogoś? - zapytał.

Obejrzałem go od stóp do głów. Wyglądał na zasadniczego faceta, co z pewnością mnie nie ucieszyło.

- Czy nocą przywieziono tu ciało? - zapytałem. - Gdzieś po drugiej?

- Musiałbym sprawdzić w rejestrze. Pan jest z rodziny?

Łatwa odpowiedź brzmiałaby „tak”, ale to nieuchronnie prowadziło do pytania

„jakiego nazwiska pan szuka”. Nie miałem pojęcia, jak się nazywał Nocny Burmistrz. Całe to zamieszanie sprawiło, że poznałem tylko jego tytuł, nic więcej.

- Nie - odpowiedziałem.

- A czy mogę zapytać, dlaczego to pana interesuje?

Tym razem najbardziej oczywistą odpowiedzią byłby „dziennikarz”, to jednak z pewnością nie przysporzyłoby mi sympatii. „Policjant” wymagałby okazania dokumentów, a

„przyjacielowi” strażnik uprzejmie kazałby wracać do domu.

- W nocy ktoś nas zaatakował - oznajmiliśmy. - Na minutę przed śmiercią człowieka leżącego w waszej kostnicy. Nic nam nie wiadomo o żadnym związku łączącym te wydarzenia, ale pewni ludzie uważają, że taki związek może istnieć. Dopóki się nie dowiemy, na czym on polega i dlaczego zginął ów człowiek, nie przestaną nas ścigać i atakować. Mogą nawet nas zabić, a choć ten świat jest paskudny, nie chcemy się z nim rozstawać za cały ogień w przewodach. Proszę, czy pozwoli nam pan obejrzeć ciało?

Ochroniarz zamrugał ze zdumienia.

- Słucham? - mruknął pozbawionym wyrazu głosem.

- Wystarczy mi kilka minut.

- Że co?

Siła szczerości zdała mi się na nic.

- Mógłby pan zawołać kolegę - dodałem.

- Jestem tu sam... - wymamrotał i przerwał nagle, uświadomiwszy sobie swój błąd.

Wyciągnąłem prawą rękę i złapałem go za kark, lewą dłoń wepchnąłem wewnętrzną powierzchnią w przerwę między jego brwiami i nacisnąłem mocno. O tej porze magia snu nie sprawia trudności. Noc jest bardzo cicha, kroki brzmią głośno i smętnie, mieszkańcy albo zapadli w najgłębszy sen, albo dręczy ich bezsenność, pali samotność i wyobraźnia, płoną od cieni i dźwięków dziwnie wypaczonych pod nieobecność osłony dziennego zgiełku. Strażnik był nocnym markiem, fascynowały go pogrążone w mroku ulice, uwielbiał chodzić środkiem ulicy, na której za dnia samochody stałyby w długim korku, jeść kebaby kupione o trzeciej nad ranem w podejrzanych sklepikach, obserwować życie tajemniczych ludzi ulicy: czyścicieli, malarzy, pracowników dokonujących napraw, inżynierów oraz pielęgniarek z nocnej zmiany przemykających pośród cieni. Czuł się też jednak znudzony siedzeniem w małym pokoiku nad ulicą, gdzie nie miał nic do roboty poza słuchaniem brzęczenia lampy, i serce biło mu gwałtownie na dźwięk jadącej odległą ulicą ciężarówki.

Uśpienie go okazało się łatwe, łatwiejsze niż się spodziewałem. Wypełniłem jego sny barwą żółtych neonów i odgłosem kroków samotnego nocnego wędrowca. To było proste zaklęcie.

Szczerze mówiąc, trudniej było zawlec go do niewygodnej, ciasnej klitki i posadzić na krześle za biurkiem. Zgasilem wszystkie lampy poza stojącą na blacie i zamknąłem za sobą drzwi od środka. Potem poszedłem na poszukiwania ciała Nocnego Burmistrza.

* * *

Śmierć jako idea budzi w nas trwogę.

Jako doświadczenia, nie polecam jej nikomu. Umysł zapomina o bólu, o fizycznych doznaniach. Ale nie zapomina o przerażeniu.

Zszedłem po schodach do pomieszczenia, w którym pachniało środkiem odkażającym i niczym poza tym. Spodziewałem się ujrzeć szereg szuflad z nierdzewnej stali, opatrzonych karteczkami z nazwiskami właściwych lokatorów, nie było tu jednak nic w tym rodzaju.

Podłogę pokrywały szare, wyszorowane do czysta kafelki, a każdy gość miał własną chłodzącą trumnę. Spojrzałem na karteczki przytwierdzone do metalowych pojemników i przypomniałem sobie, że nie mam pojęcia, jak brzmiało nazwisko Nocnego Burmistrza. O ile w ogóle miał jakieś nazwisko. Zacząłem podnosić wieka trumien. Kobiety ignorowałem, ponieważ pan Earle wspominał, że Nocny Burmistrz był mężczyzną. Cieszyłem się z tego, bo liczba pustych twarzy, które musiałem obejrzeć, zmalała o połowę. Pan Braithwaite miał na piersi trzy szramy, otwierające się ku barkom niczym kwiaty. Potem był pan Wang, o wydętych ustach nadal pokrytych gęstą mazią żółci i wymiotów. I na koniec pan Nair.

Wiedzieliśmy, że to on, gdy tylko ujrzelismy ciało, o ile można je tak nazwać. Ów widok powinien nas przerazić, ale z pana Naira zostały tylko płaty mięsa, jak te, które wiszą na haku u rzeźnika. Trudno było rozpoznać w nim człowieka. Nie zdarto z niego skóry, lecz poprzecinano ją - tysiąc, dziesięć tysięcy razy - maleńkim, cienkim ostrzem. Jej płatki sterczały niczym białe kosmyki, przypominające łańcuchy górskie widoczne z samolotu.

Odsłonięte mięśnie wyglądały jak coś wyjętego z podręcznika medycznego. Były włókniste, lecz zupełnie szare. Krew z nich wypłynęła i przywodziły na myśl żyłaste mięso kurczaka albo wieprzowinę, które najpierw ugotowano, a potem przetarto papierem ściernym. Ten efekt dotknął każdego cała jego ciała. Gdybym nie wiedział lepiej, mógłbym pomyśleć, że to jakaś choroba. Pod czarnymi, przylepionymi do skóry głowy kosmykami włosów również kryły się zmasakrowana skóra i ciało. Cięcia wniknęły nawet do pępka i pod cienkie paznokcie, sprawiające wrażenie zupełnie nienaruszonych.

W filmach ludzie wiedzący, co to moralność, wymiotują na podobny widok. Ja tego nie zrobiłem. To już nie był człowiek. W ciele nikogo nie było. Została tylko wysuszona materia organiczna. Równie dobrze mógłbym się porzygać na widok tofu. Zasułem pokrywę nad czymś, co kiedyś wypuszczało powietrze z ust i za pomocą jego wibracji oznajmiało: „Jestem pan Nair”, i poszedłem poszukać rzeczy zabitego. Trzymano je w starannie zapakowanych pudełkach, przechowywanych w gabinecie koronera. Usiadłem w wielkim obrotowym krześle, zapewniającym wygodną pozycję, i zacząłem przeglądać dobytek zabitego.

Nie było tam laski, łańcucha ani ceremonialnego płaszcza. Nie warto wierzyć opowieściom.

Wszystkie jego ubrania nasiąknęły krwią, każdy ich cal był czerwony. Nie było w nich ani jednego cięcia. Albo atak nastąpił, gdy pan Nair był nagi, albo napastnik pominął strój.

Nie było żadnych kluczy. Zastanawiałem się, czy zabrali je Rajcy. Nie miał puszek z farbą ani żadnych mistycznych artefaktów - biletów travelcard czy innych, mniej znanych rodzajów, scyzoryka, piór gołębia albinosa albo szurzego ogona - nic, co byłbym skłonny uznać za użyteczne dla człowieka zawodowo parającego się magią. Być może Nocny Burmistrz był

ponad takie rzeczy. Znalazłem komórkę, która nie chciała się włączyć. Na ekranie został

krwawy odcisk palca, małe, błyszczące urządzenie o futurystycznym wyglądzie naznaczyły też ślady ognia. Odłożyłem telefon i sięgnąłem po portfel ofiary.

Prawo jazdy głosiło, że jego właściciel nazywa się Nair, Anu, urodził się dnia 07-08-53 w Zjednoczonym Królestwie i mieszka w Londynie, pod adresem 137A New Court, Lincolns Inn. Człowiek spoglądający na mnie ze spokojem z fotografii miał skórę ciepłej barwy czekolady, wydatne kości policzkowe, maleńkie usta i proste, krótko przycięte siwiejące włosy. Próbowałem sobie wyobrazić, że ta twarz należała do Nocnego Burmistrza, ale bez powodzenia. Przerzuciłem resztę zawartości portfela. Była tam tylko jedna karta kredytowa, wystawiona przez bank, którego nazwy nawet nie znałem, ale który z przyjemnością przyznał ekskluzywne złote członkostwo człowiekowi o nazwisku Nair, A.

Najwyraźniej ów bank był sercem i duszą jego finansów. Zabity nie miał kart lojalnościowych z żadnych sklepów ani supermarketów. Być może był człowiekiem, który nie robi zakupów osobiście. Nie znalazłem też pieniędzy ani kwitów, kart z biblioteki albo wypożyczalni filmów, czy innych podobnych odpadów ludzkiego życia, zwykle gromadzących się w portfelach. Była tam tylko jedna wizytówka. Kiedy ją przeczytałem, poczułem ucisk w brzuchu i ugięły się pode mną kolana. D.B. Sinclair. Umieszczono na niej numer telefonu.

Dudley Sinclair. „Zatroskani obywatele”. Człowiek, przy którym stary Orson Welles wyglądałby na chudzielca z klas niższych. Szanowałem go w taki sam sposób, w jaki szanuje się paszczę lwa - z bezpiecznej odległości. Pomógł mi w doprowadzeniu do upadku Bakкера i Wieży. Ja również okazałem się dla niego bardzo użyteczny. Spoglądając wstecz, można powiedzieć, że wykonał dwie części papierowej roboty na moje dziesięć części przelewania krwi. To jednak dowodziło jego inteligencji. Potrafił przekonać innych, by brudzili sobie ręce za niego.

Odłożyłem portfel na bok.

Policyjny raport był krótki, zwięzły, pełen błędów ortograficznych, ale rzeczowy.

Oznajmiał, że o godzinie 2:20 w nocy mieszkańcy Raleigh Court w North Kilburn zadzwonili pod 999, by zameldować, że w ich okolicy doszło do niemal wszystkich wyobrazalnych form zakłócenia porządku publicznego. Szyby pękały, rury gazowe straciły szczelność, prąd w sieci wpadł w szal, telefony dzwoniły, telewizory dymiły, woda gotowała się sama z siebie, i do tego ten zgiełk. Gdy policja ruszyła już w drogę, napłynęły kolejne meldunki, mówiące o krzykach i walce między dwoma uzbrojonymi po zęby mężczyznami. Po dotarciu na miejsce policjanci nie znaleźli jednak nic poza wściekłymi, obudzonymi mieszkańcami, mnóstwem potłuczonego szkła, wyciem samochodowych alarmów oraz obdartym ze skóry ciałem leżącym na ziemi twarzą w dół.

Niezupełnie obdartym ze skóry.

Raport koronera naprawiał ten błąd. Skóry nie zdjęto, lecz przecięto ją od dziesięciu do dwudziestu tysięcy razy ostrzem nie grubszym niż kartka papieru.

Z pewnością jednak nie był to papier, dodał koroner, ponieważ śmierć nastąpiła stosunkowo szybko - atak serca spowodowany szokiem - a, żeby wykonać dziesięć do dwudziestu tysięcy cięć na całym ciele za pomocą kartki papieru, potrzeba by bardzo wiele czasu. Mógł to być jakiś związek chemiczny albo... albo coś w tym rodzaju.

Gdy czytałem raport, przez chwilę poczułem wdzięczność do Rajców. To oni zabrali ciało do kostnicy, by zbadał je ich koroner. Do tej pory sądziłem, że Nocny Burmistrz zginął

na terenie City, tradycyjnej domeny Rajców. Myliłem się. Miałem szczęście. Zabito go w Kilburn.

Ściślej mówiąc, w północnym Kilburn. Willesden leży wszędzie i nigdzie, a Kilburn to gdzieś ukryte wewnątrz tego nigdzie.

Szkoda, że Rajcy zauważyli ten związek.

Zabrałem portfel i kartę wyjętą z telefonu Naira, a całą resztę zostawiłem.

Najbliższym celem, który przychodził mi do głowy, było Lincolns Inn, wydawało się jednak prawdopodobne, że dom pana Naira ktoś obserwuje. Policja, Rajcy, zabójca? Ktoś odważniejszy mógłby uznać, że wczesna noc to świetna pora na konfrontację, nam jednak przychodziło na myśl bardzo niewiele występujących na tej Ziemi stworzeń, które dysponowały mistyczną siłą ognia, potrzebną, by przeciąć człowiekowi skórę pod paznokciami, nie naruszając samych paznokci. I

baliśmy się każdego z nich.

Dlatego postanowiłem poszukać Raleigh Court w North Kilburn.

* * *

Przy Goswell Road przycupnęła kawiarenka internetowa, wciśnięta między pralnię samoobsługową a wielofunkcyjny sklep sprzedający gnijące jarzyny i tanie herbatniki. Była czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak w większości podobnych lokali, komputery przytwierdzono tu kłódkami do biurków, a biurka przyśrubowano do podłogi. Młodzieniec czytający podręcznik przygotowujący do egzaminu dojrzałości i trzymający nogi na biurku przyjął ode mnie dwa funty z wyrazem apatii na twarzy i udostępnił mi komputer na godzinę.

Poza nami w kawiarence było tylko dwoje ludzi: kobieta o skórze przypominającej suszoną śliwkę i głowie gęsto owiniętej pomarańczową tkaniną rozmawiała przez telefon internetowy z kimś, kto mieszkał gdzieś bardzo daleko, gdzie świeciło jeszcze słońce; natomiast mężczyzna o ziemistej cerze wybrał komputer stojący w najdalszym kącie, co o tej porze musiało oznaczać działalność przestępczą lub oglądanie pornografii.

Usiadłem w samym środku szeregu buczących maszyn, dumny z tego, że nie mam nic do ukrycia, i wyszukałem Raleigh Court. Mój przewodnik zawierał informacje o regionie Kilburn, ale gdy chodzi o szczegóły, nic nie zastąpi Internetu. Znalazłem to, czego szukałem -

beżową plamę na żółtej siatce ulic. Ponieważ nikt nie wie wszystkiego, zapytałem jeszcze maszynę, jak tam dojechać. Nie było tam metra, ale nocne autobusy jeżdżące z centrum miasta rozumiały, że ich podstawowym obowiązkiem jest dostarczenie tych, którzy są zbyt pijani, by iść na piechotę, w większość zakątków przedmieść szybko, tanio i bez żadnych pytań.

Potem, ponieważ rzadko zaglądam do sieci, sprawdziłem e-mail.

****PIGULKIPIGULKIPIGULKI!!**** (Od: twodollarpill@wonderdrug.co) Musimy porozmawiać ([Od: Oda77@gmail.co.uk](mailto:Oda77@gmail.co.uk))

Re: éNV> M> BACK Mě GAđ (Od: nieznany)

Pierwszy list skasowałem odruchowo. Gdybyśmy byli w bardziej złośliwym nastroju i nie czulibyśmy się tak zmęczeni, moglibyśmy wysłać w odpowiedzi coś obscenicznego albo przekląć komputer, z którego wysłano wiadomość.

„Musimy porozmawiać” od Ody77 było krótkie i rzeczowe. Tekst wiadomości głosił:
Czarnoksiężniku -

Nocny Burmistrz nie żyje, kruki nie żyją, Kamień zniknął, Mur przeklęto, miasto jest zgubione - jeśli wierzyć bredzeniom niegodziwców.

Oda

W odpowiedzi napisałem:

Odo

Ja też jestem przeklęty. Znajdę cię. Nic nie mów nikomu, bo w przeciwnym razie zabiją mnie, nim ty będziesz miała szansę to zrobić.

Matthew

Nie śpieszyło mi się do spotkania z Odą. Psychopatyczne fanatyczne morderczynie magów z upodobaniem do dentystyki i wypaczonej teologii chrześcijańskiej nie zajmowały wysokiej pozycji na liście osób, którym byłbym skłonny zaufać. Już kilka razy zapowiadała, że mnie zabije za to, że jestem czarnoksiężnikiem, a już szczególnie za to, że jestem plugastwem, które wypełzło z niezgłębionych otchłani przewodów telefonicznych i przybrało postać śmiertelnika. Bóg był jej usprawiedliwieniem, a broń palna jej narzędziem. Gdy tylko przestanę być użyteczny dla niej i dla Zakonu, jej oszalałego na punkcie dentystyki kultu, ta druga zaprowadzi mnie na spotkanie z tym pierwszym. Pomagała mi jedynie dlatego, że bała się moich nieprzyjaciół bardziej niż nienawidziła mnie.

A poza tym ostatnią osobą, która mi pomogła...

...ostatnią osobą...

Była Vera.

Która zamieniła się w kałużę farby.

Nie miałem nawet czasu się nad tym zastanowić.

Byłem zbyt zajęty. Zanadto przeklęty. Za bardzo... za bardzo za bardzo.

Nawet o tym nie pomyślałem.

Wściekły.

Wściekły i zniesmaczony. Jedno mrugnięcie i oto patrzymy na świat parą jaskrawoniebieskich oczu, zimniejszych niż góra lodowa, która zatopiła *Titanica*. Płoniemy od szronu. Jesteśmy wściekli. Ktoś nas zaatakował, poparzył, zaatakował, zranił, zaatakował, uciekł, zaatakował, zaatakował, zaatakował, chciał nas zabić, chciał zabić mnie, zabić moich... ludzi gotowych mi pomóc.

Wściekłość.

Nie wiedziałem, co przedsięwziąć w tej sprawie, coś jednak musiałem zrobić. Dlatego nie zatrzymywałem się, dusząc w sobie wypaczony gniew.

Nie odchodziłem od komputera.

Ostatni list z pewnością oznaczał złe wieści. Każdy rozsądny użytkownik natychmiast by go skasował. My jednak tego nie zrobiliśmy. Być może kierowała nami arogancja wywołana faktem, że siedzieliśmy w kawiarence internetowej i komputer zarażony przez złą wiadomość nie był naszą własnością. A może to była ciekawość, natchnienie, czy może coś zupełnie innego. Tak czy inaczej, otworzyliśmy list, w pełni świadomi, że wieści nie będą dobre.

Tekst brzmiał:

KONIEC TRASY

Monitor zgasł.

Zakląłem.

Pośrodku ekranu pojawił się biały punkcik, który zaczął rosnać. Po chwili stał się białym kołem, a w jego środku pojawiło się drugie, czarne. Ono również rosło, wypełniając biały obszar niemal całkowicie. Nagle wyrosły w nim białe zęby. Ciemność nie była już zwykłą czernią, lecz pustką, bezdenną otchłanią, wiecznym wirem opadającym ku...

...wszystkiemu, niczemu, bezsensownej doskonałości, wolności, śmierci, uwięzieniu, radości, próżni, wybierzcie sobie jedną z tych możliwości, wybierzcie wszystkie jednocześnie...

...wreszcie ciemność wypełniła ekran i nie tylko ekran. Wypełzła na zewnątrz z trzaskiem i stukiem jako biała paszcza o rozwartej, bezdennej gardzieli. Jej kły ociekały syczącymi, wijącymi się robakami ładunków elektrycznych. Sięgała ku mojej twarzy, a dobywający się z paszczy ryk brzmiał jak zawroźnienie wiatraczka, który zaraz się rozleci.

Głodny wirus komputerowy rozwarł szczęki, by zacisnąć je na czaszce śmiertelnika...

...wyrwałem wtyczkę.

Czaszka zniknęła. Szkło posypało się z brzękiem na blat i na moje spodnie, z wnętrza monitora buchnął czarny dym o mdłym zapachu. Oczy zaszyły mi łzami. Machałem bezradnie rękami, próbując rozproszyć opary, kasłałem i mrugałem, odsuwając się jednocześnie od biurka. Studiujący podręcznik młodzieniec zerwał się gwałtownie i zaczął mnie obrzucać przekleństwami w trzech różnych językach.

Potem ujrzał naszą twarz i umilkł.

Opuściłem kawiarenkę. Nikt nie próbował mnie śledzić.

* * *

By dotrzeć na miejsce, potrzebowałem dwóch nocnych autobusów. Choć czekałem na przystanku piętnaście minut, podróż trwała krócej niż za dnia, gdy autobusy kursują co trzy minuty. Mknęliśmy pustymi ulicami, których natury nie sposób było dostrzec w mglistym blasku latarni. Oddychałem ciężkim, ciepłym powietrzem wypełniającym pojazdy, czując woń rozlanego piwa i starych frytek. Jej znajomy nacisk dodawał mi otuchy, wypłukiwał z kości choć część zmęczenia, był eliksirem prawie tak samo dobrym jak sen.

Autobus przeciął Euston Road przy Tottenham Court Road, przemknął południowym skrajem Regent's Parku i ruszył w stronę Marylebone. Na wąskich, schludnych uliczkach nie widziało się sklepów z sieci handlowych. Sprzedawano tu głównie rybę z frytkami, włoskie wina i sery.

Raleigh Court to ładnie brzmiąca nazwa na określenie kiepskiego pomysłu. Nie tyle je wybudowano, ile sklecono ze starych, szarych pudełek po płatkach śniadaniowych, udających bloki mieszkalne. Ustawiono je jedno na drugim, tworząc cztery nagrobki otaczające martwą, wybetonowaną przestrzeń, gdzie było pełno zamkniętych garaży, ale brakowało miejsca do parkowania. Budynki były wystarczająco wysokie, by zasłaniać słońce, lecz za niskie, by można było z nich zobaczyć cokolwiek poza innymi budynkami. To nie było dobre miejsce na śmierć. Anonimowa, zapomniana przez wszystkich dziura. W powietrzu unosiła się wibracja telefonów komórkowych oraz ciasna, stłamszona magia czarnych cieni i małych, grzechoczących nocą przedmiotów. Tego rodzaju moc sprzyja wzywaniu szczurów i przywoływaniu duchów, zakazanym zaklęciom rzucanym przez niedobrych ludzi, dla których życie jest jedynie sztuczką perspektywy. O czwartej nad ranem łatwo tu było przejść nad rozwieszoną przez policję taśmą i ominąć drzemiącego na posterunku gliniarza. Nawierzchnia tłumiła odgłosy moich kroków, a światło latarni omijało moją postać, z chęcią idąc na rękę szaremu przyjacielowi o tej mrocznej godzinie. To miejsce dbało o swoich i płoszyło obcych.

Na budynkach otoczonych policyjnym kordonem pozostały ślady walki. Okna zabezpieczono torbami na śmieci. Szkło wpadło do środka albo już je uprzątnięto. W

przerwach między płytami chodnikowymi pozostały ślady ognia. Płonący gaz pokrył sadzą ściany budynków na wysokość kilku pięter. Kable elektryczne połączono prowizorycznie na nowo, ale przewody telefoniczne zwisały ze ścian budynków, czekając na naprawę. Metalowe okiennice garaży były powyginane, a rozprute torby na śmieci leżały płasko na ziemi. Nie wybuchła tu bomba. Eksplozja nadeszła spod ziemi pod postacią fontanny gazu, sięgającej do wysokości rąk przywołującego ją człowieka. Zrodziła kilkanaście mniejszych gejzerów, które rozbiegły się na wszystkie strony placu, by tam eksplodować.

Opis całej tej katastrofy znajdzie się w jednym z policyjnych raportów, które D.B.

Sinclair i jego „zatroškani obywatele” starannie umieszczali pod literą „W” od „Wydarzenia”

w głębi zamkniętej na kłódkę szafy na dokumenty w centrum wydawania praw jazdy na dzień przed przypadkowym zaproszeniem w nim ognia. Dudley Sinclair i jego przyjaciele świetnie sobie radzą z gubieniem informacji, które pragną ukryć przed wszystkimi. Biurokracja zawsze wydaje się nam niewinna, dopóki nas nie pożre, ale na tym incydencie napisano „wpadka” i

„katastrofa” błyszczącymi mistycznymi literami. Ktoś musiał go zauważyć.

Tak się składało, że ktoś rzeczywiście go zauważył. Pośród walających się po nawierzchni śmieci zauważyłem niedojedzony kebab, a także kawałek wyrzuconej pizzy, obgryzionej aż po otoczkę. Sklep z kebabami znajdował się tuż za rogiem. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę oferowano w nim sproszkowaną tekturę pieczoną na szpikulcu.

Kupiłem dwa kebaby, jeden dla siebie, a drugi dla świadka. Potem wróciłem na Raleigh Court i usiadłem na kołyszających się resztkach spalonej ławki. Zacząłem jeść swój kebab, a drugi położyłem na ziemi u swoich stóp, z sałatką i całą resztą.

Nocne wydarzenia wyraźnie wystraszyły mojego świadka. Wysunął się z ukrycia niepewnym

krokiem, nie zaś typowym dla siebie sprężystym truchtem. Czekałem cierpliwie.

Ocierałem z podbródka keczup i podejrzaną białą maź, wpychając do ust szare, mokre, wystrzępione zielsko, według sprzedawcy mające być sałatą. Lubiliśmy wszystkie potrawy, nawet te, które nie lubiły nas, a o czwartej nad ranem kebab w bułce jest daniem godnym bogów.

Mój świadek podszedł bliżej, węsząc uważnie. Wyciągnąłem do niego rękę o palcach usmarowanych nieprzyjemnym sosem.

- Cześć! - zawołałem. - Chodź do wujka Matthew. Porozmawiaj z nami.

Był wielkości małego psa, jednego z tych, które ujadają irytująco, ponieważ ich postura nie pozwala na porządne szczekanie. W świetle latarni jego sierść miała barwę ciemnopomarańczową, przechodzącą w kasztanową, nos był czarną wilgotną plamą, po jego bokach sterczały wąsiki, a szczęki sprawiały wrażenie zdalnych do odgryzania rąk. Ogon mógł kiedyś być bujny, ale po walkach z pobratymcami oraz starciach ze zdziczałymi kotami i poruszającymi się po drogach pojazdami został z niego tylko wystrzępiony kikut. Higiena osobista nie zajmowała wysokiego miejsca na liście jego priorytetów. Cuchnął błotem, zjełczalym olejem i sfrustrowanym samcem alfa. Kiedy zaczął skubać leżący na ziemi kebab, pogłaskaliśmy go delikatnie po głowie.

Zgodnie z odwieczną tradycją, magowie często trzymają chowańce. W dawnych czasach najpopularniejszymi towarzyszami były sowy albo wilki, ale magia, bardziej niż cokolwiek innego, musi dotrzymywać kroku czasom. Odkąd sięgałem pamięcią, trudno było o lepszy wybór niż lis.

- Czy mogę cię zwać panem Lisem? - zapytałem, drapiąc zwierzę za uszami.

To nie było zbyt pomysłowe imię, ale nie wyraził sprzeciwu.

Pozwoliłem mu spokojnie jeść kebab. Nie wyglądał na niedożywionego i z pewnością był wystarczająco wybredny, by zostawić podwiedłą sałatę. Kiedy skończył, poklepałem dłonią chwiejne deski ławki. Wskoczył na nie, przyglądając mi się z ciekawością. Nie przestawałem głaskać szorstkiej sierści na jego głowie, pozlepianej mazią z puszek na śmieci i zakrzepłą krwią. Po chwili palce przyzwyczały mi się do jej dotyku. Mój towarzysz uspokajał się z każdą chwilą i łatwiej mi było...

mięso zdrapane z talerza brązowy sos ostry ostry na języku w powietrzu zgnilizna coraz silniejsza i zapach

Z mroku nade mną dobiegł łopot skrzydeł gołębia. Czułem pazurki szczurów w podziemnych kanałach, ich nosy poruszały się razem z moim. Nie przestawałem drapać lisa.

Zwierzę szturchnęło mnie w żebra wilgotnym nosem i poczułem...

spaliny z autobusu samochodu motocykla skutera furgonetki ciężarówki wywrotki opadają zawsze opadają w tle brązowa cuchnąca mgła ulic niewidzialna mgła obciążająca powietrze

odświeżacz powietrza otwarte okno chemiczne ukąszenie w płucach detergent pieniący się w

ścieku

żel pod prysznic wypełniający odpływ

gumowe podeszwy dotykające nawierzchni

stara krew

świeża krew

- Mów, panie Lisie - mruknęliśmy. - Pokaż nam, co wywęszyłeś ostatniej nocy.

smak zdrapanego tłuszczu i rzadkiej krwi skapującej z zamrożonego mięsa kurze płyny blade i zostawione na talerzu olej słonecznikowy w wilgotnych frytkach wyrzucony groch wczorajsze zbrązowiałe purée czarna pleśń rosnąca na wierzchu robak robak w puszkach robak w mięsie robak śpiący w zimnie zawsze robak wgryzający się w mięso tłuste białe ciało trzask -

Mów dalej, panie Lisie - zabrzmiał głos, który mógł być naszym. - Mów dalej...

zapach krwi. świeżej, nic nigdy świeża świeża krew świeża świeża czysta świeża czysta krew na brudnej powierzchni splukiwana przez wirujące wodne koła zostawiające ładniejsze kręgi na brudnym betonie świeża czysta krew gorąca

- Mów dalej, panie Lisie...

Głos brzmiał, jakby dobiegał z odległości tysiąca mil, przez kiepskie połączenie telefoniczne.

ludzka krew nie strach nie ludzki strach grom błyskawica rzadkie rzeczy nie ludzkie pospolite ludzkie pospolite samochód ciężarówka wywrotka autobus motocykl skuter ludzkie pospolite ludzka krew - nie pospolita strach smród krwi, srebrna lanca powąchać, oczy wytrzeszczone, mózg płacze, ludzka krew i

To było to. Czuliśmy zapach jego wspomnień, widzieliśmy ich smród na własne oczy, jego brzęczenie wypełniało nam uszy, to było to, wszystko, co widział mój bezcenny świadek o brudnym futrze...

ludzki mężczyzna stoi pośród nocy. patrzy na coś gdzieś oczy zwrócone ku górze nie widzi mnie w ciemności nie obchodzę go nie boję się człowiek człowiek... płonie ciepłym czerwonym ogniem, czuję zapach szczura, szczury też patrzą szczury na dole czuję śmierdzącego szczura martwy szczur w pysku szczury na dole też patrzą na człowieka gołębie na górze pióra włożące w zęby gołębie też patrzą i my patrzymy na człowieka bo...

...człowiek nie jest człowiekiem...

...ciało ukrywające ciało jak twoje

zapach... alkoholu zmieszany z wonią kwiatów (KWIATÓW!), jedwab złagodzony mydlami czarna

skóra pociągnięta pastą garnitur głaskany parą włosy smarowane żelam twarz pieszczona kremem pachnie rzadszym dymem to wciąż miasto ale gdzieś gdzie samochody nie jeżdżą tak często izolowane zamknięte skórzane siedzenia i wewnątrz samochodu solidne masywne gorące ciężkie dotyka klamki pot pot sływa po plecach pot na głowie słuchaj! słuchaj serce słuchaj! czuj strach! jedz strach!

- Brawo, panie Lisie. Brawo...

Tysiąc mil stąd ręka głaszcząca lisa była połączona z mózgiem, który mógł należeć do nas. Czuliśmy zapach strachu Naira, mieszący się z wonią drogiego płynu po goleniu i żelu do włosów. Czuliśmy smród jego przerażenia i słyszeliśmy bicie jego serca.

- Co jeszcze, panie Lisie? - wyszeptaliśmy. - Dobry pan Lis, mów dalej... co jeszcze?

Pokaż mi, co jeszcze wywęszyłeś.

ciało ukrywające ciało, człowiek który nie jest tylko człowiekiem pachnie jak...

ktoś inny!

uciekajuciekajuciekajuciekaj gęsta głęboka noc

ktoś inny ktoś inny pachnie...

- Czym pachnie, panie Lisie? Pokaż mi!

niczym, stoi tam stworzenie które nie pachnie niczym, pusta nicość poruszająca się jak żywa istota i żywa istota reaguje na nią, boi się jej mimo że nie ma zapachu, to nie jest żywe nie może być żywe nie ma serca nie ma krwi nie ma zapachu ale to człowiek oczy widzą człowieka oczy widzą nogi ręce głowę

- I co jeszcze?

oczy widzą nogi ręce głowę włosy nos usta skórę

- Jak on wygląda?

nie ma zapachu. człowiek pachnący żelam do włosów wydaje dźwięk skierowany do człowieka który nie pachnie niczym dźwięk dźwięk dźwięk dźwięk dźwięk to ryk dźwięk to krzyk dźwięk to wrzask dźwięk to grom dźwięk to śwąd spalenizny ale nie uciekam szczury uciekają! szczury uciekają i gołębie odlatują odlatują od ognia spalenizny i krzyków i chcą uciec chcą uciec nie ma dokąd uciec szczury pod ziemią gołębie w powietrzu zapach spalenizny i krzyków i serca i przerażenia i strachu i...

Ale to tylko strach Naira.

...czujemy tylko zapach strachu Naira...

nie pachnie nie pachnie nie pachnie unosi ręce i niczym nie pachnie i człowiek krzyczy i nie pachnie unosi ręce i człowiek krzyczy krzyczy krzyczy krzyczy i czujemy zapach...

Czujemy zapach...

krwi świeżej krwi ludzkiej krwi krew na nosie krew na betonie krew na ziemi Widzimy...

człowiek człowiek na ziemi mniej człowiek mniej człowiek krzyczy mniej człowiek mięso krzyczy krzyczy krzyczy i

Czy trzymał coś w ręce?

plastik elektryczny plastik

Co było w ręce Naira?

ciało się rozszczepia, ciało się rozszczepia, twarz się rozszczepia oczy się rozszczepiają krew ludzka krew krzyk twarz ciało krzyk Coś w ręce uniesionej do ucha...

nie ucha nie ucha krwawiącego ciała krzyk krew

Wiedziałem, co to było. Poznałem ów plastikowy przedmiot nawet w splątanych wspomnieniach lisa, widziałem jego kształt, widziałem krwawiące pozostałości ust Naira *krew krew krew krew krew strach*

mówiące do niego. Poznałem go, widziałem, jak zmasakrowany, krwawiący Nair w swym ostatnim tchnieniu przemawia do telefonu komórkowego.

Nie żyje.

Tak po prostu. Zaglądaliśmy, ja, my i lis w mgiełkę pełnych przerażenia wspomnień zwierzęcia i widzieliśmy ciało Naira, rozszarpane mięso w eleganckim czarnym garniturze z jedwabiu, leżące w kałuży krwi. Telefon komórkowy był ostatnim, czego dotknęły krwawiące, poszatkowane resztki jego palców. A potem, ponieważ lis wreszcie spojrział, wreszcie ośmielił się spojrzeć, zobaczyliśmy człowieka, który zabił A. Naira, Nocnego Burmistrza.

Zwierzę miało rację. Stuprocentową rację. Widzieliśmy mężczyznę w szykownym garniturze w prążki, zupełnie nietkniętego przez dopalający się jeszcze w puszkach na śmieci ogień, leżące na ziemi kawałki szkła, kołyszące się kable, sypiące się nadal elektryczne skry, przez strącone na ziemię anteny, pogięte metalowe klapy, rozbite cegły i płyty chodnikowe.

Nic z tego nawet go nie drasnęło. Spodnie miał nienagannie wyprasowane od pasa aż po kostki, a czarne skórzane buty stukały o nawierzchnię przy każdym kroku. Pod marynarką w prążki miał białą koszulę o sztywnym czystym kołnierzyku. Z kieszeni wystawała biała jedwabna chustka. Rzadkie, ciemne włosy zaczesał do tyłu. Prezentował się nieskazitelnie, od wysokiego, bladego czoła aż do stóp. Jego twarz miała wyraz...

nie pachnie

...z jakim zapracowany hydraulik mógłby się przyglądać piecykowi gazowemu, który kosztował go więcej trudu niż to warte, ale w końcu udało się go naprawić. To była triumfalna pogarda eksperta, który dowiódł bezmyślnej maszynie swej wartości.

I nie miał żadnego zapachu. Dla obserwującego incydent lisa Nair od samego początku pachniał drogimi środkami kosmetycznymi i płynami po goleniu, a także strachem i przerażeniem. Jego buty miały własny zapach. Ubranie również. Każdy element wnosił do mieszanki swój własny ton. Ale człowiek, który go zabił, czy raczej wyglądające jak człowiek stworzenie w garniturze w prążki, stojące teraz nad ciałem z całkowitą obojętnością na własny triumf i los ofiary, nie miało żadnego zapachu. Żadna jego część nie pachniała niczym, nawet czystością. Dla lisa cały był chodzącą pustką, nawet ziemia na jego butach.

Jego serce było bezgłośnie, i poza faktem, że przed chwilą zabił człowieka, nie było żadnego dowodu na to, że w ogóle żyje.

A potem spojrział na lisa. Stworzenie omal nie spadło z ławki pod wpływem przerażenia, które nagle wypełniło wszystkie jego nerwy. To było bardzo silne uczucie, niezachwiana, zwierzęca pewność, że musi uciekać albo zginie. Zwialiśmy, my i lis, pędziliśmy przez noc, a wszystkie włoski na grzbiecie stanęły nam dęba. Biegliśmy, aż rozboleły nas łapy, kręgosłup zaczął protestować, a głowa stała się bezwładnym ciężarem opadającym ku ziemi. Nie czuliśmy zapachu niczego poza własnym strachem. Biegliśmy, biegliśmy i biegliśmy.

Przerażenie rozproszyło czar. Nasz strach, czy strach zwierzęcia, nie potrafiliśmy ich odróżnić. Lis zwinął się w drżący futrzany kłębek obok nas, a my nie byliśmy w wiele lepszym stanie. Całe nasze ciało dygotało od wspólnie przeżytego wspomnienia. Bolała nas głowa, bolały mięśnie, bolały łapy, choć przecież nie mieliśmy łap, a nade wszystko czuliśmy straszliwy, palący ogień, trawiący naszą prawą, zabandażowaną dłoń. Odwróciliśmy ją, by się jej przyjrzeć, ściągnęliśmy czarną rękawiczkę o jednym palcu i zauważyliśmy, że przez białą bawełnę przesącza się krew.

Sięgnąłem do torby po tabletki przeciwbólowe i połknąłem trzy na raz. Potem mruknąłem coś pozbawionego znaczenia, by uspokoić drżącego lisa. Próbowałem wydobyć z jego bezładnych myśli spójne obrazy: skupić się na Nairze i na jego zabójcy. Pomyślałem, że Rajcy z pewnością nie będą zachwyceni, jeśli przedstawię miejskiego śmieciożercę jako wiarygodnego świadka na potwierdzenie słów: „To nie byłem ja, chłopaki. Ja tego nie zrobiłem”.

Niemniej zauważyłem coś w twarzy zabójcy Naira. Już przedtem bałem się tej pozbawionej zapachu istoty w garniturze w prążki, ale teraz byłem wręcz przerażony. Nikt nie chodzi po Ziemi, nie mając zapachu ani pulsu, chyba że nie skonstruowano go z myślą o tych terenach spacerowych. Co więcej, nawet jeśli to się nam nie podobało, nadal wiązały nas prawa obowiązujące mieszkańców tego świata. A zabójcy nie.

Pogłaskałem lisa, znajdując pocieszenie w ciepłe jego ciała i cierpliwym towarzystwie. Zwierzę przysunęło się bliżej i pogłaskałem je znowu.

- Widzisz, panie Lisie - westchnęliśmy. - Widzisz, panie Lisie - powtórzyliśmy, bo nie przychodziło nam do głowy nic pocieszającego.

Siedzieliśmy na ławce przez długi czas. Moglibyśmy tam zostać jeszcze dłużej, gdyby nie ogień płonący w naszej dłoni. Lis drżał i skomlał, ale z czasem drżenie przeszło w miarowy oddech, a ten w spokojny sen. Zwierzę powoli zapominało o wszystkim, co widziało. Ale my o tym pamiętaliśmy.

Musieliśmy...

...coś zrobić.

Ale nie wiedzieliśmy co.

Zadzwonił telefon.

Odebraliśmy go.

Zjawily się widma.

A po nich Rajcy.

A Nocny Burmistrz postradał życie.

A w chwili, gdy ginął z rąk czegoś, co potrafiło obedrzeć człowieka ze skóry, nawet go nie dotykając, co zabijało dziesięcioma tysiącami papierowych cięć, skorzystał z komórki.

Sięgnąłem do torby. Miałem kartę SIM wyrwaną z telefonu Naira. Nie wyglądała na uszkodzoną, ale co właściwie można wyczytać z kawałka plastiku i silikonu? Włożyłem ją do kieszeni płaszcza, podsunąłem lisowi resztki swojego kebaba i wstałem.

Nie mogłem zrobić zbyt wiele.

* * *

Zimą wschód i zachód słońca nadchodzą niepostrzeżenie. Można zauważyć początki brzasku czy zapadającego zmierzchu albo przesuwające się cienie, ale chwila, gdy słońce przekracza linię horyzontu w jedną albo w drugą stronę, zawsze niknie gdzieś za budynkami, gdy jesteśmy zajęci rozmową. Wystarczy mrugnąć, żeby ją przeoczyć. Ziemia obraca się za szybko, by czekać na naszą uwagę.

Siedzieliśmy na ławce na Primrose Hill, patrząc na wschód słońca. Trawę pokrywał

szron, który zniknie, nim zjawią się poranni biegacze. Ciepło dnia przegna też martwość z gałęzi drzew, pozwalając im kołysać się na chłodnym wietrze. W Londynie wystarczy oddalić się kilkaset jardów od ulic, by cały miejski zgiełk brzmiał tak, jakby dobiegał z odległości tysiąca mil, upodobił się do szumu wiatru owiewającego mur odległego zamku. Ciemność, zabarwiona na żółtopomarańczoworóżowo przez lunę tysiąca tysięcy ulicznych świateł, ciągnęła się daleko jak

okiem sięgnąć. Najbardziej charakterystycznym obiektem miasta nowoczesna technika nadała rozmaite kolory. Londyńskie Oko było odległą, fioletową plamą, Big Ben był pomarańczowy, Gherkin zielono-czarny, NatWest Tower wieńczył kwadrat ciemnego, intensywnego szkarłatu, Canary Wharf zaś spowijało srebro, rzadkie obłoki i para gromadząca się u szczytu, gdzie rozbłyskiwały czerwone światełka ostrzegające samoloty. St Pancras, gotycka wieża z jasnoniebieskim łukiem, od którego odchodzi szeroka wiązka srebrnych kolejowych węzów; trzy wieżowce Barbicanu, rozświetlona kolumna BT Tower, ciągnące się daleko we wszystkie strony dachy Soho i Great Portland Street, widoczna z profilu bryła Centre Point, gdzie nie tak dawno dobrzy ludzie, źli ludzie i większość tych, którzy byli pośrodku, zginęła w walce na najwyższym piętrze. To była noc upadku Wieży, noc śmierci Bakkerera i Dany Mikedy...

...Dany Mikedy, która zginęła za szybko, bym mógł jej powiedzieć „przepraszam”...

...to był budynek Centre Point. Odwróciliśmy od niego wzrok.

Zakorkowana arteria Euston Road, pełna zwróconych ze wschodu na zachód reflektorów, łagodny stok North Downs na samej granicy pola widzenia, linia mroczniejszej ciemności widoczna na tle nieba tam, gdzie kończyło się światło latarni i zaczynała się prawdziwa noc, solidna, przerażająca noc, która miażdży wyobraźnię, czyniąc z niej maleńki punkcik ciemności, nie pozostawia miejsca na rozciągnięte cienie spotykane na ulicach. To był początek końca miasta.

Brzask był punktem jasnej szarości widocznym na wschodnim skraju mroku. Wyłaniał

się z ujścia Tamizy, sięgając ku miastu. Nie wyglądał jak linia światła, lecz raczej jak cienista mgielka rozpraszająca ciemność. Górny brzeg słonecznej tarczy był tylko maleńką plamką drżącej bieli, zagubioną we mgle wczesnoporannych chmur. Żadna część miasta nie była jaśniejsza od innej. Czarne ulice jednocześnie dzieliły się na fragmenty, okazywały się pasmami ciemnej szarości poprzesywanymi przez inne drogi lub urozmaiconymi zmianami w stylu budynków. Potem szarość przechodziła w posępny błękit, pozwalający zobaczyć różnicę między anteną satelitarną a wylotem przewodu wentylacyjnego, ukazujący szczegóły dachów śródmiejskich budynków, wzniesione ku niebu kominy oraz dachówki. Później dachówki zyskały teksturę, a latarnie przygasły stopniowo, stając się odbiciem gwiazd w wodzie, nie samymi gwiazdami. Po chwili gwiazdy zaczęły znikać, gdy latarnie gasły jedna po drugiej.

Kiedy odwracałem głowę, omiatając spojrzeniem miasto, za każdym razem widziałem więcej ulic, na których światło mieszało się z ciemnością. Nocne latarnie ustępowały miejsca bladej, zimnej poświacie dnia, która stawała się coraz jaśniejsza. Na wschodnim niebie powiększała się plama błękitu wypełniającego luki między szarymi, wycofującymi się chmurami. Na samym horyzoncie pojawiło się coś, co mogło być jasnym, srebrnobiałym blaskiem słońca. Jego promienie padały z ukosa na ulice, przebijały się przez mgłę kilkanaście razy z rzędu, nim wreszcie przygasły chłodno, jakby to coś zawstydziły własne wysiłki. W końcu jednak zdecydowało się na śmiały skok i oznajmiło wszystkim ważącym się na nie spojrzeć oczom: **WSTAWAĆ, LENIWE SKURCZYBYKI!** Na ulice padły długie cienie.

Ponieważ była zima i przebywaliśmy w Londynie, gdy słońce wreszcie weszło na dobre, wszystkie sklepy były już otwarte i panował w nich intensywny ruch.

Poszedłem odblokować karę SIM z telefonu Naira.

* * *

Tottenham Court Road jest pasem przesadnie drogich, nie do końca legalnych usług wbitym w pracowite handlowe serce Londynu. Na północ od niej znajdują się biurowce przy Euston Road, na wschodzie ciągną się rozległe tereny University College, a jego klinika dominuje nad innymi wspaniałymi budynkami, na zachodzie za zrekonstruowanymi georgiańskimi szeregowcami zaczynają się pełne restauracji uliczki Fitzrovii, na południu zaś jest Oxford Street, zakupowe centrum miasta. Jak wszystkie dobre zakupowe centra zarówno Oxford Street, jak i Tottenham Court Road przyswoiły sobie dwie ważne komercyjne lekcje: 1. Nie wygląd jest najważniejszy, tylko lokalizacja.

2. Jeśli ktoś chce to kupić, sprzedaj mu to.

Ludzie przychodzący na Tottenham Court Road szukali elektroniki i elektronicznego złomu, a przy okazji kupowali też stelaże i kawę.

W rezultacie sklepy komputerowe sprzedające najnowsze, supernowoczesne, ultraszybkie maszyny tylko za tysiąka albo za cyrograf na duszę babci nabywcy były wciśnięte między mieszaninę starych budynków i betonowych bloków, utworzoną z taktem godnym pasażerów z godziny szczytu, śpieszących się na ostatni pociąg przed rozpoczęciem strajku. Głośniki, sprzęt hi-fi, gry, odtwarzacze stereo, meble, telewizory, telefony komórkowe, futony, płyty DVD - wszystko to sąsiadowało ze sobą. Tak wyglądał ład panujący na ulicy. Każdy musiał rywalizować o przemądrzałą klientelę przychodzącą tu w poszukiwaniu lekko podejrzanym, ale pozostających w granicach prawa towarów.

Prawie pozostających w granicach prawa.

Jeśli oddalić się o kilka przecznic od Tottenham Court Road, narastająca mglistość pojęcia prawa zaprowadzi nas do innego rodzaju sklepu z elektroniką, gdzie nie kupuje się kartridża do drukarki za 25 funtów, ale buteleczkę z tuszem i bardzo solidną igłą strzykawkową za jedyne 5, a o patent lepiej nie pytać. Gdzie na wystawie leży mnóstwo twardych dysków po okazjnych cenach, wyczyszczonych przez ostrożnego, w każdym przypadku tego samego, właściciela. Gdzie, jeśli wiesz, do kogo się zwrócić i jesteś skłonny zapłacić gotówką, można reaktywować kartę SIM z cudzego telefonu i włożyć ją do swojego, by poznać jej wszystkie tajemnice.

To nie jest do końca nielegalne.

Nie do końca.

Prawo zawsze miało trudności z nadążaniem za wymogami czasu.

* * *

Sklep, który wybrałem, prowadziło dwóch facetów. Jeden był zupełnie łysy, za to drugi miał tyle włosów, że nosił je w tkany balonie w barwach etiopskiej flagi, tak wielkim, że można by z niego uszyć spódnicę porządnym rozmiarów. Podałem mu kartę SIM i powiedziałem, czego chcę.

Nie zadawał żadnych pytań. Ja też nie.

- Dobra, kolego, przyjdź, powiedzmy za dwadzieścia cztery godziny. Pięćdziesiąt funciaków i dwadzieścia za aparat, tak?

- Zapłacę sto dwadzieścia i przyjdę za dwie godziny.

* * *

W okolicach Tottenham Court Road znajduje się tysiąc różnych miejsc, w których można za niewielką cenę spędzić czas oczekiwania. Związek Studentów Uniwersytetu Londyńskiego ofiarował takie usługi, jak darmowe toalety, jeśli wiedziało się, gdzie szukać, siłownia, jeśli ktoś czuł się winny, a nie przeżył nawrócenia religijnego, cały szereg pubów, a nade wszystko kawiarnie, w których nikt nie będzie zaczepiał faceta o zmęczonym wyglądzie, a cienka kawa nie kosztowała zbyt drogo. Znalazłem sobie ciemny kąt za stołami bilardowymi i zwinąłem się na fotelu, by zasnąć.

Właściwie była to tylko płytką drzemka, ale czas mijał mi szybciej niż na jawie, a moje myśli kłębiły się w hipopowych rytmach mózgu, który wyłączył wszystkie wyższe funkcje i widzi, ale nie może patrzeć.

- Przepraszam? - usłyszałem nagle kobiecy głos.

Obudziłem się bez śladu świadomości, że spałem. Kobieta jednak zjawiała się znikąd, a jej głos był tylko unoszącym się w powietrzu dźwiękiem. Palec, na wierzchu barwy ciemnej czekolady, a pod spodem jasnorożowy, wskazywał na puste opakowanie po kanapce, które ktoś zostawił na sąsiednim fotelu.

- Czy mogę...? - powtórzyła.

- Oczywiście - wymamrotałem, jak nakazuje uprzejmość w chwilach dezorientacji.

Kobieta ostrożnie uniosła papier za róg i wrzuciła go do jaskrawoniebieskiej torby na śmieci. Była sprzątaczką. Miała na sobie matowoszary kombinezon i zostawiła w pobliżu wózek pełen szczotek i plastikowych butelek. Czarne włosy związała sobie w warkoczyki tak mocno przylegające do czaszki, że kręcone loki sterczały z luk między nimi jak zęby grzebienia. Oczy były geometrycznymi ciemnymi owalami osadzonymi w równie owalnej twarzy, której symetrię mącił tylko szeroki nos.

Miała w sobie coś, czego nie potrafiłem określić.

- Cześć - powiedziałem.

Zerknęła na mnie z zaskoczeniem. Być może lekko rozbawił ją widok skacowanego, nieco zbyt dojrzałego studenta drzemającego za stołami bilardowymi.

- Cześć - odparła. - Przepraszam, że pana niepokoję.

- Nie ma sprawy. Dziękuję.

- Za co?

- Za...

Wskazałem potulnie na niebieską torbę i fotel, na którym przed chwilą leżał papier.

Wzruszyła ramionami.

- Taką mam robotę.

Uśmiechnęła się. To był najbardziej niepewny uśmiech, jaki w życiu widziałem -

przypominał drżenie ust dziecka, które się przewróciło i rozbiło sobie kolano, ale próbuje być dzielne. Gapiliśmy się na nią ze zdumieniem. Otworzyliśmy usta, chcąc coś powiedzieć, ale kobieta już sobie poszła. Krzątała się po pomieszczeniu, zbierając butelki po piwie i puszki po coli.

Chwila minęła. Gdybym teraz wstał i poszedł za nią, zmienilibyśmy się z dwojga uprzejmie rozmawiających nieznajomych w ofiarę i prześladowcę. Zostałem na miejscu, obserwując kobietę, aż wreszcie zniknęła mi z oczu.

Miała w sobie coś... ważnego...

Ale nie potrafiłem odgadnąć co.

Może później.

* * *

Za sto dwadzieścia funtów nabyłem ozdobny telefon przeznaczony dla kobiet lubiących zakupy. Na jego widok o mało nie zrezygnowaliśmy z kupna, mimo że miał w plastikowych trzewiach kartę SIM należącą do Naira.

- Na pewno działa? - zapytałem.

- Hej, kolego, pewnie, że działa.

Wręczyłem sprzedawcy gotówkę. W moim portfelu robiło się pusto. Jeśli związek łączący mnie z panem Sinclairem miał jakąś dobrą stronę, z pewnością była nią skrytka pocztowa w Mount Pleasant, pełna dziesięciofuntowych banknotów. Zaglądałem do niej z niechęcią, gdy pragnienie spania w miękkim łóżku stawało się zbyt silne.

Opuściłem sklep, nie wypróbowując telefonu. Znalazłem sobie zaulek z małym placem zabaw, pod ścianą, na której widniał gniewny napis: Białe litery miały trzy stopy wysokości. To był polski, stosunkowo nowy język w mieście.

Telefon włączał się straszliwie powoli. Gdy ekran wreszcie się zapalił, pojawiła się wiadomość witająca w nowej sieci i zachęcająca do cieszenia się różnymi atrakcjami, na które dotąd się nie zapisałem. Skasowałem ją i zacząłem sprawdzać zawartość karty SIM Naira. Nie było tego wiele. Nikt nie przysłał mu SMS-a, a on wysłał tylko jeden, dwie doby temu.

Gdy go przeczytałem, ogarnęła mnie rozpacz. Tekst brzmiał: **Znajdźcie Swifta.**

To było wszystko. Nair był najwyraźniej człowiekiem używającym niewielu słów. Ale za to celnych.

Lista numerów zawierała nieco więcej informacji. Znałem niektóre z tych nazwisk.

Earle, adresat jedyne SMS-a kiedykolwiek wysłanego z tego telefonu; Kemsley; Anissina.

Byli też inni. Czytałem ich nazwiska z narastającym przygnębieniem. Sinclair, kilkoro Białych, w tym również Vera, i oczywiście Bakker.

Robert James Bakker.

Domyślałem się, że Nairowi nie chciało się kasować numerów nieżyjących osób.

Powiedziałem sobie, że to nie powinno mnie dziwić, bo zaledwie kilka miesięcy temu, jeśli ktoś nie utrzymywał kontaktów z Bakkerem, nie mógł w Londynie zajmować się magią.

Dopadły nas mdłości.

Moje zainteresowanie przyciągnęła jeszcze jedna pozycja. Numer zaczynał się standardowo, od 0800, a nazwa brzmiała po prostu „Czarna Taksówka”. Przyglądałem się temu długo i uważnie. Bardzo wiele osób zapisywało w swych telefonach numery firm taksówkowych, z myślą o chwili dekadencji, kiedy późną nocą, lekko ubzdryngoleni, znajdą się daleko od przystanków autobusowych oraz stacji metra, ich wola się złamie i postanowią ulżyć swym portfelom, rujnując się na powrót do domu taksówką. Jednakże, choć większość taksówek w Londynie była czarna, to nie był zwyczajny numer firmy taksówkowej. To była Czarna Taksówka.

Zapisałem sobie tę myśl w pamięci pod „S” jak „Sprawy”. Zastanowię się nad tym później.

Następnie sprawdziłem rozmowy. Nair odebrał tylko jedną. Kilka dni temu dzwonił

do niego Earle. Nie powiedziało mi to nic, czego nie mógłbym się domyślić. Na liście wybranych numerów była tylko jedna pozycja. Zapisano ją o godzinie 2:25 tej nocy, gdy odebrałem telefon.

Zadzwońłem pod ten numer. Moje serce stało się bryłą mięśni, ciężącą mi w piersi.

Sygnał brzmiał jak staromodny dzwonek, jakby ktoś rzeczywiście walił młotkiem w metal. Wcale nie przypominał efektu dźwiękowego. Być może po prostu był bardzo dobrym efektem.

Tingalingalingalinga...

- Słucham? - odpowiedział ktoś bardzo ostrożnym tonem.
- Czy można u państwa umyć samochód? - zapytałem.
- Jasne, że tak. Niech pan przyjedzie, kiedy panu wygodnie.
- A ile to kosztuje?
- Siedem funtów za standardowe mycie, piętnaście za pełne, w środku i na zewnątrz, razem z woskowaniem. To trwa jakieś dwadzieścia pięć minut.
- Mogę przyjechać o dowolnej porze?
- Jasne. Mamy otwarte od ósmej do dwudziestej drugiej.
- A gdzie dokładnie jest wasz zakład?
- W Willesden. Niedaleko od Dudden Hill Lane.
- Tak - westchnąłem. - Znam Dudden Hill Lane. Dziękuję. Trafię.
- Jest pan pewien?
- Jasne. Już tam kiedyś byłem.
- Aha, no to w porządku.
- Do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

Przerwałem połączenie.

No tak...

Niech to szlag.

Mijał czas.

Bardzo wiele czasu.

Ludzie przechodzili obok, ale ja stałem w miejscu. Chyba przez chwilę się śmiałem.

Potem przestałem i zacząłem znowu.

Chciało nam się płakać.

No tak...

Niech to szlag.

* * *

Uciekajuciekajuciekajuciekajuciekajuciekajuciekajuciekaj Przestań.

Uciekajuciekajuciekajuciekajuciekajuciekaj

Przestań. Jestem na to zbyt inteligentny. Stać mnie na więcej. Jesteśmy czymś więcej.

Przestań.

Uciekajuciekajuciekajuciekaj

Tak lepiej?

Dziękuję.

I co teraz?

Poszukamy odpowiedzi. Wszystko mi jedno, kto ich udzieli.

* * *

Znalazłem automat telefoniczny i waliłem w niego tak długo, aż mnie posłuchał.

Potem wykręciłem numer zapisany w telefonie Naira pod hasłem „Earle”.

To był stacjonarny numer zaczynający się od 0207, ulokowany gdzieś w centrum miasta. Nie chciałem korzystać z komórki, na wypadek gdyby Rajcy okazali się magami, którzy rozumieją, że magia i technika naprawdę bardzo pragną się zaprzyjaźnić.

Ktoś odebrał telefon niemal natychmiast, ale nie był to pan Earle. Młody, nerwowy mężczyzna jękał się przy każdej twardej spółgłosce i zacinał co chwila.

- H-Harlun i Phelps. Czym mogę służyć?

- Szukam pana Earle'a - odparłem.

- Przykro mi. P-Pan Earle jest chwilowo nieobecny. Czy m-mogę mu coś przekazać?

- Pewnie tak. Niech pan mu powie, że dzwonił pan Swift. Proszę mu powtórzyć, musi pan to zapamiętać dokładnie, że chyba wiem, kto jest nowym Nocnym Burmistrzem. Niech mu pan też powie, że widziałem twarz człowieka, który zabił pana Naira. Niech mu pan powie, że on niczym nie pachnie. Zapamiętał pan?

- Ż-Ż-Że pan Swift dzwonił do pana Earle'a, wie, kto z-zabił N-Naira i on niczym nie pachnie. Czy to Nair n-n-niczym nie pachnie, czy pan Earle?

- Zaden z nich - odpowiedziałem i odwiesiłem słuchawkę.

* * *

Domyślałem się, kto może być nowym Nocnym Burmistrzem. To była bardzo zła wiadomość, pod wieloma względami.

Nie można zabić idei albo tytułu. Nie tak łatwo. Nair zginął, a jego skórę rozdarło na lepiące się ciała strzępy dziesięć tysięcy papierowych cięć, ale Nocny Burmistrz, legenda i opowieść, obrońca miasta, nie umiera tak szybko. W ogóle nie umiera, dopóki istnieje miasto, którego mógłby bronić. Zginął tylko człowiek. Tylko Nair. Tytuł przeszedł na kogoś innego, a tam, gdzie jest idea, istnieje też kryjąca się za nią moc, choćby nawet nie lubiła przyciągać uwagi.

Ręka mnie bolała. Głowa też, ale ten ból nie był tak ostry i gorący. Płonący pod bandażem ogień tłumiał wszelkie inne sygnały zmysłów, domagając się mojej uwagi.

Zrób ze mnie cień na ścianie, pomyślałem. Daj mi bezpieczne schronienie. Niech się okaże, że to tylko zły pomysł.

Zebraliśmy siły i ruszyliśmy w stronę Lincolns Inn.

* * *

Prawnicy.

Setki i setki prawników.

Zbliżałem się do Lincolns Inn od południa, ciasnym, szarym zaułkiem biegnącym między zakładem fryzjerskim a sklepem z perukami dla adwokatów i szatami dla sędziów.

Trzymałem się blisko ścian i panującego pod nimi mroku, unikając jasnych promieni zimowego słońca, i obserwowałem otaczających mnie ludzi.

Nie potrafiłem pojąć, czym przedstawiciele prawniczej profesji zasłużyli na biura i apartamenty w jednej z najatrakcyjniejszych lokalizacji w Londynie. Wielkie dziedzińce wspaniałych starych domów i ich nowoczesne repliki, o wysokich kominach i grubych dębowych drzwiach, spoglądały na bujne klomby i krótko skoszoną trawę na rozległych kwadratowych trawnikach. Brukowane uliczki biegły pod wysokimi oknami o wielu szybach, za którymi widniały regały pełne oprawnych w skórę tomów, olejne portrety dawno nieżyjących sędziów, biurka eksplodujące od papierów i rzecz jasna sami prawnicy, zajęci pracą lub uczestniczący w pełnych powagi zebraniach.

Stojący w bramie umundurowani strażnicy nadzorowali ruch uliczny; pod łukiem fontanny ogrodnicy w zimowych butach sadzili wiosenne rośliny cebulkowe; w wielkim gotyckim brzuchu głównej sali trwał obiadowy koncert; pod wałącym się średniowiecznym kościołem, pełnym kolumn i mrocznych, nawiedzanych przez echa klatek schodowych o stopniach wytartych przez stulecia użytkowania, przewodnicy opowiadali pełnym zachwytu turystom o mitach i cudach tego starożytnego miejsca. Między tym wszystkim rzecz jasna krążyli kolejni prawnicy, sprawiający wrażenie straszliwie

zajętych.

Wszyscy byli ubrani prawie tak samo: kobiety, zawsze młode, nosiły ciasne kostiumy, zmuszające je do zginania nóg w kolanach, nie w biodrach, oraz buty na umiarkowanie wysokich obcasach - nie nazbyt ekstrawaganckich, ale wystarczających, by mogły dorównać wzrostem mężczyznom. Mężczyźni - na ogół młodzi lub w średnim wieku - mieli na sobie identyczne, ciemne garnitury. Tylko różowa barwa niektórych koszul albo prążki na krawatach pozwalały ich odróżnić od siebie. Najmłodszy pchali przed sobą wielkie wózki wyładowane papierami, najstarsi zaś kroczyli dumnie, okutani w obszerne płaszcze włożone na łańcuchy symbolizujące ich urząd, i jeździli samochodami odpowiednimi dla kogoś dziesięć lat młodszego. Obcych widziało się tu niewielu. Przeważnie byli to studenci idący na skróty do biblioteki - wyróżniali się workowatymi spodniami i rozczochranymi włosami -

albo ludzie z telewizji, szukający „autentycznych” historycznych lokalizacji do najnowszego fabularyzowanego dokumentu.

W powietrzu unosił się zapach skoszonej trawy oraz czasu. Czasu o krawędzi cienkiej jak kartka papieru. W Lincolns Inn krążyły duchy. Muskały palcami powierzchnie starych kamieni, wsadzały nosy w dziury pozostawione przez odłamki bomb, wspinały się na drzewa wyższe niż wieża kościoła czy spiczasty dach głównego budynku, czekając na zachód słońca.

Plakietki z nazwiskami na drzwiach znaczyły nieliczne prywatne mieszkania w budynku zajęтым niemal całkowicie przez biura prawników: tu i tam lord i lady Tacy-to-a-tacy albo generał brygady X, mieszkający trzy numery od sir Jakgotamzwał i uroczej damy Cośtam. Mieszkań w Lincoln's Inn nie można kupić. Nie chodzi tu o pieniądze. O wszystkim decydują czas i tradycja. Dlatego właśnie miało sens to, że Nocny Burmistrz znalazł

schronienie w tych murach.

W jasnym blasku zimowego poranka większość miejsc wygląda pięknie. Lincolns Inn przypominała symbol angielskich dobrych manier zbudowany ze starych cegieł i zwiędziały kamieni. Wszędzie było pełno złotych odbić i słabych cieni niknących w słonecznym blasku.

Kryjąc się w nich, przypomniałem sobie, że za oknami mogą się tu czaić różne nieprzyjemne stworzenia, nie tylko prawniczego rodzaju.

Otuliłem się ciasniej płaszczem. Każdy szanujący się prywatny detektyw z dobrego amerykańskiego thrillera powie wam, że zwykły stary anorak jest w mieście jak farba maskująca. A każdy kompetentny czarnoksiężnik doda, że tylko dwa zaklęcia dzielą taki strój od pełnej niewidzialności.

Wyszedłem w światło słońca i ruszyłem w stronę drzwi spod adresu 137A New Court dziarskim krokiem Ważnej Osoby udającej się w Ważne Miejsce, której nie powinieneś zauważać, bo, szczerze mówiąc, to nie twój interes. Nie było tam taśmy policyjnej ani policjanta. Przy wejściu do klatki schodowej, której szukałem, umieszczono białą drewnianą tablicę, na której czarnymi literami wypisano nazwiska wszystkich, którzy tam mieszkali lub pracowali. Wdrapałem się na drugie piętro pełną ech klatką schodową, trzymając się obandażowaną dłonią czarnej, żelaznej poręczy. Czuję jej

chłód nawet przez warstwy wełny, bawełny i krwi. Na górze znalazłem drzwi, obok których umieszczono mosiężną plakietkę z numerem 137A, powtarzającą informację, że mieszka tu pan A. Nair. Obejrzałem się i upewniłem, że nikt mnie nie śledzi. Nie widziałem tu też żadnej kryjówki. Poszukałem w torbie surowych kluczy, wybrałem ten, który najlepiej pasował, wsunąłem go w zamek i zacząłem go pieścić i szeptać tak długo, aż wreszcie metal przybrał z sykiem właściwy kształt. Otworzyłem drzwi.

I prosto w oczy spojrzał mi łoś.

Jakiego rodzaju człowiek umieszcza naprzeciwko wejściowych drzwi mieszkania wypchaną głowę takiego zwierzaka? Czy poroże miało służyć jako wieszak? Być może psychiatra potrafiłby dopatrzeć się w tym jakiegoś sensu.

Cicho zabręczał mały alarm antywłamaniowy. Podeszedłem szybko do niego, uniosłem plastikową klapkę osłaniającą klawiaturę i walnąłem w nią z całej siły iskrzącą skradzioną elektrycznością pięścią. Alarm ucichł. Z urządzenia buchnęły czarne kłęby dymu.

Rozejrzałem się po mieszkaniu.

Zaskoczyło mnie jak silne piętno odcisnęła osobowość właściciela na pozbawionym wyrazu lokalu. Łoś nie był jedynym stworzeniem, które wyroki losu doprowadziły na jego ściany. Towarzystwa dotrzymywał mu niedźwiedź polarny z rozwartą do ryku paszczą, dwa jelenie, renifer o wielkich szklanych oczach i gotujący się do lotu sokół. Rzecz jasna, był też lis, umieszczony na samym końcu. Przyglądałem mu się przez dłuższą chwilę. Czyste futro zwierzęcia miało ciemnopomarańczową barwę, a poniżej linii szczęki biegła biała pręga.

Głowa lisa wydawała się maleńka w porównaniu z porożami i rozpostartymi skrzydłami jego sąsiadów. Zaciskał mocno szczęki, jakby wstrzymywał ostatni oddech, który pozwoliłby mu dokonać żywota. Nie mogliśmy oderwać od niego spojrzenia. Było nam... smutno.

Wychodząc z korytarza, czułem na plecach puste spojrzenie lisa.

Na kuchnię składały się płytki z terakoty, nierdzewna stal i świeże zioła.

Dziewięćdziesiąt procent sypialni zajmowały książki, pozostawiając dziesięć procent na łóżko. To były poważne dzieła, dotyczące prawa, historii, geografii i Londynu. Ściany łazienki tworzyły biały tynk i kamień. Nie pozostał tam żaden ślad ani zgolony włoszek świadczący, że ktoś z niej kiedyś korzystał. Nawet szczoteczka do zębów wyglądała na nową.

Na wielkim owalnym lustrze nie zauważyłem też plam od pasty.

W salonie nie było telewizora, tylko kolejne książki oraz komputer. Ekran monitora rozbito, a jego podstawę osmaliała sadza. Szkło posypało się na zewnątrz, tworząc krąg na podłodze, jakby uderzono je od środka.

Koniec trasy.

Na ścianie wisały portrety w przesadnie wielkich rzeźbionych i złożonych ramach.

Umarli grandowie wyciągali roztargnionym gestem ręce, by dotknąć globusów; ozdobione strusimi piórami wielkie damy siedziały na tle rozległych ogrodów; wdowy o posępnych obliczach pozowały pod portretami mężów w galowych mundurach. Najbrzydszym przedmiotem była tu figura przedstawiająca jednego ze smoków Corporation of London.

Przysadzistą matowosrebrną bestię przedstawiono w pozycji siedzącej. Z zębatej paszczy wysuwała czerwony, rozwidlony język, a w przednich łapach trzymała białą tarczę i dwa czerwone krzyże symbolizujące miasto. Gdy przyjrzałem się smokowi uważnie, zauważyłem, że szalony wyraz oczu i maleńkie skrzydła nadają mu komiczny cyrkowy wygląd. Okazało się, że figura jest plastikowa i pusta w środku. Kiedy w nią stuknąłem, rozległo się ciche echo.

Mały potwór siedział przy ogromnym biurku z ciemnego mahoni, obitym zieloną skórą i intensywnie pachnącym rzadką politurą oraz gęstym, lśniącem werniksem. Czaił się za nim skórzany fotel, tak wielki, że siedzący w nim człowiek musiał wyglądać na karzełka.

Tylko jedna z szuflad biurka była zamknięta. Poglaskałem ją uważnie, wypowiadając do zamka czułe słowa, aż wreszcie się otworzył.

W środku znajdowały się akta. Prawdziwe papierowe akta w szarych kopertach, ozdobionych smokami i tarczą, symbolizującymi Corporation of London. Zacząłem je przerzucać, przekonując się z rozczarowaniem, że większość ma bardzo prozaiczną treść.

Raporty o emisji spalin w centrum Londynu i w zewnętrznych dzielnicach. Szczegóły obsługi Thames Barrier, sprawozdania z robót drogowych pod Waterloo Bridge, notatki o postępach prac nad wymianą instalacji wodno-kanalizacyjnej. Sprawdzałem je z narastającą frustracją.

Pragnęliśmy znaleźć coś magicznego, coś konkretnego, coś, co połączyłoby pana Naira z Nocnym Burmistrzem, a jeśli okazałoby się to konieczne, również Nocnego Burmistrza z nami.

W końcu to znalazłem. Mało brakowało, a w pośpiechu i irytacji przeoczyłbym dokument. Musiałem się cofnąć, by się upewnić, że dobrze zobaczyłem. Mniej więcej w połowie sterty, w kopercie niczym się nieróżniącej od pozostałych, znajdował się opis mojego życia.

Wyciągnąłem go i rozłożyłem na biurku, gapiąc się z rosnącym niedowierzaniem na grube karty kredowanego papieru. Opisano tam każdy szczegół mojej egzystencji - mama, babcia, która lubiła rozmawiać z gołębiami, moje dzieciństwo i pierwsze kontakty z miejską magią, mój nauczyciel, pan Bakker, okres terminowania u niego, lata, które spędziłem jako niezbyt interesujący czarnoksiężnik, czas poświęcony na podróże, moja śmierć i nasze zmartwychwstanie. Było tam wszystko, od nazwisk byłych kochanek aż po przeciętną wysokość rocznego rachunku za gaz. Listy znajomych, których nie widziałem od lat, z którymi nie śmiałem się spotykać, którym nie potrafiłem wyjaśnić, co właściwie się wydarzyło, dalekich krewnych, z którymi właściwie nigdy nie rozmawiałem, byłych dziewczyn, które przyszły na mój pogrzeb, zostawiając nowego męża i dzieci w domu, by być w zgodzie z wymogami dobrych manier...

Zdjęcia! Skąd wzięli tyle zdjęć? Mama w gumowych rękawiczkach, ubrudzona po łokcie, walczy z zawodną kanalizacją. Babcia idzie ulicą w pantoflach, szczury przyglądają się jej z kratek w studzienkach, a gołębie z rynien na dachu. Szkolne zdjęcia z czasów, gdy moje oczy były piwne, nie niebieskie, i dopiero wyrastały mi stałe zęby. Zdjęcia z kamer ulicznych pokazujące miejsce mojej śmierci - mnóstwo krwi i podartych ubrań, ale, co najważniejsze, nie ma ciała, tylko krwawe odciski palców na zwisającej słuchawce telefonu.

Zdjęcie z czasów po naszym powrocie. Mamy na sobie cudze, za duże ubranie i siedzimy sami na ławce pośrodku nocy. A potem drugie, na którym tkwimy po pachy w narządach wewnętrznych śmieciucha wysłanego w pościg za nami. Patrzymy prosto do aparatu, ale przysięgam, że nikt nie mógł nam wtedy zrobić zdjęcia. Nikogo tam nie było!

Na końcu znajdowała się strona formatu A4, pokryta równym maszynowym pismem.

Tekst głosił:

Nasza końcowa opinia brzmi, że fuzja czarnoksiężnika Swifta z istotami znanymi jako niebieskie elektryczne anioły, do której doszło podczas okresu spędzonego przez nich wspólnie w przewodach telefonicznych, doprowadziła do pojawienia się w realnym świecie wysoce niestabilnego jestestwa. Choć unia Swifta z aniołem wygląda niemal całkowicie jak człowiek, w swej zasadniczej naturze jest połączeniem zranionego ciężkimi przeżyciami martwego czarnoksiężnika z infantylnym żywym ogniem. Żadna z tych dwóch istot nie jest w pełni zdolna do oddzielnego życia, nie wspominając już o istnieniu jako połączony umysł.

Być może powinniśmy się cieszyć, że Swiftoanioł nie ściągnął dotąd na miasto poważniejszych szkód, ale nie możemy zakładać, że ta szczęśliwa sytuacja będzie trwała bez końca. Zakon zapewnia, że jest w stanie wyeliminować Swiftoanioła, ale rozsądnie byłoby przygotować się na konflikt, do którego musi doprowadzić obecność podobnej istoty w naszym mieście.

Na samym dole ktoś dodał drobnym, ręcznym pismem: *Swift ma buty.*

Nie było żadnych dalszych wyjaśnień.

Spojrzałem na buty.

Nie były moje.

Oczywiście, ja je nosiłem. Buty, które nosiłem, tak jest. Ale nie były moje. Nie ja je kupiłem. Zabrałem je z domu kogoś innego, włożyłem w ściśle określonym celu i poszedłem się przejść.

Swift ma buty.

Wsunąłem akta z powrotem do szuflady. Kilka razy zakręciliśmy wielkim fotelem, czując, że dobrze nasmarowane panewki poruszają się gładko. Pokołysaliśmy się w nim chwilę, spoglądając na sufit. Pochyliliśmy się i popatrzyliśmy na podłogę. Oparłem stopy na obitym skórą biurku i uważnie przyjrzałem się butom. Były czerwono-czarne, ze śladami złotych pasków. Niegustowne, krzykliwe i drogie. Kiedy w nich chodziłem, mlaskały przy każdym kroku, wciągając wewnątrz podeszew

małe dawki powietrza, jakby kryły się w nich miniaturowe miechy. To zapewniało sprężystość chodzenia. Gdyby były dwa numery mniejsze, mógłbym docenić ich zalety. Musiałem nosić dwie pary skarpetek i pociły mi się nogi. Wykonaliśmy jeszcze kilka obrotów. Zgiąłem palce prawej dłoni. Rana otworzyła się, a potem zamknęła. Porażenie prądem nie wywoływało takich skutków. Potrzeba było czegoś więcej. Przypuszczenia ujęły zakrwawioną dłoń faktów i zaczęły tańczyć cza-czę po pokoju.

Plastikowy smok po chamsku wystawiał język do jakiegoś niewidzialnego rywala.

Jeszcze kilka obrotów.

Dlaczego buty?

Nie były moje. Ja tylko je nosiłem.

Wstałem i pozwoliłem, by poniosły mnie kilka kroków wokół pokoju, a potem kilka dalszych. Buty sprawiały wrażenie równie niepewnych jak my, co robić dalej. Gdy zataczałem drugi krąg pod portretami martwych białych mężczyzn o kamiennych twarzach, znowu spojrzałem prosto w oczy małego, plastikowego smoka.

Usiadłem na skraju biurka. Za smokiem o szalonym spojrzeniu znajdował się kolejny portret. Mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce, z siwymi bokobrodami i odziany w obcisłą kamizelkę, spoglądał z pogardą na widzów. Okno za jego plecami wbrew rozsądkowi wychodziło na Tower of London. Na jednej ręce trzymał jakiegoś jazgotliwego pieska.

Nieproporcjonalna sylwetka zwierzęcia sugerowała, że ciągle się wierciło, nie chcąc pozować malarzowi. Drugą rękę mężczyzna wspierał na parapecie. Dłoń zwracała się wewnętrzną powierzchnią ku górze, a palce wskazywały na leżące za oknem miasto. Pochyliłem się nad obrazem, tak blisko, że prawie dotykałem nosem szorstkiego płótna. Na dłoni mężczyzny znajdował się znak. Narysowano go cienkimi liniami, ledwie widocznymi w półmroku wypełniającym obraz - mała plamka czerwieni na pomarszczonej skórze. Wyglądało to, jakby ktoś wziął skalpel i ostrożnie wyciął mu w skórze płytki czerwony krzyż. Nie - dwa płytkie czerwone krzyże. Drugi był mniejszy, znajdował się w górnym lewym polu pierwszego. Cięcia wyglądały na świeże, nie widziałem bladej tkanki bliznowatej, nie było też jednak bandaży, a nie potrafiłem sobie wyobrazić, by staruszek z bokobrodami był

skłonny zbytnio się przejmować podobnymi obrażeniami. Ponownie spojrzałem na plastikowego smoka o szalonym spojrzeniu, na plastikową tarczę w jego rękach. Na białym polu znajdowały się dwa czerwone krzyże, jeden był mniejszy od drugiego i przypominał

raczej miecz niż krzyż. Namalowano go w lewym górnym polu większego brata.

Usiadłem po turecku na blacie biurka Naira i wykonałem nieuniknione czynności.

Zdjąłem czarną rękawiczkę z prawej dłoni, a potem przygryzłem koniec bandaży i zacząłem go szarpać, aż węzeł ustąpił. Odwinąłem białą bawełnę, czując, że jej włókna przylepiają się do

krwawiącej skóry. Wreszcie z bliskim zeru zaskoczeniem i głębokim żalem przyjrzałem się wewnętrznej powierzchni dłoni.

Jakiś katolicki grafficiarz bardzo starannie wyciął tam dwa czerwone krzyże, jeden mniejszy od drugiego.

Założyłem nowy bandaż, spaliłem stare, zakrwawione szmaty i wyrzuciłem popioły do najbliższego kosza. Potem wciągnąłem rękawiczkę, opłukałem twarz zimną wodą i opuściłem mieszkanie Naira z takim spokojem, jakbym był inkasentem z gazowni, który przyszedł

odczytać licznik.

* * *

Szliśmy. Było nam wszystko jedno dokąd i nawet nie zastanawialiśmy się nad tym, po co. Przeszliśmy przez Lincolns Inn i ruszyliśmy w stronę Middle Temple, mijając wspaniałe dziedzińce i ukryte zaułki, aż wreszcie dotarliśmy do Victoria Embankment. Potem ruszyliśmy wzdłuż rzeki, czując jej zapach i przyglądając się, jak przyplływ muska stare czarne kamienie. Po chwili doszliśmy do Igły Kleopatry. Zatrzymała nas woń tłustych hot dogów w papierowych torebkach. Kupiliśmy sobie takiego z dodatkową porcją keczupu, i ruszyliśmy w dalszą drogę. Sos spływał nam po podbródku. Wspięliśmy się po schodach na Hungerford Bridge i przeszliśmy na drugi brzeg, słysząc głośny łoskot przejeżdżających mostem pociągów oraz spokojny szum rzeki na dole. W połowie długości mostu przystanąłem na chwilę, zwracając twarz na wschód, by wciągać w nozdrza woń wody, soli, mew oraz statków turystycznych. Na końcu mostu siedział skulony z zimna żebrak, opatulony w pulower i pierzynę, które nabrały już koloru rzadkiego londyńskiego pyłu unoszącego się na suchym wietrze. Dałem mu dwa funty, za co para czekająca na windę, by zjechać na ulicę, nagrodziła mnie wzgardliwym spojrzeniem. Zignorowaliśmy ich i zbiegliśmy truchtem po schodach na płaskie, kwadratowe kamienie South Bank.

Pora obiadowa już minęła, ale w restauracjach pod Royal Festival Hall, ukrywających nieciekawe wnętrza za błyszczącymi szybami, panował tłok. Żonglerzy rywalizowali z furgonetkami lodziarzy parkującymi naprzeciwko deskorolkarzy szalejących na nierównym betonie między kolumnami Hayward Gallery i National Theatre. Przyglądałem się im przez krótką chwilę. Dzieciaki miały przeciętnie może po szesnaście lat. Przed zinnem chroniły je kaptury i grube rękawice. Miały workowate dzinsy, zielone, niebieskie, czarne albo ciemnoczerwone, ozdobione sportowymi naszywkami, oraz stare, poobtłukiwane deski o rozszczepiających się krawędziach. Było tu za mało miejsca na bardziej efektowne manewry -

tylko kilka stopni, zjazdów i studzienek - ale to nie powstrzymywało deskorolkarzy przed skakaniem na wszystko, co stało im na drodze, w tym również na przechodniów. Krzyczeli przy tym z zachwytem nad jakimś osiągnięciem, które mogli docenić tylko znawcy tajników ich sztuki. Ściany za nimi graffiti pokrywało tak gęsto, że miejscowa rada dała za wygraną, uznając, że ma do czynienia ze sztuką, nie z wandalizmem. Wielkie kolorowe napisy wszędzie nachodziły na siebie, aż wreszcie skryte w cieniu głębie ściany upodobiły się do psychodelicznej lekcji gramatyki. Ortografia zapewniała, że przekaz zrozumieją tylko wtajemniczeni. Srebrne, puste w środku litery gubiły swój sens w szczegółach rysunków. Tu i ówdzie widziało się też mniejsze, bardziej tradycyjne napisy

głoszące, że „**B JEZD FAJNY**”

„**7 JS SOM NA WIEKI**” obok innych mistycznych ostrzeżeń.

Ponieważ cała ściana była zajęta, niektórzy grafficiarze przenieśli się na kolumny, malując na ich betonie okrężające słupy węże albo wypaczone sploty sumaka jadowitego lub drutu kolczastego. W jednym przypadku ktoś nawet napisał grubymi, białymi literami, schodzącymi od dachu ku ziemi:

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ.

Przyglądałem się napisowi przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad jego treścią.

To dziwne, że ktoś zapisał taki postulat na jakiegokolwiek betonowej powierzchni, nie wspominając już o kolumnie pod Waterloo Bridge.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Stragany z książkami pod mostem; pod teatrem sztuka nowoczesna czy może powykręcane kawałki betonu, zależnie od punktu widzenia, pod studium telewizyjnym uliczny muzyk z jamajskim bębniem, a pod Gabriel's Wharf kolejni, grający Beethovena. Oxo Tower, pomarańczowe cegły i żelazne poręcze, paskudne betonowe pomieszczenia o najlepszej lokalizacji w mieście, szklane fronty zwrócone ku otwartym biurom. Na urządzonych w nich zebraniach rozmawiano o czasopiśmie, okładkach, ich zawartości, obrazkach i pracownikach redakcji. Blackfriars Bridge i Blackfriars Railway Bridge - dwa mosty, a właściwie trzy, jeśli liczyć szereg niskich kolumn pośrodku rzeki, po których nie poprowadzono drogi. Tate Modern (znowu sztuka nowoczesna albo powykręcany beton), Globe Theatre, restauracje, Southwark Bridge, biurowce, czarne nieprzejrzyste szkło ciągnące się wzdłuż długiego odcinka rzeki między mostami, spoglądające w stronę placu budowy i Cannon Street, zapomniana stacja, stukot pociągów na górce, warkot autobusów przejeżdżających przez Southwark Bridge. Puby, restauracje, kawiarnie, brukowane ulice, hotele, mężczyźni trzymający w rękach piwo i gadające ze sobą kobiety w głupio wyglądających butach, znowu muzycy, zonglerzy, połykacze ognia, uliczni kaznodzieje ostrzegający przez głośniki przechodniów, że jeszcze nie spotkali Boga i teraz właśnie jest odpowiednia pora, zapach curry, woń frytek. Małe zagubione kioski sprzedające wszystko, czego dusza zapagnie, za podwójną cenę, *Golden Hinde*, z końcowym „e” dodanym dla historycznej autentyczności, statek zbudowany dla niskich ludzi sąsiadujący ze sklepem, w którym nie sprzedawano prawie niczego poza pirackimi kapeluszami i plastikowymi mieczami, Southwark Cathedral, gdzie latem wszyscy kupujący w Borough Market siedzą na dworze, by jeść wędzonego łososa i tort czekoladowy mogący wywołać atak serca.

London Bridge.

Paskudny most, szczerze mówiąc, stary beton i straszliwie intensywny ruch. Nocą jednak wygląda pięknie, w światłach o kolorach tęczy. Z ulicy można zobaczyć wszystko, co pragnie ujrzeć turysta. Na zachód stąd Londyńskie Oko, stacja Charing Cross, BT Tower i Centre Point. Na wschód Tower Bridge, Tower, Butler's Wharf, HMS *Belfast* i londyński ratusz, który mieszkańcy miasta zawsze już będą zwać „Syfem Kena”, na pamiątkę pierwszego rezydującego w nim burmistrza.

Zatrzymaliśmy się na London Bridge i zwróciliśmy twarz pod wiatr, chcąc, by wywiały

ból z naszych kości. Tutaj czuliśmy się bezpiecznie.

Potem spojrzałem na Tower i pomyślałem bez słów, że wiatr i spacer to wszystko, czego mi trzeba.

- Nocny Burmistrz - usłyszałem nagle.

To był mój głos.

Powtórzyłem te słowa jeszcze kilka razy, by się przekonać, jak zabrzmiały.

- Nocny Burmistrz.

Powtórzenie nie uczyniło jednak tej wiadomości lepszą. Dlatego zamknąłem się i ruszyłem w dalszą drogę.

* * *

Zatoczyłem pełen krąg.

Nie miałem pojęcia, dokąd idę, ale gdy przybyłem na miejsce, wiedziałem z niezachwianą pewnością, że to był dobry pomysł.

Museum of London znajduje się na południowym krańcu Barbicanu. Białe płytki i szare, zaokrąglone mury upodabniały je powierzchownie do ulicznej toalety, która rozrosła się ponad możliwości swych rur kanalizacyjnych i eksplodowała w górę posępną kaskadą glinianych płytek oraz niezamiecionego kurzu. Przybysze z zewnątrz zawsze mają trudności z trafieniem do muzeum, ponieważ główne wejście nie znajduje się na poziomie ulicy, lecz piętro wyżej, w labiryncie ramp i kładek składającym się na czasoprzestrzenny wir Barbican Centre. Nawet jeśli znalazło się na poziomie ulicy jakiś znak świadczący o obecności muzeum, wydawało się absurdalne, że rada miejska, ot tak sobie, ulokowałaby je na rondzie tak całkowicie skrytym w cieniu budynków, że dla pracujących tam ludzi światło słoneczne było jedynie ckliwym marzeniem.

Cieszyła mnie ta świadomość, ponieważ oznaczało to, że w środku będzie spokojnie i nie będą nam przeszkadzać hałaśliwe dzieci. Ci, którzy zdołali dotrzeć do muzeum, albo znali już jego tajemnice i przyszli tu po to, by podziwiać je po raz kolejny, albo tak się zdziwili odkryciem owej krynicy wiedzy, że nawet ci z nich, którzy nudzili się najłatwiej, zachowywali milczenie z szacunku dla niej.

Przeszedłem przez sale przedstawiające historię Londynu, nie zwracając uwagi na eksponaty. Byłem już tu kiedyś, a teraz szukałem czegoś bardzo konkretnego.

I znalazłem to. Siedziało na małym stołku obok wielkiej gabloty, podświetlonej migotliwym, pomarańczowoczerwonym blaskiem, w której przedstawiono wielki pożar Londynu. Chrapało bardzo cicho i profesjonalnie, wydając z siebie dźwięk, który w razie potrzeby można było wytłumaczyć jako „charczący oddech”.

- Przepraszam? - odezwałem się, szturchając to palcem u nogi.

Chrapanie ucichło. Spłaszczona, czerwona twarz skierowała się ku mnie. Otworzyła się para niemal idealnie okrągłych oczu, których spojrzenie przesunęło się po suficie i ścianach, aż wreszcie zatrzymało się na mnie.

- He?

Ów dźwięk wydobył się z płuc ukrytych w potężnej, wypukłej klatce piersiowej schowanej pod czarnym uniformem strażnika.

- Pan tu pracuje? - zapytałem.

- Jasne, że tak... O co chodzi? - Mężczyzna rozsiadł się wygodnie na stołku. Mebel wyglądał na zaprojektowany specjalnie w ten sposób, by trudno było na nim zasnąć, on jednak zdołał dokonać tej sztuki. - Jezu! - mruknął, gdy świadomość powróciła w pełni. - W

czym mogę panu pomóc?

Rozpromieniłem się.

- Zgubił pan drogę? - zapytał.

- Nie, nie sędzę.

- Jest pan pewien?

- Tak, chyba że mówimy o sensie metafizycznym.

- Jezu! - powtórzył, gdy ostatnia część jego świadomości wdarła się do płatów czołowych z impetem pociągu TGV pozbawionego hamulców. - No tak, kurwa. Jezu!

Chciałem powiedzieć...

- Jestem pewien, że nie chciał pan, by to tak zabrzmiało - uspokoiłem go.

- Przepraszam. Cierpię na taką przypadłość...

- Zauważyłem.

- Ale już czuję się dobrze.

- Jasne. Chciałem pogrzebać w waszych archiwach.

- Hmm, oczywiście, nie ma sprawy. Musi pan porozmawiać z panią w recepcji, ona pana umówi...

- Nie mówiłem o tych archiwach. Szukam pewnych informacji, których nie znajdzie się łatwo w bibliotekach, a nawet w Internecie.

Przymrużył powieki.

- Jakich informacji?
- Chcę się czegoś dowiedzieć o facecie zwanym Nocnym Burmistrzem.
- Och - jęknął, rozpościerając krótkie ręce zakończone czerwonymi, grubymi palcami.
- Nie chodzi o burmistrza City?
- Nie. O Nocnego Burmistrza. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie zacząć w muzeum.
- Bezpieczniej jest pytać o burmistrza City. Mamy tu gdzieś jego powóz. Bardzo szykowny i odpicowany.
- Jestem absolutnie pewien, że chodzi o Nocnego Burmistrza.

Twarz strażnika posmutniała.

- No cóż, jeśli jest pan pewien...
- Jestem.
- ...ale proszę pamiętać, że pana ostrzegałem. Zdrowie, bezpieczeństwo i tak dalej?
- Jasne.

Wstał.

- Lepiej niech pan pójdzie ze mną.

* * *

Miał na imię Frank. Słowa wydobywające się z jego pulchnych ust naznaczył twardy akcent. Mówił, że pochodzi z Lambeth. Wspomniał też, że nie lubi kłopotów.

- Rozsądnie pan postąpił, pytając ochroniarza - dodał, gdy szliśmy ciemnymi cichymi korytarzami muzeum. - Dwadzieścia lat pracy w tym miejscu wystarczy, by człowiek nauczył się paru rzeczy, i nie zrobił się przy tym roztrzepany jak historycy. Strażnikom dają klucze, których nigdy by nie dali archeologom, bo ci cali uczeni na pewno by je gdzieś zgubili.
- Wiem o tym. Dlatego zwróciłem się do pana.
- Aha - westchnął, pobrzękując od niechcienia kluczami. Szliśmy wzdłuż szeregu gablot przedstawiających ruiny po nalotach. - Jest pan jednym z nich, prawda?
- Jakich nich?
- Facetów, którzy wiedzą. Każdy, kto pyta o Nocnego Burmistrza, siedzi w tym tak głęboko, że

kamizelka ratunkowa w niczym mu nie pomoże. To kim pan właściwie jest?

Magiem, czarownikiem czy drobnym czarodziejem z wielkimi ambicjami?

- Żadnym z powyższych - odparłem.

Strażnik otworzył drzwi za gablotą poświęconą przebudowie terenów portowych.

- Ale jest pan blisko.

Jego buty stukały o podłogę. Moje sapały i piszczały.

- Oczywiście, to nie mój interes - dodał. - Ja tylko pilnuję muzeum. Niczym się nie param.

Kolejne drzwi - metalowe, czarne i masywne - a za nimi pokój pełen starych papierów i chłodnego, suchego powietrza. Strażnik kazał mi wejść, a potem zamknął za nami drzwi. W

pomieszczeniu nie było okien, tylko odpowietrzniki i słabe jarzeniówki, niezdolne oświetlić długich szeregów półek stojących na podłodze.

- Rozsądniej jest nie zadawać zbyt wielu pytań - wysapał mężczyzna, idąc wzdłuż szeregów akt. - Nigdy nie wiadomo, kto może tu przyjść. Ja tylko wskazuję im właściwy kierunek. To wszystko. Jestem odzwierciadłem i mam oczy otwarte.

Na końcu pomieszczenia znajdowały się kolejne drzwi. Były w nich dwa zamki i panel z klawiszami z boku.

- Dokąd idziemy? - zapytałem.

- Rzecz w tym - stwierdził, otwierając drzwi - że jest pan w tym tygodniu drugim facetem, który pyta o Nocnego Burmistrza.

Stałem jak wryty na szczycie metalowych schodów opadających w ciemność.

- Kto jeszcze? - zapytałem. - Kto jeszcze tu był?

- Hej, to nie mój interes, pamięta pan?

- Proszę. Chcę się tego dowiedzieć.

- Wiedza zda się panu na nic, jeśli nie ma pan kwalifikacji w CV - wysapał strażnik. -

Znam całą historię pieprzonego Londynu, ale czy mogę dostać porządną robotę? Nie ma bata.

- Mężczyzna w garniturze - wygarnęliśmy. - Czy to był mężczyzna w garniturze w prążki? Rzadkie, ciemne włosy zaczesane do tyłu, ciemny garnitur, jasna koszula, wypastowane buty? I jeszcze... on niczym nie pachnie. W ogóle nie ma zapachu.

Strażnik wskazał ręką w dół.

- Hej, ja nic nie powiedziałem, tak? Chce się pan czegoś dowiedzieć o Nocnym Burmistrzu, to tylko pański cholerny interes. Ja niczym się nie param. Tak jest najlepiej, bo w przeciwnym razie, jeśli ktoś jest tylko zwykłym facetem, robiącym co do niego należy, może od tego zwariować.

Przyjrzałem się prowadzącym w ciemność schodom.

- I na dole znajdę odpowiedzi?

- Chce się pan czegoś dowiedzieć o Nocnym Burmistrzu?

- Tak.

- To musi pan zejść niżej. Proszę to podpisać.

Podsunał mi dwie płachty papierów przypięte do podkładki. Przeczytałem je w słabym świetle.

- Co to ma być? - zapytałem, ich sens bowiem nijak nie chciał do mnie dotrzeć.

- Zrzeczenie się pretensji.

- Słucham?

- Jeśli chce się pan czegoś dowiedzieć o Nocnym Burmistrzu na terenie należącym do muzeum, musi pan podpisać oświadczenie, że nie będzie zgłaszał roszczeń z powodu poniesionych szkód.

- Szkód?

- To nie mój interes. Podpisze pan? Inaczej nici z odpowiedzi.

- Czy trzeba to zrobić krwią? - zapytaliśmy zaciekawieni.

- Słucham? Jezu, nie! Ma pan cholernie wypaczony umysł. - Wręczył mi długopis.

Przeczytałem tekst jeszcze raz i złożyłem podpis. Mężczyzna wyrwał mi długopis i papier z rąk, a potem wskazał w dół schodów.

- Cieszę się, że mogłem pana poznać. Życzę owocnych poszukiwań. Wspomni pan o mnie w podziękowaniach, tak? Do widzenia!

- A co z... - zaczęliśmy.

Zatrzasnął za nami drzwi.

* * *

Staliśmy na pomalowanych na czarno stopniach w mrocznej klatce schodowej opadającej w

bezkresną ciemność. Przyciski włączające światło, które mogłoby ją rozproszyć, zapewne również pociągnięto czarną farbą.

Zaklęliśmy.

Odetchnąłem głęboko, ścisnąłem razem dłonie, głównie po to, by się uspokoić, a potem je rozłączyłem. Między moimi palcami zatańczyło światło, migotliwy, różowawo-sodowy blask ulic. Pozwoliłem, by wypłynęło z mojej skóry, zabierając ze sobą ciepło. Potem ścisnąłem je w kulkę i rzuciłem nad głowę. Nasz cień sięgnął aż do czarnych drzwi na końcu czarnego korytarza. Ruszyliśmy ostrożnie na dół, dotykając palcami zimnych ścian. Czułem w powietrzu smak czegoś starego i śliskiego. To był zapach straganu z rybami, rzadkiej mgły i starych, zapomnianych rzeczy. Złapały mnie od niego mdłości, włoski na karku stanęły mi dęba, stworzone przeze mnie światło zamigotało nagle, dzieląc mój niepokój. Dotarłem do drzwi na dole i otworzyłem je. Nie były zamknięte na klucz. Za nimi znajdował się pokój. W

jego centralnym punkcie umieszczono kocioł, ulokowany dokładnie pod zawieszoną u sufitu lampą z metalowym abażurem.

- Ktoś tu robi sobie jaja - odezwałem się.

Mówiłem do kotła, ale głos, który mi odpowiedział, należał do kobiety.

Miała trzydzieści kilka lat, może blisko czterdzieści, blond włosy opadały jej do ramion w poddanej ścisłej dyscyplinie fryzurze, ubrała się w praktyczne skórzane pumpy i gustowny wełniany pulower. Wyłoniła się z bezkresnych cieni tak niespodziewanie, że odsunąłem się trwożnie, mimo że uśmiechała się miło.

- Kubek herbaty? - zapytała, kładąc mi na ramieniu rękę o krótkich, schludnie obciętych paznokciach.

Przyjrzałem się zawartości czarnego żelaznego kotła. Na powierzchni wody unosiło się kilkanaście smętnych, zużytych torebek herbaty.

- Och, z pewnością robi! - skonkludowałem.

- Nie szanujesz nas? - rozległ się drugi głos.

Uniosłem wzrok i ujrzałem twarz kolejnej kobiety. Była młodsza, poniżej dwudziestki, włosy ufarbowała sobie na czarno i jaskrawofioletowo, a jej twarz zdobiło mnóstwo metalowych kółek - w uszach, wargach, policzkach, języku, brwiach i nosie.

- Hmm... - wymamrotałem.

- Herbatnika?

To był trzeci głos i trzecia kobieta. Ta miała stalowosrebrne włosy, kremową bluzkę ze złotymi guzikami zapiętymi aż pod opadający podbródek oraz kostium w ciemnoniebieską szkocką kratę. Na jej twarzy malował się wyraz lekkiego wyrzutu. W rękach trzymała mały talerzyk, pełen równo

ułożonych herbatników różnego rodzaju.

- Hmm... bardzo dziękuję.

Nigdy nie odrzucamy darmowych poczęstunków.

- No wiesz, można je maczać - dodała staruszka. Na potwierdzenie swych słów wybrała z talerza pełnoziarnisty herbatnik i zanurzyła go w bulgoczącej w czarnym kotle cieczy.

- Szczerze mówiąc, nie tak wyobrażałem sobie muzealne archiwa...

- He? - mruknęła młoda kobieta.

- Ojej - westchnęła ta w średnim wieku.

Stara popatrzyła na mnie, jakbym był natrętną muchą krążącą wokół lepkiego papieru.

- ...ale z drugiej strony, słyszałem opowieści, nie przyszedłbym tutaj, gdybym ich nie słyszał...

- Pewnie, że słyszałeś.

- ...to pewnie ma sens...

- Kto by pomyślał.

- Może potrafimy ci jakoś pomóc, mój drogi.

- Jeszcze herbatnika?

Przyjrzałem się im. Trzy kobiety siedzące w pokoju ukrytym pod muzeum i kocioł

pełen herbaty. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Można je zwać parkami, muzami, furiami, prorokiniami, jasnowidzącymi albo po prostu trzema wariatkami uzależnionymi od kofeiny, magia trzech kobiet i kotła nigdy nie zniknie, nawet jeśli kocioł jest pełen torebek ekspresowej herbaty.

Pokłoniłem się i rozłożyłem szeroko ręce w geście symbolizującym pokój.

- Panie - rzekłem.

- Skurwysyn! - zawołała najmłodsza z nich. Uprzejmie byłoby nazwać ją Dziewicą, ale wątpiłem, czy potrafiłbym się na to zdobyć.

- Miło jest poznać uprzejmego młodego człowieka! - odezwała się kobieta w średnim wieku. W zasadzie powinno się ją zwać Matką, ale nie byłem pewien, jak by to przyjęła.

- Społeczeństwo upada! - oznajmiła najstarsza. Uważaliśmy, że powinno się ją nazywać Staruchą, ale mieliśmy wystarczająco wiele rozumu, by unikać tego pomysłu.

Bez względu na to, jak je zwaliśmy, zdawaliśmy sobie sprawę, kim są. Trzy kobiety przy kotle - to oznaczało moc, potężną i starożytną, starożytna moc oznaczała dawne tradycje, te z kolei zasady, zasady zaś z reguły wiązały się z ryzykiem, ponieważ w dziewięćdziesięciu procentach przypadków tworzy się je po to, by coś, co może się okazać złe, nie zrobiło się jeszcze gorsze.

- Jezu, to jebany czarnoksiężnik - odezwała się Dziewica.

- To niebieskie elektryczne anioły - poprawiła ją Matka, klepiąc mnie lekko po ramieniu.

Starucha postawiła talerz z herbatnikami na podłodze, pochyliła się i złapała mnie za obandażowaną rękę. Szarpnęła ją ku sobie, a ja - nadal widząc tylko starą kobietę i zapominając o zasadach - wpadłem w jej ramiona i osunąłem się u jej stóp. Obracała moją rękę w tę i w tę, aż wreszcie wbiła w bandaż ostre paznokcie, tak mocno, że omal nie krzyknęliśmy.

- To Nocny Burmistrz - stwierdziła. Przysunęła się jeszcze bliżej. Miała oczy koloru stali, srebrne włosy nawet nie drżały, kiedy się poruszała. - Tego właśnie chciałeś się dowiedzieć, tak? - zapytała.

Widziałem jej nieskazitelne, sztuczne zęby zrobione z plastiku, czułem woń herbaty w jej oddechu i niewiarygodnie starożytną magię w nieciekawym kroju grubego żakietu.

- Jesteś Nocnym Burmistrzem - oznajmiła. - Powtarzaj to sobie, aż wyda ci się to naturalne, aż w to uwierzysz. Jesteś Nocnym Burmistrzem, czarnoksiężniku. Elektryczny Aniele. Czy nie to właśnie pragnąłeś usłyszeć? Ta informacja jest za darmo, czy tego chcesz, czy nie.

Uścisnęła raz jeszcze naszą krwawiącą dłoń, a potem ją puściła. Oparliśmy się o skraj kotła, ściskając dłoń. Kuliliśmy się z bólu, czekając, aż z naszych oczu zniknie niebieski elektryczny ogień, przygryzaliśmy język, by odegnąć wszelkie inne wrażenia i zachować panowanie nad sobą.

- Nie za bardzo wygląda na Nocnego Burmistrza - wysapała Matka.

- Wyglądasz jak palant, kolego - zgodziła się Dziewica.

Starucha odchrząknęła, podniosła talerz i zaczęła z uwagą obgryzać brzegi ciasteczka z dżemem, zostawiając sobie słodki środek na koniec.

Wstałem z wysiłkiem. Cały czas opieraliśmy się ciężko o brzeg kotła.

- Czy mogę dostać kubek? - zapytałem wreszcie.

- Oczywiście!

Podano mi naczynie z napisem *Bardzo Kocham Mamę*, wyjęte z mroku za kotłem.

Zanurzyłem je we wrzątku.

- Herbaty, cukru? - zapytała Matka.

Potrząsnąłem głową, sięgnąłem do torby, wyjąłem z niej garść tabletek przeciwbólowych i wrzuciłem je do wody. Jak na napój parzony w kotle, który zapewne nie widział słonecznego światła od dwóch tysięcy lat, herbata była całkiem niezła. Kobiety czekały, aż skończę pić. Opróżniłem kubek i odstawiłem go ostrożnie na bok, a potem otarłem usta rękawem. Piętno na prawej dłoni nadal mnie paliło i lepiło się do bandaży.

- Domyślam się, że istnieją jakieś zasady - zacząłem. - Podejrzewam, że to coś w rodzaju „możesz zadać trzy pytania”. Dlatego chcę oznajmić, że nie uważam, by teatralne frazy i retoryczne pytania się liczyły.

- Hej, ty też oblałeś - poskarżyła się Dziewica. Podejrzewałem, że nie mogę liczyć na więcej zrozumienia z jej strony.

- Choć w zasadzie masz rację, mój chłopcze - odparła Matka - trzy pytania są stanowczo zbyt staromodne. Żyjemy w wieku nowoczesnych inicjatyw edukacyjnych!

- Ta odpowiedź jest zupełnie bezużyteczna - poskarżyłem się - ponieważ właściwie niczego nie wyjaśnia. Nadal realna jest możliwość, że spieprzę całą procedurę i zmarnuję jedno z pytań na coś w rodzaju: „Aha, to znaczy, że mam więcej niż trzy pytania, tak?”.

Swoją drogą, to nie było pytanie!

- Bystrzak z ciebie, co? - mruknęła Starucha, poruszając kącikiem ust. Wyglądało to jak uśmiech albo grymas. - Ale który z was jest taki sprytny?

- Dajcie spokój - warknąłem. - Ustalmy to raz na zawsze. Ja to my, a my to ja.

Jesteśmy tą samą myślą, tym samym życiem i tym samym ciałem. Szczerze mówiąc, myślałbym, że jestestwa takie jak wy, wyłonione z głębi mitycznej niewiarygodności, potrafią to uszanować.

- Ale czy to nie jest niezdrowe? - nie ustępowała Starucha. - Śmiertelnik i bóg dzielący to samo ciało?

- Wiesz, że nie po to tu przyszliśmy. Obelgi mogę znaleźć wszędzie.

- Ehe - zgodziła się Dziewica - ale stawiam dziesiątaka, że w pół minuty doprowadzę cię do łez.

- Na tym właśnie polega problem, prawda? - dodała Matka, siorbiąc herbatę.

- Skaleczyłeś się w rączkę? - zanuciła Starucha.

Uszczypnąłem się w grzbiet nosa.

- No dobra - ustąpiłem. - Zaczniemy grę. Teza: jestem Nocnym Burmistrzem.

- Tak - potwierdziła Matka.

- Jezu, nie dawaj skurwysynowi darmowego pytania! - zawołała Dziewica.

- Przepraszam, moja droga - mruknęła Matka z autentycznie brzmiącą skruchą.

- Teza - spróbowałem raz jeszcze. - Stałem się Nocnym Burmistrzem z chwilą śmierci Naira.

Trzy kamienne twarze zwróciły się w moją stronę. Nie potrzebowałem odpowiedzi, by wiedzieć, że mam rację.

- Teza: umierając, Nair skorzystał z telefonu. Przekazał w linii telefonicznej swe śmiertelnie techniczne, a razem z nim ideę, tytuł, moc, piętno, wszystko, co składa się na Nocnego Burmistrza. Te atrybuty nie mogły jednak pozostać w przewodach. Nocny Burmistrz musi być człowiekiem z krwi i kości. Dlatego udały się na poszukiwania telefonu i znalazły nas. Od samego początku było oczywiste, że właśnie nas znajdują. To leży w naszej naturze.

- Czy to nie miłe, że młodzi nadal potrafią myśleć? - wysapała Starucha.

- Teza: Rajcy myślą, że zabiłem Naira, ponieważ, powiedzmy sobie szczerze, gdybyśmy wiedzieli, co zamierza nam uczynić, zapewne wykończylibyśmy skurczybyka.

Ponieważ nie rozumieją naszej natury; nie potrafią pojąć, dlaczego żyjemy. A także dlatego...

dlatego że szukają winnego. Dlatego że Naira zabił ktoś, kto, krótko mówiąc, obdarł go żywcem ze skóry, nie naruszając ubrania, dotarł nawet pod paznokcie, w ogóle ich nie uszkadzając, a to... to nie są zwykłe czary. Taka magia skłania księżyc do zastanowienia się nad swą orbitą. To... to jest magia, której ludzie nie chcą zrozumieć. Wolą nic o niej nie wiedzieć, bo wydają się przy niej maleńcy. Teza... Fakt! Nair zginął, a na mnie spadła klątwa z przewodów telefonicznych! Jeden Nocny Burmistrz umarł, ale drugi żyje, ponieważ nie można zabić piętna na dłoni, przynajmniej dopóki istnieje miasto, które je stworzyło. Fakt!

Ten, kto zabił Naira, niczym nie pachnie, a ludzie, śmiertelni, oddychający ludzie, zawsze mają zapach. Pytanie.

- Nareszcie - jęknęła Dziewica.

- Tak, mój drogi?

- Słucham?

- Pytanie. - Obliziałem wyschnięte wargi, czując smak łuszczącej się skóry oraz herbaty. - Kto albo co zabiło Naira?

Zapadła przeciągająca się cisza.

- Kurczę - odezwała się wreszcie Dziewica. - Nie pożyczysz zbyt długo, słoneczko.

- No proszę, to ciekawa kwestia - wyszeptała Matka.

- Jeśli ktoś się interesuje takimi sprawami - warknęła Starucha.
- Przecież jesteście kobietami z kotłem - zauważyłem, kłaniając się im po raz kolejny.
- Nie musicie się interesować, żeby wiedzieć.
- Hej, słoneczko! - warknęła Dziewica. - To nie był jebany człowiek! Sam powiedziałaś, że faceci, którzy oddychają, jedzą i szczają, muszą, kurwa, czymś pachnieć.
- Rzecz jasna, pytanie brzmi - dodała z namysłem Matka - czy to zabójca jest winny, czy jego twórca?
- Teraz będzie chciał załatwić ciebie - oznajmiła Starucha. - To piętno na dłoni jest ważne, nie ciało, które nazaczyło. Nawet gdybyś był robakiem łąącym po talerzu z herbatnikami, i tak chciałby cię załatwić. Rozważałeś możliwość ucieczki?

Przygryzłem wargę, przyciskając mocniej dłoń do piersi.

- No dobra - mruknąłem. - W porządku. Z enigmatycznymi odpowiedziami mogę sobie poradzić. Jasne. Jak sobie chcecie. Teza: powiedziałyście... zabójca albo jego twórca.
- Cóż za talenty konwersacyjne - zauważyła z chichotem Starucha.
- Teza: wynika z tego, że zabójca Naira nie był człowiekiem, lecz czymś innym.

Możliwości są niezliczone!

- Szkoda, że masz tak mało czasu, co?

Otarłem czoło rękawem. Było mi gorąco. Czuję pulsujący ból w szwach w piersi.

Moja dłoń płonęła. Świat wydawał mi się odległym mirażem.

- Pytanie - wyjąkałem. - W mieszkaniu Naira znalazłem teczkę, w której była notatka mówiąca: „Swift ma buty”. Co to znaczy?
- Parę modnych adidasów - odparła Dziewica z uznaniem w głosie, wskazując głową na moje nogi.
- Wykazał się wielką bystrością, że to zauważył - dodała Matka.
- Masz na nogach buty chłopaka - zakończyła Starucha. - Wydawało ci się, że to nie jest ważne?

Przyjrzałem się butom.

- Te?
- Czy to...

- Nie, nie, to nie było pytanie. Po prostu... myślałem na głos. Uczciwość wymagałaby, żeby trochę to

wszystko uściślić, nim zmarnuję następne pytanie.

- Uczciwość! - zawołała ze śmiechem Dziewica.

- No cóż... - wydyszała Matka.

- Ha! - mruknęła Starucha.

- To byłoby w zgodzie z duchem czasów... - dodałem. - Jeśli wziąć pod uwagę obecny stan edukacji.

- Miałam piątkę z wychowania plastycznego.

- Niech ci będzie.

- No to uściślaj.

- Teza: te buty nie należą do mnie. - Poruszyłem palcami w efektownych adidasach. -

Zabrałem je z pokoju pewnego chłopaka w Wembley. Ma na imię Mo. Ja tylko je nosiłem, bo chciałem go odnaleźć. Robiłem to dla jego mamy. Mo zaginął. Nie ma nic wspólnego z magią, o ile mi wiadomo. Jego matka z pewnością nie ma. To tylko przysługa dla przyjaciółki. Ale, to nadal teza, o tych butach wspominają akta Burmistrza. Oto pytanie uściślające: czy Nair również szukał chłopaka, który był właścicielem tych butów?

- Tak - odpowiedziała Starucha, prosto i bez wykrętów.

Chcieliśmy stąd uciekać. Uświadomiliśmy to sobie z nagłą, niezachwianą pewnością.

Pragnęliśmy nabyć bilet do jakiegoś miejsca, gdzie będziemy się mogli ukryć w miłej, gęstej, zielonej mgłę, zagubić się w głębokich tunelach, pełnych posłusznych świateł. Chcieliśmy stąd zniknąć, nic z tego nas nie dotyczyło i nie byliśmy skłonni za to ginąć.

- Pytanie: co tu jest grane, do jasnej cholery? - rzekłem.

Trzy kobiety wymieniły spojrzenia.

- Czy to uczciwe? - zapytała Matka.

- Kurde, totalny brak szacunku! - dodała Dziewica. - Muszę przyznać, że masz jaja, koleś!

- Tu nie chodzi o uczciwość - odparła Starucha. - Gdyby chodziło, nic z tego by się nie wydarzyło.

- Mogę prosić o odpowiedź? - zapytałem, unosząc uprzejmie rękę.

Starucha westchnęła i znowu odstawiła talerzyk z herbatnikami. Potem podeszła do mnie, ostrożnie omijając kocioł. Matka i Dziewica zrobiły to samo. Prawdziwy twardziel nie da się zastraszyć kobietom. To pewnie znaczy, że wcale nie jestem taki twardy. Starucha spojrzała nam prosto w oczy.

- Miasto jest zgubione - oznajmiła.

- Słucham?

- Zgubione. Przeklęte. Skazane. Totalnie wyruchane, żeby posłużyć się potocznym wulgaryzmem. Strawią je płomienie. Pochłoną fale. Zniszczą je wstrząsy, rozpadnie się, obróci w pył. Wybierz, co wolisz. Kruki nie żyją. Kamień pękł. Mur zbezczeszczono.

Nocnego Burmistrza zabito, a jego następcę... - z jej ust wyrwał się chichot przypominający ostatnie tchnienie dławionego kurczaka - ...nawet nie wiedział, że ten tytuł przypadł jemu.

Przeklęte. Zgubione. Uciekajcie, małe elektryczne anioły. Uciekajcie, jeśli zdołacie.

Były obok mnie, wokół mnie, za mną. Trzy drobne kobiety, które istniały od czasów, gdy pierwsza wioskowa położna postanowiła w mglisty niedzielny wieczór zaprosić przyjaciółki na kubek jakiegoś gorącego napoju. W owych czasach magia wywodziła się jeszcze z ziemi i nieba, nie z neonów i asfaltu. Obawiam się, że byliśmy dla nich maleńcy.

- Jak to, skazane? - wyjąkałem. - Co to znaczy, że kruki nie żyją, a kamień pękł?

Kiedy to się wydarzyło? I co za palant zrobił nas Nocnym Burmistrzem? Kurwa, ja nawet nie wierzę w Nocnego Burmistrza! Co tu jest grane, do jasnej cholery?

Za kark złapała mnie dłoń o palcach złożonych wyłącznie z kości i fałszywych paznokci. Starucha nachyliła się tak blisko, że słyszałem jej oddech, czułem, jak muska mój bębenek. Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał jak szept zdradzieckiej kochanki.

- Oddajcie mi mój kapelusz - rzekła.

A potem, bez słowa przeprosin czy cienia wstydu, pchnęła mnie twarzą do przodu, do kotła pełnego wrzątku.

* * *

W niepewnych czasach ktoś musi zostać przywódcą.

Miała na imię Judith.

To jej palce mnie obudziły. Zaciskała je na mojej szyi w poszukiwaniu tętna.

Minął jakiś czas, ale nie raczył mnie o tym zawiadomić.

Niebo miało kolor starego siniaka, a w oknach na najwyższym piętrze odbijał się blady blask słońca.

Judith nosiła praktyczne buty oraz zieloną, puszystą kurtkę bez rękawów. Przypięto do niej identyfikator z imieniem oraz małym napisem „Służę pomocą”, umieszczonym w lewym, górnym rogu.

- Proszę pana - mówiła. - Hej, dobrze się pan czuje?

Rozważyłem to trudne pytanie. Pomacałem twarz lewą dłonią. Nie sprawiała wrażenia poparzonej. Może była nieco obolała, ale z pewnością nie zetknęła się z wrzątkiem. Czy utrzymywała się jeszcze słaba woń ekspresowej herbaty i pełnoziarnistych herbatników?

Przesunąłem dłonią po włosach, aż wreszcie poczułem na nich ziarenka piasku, a potem piaszczystą powierzchnię, która ujawniła się jako grunt. Pogrzebałem w nim palcami.

Brudny, gruboziarnisty, wilgotny piach rozstępował się pod ich dotykiem. Spojrzałem na Judith. Pod troską malującą się na jej twarzy skrywało się zdziwienie z lekką domieszką podejrzliwości. Zerknąłem w prawo i zobaczyłem biurowce zbudowane tak blisko brzegu rzeki, że nawet szczur by się nie prześliznął. Potem skierowałem wzrok ku swym nogom i ujrzałem czarnoniebieskie wody rzeki o zachodzie słońca. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem Tower Bridge. Jęknąłem, pozwalając, by głowa z powrotem opadła mi na brudny piasek odpływu.

- Ale jaja - mruknąłem.

- Hej, nic się panu nie stało?

Odwróciłem się, by przyrzeć się uważniej klęczącej obok kobiecie. Za jej plecami, bezpiecznie na górze, zgromadziła się grupka przechodniów i turystów, zainteresowanych rozgrywającymi się na brzegu wydarzeniami. Niektórzy oddalali się już jednak, rozczarowani tym, że nie okazałem się trupem. Za nimi ciągnęły się niskie, grube mury Tower of London.

Ponownie spojrzałem na Judith, której zadaniem było słuzenie pomocą.

- O w dupę, ale jaja - powtórzyłem.

- Skoro tak pan mówi - odparła.

Usiadłem, ostrożnie, na wypadek gdyby coś okazało się złamane albo zwichnięte. Nic z tych rzeczy. Nawet ból w szwach na piersi dodawał mi otuchy, przypominał o normalności.

Spojrzałem na prawą dłoń. Bandaż nadal był mocno zawiązany, ale od herbaty nabrał

jasnobrązowego odcienia. Siedząc, sięgałem wzrokiem dalej niż długość moich nóg, i zauważyłem, że poziom powoli toczącej swe wody Tamizy podnosi się już niepowstrzymanie. Rzeka zmyła większość pozostałych po odpływie plastikowych toreb, puszek po coli oraz innych odpadków, a razem z nimi część wiadomości wypisanej starannie palcem u moich stóp. Zostało tylko:

MI MÓJ KAPELUSZ.

Zerknąłem na Judith.

- To zabrzmiało dziwnie, ale czy nie widziała tu pani trzech szalonych kobiet gotujących w kotle herbatę?

- Nie - odparła rozsądnym tonem kogoś, kto nie chce ekscytować pomyleńca.

- A rozbłysku światła? Obłoku dymu? Hmm...

Próbowałem znaleźć delikatny sposób opisanie objawów spontanicznej teleportacji, bez używania tego budzącego lęk słowa. Nic z tego. Osunąłem się z powrotem na piasek. Jaki mistyk trzymałby swój przestrzenny wir na dnie kotła z herbatą?

- Zawiadomiła pani policję?

- Nie - odparła. - Skoczył pan? - zapytała od niechcienia.

Spojrzała znacząco na Tower Bridge. Potrząsnąłem głową.

- Nie. Zepchnięto mnie. Proszę nie zawiadamiać policji.

Wstałem chwiejnie. Wody rzeki nie zmywały śladów na ziemi jak morskie fale, lecz posuwały się naprzód niepostrzeżenie. Zarys litery „M” wypełniła piana.

I MÓJ KAPELUSZ.

Pomyślałem o trzech kobietach i ich kotle. Spojrzałem na Tower of London, a potem przeniosłem wzrok na Judith.

- Niech mnie pani wysłucha. To bardzo ważne. Muszę się dowiedzieć, co się stało z krukami z Tower.

* * *

Musiałem to zobaczyć na własne oczy, by w to uwierzyć. Kupiłem absurdalnie drogi bilet, jak wszyscy turyści przesuwanymi grzecznie w kolejkach między barierkami kierującymi ich tędy do wieży, a tamtędy do klejnotów koronnych. Potężne mury tłumiły hałas ruchu ulicznego i na szarych dziedzińcach Tower panowała niesamowita cisza.

Pachniało zbliżającym się deszczem. W odległości kilku jardów od katowskiego pnia, makabrycznego eksponatu mającego sprawiać przyjemność dzieciom, znajdował się odgradzony łańcuchami trawnik. Mały szyld oznajmiał w czterech językach, że w Tower mieszka dziewięć kruków, noszących imiona nordyckich bogów, a legenda mówi, że jeśli kruki kiedykolwiek opuszczą Tower of London, miasto będzie zgubione. Przeklęte, skazane, spalone, zatopione, zburzone, spustoszone: wybierz, co wolisz. Wybierz wszystko.

Nawet jeśli legenda była kłamstwem, czas i wiara wszystkiemu dają moc.

Obok znajdowała się tabliczka z napisem: **Prosimy nie karmić ptaków.**

Trawnik był pusty.

Ująłem za ramię Judith, która służyła pomocą. Była sprzedawczynią w sklepiku dla turystów i tak się składało, że również jedyną tu osobą, która potrafiła udzielać pierwszej pomocy i miała odwagę wypróbować swe umiejętności na wyrzucanych przez rzekę ciałach.

- Jeśli nie pokaże mi pani kruków, rzucę się z Tower Bridge, kiedy będzie przyływ, i tym razem nie zdoła mnie pani uratować. Jasne?

W głębi serca była miłą kobietą i nie potrafiłaby odmówić facetowi, którego uważała za niedosłego samobójcę.

Pod jedną z wież, w podziemnym pomieszczeniu o bielonych ścianach, gdzie rozlegały się dźwięki wentylatorów i kiepskiej kanalizacji, na stoliku ustawiono dziewięć małych trumien. W każdej z nich spoczywał nieżywy czarnopióry ptak.

- Po prostu padły martwe - wyjaśniła Judith. - Kilka dni temu. Wszystkie jednocześnie. Myśleliśmy, że to mogła być trucizna, ale nie karmił ich nikt poza... będzie sekcja, ale wszystkie po prostu... sprowadzimy nowe ptaki. Przywiezie się je potajemnie, bo nie chcemy, by turyści się dowiedzieli, ale one po prostu... po prostu przestały żyć.

Przerażeni i zafascynowani, wyciągnęliśmy rękę, by dotknąć piór.

- Niech pan tego nie robi! - wysyczała kobieta. - I tak już będę miała kłopoty.

- Czy... zostawiono jakąś wiadomość? - wyjąkałem. - W noc śmierci kruków... czy napisano coś na murze? Nagrano na automatyczną sekretarkę? Coś, czego się nie spodziewaliście?

Oblizwała wargi.

- Pan wcale nie próbował skończyć ze sobą, prawda?

- Nie próbowałem. Wepchnięto mnie do kotła z herbatą, a potem ocknąłem się tutaj i...

- roześmialiśmy się - ...przypadki nie istnieją. Nie w moim zawodzie. Czy dostaliście jakąś wiadomość?

Patrzyło na mnie dziewięcioro czarnych oczu, osadzonych w czarnych główkach dziewięciu martwych, pierzastych ciał.

Judith skinęła głową, wsysając głośno powietrze.

- Na jednym z murów coś napisano. Zmyliśmy to. Nie wiem, jak dali radę zrobić ten napis. No, wie pan, to nie jest łatwe. W końcu to zamek! To było... ktoś napisał: „Oddajcie mi mój kapelusz”. Wielkimi, białymi literami, na murze, na którym lubiły siadać kruki. Po prostu: „Oddajcie mi mój kapelusz”. Kto pana popchnął?

- Trzy kobiety. Z kotłem, jak mówiłem. Muszę już iść.

- Dokąd?

- Wszystko jedno - odparliśmy. - Wszędzie tylko nie tutaj. Judith, dziękuję za pomoc.

Wysłuchaj dobrej rady wędrowca. Uciekaj z miasta. Natychmiast.

- Dlaczego?

- Dlatego że to prawda - odpowiedziałem. - Wszystko to prawda. Kruki z Tower nie żyją. To klątwa, to wyrok. Ktoś chce zniszczyć miasto, a ja nie mam pojęcia kto. -

Zachichotałem. - A to fatalnie, bo to ja powinienem go powstrzymać. Mówię ci, uciekaj!

Dlatego że nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Nie wiem, czy skorzystała z mojej rady.

* * *

Musieliśmy się dowiedzieć jeszcze paru rzeczy.

Niemalże wbiegłem na stację Cannon Street, do żelaznego baraku oddalonego o jedną przecznicę od brzegu. Naprzeciwko kwadratowego wejścia znajdował się sklep sportowy. Do jego drzwi przytwierdzono małą plaketkę głoszącą: „W tych murach znajduje się Londyński Kamień, starożytny rzymski ołtarz, od którego mierzono wszystkie odległości w Brytanii.

Mówi się, że gdy Londyński Kamień zostanie zniszczony, miasto będzie przeklęte”.

Wszedłem do środka. Podszedł do mnie młodzieniec o kręconych blond włosach i, mówiąc z północnym akcentem, spróbował mi sprzedać parę butów do biegania za więcej forsy, niż wydawałem jej przez miesiąc. Złapaliśmy go za ramiona tak mocno, że aż się wzdrygnął.

- Chcemy zobaczyć Londyński Kamień - oznajmiliśmy, spoglądając mu prosto w oczy.

- Hmm - wymamrotał.

- Niech go pan nam pokaże!

- Hmm...

- Niech go pan nam pokaże!

- Nie ma go - wyjąkał.

- Gdzie się podział?

- Ktoś, hmm, ktoś, hmm, uderzył go i...

- Gdzie on jest?

- Pękł.

- Kiedy?

- Kilka dni temu.

- Londyński Kamień pękł?

- Hmm...

- Czy zostawiono jakąś wiadomość? Coś napisano? Na murach, na oknach? Czy ktoś zostawił wiadomość?

- Na... - odparł, wskazując na okno.

Syknąłem z frustracji, puściłem sprzedawcę, popychając go na stos rakietek do badmintona silniej, niż to było moim zamiarem, i wyszedłem gniewnym krokiem ze sklepu.

Nad frontowymi oknami umieszczono metalowe rolety. Jedną z nich już zasunięto, przygotowując się na nadejście wieczoru. Ktoś napisał na niej wielkimi, białymi literami:

ODDAJCIE MI M

Walnęliśmy pięścią w roletę tak mocno, że z kostek dłoni popłynęła nam krew.

* * *

Biegłem po londyńskich ulicach, nie przejmując się bólem kończyn. Gnała mnie magia godziny szczytu, brzęczenie neonów niosło mnie, zmniejszając mój ciężar, aż płaszcz za mną powiewał, karmiłem się surowym zgiełkiem miasta. Godzina szczytu była dobrym czasem dla czarnoksiężników, ulice błyszczały wówczas od życia, tak wiele go unosiło się w powietrzu, czekając, aż ktoś z niego skorzysta. Nasze buty - właściwie nie były nasze - sapały i mlaskały, kiedy biegliśmy. Drogę wskazywał nam kształt płyt chodnikowych, zapach unoszących się w powietrzu spalin, numery autobusów. Kluczyliśmy między przechodniami jak jelenie, które ongiś tańczyły w rosnącym tu lesie. To była ta sama magia, ten sam urok.

Najbliższy znany mi fragment Londyńskiego Muru ukrywał się na południe od Barbicanu, pośród jasnych, wysokich biurowców i odnowionych domów cechowych. Jego czerwone, rozsypujące się kamienie wkomponowano w skład odnowionego ogrodu, w którym pracownicy banków i urzędnicy z City zwykli jeść kanapki. Pełno tam było ładnych fontann i zadbanych geraniów. Ujrawszy z daleka Mur, przez chwilę pomyślałem naiwnie, że wszystko będzie w porządku. Czyste, otaczane miłością kamienie stały z boku małego, wypełnionego zielenią, zagłębienia terenu. Gdy jednak zszedłem po drewnianych schodach do ogrodu, w świetle wszystkich tych znajdujących się na górze okien, zobaczyłem większy fragment Muru. Śmialiśmy się, płakaliśmy, krzyczeliśmy, przygryzaliśmy wargę, robiliśmy to wszystko jednocześnie, a zarazem nie robiliśmy żadnej z tych rzeczy.

Na starożytnych rzymskich kamieniach Londyńskiego Muru ktoś napisał:

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ.

Osunąłem się na ławkę pod murem, czując, że ból wypełniający moje ciało powraca, przebija się przez falę oszałamiającej, ulicznej magii. Zorientowałem się, że nieświadomie szarpię lewą dłonią bandaż spowijający prawą. Ściągnąłem rękawiczkę i odwinąłem zabarwioną herbatą bawełnę. W ukrytej pod spodem skórze wycięto dwa krzyże, jeden w lewym górnym polu drugiego. Miały jaskrawoczerwoną barwę, a skóra wokół nich wciąż była nieco obolała, ale poza tym wtopiły się już w moje ciało, jakby były starym przyjacielem, pamiątką z łona matki.

Byliśmy Nocnym Burmistrzem. Strażnikiem i obrońcą miasta. A teraz kruki z Tower nie żyły, Londyński Kamień pękł, a Mur przeklęto, podobnie jak całą resztę. Starożytne, tajemne, błogosławione obiekty, które zawsze strzegły miasta. Ktoś je zniszczył, sprofanował, przeklął i skazał.

Przeklęte, skazane, zgubione, spalone, zatopione, zburzone, spustoszone, wybierz, co wolisz, wybierz wszystko.

To nie był nasz interes.

Nie nasz problem.

Co niby mieliśmy w tej sprawie zrobić?

Spojrzałem na swoje buty.

Swift ma buty.

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

KONIEC TRASY

Jestem Nocnym Burmistrzem.

Powtórz to jeszcze kilka razy, żeby się przyzwyczaić do tej myśli.

Moje miasto.

Skryłem głowę w dłoniach, ściskając bolącą czaszkę. Nie poczułem się od tego lepiej.

Uniosłem głowę, spoglądając na pomarańczowoczarne niebo, zobaczyłem migające światełka przelatującego samolotu, potem skierowałem wzrok na ziemię u swoich stóp, na buty, które nie były moje, na koniec zaś zerknąłem na mur. Starożytne kamienie, obrońcy miasta, magia i historia połączone w jedno. Znowu zobaczyłem to, co powinienem był zobaczyć już wcześniej, wypisane wielkimi, białymi literami.

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

Wyjąłem z torby telefon z kartą SIM będącą własnością Naira, włączyłem aparat i zadzwoniłem do Dudleya Sinclaira.

Mogłem mu nie ufać, ale to jeszcze nie znaczyło, że nie okaże się użyteczny.

Minęła dłuższa chwila, nim ktoś mi odpowiedział.

- Słucham? - Mężczyzna miał opryskliwy, lekko sepleniący głos. - Kto mówi?

- Jestem Matthew Swift. Muszę porozmawiać z Sinclairem.

Na moment zapadła cisza. Tylko na mgnienie oka potrzebne, by poznać nazwisko, zorientować się, że należy do kogoś nielubianego, a potem zdobyć się na uprzejmą odpowiedź.

- Dobra. Niech pan zaczeka.

Czekałem. W skład tego procesu wchodziło słuchanie melodii Beatlesów granych na flecie nosowym z trzciny. Wytrzymałem jeszcze chwilę, bębniąc nerwowo palcami. Trudno jest przygotowywać się na poważną rozmowę, słuchając „While My Guitar Gently Weeps”

granego na flecie nosowym. Mało brakowało, a dalibyśmy za wygraną.

Gdy Sinclair wreszcie się odezwał, jego głos był tak nagły i donośny, że omal nie upuściłem telefonu.

- Matthew? Tak się cieszę, że cię słyszę. Jak leci?

- Panie Sinclair - zacząłem - uważam, że powinien się pan dowiedzieć, że ktoś przeklął miasto.

- Naprawdę, mój drogi chłopcze? - odparł bez najmniejszej chwili zwłoki. - Jakie to nudne.

Domyślasz się, kto mógł to zrobić?

- Nie mam pojęcia, ale kruki z Tower nie żyją, Londyński Kamień pękł, na Londyńskim Murze namalowano wielki, biały napis, a Nocnego Burmistrza obdarł żywcem ze skóry, nawet go przy tym nie dotykając, człowiek, który niczym nie pachnie i w związku z tym najprawdopodobniej nie jest człowiekiem. Ktoś systematycznie niszczy wszystkie magiczne środki obrony miasta.

- To bardzo uciążliwe - poskarżył się z westchnieniem Sinclair. - I nie wiesz, kto może się ukrywać za tym planem?

- Nie.

- Szkoda. To pewnie znaczy, że najrozmaitsze paskudy wyjdą na ulice i zaczną się pastwić nad niewinnymi. Nici ze świątecznej premii za wydajność.

- Panie Sinclair, myślę, że powinien się pan dowiedzieć czegoś jeszcze.

- Oczywiście, mój drogi chłopcze, oczywiście. Wiesz, że zawsze lubiłem nasze obopólnie korzystne kontakty.

- Panie Sinclair - zacząłem, zaczerpując głęboko tchu. - Jestem nowym Nocnym Burmistrzem.

- Naprawdę? Dobry Boże, kiedy to się stało?

- Mniej więcej w tej samej chwili, w której mój poprzednik wyzionął ducha do przewodów telefonicznych.

- Ach, rozumiem. To... nieoczekiwane. Tak, naprawdę, to bardzo niezwykle i godne uwagi. Podejrzewam, że ty również byłeś tym zaskoczony?

- Tak, można powiedzieć, że się wystraszyłem.

- Tak, naturalnie, tego należało się spodziewać. To zrozumiałe. Tak... - Jego głos ucichł. - Matthew, wiesz, że bardzo niewiele z tego, o czym słyszę w obecnych czasach, może mnie jeszcze zaskoczyć, muszę jednak przyznać z całą szczerością, w ramach swobodnej wymiany informacji, że twój telefon i ta niezwykle informacja dotycząca twego obecnego mitycznego statusu z pewnością mnie zdumiewają. Jesteś pewien, że to wszystko prawda?

- Tak.

- W tym również tego, że jesteś Nocnym...

- Tak. To ma sens, na swój odrażający sposób. Panie Sinclair, chyba potrzebuję pańskiej pomocy.

- Tak, naturalnie, zawsze chętnie ci pomogę, mój drogi chłopcze, naturalnie, naturalnie.

- Widziałem twarz istoty, która zabiła Naira.

- Istoty? A więc to nie był człowiek?

- Nie był.

- I mówisz, że go widziałeś?

- Tak.

- To niezwykle. Tak, naprawdę niezwykle. Muszę przyznać, że zastanawiam się, jak ci się udało...

- Świadkiem incydentu był lis. Podzieliliśmy się kebabem i kilkoma wspomnieniami.

Panie Sinclair, istota, która zabiła Naira, nawet go nie dotknęła. Nigdy nie widziałem nic podobnego. Nie mamy też powodu, by wierzyć, że jeśli zamordowała go dlatego, że był

Burmistrzem, nie zrobi tego samego z nami, i nie jesteśmy pewni, czy zdołamy ją powstrzymać.

Zapadła cisza, tym razem dłuższa. Sinclair niemal nigdy nie zamykał ust.

- Dobra - odezwał się wreszcie. - Spotkajmy się.

* * *

Cel.

Cel oznacza powód.

Powód oznacza myśl.

A myśl to...

...martwi ludzie nieludzie tylko mięso martwe mięso na chodniku martwy Nocny Burmistrz dziesięć tysięcy papierowych cięć nawet nie dotknął martwe mięso straciło wszystkie twarze i naturę zostało tylko...

Przestań.

...martwe kruki ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ martwe kruki rozbite kamienie przełamane osłony zniszczone bariery ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ koniec trasy koniec trasy zrób ze mnie cień na ścianie nie pachnie nie pachnie właśnie go zabiłem martwe mięso i lis nie ukrył zapachu koniec trasy jestem Nocnym Burmistrzem Nocny Burmistrz martwy na chodniku zabić ideę zabić miasto zabić miasto ideę osłonę barierę coś nadchodzi zrób ze mnie cień...

Te myśli nie przypadły nam do gustu.

Spróbowaliśmy je stłumić chodzeniem.

Chodzenie oznacza rytm.

Fleet Street. Spodnie w prążki, nieskazitelne jedwabne garnitury, zaczesane do tyłu włosy, czarne skórzane teczki. Prawnicy i bankierzy, zwyczajni londyńscy bogacze. Czy mają jakiś zapach? Trudno go wykryć pod smrodem autobusowych spalin, wonią kawy płynącą z otwartych drzwi, zapachem ciastek i drożdży pochodzącym z drogich piekarni, wonią absolutnej czystości charakteryzującą kawiarnie oraz ostrym odorem proszków do prania emitowanym przez pralnie chemiczne. Czy ich serca biją, czy w ogóle oddychają, czy poruszają gardłami pod sztywnymi kołnierzykami? Przyjrzeć się im znaczyłoby zwolnić kroku, a iść wolniej znaczyłoby myśleć, znaczyłoby stać się zauważalnym, a nie wiadomo, kto mógł patrzeć. Widzieliśmy niekończący się szereg plamistych, anonimowych twarzy, zlewających się w ruchome, różowawoszare cienie oświetlone blaskiem latarni, elegancko wypastowane buty, obcasy stukające o chodnik, białe koszule i sztywne krawaty... jaki był

kolor krawata Naira? Nie potrafiliśmy sobie tego przypomnieć, wszystko przesłaniały smród, przerażenie, zmysły i krew. Dziesięć tysięcy małych śmierci zadanych jednocześnie, każde cięcie ostrzejsze niż najostrzejsza brzytwa, dziesięć tysięcy małych śmierci w jednej chwili i twarz... tylko twarz i garnitur w prążki. Nigdzie nie znajdzie się więcej prążków niż na Fleet Street.

To było moje miasto.

Gmach Sądu Najwyższego. Grupki dziennikarzy, guzowate kamienne szpice i jasne białe światła. Aldwych. St. Clements Church, dźwięki „Oranges and Lemons”, niosące się nad przystankami autobusowymi ulokowanymi w cieniu drzew, London School of Economics, ze swymi frytkami, segregatorami i odgłosem szybkich kroków, bank, BBC, wielkie posągi dam trzymających płonące pochodnie, ambasada Indii, swastyki i kręcone litery wykute w kamieniu. Czy tamten chłopak w kapturze na głowie ma twarz? Kawiarnie i teatry. Jasne światła przeganiające cienie i wyobraźnię. Tanie kanapki, zatłoczone przystanki autobusowe. Czuliśmy smak unoszącej się w powietrzu magii, jaskrawy, gorący i czerwony, zapadał nam w żołądek jak mocne curry, wypełniał żyły, pchał nas wciąż naprzód, dodawał

odwagi. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, że te światła mogłyby kiedykolwiek zgasnąć. Tu nic nam nie zagrozi, zbyt wielu ludzi, za dużo jasności i innych rzeczy, z których mogliśmy zrobić użytek.

Drury Lane, jedno przedstawienie, które nigdy nie zejdzie z afisza, i drugie, które umrze po tygodniu, pięć różnych rodzajów restauracji i jeden magazyn pełen mebli, na których nikt nigdy nie usiądzie, choć wszyscy zawsze będą je podziwiał. Skierowałem się ku bocznym zaułkom, mijając Covent Garden od tyłu. Spoglądałem z uwagą za siebie, przesuwałem palcami po poręczach, wokół latarni, po ścianach, nasłuchiwałem czymś więcej niż tylko uszami, zachowywałem ostrożność. Dwukrotnie okrążyłem Covent Garden, nim wreszcie zdecydowałem się wejść do środka, zakreśliłem pętlę wokół kościoła św. Pawła, którego dziedziniec zamknięto już na wieczór, ruszyłem brukowaną uliczką, ciągnącą się spokojnie na południe od Long Acre, a potem znowu skierowałem się w stronę Bow Street, ku Royal Opera House. Szkło, stal, marmurowe kolumny i grube, czerwone dywany.

Pojechałem nowymi, jasno oświetlonymi schodami ruchomymi w górę, mijając szklaną salę, pełną stołów restauracyjnych, na których paliły się świece. W barze kupiłem sobie paczkę orzeszków, wielką szklankę soku pomarańczowego oraz prawa do najciemniejszego i najciaśniejszego kąta w lokalu. Cena wystarczyłaby na niewielki posag, ale nie byliśmy skłonni się skarżyć. Usiedliśmy i zaczęliśmy obserwować.

Widzowie z teatrów West Endu są jedyni w swoim rodzaju, a ci, którzy chodzą do opery, są jeszcze o krok dalej. Kobiety nosiły wielkie, ściskające gardła naszyjniki, olbrzymie srebrne broszki przypięte do pokrywającego piersi jedwabiu, żakiety wyglądające jak szale, kurtki pragnące zostać płaszczami pozostałymi po jakiejś zapomnianej erze, gdy cylindry były jeszcze w modzie, torebki na złotych łańcuchach, okulary w cienkich oprawkach balansujące na czubkach nosów przypominających stoki narciarskie. Jeśli chodzi o mężczyzn, normę nadal stanowiły garnitur i krawat, ale nawet w tym przypadku podnosili poprzeczkę.

Pingwiny z jedwabnymi chusteczkami w kieszeniach kamizelek ocierały się o rękawy ze stu procentowego tartanu, te zaś zderzały się, szepcząc „przepraszam, przepraszam, tak, dziękuję, przepraszam” z garniturami barwy żółtej bądź granatowej, mającymi sugerować strój wieczorowy, ale swobodny. Nadanie mu takiego charakteru kosztowało mnóstwo czasu i pieniędzy.

Od całej tej jedwabnej pstrokaczyny odróżniało się bardzo niewiele osób i obawiałem się, że jestem jedną z nich. Była też para Amerykanów w rozpiętych koszulach, nosząca wielkie torby biodrowe, oraz grupka japońskich turystów, kiwających głowami do wszystkiego, co zobaczyli, a także dwóch studentów o długich włosach i starannie wystrzępionych džinsach krzyczących „styl artystyczny”. Ten, kto napisał w przewodniku, że torba biodrowa jest praktycznym zabezpieczeniem przed kradzieżą, był kłamcą, żaden inny element stroju nie woła „okradnij mnie” głośniejsz niż zapinana na ekspres plastikowa torba wisząca w kroku.

Wsunąłem się jeszcze głębiej w cienie. Była tu magia, oczekiwania, tajemnice, sztuczki i iluzje wiązały się nierozzerwalnie z tym miejscem i wszystko to mogłem wykorzystać. Ludzie byli tu bardziej skłonni ulec czarowi, a także nie zauważać, co się dzieje.

I jedno, i drugie mogło mi pomóc. Owinąłem się magią, zaciągnąłem wokół siebie gęste zasłony cienia, utkałem w powietrzu tkaninę zmyłek i oczekiwań, pozwalając, by każdy, kto skierował spojrzenie na mój kąt, dostrzegał tylko ukrytą w cieniu postać, a zaraz potem o niej zapominał, przechodząc do ważniejszych spraw. Popijałem sok pomarańczowy i jadłem orzeszki - specjalność opery - powleczone przyprawami i prażone w śródziemnomorskim słońcu.

Dudley Sinclair zjawił się trzy minuty przed podniesieniem kurtyny. Miał na sobie pełen strój wieczorowy, z półpłaszczem zarzuconym na potężne, przygarbione ramiona. Jego brzuch mocno rozciągał kamizelkę, w którą mimo to jakoś zdołał się wcisnąć. Nie był sam.

Poznałem Charliego, jego towarzysza, pomocnika, asystenta, sekretarza, czy jak go tam zwał.

Nawet w tłocznej sali poczułem jego zapach, gęstą jak melasa woń Zmiennokształtnego, który zbyt wiele czasu spędza pod postacią szczura.

Nie próbowali mnie odnaleźć, a ja nie miałem zamiaru się ujawniać. Siedziałem i czekałem, by się przekonać, czy przyprowadzili ze sobą kogoś jeszcze. Jeśli tak, „ktoś jeszcze” świetnie się ukrywał. Zabrzmiał ostatni dzwonek i tłum popłynął przez otwarte drzwi do sali. Sinclair poszedł tam z całą resztą. Charlie został przy drzwiach. Czekałem, aż w barze zostanie tylko on. Wtedy, ponieważ był tu sam ze mną, zauważył mnie.

Skinął niecierpliwie. Dopiłem sok i podszedłem do niego. Wręczył mi bilet.

- To paranoja - warknął.

- Dźgnięto mnie nożem i poparzano - odparłem, wskazując na swe obrażenia.

Charlie chrząknął tylko w odpowiedzi.

Sinclair miał lożę. Natychmiast poczuliśmy się nieswojo, zamknięci w małej, wyściełanej klitce z grubasem i jego kumplem. Zawsze sobie wyobrażałem, że gdy nadejdzie rewolucja i uruchomi się gilotynę, pierwsi pod nóż pójdą ludzie mający prywatne loże w operze.

Siedziałem niespokojnie na krześle, wciskając się w ścianę. Wolałbym mieć za plecami coś solidniejszego.

- Matthew! - przywitał mnie Sinclair. - Cieszę się, że mogłeś przyjść. Lubisz operę?

- Nie jestem pewien - wymamrotałem. - Nigdy żadnej nie widziałem.

- No cóż, to będzie dla ciebie nowe doświadczenie. Cieszę się, że mam szansę oświecić niewtajemniczonych. Szampana?

Na składanym stoliku przed nami ustawiono kosz piknikowy. Zaczynaliśmy rozumieć, do czego służą loże.

- Chyba nie powinienem nic pić - odparłem, biorąc sobie kanapkę. Nigdy nie odmawiamy poczęstunku. Zawsze się dziwię, że nasze odbicie w lustrze jest takie chude.

- Wyglądasz na podenerwowanego.

Obrzuciłem go skwaszonym spojrzeniem.

- Lincolna zabito w teatrze.

- Ale zabójcę przynajmniej schwytano, tak? Matthew! Okropnie wyglądasz, wiesz?

Powinieneś się trochę odprężyć. Jestem pewien, że cały ten interes ze skazanym na zagładę miastem i twoją odpowiedzialnością za nie jakoś się rozwiąże bez większych kłopotów, a spoglądając wstecz, będziesz mógł mówić: „Całe szczęście, że już po wszystkim. Będzie o czym opowiadać w pubie”. Teraz siadaj... i ciesz się jedną z najwspanialszych postaci sztuki znanych człowiekowi.

Bardzo się staraliśmy tak zrobić.

* * *

Najwspanialsza forma sztuki znana człowiekowi, jeśli rzeczywiście nią była, wymagała obsady składającej się z około czterdziestu osób łącznie z chórem. Artyści nosili najrozmaitsze stroje, od

ciasnych trykotów i obcisłych topów aż po wiedeńskie suknie balowe, zmuszające do obrócenia się bokiem, by przejść przez drzwi. Żałowaliśmy, że rozumiemy tak dużo. Sama muzyka wydawała się piękna, a nawet wzruszająca, ale nie potrafiliśmy przełknąć tekstów, przez większość czasu najwyraźniej obracających się wokół

tego, kto wysłał komu jaki list.

Staralem się jak mogłem. Pozwoliłem, by czar mną zawładnął, wypłukał z głowy myśli pełne strachu i niepewności. Zawsze kochaliśmy dobre opowieści. Chciałem na chwilę czy raczej na szereg bardzo długich chwil, z jakich składało się przedstawienie, poczuć się bezpiecznie, zapomnieć o myśleniu słowami.

Dźwięki muzyki pomogły nam przegnać drzenie, uspokoić się choć na moment.

Pozwoliliśmy na to. Zapewne tego właśnie chciał Sinclair. Był sprytny, gdy chodziło o takie sprawy.

W przerwie cicho się poruszający mężczyzna przyniósł nam dzin z tonikiem. Sinclair dał mu piątaka napiwku. Charlie wręczył mi szklankę.

- Lepiej nie - sprzeciwiłem się. - Biorę środki przeciwbólowe.

- Nie szkodzi - odparł radosnym tonem grubas.

Nim zdążyliśmy się sprzeciwić, wyjął nam szklankę z dłoni i podał ją Charliemu, nawet nań nie spoglądając. Młodzieniec wypił wszystko jednym haustem, jakby to była wódka.

Druga część nie przyniosła rozwiązania kłopotów z pierwszej. Najwyraźniej o nich zapomniano i zaczęła się nowa, dziwna opowieść, dotycząca księdza i błazna. Wszystko jednak się w końcu rozstrzygnęło, dzięki dwóm pchnięciom sztyletem i nagłemu przypadkowi suchot, który zabił śpiewającą kobietę, ale jakimś cudem nie zaszkoził jej głosowi. Pod koniec każdego dobrego kawałka audytorium reagowało z tak wielkim entuzjazmem, jak tylko to możliwe w operze. Oparliśmy łokcie na krawędzi łoża, wspierając podbródek na dłoniach, i gapiliśmy się na to z fascynacją. Nigdy jeszcze nie spotkaliśmy się z pełną skalą dziwacznej, hipnotyzującej niezwykłości opery, nie wyobrażaliśmy sobie, że będzie tak bardzo jasna, wielka, głośna, że tak bardzo będzie sobą.

Po przedstawieniu widzowie bili brawo, a artyści kłaniali się im przez krótką wieczność.

Sinclair klaskał uprzejmie, ale nie wyrażał zbytniego zachwytu.

- To dość prymitywne - mruknął. - Nie należy do jego najlepszych dzieł.

Charlie uśmiechnął się tylko. To był uśmiech człowieka, który widział już więcej oper, niż mogą znieść bębenki, utracił zdolność słyszenia dźwięków w zakresie sopranu, ale nawet w najmniejszym stopniu mu ich nie brakowało.

Wmieszaliśmy się w wychodzący tłum. Była dość późna, dziwna pora, gdy w zasadzie można by już

położyć się spać, ale z jakiegoś powodu uchodziłoby to za niehonorowe.

Covent Garden był pełen żółtych świateł, ruchliwych pasażerów handlowych, otwartych drzwi, stukotu krzeseł i dźwięków produkowanych przez ulicznych muzyków. Nadal toczyło się tu życie, mimo dotkliwego chłodu i wiszącej nisko nad ziemią mgły przesłaniającej latarnie.

- Nie masz nic przeciwko małej kolacji, prawda? - zapytał Sinclair.

Charlie z uwagą owinał szefa w kolejny płaszcz.

- Kolacja brzmi bardzo dobrze.

- Świetnie! Znam taki lokalik...

Lokalik okazał się restauracją ukrytą na jednej z ciasnych, mrocznych uliczek między Covent Garden a Strand. W dawnych czasach Dickens bał się tam każdego cienia, a złodzieje czaili się w zaułkach pełnych teraz syczących odpowietrzników i gnijących frytek. To była jedna z tych restauracji, do których można trafić tylko wtedy, gdy się o nich wie. Nie było menu przy drzwiach ani szyldu nad nimi, nic na brudnych, brązowych szybach nie sugerowało, że za czarnymi, pozbawionymi ozdób drzwiami, mogący być zwyczajnym wyjściem dla maszynistów teatralnych, można dostać coś do jedzenia. Powrócił niepokój, w znacznym stopniu stłumiony przez muzykę.

Czekający za drzwiami mężczyzna w cylindrze i białych rękawiczkach zdjął

Sinclairowi płaszcz. Gapiliśmy się na niego ze zdumieniem.

- Mogę prosić o pański płaszcz? - zapytał, spoglądając na nas z ledwie skrywanym niesmakiem.

Pokręciłem apatycznie głową.

- Wolałbym go zatrzymać.

- Jak pan sobie życzy.

Były tu dwa pasy schodów ruchomych, okutych brązem. Schody ruszyły, gdy podeszliśmy bliżej, a potem zaniósł nas do wąskiej klatki schodowej o ścianach pokrytych lustrami, również z brązu, które w nieskończoność odbijały nasze wypaczone twarze. Na szczycie znajdowała się kolejna czerwona kurtyna, którą odsunęła przed nami druga para białych rękawiczek. W sali panował półmrok. Wszędzie było pełno miedzi i brązu, w błyszczących powierzchniach widziałem nasze zniekształcone odbicia. Z ulgą zobaczyłem przy stolikach innych gości i usłyszałem cichy szmer dobrodusznych, karmionych winem plotek. Zaprowadzono nas do okrągłego stolika pośrodku sali. Stały przy nim trzy krzesła.

Nie podano nam menu. Pewnie prośenie o nie było w złym guście.

- To lokal w bardzo nowoczesnym stylu - wyjaśnił Sinclair, widząc moje zdziwienie. -

Szef kuchni lubi interesujące eksperymenty... to niezupełnie w moim stylu, oczywiście, ale zasługuje na uwagę.

Dobrze nas znał.

Uśmiechnąłem się, trącając palcem jeden ze sztucców, wyglądający, jakby uciekł z tacki chirurga oftalmologa.

- Zatem zostałeś Nocnym Burmistrzem? - zapytał Sinclair.

- Ehe.

- I jak się z tym czujesz, Matthew?

- Nie za dobrze.

- Tak, tak, oczywiście. Rzecz jasna, to nie mój interes i nie chciałbym wywierać na tobie błędnego wrażenia, naturalnie, naturalnie, ale jako twój przyjaciel muszę zauważyć, że jesteś odrobinę błady.

- To prawda.

- Czy mogę w takim razie wysunąć śmiało przypuszczenie, wybacz, jeśli jestem w błędzie, ale czy nie zostałeś nim wbrew woli? Nie wydaje mi się, by twoje ambicje kiedykolwiek zmierzały w tę stronę.

- Nie zmierzały - warknąłem. - Zadzwonił telefon, odebrałem go i nagle, łup. Jakiś dupek postanowił przekazać tytuł przez telefon i w następnej chwili miałem rękę jak gotowany burak, a do tego ścigały mnie cztery rozjuszone widma.

- Widma?

- Cztery.

- To bardzo niefortunne. Jak rozumiem, spotkanie nie miało niekorzystnego zakończenia?

- Złapałem jedno do butelki po piwie - pochwaliłem się. - Reszta uciekła. Wtedy myślałem, że wysłała je ta sama osoba, która zaatakowała mnie przez telefon, ale po zastanowieniu uważam, że... wcale nie miały mnie atakować. Po prostu szukały Nocnego Burmistrza. Przyciągałem je. Takie przekazanie mocy nie może się obyć bez komplikacji.

- Widma są w tym mieście rzadkością - wyszeptał Sinclair.

- To prawda.

Przyniesiono drinki - jakąś ciemnofioletową maź w wysokich szklankach. Sinclair powąchał ją i się skrzywił.

- Tak - wyszeptał. - No cóż, to eksperymentalna kuchnia. Jestem przekonany, że ten napój ma w jakiś

sposób harmonizować z daniami, reagować z taniną, białkami czy jakąś inną naukową ciekawostką. Nie poczuję się urażony, jeśli go nie wypijesz, Matthew. Miałeś okazję poznać Naira?

Wiedział, kto był poprzednim Nocnym Burmistrzem. Zatroskani obywatele uważnie śledzili podobne sprawy.

- Nie.

- To ciekawe.

Nie skomentowałem tego ani słowem.

- No wiesz, tradycyjnie Nocny Burmistrz przekazuje swą... czy możemy to nazwać rolą? Może lepsze byłyby obowiązki albo odpowiedzialność. To coś więcej niż tytuł.

Przekazuje je w testamencie wybranemu, wyszkolonemu następcy. Z reguły jest to jeden z Rajców. Nair był Rajcą, nim został Nocnym Burmistrzem. Tak załatwiano to od pokoleń. Jak sądzisz, mój drogi chłopcze, dlaczego znalazłeś się w tej... niezwyklej sytuacji?

- Nie mam pojęcia.

- Musi istnieć jakiś powód. Mistyczne siły, metafizyczne moce, los, przeznaczenie, wolny wybór i tak dalej. Przypadki nie istnieją, zwłaszcza gdy chodzi o to szczególne zajęcie.

Postawiono przed nami talerz z... czymś. Wyglądało to jak purée z jelit ozdobione rzepami. Pogrzebałem nerwowo w potrawie końcem czegoś, co mogło być widelcem.

Przyszło mi na myśl, że słabe oświetlenie ma za zadanie ukryć prawdziwą grozę podawanych potraw. Zamknąłem oczy, nadzialiśmy kęs na sztuciec i wsadziliśmy do ust.

Mogło być gorzej.

Kącikiem oka zauważyłem, że Charlie obwąchuje nieufnie potrawę. Sinclair wetknął sobie serwetkę za kołnierz i zabrał się do jedzenia.

- Zakładam, że zbadałeś sprawę i wiesz, że miasto naprawdę jest przeklęte. Nie wątpię w to nawet przez chwilę. No wiesz, wszyscy słyszeliśmy pogłoski, naturalnie, wszyscy zauważyliśmy kilka znaków i zgadzamy się, że gdy Nocny Burmistrz, mam na myśli Naira, pada ofiarą brutalnego morderstwa, sytuacja staje się niepewna, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Na pewno widziałeś parę rzeczy, zadałeś kilka pytań, bo do takich wniosków nie dochodzi się ot, tak sobie.

- Oddajcie mi mój kapelusz - odparłem.

- Słucham?

- Oddajcie mi mój kapelusz.

- Ktoś ci go zabrał, czy to jakaś metafora, której głębokie znaczenie w tej chwili wymyka się moim wyższym zdolnościom intelektualnym?

- Widzę to wszędzie. Te słowa, to zdanie. Przedtem tego nie zauważałem, nie zwracałem na to uwagi. Ale teraz zacząłem się przyglądać i widzę to wszędzie. Na kolumnach pod Waterloo Bridge, na murach w Willesden, nad martwymi krukami w Tower, na żaluzjach sklepu, w którym powinien się znajdować Londyński Kamień. Oddajcie mi mój kapelusz.

- Sugerujesz, że to dziwaczne żądanie ma jakiś związek z twoją obecną sytuacją?

- Tak.

- A jaki?

- Tego nie wiem. Widzę jednak ten napis wszędzie, gdzie dzieje się coś złego. Kruki z Tower nie żyją, Londyński Kamień pękł, na murze pojawiły się znaki. Wszystko to byli obrońcy miasta, chroniący je przed czającym się w nocy złem.

- Jakim złem?

- Nie mam pojęcia. Gdybym to wiedział, to by zapewne znaczyło, że ochrona nie zadziałała.

- Pewnie masz rację.

- Ale, jak pan zauważył, widma rzadko występują w Londynie. I szukały mnie, bo odebrałem ten telefon. Jeśli zniszczy się wszystkie osłony, zabije kruki, kto wie, co wylezie spod ulic? Ktoś zrobił to celowo. Zabił kruki, zamordował Naira. To z pewnością złe wieści.

- A ty znalazłeś się w samym sercu sprawy - wyszeptał Sinclair, raczej do siebie niż do mnie, dźgając sztucem bryłową masę, która mogła być jedzeniem. - To bardzo...

kontrowersyjne.

- Ma pan rację.

- I najprawdopodobniej to Nair cię wybrał.

- Najprawdopodobniej.

- Jak uważasz, dlaczego to zrobił?

Zawahałem się.

- Z pewnością zastanawiałeś się nad tą kwestią.

- Widziałem twarz istoty, która go zabiła. To znaczy Naira.

- Tak? I jak ona wyglądała?

- Jak zwyczajny facet w garniturze w prążki. Czystym i odprasowanym. Włosy miał

zaczesane do tyłu. Po prostu facet w garniturze. On nawet go nie dotknął. Popłynęło tak wiele krwi, a kiedy skończył, z Naira zostały tylko... mięso i kości. Nigdy nie widziałem... nawet sobie nie wyobrażaliśmy... nie chcemy zginąć w ten sposób.

Sinclair pochylił się nad blatem, splatając tłuste palce.

- Tak, chyba to rozumiem.

- On w ogóle niczym nie pachniał. Lis wszystko widział. Pytaliśmy go o to, ale nie poczuł żadnego zapachu. Stworzenie, które zabiło Naira, nie było człowiekiem. Facet w garniturze, ale nie człowiek. Nair nie zginąłby, gdyby nie był Nocnym Burmistrzem. To jest powód, tak? Masz piętno na dłoni, więc jesteś obrońcą miasta. Spróbujcie mnie załatwić, wszystkie paskudy! Polujcie na mnie, widma i cienie! Nie chcemy zginąć w ten sposób!

- Czy wiesz, co to było? Ten stwór, który zabił Naira?

Potrząsnąłem głową.

- Nie.

- Ale wyglądał jak człowiek?

- Tak.

- A mimo to, nie był nim.

- To prawda.

- Rozumiem. To może być trudne.

Sinclair westchnął i rozsiadł się wygodniej. Kelnerzy zabrali talerze. Mieli klasę.

Wystarczająco wiele klasy, by nie pytać, jak nam smakowało, a po prostu zrozumieć, że nigdy nic podobnego nie jedliśmy.

Po chwili grubas westchnął, wydymając rumiane policzki.

- Opowiedz mi o swoich butach - zażądał, zupełnie od niechcienia.

W pierwszej chwili nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Słucham?

- O butach.

- Dlaczego się pan nimi interesuje?

- Raczej nie są w twoim stylu, Matthew. To przyciągnęło moją uwagę.

- Nie docenia mnie pan - warknąłem.

Rozciągnął w uśmiechu okrągłe usta, odsłaniając równe, białe zęby.

- Daj spokój, Matthew. Wiesz, że interesują mnie takie rzeczy. Gdy tylko usłyszałem o zabójstwie Naira, natychmiast uznałem, że będą kłopoty. Potem nadeszła śmierć kruków i rozbicie kamienia. Pomyślałem sobie, jakie to uciążliwe, że ktoś próbuje zniszczyć magicznych obrońców miasta. W świetle tych faktów zbadanie sprawy wydawało się rozsądne, tak jest, bardzo rozsądne. Rzecz jasna, sprawdziłem też ciebie. W końcu, któż inny mógłby tak łatwo zgromadzić nadnaturalną moc potrzebną, by dokonać takich rzeczy? Któż inny mógłby zabić Naira? Któż inny mógłby być wystarczająco szalony, by tego spróbować?

Zacisnęliśmy palce na sztuccach.

- Za dobrze nas pan zna, by w to wierzyć - warknęliśmy.

- Tak, być może znam. Niewykluczone, że właśnie w tym punkcie Rajcy popełnili błąd. Wiem, jacy oni są, Matthew. Utrzymujemy... kontakty w czasach kryzysu. Takich jak obecne. Jestem pewien, że zauważyłeś, że wiem o teźce z biurka Naira. Jest w niej notatka mówiąca: „Swift ma buty”. Co to właściwie znaczy?

Spojrzałem na swe stopy, a potem przeniósłem wzrok z powrotem na grubasa.

- Myślałem, że nic - odparłem.

- To samo sądziliśmy na temat tego graffiti i zobacz, gdzie wylądowaliśmy. Po ulicach chodzą widma. Załóżmy na chwilę, że nic jest czymś, i poczujmy się dumni z tego, że rozumiemy kwantowe paradoksy, dobra? Opowiedz mi o tych butach. Łatwo zauważyć, że nie należą do ciebie. Nie chciałbym kwestionować twojego gustu...

Prychnąłem pogardliwie.

- ...ale modne czerwono-czarne adidasy o kilka numerów za duże raczej do ciebie nie pasują. Nair napisał: „Swift ma buty”. Dlaczego tak się nimi interesował? Dlaczego zrobił cię Nocnym Burmistrzem?

Opowiedziałem mu wszystko.

Pierwsze interludium

Buty czarnoksiężnika

W którym przy kolacji opowiada się historie pary adidasów.

- To nie są moje buty - zacząłem. - Należą do chłopaka imieniem Mo. Naprawdę nazywa się Michael Patrick Hall, ale ktoś, kto chce być spoko, nie może się nazywać Michael, chyba że już siedział. Dlatego wszyscy mówią na niego Mo. Nigdy go nie spotkałem. W tym właśnie rzecz.

* * *

Wszystko wydarzyło się bez żadnych wyjaśnień.

Byłem w Hoxton, na ulicznym targowisku. Nie pamiętam, po co tam poszedłem.

Powroty bywają trudne. Są pewne rytuały i przyzwyczajenia, które kiedyś uważałem za oczywiste. Te czasy już minęły.

Tak czy inaczej, Hoxton. Mówi się o nim „trendy”, ale nie jestem pewien, czy to właściwe słowo. To straszliwy miszmasz. Długie szeregi domów bliźniaków, świeża farba sąsiadująca z zabitymi deskami oknami. Komunalne bloki gnijące od środka, pleśń i osypujący się tynk, spływający po ścianach wraz z wodą z popękanych rur. Nowe apartamentowce, jaskrawa farba, świeże cegły i stal, galerie sztuki ukryte za miejscowymi mordownikami, ośrodki nauczania jogi zagnieżdżone między starymi garażami, tandoori, frytkarnie, chińszczyzna na wynos, kebaby halal, koszerne piekarnie oraz niskie, przysadziste warzywniaki, w których sprzedaje się dziwne rośliny mogące być jarzynami. Ukryte pod ziemią kluby, których wejścia są za dnia po prostu zwykłymi drzwiami, nocą zaś zmieniają się w rozświetlone fioletowym blaskiem jaskinie strzeżone przez potężnie zbudowanych facetów w czerni. Kluby towarzyskie, gdzie nikomu nie przeszkadza palenie, stoły bilardowe w słabym blasku jarzeniówek. Ośrodki rekreacyjne, gdzie stare, wypastowane podłogi skrzypią przy każdym kroku. W Hoxton można znaleźć po trochu wszystkiego. Przypomina starego, przygarbionego dziadunia gapiącego się na biegające dzieci. Jest tu też magia, jeśli się wie, gdzie jej szukać, wystarczająco wiele magii, by wywołać pożar, choć nigdy nie wiadomo, co może się zająć ogniem.

Na targowisku sprzedawano rybę z frytkami. Poszedłem tam pewnej nocy, bez wyraźnego powodu. Po prostu poczuliśmy zapach octu i nie potrafiliśmy się oprzeć pokusie.

Było już późno, chyba po jedenastej, i sklepy zamykano, a na ulicach jak zwykle wałały się resztki z targowiska. Rozgniecione owoce, puste kartonowe pudełka, podarte plastikowe torebki. Facet sprzedający frytki nazywał się Kishan. Choć nosił indyjskie imię, był biały i piegowaty jak brudny śnieg. Ufarbowane na czarno włosy związał sobie w dredy, a kolczyk zwisał na plastikowym kółku z ucha, które nie było po prostu przekłute, lecz była w nim dziura wielkości dziesięciopensówki. Czuliśmy fascynację połączoną z odrazą. Robiłem, co mogłem, żeby się na niego nie gapić.

Kupiłem gładzicę z frytkami i usiadłem za stolikiem przy oknie. Wszystko w lokalu wydawało mi się plastikowe, niemalże sterylne.

Siedziałem tam chyba z pół godziny, gdy nagle Kishan powiedział:

- Proszę pana, już zamykamy.

Wzruszyłem ramionami i zacząłem jeść szybciej.

- Hej, nie boi się pan wracać? - zaniepokoił się młodzieniec.

Rzadko słyszę takie pytania. Mężczyźni nie pytają innych mężczyzn o to, czy na pewno bezpiecznie wrócą do domu. Zakładają, że pod chuderławą posturą kryje się potężnie zbudowany mistrz kung-fu, który nie musi się obawiać napadu.

- Dziękuję, dam sobie radę - odparłem.

Uświadomiłem sobie, że chłopak się niepokoi. Co chwila spoglądał na okno.

- Ehe - mruknął. - Jasne.

Ja również wyjrzałem przez okno, ale nie zauważyłem nic poza śmieciami poruszonymi powolnym wiatrem. Dokończyliśmy frytki, wytarliśmy ręce o przetłuszczony papier i wstaliśmy.

- Hej, jest pan pewien, że wszystko w porządku? - zapytałem.

- Ehe - odparł, zerkając na mnie z ukosa. - W jak największym porządku.

Te słowa nie wymagały tłumaczenia.

- Dobra - odparłem. - No to dobranoc.

Wyszedłem z lokalu.

* * *

Jak mówią, ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Jesteśmy bardzo ciekawi. Świat, ten żywy świat, jest pełen incydentów, niezwykłości, doświadczeń, wydarzeń, wszystko dzieje się tak szybko, że dziwię się, że śmiertelnicy nie wpadają w obłąd. Można się jednak nauczyć odgradzać od tego wszystkiego, postrzegać tylko to, co dla nas ważne. Stworzyliście powiedzenia takie jak „ciekawość to pierwszy stopień do piekła”. To bardzo rozsądne. To niewybaczalne marnotrawstwo.

Jesteśmy ciekawi i, jak już mówiłem, nie miałem nic lepszego do roboty.

Oddaliliśmy się o jakieś pięćdziesiąt jardów, a potem obejrzelśmy za siebie. Na ulicy było pusto. Postawiłem kołnierz kurtki, sięgając po drobne zaklęcia wszyte w podszewkę.

Potem zawróciłem. Między drogerią a piekarnią znajdowały się drzwi. Wsunąłem się w wejście, by

znaleźć osłonę przed wiatrem. Czekanie jest z definicji nudną czynnością. W

dawnych czasach mężczyźni zajęci obserwowaniem czegoś palili papierosy, by mieć jakieś zajęcie. Przeczytaliśmy wiele powieści kryminalnych, pożeraliśmy też takie filmy. Philip Marlowe, kręcący się po księgarni położonej dogodnie naprzeciwko obserwowanego lokalu, znalazłby sobie jakąś blondynkę w okularach, po których zdjęciu jej wygląd zmieniłby się całkowicie, a potem wypiliby razem burbona, rozmawiając o niczym, a zarazem o wszystkim, nie musząc mówić tego na głos.

To jednak było wtedy. Teraz byliśmy w Hoxton.

Zaczęło się od zapachu. Pomyśleliśmy, że gdzieś zostawiono otwartą studzienkę i wiatr niesie ze sobą jej ostry smród. Nie był to wywołujący mdłości odór nieczystości, ta woń była zbyt specyficzna. Docierała do nas za pośrednictwem kanałików łzowych, wciskała się przez nos, a gdy dotarła do płuc i wniknęła w przetyk, zostało z niej za mało, by żołądek miał

powody się niepokoić.

Potem nadszedł dźwięk.

Brzmiał jak odgłos towarzyszący zrywaniu plastrów z owłosionej skóry - trzaski, mlaskanie i powolne pęknięcie tysiąca małych igiełek. Brzmiał jak gęsty olej, wylewany z bardzo wysoka z metalowej puszki, gdzieś daleko. Zauważyłem, że światła w lokalu po drugiej stronie ulicy zgasły, a żaluzje się zasunęły. Kishan wyszedł na dwór. W jego oczach malował się strach. Spojrzał na ulicę, przesunął po mnie wzrokiem, jakby mnie nie było.

Przerażenie emanowało z jego twarzy i całej sylwetki. Uświadomiłem sobie, że widział to już przedtem, czuł już ten zapach. Próbował przedtem mnie ostrzec, skłonić do ucieczki, ale ja go nie posłuchałem. A teraz stał na ulicy, sparaliżowany znajomym strachem, nieumniejszonym przez fakt, że miał do czynienia z czymś, co zdarzało się regularnie. Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem i zrozumiałem, czego się boi.

Stwór miał żółtobiały kolor, jego powierzchnia ociekała gęstą, oliwkowobrązową cieczą, spływającą powoli, jak woda z fontanny. Nie miał rozpoznawalnego kształtu, z głośnym mlaskaniem wylaniał się ze studzienki pośrodku ulicy, tworząc niekształtny pęcherz, z którego sterczały odrośle jak u meduzy. Był kałamarnicą wyrzuconą na brzeg, płynną, ale nie do końca. Jego powierzchnia lśniła od śluzu, ale wnętrzości stanowiły lepka masę, co chwila rozstępującą się i łączącą na nowo. Wysuwał się przez kratkę, jakby zrobiono go z gorącej gumy. Nie miał oczu, uszu, ani żadnych dostrzegalnych organów, poruszał się jak wielka

zaśliniona

ameba,

ciągnąca

za

sobą

pas

tłuszczu

i

oleju.

Ślimakokałamarnicoameboguma wypełzająca na ulicę z kanałów na dole. Mogłem nadać jej nazwę, prostą nazwę dla prostej rzeczy. To był sączek.

Kishan stał na ulicy i gapił się na stwora z rozdziawionymi ustami. Z kącika ust skapywała mu ślina. Istota nadal wydobywała swą ociekającą masę z odległej o trzydzieści jardów studzienki. Podszedłem dziarskim krokiem do Kishana i klepnąłem go w ramię.

- Hej, słoneczko.

Zerknął na mnie.

- Zwiewaj stąd - warknęliśmy.

Jego ciało okazało się mądrzejsze niż mózg.

Uciekł.

Ponownie spojrzeliśmy na beżowobiałego stwora wypełzającego z kanalizacji. U jego podstawy tworzyła się kałuża żółtego oleju, skapująca na nawierzchnię, by ułatwić poruszanie się masywnemu nieciału. Skierowałem palce ku najbliższej lampie, porwałem z niej garść różowawego światła i cisnąłem nim w głowę istoty. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Nie zważała na mnie i na moje poczynania, cały czas wyłaząc na ulicę. Była wielkości psa, wilka, tuńczyka, małego samochodu, jej wilgotne cielsko wysuwało się ze studzienki, a pod zwałami tłuszczu rosła kałuża galaretowatej cieczy.

W ukradzionym świetle mogłem wyraźniej ujrzeć istotę. Pod spływającym z jej skóry olejem coś się poruszało. Na mgnienie oka na powierzchnię wyłoniła się połowa starej, żółtej frytki. Złamana, porysowana łyżeczka pojawiła się na szczycie pęcherzowatego ciała i zaraz zniknęła w kłębiącym się wnętrzu. Potem po skórze spłynęła rozdarta prezerwatywa, i spadła do rosnącej kałuży oleju. Ściągnęliśmy więcej światła z drugiej latarni, zafascynowani niezwykłym, śmierdzącym bąblem, który nagle pojawił się na ulicy. Był wielkości małego samochodu, dużego samochodu, małej ciężarówki...

Jego ciało, jeśli można je tak nazwać, utrzymywały w całości siła tarcia i włosy. Nie jego własne, uświadomiliśmy sobie. To były ludzkie włosy, splątane, skłębione i cuchnące.

Pokrywały każdą jego część niczym sieć, czasami w gęstych, brudnych skupiskach, a czasami w

lepkich pasmach wszelkich możliwych kolorów. Stwór wznosił się przed nami. Płynny tłuszcz wypływał z niego, jakby był nieustannie się poruszającą fontanną oleju i łoju. Niemal już dorównywał szerokością ulicy. I smród! Jego fetor odrzucił nas do tyłu. Oczy zaszczyły nam łzami i dopadły nas zawroty głowy. Sączek sięgał już prawie do pierwszego piętra. Był

wielką kupą trzęsącego się budynku. Wyciekający z niego olej docierał prawie do moich stóp, spływał rynsztokami, wypełniał środek ulicy.

Spojrzałem na stwora. Wydawało się, że on również patrzy na nas. Na szczycie jego pełzającej postaci pojawił się mniejszy pęcherz, przypominający głowę. Miejscy magowie nie bez powodu obawiali się sączka: tłuszczowego potwora, olejowego diabła, demona wylanego do kanałów tłuszczu, łoju i osadu z garnków, przypalonych kawałków i skrzące płynów pochodzenia zwierzęcego spływających do zlewu. Był obrzydliwy, wstrętny, cuchnący i odrażający, a być może również trochę piękny. Życie to magia, a ten zlepek tłuszczu i łoju z pewnością był żywy.

Żywy i zdrowo wkurzony.

Roześmialiśmy się, nie dlatego, że uważaliśmy to za zabawne, ale z radości, że ujrzelśmy coś takiego. Potem odrzuciliśmy skradziony blask z powrotem do lamp i cofnęliśmy się kilka kroków, uciekając przed bulgoczącym olejem. Cisnąłem torbę na bok i rozejrzałem się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń.

Sączek otrząsnął się, pokrywając ściany kapkami łoju i zakrzepłego tłuszczu, wygramolił się ze studzienki z ostatnim, głośnym *młaaask* i potoczył naprzód we własnej cieczy.

Spojrzałem na okno lokalu, wyciągnąłem ku niemu rękę i wolę, a potem stłukłem myślą szybę. Sięgnąłem dalej i znalazłem ciepły, znajomy szum gazu w przewodach: żar i ogień palący tłuszcz. Przyciągnąłem je do siebie, szybciej niż planowałem, wyssałem zapach z rur, wypełniając nim powietrze, aż ulica stała się mirażem wypaczonego neonowego blasku oraz konkurujących ze sobą smrodów. Gnała nas adrenalina. Cofaliśmy się przed napierającą falą żółtobrazowego oleju wylewającego się na chodnik i posuwającą się za nią wieżą tłuszczu.

Nasz plan był prosty. Bardzo prosty. Spalimy sączka.

Otoczyłem się gazem, pozwoliliśmy, by z sykiem i migotaniem wniknął w cielsko białego, pełzającego monstrum. Potem skierowałem witkę w stronę różowej neonowej rurki.

Potrzebowałem tylko iskry, jednej iskry, to wszystko. Do zobaczenia, sączku, życzę ci dobrej nocy i więcej szczęścia podczas następnej koagulacji...

- OjezuoBoże - wymamrotał ktoś nagle.

Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem to, co powinienem był zauważyć wcześniej: kobietę wciskającą plecy w ścianę zakładu szewskiego. Miała torebkę zawieszoną na łokciu, buty na wysokich obcasach i ziemistą twarz. Patrzyła na sączka, sparaliżowana strachem jak wiewiórka przed ciężarówką z cementem. Pod jej stopami utworzyła się kałuża oleju. Płyn, spływający po chodniku jak woda z

topniejącego śniegu po piasku, splamił jej buty.

Przez moment, króciutki moment, gdy trzymaliśmy w ręce witkę gazu, a iskrę ściskaliśmy mocno w dłoni, mieliśmy ochotę i tak to zrobić.

Potem zmiażdżyłem iskrę, uwolniłem gaz, pozwalając, by gęstą cuchnącą chmurą umknął w górę, powstrzymałem wyciek w lokalu, po czym skierowałem swą uwagę na kobietę. Stała zaledwie kilka jardów od ciała sączka, posuwającego się w ślimaczym tempie ulicą. Jeszcze parę chwil i stwór do niej dotrze. Po ścianie, pod którą stała, spływały żółty tłuszcz i biała plwocina strząśnięte z ciała bestii. Na ramieniu jej czarnego zakietu pojawiły się plamy.

- Ruszaj się, kobieto! - krzyknąłem.

Nawet nie drgnęła. Nie była w stanie. Gapiła się na falę toczącego się ciała, która osiągnęła już wysokość autobusu. Kiełbaskowate białe kończyny wyłaniały się z korpusu stwora i zaraz znikwały, jakby sączek był jeżem, który nie mógł się zdecydować, czy wyhodować sobie kolce.

- Ruszaj się! - wrzasnęliśmy.

Spojrzałem na sączka. Był już blisko, tak bardzo blisko. Nie musiał tworzyć dla siebie ust, zębów ani szczęk. Wystarczy, że będzie pełził naprzód. Śmierć przez utonięcie, utonięcie w tłuszczu. Wessie mnie i zmiażdży. Pytanie tylko, czy to uduszenie, czy raczej połamanie kości, stanie się przyczyną zatrzymania akcji serca.

Kobieta zginie w taki sam sposób.

Rzuciłem się do ucieczki. Pośliznąłem się i zwałem na ziemię, gdy tylko moje stopy dotknęły oleju. Czołgałem się przed siebie, między palcami miałem ludzkie włosy, spodnie, nasiąknięte ciepłąwą brązową galaretą, lepiły mi się do kolan. Dotarłem do chodnika, podźwignąłem się i złapałem sparaliżowaną strachem kobietę za ramiona. Sączek był już tylko kilka stóp od nas, wypełniał sobą cały świat, jego smród z każdą chwilą stawał się coraz gorszy, utrudniał oddychanie.

Potrząsałem nią. Popatrzyła na mnie, poruszając ustami w bezgłośnej modlitwie.

- Uciekaj - wysyczałem.

Nie ruszyła się z miejsca.

Spoliczkowaliśmy ją, nieszczególnie mocno. Zamrugła, tylko raz. Ująłem ją śliską dłonią za rękę, ale wysunęła mi się z uścisku. Chwyciłem ją za rękę.

- Uciekaj!

Poderwała się. Pociągnąłem ją w stronę końca ulicy. Monstrum było tuż za nami.

Jedna z jego kończyn sięgnęła ku nam, gubiąc po drodze fragmenty. Poczulem, że po karku spłynął mi kawałek białego ciała.

Na końcu ulicy znajdował się park, zamknięty na noc i pogrążony w ciemności.

Zepchnąłem kobietę z chodnika na jezdnię.

- Ruszaj się! - krzyknąłem. - Zwiewaj stąd!

Zatoczyła się w stronę parku, omal się nie przewracając. Nadal gapiła się tępo na nadciągającego stwora.

Nie miałem czasu się tym przejmować. Było już za późno, stanowczo za późno.

Odwrociliśmy się w stronę sączka, ponownie rozważyliśmy możliwość ognia, ale zobaczyliśmy tłuszcz oraz olej ściekające nam z palców i doszliśmy do wniosku, że to zły pomysł. Unieśliśmy głowę, spoglądając na toczącą się ku nam galarete, odrażającą, wstrętą i zdumiewającą.

- Veolia! - zawołałem.

Stwór nadal parł naprzód.

Słowa mają w sobie moc. Trzeba tylko wybrać właściwe. W dawnych dobrych czasach znaczyło to, że należy używać mnóstwa łaciny oraz wyjątkowo barwnej intonacji.

Dzisiaj słowa są inne, nowe i błyszczące. W tym przypadku można je było znaleźć na skrzyniach większości londyńskich śmieciarek.

Uniosłem ręce ku niebu i zacząłem wykrzykiwać:

- Veolia, Accord, Kiggen, ECT, Onyx, ELWA, zgodnie z ustaleniami rady gminy Hackney macie uprawnienia do zbierania, usuwania oraz recyklingu odpadków z gospodarstw domowych, a także...

Sączek nie przestawał się zbliżać.

- ...odpadków komercyjnych produkowanych w granicach gminy Hackney. Veolia, Accord, Onyx, przywołuję was...

Dzieliło nas już tylko niespełna dziesięć jardów. Pełznący stwór wyciągał ku mnie ociekające tłuszczem witki.

- Geesink Norba zbiera i recyklinguje dla was śmieci oraz odpadki! - wrzasnąłem pod niebiosa. Rozpostarłem szeroko palce, modląc się o magię, cuda i nagły zgon.

Nagle zza stwora dobiegł warkot włączanego silnika dieslowskiego.

Zatoczyłem się do tyłu, oddalając się od monstrum, pośliznąłem się w kałuży oleju, podczołgałem do zahipnotyzowanej kobiety i złapałem ją za rękaw. Dobiegający zza sączka warkot przeszedł w miarowe *tubudubutubudubu* źle nastrojonego, niekochanego silnika.

Hałas wypełniał ulicę, odbijał się echem od domów. Pojawiło się też światło, żółte, wirujący obłęd, migający za szybko, by można było zauważyć przerwy, koszmar epileptyka, odbijający się od murów niby blask niezdrowego słońca. Wielka biała łapa z tłuszczu opadła ku nam.

Odepchnąłem kobietę na bok, ślizgając się na chodniku. Łapa walnęła nas w plecy. Zęby nam zadzwoniły, kręgosłup chciał się wcisnąć w żołądek. Czuliśmy, że tłuszcz spływa nam po plecach, widzieliśmy wielkie kapki spadające na chodnik. Cios obalił nas na brzuch.

Poczołgaliśmy się w stronę parku, jego trawa i ziemia nagle wydały się nam czymś najczystszy na świecie. Śluz spływał nam po włosach i wypełniał uszy. Żółte, migające światło sprawiało, że wszędzie padały wypaczone cienie.

- Geesink Norba - wyszeptałem. - Geesink Norba, Geesink Norba, zgodnie z warunkami kontraktu możecie usuwać wszystkie odpadki komercyjne i pochodzące z gospodarstw domowych. Geesink...

Ryk silnika przeszedł w grzechoczący okrzyk bojowy. Potem rozległ się nowy dźwięk.

- *Proszę się odsunąć. Pojazd się cofa. Proszę się odsunąć. Pojazd się cofa.*

Dotarłem do trawy, przetoczyłem się na plecy, spojrzałem na ulicę, z której przed chwilą się wyczołgałem, i zobaczyłem, że sączone zaczyna się odwracać, zainteresowany tym, co nagle znalazło się za nim. Poruszał się straszliwie powoli, w jego wielkim brzuszysku krążyły prądy i przeciwaprądy. Kobieta leżała kilka stóp ode mnie.

- Zakryj głowę - wysyczałem, zwracając się ku niej.

Sączone miało się i wyginał, błyskające, żółte światło oraz mechaniczny głos były coraz bliżej. Widziałem, że stworzenie skurczyło się, a potem rozszerzyło, jakby miało zamiar skoczyć.

- *Proszę się odsunąć. Pojazd się cofa* - rozległo się po raz kolejny.

Ujrzałem żółte migające obłęd, usłyszałem plusk kół jadących przez olej, łoskot silnika, a potem straszliwie głośne ssanie, jakby cały ocean wypływał przez maleńki otwór.

Towarzyszył mu zgrzyt czegoś przypominającego metalowe szczęki.

- Veolia, Accord, Geesink Norba, Onyx, śmieci usuwane w wyznaczone dni... -

wyszeptałem.

Coś uderzyło w sączone. Walnęło go w sam środek, wybiło dziurę w jego brzuchu i wyłoniło się po drugiej stronie. To była ciemność, która jakby wszystko wsysała, ale ta ciemność miała zęby, niebiosy zlitujcie się nad nieświadomymi, miała srebrne, błyszczące zęby miażdżące cały ten tłuszcz. Wciągała go do jakiegoś koszmarnego, mrocznego przetyku, wsysała z rykiem dieslowskiego silnika i wypuszczała z siebie czarny dym. Sączone zmniejszyło się już o połowę, o trzy czwarte, zmienił się w rzeki białego tłuszczu, wlewające się w ciemność, wpadające w nią, aż wreszcie rozległ się ostatni plusk...

Na drodze zostały tylko olej i tłuszcz. Martwy płyn skapujący ze szczęk bestii, która wyssała z niego życie. Małe kapki sypały się z gałęzi drzew niczym śmierzący śnieg.

Wstałem i przyjrzałem się temu, co zabiło sączka.

To była śmieciarka. Boki miała czarne, nie od farby, lecz od upływu czasu i zużycia.

Czarne od sadzy, od ognia, od brudu, od węgla, wszystkie wyobrażalne rodzaje czerni wypaliły ciało pojazdu, wgryzły się w nie i splamiły je. Spawy utrzymujące śmieciarkę w całości pokrywała brązowa, łuszcząca się rdza. Gdy pojazd jechał, sypały się z nich okruchy czerwonej miedzi. Koła dorównywały wysokości sporemu dziecku, kogut obracający się na powyginanym, powgniatanym metalowym dachu migał żółtym światłem, zbyt jasnym i szybkim, by na nie patrzeć. Osłoniłem oczy i resztkami porażonego światłem wzroku ujrzałem człowieka, który wysiadł z kabiny kierowcy, znajdującej się cały wzrost mężczyzny nad ulicą, i okrążył ostrożnie pojazd. Klęknął z jego boku, sięgnął za tylne koło i pociągnął za coś. Z rury na dachu śmieciarki buchnął wielki obłok czarnego dymu. Dwoje metalowych drzwi umieszczonych z tyłu samochodu zaczęło się powoli zamykać. Srebrne zęby, lśniące odbitym blaskiem i ociekające tłuszczem, skryły się w środku. Drzwi zamknęły się z łoskotem głośnym jak w skarbcu w Fort Knox. Śmieciarz uniósł wzrok.

Jego oczy były dwiema zapalonymi żarówkami, w oczodołach żarzyły się małe druciki. Skóra miała czarny kolor spalenizny, taki sam jak śmieciarka, a włosy, ongiś splecione w dredy, były teraz żywą czernią, wijącą się przed jego twarzą od wyłazających z nich owadów i innych szkodników. Kiedy oddychał, ze srebrnawych ust buchał mu czarny dym, taki sam jak z jego pojazdu, a gdy chodził, zielonożółta kurtka odbłaskowa rozjarzała się jasnym światłem, niemalże przesłaniającym wszelkie inne wrażenia. Gdy ruszył w moją stronę, wzdrygnąłem się przed jej oślepiającym blaskiem. Grube na trzy cale obcasy stukwały o nawierzchnię. Popękana skórę butów i stopioną gumę podeszew wiązały w całość stare, splątane sznurowadła. Szedł prosto ku mnie, twarz miał obojętną, wypraną z wszelkich uczuć.

Zwróciłem się w stronę kobiety.

- Masz dziesięć funtów? - wysyczałem.

Leżała na ziemi, pojękując cicho.

- He?

- Dziesięć funtów! Twój portfel!

Zakryłem oczy ramionami, by je osłonić przed blaskiem kurtki mężczyzny, słyszałem go jednak i czułem jego zapach, odległy tylko o kilka cali odór starych śmieci pozostawionych na letnim słońcu. Poczulem ruch tuż obok, zobaczyłem jego dłoń w grubej rękawicy z czerwonej skóry. Między starymi szwami wyciekała pradawna krew, jakby sama rękawica mogła krwawić. Kobieta wyjęła dziesięciofuntowy banknot. Wyrwałem go z jej rąk i, odwracając wzrok od oślepiającego blasku, wsunąłem śmieciarzowi do ręki.

Stał koło mnie jeszcze przez krótką chwilę. Wiedziałem, że gapi się na mnie, ale nie byłem w stanie podnieść wzroku, by na niego spojrzeć. Potem zacisnął palce na banknocie, który zaczął się kurczyć i marnieć, pokrywając się czarnymi plamami. Mężczyzna wsunął

banknot do kieszeni spodni. Następnie odwrócił się, równie powoli i majestatycznie, jak tu przyszedł, i odszedł, kołyszając dredami.

Staliśmy bez ruchu przez... nie wiem jak długo.

Silnik śmieciarki zaryczał głośno, koła się zakreśliły. Poczulem woń czarnego dymu i wciąż jeszcze się utrzymujący fetor zgnilizny. Potem samochód odjechał. Olej tryskał spod jego kół, żółte światło oddalało się, aż w końcu zniknęło.

Osunęliśmy się na kolana, doszczętnie wyczerpani, i wcisnęliśmy głowę w trawę.

Kobieta dotknęła naszego ramienia.

- Hmm - powiedziała.

Unieśliśmy powoli wzrok.

- To naprawdę zły moment - oznajmiliśmy.

- Nic się panu nie stało?

Rozejrzeliśmy się wokół. Olej spływał do kanałów. Na ulicy został tłusty ślad, prowadzący do studzienki, tej cholernej studzienki pod smażalnią.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - odparłem. Znowu wcisnąłem twarz w trawę, ciesząc się, że ziemia jest taka czysta.

* * *

Kobieta miała na imię Loren.

Jej światopogląd właśnie się rozpadł i radziła z tym sobie w najrozsądniejszy możliwy sposób - najpierw skupiając się na innych sprawach.

- Jest mi pan winien dziesięć funtów - oznajmiła.

- Słucham?

- Dziesięć funtów.

- Mówi pani poważnie? Przed chwilą uratowałem panią przed złożonym z tłuszczu i łoju potworem, który wylazł z podziemnych kanałów, a teraz żąda pani od mnie dziesięciu funtów?

- Jeśli tak pan to ujmuje... o dziesięć funtów nie jest tak łatwo.

- Mogła pani wybierać między daniem mu ich albo pożarciem przez nadnaturalną śmieciarkę.

Zapadła cisza. Wokół nas tworzyła się kałuża tłuszczu.

- To dlaczego nie zapłacił mu pan sam?

- Dlatego że zgubiłem torbę, ratując pani cholerne życie.

- Przepraszam. To wszystko trochę... no, wie pan.

Była roztrzęsiona. My byliśmy wściekli.

- Ten stwór... - zaczęła po chwili.

Nareszcie.

- Tak?

- No, wie pan, zawsze sobie powtarzałam, że gdybym straciła zmysły, chciałabym, wie pan, dać się ponieść. Myślę, że jeśli ktoś oszalał i nie jest w stanie nic na to poradzić, może równie dobrze... to był potwór, tak?

- To zależy - odparliśmy, ścierając z nosa kapkę tłuszczu.

- Od czego?

- Od punktu widzenia. Jeśli chodzi o to, że zmiażdżyłby panią i utopił w morzu zwierzęcego tłuszczu oraz innych odpadków, to, tak, był potworem. Ale nie chciał pani skrzywdzić. Po prostu znalazła się pani na jego drodze.

- Pan go zabił.

- Nie.

- Widziałam, jak wykrzykiwał pan te słowa, magiczne zaklęcia.

- Nazwy firm.

- Słucham?

- Nazwy firm zajmujących się zbieraniem śmieci. Geesink Norba. Accord. Onyx. To one usuwają odpadki z miasta.

- Ale... wypowiedział pan te nazwy i...

- Wypowiedziałem słowa, które nie mają znaczenia dla kogoś, kto nie interesuje się blisko tymi

sprawami. Ludzie na ogół nie zwracają uwagi na śmieciarzy, przechodzą na drugą stronę ulicy, żeby ich ominąć. Geesink Norba... to tylko dźwięki unoszące się w powietrzu.

Pozbawione znaczenia, chyba że ktoś wie, na co zwracać uwagę. Przywołałem ideę.

- Jak to „przywołałem”?

-

Wezwałem. Nakazałem jej przyjść. Wydawałem polecenie za cenę dziesięciofuntowego banknotu.

- Jest pan czymś w rodzaju czarodzieja?

- Czymś w rodzaju, tak.

- To znaczy, że magia istnieje? I czarodzieje? I potwory?

- Tak.

- W Hoxton?

- Hmm, tak.

- A to coś, co przyjechało? Ta śmieciarka?

Spróbowałem jej to wyjaśnić najlepiej, jak potrafiłem.

- Na świecie są... rzeczy złożone z innych rzeczy, idei, które dają życie z samej swej natury. Z samej natury życia. Życie tworzy magię, wywodzi się ona z jego najzwyczajniejszych, najbardziej trywialnych chwil. Na przykład... na przykład, kiedy rozmawia pani przez telefon i pani słowa są życiem, pasją i uczuciem, te słowa wchodzą do przewodów i prędzej czy później przewody stają się żywe, bo inaczej eksplodowałyby od tych wszystkich myśli i emocji... tak samo jest ze śmieciarką. Istnieje tylko jedna, ponieważ nie mamy pojęcia, jak wiele odpadków może wyprodukować miasto. Tylko ona to wszystko sprząta i nie prosi w zamian o nic poza banknotem dziesięciofuntowym na Gwiazdkę oraz podatkiem lokalnym. Anonimowi ludzie usuwają anonimowy syf, na który nikt nie chce zwracać uwagi. Tak często się go ignoruje, tak regularnie odwraca się twarz, tak bardzo nie chce się o nim myśleć, aż wreszcie... nawet w nim rodzi się życie. Rozumie pani? Szalone, pełne pasji życie, pragnące, by je zobaczono, usiłuje wydostać się z cieni. A tam, gdzie jest życie, dowolny rodzaj życia, coś, co...

Zobaczyłem jej twarz. Kobieta płakała.

- Przepraszam.

- To trochę... - wymamrotała, poruszając bezładnie rękami. - Po prostu... hmm...

- Mam na imię Matthew.

- Jestem Loren - przedstawiła się płacząco.

- Gdzie mieszkasz, Loren?

Pomachała ręką w nieokreślonym kierunku.

- Blisko? - zapytałem.

Skinęła głową.

- Masz tam prysznic i mnóstwo mydła?

Znowu skinęła głową.

- Świetnie. Pozwól, że odprowadzę cię do domu.

* * *

To był blok komunalny, oddalony o kilka przecznic od kanału. Okna na parterze osłaniały szare, metalowe okiennice przytwierdzone gwoździami do murów. We frontowych drzwiach były kraty. Okna na piętrach miały małe balkony, ozdobione zwiędłymi kwiatami.

Na klatce schodowej śmierdziało moczem, a wewnątrz wind naznaczył jakiś szalony ogień.

Loren mieszkała na piątym piętrze. W mieszkaniu na lewo od niej paliły się światła. Kiedy przechodziliśmy obok, drzwi się otworzyły i wyrżał z nich mężczyzna w białej mycce.

- Loren! - zawołał. - Niestety, on znowu sobie poszedł. - Potem spojrzenie mężczyzny padło na nas. Na jego twarzy pojawił się przelotny niesmak, który szybko ustąpił miejsca wymuszonej trosce. - Dobrze się czujesz? Co się stało?

- Nic takiego - wymamrotała niewyraźnym, obolałym głosem, kierując na niego spojrzenie zaczerwienionych, obolałych oczu. - Dziękuję, wszystko w porządku.

W drzwiach były trzy zamki. Pogrzebała w nich kluczami, wypuściła je, podniosła i wreszcie otworzyła drzwi. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent wąskiego korytarza zajmował

czarny sportowy rower, najeżony pompkami i niegustownymi ozdobami. Pod niskim sufitem kołysała się pojedyncza żarówka. Klosz dawno gdzieś zniknął. Loren pomachała ręką, wskazując drogę do kuchni, małej jak szafka dla karaluchów.

- Poczęstuj się, czym chcesz - powiedziała i poszła do łazienki.

Gdy włączyła prysznic, piecyk nad zlewem zaczął warczeć i grzechotać. Trząśnięcie było tak bardzo, że bałem się, że odpadnie od ściany. Zadowolilem się wytarciem rąk w starą ścierkę do naczyń, a twarzy w papierowy ręcznik, dzięki czemu poczułem się tylko trochę brudny, nie totalnie zasyfiony. Przez okno widziałem Hackney, słabe światła i wyboiste ulice, bloki komunalne i długie

wiktoriańskie szeregowce ciągnące się w dal.

Loren wyszła spod prysznic i zniknęła w sypialni.

- Możesz się umyć, jeśli chcesz - zawołała.

Przeszedłem z kuchni do małego saloniku, gdzie była brązowa sofa oraz tapeta w słoneczniki, która nigdy nie była dobrym pomysłem, nawet gdy jeszcze nie obłaziła.

Wszędzie było pełno butów - męskich i chłopięcych, leżących w pudełkach i stojących pod wszystkimi ścianami - a także brudnych ubrań, dresów, i workowatych pulowerów, starych, brudnych talerzy i nieoddanych do biblioteki książek o chwytliwych tytułach, takich jak *Przygotuj się do egzaminu dojrzałości w 28 dni!* albo *Podstawy francuskiego dla opornych*.

Na drzwiach naprzeciwko salonu, pośród kolekcji plakatów przedstawiających wszystko od dinozaurów po modelki z wyjątkowo wydatnymi biustami, ulokowano kartkę z napisem NIE WCHODZIĆ, nasmarowanym wielkimi czerwonymi literami. Zatem był to chłopak. Nastolatek.

- Weź jakieś łachy Mo! Ręcznik jest pod zlewem - dobiegł z sypialni głos Loren.

Najwyraźniej Mo był nieobecny. Otworzyłem drzwi z napisem NIE WCHODZIĆ i natychmiast uderzyła mnie woń keczupu oraz żelu do włosów. Sprawdziłem zawartość szafy i znalazłem T-shirt oraz spodnie, za duże dla mnie. Kimkolwiek mógł być ojciec Mo, z pewnością wywodził się z innej gałęzi ewolucji człowieka.

Prysznic był jednocześnie najprzyjemniejszym i najbardziej odrażającym doświadczeniem w naszym życiu. Woda ciągle przechodziła od gorącej do zimnej, a tylko bardzo gorąca w połączeniu z połową kostki mydła zdołała usunąć warstwę tłuszczu przylegającą do każdego fragmentu naszej skóry. Nasze włosy przypominały w dotyku kawałki surowego kurczaka, a w zardzewiałym spływie wirowały kawałki białego tłuszczu.

Przebrałem się w rzeczy Mo. W kuchni czekała Loren ubrana w piżamę, szlafrok i różowe puchate pantofelki. Miała pobladłą twarz i opierała się o zlew, trzymając w dłoniach kubek gorącej herbaty i wpatrując się w pustkę. Pokazałem jej zatłuszczone ubranie.

- Hmm...?

- Wepchnij je do pralki i tyle, dobra?

Nastawiłem maszynę na najwyższą temperaturę, dodałem proszku i wpatrzyłem się w nią. Nie potrafiliśmy zrozumieć, dlaczego drwi się z ludzi obserwujących działanie pralek.

Lekcje medytacji i kontemplacyjne pieśni nie mogą się równać ze skarpetkami wirującymi powoli w wodzie z mydłem.

Podawała mi kubek herbaty.

- Przepraszam, nie mam nic...

- Dziękuję. To wystarczy. - Nagle poczułem, że powinienem dodać coś więcej. -

Posłuchaj, mogę sobie pójść, gdy tylko...

- Czy jesteś człowiekiem?

To pytanie nas zaskoczyło.

- Słucham?

- Czy jesteś człowiekiem? - powtórzyła.

- Tak.

W większej części.

- Aha. W takim razie, co się teraz stanie? Na filmach i w telewizji zawsze są zasady, amnezja i tak dalej. No wiesz, czy...?

- Nie. Przykro mi.

- Dobra. Hmm, nie stać mnie na psychiatrę, więc, gdybyś mógł...

- Mogę sobie pójść - odparłem.

Dała za wygraną, zapadła się w siebie w swym szlafroku, na krótką chwilę stała się starą kobietą. Zastanawiałem się, ile może mieć lat. Miała młody głos, ale jej twarz naznaczyły bruzdy, a włosy zaczynały już siwieć.

- Posłuchaj - podjęła. - Wyglądasz na sympatycznego faceta. W końcu uratowałeś mi życie, więc pewnie nie możesz być totalnym śmierdzielem, chyba że to twój sprytny plan i jesteś gwałcicielem albo kimś w tym rodzaju. W takim przypadku pewnie... No wiesz, chodzi o to, że wstaję co rano o wpół do siódmej, wracam o wpół do siódmej wieczorem, robię sobie makaron na kolację, oglądam telewizję, a w weekendy sprzątam, spotykam się z koleżankami, a mój syn jest... i, no wiesz, czasami poznaję facetów, i to jest fajne, dostaję zasiłek od rady, ale nie uwierzyłbyś, ile pieprzonych papierów trzeba przy tym wypełniać i to wszystko jest zwyczajne, tak? Pięć godzin temu wszystko było...

- Zwyczajne? - zasugerowałem.

- Powiedz mi, że to wszystko przypadek. Coś wylazło z kanałów i to był po prostu pech, tak?

- Tak - zgodziłem się. - To był pech, czyli przypadek. Nie musiałaś się tam znaleźć i ten stwór też nie. Tak się po prostu złożyło. Czasami to się zdarza.

- Nie sprawiasz wrażenia, że w to wierzysz.

Wzruszyłem ramionami.

- Pewnie prędzej czy później dochodzimy do wniosku, że po prostu przechodzimy przez ulicę i samochód nas przejeżdża, a on i my znaleźliśmy się w tym miejscu z różnych, całkowicie odrębnych powodów. I to musiało się komuś przytrafić, więc czemu by nie mnie?

- Dlaczego tam się znalazłeś?

- Zachciało się nam ryby z frytkami.

- Jak to się stało, że możesz robić takie rzeczy?

- Wszystko zależy od punktu widzenia. Jestem czarnoksiężnikiem. To tylko inny sposób patrzenia na sprawy. Nic więcej.

- Czarnoksiężnikiem.

- Ehe.

- Nie masz długiej brody i tak dalej.

- Czasy się zmieniły. Zawsze można poznać, że sprzedają ci kiepski produkt, jeśli przytwierdzono do niego pentagram. Nowe czasy wymagają nowej magii. Innych symboli.

- Symboli? To znaczy zaklęć?

- Coś w tym rodzaju.

- Pokaż mi.

- Nie chciałybyś...

- Pokaż mi!

Zrobiłem to. Wziąłem kartkę i narysowałem na niej magiczny znak. Osłonę.

Popatrzyła na nią obojętnie.

- To symbol londyńskiego metra.

- Tak.

- O mój Boże. Jesteś świrem.

- Nie słuchałaś, co mówiłem. Życie to magia. Idee, symbole, słowa, znaczenia. Nowe znaczenia, nowe słowa. W dawnych czasach, jeśli ktoś chciał wygnać demona, przywoływał

moc północnego i południowego wiatru. Obecnie wzywa się Geesink Norba. Kiedyś czarodziej przywoływał srebrny blask księżyca, by ten przeprowadził go przez legowisko potwora. W dzisiejszej epoce wzywamy światło sodowych lamp pomieszane z łuną neonów, a legowisko potwora z reguły ma adres w modnej dzielnicy, z kodem pocztowym, i płaci podatek lokalny.

- To się wydaje...

- Zwyczajne?

- Nudne.

- Nie jest nudne. Unikaj tego.

Popatrzyła na mnie, na nas, spojrzała nam w oczy, i nie bała się. Ujęła naszą dłoń.

Miała czyste palce, suche od mydła.

- Czy masz dom? - zapytała.

- Właściwie nie mam.

- Dlaczego?

- Straciłem pewne rzeczy.

- To gdzie mieszkasz?

- Przenoszę się z miejsca na miejsce.

- A robotę masz?

- Czasami. Nie jest zbyt prestiżowa.

- Płacisz podatek dochodowy?

- Nie. Kiedyś płaciłem, zanim... Kiedyś płaciłem.

- Jaka jest twoja ulubiona potrawa?

Oblizaliśmy wargi.

- Wybór jest za duży.

- Gdzie ostatnio byłeś na wakacjach?

Trudno było sobie to przypomnieć. To był inny świat i to słowo znaczyło wtedy coś innego.

- W Stambule.

- Jaki jest twój ulubiony kolor?
- Niebieski.
- Najgorsza linia autobusowa?
- Dziewięćdziesiąt jeden. Z Crouch End to Trafalgar Square. Wpada w korek na Euston Road, pełźnie przez King's Cross, to trwa całe wieki. Na piechotę jest szybciej.
- Ulubiony... - wycodziła - ... ulubiony smak lodów.
- Wybór jest za duży.
- Każdy ma jakiś ulubiony smak.
- Truskawkowe. Chociaż to zależy od tego, czy jest bardzo słonecznie.
- Najlepsze wspomnienie?
- Życie - odpowiedzieliśmy instynktownie i zdziwiliśmy się, usłyszawszy to słowo.
- To zabrzmiało lekceważąco - zauważyła.
- Wiąże się z tym pewna opowieść.
- Najgorsze wspomnienie?
- Śmierć - odpowiedzieliśmy.
- Nie uśmiechasz się.
- To prawda.
- Wiesz co? Nie idźmy tam. - Tak pewnie będzie lepiej.
- Matthew, zostaniesz tu na noc? - zapytała stanowczym tonem.

* * *

Ona położyła się w łóżku, a ja na podłodze.

Nie mogła zasnąć. O trzeciej nad ranem wstała i oznajmiła:

- W dupę z tym.

Oglądaliśmy telewizję, owinięci pierzynami. Jeśli nie oglądaliście tego, co nadają o tej porze, nie macie pojęcia, co to znaczy „kiepski”. W porównaniu z tym *EastEnders* reprezentują wysoką klasę. O wpół do czwartej Loren włączyła DVD. To było jakieś sentymentalne romantyczne badziewie,

które dziwiło nas i wprawiało w oszołomienie. O

czwartej Loren zasnęła niespodziewanie, akurat w takiej pozycji, że uwięziła moje nogi i odcięła dopływ krwi do lewej ręki. Nie poruszyłem się jednak. To by nie było w porządku.

Chłopak zdobył dziewczynę, dziewczyna zdobyła chłopaka, a potem oboje odpłynęli w dal pod mostem Golden Gate, na tle jaskrawych fajerwerków. Wyłączyłem odtwarzacz, przez pewien czas oglądałem telewizję i w końcu nawet my zasnęliśmy, gdy nad ranem przez okno wpadły pierwsze promienie słońca.

* * *

Moi przyjaciele nie żyją. Albo myślą, że ja nie żyję. Ale większość nie żyje. Zginęli.

Zabito ich, zamordowano. Tak samo jak mnie. Unicestwiono wszystkich, którzy stali na drodze Roberta Bakкера i jego cienia.

Dana Mikeda pomogła nam i zapłaciła za to życiem. Moja uczennica, zawsze narzekająca, ale rzeczowa Dana Mikeda, która stała nad moim grobem, kiedy zginąłem, i pomogła mi, gdy wróciliśmy. W zamian za to cień Roberta Bakкера rozszarpał jej gardło.

Zrobił to z czystej złości. Vera również nam pomogła i jej ciało zamieniło się w plamę farby na podłodze. Pośród kolorów wirowała kula pistoletowa. Mówię „czarnoksiężnik” i ludzie się boją, mówimy „niebieskie elektryczne anioły” i uciekają od nas, jakbyśmy byli ogniem i zemstą za ich grzechy. Dlaczego miałyby nas obchodzić ich niepowodzenia?

Umarli przyjaciele umarli dla mnie.

Po dziś dzień nie rozumiemy, dlaczego dałem Loren numer mojej komórki.

* * *

Wyszedłem po śniadaniu. Loren musiała iść do pracy, już była spóźniona. Praca to rutyna, a rutyna to zwyczajność. W zwyczajności zawsze można znaleźć coś w rodzaju zbawienia.

Minęło trochę czasu.

Kilka tygodni.

Zadzwoniła do mnie raz, w samym środku nocy. Płakała. Słyszała jakieś dziwne dźwięki. Pojechałem do niej. W sypialni chłopaka znowu nikogo nie było, ale nie mówiła o tym. Okazało się, że źródłem dźwięków była mysz. Nie wiem, jak się tam dostała.

Przestraszone zwierzątko schowało się w kuchni i stukało głośno, szukając drogi wyjścia.

Wzywałem je łagodnie brzmiącymi słowami, aż wreszcie wyszło zza pralki. Pogłaskałem je po małym grzbieciku, krótszym od mojego kciuka, pozwoliłem wbiec na dłoń i oznajmiłem mu

stanowczo, że to nie jest miejsce dla niego. Potem sobie poszedłem.

Zwyczajna rutyna; wstajesz i idziesz do pracy. Zwyczajność to bezpieczeństwo. Nie trzeba mówić ani robić nic, co by nie było...

...zwyczajne.

* * *

A potem, pewnego dnia, zaledwie kilka dni temu, choć wydaje się, że to było dawniej, znowu do mnie zadzwoniła.

- Mój syn zniknął - oznajmiła.

* * *

Nazywa się Mo. Ma siedemnaście lat. To niedobry wiek, właściwie do wszystkiego.

Rzucił szkołę, chce zostać kaskaderem. Jeździ na szybkich motocyklach, ale żaden z nich nie należy do niego.

Jego pokój to strefa skażona bronią biologiczną.

Jego buty są na mnie dwa numery za duże.

- Mój syn zniknął - oznajmiła. - Proszę. Policja go szukała, ale nic nie znalazła. Jego kolegów również nie można odszukać. Minęły już cztery dni. Oddalał się już przedtem, ale nigdy na tak długi czas. I wydarzyło się... parę innych rzeczy... proszę.

* * *

Matka to ostatnia osoba, jaką należy pytać o siedemnastoletniego syna.

Policja mówiła, że chłopak sam szukał kłopotów. Przyłapano go już na pisaniu na murach, drobnym wandalizmie i „aspołecznym zachowaniu”. Poddano go policyjnemu nadzorowi. Chodził w kurtce z kapturem, z dumą demonstrując, że jest przeciwko prawu i przeciwko wszystkiemu. Było też coś jeszcze. Jego kumple również zaginęli. Nie poznał tych chłopaków w szkole, tylko w klubie. Loren nie wiedziała, co to za klub. Znajdował się gdzieś w północnym Londynie, chodziły do niego chłopaki. Czy może raczej chopaki. Ktoś, kto jest spoko, nie może pisać z zachowaniem zasad ortograficznych.

Nigdy nie pytaj matki o dzieci.

Znacznie rozsądniej jest zapytać o nie ich buty.

* * *

To kłamstwo, że kobiety interesują się butami bardziej od mężczyzn. Mogą kupować więcej par, pasujących do tego czy tamtego stroju, albo służących do takiego lub owakiego celu, ale robią to lekko, oznajmiając od niechcienia:

- Idę sobie kupić jakieś buty.

Natomiast mężczyźni inwestują w ten proces ciało i duszę. Nie chodzi tylko o parę butów, lecz o specjalną parę butów, tę jedyną. Muszą być odpowiednie, muszą być doskonałe.

Mo był chłopakiem lubiącym buty. Co sześć miesięcy poświęcał swe skromne środki na nową parę - czasami marki Nike, a czasami Adidas, ale nigdy nic innego. Odpowiednia marka w odpowiednim czasie. W tym miesiącu modne były złote z niebieskimi paskami, w następnym zaś bezwzględnie należało mieć czarno-białe buty piłkarskie ze sterczącymi z podeszew korkami.

- Która para jest najnowsza?

Loren wskazała na czerwono-czarne adidas-y o gąbczastych puszczających podeszwach.

Przymierzyłem jeden. Za duży. Naciągnąłem więcej skarpetek i spróbowałem znowu, poruszając stopą, aż wreszcie poczułem, że jest odpowiednio wyważona.

- Co chcesz zrobić? - zapytała.

- Pójdę się rozejrzeć.

- Potrafisz go znaleźć?

- Nie wiem. Postaram się.

- Jeśli ci się uda... nic nie mów, dobra? Jeśli coś powiesz, to tylko pogorszy sytuację.

Dała mi zdjęcie. Mam je w torbie. Chłopak jest brzydki. Ma wielki łeb, który wydaje się jeszcze większy po zgoleniu wszystkich włosów. Samą szczęką mógłby rozwalać mury, a usta ma za małe w porównaniu z masywnym podbródkiem.

Swoje buty zostawiłem u Loren, obiecując, że wrócę, i wyszedłem w adidasach chłopaka.

Śledzenie kogoś za pomocą obuwia jest zaskakująco trudne. Wymaga wyrzeczenia się własnej woli, niezachwianej wiary w to, że nogi wiedzą, dokąd cię prowadzą. Czasami magowie uczą się tego, dosłownie pozbawiając się wzroku. Zawijają sobie oczy szmatami i muszą całkowicie zaufać, że ciało prowadzi ich we właściwym kierunku. Nie wolno kwestionować, nie wolno wątpić. Tak właśnie powinno się to robić, problem w tym, że para butów, choć może wiedzieć, dokąd chce iść, ma raczej za mało rozumu, by zatrzymać się przy czerwonym świetle.

Trzeba zachować wystarczająco wiele świadomości, by pozostać przy życiu, być zdolnym do inteligentnego zachowania, ale nie tyle, by próbowała przejąć kontrolę. Nie wolno kwestionować, nie wolno wątpić. Trzeba zaczerpnąć głęboko tchu i ruszyć w drogę.

Tak właśnie postąpiłem. Gdy tylko drzwi mieszkania Loren zamknęły się za mną z trzaskiem, ruszyłem przed siebie. Sprzyjało mi szczęście. Z bloku było tylko jedno wyjście, co pozwoliło mi nabrać rozpędu, podążyć we właściwym kierunku bez potrzeby zastanawiania się nad tym. Opuściłem budynek tuż za kanałem, dotarłem do końca ulicy i dalej szedłem przed siebie, mijając otoczone płotami boiska piłkarskie, puste trawniki, supermarket Costcutters, oraz nowy, wspaniały gmach wznoszony pośród ruin magazynu.

Poruszałem się krokiem kogoś innego.

To był butny sprężysty krok, któremu towarzyszyło poruszanie biodrami. Poruszałem się w rytm niesłyszalnego hip-hopu i tylko wąska bariera świadomości powstrzymywała mnie przed gestykulowaniem w nieprzetłumaczalnym, niewypowiedzianym języku wszystkich kandydatów na spoko ziomali. Cieszyłem się z tego. Wiedziałem, że ten krok ułatwia mi zadanie. Jeśli czar pryśnie, pomoże butom odzyskać kontrolę, na nowo odnaleźć klucz do magii.

Szedłem przed siebie dumnym krokiem, mijając stare szkoły, gdzie na boiskach umieszczono przenośne budynki z prefabrykatów, mające pomieścić zbyt liczne klasy, basen nawet na zewnątrz otoczony silnym odorem chloru, małe ronda, na których wszyscy kierowcy jeździli na skrótach, lekceważąc przepisy ruchu drogowego, pojazdy z blokadami na kołach i stare, zniszczone budki telefoniczne. Był tam przystanek autobusowy na żądanie. Na jego widok zacząłem biec dziwnymi, asymetrycznymi susami, jakbym miał krzywicę. Spoko ziomal nie może biec za autobusem, ale ja to zrobiłem i udało mi się go dogonić. Wiedziałem z absolutną pewnością, że tak właśnie należało postąpić.

Dopałem tylnego wejścia i zająłem najciemniejszy, najgorętszy kąt na dolnym piętrze. Wystawiłem kolana na zewnątrz, jedną stopę wsparłem na siedzeniu przed sobą, a ramiona rozpostarłem na tylnej szybie, jakby fotel był tronem, a ja królem. Łatwiej jest, gdy całe ciało mówi tym samym językiem, co buty. To również pomaga utrzymać moc zaklęcia.

Na Old Street moje stopy poderwały się nagle i ruszyły ku drzwiom. Podążyłem za nimi, kiwając głową w rytmie, którego sam nie słyszałem. Zszedłem niespiesznie po długiej, krętej rampie, mijając kilku żebraków. Nie dałem im ani pensa. Ja bym to zrobił - my byśmy to zrobili - ale te buty nie. Były za szybkie, zbyt pewne siebie i nie zamierzały się zatrzymać.

Było już późno. Godzina szczytu miała się ku końcowi. Zbiegłem po schodach ruchomych, odtrącając pasażerów łokciami, i wkroczyłem dumnie na peron, z którego odjeżdżały pociągi na północ. Znalazłem sobie ławkę, usiadłem na niej, wyciągnąłem nogi, by jednym ruchem zająć dwa miejsca, i zacząłem czekać. Buty nie znosiły tej czynności, stukały i wierciły się nerwowo, to jednak była Northern Line i czekanie było koniecznością.

Pojechaliśmy do King's Cross, a tam przesiedliśmy się do pociągu jadącego na zachód. Wysiedliśmy na stacji Baker Street i kupiliśmy sobie jakiś pasztecik, przepalający papier, którym został owinięty. Zjedliśmy go, zaśmiecając okruchami oba siedzenia, a potem pojechaliśmy Jubilee Line na północ, do stacji Dollis Hill.

Dollis Hill. Domy otaczające stację sprawiały wrażenie nie tyle wybudowanych, ile ustawionych na

polu gry w monopol. Białe budynki za małe na mieszkania, które się w nich znajdują, a uliczki za wąskie dla przeciskających się przez nie samochodów.

Czułem się zmęczony. Wędrowanie szlakami nieznanego to nużąca czynność.

Dotarłszy do pierwszej czynnej pizzerii, wróciłem z wysiłkiem do normalnego kroku, kupiłem pizzę i pożarłem ją. Kiedy skończyłem, było już po jedenastej. Miałem wrażenie, że moje stopy w pożyczonych butach zamieniły się w nasiąknięte suszone śliwki.

Ruszyłem w dalszą drogę. Posuwałem się naprzód zamaszystym krokiem, starając się odzyskać rytm, kiwałem głową i kołysałem biodrami, pozwalając, by owe ruchy odbudowały moją pewność siebie. Przeszliśmy... mile. Nie wiem jak wiele mil. Napotkaliśmy... różne dziwne rzeczy. W niektórych miejscach zatrzymywaliśmy się i gapiliśmy ze zdumieniem, stopy nas swędziały i dostrzegaliśmy rzeczy, które nas... niepokoiły.

Kawałek muru za spokojnym pubem, pod którym powinni siedzieć pijani młodzieńcy, rżący głośno na widok przechodniów i straszący staruszki. Teraz jednak nie było tam nikogo.

Tylko cień i puszki po piwie.

Skatepark za wiaduktem kolejowym. Jego drewniane stoki opustoszały, a na ścianach widniało stare graffiti:

Δος μου πισο το Καπελο μου

Albo:

HMT GMO 2

Albo:

WOLNA PALESTYNA

Powinno tu być coś więcej. „Mo tu był” z pewnością by nie zaszkodziło. To wydawało się dziwne. W powietrzu unosiła się jakaś woń przypominająca odległy posmak rzeki. Dobiegała z zadrzewionego obszaru miejskiego cmentarza. Poczucie czegoś, co powinno istnieć, ale już nie istniało.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, choć nasz krok nie był już tak pewny. Mijały godziny i miejsca, w których powinniśmy coś znaleźć - pub z transmisją z meczu, pusty skatepark, zamknięty sklep monopolowy, domy o zgaszonych światłach - nie dały nam absolutnie nic.

I wtedy zadzwonił telefon.

Było już dobrze po północy, a my ciągle szliśmy i szliśmy. Buty chciały iść dalej, ale zadzwonił telefon, nieopodal Dudden Hill Lane.

To było...

...oczywiście chcieliśmy go odebrać, ale...

To leży w naszej naturze...

Nie miałem żadnego powodu.

Po prostu musieliśmy to zrobić.

* * *

- No cóż, resztę pan wie.

Telefon zadzwonił w Willesden, między Dollis Hill a Dudden Hill Lane, o drugiej dwadzieścia pięć w nocy, a ja go odebrałem, mimo że miałem na nogach buty Mo. Odebrałem go, a potem...

Można pewnie powiedzieć, że moje priorytety się zmieniły.

Myślałem, że to tylko zwyczajny zaginiony chłopak. Nie mieliśmy powodu sądzić, że jest inaczej. Poszedłem go szukać, bo chciałem pomóc przyjaciółce. Potem zadzwonił telefon, odebraliśmy go i zaczęło się na dobre: Nocny Burmistrz, widma, martwe kruki, pęknięty Kamień, Nair, Vera, Rajcy. Porwał nas nurt wydarzeń. Nie zastanawialiśmy się, nie pomyśleliśmy, że Loren może...

...nie pomyślałem.

To chyba wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia.

* * *

Skończyłem mówić.

Sinclair jadł coś, co wyglądało jak miniaturowa wersja Góry Stołowej, wyrzeźbiona z żółtej galarety z czarnym ziarnem. Wziął sobie ostrożnie kawałek i połknął go. Potem odłożył

widelec i otarł małe usta rogiem serwetki. Posiłek Charliego stał nieruszony na talerzu.

Nabraliśmy na widelec odrobinę czegoś, co mogło być sosem, i zlizaliśmy to. W restauracji zrobiło się pustawo, ludzie szli spędzać razem noc, czy może po prostu spać. Tylko przy kilku widocznych w półmroku stolikach siedzieli jeszcze goście.

- No cóż... - odezwał się wreszcie Sinclair. - No cóż, przeżyłeś niezwykle chwile - spróbował jeszcze raz. - No wiesz, sączki są...

- Rzadkie. Tak, wiem.

- Sączki i widma.

- Tak, one też.

- A ty natknąłeś się na jedno i na drugie. Naprawdę masz wielkiego pecha.

- My też jesteśmy rzadcy.

Rozciągnął usta w wąskim jak nóż uśmiechu.

- Co więc proponujesz w tej sprawie zrobić? - zapytał.

Zawahałem się.

- Istnieje kilka możliwości.

- Na przykład, Matthew?

- Po pierwsze, ucieczka.

- To chyba raczej haniebna sugestia, biorąc pod uwagę twoje do tej pory dżentelmeńskie zachowanie.

- Po drugie, odnalezienie istoty, która zabiła Naira.

- To miałoby trochę sensu.

- Nie miałoby. Jeśli potrafiła bez większego wysiłku obdrzeć go żywcem ze skóry, nie mam powodu sądzić, że nie zrobi tego samego ze mną. To by było szaleństwo. Bezsens.

Samobójstwo za pomocą garnituru w prążki. Poza tym jestem w pełni przekonany, że jeśli będę tu siedział wystarczająco długo, kłopoty i ból znajdą mnie same. Zostaje trzecia opcja.

Odszukać chłopaka.

- Nie interesują cię te dziwne napisy na ścianach? „Oddajcie mi mój kapelusz”?

- Interesują, ale nie wiem, co mógłbym w tej sprawie zrobić. Jeśli Nair szukał Mo, to znaczy, że chłopak jest ważniejszy, niż mi się zdawało. Napisał: „Swift ma buty”. Można je wykorzystać tylko do znalezienia Mo. Naira zabito kilka mil od miejsca, w które mnie zaprowadziły. I obiecaliśmy... Ja obiecałem jej pomóc. Mówię o Loren. Cóż innego mógłbym zrobić?

- A więc zamierzasz po prostu kontynuować poprzednie czynności, bez względu na to, że zostałeś Nocnym Burmistrzem, ostatnim obrońcą miasta, protektorem użytkowników mocy i nocnej magii ulic, zbawcą, uniwersalnym obrońcą i tak dalej?

- Tak. Świetnie pan to ujął.

- Obawiam się, że Rajcy nie będą z tego zbytnio zadowoleni.

- Dlatego właśnie chciałem porozmawiać z panem. Wolę, żeby Rajcy się w to nie mieszała. Nie chcę mieć z nimi nic do czynienia. Wiem, że ma pan... kontakty.

Sinclair westchnął cicho, przeciągle.

- Tak - przyznał po chwili. - Mam kontakty. Na tym polega moja praca. Można powiedzieć, że za to mi płacą. Mam obowiązek żywo się interesować podobnymi sprawami, nawet jeśli to nużące. Musisz jednak zrozumieć, Matthew, że ktoś, kto ma kontakty, jest kimś znacznie więcej niż posłańcem. Mogę poinformować Rajców, że jesteś Nocnym Burmistrzem, poprosić ich, by ci pomogli albo, jeśli rzeczywiście uważasz, że to konieczne, dali ci spokój. Oczywiście mogą to zrobić, oczywiście. Ale co sobie o mnie pomyślą, jeśli pozwolę ci pójść po niemal pewną, o ile w twoim przypadku można mówić o pewności, po niemal pewną śmierć, nie wyjaśnwszy ci, co się dzieje, co znaczy piętno na twojej ręce i co musi się wydarzyć dla dobra wszystkich? Utrzymanie kontaktów wymaga zachowania delikatnej równowagi. Prędzej czy później konieczne są pewne poświęcenia.

Nie chodziło tylko o to, w jaki sposób to powiedział.

Sięgnęliśmy po najbliższy nóż.

- *Bang* - rozległ się czyjś głos. - *Bang*.

Głos należał do kobiety. Towarzyszyła mu kobieca dłoń. Dotknęła mojej szyi, palce wsunęły się pod podbródek i popchnęły go do tyłu. Druga dłoń była gdzieś w pobliżu.

Zapewne trzymała przystawiony do mojej czaszki pistolet.

- *Bang* - powtórzyła kobieta.

- Odo - wyszeptaliśmy. - Zastanawialiśmy się, co się z tobą stało.

Na tym właśnie polega problem z religijnymi świrami. Kiedy są potrzebni, nigdy nie można ich znaleźć. A gdy świetnie można się bez nich obejść, muszą wszystkim zepsuć zabawę. Oda nigdy nie

była towarzyską osobą.

Sinclair wstał, wyciągnął serwetkę z za kołnierza i złożył ją równo przed talerzem.

- Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu - oznajmił. - Ale, choć ci ufam, Matthew, i wierzę, że w końcu zrobisz to co właściwe, a przynajmniej konieczne, nie mogę w żaden sposób zagwarantować, że one nie skorzystają z twojej pierwszej sugestii i po prostu nie uciekną. Ogień, światło, wolność i życie, czy nie tak to szło? Przerazenie i miłość do życia, tak jasna i potężna, że masz wrażenie, że możesz w niej utonąć? Zbyt jasna i potężna, byś mógł się go kiedykolwiek wyrzec? Przykro mi, Matthew, ale z ich powodu to musi się wydarzyć.

Spróbowałem odwrócić głowę. Oda wbiła mi palce w gardło, naciskając przedramieniem na tchawicę. Pochyliła się tak blisko, że oddychała mi prosto w oczy.

- *Bang* - wyszeptała raz jeszcze.

Widziałem kącikiem oka czarny pistolet. Kul nie da się prześcignąć. Pozostali goście w restauracji nic najwyraźniej nie zauważali. Wszyscy skrupulatnie wpatrywali się w talerze, nie unosząc wzroku. Z półmroku nadal dobiegał szmer uprzejmych rozmów. Kelner podszedł

do stolika i położył na talerzu Sinclaira rachunek w skórzanej książeczce.

- Jeśli nas zabijecie, co się stanie z Nocnym Burmistrzem? - wysyczeliliśmy.

- Postawiłeś ciekawe i istotne akademickie pytanie - stwierdził Sinclair. - Szczerze mówiąc, do tej chwili w ogóle się nad nim nie zastanawiałem. Z pewnością piętno przejdzie na jakiegoś innego pechowca, który zdziwi się tak samo jak ty, gdy się przekona, że przekłęto go w ten sposób. Czy może pobłogosławiono, to pewnie zależy od punktu widzenia.

Tradycyjnie Nocny Burmistrz miał kontrolę nad takimi sprawami, ale nie sądzę, żebyś wiedział, jak to się robi. Zgadza się? Nie masz pojęcia, co to znaczy być Nocnym Burmistrzem. Odnoszę wrażenie, że sam wspomniałeś, że nawet nie wierzysz w jego istnienie. Na szczęście - dodał, otwierając książeczkę z rachunkiem i przyglądając się liście pozycji - niektórzy z zatroskanych obywateli są skłonni poddać ów problem głębokiej analizie, czego ja w swej ignorancji nie potrafiłbym zrobić.

Odwrócił głowę. Nie widziałem, na co patrzy i do kogo się uśmiecha. Kącikiem oka dostrzegałem tylko cienie, z których dobiegały nieokreślone hałasy. Mogłem się jednak tego domyślić. Charlie również wstał i wyjął z kieszeni czarne pudełeczko. Wydobył z niego cienką srebrną igłę, przytwierdzoną do maleńkiej szklanej ampułki.

- Nie zbliżaj się! - warknęliśmy.

- *Bang* - wyszeptała nam Oda do ucha. - *Bang* trzy razy w pierś i dwa razy w głowę.

Bang, bang.

- Odo - wyszeptałem. - Proszę, Odo, to nie jest...

Nie wzruszyło jej to. A jeśli nawet wzruszyło, niczego po sobie nie okazała.

W ampułce był jakiś narkotyk.

Wypisano na nim moje nazwisko.

Światła zgasły. Życzę ci dobrej nocy i więcej szczęścia podczas następnej koagulacji...

...słodkich snów, mój słodki...

Koniec trasy...

Ciemność.

Część 2

Wszystkie drogi prowadzą do Kilburn

W której para butów kończy swą podróż,

ujawnia się spisek i śmierć miast brudzi sobie garnitur.

Miała na imię Oda. Nie znałem jej nazwiska. Bardzo możliwe, że ona również go nie znała.

Wierzyła w magię, tak samo, jak papież wierzy w szatana. Vera zawsze nazywała ją psychopatyczną suką. Wiedziałem, że zabija magów, ale nie sądziłem, by miała to zrobić mnie.

I rzekł Bóg: „Niech się stanie światło”.

I stało się, że wynaleziono dziewięciowoltową baterię, włożono ją do latarki, a tę wciśnięto w prawicę kobiety, by zaświeciła nam prosto w oczy.

Instynktownie spróbowaliśmy ją kopnąć. Nasza stopa wytrąciła latarkę z trzymającej ją dłoni, odtrącając ją jednocześnie na bok. Przyszło nam na myśl, że na pewno leżymy na podłodze, i to również się stało. Przetoczyliśmy się na bok i spróbowaliśmy wstać.

Poczuliśmy, że w oczach mamy pełno wody, a w żołądku piasek. Podźwignęliśmy się na ręce i kolana, i zaprawdę Pan Bóg pokarał nas uderzeniem kolbą pistoletu kalibru 9 mm, trzymanego przez kobietę, znaną rzecz jasna większości jako psychopatyczna suka.

I stało się tak, że nagle było znacznie mniej światła.

Ale za to stało się trochę czasu. I trochę krwi. Pewnie mojej. To najwyraźniej było normą.

Poczułem, że ktoś szarpie mnie za rękę. Odwróciłem głowę i zobaczyłem gdzieś po drugiej stronie równika swą prawą dłoń, spoczywającą na porośniętej zielskiej ziemi. Ktoś ściągał mi rękawiczkę i rozwijał bandaż. Na rękę padało mnóstwo światła. Poruszyłem palcami i stopa w bucie - wielkim i

czarnym, z paskami zamiast sznurowadeł, żeby wam się nie zdawało - nadepnęła mi na nadgarstek tak mocno, że aż krzyknąłem. Odwróciłem się, nie chcąc patrzeć, jak znęcają się nad moją dłońią.

Poczuliśmy, że zerwano z niej bandażę.

- Niech to chuj strzeli - usłyszałem męski głos.

Nacisk na mój nadgarstek zelżał.

Dłoń otoczyły twarze. Poznawałem niektóre z nich: Earle, Kemsley, Anissina. Za nimi stali następni, mężczyźni i kobiety ubrani na czarno jak duchowni. Wszyscy trzymali w rękach latarki albo karabiny, przyglądając się mnie i mojej przekłętej ręce. Oda, o twarzy prawie tak samo ciemnej jak krótko przystrzyżone włosy, mierzyła prosto w moją gębę. Nie demonstracyjnie, raczej od niechcienia, jakby pistolet przypadkiem znalazł się w jej dotykających spustu palcach. Gdy zerknęła na piętno na mojej ręce, i na jej twarzy nie malowało się nic oprócz pogardy.

- Masz kłopoty, czarnoksiężniku - oznajmiła.

Spróbowałem coś powiedzieć, ale mój głos był uwięziony za wielką, pokrytą brodawkami ropuchą, która zamieszkała u wejścia do moich płuc i poddawała drobiazgowej inspekcji każdą cząsteczkę wędrującego w obie strony powietrza.

Ujrzałem nad sobą odwróconą do góry nogami twarz Earle'a. Leżałem na plecach na porośniętej chwastami ziemi. Czułem... jakąś magię, ale innego rodzaju. Odległą, odciętą.

- Skąd pan to ma? - zapytał.

Miał na myśli moją rękę.

Oblizałem wargi.

- Nair.

- Co Nair?

- On to zrobił. Dał mi to.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Nigdy by nie pozwolił, żeby pan został Nocnym Burmistrzem. Skąd pan to ma?

- Zadzwoił telefon. Odebrałem go.

- Proszę mówić prawdę!

- Mówię.

- Mówi - potwierdziła Oda.

Na twarzy Earle'a zapłonął gniew.

- To nie pani interes - warknął. - Pani ludzie nie uczestniczą w tej sprawie.

- Zaproszono mnie tu nie bez powodu - odparła Oda. - Mnie, a wraz ze mną Zakon.

Znam czarnoksiężnika. On mówi prawdę.

- Skąd ta pewność?

- Znam go.

- I to wystarczy?

- Tak.

- To nic nie znaczy - warknął Earle. - Nocny Burmistrz jest Rajcą. Zawsze tak było.

Tytuł przechodzi z jednego Rajcy na drugiego, od stuleci nie opuszczał naszego kręgu. Nikt z zewnątrz nie rozumie, co jest konieczne, co trzeba zrobić. Nair z pewnością nie wybrałby tego stworzenia!

Ktoś trącił mnie czubkiem buta w skroń. To nie miało być szczególnie mocne kopnięcie, ale chodziło o mój mózg, but zrobiono z twardej skóry, a ja nie czułem się najlepiej. Usłyszałem łoskot niosący się echem w moich uszach niczym szum morza, poczułem, że miękkie tkanki mózgu odbijają się nerwowo od kości czaszki.

- Co się stanie, jeśli go zabijemy? - zapytał Kemsley.

- Koniec trasy - odparłem. Ryknęliśmy głośnym śmiechem, wypuszczając go swobodnie z pustyni swego gardła. - Koniec trasy! - Chichotaliśmy. - Koniec trasy!

- Podnieście go.

Earle miał tu władzę. Para rąk złapała mnie i pociągnęła w górę. Zwisiałem z nich całym ciężarem, starając się utrudnić Rajcom życie, właściwie z czystej złośliwości. Trawa i drzewa, liście i zeschnięte gałązki. Byliśmy w jakimś parku. Wielkim parku, bo nawet nie słyszało się tu ruchu drogowego. Przycięte żywopłoty i równe prostokąty błota, na których mogą któregoś dnia wyrosnąć kwiaty. To sprytne, zabrać miejskiego czarnoksiężnika do parku. Tu wszystko było dla mnie trudniejsze.

Twarz Earle'a wyglądała na poparzoną, gniew nadawał jej jaskraworóżowy kolor.

Mężczyzna spacerował w tę i w tę tuż przede mną. Nie zwracałem sobie głowy patrzeniem na

niego. Liczyłem uderzenia serca, próbując dopasować ich rytm do kolejnych zakrętów.

- Sinclair również uważa, że to prawda - dodała po chwili Oda. - A on rzadko się myli.

- Dlaczego to panią obchodzi? - warknął Kemsley.

- Zastanawiam się, jak możemy wykorzystać czarnoksiężnika - odpowiedziała. - Nie przepadam za takimi jak on i ta sytuacja wydaje mi się równie nieprzyjemna jak wam. Nie można jednak zaprzeczyć, że on może być użyteczny.

Unieśliśmy głowę i uśmiechnęliśmy się do kobiety, czując smak krwi na swych ustach.

- Ona się nad tym zastanawia - oznajmiliśmy. - A także się boi. Boi się śmiertelnie.

Widziała człowieka obróconego w surowe mięso i boi się tak bardzo...

Ktoś pozbawiony poczucia humoru kopnął nas od tyłu w łydki. Runęliśmy z krzykiem na twarz. W naszej ręce płonął ból, czerwone krzyże wycięte w skórze piekły w zimnym powietrzu.

- Nie możemy pozwolić, by te stwory sprofanowały urząd Burmistrza! - wysyczał

Kemsley.

- Jakie stwory? - zainteresowaliśmy się. - Ma pan na myśli mnie? Ja jestem nami i my jesteśmy mną. My jesteśmy mną i ja jestem nami. - Roześmialiśmy się i znowu spojrzeliśmy na Odę. - W strachu nie ma nic złego - syknęliśmy. - Lis się bał, więc tobie też wolno.

- O czym on gada? - warknął Earle, zwracając się do Ody, nie do mnie.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie on - wyjaśniła. - One.

- Nie - warknąłem. - Ja. Myślę, że ty też się boisz. Wszyscy się boicie. Sprawa sprowadza się do tego: jeśli mnie zabijecie, Nocnym Burmistrzem zostanie ktoś inny. Być może jeden z was. I co wtedy zrobicie? Spróbujecie odnaleźć istotę, która zabiła Naira?

Staniecie przed nią tak jak on, i pozwolicie, by oddzieliła wam ciało od kości za pomocą kartki papieru? Zamienicie się z żywego człowieka z piętnem na dłoni w martwe mięso obdarte ze skóry? Czy nie tego właśnie się obawiacie?

- Zakłada pan, że wierzymy w pańską niewinność - warknął Earle.

- Wie pan, że nie zabiłem Naira. Jest pan aroganckim dupkiem, ale nawet komuś takiemu jak pan powinno już wystarczyć czasu na znalezienie dowodów. Z pewnością pojechał pan do Willesden, znalazł moją krew na słuchawce, porozmawiał z lisami i z gołębiami, zrobił wszystko, co powinien pan zrobić od razu, gdyby tylko nie był pan tak głupi! Głupie, niekompetentne, głupie skurwysyny,

które tylko raz spojrzały na martwego Burmistrza i pomyślały: „Aha, chodźmy dokopać jakiemuś czarnoksiężnikowi. Hej, uczeń Bakker'a jeszcze żyje, a powinien nie żyć, bo poprzednim razem nie żył. Zastrzelmy go na wszelki wypadek!”. Walcie się w dupę ananasem, światła zgasły, dobranoc, życzę szczęścia, życzę miłego wieczoru, żegnajcie, pa, pa...

Earle mnie uderzył. To był czysty gniew, czysty gniew, czerwień i palący ogień.

Walnął na odlew jak dziewczyna, miał na palcach mnóstwo pierścieni, jak dziewczyna, ale był silny jak mężczyzna. Padliśmy na ziemię. W każdej części naszego ciała płonęły ból, wściekłość i oburzenie. Poczuliśmy w ustach smak krwi, pragnęliśmy ognia, tylko odrobiny ognia, odrobiny niebieskiego elektrycznego ognia, który ich spali... i...

- Jak rozumiem, uderzył pan swojego nowego szefa - odezwała się Oda. - Ale nie przeszkadzajcie sobie. Rozerwijcie się na strzępy.

Uniosłem głowę, walcząc z ogniem i szafirowoniebieską furją. Z moją lewą ręką coś było nie w porządku. Czulem gorącą krew zalewającą mój ból.

- Ona ma rację - wyszeptałem. - Rozumie to. Jeśli mnie zabijecie, sami będziecie musieli się uporać z całym tym syfem. Jeden z was zostanie żywcem obdarty ze skóry. Jest was wielu, więc ryzyko nie jest aż tak duże, ale jeśli nadal będziecie tak postępować, z każdą chwilą będzie was coraz mniej. Stwór, który zabił kruki, zniszczył Kamień i zamordował

Burmistrza, najprawdopodobniej weźmie się teraz za was. Proszę bardzo, zabijcie mnie. To tylko przyspieszy sprawę. Spalone, zatopione, rozbite, spustoszone, zniszczone, zrównane z ziemią. Wybierzcie, co wolicie. Miasto czeka zagłada, ponieważ nikt tego nie powstrzyma.

Koniec trasy.

Twarz Earle'a poczerwieniała z gniewu. Kemsley nie wyglądał wiele lepiej. Anissina stała za nimi. W zarys jej uniesionych brwi zakradła się niepewność. Czulem, że w koszulę wsiąka mi krew. Spojrzałem w dół i zobaczyłem czerwoną plamę rozchodzącą się na wszystkie strony.

- Pękły...

Nie zdążyłem dokończyć.

* * *

- Wypij to - zażądała.

- He? - odparłem.

- Wypij to - powtórzyła bardziej stanowczym tonem.

Otworzyłem oczy i oślepił mnie blask. Znowu je zamknąłem. Zasłoniłem jedno oko ręką i zaryzykowałem lekkie uchylenie drugiego. Zaczekałem chwilę, aż przywyknę do jasności, a potem

otworzyłem je całkowicie. To było tylko światło stołowej lampy stojącej przy łóżku, zwróconej żarówką ku ścianie. Zaryzykowałem uchylenie drugiego oka, spoglądając przez palce. Jasność nie była już tak intensywna. Gdzieś - daleko, a zarazem blisko - jechał pociąg. Oda siedziała w nogach łóżka. Na kolanach trzymała pistolet, a o jej prawą nogę wspierał się wyjątkowo mało zabawny przedmiot wyglądający na ukradziony z samurajskiej części Muzeum Wiktorii i Alberta. Podsuwała mi plastikowy kubek ze słomką, pełen czegoś ostrego, co w zasadzie mogło być sokiem pomarańczowym.

- Wypij to - powiedziała raz jeszcze.

Wziąłem kubek w rękę. Ta ręka była goła. Łączyła się w ramieniu z moim barkiem.

Bark wiązały z resztą ciała świeże, białe jak igloo bandaże. Gapiłem się na to, na sok pomarańczowy i na Odę.

- Rozerwałem sobie szew - stwierdziłem.

- Ehe - zgodziła się z westchnieniem. - Zauważyłam.

- Przystawiłaś mi pistolet do głowy!

- Sprawiasz wrażenie zaskoczonego.

Ona z pewnością nie sprawiała.

- Właściwie nie. Jestem tylko trochę...

- Rozczarowany? - Ona również trzymała w ręce kubek soku pomarańczowego.

Pociągnęła głośno łyk przez słomkę w biało-różowe paski. - Przecież wiesz, że zawsze miałam zamiar któregoś dnia cię zabić, czarnoksiężniku.

Nie potrafiłem uwierzyć w to, że Oda ma poczucie humoru.

- A dlaczego tego nie zrobiłaś? - zapytałem.

- Ze zwyczajowych powodów.

- To znaczy?

- Ważniejsze sprawy, mniejsze zło.

- Aha. Tych powodów.

- Niech ci się nie przewraca w głowie - dodała. - Nadal jesteś pomiotem diabła i będziesz płonął w piekle przez całą wieczność za swoje grzechy, za swą bezbożną bezduszną egzystencję sługi Belzebuba na Ziemi. Fakt, że możemy cię wykorzystać dla wspólnego dobra, nie ma nic wspólnego z

nieuniknionym przeznaczeniem twego wypaczonego ducha.

- Serdecznie dziękuję, Odo - odparłem, opuszczając głowę z powrotem na poduszkę. -

Ja też się cieszę, że cię widzę.

Wypiłem sok i rozejrzałem się po pokoju. To było coś w rodzaju studia. Łóżko, sofa i kuchnia znajdowały się na tym samym poziomie, oddzielone od siebie przepierzeniami.

Podłogę pokrywały wielkie białe dywany, stanowczo za czyste, by ktoś po nich chodził, w jednym kącie stał czarny fortepian, wokół telewizora ustawiono grupkę krzeseł, niski stół, a łóżko, na które mnie ciśnięto, wepchnięto w kąt przy oknie. Zasłony były zaciągnięte. Zegar na ścianie wskazywał szesnastą trzydzieści trzy.

- Czy to właściwy czas? - zapytałem, spoglądając na Odę.

- Tak.

- Gdzie się podział cały dzień?

Wzruszyła ramionami.

- Bardzo dużo krzyczeli. Długo się spierali. Pewnie nie zdziwi cię wiadomość, że mnóstwo się wydarzyło od chwili, gdy leżałeś, wykrwawiając się na śmierć, na trawie w Regent's Park.

- To było w Regent's Park?

- Tak.

- I wykrwawiałem się na śmierć?

- Ktoś... - zaczęła, biorąc w usta słomkę - ktoś mógł przypadkowo rozerwać szew.

- Ale teraz już się nie wykrwawiam.

- To prawda. To właśnie jeden ze skutków wszystkich tych krzyków. Zawsze sobie wyobrażałam, że Rajcy potrafią sprawnie prowadzić zebrania. Byłam w błędzie.

Powoli odzyskiwaliśmy jasność myślenia.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Za co?

- Za to, że nie myślałaś, że zabiłem Naira.

Wzruszyła ramionami.

- Dla mnie to bez różnicy. Mogłeś go zabić albo nie. Jednego odmienca mniej na ulicach.

- Ale...

- Jesteś użyteczny, czarnoksiężniku - oznajmiła. - Do tego się wszystko sprowadza.

Zabiłeś Bakкера, i to było korzystne. Zniszczyłeś Wieżę, i to było jeszcze korzystniejsze. A teraz musisz radzić sobie sam. Co... - westchnęła przeciągle - ...również może się okazać użyteczne. Rajcy to tchórze.

O mało nie roześmialiśmy się w głos.

- Domyśliłem się tego.

- Panicznie się boją tego, co zabiło Naira.

- Ja też.

- Myślą, że będą następni.

- Ja też.

- Wierzysz w ten mit? W to, że kruki bronią miasta? Że istnieją... stworzenia, cokolwiek to znaczy, gotowe pożerać niewinnych?

- Wierzę w zaporę przeciwpowodziową na Tamizie - odpowiedziałem ostrożnie.

- Co to ma znaczyć? - warknęła.

- Wierzę, że jeśli zapora pęknie, wielka fala zaleje miasto, pokrywając większość najmodniejszych dzielnic wielometrową warstwą soli, odpadków i mułu. Nigdy w życiu nie widziałem działania zapory, ale wierzę w nią z całego serca. Dlatego jestem skłonny zaakceptować myśl, że naprawdę możemy mieć przesrane.

Oda wysiorbała resztkę soku i odstawiła kubek. Potem pochyliła się, patrząc nam prosto w oczy.

- Chcesz się dowiedzieć, co postanowiono?

- Mam paskudne odczucie...

- To przez te szwy.

- Nie o takie odczucie mi chodziło... Dlaczego miałyby nas obchodzić, co postanowili Rajcy?

- Dlatego że tylko dwóch głosów zabrakło, by postanowili cię zastrzelić.

- Skoro tak to ujmujesz...

- To twój problem.
- Co jest moim problemem?
- To wszystko. Nadchodząca zagłada. Jesteś Nocnym Burmistrzem. Zgodzili się co do tego. Będziesz musiał jakoś temu zaradzić. To twój problem.
- Chcą oszczędzić na kulach - westchnąłem.
- Dlatego właśnie ten pomysł z Nocnym Burmistrzem jest taki elegancki. Nawet jeśli zginiesz, wkrótce zastąpi cię jakiś inny frajer.
- Naprawdę nic cię to nie obchodzi, prawda? - zapytałem. - W takim razie, dlaczego tu jesteś?
- Zakon może nie dbać o twoje życie, ale musimy być zainteresowani, gdy poczynania waszego klanu odmieńców mogą doprowadzić do zniszczenia miasta, w którym wszyscy mieszkamy. Niewinnych trzeba bronić, nawet jeśli wymaga to współpracy z winnymi.
- Myśl tak dalej, a zanim się zorientujesz, dotrzesz do rozsądnej, miłej normalności - mruknąłem.
- Wcale nie takiej miłej. Jestem tu po to, by mieć oko na wydarzenia.
- A co to znaczy?
- To znaczy - odparła z westchnieniem - że gdy tylko zaczniesz wyglądać na to, że nie masz zamiaru rozwiązać tej sprawy, że chcesz uciec, zdradzić nas, oszukać albo po prostu olać całą sytuację, to ja będę musiała cię zastrzelić. To będzie całkiem jak w dawnych czasach
- dodała z krokodylim uśmiechem.
- A dlaczego Rajcy nie chcą się tym zająć?
- Doszli do wniosku... - Wessała powietrze, ostrożnie dobierając słowa. - Że możesz być bardziej skłonny dojść do porozumienia z dawną znajomą. Padła sugestia, bym to ja przeprowadziła wstępną rozmowę, wyjaśniła ci sprawy, nie owijając niczego w bawełnę.
- Jesteś do tego przyzwyczajony, prawda?
- Takt i poczucie humoru faktycznie nie są pojęciami, które byłbym skłonny z tobą kojarzyć.
- To świetnie. No wiesz, to rozumowanie ma pewne zalety, nawet jeśli ich dusze są po trzykroć potępione. Będziesz musiał z nimi współpracować. Rozmawiać z nimi, pozwolić, by pomogli ci zrobić to co konieczne, aż wreszcie będzie po wszystkim.
- Naprawdę nic nie musimy - sprzeciwił się.

- Och, myślę, że się mylisz. No wiesz, może i zostałeś Nocnym Burmistrzem, to tylko kolejny dowód na to, jak bardzo wypaczone jest twoje życie, ale nie masz pojęcia, co w tej sprawie zrobić, prawda? Nie wiesz, co to oznacza. Oni to wiedzą. Poświęcili całe życie na poznanie odpowiedzi na to pytanie.

Nagle zawładnęła mną podejrzliwość.

- Gdzie oni są? - zapytałem.

- Pięcioro czeka w samochodzie na dole.

- Powiedz im, żeby sobie wsadzili...

- Jest ich pięcioro, wszyscy są uzbrojeni po zęby i wkurzeni, ale wbrew sobie, ze wszystkich sił starają się okazać uprzejmość. Nie spodziewałam się, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym będę musiała cię ratować przed zaschniętym orzechem, który służy ci jako mózg, ale wydano mi polecenia. Rajcy chcą z tobą porozmawiać. Będiesz dla nich grzeczny.

W przeciwnym razie własnoręcznie usunę ci te szwy lampą lutowniczą. Rozumiemy się?

Jestem aż taka dobra.

- Tak - odpowiedziałem potulnie ku naszej wściekłości.

* * *

Ubrałem się. Nie można pełnić funkcji Nocnego Burmistrza w samych gaciach.

Obok przejeżdżały pociągi. Doszedłem do wniosku, że jestem gdzieś w południowym Londynie. Tory biegnęły po starych, ceglanych łukach, pod którymi stały inne budynki. Może gdzieś w pobliżu Waterloo, gdzie chaotyczny plan zabudowy przypomina plamy sosu spadającego z drżącej łyżki.

Ktoś założył nam nowe szwy. Ranę wypełniał pulsujący ból, nasilający się i słabnący z każdym uderzeniem serca. Odbicie naszej twarzy w lustrze mogłoby przestraszyć martwego konia, który widział już wewnątrz fabryki kleju. Poplamione krwią ubrania nadawały się tylko do wyrzucenia. Oda dała mi nowe. Napis na T-shircie głosił: „Jak postąpiłby Jezus?”. Z

przodu i z tyłu przedstawiono wielki biały krzyż opleciony cierniami.

- Nie możemy tego włożyć - oznajmiliśmy.

- Boisz się, że spali twoje ciało? - zapytała.

Wciągnęliśmy koszulkę. Tylko ona mogła nas uratować przed marznięciem i utratą godności. Dalszą utratą godności.

Oda zrobiła kolację, składającą się z szarej mazi z niedogotowanym makaronem.

Fanatyczne psychopatyczne suki najwyraźniej miały inne priorytety niż reszta ludzi. I tak to zjedliśmy, starając się nie okazywać wdzięczności, jaką czuliśmy. Zmusiliśmy Rajców do czekania. Mogliśmy zrobić przynajmniej tyle.

* * *

O szóstej Oda wpuściła ich do środka. Siedziałem na sofie, a oni ustawili się w szeregu przede mną. Earle'a wśród nich nie było. Zastanawiałem się, jak głosował w sprawie zastrzelenia mnie. Zadawałem sobie pytanie, kto był za tym, by mnie oszczędzić.

Niestety, jego nieobecność nie w pełni była błogosławieństwem. Z grupki wystąpił Kemsley.

- Panie Swift - zaczął, przemawiając kącikiem wąskich ust.

- Panie Kemsley - odparłem.

- Jestem tu jako przedstawiciel Rajców.

- Domyśliłem się tego.

- Są pewne sprawy, które musimy omówić. Czy mogę na początek oznajmić, że w imieniu Rajców ofiaruję bezwarunkowe przeprosiny za wszystko, co wycierpiał pan z naszych rąk? Działaliśmy na podstawie najlepszych posiadanych informacji i jestem pewien, że z czasem zrozumie pan nasze motywy.

- To nie są bezwarunkowe przeprosiny, ale na razie to zostawmy.

Poruszył nerwowo palcami, ale zdołał zachować obojętny wyraz twarzy.

- Postanowiliśmy zaakceptować nominowanie pana na Nocnego Burmistrza.

- Jestem zachwycony. - To niekonwencjonalne.

To słowo wydostało się z jego ust jak wąska strużka żółci ciekąca, gdy już nie ma czym wymiotować. Skrzyżowałem ręce i czekałem cierpliwie.

- Panie Swift, z pewnością rozumie pan, że sytuacja jest skomplikowana.

- Mnie wydaje się bardzo prosta. Ktoś próbuje zniszczyć magiczne osłony miasta, a wy boicie się spróbować powstrzymać go samodzielnie. Chcecie, żebyśmy walczyli w waszym imieniu, dowiedzieli się, dlaczego Nair interesował się moimi butami i co to znaczy

„oddajcie mi mój kapelusz”. Krótko mówiąc, chcecie, żebym to ja odnalazł faceta, który potrafi obdzierać ludzi żywcem ze skóry, nie dotykając ich ani jednym palcem, a potem uporał się z tym problemem. Czy o czymś zapomniałem?

Kemsley zawahał się, wciągając wargi. Potem się uśmiechnął.

- Nie - przyznał. - Mam wrażenie, że świetnie pan rozumie sytuację. Ma pan jakieś wątpliwości?

- Kilka.

- Musi się pan nauczyć z nimi żyć.

- Nici ze szczerych przeprosin.

- Wie pan, jaka jest stawka.

- Zabiliście moją przyjaciółkę.

Ściągnął brwi.

- Czy... aha... chodzi o Białą. Verę, jak się tam zwała. Mógłbym zwrócić pańską uwagę na fakt, że zamieniła się w plamę farby, nie w zwyczajnego trupa.

- Zauważyłem. To ciekawe, nieprawdaż?

- Była Białą. Oni oczekują od życia czegoś innego niż my.

- Skoro jestem Nocnym Burmistrzem, to czy mogę pana wywalić?

- A jak pan sądzi?

- Kemsley - oznajmiliśmy ze spokojem - jeśli choć jeden twój oddech nam się nie spodoba, zabijemy cię równie łatwo, jak wy zabiliście Verę.

- Nie wątpię w to. Ze swojej strony mogę dodać, że myśl, że został pan Nocnym Burmistrzem, wydaje mi się wstrętna i chora. To degradacja urzędu, wiążących się z nim obowiązków, jego wielowiekowej tradycji i wszystkiego, co się z tym wiąże. To jednak nie zmienia faktu, że jeśli ów urząd przypadł panu, Nair musiał tego pragnąć. Z pewnością wiedział, co się stanie, kiedy skorzystał z telefonu, zdawał sobie sprawę, że niebieskie elektryczne anioły czekają. W imię pamięci o nim uszanuję wybór, którego dokonał, w nadziei że nie przywiedzie nas on do zguby.

W owej chwili niemalże przypominał człowieka. Takiego, który w dzieciństwie wrywał skrzydełka muchom, ale zawsze człowieka.

- Fajnie, że to sobie wyjaśniliśmy - stwierdziłem z uśmiechem. - Mogę zrobić dla was coś jeszcze, panowie?

- Ma pan odznakę. Krzyż w krzyżu. To własność mojego kolegi, pana Earle'a.

Chciałby ją odzyskać.

- Jest w mojej torbie. Czy ma jakieś znaczenie?

- Czysto sentymentalne.

To było kłamstwo. Wiedział, że ja o tym wiem, ale wpatrywał się we mnie bezczelnie, a jego spojrzenie mówiło: „Tak, skłamałem, i nie, nie powiem nic więcej”.

Zaczekałem, aż przyniosą torbę. Przypomniałem sobie, jak wyglądała twarz Earle'a w mieszkaniu w Bayswater, pokryta metalem, a także szok, który przeżył, kiedy zerwałem mu odznakę.

- Musimy przedyskutować strategię - oznajmił Kemsley.

Wzruszyłem ramionami.

- Jasne. A co tam.

- Trzeba ustalić, kto zabił Naira. Wydaje się logiczne, że ten ktoś, czy to coś, ma związek z innymi atakami na miasto. Mamy kontakty, które mogą się okazać użyteczne.

Zapisy z kamer ulicznych, akta policyjne, bazy danych, eksperci medycyny sądowej...

- I co macie nadzieję osiągnąć dzięki temu wszystkiemu?

- Może uda się nam prześledzić ruchy zabójcy.

- Za pomocą kamer? Życzę powodzenia.

- Nie wierzy pan, że to możliwe?

- To miasto ma dziewięć milionów mieszkańców. Zapewne ze dwa miliony z nich noszą kiepskie garnitury i zaczesują włosy do tyłu. I mówimy tylko o ludziach.

- Istnieją też metody śledzenia innych... stworzeń.

- A co zamierzacie zrobić z tym stworzeniem, gdy już je odnajdziecie?

- Zabić je.

- Macie pojęcie, jak to zrobić?

Kemsley znowu się uśmiechnął. Czuliśmy się, jakby wbijał nam palce w głąb oczu.

- Pomyśleliśmy sobie, że tę kwestię zostawimy panu, czarnoksiężnikowi. Panie Burmistrzu. Tymczasem załatwiliśmy, by do Tower przewieziono dziewięć nowych kruków.

- I uważacie, że to rozwiąże problem?

- Nie, ale może pomóc w ustaleniu, na czym on polega. A nawet jeśli nie pomoże, lepsze to niż

siedzieć beczynnie i demonstrować negatywne podejście.

- Czy powiedział pan „negatywne podejście”? - zapytaliśmy z niedowierzaniem.

- Podejrzewam, że nie potrafi pan pracować w grupie - stwierdził, szczerząc zęby w ociekającym słodyczą uśmiechu. - A co pan proponuje zrobić? - zapytał po chwili.

Rozejrzałem się po pokoju.

- Gdzie są moje buty?

- Jeśli ma pan na myśli buty tego chłopaka, Mo, są w laboratorium razem ze wszystkimi butami, które znaleźliśmy w jego sypialni. A także wszystkimi, które mógł pan kiedykolwiek nosić.

- To chyba przesadna reakcja.

- Nair uważał, że te buty są ważne. Nie powiedział, dlaczego. Pańska wędrówka mogła niczemu nie służyć.

- Macie laboratorium?

- Rozważamy wszystkie możliwości.

- Chcę dostać te buty z powrotem.

- Naprawdę sądzi pan, że...

- Chcemy je dostać z powrotem - powtórzyliśmy z naciskiem.

Przygryzł wargę.

- Dostarczymy je za godzinę.

- Dziękuję. - Nagle nasunęła się nam pewna myśl, przebijająca się powoli przez panujący w naszej głowie zamęt. - Jak to „wszystkie buty, które znaleźliście w jego sypialni”?

- zapytałem.

- Zabraliśmy je.

- Z mieszkania Loren?

- Tak.

- Rozmawialiście z nią?

- Tak.

- I co jej powiedzieliście?

- Niewiele. Lepiej, żeby cywile nic nie wiedzieli.

- Cywile? Gdzie ona jest?

- W bezpiecznym miejscu.

Wstaliśmy powoli. W naszej ręce zatańczył ból.

- Zamknęliście ją?

- Dla jej bezpieczeństwa i po to, by dowiedzieć się więcej.

- Zamknęliście ją i nie powiedzieliście, dlaczego?

- Dla wspólnego dobra.

- Jeśli jeszcze raz usłyszymy te słowa, podpalimy niebo - warknęliśmy.

Kemsley miał niemal zadowoloną minę.

- Naprawdę to pana obchodzi? - zapytał.

- Jest naszą... obiecaliśmy jej pomóc. Jest samotna, boi się. Jesteśmy... chcemy ją ochronić. Jeśli choć jeden włos z jej głowy spłynie ze zlewu, rozerwiemy was na strzępy.

Uśmiechnął się. Stał i gapił się na nas z uśmiechem.

- Ty cholerny skurwysynu - warknąłem.

- Po prostu staram się zabezpieczyć tyły - odparł.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Imponuje mi, że to pana obchodzi. Naprawdę.

- Zrobimy...

- Co pan robi? Co pan by zrobił, gdyby nie był pan przerażonym śmiertelnikiem, tak samo jak my wszyscy, panie Burmistrzu? Panie Nocny Elektryczny Burmistrzu? Co pan by zrobił?

Osunęliśmy się na sofę. Wpatrzyłem się we własne dłonie.

- I co teraz? - zapytałem.

- Musi się odbyć inauguracja.

Roześmiałem się w głos.

- Mówię poważnie.
- Wiem. Dlatego to jest śmieszne. Czy będą koktajlowe kiełbaski i kawałki ananasa na patyczkach?
- Nie.
- Szkoda.
- Burmistrz musi odbyć inaugurację.
- Co za pożytek z przyjęcia bez ponczu?
- Chce pan żyć? To proszę to traktować poważnie.
- Traktuję. - Potarłem oczy wewnętrznymi powierzchniami dłoni. - Traktujemy. Czego powinienem się spodziewać?
- Duchów - odparł, wzruszając ramionami.
- Serdecznie dziękuję.
- Widzi pan, żebym się uśmiechał?
- Duchów - powtórzyłem. - Rewelacja. A kiedy ma się odbyć ta inauguracja bez ponczu i ananasów?
- Jutro o północy.
- No jasne.
- Musi pan ją odbyć, jeśli ma pan zostać Nocnym Burmistrzem, jeśli... - Umilkł nagle.
- Chcę żyć? - zasugerowałem.
- Tak.
- Ale Nairowi inauguracja nie pomogła.
- Nair był człowiekiem.
- Myślałem, że był Burmistrzem.
- Był człowiekiem pełniącym funkcję Burmistrza. Pan jest czymś innym.
- Jasne. Zwalmy wszystko na przemysł wskrzeszeniowy. Czemu by nie? W razie wątpliwości przypomnijmy facetowi, że zginął, ciemną nocą rozdarły go na strzępy czarne pazury, zobaczył białe światło w długim tunelu i wszystkie te rzeczy, które się widzi przed śmiercią, wydał z siebie ostatnie

technienie. No jasne. Proszę bardzo. Wtedy na pewno będę bardziej skłonny wam pomóc.

- To konieczne, Swift. Pan potrzebuje nas, a my potrzebujemy pana. Obaj możemy się wściekać z tego powodu, ale rozsądek wymaga, by się pogodzić z sytuacją i robić swoje.

Proszę nie wyłączać telefonu, panie Burmistrzu. I nie zapomnieć go odebrać, kiedy zadzwoni.

Najwyraźniej to było wszystko, co miał w tej sprawie do powiedzenia.

Rajcy wyszli.

Wszyscy poza Anissiną.

- Ja będę cieniem - oznajmiła.

- Słucham?

- Będę cieniem. Będę strzegła pańskich pleców.

- Ona świetnie sobie z tym poradzi - zauważyłem, wskazując podbródkiem na Odę. - I ma też własne noże.

- Ja również - odparła Anissina, poruszając ustami w grymasie, który mógł być uśmiechem. - A poza tym moje noże nie muszą skończyć w pańskim ciele.

- Czy mały czarnoksiężnik potrzebuje obrońców? - mruknęła Oda.

Anissina nie raczyła jej odpowiedzieć. Zapadłem się w sofę.

- Herbata - odezwałem się. - Herbata znacznie poprawi sytuację.

* * *

Popiliśmy herbatą tabletki przeciwbólowe.

To rzeczywiście trochę pomogło.

Nie za bardzo, ale zawsze trochę.

Ktoś zapukał do drzwi. Oda otworzyła je, chowając pistolet. Kurier motocyklowy w czarnym hełmie i wyscielanej kurtce wręczył jej pudełko. W środku była para butów.

Ujrzawszy, że są nieuszkodzone, poczuliśmy coś bliskiego radości.

- Po co ci one? - zapytała Oda.

- Świetnie się w nich chodzi - odpowiedziałem i włożyłem je na nogi.

* * *

Na Anissinę czekał samochód. Z kierowcą. W spiczastym kapeluszu.

- Chodźmy na piechotę - zaproponowałem, spojrzawszy na niego.

- Do Willesden?

- Do metra.

Zmarszczyła z niesmakiem nos. Oda wzniosła wzrok ku niebu.

- To przywileje wiążące się ze stanowiskiem, czarnoksiężniku - warknęła. - Jestem pewna, że to rozumiesz.

- Rozumiem, jakie zalety ma podwiezienie za darmo - odparłem. - Ale zdaję też sobie sprawę, że jeśli przybędziemy na miejsce w czarnym samochodzie o zaczernionych oknach i kierowca w czarnym jedwabnym garniturze otworzy przed nami drzwi czarną klamką, odsłaniając czarne fotele w środku, nie będziemy tak dyskretni, jak byśmy tego chcieli.

Oda wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nie tak łatwo go zabić. Ale i tak nie żyje.

- Przypomnij mi, po co tu jesteś.

- Prędzej czy później ktoś zarobi kulkę.

- Domyślasz się, kto to może być?

- Zrobię ci listę.

* * *

Pojechaliśmy Jubilee Line. Stacja była nowa - szklane drzwi i szyby przed torami, na wypadek gdyby ktoś chciał skoczyć. Maszynista chybił za pierwszym razem, nie zwolnił

wystarczająco szybko i nie zdołał trafić drzwiami nowego, błyszczącego pociągu prosto w przejście między szybami. Musiał cofnąć pociąg o kilka cali, szarpiąc nim z głośnym zgrzytem. Nieliczni pasażerowie czekali, wzdychając niecierpliwie. Trudno było określić, co było bardziej irytujące - zwłoka spowodowana niewłaściwym zatrzymaniem się pociągu, czy zwłoki leżące na torach. Trzeba było wybrać którąś z tych możliwości.

Jubilee Line pozwoliła nam dotrzeć na północ. Z powrotem do Dollis Hill. Ciemność, chłód, siąpiący miarowo, niesiony wiatrem deszcz widoczny w świetle latarni, odbijającym się pomarańczowym blaskiem w mokrych chodnikach. Znałem już trasę, wiedziałem, dokąd chcą pójść buty, opanowałem zamaszysty krok, który lubiły. Dlatego było mi łatwiej, mimo że bolały mnie kości,

a umysł miałem zmacony od lekarstw. Mimo że się bałem i miałem towarzystwo. Łatwiej było odnaleźć odpowiedni rytm i kroczyć butnie jak siedemnastoletni ćwok, który nie powinien, nie mógł, nie był w stanie zamieszać się w cały ten syf, ale najwyraźniej to właśnie zrobił.

Znowu szedłem dumnie przez ulice. Było mi teraz łatwiej, znacznie łatwiej, ponieważ znałem przynajmniej początek trasy. Opuszczony skatepark pod wiaduktem. Nadal było tam pusto i ciemno, stare drewniane tory pokrywała sucha wyblakła farba. Pub z transmisjami meczów, Arsenal prowadził do przerwy, pusta ściana, pod którą powinna siedzieć pijąca młodzież, chodnik pełen śmieci po jakiejś dawno minionej imprezie, sklep monopolowy o oknach zasłoniętych żaluzjami. W środku było ciemno, a na żaluzjach nabazgrano ostrzeżenie:

ŞAPKAMI GERI VER

Towarzyszył mu zwyczajowy chaos liter i nazwisk.

Anissina się nie odzywała.

- Jeśli marnujesz nasz czas... - ostrzegła mnie Oda.

Zignorowałem ją. Zamaszysty krok ją zignorował. Potrafił rozpoznać nieświadome, niezasługujące na szacunek osoby.

Plama betonu, mogąca niekiedy służyć jako garaż.

Kawałek nisko zawieszzonego łańcucha zamykający wejście. W środku budka telefoniczna oświetlona jedną syczącą świetlówką. Słuchawkę uprzejmie odwieszono na miejsce. Mieliśmy ochotę przystanąć i gapić się na to całymi godzinami, by sprawić, że ta noc zamieni się w inną, sprzed kilku dni, buty jednak pragnęły iść dalej, a nie miałem czasu ani energii, by się im sprzeciwić. Tak to już było. Deszcz spłukał naszą krew.

Szedłem przed siebie. Od tego punktu zaczynało się nieznane terytorium, poprzednim razem dotarłem tylko do telefonu. Opuściłem głowę, patrzyłem wyłącznie na chodnikowe płyty, wierząc, że Oda i Anissina - choć zdrowy rozsądek mówił nam, że jest inaczej -

ostrzegą nas przed zbliżającymi się ciężarówkami z cementem. Pozwoliliśmy butom iść samodzielnie.

Nie wiem, gdzie dokładnie trafiliśmy. Poszliśmy na południe, wracając tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. To była jakaś handlowa ulica, która bardzo się starała być trendy, ale nie do końca jej się to udało. Puby udawały bary winne, szyby pokrywała rosa, a klienci wychodzili na ulicę pomimo deszczu; restauracje podniosły wszystkie ceny o dwa funty i dodały do menu bakłażany, nawet budki z indyjskim jedzeniem i kioski z gazetami reklamowały miejscowe „wydarzenia kulturalne”, to znaczy występy amatorskich teatrów albo chórów osiedlowych. Mijaliśmy to wszystko, buty nam przesiąkały, a wilgotne skarpetki powodowały swędzenie. Strumienie błyszczącej wody spadały na ulicę, wypełniając rynsztoki. Deszcz zmył typowe uliczne zapachy kebabów i autobusowych spalin, zostawiając w ich miejsce zimną martwość, która nas odświeżała do chwili, gdy nie stała się nużąca.

Nie wiem też, jak długo szliśmy. Mierzyliśmy czas w krokach, nie w sekundach, odległość zaś ciepłem w naszych nogach, nie w metrach czy milach. Nam wydawało się, że trwało to krótko, ale Oda mówiła, że pokonaliśmy długą drogę.

Nagle, bez ostrzeżenia, zatrzymaliśmy się i odwróciliśmy, wskazując czubkami butów na mur budynku. Uniosłem wzrok. To był zwyczajny szeregowiec, z którym zrobiono parę niezwykłych rzeczy. Całą powierzchnię pokrywała aluminiowa blacha. Wprawiono w nią tysiąc świecidełek udających diamenty, otaczających centrum z fioletowych klejnotów z plastiku. Ukryte w ich wnętrzu, ledwie widoczne żarówki pulsowały w hipnotycznym rytmie, tworząc świetlisty napis „NAPIĘCIE”.

Pod szyldem znajdowały się aluminiowe drzwi otworzone do środka. Były wzmocnione od wewnątrz i wyściełane fioletowym jedwabiem. Wiodły w ciemność.

Czerwony sznurek zwisający z mosiężnego słupka wyznaczał miejsce, w którym zaczynała się kolejka do lokalu. W wejściu stał odziany na czarno mężczyzna z radiem w lewym uchu.

Urękawiczone dłonie złożył na brzuchu, jedną na drugiej. Cuchnął melasą, ciemnym, gęstym syropem klonowym bez cukru i innych uroków. To był odór magii, przypominający mi Charliego, wiernego asystenta Sinclaira.

Świetnie potrafił unikać patrzenia ludziom w oczy. Cały czas obserwował ulicę, jakby się na niego nie gapiono. Na wielkim, mięsistym nosie miał śmieszne ciemne okulary.

- Tutaj? - zdumiała się Oda, widząc, na co patrzymy. - Chcesz wejść tutaj?

- Tak.

- A po co? - westchnęła. - Myślałam, że jesteś czarnoksiężnikiem, nie Jedi.

- Widziałaś *Gwiezdne wojny*? - zdziwiłem się.

- Widziałam i potępiłam je.

- Potępiłaś *Gwiezdne wojny*?

- Hollywood nie powinno wysławiać czarowników.

- Chyba nie bardzo rozumiałaś, o co w nich chodziło...

- Harry'ego Pottera też potępiam.

- Naprawdę?

- Tak.

- Bo...

- ...bo literatura, zwłaszcza przeznaczona dla dzieci, nie powinna sławić czarowników.

- Odo, co właściwie robisz dla rozrywki?

Zastanawiała się nad tym pytaniem przez krótką chwilę.

- Potępiam różne rzeczy - odparła wreszcie bez śladu humoru.

- Nieważne. Zapomnijmy o tym.

Anissina jak zwykle nie odzywała się ani słowem. Wskazałem głową na drzwi.

- Chcę tam wejść.

- Naprawdę myślisz, że to najbardziej produktywny sposób, by uratować... - Oda skrzywiła się, a potem wypluła słowa: - To piekielne miasto?

- Użyłaś słowa „piekielne” w...

- Czysto ekspresyjnym sensie. Nigdy nie bluźnię i nie mam poczucia humoru.

- Buty Mo chcą wejść do „Napięcia”.

- Mówisz, jakby miały niezależną wolę.

- A ty mówisz, jakbyś nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogą ją mieć. Kilka lat temu posiadałem parę mokasynów, które zmoczył singapurski monsun, pobrudził piasek nad Oceanem Indyjskim, przeszedłem w nich większą część Bronxu i drwili z nich kelnerzy w Stambule. Znajdź parę butów, które nie mają własnej historii, a ja znajdę ci plaster na pęcherze, który naprawdę pomaga. Umowa stoi?

Oda skrzywiła się, spoglądając na mroczne wejście do tandetnego klubu.

- Napięcie? - zapytała.

- Napięcie - potwierdziłem.

* * *

Bramkarz zerknął na nas tylko raz i oznajmił:

- Nie w tych butach.

Bramkarzy nie da się zastraszyć. Nie dlatego, że płacą im za to, by byli twardzi, ale dlatego, że płacą im, a oni się nudzą. To niedobra kombinacja.

- Naprawdę? - zapytałem. - Jesteś pewien?

- Przykro mi, kolego. W tych butach nie wejdziesz.

W tej samej chwili przepuścił grupkę nastolatków, nawet na nie nie patrząc. Wszystkie weszły na schody i zniknęły w mroku na dole.

- Czy mam za dużo lat? - zapytałem ostrożnie.

- Wiesz, jak to jest, kolego. Mam swoje instrukcje...

Na drzwi była skierowana kamera uliczna. Popatrzyłem na nią. A potem na niego.

Takie kamery łatwo wprowadzić w błąd, jeśli się wie, jak to zrobić. Nie musiałem nawet skinąć na nią ręką, by była skłonna spojrzeć w drugą stronę.

- Zmiennokształtny - oznajmiłem.

Miał bary umięśnione jak u wołu. Napiął te mięśnie i jego płaszcz uniósł się prawie o stopę. Czekałem.

- Dobra, czarodzieju - odparł.

- Nie do końca.

- To nie jest lokal dla takich jak ty.

Roześmialiśmy się.

- Wiem o tym. Co musimy zrobić, żeby wejść do środka?

- Chciałbym ci pomóc, kolego, daję słowo, ale...

Wyciągnęliśmy błyskawicznie rękę, nie ostrzegając go mrugnięciem, i zerwaliśmy mu okulary. Tęczówki bramkarza wypełniały całe oczy, były jaskrawopomarańczowe, a na brzegach żółte. Oczy gołębia w ludzkiej głowie. Sięgnął ku mnie instynktownie, jedną ręką odepchnął mi podbródek, a drugą spróbował złapać za prawe ramię, zgodnie z zasadami sztuk walki. Powstrzymał go ostry, groźny trzask. Rękaw Ody dotykał jego karku. Kryło się w nim coś więcej niż ręka.

- Gdyby to nie było miejsce publiczne, twój kręgosłup leżałby już na chodniku -

ostrzegła. - Puść go.

Cofnął palce. Zatoczyłem się do tyłu. Oda zerknęła na mnie z miłym uśmiechem.

- Są tu jakieś zaułki? - zapytała.

- Nie zabijaj go.

- Wyobraź sobie, jakie kłopoty będziemy mieli, jeśli tego nie zrobię. To również dla twojego dobra,

nie tylko dla dobra miasta.

- Jesteś bystra. Użyj wyobraźni. Nie zabijaj go.

- On tylko...

- Sprawí nam kłopoty, wiem. Ale nieważne. Pogódź się z tym. Skrzywiła się z irytacją.

- Wiesz co? Mogłabym po prostu...

- Jeśli to zrobisz, dowiemy się - warknęliśmy. Nie byliśmy pewni, jak moglibyśmy osiągnąć ten cel, ale ona nie musiała o tym wiedzieć. - Dowiemy się - dodaliśmy, patrząc jej prosto w oczy. - Załatw to pokojowo.

- Ja pójdę. - To Anissina. Kiedy już się odezwała, mówiła do rzeczy. - Daj mi broń.

Oda miała niezadowoloną minę, ale ostrożnie zamieniła się miejscami z drugą kobietą.

Anissina ujęła w palce czarny metalowy przedmiot dotykający karku bramkarza. Oda poprawiła jej rękaw, by ukryć w nim większą część kolby.

- Nie myśl o tym, siostró - wysyczała, mocniej owijając palce Anissiny wokół spustu.

- Jeśli czegoś spróbuje, nie myśl. Tak będzie łatwiej.

Anissina milczała. Nie mieliśmy pojęcia, czy zabije bramkarza, ale doszedłem do wniosku, że miał większe szanse z kimś, kto nie jest Odą.

- Ruszaj - rozkazała Rajczyni.

Bramkarz posłuchał jej i zaczął powoli oddalać się od drzwi. Śledziłem ich wzrokiem.

Ich podejrzane ruchy zapowiadały kłopoty, ale jeśli Anissina nie potrafił zapanować nad sytuacją, któż mógłby tego dokonać? Zniknęli za rogiem, skręcając w boczną ulicę. Zgodnie z radą mądrej kobiety staraliśmy się o tym nie myśleć.

- Chodź ze mną - odezwała się Oda, spoglądając w ciemną otchłań klubu.

- Chyba zatańcz.

- Słucham?

- Zatańcz ze mną to... mniejsza z tym. Ruszajmy.

Weszliśmy do środka.

* * *

Z zewnątrz klub „Napięcie” wyglądał tandetnie, ale w środku ze wszystkich sił starał

się zasłużyć na swą nazwę. Czulem woń elektryczności unoszącej się w powietrzu. Każdy oddech jakby od niej skwierczał. Czulem ją, słyszałem jak brzęczenie przeładowanej baterii komputera. Włoski na dłoniach stawały mi od niej dęba. Tylko z najwyższym wysiłkiem powstrzymaliśmy się przed sypaniem iskrami.

W jedną ze ścian wbudowano płaskie ekrany plazmowe, wielkie kręgi nie do końca będącego szkłem materiału. Tańczyły na nich niebieskie, zielone, fioletowe i białe minibłyskawice. Gdy dotykaliśmy ich palcami, cały prąd spływał do ich czubków, nadając im barwę ich własnego ognia. Na suficie zamontowano kręte lampy, produkujące światło we wszystkich kolorach poza zwyczajną bielą, a nad ulokowanym w rogu barem głęboki ultrafioletowy błękit mieszał się ze stroboskopowym błyskaniem, nadając pomalowanym twarzom barmanów niezwykle psychodeliczny wygląd. Cały czas grała muzyka.

Brzmiała tak: *dum dum dum dum dum dum dum dum dum.*

Była zbyt głośna, by dało się usłyszeć cokolwiek innego, ale otwarte usta tłoczących się na parkiecie tancerzy świadczyły o tym, że krzyczą, wrzeszczą, rozmawiają, flirtują, lecz wszystko to ginie w ogłuszającym rytmie bijącego serca basów. Nie słyszałem też tekstu ani innych rytmów, tylko *dum dum dum dum*, przy którym głowy kiwały się miarowo, biodra się kołysały, łokcie miały, kolana ugiwały, stopy obracały, zdania się urywały, a krew pulsowała w żyłach. W powietrzu unosił się smak soli na łyżeczkach do herbaty, zapach wąskich plasterków ogórka krojonego ostrym jak brzytwa stalowym nożem, potu i ładunków elektrycznych. Rzecz jasna, przez to wszystko z każdym uderzeniem, z każdym błyskiem, przebijał się szkarłatny odór magii. Nikt nie wystawia w drzwiach Zmiennokształtnego strażnika, jeśli nie ma nic, czego warto by było pilnować.

W barze nie było żadnych stołków. Wygoda nie wchodziła w skład jego atmosfery.

Oparłem się o kontuar i potarłem skronie, starając się przegnać ból głowy wywołany stroboskopowymi światłami. Oda stanęła obok mnie.

- Macie coś bezalkoholowego? - zapytała z uśmiechem barmana.

Ten popatrzył na nią, jakby była mamutem.

- Nie liczyłam na to zbyt - stwierdziła, wzruszając ramionami.

Na kontuarze leżała pokryta laminatem lista koktajli. Cena jednego drinka z wisienką wystarczyłaby na trzy kolacje do odgrzania w mikrofalce.

- Niech będzie to - zdecydowałem, wskazując na jedną z pozycji.

- Hot Red Sex?

Nie byliśmy pewni jak odpowiedzieć.

- Jasne - wymamrotaliśmy. Jesteśmy gotowi spróbować wszystkiego, ale tylko raz.

Barman odwrócił się i wziął do roboty. To, co wyprodukował i postawił przede mną, miało w ultrafioletowym świetle kolor i konsystencję sosu budyniowego. Powąchaliśmy to ostrożnie i poczuliśmy zapach alkoholu oraz soku brzoskwiniowego. Zanurzyliśmy palec w płynie i oblizaliśmy go, ale nie poczuliśmy właściwie żadnego smaku. Unieśliśmy szklankę pod światło.

- Masz zamiar to wypić czy nie? - zapytała Oda.

Ostrożnie wypiliśmy jeden łyk. Smak przypominał sfermentowane mango zanurzone w kadzi z kwasem. Rozkasaliśmy się. Oda odwróciła się z uśmiechem. Była abstynentką.

Biorąc pod uwagę jej świętoszkowatość, to wydawało się nieuniknione. Odsunąłem szklankę na bezpieczną odległość, na wypadek gdyby zaczęła się rozpuszczać, i odwróciłem się w stronę tańczących.

Dum dum dum dum dum dum dum dum dum.

- Widzisz coś, co działa na twoje szatańskie zmysły? - zapytała uprzejmym tonem Oda.

- Tak.

- I masz zamiar coś w tej sprawie zrobić?

- Nie wiem. Jeszcze się nie zorientowałem, co to jest.

- Na tym właśnie polega problem z mistycznymi mocami - wyszeptała. - Mówią ci, że umrzesz, ale nigdy nie sprecyzują, kiedy. Chodzi o to, żebyś bał się przed nadejściem końca, co choć w małym stopniu zadośćuczyni za aroganckie życie, jakie wiodłeś.

- Wiesz co, mogłabyś się czegoś nauczyć od Anissiny.

- Nie sądzę.

- Mówię poważnie. Mogłabyś się nauczyć milczenia.

- Informacja nie równa się prawdzie - zganiła mnie.

Buty Mo nie chciały mi już więcej pomagać. Od chwili dotarcia na miejsce, nie miały nawet ochoty tańczyć. Patrzyłem na ludzi na parkiecie. Ich twarze pojawiały się i znikwały w stroboskopowym świetle, jak na rwącym się filmie. Wszyscy byli młodzi: dzieciaki, nastolatki, ubrane w niedbałe stroje wymagające sporego budżetu, dzinsy pocięte we właściwy sposób, skóra ozdobiona modnymi kolczykami, włosy uczesane za sto funtów za każdy żelowany kolec, starannie postarzone logotypy na celowo zabrudzonej bawełnie.

Bramkarz miał rację. Nie pasowaliśmy tutaj. Byliśmy za starzy i zbyt zwyczajni. Tylko nasze buty były tu na miejscu - czysty styl i efekciarstwo.

Tańczący zachowywali się dziwnie jednorodnie. Nie tak naszym zdaniem powinien wyglądać taniec. Nasze myśli wypełniały obrazy róż, światła księżycy, chłopaka i dziewczyny, a przynajmniej dwóch osobników czujących do siebie pociąg, ekspresja czegoś, czego nie potrafią wyrazić prozaiczne słowa, sposób, by wspomnieć o seksie - czymś, co uważaliśmy za absurdalne, choć fascynujące - bez potrzeby wdawania się w biologię. Nie sposób było zaprzeczyć, że tu również wszystko kręci się wokół tego tematu, ale nie było w tym nic seksownego, ani śladu intymności czy zmysłowości. Chodziło tylko o to, żebyś mógł

złapać w ciągu jednej nocy za jak najwięcej tyłków albo zajrzeć w tyle dekoltów, na ile pozwalał twój wzrost, cały czas wijąc się i kręcąc z dziwnym wyrazem na twarzy mówiącym:

„Popatrz, co potrafię zrobić z biodrami teraz, a co dopiero nago”. Niektórzy byli w tym lepsi od innych. Ich taniec mówił o seksie, ale ostrzegał, że nie zdołasz zbliżyć się bardziej.

Odległość tylko zwiększała pokusę. Inni po prostu wili się nieudolnie, ale podłoga zawsze, zawsze, podskakiwała, opadała, przechylała się i obracała w rytm niepowstrzymanego dźwięku basów dobiegającego z... właściwie skąd? Nie widziałem głośników, nie dostrzegałem żadnego źródła dźwięku. Miałem wrażenie, że po prostu materializuje się on za bębenkami, nie racząc ścichnąć, nim wniknie głębiej.

- Gapisz się - oskarżyła mnie Oda.

- Słucham?

- Patrzysz lubieżnie na dziewczyny.

- Nieprawda!

- Prawda. To odrażające.

Przygryźliśmy wargę.

- Posłuchaj - zacząłem, niemal przekrzykując rwetes - coś tu jest nie tak.

- „Nie tak” znaczy dla ciebie to samo, co dla mnie „szatańskie”, prawda?

- Skąd się bierze ta muzyka?

Oda otworzyła usta, chcąc udzielić jakiejś ciętej odpowiedzi, ale rozejrzała się wokół i zamknęła je akurat na czas. Nastąpiła długa przerwa. Kobieta przypatrywała się wszystkiemu z uwagą, zaglądała w każdy kąt, gapiała się na sufit i na twarze tańczących.

- Masz rację, nigdzie nie widzę głośników - przyznała wreszcie. - I co z tego?

- Nie zaskakuje cię to?

- Mnie nigdy nic nie zaskakuje.

- I nie jesteś zainteresowana?

- Może trochę, jako środek do celu.

- Skąd się bierze ten dźwięk?

Wzruszyła ramionami.

- Jesteś naszym zbawcą. - To słowo wypłynęło z jej ust jak żółć ciekąca z pustego żołądka. -
Domyśl się tego.

- Podobno masz mi pomagać.

- Mam cię obserwować. Nic więcej mi nie powiedziano.

- Ale z ciebie pożytek.

- Dzięki mnie tu wszedłeś.

- Chciałaś zastrzelić...

- Dzięki mnie tu wszedłeś.

Skrzywiłem się i odwróciłem od niej. Od muzyki bolała mnie głowa, jej rytm wnikał

w moje ciało przez palce u nóg, wykorzystywała wnętrze żołądka jako trampolinę.

Przeszedłem wzdłuż baru, sunąc palcami po gładkim, niemal beztarciowym metalu, czystym i sterylnym, dotarłem do najbliższej ściany, na której błyszczały plazmowe ekrany, dotknąłem pierwszego z nich palcami, a potem uchem, i wyteżyłem słuch.

Dum dum dum dum dum dum...

Czułem rytm wypełniający ściany i rozboleło mnie od niego ucho. Przykucnąłem i musnąłem palcami podłogę. W niej był również. Powierzchnię wypełniało mrowienie, jakby łąziły po niej małe owady. Jakiś chłopak omal na mnie nie nadepnął. Wykrzyknął jakąś obelgę, której nie dosłyszałem, i poszedł tańczyć. Wcisnąłem plecy w ścianę i zacząłem się przesuwać wzdłuż niej, patrząc na tańczących. Przesuwałem palcami po każdej powierzchni, starałem się poczuć jej smak i zapach dźwięków. Szukałem drogi zejścia na dół.

I znalazłem ją: zamknięte, pozbawione znaków drzwi, tego samego koloru co reszta pokoju. Pogrzebałem w torbie, aż wreszcie natrafiłem na klucz właściwych rozmiarów, wsunąłem go do zamka, namówiłem do przybrania odpowiedniego kształtu, obróciłem i otworzyłem drzwi. Uderzyła mnie ściana dźwięku, jeszcze głośniejsza niż na parkiecie: *deDUM deDUM deDUM deDUM deDUM deDUM*.

Ultrafioletowe światła na suficie, nic więcej, tylko ten nieprzyjemny błękit rażący nasze oczy. Mózg

wyczuwał, że siatkówki odbierają więcej, niż jest w stanie zrozumieć.

Skierowałem się w głąb korytarza i znalazłem gabinet kierownika. Był pusty, na biurku walały się papiery i gotówka, głównie ta druga. Ruszyłem dalej, natrafiłem na schody, dźwięk miażdżył mi bębni: **deDUM deDUM deDUM...**

Na końcu prowadzących w dół schodów znajdowały się kolejne drzwi. Na umieszczonej nad nimi tabliczce widniał napis: „Bum Bum, kierownik. Przyjmuje gości tylko po uprzednim ustaleniu terminu”.

Kwestionowanie imienia „Bum Bum” nie wchodziło w zakres moich obowiązków. W

końcu ktoś, kto prowadzi nocny klub, nie może się nazywać Leslie.

Obejrzałem się za siebie. Z tyłu nie było nikogo. Z przodu też nie. Zapukałem, ale ten dźwięk był niczym wobec ogłuszającego hałasu. Otworzyłem drzwi.

Znajdujący się za nimi pokój wypełniało ultrafioletowe światło. Wielka, półokrągła rozkładana kanapa była niebieska, podłoga była niebieska, ściany były niebieskie, niebieskie lampy zwisały z niebieskiego sufitu, a dwa zbiry stojące pod drzwiami, z krwią spływającą ze zniszczonych bębni, nabrały tego samego koloru od całego tego światła. Kiedy wszedłem do środka, złapały mnie za ramiona i pchnęły pod drzwi, które zatrzasnęły się za mną.

Spojrzałem w blade, pryszczate twarze dwóch młodych chłopaków. Mieli na sobie dresy z kapturami i modne adidas. Ich krew, wypełniająca małżowiny i skapująca na szyje, miała w tym świetle fioletową barwę. W szeroko wytrzeszczonych oczach uwidaczały się lśniące naczynia włosowate, a twarze były wyprane z wszelkich uczuć. Na ten widok instynkt nakazujący nam zrobić im krzywdę osłabł nagle. To były tylko dwa kawałki chodzącego, ogłuszonego mięsa pilnujące drzwi - dwóch chłopaków, którzy już nigdy nie będą słyszeć.

Podpalanie ich krwi wydawało się pozbawione sensu. Pozwoliliśmy im szarpać nas, tarnosić i wypchnąć na środek pokoju. Cieszyliśmy się, że nie musimy ich zabijać za okazaną obojętność. Gdybyśmy to zrobili, mogłoby to ujawnić prawdę o naszej naturze stworzeniu, które zapewne było kierownikiem.

- Zgubiłeś się? - zapytał, gdy przywleczono nas przed niego.

Jego głos był donośnym rykiem, ale i tak ledwie się przebijał przez wypełniający pomieszczenie łoskot. Dobywał się z otwartych ust wielkości mojej głowy. Ich cuchnącą dżinem otchłan okalały małe białe zębki, wprawione w podstawę z kości. Świńskie oczka kierownika wyglądały jak szare szklane kulki, skóra była czerwona niczym pieczony pomidor, a pod jej powierzchnią uwidaczały się ciemniejsze naczynka krwionośne, przypominające mapę drogową Alp. Jego włosy, jeśli można je tak nazwać, były trzema czarnymi pasmami biegnącymi po skalpie o rozmiarach pagórka. Miał na sobie garnitur wielkości namiotu weselnego. Brzuszyko miało szerokość moich rozpostartych rąk, a stopy były dwiema tępo zakończonymi wyrośniętymi, odzianymi w - ależ podekscytował nas ten widok! - czarno-białe getry. Wystawały za brzeg kanapy. Mężczyzna mógłby

zmiażdżyć bawołu, po prostu na nim siadając, udusić łosia kciukiem i palcem wskazującym. To z jego piersi dobiegał ogłuszający ryk.

Łapa wielkości mojej piersi sięgnęła do konsoli przystosowanej do grubych palców i nacisnęła guzik. Pod szeregiem głośników ulokowanych za głową Bum Buma zapaliły się światła. Grzmiące **deDUM deDUM deDUM** ucichło natychmiast, zagłuszone przez irytujący syk. Nadal jednak pozostawało słyszalne. Czułem, jak wypełnia mi żołądek, powodując ból brzucha.

- Zgubiłeś się? - powtórzył, rozciągając w uśmiechu usta drapieznika.

Szarpnąłem, celowo niemrawo, za trzymające mnie ręce, by ocenić ich siłę i zasugerować własną słabość. Poczulem rozciągające się w ciele szwy i skrzywiłem się z bólu.

- Pewnie tak.

- Nie jesteś umówiony.

To nie było pytanie.

Spojrzelismy w jego maleńkie oczka, niemalże niknące w fałdach tłuszczu, a potem opuściliśmy wzrok. Podążył za naszym spojrzeniem i uśmiechnął się.

- Ach, tak - mruknął. - Często spotykam się z taką reakcją.

Pod namiotem koszuli tak wielkiej, że można by ją wypełnić gorącym powietrzem i polecieć, coś się poruszało. Widziałem, że tkanina unosi się i uwypukła, opada i spłaszcza, a potem znowu unosi i uwypukła, jakby wielki bąbel wypełniano powietrzem, by je potem wypuścić, albo tektonika płytowa postanowiła wypróbować swe działanie na żywym ciele.

Szybkie ruchy piersi harmonizowały z basowym rytmem. To było jego serce.

- Ach, teraz widzę - mruknąłem.

- Naprawdę? - zdziwił się. - To ciekawe. Większość ludzi bardzo się stara tego nie zauważać.

- Nie mogłeś się zgłosić do lekarza, jak zwyczajny facet? - zapytałem.

- Nie jestem zwyczajnym facetem - odparł. - I sędzę, że ty również nie.

Skinął głową do dwóch zakapturzonych strażników. Popchnęli mnie naprzód.

Potknąłem się i padłem na podłogę u jego obleczonej w getry stóp. Nasze pole widzenia wypełniła czarno-biała skóra. Stłumiliśmy histeryczny śmiech, najwyraźniej jednak nie zdołaliśmy w pełni ukryć uśmiechu, bo nagle zapytał:

- Coś cię śmieszy?

- Masz na nogach getry!

- I co z tego?

- Po prostu... to fajnie, że... zawsze chcieliśmy zobaczyć kogoś w getrach. Myśleliśmy, że noszą je tylko w filmach. Przepraszam. Z pewnością wydaje ci się to mało istotne.

- Nie musisz przeproszać - mruknął.

Uświadomiliśmy sobie, skąd bierze się ten syk, irytujący jak igła wbijana w ucho.

Głośniki powtarzały dźwięk jego bijącego serca, ogromnego organu wielkości połkniętego psa, który pulsował w jego piersi, ale przesuwają go nieco w fazie. Jeden dźwięk spotykał

drugi i oba tłumili się nawzajem. Przynajmniej w teorii.

Bum Bum się pochylił. To znaczy, jego głowa zbliżyła się do mnie o pół cala.

Najwyraźniej nie było go stać na więcej.

- Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić, mały człowieczku? - zapytał.

- Przepraszam, ale muszę cię o to zapytać. Naprawdę muszę. Dlaczego getry?

- Styl jest bardziej stylowy, jeśli podporządkujemy go osobistym celom - odparł wyniośle.

- A dlaczego twoje serce produkuje tyle decybeli, że pękają od tego bębni?

Uśmiechnął się. Najwyraźniej był przyzwyczajony do tego pytania i lubił na nie odpowiadać.

- Jestem panem tańca - oznajmił z dumą.

- Wiesz, że to był taki irlandzki musical?

Twarz mu pociemniała.

- Jestem mistrzem pulsu - oznajmił stanowczo - twórcą muzyki, bębniarzem losu i...

- Jesteś kardiologicznym pacjentem z komplikacjami - warknął. - Nie wciskaj mi kitu o przeznaczeniu.

Zauważyłem, że jego pierś zaczęła pulsować szybciej, usłyszałem rytm jego serca, słaby w porównaniu z sykiem głośników, nieco wypadający z rytmu, przyspieszający z każdą chwilą. Pomyśleliśmy też, że gdybyśmy przyjrzeliby się uważniej, moglibyśmy zauważyć, jak jego żebra unoszą się i opadają pod koszulą, połamane i niezdolne poruszać się rytmicznie, zmuszone do oderwania się od mostka, by zrobić miejsce dla potężnej maszyny pulsującej wewnątrz. Widzieliśmy, jak naczynka

na jego twarzy wypełniają się i bledną, wypełniają się i bledną z każdym uderzeniem.

- Co wiesz na ten temat?

- No cóż... - Zacząłem odliczać na palcach: - Po pierwsze, choroby serca są jedną z najczęstszych przyczyn przedwczesnych zgonów w Zjednoczonym Królestwie. Po drugie, kolejka oczekujących na przeszczep w publicznej służbie zdrowia jest bardzo długa. Po trzecie, nawet jeśli ktoś dostanie się na jej początek, czasami trudno jest znaleźć odpowiednie serce, z uwagi na antygeny, grupy krwi i inne takie medyczne sprawy. Po czwarte...

Doszliśmy już do czterech? Tak, po czwarte, istnieją też prywatne kliniki, niefigurujące w rejestrze publicznej służby zdrowia, a czasami wręcz działające na czarnym rynku. Jeśli ktoś jest w naprawdę ciężkim stanie i dysponuje wolną gotówką, może tam sobie kupić przeszczep serca, ale możesz się założyć o własną dupę, że ten, kto będzie cię operował, wierzy w moc kadzidła i wpływ złych duchów na pracę. Po piąte, nie tylko ludzie mogą być źródłem narządów do przeszczepu. Przy odpowiednim podejściu, właściwych metodach i porządnej dawce tajemnego okultyzmu... Od kogo pochodzi to serce? Od kaszalota?

Zrobił zaskoczoną minę, a potem powoli rozciągnął usta w uśmiechu. Najwyraźniej kosztowało go to mnóstwo wysiłku.

- Wiesz więcej niż mi się zdawało - przyznał.

- To cały ja. Zawsze pełen użytecznych informacji, choć nie należy ich koniecznie utożsamiać z prawdą.

- Nie jesteś po prostu jakimś przygłupem, który zgubił drogę.

- To pewnie zależy od punktu widzenia.

- Czego chcesz, mały człowieczku?

- Dojdziemy do tego. Najpierw muszę ci powiedzieć, że nie podoba mi się fakt, że obróciłeś mózgi tych chłopaków... - wskazałem podbródkiem na zakapturzonych młodzieńców o pustych spojrzeniach - ...w galarete. Co prawda, to nie mój interes, ale nie podoba nam się życie, które jest tylko mimikrą. Życie powinno się przeżywać. A oni nie mogą tego robić.

Wzruszył ramionami. Fale spowodowane tym ruchem przebiegły przez jego górne kończyny, docierając aż do koniuszków palców. Również brzuch zatrzęsł się gwałtownie.

- Nie jestem tu po to, by rozwiązywać twoje problemy - oznajmił Bum Bum. - W

ogóle nie jestem tu dla ciebie.

- W takim razie przejdziemy do tego później. W tej chwili interesuje mnie przede wszystkim pytanie, czy może widziałeś kogoś imieniem Mo.

Zawahał się. Ale tylko na chwilę. Potem się roześmiał. Obserwowaliśmy podnoszenie się i opadanie pęcherza w jego piersi, widzieliśmy, jak żebra wciskają się z głośnym skrzypieniem w koszule, ostre końcówki połamanych kości przebijają bawełnę. Jego serce było

teraz

szybciej

i

głośniki

nie

mogły

już

stłumić

łoskotu:

dumdumdumdumdumdumdum.

- Skąd mam wiedzieć? - Zachichotał. - Z uwagi na mój stan widuję bardzo niewielu ludzi. Jakiś przypadkowy dzieciak? Nie mam pojęcia. Co mnie to obchodzi?

- Mam zdjęcie - oznajmiłem, sięgając do torby.

- Naprawdę po to tu przyszedłeś? Zapytać mnie - mnie! - czy widziałem jakiego chłopaka?

- Nie powiedziałem, że to chłopak. Mo to może być też żeńskie imię - zauważyłem. -

Ale tak, masz rację.

Znalazłem zdjęcie, które dała mi Loren, i pokazałem je mu.

- Poznajesz go?

Przyglądał się fotografii za długo i zbyt uważnie. Prowadził samotne życie i nie potrafił dobrze udawać.

- Nie - odparł wreszcie. Piers falowała mu pod koszulą, serce trzęsło połamanymi żebrami. - Czy to już wszystko, mały człowieczku? Chcesz zaliczyć masaż tylnej części ciała po drodze do wyjścia?

- Przyjrzyj się uważniej.

- Już widziałem...

- Kłamiesz. Nie jesteśmy w nastroju, by słuchać kłamstw.

- Arogancja! - zawołał ze śmiechem.

- Niecierpliwość - warknęliśmy. - W twojej piersi bije wielki bąbel. Lepszy kłamca potrafiłby dopilnować, by nie przyśpieszył akcji. Ale, jak sam powiedziałeś, widujesz bardzo niewielu ludzi. Trzeba było poczekać w kolejce na przeszczep.

- Czekanie oznaczało śmierć.

- To nie jest życie - warknęliśmy. - Ale skoro cenisz je tak wysoko, wyrazimy się jasno. Powiedz prawdę albo cię zabijemy.

Ryknął głośnym śmiechem, pełnym bezpodstawnej arogancji. Zebraliśmy ostrożnie siły, spoglądając z ukosa na jego ogłuszone sługi.

- Sama śmierć nie zdołała mnie zabić! - zawołał. - Myśleli, że to zrobi, ale ja ją powstrzymałem. Odepchnąłem śmierć od siebie i teraz moje serce jest życiem, jest...

- Oddajcie mi mój kapelusz!

Jego twarz zastygła w bezruchu. Uśmiechnęliśmy się.

- Poznajesz te słowa - stwierdziliśmy. - To dobrze. To znaczy, że mamy rację.

Opowiedz nam o tym. Opowiedz nam o chłopaku imieniem Mo.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Nazywam się Matthew Swift.

- Ale kim jesteś?

- Byłem uczniem Roberta Jamesa Bakкера. Jestem pewien, że o nim słyszałeś.

Słyszał. Potężny bąbel w jego piersi przyspieszył jeszcze bardziej, jak obcy z filmu, próbujący wyrwać się z klatki z kości.

- Jestem czarnoksiężnikiem. Byłem obecny przy śmierci Bakкера. To my...

sprawiliśmy, że to się stało. Ja również spotkałem śmierć i nie musiałem wrywać sobie żeber z piersi, by ocalić życie. Tak się składa, że jestem też Nocnym Burmistrzem, niebieskimi elektrycznymi aniołami, ogniem w przewodach i pieśnią w telefonach. Do tego mieliśmy zły tydzień. Nie bądź głupi, bój się nas.

Oblizwał wargi. Jego język miał kolor gnijących truskawek. Pokiwał z namysłem głową.

- Dobra, kapuję. Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. I tak, pewnie, że jestem wystarczająco bystry, żeby się bać czarnoksiężników. Oni zawsze kończą z hukiem. Rzecz w tym, że choć rozsądek nakazuje bać się ciebie, jego boję się znacznie bardziej.

Jak ostatni idiota, odwróciłem wzrok, szukając „jego”. Chyba faktycznie nie byłem w najlepszej formie. Nie było tu nikogo poza dwoma facetami, którym z uszu ciekła krew.

Znowu spojrzałem na niego. Zdażył sięgnąć ręką do konsoli. Drugą rozpinął guziki.

Wyłączył głośniki i rozerwał koszulę. Jego pierś stanowiła chaos połamanych żeber.

Sterczały ze skóry, tworząc wielkie, czarne otwory, w których dawno już zapadły się zanikające mięśnie. Ostro zakończone fragmenty kości sterczały z wypaczonego mostka niczym ruiny starożytnych wież na pustyni. Widzieliśmy bijące pod spodem serce, cztery wielkie zastawki pokryte cienką warstwą białego ciała. Widzieliśmy, jak kurczy się do rozmiarów gruszki, a potem znowu się powiększa, wypychając zębra tak daleko na zewnątrz, że pękały z głośnym skrzypieniem. W szarych powykręcanych kościach sterczących z klatki piersiowej pojawiały się szczeliny nowych złamań.

I jego serce zagrzmiało: **deDUM!**

Szok wywołany tym dźwiękiem nie miał nic wspólnego z uszami. Łoskot wykraczał

daleko poza punkt, w którym słyszalne częstotliwości mogły odgrywać poważną rolę.

Połamane żebra wygięły się na zewnątrz pod wpływem uderzenia, cała pierś się uniosła i fala dźwięku odrzuciła mnie do tyłu z siłą tak wielką, że słyszałem tylko łoskot przypominający huk morskich fal.

Padliśmy na podłogę twarzą do dołu i odczołgaliśmy się od Bum Buma. Serce uderzyło znowu: **deDUM!** Zakryliśmy uszy dłońmi i łokciami, wtuliliśmy twarz w podłogę, podciągnęliśmy kolana i znowu usłyszeliśmy **deDUM!** Tynk na ścianie pękał, na podłogę sypały się strużki pyłu, lampy kołysały się z głośnym sykiem, migotały, zaczęły pękać i gasnąć. Obaj młodzieńcy z krwawiącymi uszami również padli na podłogę. Krew ciekła im nie tylko z uszu, lecz również z nosów i oczu. Naczynia włosowate pękały tysiącami i na skórze chłopaków pojawiły się paskudne siniaki. Spróbowałem wstać, ale kolejne uderzenie serca znowu mnie przewróciło. Mogliśmy krzyknąć, nie byliśmy tego pewni, nie słyszeliśmy nic poza śpiewem umierających komórek w naszych uszach. Jego serce biło za szybko, stanowczo za szybko, byśmy mogli się poruszyć, byśmy mieli szansę w starciu z hukiem.

Wszystko, co mogliśmy zrobić, trwało dłużej niż uderzenie serca, a jedno uderzenie to było o jedno za dużo.

Dlatego leżeliśmy nieruchomo. Wcisnęliśmy się w podłogę, zatopiliśmy palce w grubym, niebieskim dywanie, pozwalając, by amortyzował wstrząsy, pozwalając, by dźwięk popychał nas po podłodze, **deDUM!**, aż wreszcie znaleźliśmy się pod drzwiami. Utraciliśmy władzę w kończynach, głowa nam pękała, oczy bolały, cóż za wątłe ciało musiało nas pomieścić, umrzemy i...

deDUM!

...myśl o dźwięku...

deDUM!

Uderzyłem palcami o ścianę. Przyjrzałem się jej przez przesłaniającą mi oczy mgiełkę.

Wcisnąłem w nią palce, czując jej ciepłą, suchą powierzchnię. Potem wepchnąłem je głębiej.

Wbiłem je w beton, czując, jak rozstępuje się pod ich naciskiem, najpierw palce, a następnie całą dłoń aż po nadgarstek, zacisnąłem ją na tym doznaniu i pociągnąłem...

deDUM!

Ściana wypaczyła się, zaczęła zapadać w siebie, jakby jej środkowa część wypływała wzdłuż moich rąk. Skórę pokrył szary, suchy pył. Osadzał się w lukach między palcami, sztywny i niewzruszony, pokrywał ramię, docierając do pachy i piersi, a potem włąził na szyję, gruba, lita, dławiąca chusta wnikała nam do gardła, utrudniając oddychanie, krępując ruchy płuc twardą skorupą. Zacisnąłem usta i zamknąłem oczy, ale nadal czułem smak pyłu na wargach, suchą, przyprawiającą o mdłości nicosć wysysającą z wrażeń wszystko, co mogło być przyjemne. Wnikała mi do uszu, zdążyłem jeszcze

zaczerpnąć rozpaczliwie tchu, nim zatkała mi nos, jakbym był paskudnie przeziębiony. Czułem, jak osiada mi na powiekach, wnika między włosy brwi i pokrywa szczyt głowy. Beton wciągał mi nogi, ściana zaczęła się wyginać, ale nim zdążyła się zamknąć wokół moich kolan, wstałem i zwróciłem się ku temu, co najwyraźniej było źródłem dźwięku.

deDum!

deDum!

deDum!

Beton unieruchomił mi nogi. Moje palce zwracały się w stronę źródła rytmu. Czułem, jak wstrząsa on otaczającą mnie skorupą, nie widziałem nic poza ciemnością, nie oddychałem, nie czułem żadnego zapachu. Odcięto ode mnie wszelkie wrażenia zmysłowe poza odległym

deDum!

deDum!

deDum!

Głowę wypełniał mi ogień, powietrze, które nie było już powietrzem, nie mogło się przedostać do moich płuc, blokowało mi gardło, kamień zapadał coraz głębiej i głębiej w moją pierś, wszystkie wewnętrzne narządy więdły, wszystkie naczynia krwionośne w moim ciele zamierały, wypaczały się, pękały. Zginiemy w samotności, zamknęci w betonowej skorupie, zabici przez bicie serca w piwnicy...

...w Willesden.

Nie chcieliśmy umierać proszę nie nie koniec nie koniec nie powrót nie znowu nie koniec nie my nie brak zmysłów nie brak wzroku nie brak kolorów nie znowu więzienie proszę nie

Zamknij się!

proszę proszę proszę proszę

ZAMKNIJ SIĘ!

Wysłuchałem się w łoskot, ponownie pochwyciłem jego rytm bijący o więżącą mnie skorupę

deDum!

deDum!

Zmusiłem nogi do ruchu, naciskałem na beton otaczający mi kolana, posuwałem się całym ciężarem naprzód, jak przewracające się drzewo. Wreszcie poczułem, że skorupa pęka i gdy *deDUM!* znowu rozszczepiło świat, ruszyłem ku niemu. Pod prąd. Zwróciłem się przeciwko dźwiękowi i

odepchnąłem go.

Od wstrząsu skorupę przeszły pęknięcia, ale to tylko ułatwiło mi poruszanie się.

Znowu wyteżyłem słuch:

deDum!

ponownie ruszyłem w stronę dźwięku, walcząc z jego falą każdym gramem siły mięśni i woli. Wreszcie ujrzałem linię światła, pęknięcie na zasłaniającej mi oczy skorupie, poczułem smak pyłu wciskającego mi się do ust, postąpiłem kolejny krok, a potem znowu i znowu. Każdy był jak przyprawiający o zawrót głowy wzlot ku chmurom, po którym następował nagły upadek. Serce szarpało mi się w piersi, gotowe w każdej chwili pęknąć, jego cichutkie, przerażone *dedumdedumdedumdedumdedum* wypełniało nasze uszy o Boże nie tak nie proszę proszę proszę

deDum!

Znowu zwróciłem się przeciwko dźwiękowi i odepchnąłem go od siebie. Poczułem wstrząs przebiegający wzdłuż kręgosłupa, usłyszałem trzask pękającej skorupy, ostre krawędzie odłamków betonu urażały mnie w zębra. Poruszałem się jednak teraz z większą łatwością, z moich nóg sypał się pył. Nabrałem rozpędu i z każdym kolejnym krokiem odbijałem ku źródłu tyle samo dźwięku, ile go we mnie uderzało. Czułem, że na pancerz na mojej głowie sypią się kawałki szkła z potłuczonych lamp, widziałem światło przedzierające się przez coraz szersze pęknięcia, parłem wciąż naprzód, brnąc pod dźwięk, jakby był lawiną, a ja straszliwie wkurzoną skałą.

deDum!

Betonowa skorupa pokrywająca moją prawą dłoń pękła. Czułem, jak sypie się na podłogę. Moje palce odzyskały swobodę, blade i zakurzone. Poczułem, że dźwięk zaciska się wokół mojej dłoni, próbując połamać jej drobne kości. Zacisnąłem pięść i szedłem dalej.

deDum!

Z mojej lewej nogi spadła dolna część skorupy. Omal się nie przewróciłem, ale nadal brnąłem naprzód, pochylając głowę pod strumień ryku i

deDum!

betonowy pancerz na czaszce pękł. Na moją szyję i ramiona posypał się deszcz ostrych jak igły i szpilki odłamków

deDum!

tam również pękał, ale nie na uszach, modliłem się, dźwięk i ból, tylko nie więcej bólu, nie w tym miejscu, nie...

deDUM!

i nasza prawa dłoń zapłonęła, krew spłynęła nam po nadgarstku, byliśmy już prawie u celu, tak bardzo blisko, czerwona krew stanęła w niebieskich płomieniach, niebieskich elektrycznych płomieniach, które syczały i skwierczały, syjąc gniewnymi skrami na podłogę, spływały po naszej skórze, elektryczny olej parzył elektryczne ciało, a my pozwoliliśmy, by żar rozprzestrzenił się na całe ciało, wypełnił szczeliny w betonowej trumnie, pozwoliliśmy, by neonowy płomień nas wypełnił i przeniósł przez ten ostatni krok, gdy nasze płuca przygotowywały się do wydania z siebie ducha, karmił je ogniem i furją, i *deDum!*

i to było tu przed nami, czuliśmy to, słyszeliśmy, znaleźliśmy. Wyciągnęliśmy płonąca rękę i poczuliliśmy, że koniuszki naszych palców dotknęły ostrych kości, gdy *deDum!*

wstrząs stracił beton z mojej piersi, zerwał go z szyi, wytrząsnął pył z naszych uszu i...

Jeszcze jedno uderzenie serca, to wszystko, czego było potrzeba, jedno uderzenie i dobranoc, do widzenia...

Zacisnęliśmy palce na jego sercu. Jego skurczonym sercu, gotowym się rozszerzyć.

Czuliśmy jaskrawy żar, sztywne, lite mięśnie przypominające surowy stek, czuliśmy, jak jego żebra drapią nasz pokryty pyłem rękaw, czułem, jak zastawki próbują się poruszać w naszym uścisku. Zacisnęliśmy mocniej dłoń, walcząc z mocą zamkniętą w jego piersi. Była silna, ale my również, a w dodatku płonął w nas ogień.

Krzyknął.

Potężni mężczyźni nie powinni tego robić. Jego głos brzmiał jak płacz niemowlęcia, które zapaskudziło pieluszkę, jak zawodzenie dziecka, któremu w lądującym samolocie zaczyna strzelać w uszach. Czysty, zwierzęcy i brzydki.

Strząsnąłem z siebie resztki betonowej tarczy, obracając ją w pył. Obejrzałem się za siebie. I zobaczyłem, że bliższa ściana runęła niemal całkowicie. Zostało tylko kilka prętów zbrojeniowych oraz mnóstwo zwalonego na podłogę betonu, a także ślad z pyłu, wiodący od ściany do miejsca, gdzie stałem w tej chwili, z palcami zatopionymi w piersi kierownika.

W blasku płomienia na naszej skórze, jaskrawego elektrycznego ognia wypełniającego nasze ciało, widziałem jego twarz, niemal całkowicie poczerniałą w chwili agonii.

- Gadaj! - wysyczeliśmy.

Wargi miał czarnosine jak wieczorna burza, oczy niemal całkowicie wyszły mu z orbit, równiki gałek ocznych zaczynały się w punktach między cofniętymi powiekami.

Zmniejszyłem nacisk na jego serce, pozwoliłem mu na słabe, ograniczone uderzenie, a potem znowu wzmocniłem uścisk. Ktoś uzbrojony w skalpel zanurzony w kwasie wypisał na wewnętrznej powierzchni jego żeber oraz na mięśniowej ścianie serca błogosławieństwa, inkantacje, inskrypcje i osłony. Wyłącznie dzięki nim jeszcze nie umarł. Tylko one utrzymywały go w stanie bliskim życia.

- Oddajcie mi mój kapelusz - warknęliśmy. - Powiedz nam, co to znaczy.

- Nie wiem! - wycharczał, wywalając język z ust jak chore szczenię. - Nie wiem!

Zacisnęliśmy palce na zastawce w jego piersi i nie mógł nawet krzyknąć, miał za mało krwi i powietrza. Otworzył jednak usta, jego głowa zatoczyła się do tyłu, a każdy fragment ciała mówił o straszliwym cierpieniu. Rozluźniłem uścisk.

- Gdzie jest chłopak? Gdzie Mo?

- Zabrałem go... ukryłem...

- Dlaczego?

- Zapłacił mi. Powiedział... zapłacił. Przyszedł tu, kazał go porwać i ukryć. Chłopak przyłaził tu z kumplami i on kazał go porwać, a resztę zabić. Nie sprzeciwiałem się...

- Po co?

- Nie powiedział tego. Tylko, że chce, żebym ukrył chłopaka. Powiedział tylko...

powiedział...

Pozwoliłem jego sercu na kolejne płytkie uderzenie i znowu wbiłem w nie palce.

- Gadaj!

- Musiałem ukryć chłopaka. Powiedział, że to wyjątkowy chłopak, bardzo wyjątkowy, i musi go spotkać wyjątkowy koniec. Potrzebował kogoś, kto go porwie, ukryje, będzie prznosił z miejsca na miejsce...

- Ty odpowiadałeś za logistykę porwania?

- Nie sprzeciwiałem się mu!

- Gdzie jest Mo?

- Zabrałem go... ukryłem...

- Gdzie?

- W Kilburn - wysyczał. - Raleigh Court. Pojechałem na 53 Raleigh Court, zabrałem go i ukryłem tam. Resztę kazał mi zabić, ale Mo, Mo musiał przeżyć.

Omam nie zapomnieliśmy pozwolić jego sercu na kolejne uderzenie. Powietrze wymknęło się z jego płuc, głowa zaczęła opadać. Zacisnęliśmy i rozluźniliśmy palce, zacisnęliśmy i rozluźniliśmy, wymuszając powrót krążenia krwi.

- Gdzie w Raleigh Court?

- Na najwyższym piętrze. Numer 53, to bezpieczna melina.

- Po co?

- Nie pytałem. Zapłacił mi. Bałem się. Nie pytałem. Po prostu go posłuchałem.

- Kto to był? Kto ci kazał to zrobić? Jak wyglądał?

- Miał garnitur. W prążki.

- A jak wyglądała jego twarz?

- Była blada. Ciemne włosy zaczesane do tyłu. Szare oczy. Garnitur w prążki.

Chusteczka w kieszeni.

- Kim on jest?

- Powiedział... powiedział...

Dźgnęliśmy łuk jego aorty koniuszkiem palca. Wrzeszczał, wrzeszczał i wrzeszczał, aż wreszcie wykrzyczał:

- Nazywa się pan Pinner! Nie zdołasz go powstrzymać! On nie jest człowiekiem!

- To nudne nazwisko, jak na kogoś, kto nie jest człowiekiem - zauważyliśmy. - Kim w takim razie jest?

- Powiedział... że jest... powiedział... zabije mnie...

- Prawdopodobnie tak. Przykro mi, to wielka strata. Co ci powiedział?

Jego oczka wpatrywały się we mnie. Twarz wyglądała, jakby w każdej chwili mogła pęknąć.

- Jest śmiercią miast - wychrypiał. - Przybył tu po waszą śmierć. Koniec trasy.

Jego głowa zaczęła opadać do tyłu. Wbiliśmy palce w jego serce, ale z ust skapywała mu już ślina. Ogromna zuchwa opadła niemal do wysokości mojej pięści wbitej w jego pierś.

Puściłem ostrożnie jego serce. Zadrzało lekko, ale nie zaczęło bić. Odsunęliśmy się o kilka kroków. Skóra nadal nam płonęła od ognia we krwi spływającej po naszym nadgarstku.

Wściekła błękitna łuna naszego gniewu zaczęła słabnąć, przechodząc w białe, neonowe migotanie. Jego krew - zwyczajna, czerwona i nudna - skapywała nam między palcami.

Odsunęliśmy się do miejsca, gdzie powinna znajdować się ściana, w którą wprawiono drzwi,

zobaczyliśmy światło w korytarzu wiodącym ku schodom. Odeszliśmy. Jego serce było martwe, pozbawiony życia narząd w rozdartym ciele. Szliśmy przed siebie, ale chciałem...

Odejść

nie jestem

odejść

jesteśmy

ale nie tym jestem

ale my

Nie człowiek.

Odwróciliśmy się i znowu spojrzeliśmy na niego. Wielki, martwy wieloryb wyrzucony na brzeg niebieskiej, pluszowej kanapy. Sięgnąłem rękami do sufitu, poruszyłem palcami w poszukiwaniu płonącej jasno elektryczności w powietrzu, pociągnąłem ją w dół, pozwoliłem, by wyciekła ze światła, ze ścian, podłóg i dachu, przyciągnąłem ją z sieci i uformowałem z niej kocia kołyskę w powietrzu przed sobą, utkałem między uwalanymi krwią i pyłem palcami, połączyłem beton, zaprawę murarską i ludzkie płyny ustrojowe w brzydkie bryły pokrywające mi ciało, a potem nadałem im nowe, ekscytujące kształty, a gdy dotarliśmy do początku schodów, cisnąłem to wszystko za siebie. Obiekt zatańczył w powietrzu, plując z gniewu i frustracji, a potem uderzył prosto w serce kierownika.

Które zadudniło: *deDum*.

Ruszyliśmy w górę po schodach. Światła za nami gasły.

Znowu rozległ się rytm:

deDum deDum deDum deDum deDum deDum deDum deDum. deDum.

Poszukałem ręką drzwi, otworzyłem je po ciemku i wśliznąłem się do ogarniętego chaosem tłumy.

* * *

Tańczący podnieśli rwetes. Bas, przy którym się bawili, umilkł, z obwodów wyssano prąd, światła zgasły, a wszystko to wydarzyło się, mimo że zapłacili osiem funtów za wejście i kupowali absurdalnie drogie koktajle! Gdyby nie byli tacy młodzi i trendy, mogliby napisać skargę do rady osiedlowej, ponieważ jednak byli, woleli napić się za darmo i rozbić co się da na znak wdzięczności.

Oda opierała się o ścianę obok wejścia. Drzwi były szeroko otwarte, do środka napływał blask ulicznych latarni.

- Domyślam się, że nie poszedłeś do toalety - odezwała się na mój widok - No wiesz, gdybyś mi powiedział, dokąd się wybierasz...

Łypnęliśmy na nią spode łba i powlekliśmy się na słabo oświetloną ulicę, ciągnąc za sobą ślad z kurzu i krwi. Anissina czekała oparta o mur naprzeciwko. Obie panie zapewne doszły do wniosku, że nie mają o czym ze sobą rozmawiać. Obrzuciła mnie spojrzeniem.

- Jest pan ranny? - zapytała.

- Tylko w uszy - odparłem.

- Możemy pana zawieźć do lekarza.

- Nie. Nie, dziękuję. Nic mi nie będzie.

- Nic mu nie będzie - dodała pośpiesznie Oda. - One świetnie sobie radzą z krwią i pyłem.

Zignorowałem ją, spoglądając na ulicę.

- Chcę... - wysyczałem, ale nie wiedziałem, co powiedzieć dalej. Dlatego ruszyłem przed siebie, szukając w torbie garści tabletek przeciwbólowych. Moje zakrwawione palce ześlizgiwały się z zakrętki. - Jest...

- Dokąd idziesz, czarnoksiężniku? - zapytała Oda, przyśpieszając kroku, by nie zostać z tyłu.

- Posłuchaj... - Wskazałem palcem na Anissinę. - Powiedz Rajcom, że tam jest facet, który robi różne rzeczy. Złe rzeczy. Niech załatwią tę sprawę.

- Czarnoksiężniku!

- Przestań mnie tak nazywać! - krzyknąłem. Nie chciałem podnosić głosu. -

Przepraszam - mruknąłem. - Przepraszam. Ja tylko potrzebuję...

Cały czas szedłem, niemalże przechodząc w bieg. Kilkaset jardów przed nami znajdował się pub. Był jeszcze otwarty, światła się w nim paliły. To był jeden z lokali, w którym spotykało się mężczyzn o spuchniętych nosach i nie prowadzono zbyt wielu rozmów.

Otworzyłem gwałtownie drzwi, przeszedłem obok migających światełek maszyny do bingo oraz stolików pokrytych grubą na cal warstwą zaschniętego piwa, rozejrzałem się, zobaczyłem strzałkę, podążyłem we wskazanym kierunku i wszedłem do toalety. Znalazłem tam brud, poobtlukiwane kafelki i walający się na podłodze papier toaletowy. Nie miałem pojęcia, kim są ludzie, którzy przychodzą do publicznej toalety po to, by rzucać papierem.

Był tam facet z ryżawą brodą, odziany w zmiętą niebieską koszulę.

- Spływaj - rozkazaliśmy.

Wyszedł bez słowa. Oda weszła tuż za mną, natomiast Anissina, bardziej dyskretna, zatrzymała się w wejściu. Wypróbowałem trzy kurki z gorącą wodą, nim znalazłem taki, który działał. Wsunąłem ręce pod wodę i zacząłem je szorować. Czułem, że ze skóry schodzi mi gruba warstwa brudu i zakrzepłej krwi. Widziałem, jak zlew wypełniają czerwone kapki i czarne grudki, mieszające się ze sobą w spływie. Ręce mi drżały, całe ciało mi drżało, nigdy nie doświadczyliśmy dziwniejszej reakcji fizycznej. Wsunąłem głowę do nisko umieszczonego zlewu tak głęboko, jak tylko mogłem, wepchnąłem w niego twarz, zamknąłem oczy i pozwoliłem, by ciepło w nie wnikało. Woda wypłukiwała kurz z moich brwi, przepływała po wargach, czyściła wypełnione skruszoną zaprawą bruzdy. Rękawy zbrukała mi cudza krew. Bezskutecznie próbowałem ją zmyć zimną wodą i papierem toaletowym.

- Wiesz co? - odezwała się wreszcie Oda. - Nie tak się to robi. Trzeba zamoczyć tkaninę.

- Nie ma na to czasu.

- Dobra. A dlaczego?

- Wiem, gdzie jest chłopak.

Zaśmiała się cicho.

- A więc całe to łażenie na coś się zdało. Czy to ten koleś z klubu jest winny?

- Nie. On tylko dostarczył wsparcia logistycznego. Jest facetem, który zna faceta, który zna faceta, który ma furgonetkę i kilku kumpli, niemających nic przeciwko temu, by porwać chłopaka z ulicy, zakneblować i gdzieś wywieźć. To tylko mięśniak, nic więcej. Mo jest w Raleigh Court.

Anissina obrzuciła nas ostrym spojrzeniem. Oda wzruszyła ramionami.

- Czy to... tajne indiańskie miejsce pochówku?

- To miejsce, gdzie zginął Nair - wyjaśniła pośpiesznie Anissina. - Miejsce, gdzie zamordowano Nocnego Burmistrza.

- Czy to nadaje mu jakieś mistyczne znaczenie?

- Samo w sobie nie - odparłem. - Ale sugeruje, kto mógł go zabić.

- Pieprzysz dziś same głupoty, czarn... pieprzysz dziś same głupoty - odparła. - No to gadaj. Kto to zrobił i czy umrze bez oporu?

Wytarłem mokre ręce o płaszcz. Czułem, że woda skapuje mi z czubka nosa i spływa z podbródka.

- Nazywa się Pinner. To on zabił Nocnego Burmistrza.

- Nazwisko to zawsze jakiś początek. Wiesz coś jeszcze?

- Ehe. Powiedział, że jest śmiercią miast.

- Typowo męska pretensjonalność - mruknęła Oda.

Anissina nie odzywała się ani słowem, ale nie spuszczała ze mnie spojrzenia.

Wiedziała. Nic nie mówiła, ale wiedziała. Była bardzo inteligentna.

- Odo - zaczęliśmy z westchnieniem - czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że jeśli istnieją mistyczni obrońcy dbający o nasze bezpieczeństwo, muszą też istnieć mistyczni wrogowie, przed którymi nas bronią?

- Pewnie, że tak - burknęła. - Na tym polega problem z mistyką.

- Na tym polega problem z życiem - odciąłem się. - Gdyby wszyscy postępowali zgodnie z twoją logiką, komuniści zrzuciliby bomby atomowe na kapitalistów, a kapitaliści na komunistów, i nikt nie mógłby twierdzić, że zachowali się irracjonalnie.

- Czy to jest pora na dyskusje filozoficzne?

- Nie. Proszę, zamknij się i idź sobie.

Zamknęła się z zaskoczoną miną. Ale sobie nie poszła.

- Do Raleigh Court? - zapytała wreszcie Anissina, przekonawszy się, że Oda tego nie robi.

- Ehe, chyba tak.

- Sprowadzę wsparcie.

- Macie wsparcie?

- Oczywiście.

- Mówisz o facetach w kamizelkach kuloodpornych?

- Coś w tym rodzaju. Nawet czarnoksiężnicy nie potrafią powstrzymać kul.

- Ciebie chyba też nie lubię.

- Zadzwońię po nich - oznajmiła, wyciągając telefon z kieszeni czarnego płaszcza.

* * *

Z powrotem do Raleigh Court.

W autobusie było pełno wracających późno do domu imprezowiczów. Na przystanku facet o kędzierzawych włosach pochylał się nad koszem na śmieci, a z kącika ust skapywała mu zółć.

Siedzącej na dolnym piętrze dziewczynie spłynął od płaczu tusz do rzęs i teraz siedziała stoicko obok nieznanego w średnim wieku, który wyglądał na starszego, niż był

w rzeczywistości, i uprzejmie ignorował łzy w jej oczach. Trzy odrębne pary kochanków trzymały się za ręce, a dwie z nich robiły coś więcej. Na górnym piętrze szóstka imprezowiczów noszących wielkie glany i mających włosy pomalowane na identyczny czarny kolor jowialnie uskarżała się na całe zło świata donośnymi, chichotliwymi głosami, od czasu do czasu wołając radośnie:

- O kurde! Chyba dzisiaj przegiąłem!

Każdą taką wypowiedź kwitowano histerycznym śmiechem.

Z upływem czasu pijanych było coraz mniej. Na kolejnych przystankach małe grupki wychodziły chwiejnym krokiem w padającą mżawkę. Wiatr ciągle się wzmagił. To była porządna wichura, dmąca z północnego zachodu, wypadająca zza narożników ulic i świszcząca wokół kominów. Nie chcieliśmy wracać do Raleigh Court. Nie chcieliśmy spotkać pana Pinnera, nade wszystko na świecie nie chcieliśmy go spotkać. W imieniu

„śmierć miast” kryło się coś więcej niż tylko bezmyślna pretensjonalność.

Światła w domach gasły, zbliżała się chwila, gdy piesi na ulicach przestają być bezpiecznym towarzystwem, przeradzając się w zagrożenie wędrujące samotnie przez noc.

Miejskie lisy wysuwały nosy z kryjówek, zwabione ciemnością i wonią wyrzuconej żywności. Truchtały po chodnikach, coraz bardziej zbliżając się do wędrowców. Z każdym rokiem mniej bały się ludzi. Ich chude ciała przeciskały się między słupkami ogrodzeń miejskich parków. Za dnia mistrzowie niewidzialności, a nocą władcy ulic.

Gdy większość pasażerów wysiadła, kierowca autobusu zaczął się zachowywać tak, jakby startował w wyścigach. Panująca na ulicach pustka wabiła jego stopę do pedału gazu, a palce ku wyższym biegom. Dotarliśmy na miejsce bardzo szybko - za szybko, jak na mój gust

- i wysiedliśmy we troje - najdziwniejsza drużyna mistycznych szturmowców, jaką kiedykolwiek widziano.

- Kemsley sprowadzi posiłki - oznajmiła Anissina.

- Wsparcie i posiłki. Widzę, że poważnie traktuje pani swoją pracę.

- Tak - odparła bez ogródek. - Bardzo poważnie.

Zerknąłem na Odę, spodziewając się, że będzie miała coś do powiedzenia.

- Tylko w grach komputerowych możesz wgrać save'a, jeśli zombie cię zabije - rzekła po prostu. - Jestem gotowa zaczekać na posiłki. Dobrze sobie radzę z czekaniem.

- My nie.

- Pogódź się z tym.

* * *

Czekałem na przystanku autobusowym, gapiąc się na prostokątne, zbudowane z prefabrykatów skrzydła Raleigh Court. Każda sekunda doprowadzała nas do szału, powodowała, że skóra nas swędziała, a włosy stawały dęba. Oglądałem jednak sporo filmów i wiedziałem, że ten, kto wchodzi pierwszy, zawsze ginie na samym początku albo jest udręczonym bohaterem, który robi to dlatego, że nikt inny by sobie nie poradził. Nie miałem ochoty grać żadnej z tych ról. Dlatego czekałem, choć palce mi siniały, a włosy mokły powoli na mżawce z niewielką domieszką kwasu.

Wiedziałem, że to Kemsley, gdy tylko ujrzałem wielką niebieską ciężarówkę wyjeżdżającą z za rogu ulicy. Po prostu nie potrafiłem uwierzyć własnym oczom. Gdy samochód się zatrzymał, drzwi z tyłu się otworzyły i wysiadło z nich pięciu uzbrojonych w karabiny mężczyzn w kuloodpornych kombinezonach, wybuchnąłem głośnym śmiechem. Nie mogliśmy się powstrzymać. Odchyliłem głowę i ryczałem wniebogłosy.

Kemsley wysiadł z przodu i łypnął na mnie spode łba.

- Coś śmiesznego? - zapytał.

- Przepraszam. Poważna mina.

- Chcieliście wsparcia?

Wskazałem kciukiem na Anissinę.

- Ona go chciała.

- Są jakieś poważne powody?

- Nie sprawia pan wrażenia zbytnio zadowolonego z tego, że musiał tu przyjechać.

- A pan najwyraźniej nie wziął pod uwagę kosztów, jakimi ta mała operacja obciąży miejscowe rady - odparł. - Zapłata za nadgodziny, wynajęcie pojazdu, zdrowie i bezpieczeństwo, sprzęt i wsparcie logistyczne, odszkodowania za poniesione straty, ubezpieczenia dla uczestników i osób trzecich, a także ubezpieczenia nieruchomości. Finanse i zarządzanie nie są pańską specjalnością, nieprawdaż, czarnoksiężniku?

Zacisnęliśmy zęby.

- Szukamy... stwora, który każe się nazywać panem Pinnerem. Wyobrażam sobie, że przedstawi się mniej więcej tak: „Cześć, nazywam się Pinner i jestem śmiercią miast.

Naprawdę myślicie, że kule zdołają mnie powstrzymać?”. No wie pan, to tylko spekulacje, ale w tej chwili nie mam nic więcej. Dziękuję, że się zjawiliście.

- Co to znaczy „śmierć miast”?

- Nie mam pojęcia. To brzmi trochę niejasno. Z jednej strony to może być tylko pretensjonalny tytuł przybrany przez kogoś, kto poświęca zbyt wiele czasu na sieciowe gry fantasy, albo próba zdezorientowania przeciwników i wyprowadzenia ich na manowce. W

takim przypadku, brawo za sprytny plan. Z drugiej strony jednak może to być dokładnie to, co napisano na okładce: chodzące, mówiące stworzenie w garniturze w prążki, które dosłownie jest śmiercią miast. Wcielenie końca chodzące po Ziemi, jeden z jeźdźców miejskiej apokalipsy itede, itepe. To nadal pozostaje niejasne. - Obróciliśmy głowę, spoglądając mu prosto w oczy. - Pomożecie nam się tego dowiedzieć?

Tym razem to Kemsley był niespokojny.

- Powiedzcie, kiedy i gdzie, a resztę zostawcie nam, jeśli sami sobie nie poradzicie.

Wskazałem na Raleigh Court.

- Tam. W miejscu śmierci Naira. Szukamy meliny należącej do osobnika znanego jako Bum Bum. To kierownik nocnego klubu „Napięcie”. Zastraszył go facet w garniturze w prążki i Bum Bum zgodził się pomóc mu porwać chłopaka, który często przychodził do jego klubu. Swoją drogą, tam właśnie zaprowadziły mnie buty. Lubią chodzić po klubach. Szkoda, że jego właściciel nie ma kręgosłupa moralnego. Ani serca. Tak czy inaczej, mamy nadzieję, że znajdziemy tu Mo. To byłoby świetnie, oczywiście, ale może pan zauważył, że właśnie w tym miejscu Naira obdarto ze skóry. Chodzi o mieszkanie numer 53, na najwyższym piętrze.

Czy możemy tam się razem udać?

- Wiesz co? - mruknęła Oda. - Testosteron to jeden z wielu sposobów, na jaki Bóg poddaje próbie nasze natury. Nie tylko mężczyzn, lecz również kobiet.

- Czarnoksiężniku... - zaczął Kemsley.

- Przysięgam, że następnej osobie, która nazwie mnie „czarnoksiężnikiem”, jakbym nie miał nazwiska i jelita cienkiego, wbiję w nozdrza zaostrzony ołówek.

Zapadła pełna urazy cisza.

- Panie Swift - odezwał się wreszcie Kemsley.

- Słucham?

- Jest pan gotowy?

- Jasne.

- Świetnie. Jako Nocny Burmistrz...

- Chce pan, żebym wszedł pierwszy?

- Wręcz przeciwnie, chcę, żeby trzymał się pan jak najdalej z tyłu.

- Z wielką przyjemnością.

* * *

Robili wszystko jak typowi antyterrorysty. Karabiny, winkle budynków, wstawanie, bieganie, wspinanie się, gesty - pięść, dwa palce, skinienie dłonią, młynek.

Staraliśmy się powstrzymać śmiech, podążając za nimi. Nawet Anissina wczuła się w rolę, ściskając w ręce pistolet. Doszliśmy do wniosku, że zostanie szturmowcem wymaga bardzo długiego szkolenia. Nie wystarczy wiedzieć, kiedy się kryć, a kiedy strzelać. Trzeba się również nauczyć traktować siebie poważnie podczas tych czynności. Zerknąłem na Ode, w nadziei że docenia humor tej sytuacji. To było naiwne spojrzenie.

Jak na komunalne bloki, wewnątrz nie wyglądało najgorzej. Ktoś niedawno pomalował

klatkę schodową na nieszkodliwy jasnoniebieski kolor i unosił się tu łagodny zapach, kojarzący mi się z babciną kuchnią, grubymi poduszkami na wyściełanych krzesłach i regularnym przesuwaniem brudu z miejsca na miejsce za pomocą plastikowych mioteł i ciepłej wody z mydłem. Szturmowcy przystąpili do szturm na górę, ja zaś wlokłem się za nimi. Mieszkanie numer 53, zgodnie z obietnicą, znajdowało się na najwyższym piętrze.

Długi balkon urozmaicały stojące gdzieś tam rowery, kuchenne okna i zwiędłe geranium.

Rajcy i spółka dotarli do zielonych drzwi, ustawili się wokół nich, z krzykiem „teraz!”

otworzyli je kopniakiem ciężkiego, wysadzanego ćwiekami buta i wrzucili do środka coś, co zrobiło *trzask!* Rozbłysło jasne światło i rozległ się piskliwy dźwięk. Wychyliłem się przez barierkę i spojrzałem na podwórko na dole, zastanawiając się, czy pan Lis stąd odszedł i czy mojemu futrzastemu przyjacielowi nie brakuje kebabów. Mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych policzyli do trzech, a potem wpadli do środka, wydając przy tym imponujące okrzyki, takie jak „czysto!” albo „naprzód”!

- Chcesz gumę? - zapytała Oda.

- Żujesz?

- Nie, ale zawsze noszę ją ze sobą, żeby mieć towar na wymianę, gdy odwiedzam więzienia.

- Zauważyłaś, że o nic nie pytam?

- Bystrzak z ciebie. Powiedz, jak bardzo się boisz?

Z mieszkania dobiegał tupot ciężkich butów, trzaskanie lekkich drzwi i grzechot licznej, zapewne

bezużytecznej, naładowanej broni.

- W skali od jednego do dziesięciu?

- Skoro nalegasz.

- Na której „jeden” jest wtedy, gdy czuję się tak radośnie, że mógłbym skoczyć z urwiska, gwizdząc kawałki z *Dźwięków muzyki*, a dziesięć oznacza „nie mogę otworzyć okna, bo się boję, że zje mnie powietrze”?

- Jeśli czujesz potrzebę używania takiej skali, to tak.

- Prawie na samej górze.

- Z jakiego powodu?

- Dlaczego cię to interesuje?

- Dlatego - zaczęła ostrożnie, gdy w mieszkaniu zapalono światła i dobiegły stamtąd rozkazy wydawane warkliwym wojskowym tonem - że niebezpieczeństwo, które przstraszyło kogoś takiego jak ty, arogancki pomiot piekielnych czeluści, istotę tak nieugięcie pewną siebie, musi być poważne. W moim interesie leży dowiedzenie się o nim jak najwięcej.

Uśmiechnąłem się do niej półgębkiem. Szanujemy szczerłość, nawet gdy nie znosimy jej właścicielki.

- Nigdy nie słyszałaś o śmierci miast?

- Jako pojęciu?

- Jako człowieka.

- Nie, w takim przypadku nie słyszałam.

- To mit.

- Tak samo jak Nocny Burmistrz?

- Ehe, coś w tej okolicy. To tylko plotka, legenda. Krążą opowieści. Historie o... na przykład, kiedy na Hiroszimę zrzucono bombę atomową, jeden dom w samym epicentrum wybuchu ponoć został nietknięty, mimo że całe miasto legło w gruzach. Według opowieści mieszkający w nim mężczyzna zwrócił twarz ku niebu, gdy spadała bomba i nie przestawał

się uśmiechać. Nawet nie zamknął oczu. Ale z drugiej strony, nasuwa się pytanie...

- Kto mógł ocaleć tak blisko epicentrum, by o tym opowiedzieć?

- Zgadza się. Z tego typu historiami zawsze jest podobny problem. Ludzie mówią też, że gdy huragan

Katrina zaatakował Nowy Orlean, jakiś facet chodził po zalanych ulicach i śmiał się głośno, a woda nie mogła go dosięgnąć. Albo że, gdy zbombardowano Drezno jednego człowieka nie tknęły pożary. Albo że gdy jakaś dziewczynka potknęła się w wejściu na stację Bethnal Green podczas nalotów, ktoś obalił ją na ziemię i wylazł na zewnątrz po zaścielających schody trupach. Wszystko to mity, nic więcej. Pogłoski i mity. Jakby same opowieści nie były wystarczająco straszne same z siebie, ludzie musieli jeszcze nadać temu uśmiechniętemu, roześmianemu, płonącemu mężczyźnie imię. Zwią go śmiercią miast.

Oczywiście nie wierzę w ani jedno słowo tych historii. Ale i tak się boję. Na wszelki wypadek.

Przez chwilę wydawało się, że Oda chce powiedzieć coś jeszcze. Potem wrócił

Kemsley. Nie miał zadowolonej miny.

- W mieszkaniu jest pusto.

Wzruszyłem ramionami.

- To w sumie ma sens.

- Jeśli pan sądził...

- Sądziłem. Uważałem, że Bum Bum raczej nie będzie mnie okłamywał, biorąc pod uwagę fakt, że trzymałem rękę w jego klatce piersiowej. Potem pomyślałem sobie, że Nair tu przyszedł i zginął. Nasuwa się przypuszczenie, że zabójca dokonałby tego czynu tylko wtedy, gdy Nair zbliżałby się do czegoś ważnego. Jeszcze bardziej sensowna wydaje się myśl, że to coś przeniesiono w inne, trudniejsze do odnalezienia miejsce. Przykro mi, ale nie mogę udawać, że jestem zaskoczony.

- W takim razie, po co tu przyjechaliśmy? - warknął.

- Niech pan pomyśli, jak głupio by się pan czuł, gdybyśmy wiedzieli o tym miejscu i po prostu je zignorowali - odparłem. Uśmiechnęliśmy się tak słodko, jak tylko pozwalał nam na to widok jego użębienia. - Chodźmy się rozejrzeć, dobra?

* * *

Kemsley miał rację.

Mieszkanie było puste.

Sterylnie puste. W kuchni można by robić operacje zaćmy, a na podłodze w łazience jeździć na łyżwach. Wszędzie unosił się powodujący skurcz żołądka oraz łzawienie zapach środka odkażającego. Nie było tu mebli, zasłon ani obrazów, żadnych śladów życia.

Odkazano nawet dywany, nadając im wyblakły, szarobiały kolor, a także rury kanalizacyjne.

Agent handlujący nieruchomościami nazwałby taki wygląd „obiecującym”. To było wszystko. Cztery

pokoje pełne obietnic i niczego poza nimi, oraz podłogi zdeptane przez wojskowe buty numer 47.

- Widzi pan? - odezwał się Kemsley. - Nie ma tu nic. To w niczym nam nie pomogło.

- Mo tu był - zapewniłem stanowczo.

- Skąd pan wie?

- Kierownik by nas nie okłamał.

- Jasne. Dlatego że nikt by tego nie zrobił.

- Dlatego że zaciskaliśmy palce na jego sercu - wyjaśniliśmy. Przenikał mnie chłód, gdy słyszałem, z jakim spokojem mówimy o takich rzeczach. - Dlatego, że jeśli jakiś lokal wyczyszczono tak starannie, z pewnością oznacza to, że chciano coś ukryć.

- Znakomicie. Trzeba przyznać, że wykonali świetną robotę, nieprawdaż?

Rozejrzałem się wokół. Poczulem ucisk w piersi na myśl, że Kemsley ma rację. Nic tu nie było.

- W wejściu jest kamera - odezwała się Oda. - Jej nie nabiorą mistyczne sztuczki.

Mógłbym ją za to pocałować.

- Kamera - powtórzyłem stanowczym tonem, starając się ukryć ogarniające nas podniecenie. - I tu jest tylko jedno wejście, prawda?

- Tak sędzę.

Uśmiechnąłem się radośnie do Kemsleya. Chwała lekceważeniu przepisów przeciwpożarowych w północnym Kilburn.

- Możemy wykorzystać zapis kamer - oznajmiłem. - W samym budynku jest ich... ile?

Co najmniej kilkanaście. A na sąsiednich ulicach są następne. Wasza banda wygląda tak, jakby uciekła z amerykańskiego filmu szpiegowskiego, prawda? Jeśli gdzieś go przenieśli, możemy ich wytropić.

- To tylko hipotezy... - zaczął Kemsley.

- Bynajmniej - przerwała mu Anissina. - Wiemy, że Nair tu przyszedł i zginął. Wiemy, że uważał buty tego chłopaka za ważne, wiemy też, że zaprowadziły nas do „Napięcia”, a odkryty tam trop pozwolił nam dotrzeć tutaj. Wiemy, że w tym pokoju ktoś kiedyś mieszkał, ale niedawno go opróżniono. Wiemy, że to wszystko się ze sobą wiąże. Myli się pan, Kemsley. Jeśli chłopak tu był, musimy go znaleźć i możemy to zrobić.

Stłumiliśmy pragnienie powiedzenia czegoś o triumfalnym brzmieniu, pokazania Kemsleyowi języka,

objęcia Anissiny w talii, podskakiwania i przechwalania się, że pomimo naszego strachu i - o Boże, tak wielu rzeczy - mieliśmy rację.

- Na podwórku stoi jakiś facet - odezwał się ktoś.

Kemsley zignorował te słowa, zwracając się w stronę Anissiny. Twarz mu poczerwieniała. Wyraźnie szukał czegoś, co mógłby powiedzieć i co nie byłoby bardziej odpowiednim dla dorosłych ekwiwalentem naśladowania pierdnięcia. Starał się zachowywać racjonalnie, mimo że rozpaczliwie brakowało mu rozsądku. Zwróciliśmy się w stronę człowieka, który przemówił. To był żołnierz, uciekinier z innego świata, posiadacz wielkiego karabinu i równie wielkich buciorów. Tylko najdrobniejsze dotknięcie, ledwie wyczuwalny ślad, sugerowało, że po wewnętrznej stronie jego kamizelki kuloodpornej ktoś umieścił

magiczne osłony. Podeszliśmy do niego powoli. Zwrócił twarz w stronę balkonu, spoglądając na podwórko na dole. Czułem, że Oda mnie obserwuje. Rajcy byli zajęci kłótnią. Twarz mężczyzny stojącego w drzwiach wyglądała jak opuchnięty grzyb, z którego spoglądała na mnie para bystrych oczek.

- Co za facet? - zapytałem.

Wskazał głową na podwórko.

- Tamten.

Powlokłem się na balkon i spojrzałem w dół.

Stał pośrodku dziedzińca, mocno wspierając stopy w czarnych butach na popękanych kamieniach. Włosy miał koloru bardzo ciemnego brązu. Nie były do końca czarne, ale bardzo się starały. Zaczesał je do tyłu, na niemal całkowicie okrągłą czaszkę. Miał na sobie garnitur w prążki, ręce trzymał w kieszeniach spodni. Rękawy marynarki opadały poniżej nadgarstków. Wyglądał tu naturalnie jak pierwiosnek na wiosnę. Uśmiechał się uprzejmie, z lekką niecierpliwością spoglądając na nas.

Cofnęliśmy się instynktownie. Nasze serce, nie pytając o pozwolenie, zaczęło bębnić o jelita, jakby grało na kongach, jelita próbowały udusić żołądek, ten zaś podchodził do gardła.

Spojrzałem na faceta z karabinem.

- Co mamy zrobić? - zapytał ten.

- Zmiatać stąd - wyszeptaliśmy. - I to jak najprędzej.

- Proszę pana - mruknął. Był zbyt dobrze wyszkolony, by okazywać strach, ale on tam był, czuliśmy jego zapach. - Jest ich więcej.

Podczołgaliśmy się jak dziecko do balkonowej barierki i wyjrzeliliśmy na podwórze.

Faktycznie było ich więcej. Do faceta w garniturze dołączył chłopak w kapturze. Stał za nim, kiwając

się w rytm niesłyszalnej muzyki. Nie widziałem jego twarzy. Nie sądziłem, by ją miał.

- Musimy stąd zmiatać! - jęknęliśmy. - Musimy!

Oda zauważyła naszą reakcję.

- Czarnoksiężniku?

- On tu jest. On tu jest, on tu jest, on tu jest, on...

- Co za on? - zapytała, wychylając się przez barierkę.

- On? - Sięgnęła po broń.

- Nie strzelaj!

- Czemu nie? To tylko człowiek. Nawet czarnoksiężnicy nie potrafią zatrzymać...

- Kule nie powstrzymają widm.

- Mówisz o chłopakach w kapturach?

- Tak, o widmach. Tylko zrobiłabyś w nich dziury.

- Dobra. To czego potrzeba, by je zabić?

- Piwa i papierosów. - Jeśli to ma...

- Piwa i papierosów. Kryj się!

Ściągnęliśmy ją siłą z balkonu pod osłonę muru z żółtej cegły. Popatrzyła na nas ze zdziwioną miną.

- Naprawdę aż tak się boisz?

- Naprawdę, szczerze i w całości. Całą naszą jaźń wypełnia strach.

- Przecież to tylko...

- Nie tylko.

Wszyscy skierowali już uwagę na nas. Kemsley podszedł bliżej, popatrzył na nas z pogardą, wyrzwał na podwórko i zwrócił się w stronę faceta z opuchniętą twarzą.

- Co się dzieje?

- Na podwórku są możliwi przeciwnicy - zameldował dziarsko żołnierz.

- To tylko facet w garniturze i dwóch chłopaków.

- Widzi pan ich twarze? - warknęliśmy.
- Hmm, nie...
- To widma!
- W takim razie, co pan proponuje? Schować się za murem z cegieł i czekać, aż sobie pójdą?
- Od tego najrozsądniej byłoby zacząć.
- Czy... czy to ten facet na dole zabił Naira?
- Obdarł go żywcem ze skóry.
- Zatem to jest pan Pinner?
- Tak sędzę.
- To znakomicie! Mamy okazję zakończyć sprawę!
- Nie słyszał pan, jak mówiłem o obdzieraniu ze skóry?
- Ktoś musi coś zrobić.
- Ktoś nie ma pojęcia, co powinno się zrobić!
- A pan ma?
- Nie!
- Brak mi cierpliwości do takich zabaw...
- Kemsley, jeśli on potrafił zabić Naira, nawet go nie dotykając, proszę pomyśleć, co może zrobić z panem.
- Panie Rajco? - W głosie żołnierza zabrzmiała lekka nerwowość. Po raz pierwszy okazał choćby cień braku profesjonalizmu. To przyciągnęło uwagę wszystkich. - On zniknął.

Wszyscy podbiegliśmy do barierki.

Na dole nie było nikogo.

- No cóż - stwierdził radośnie Kemsley. - Nie sprawili nam zbyt wiele kłopotów.
- To znacznie pogarsza sytuację - jęknęliśmy. - Znacznie pogarsza.
- Niech pan się weźmie w garść. Mój Boże, to pan powinien nam przewodzić, Swift.

Ruszaj tyłek, czarnoksiężniku, aniele, Burmistrzu.

Wstałem i oparłem się o ścianę obok balkonu. Wyrząłem na zewnątrz, a potem spojrzałem znowu, wciskając plecy w ścianę za nami, bezpieczną, solidną i uspokajającą.

- Niech pani zadzwoni pod 999 - zażądałem, spoglądając na Anissinę.

- Mam sprowadzić miejskie służby?

- Tak. Straż pożarną, pogotowie i policję. Dobrzy Samarytanie też się przydadzą.

Natychmiast! A pan - dodałem, spoglądając na Kemsleya - niech sprawdzi, czy w budynku jest duży i potężny alarm przeciwpożarowy. Pan... - Zwróciłem się ku żołnierzowi z opuchniętą twarzą. - Jak sądzę, nic pan nie wie o magii?

Poruszył skrzydełkiem nosa, zastanawiając się nad tym pytaniem.

- Tak jest - przyznał. - Ale, mówiąc szczerze, wszystko, co potrafi zrobić mag, obrzyn zrobi lepiej.

- Niech pan na to zbytnio nie liczy. - Westchnąłem. - Niech pan wróci do mieszkania i obserwuje drzwi i okna. Ściany też, jeśli już o tym mowa. Nigdy nie wiadomo, któredy postanowią wejść. A ty... - Wbiłem spojrzenie w Odę. - Wiesz co? Właściwie nie mam pojęcia, co robisz, żeby pozostać przy życiu, ale widać jesteś w tym dobra, więc zrób właśnie to.

- Zdolności przywódcze - burknęła. - Przy następnej okazji sprawdź to hasło w encyklopedii.

Mieliśmy ochotę powiedzieć jej coś nieuprzejmego, ale jakoś nic nie przychodziło nam na myśl. Wróciliśmy do mieszkania, kobieta w czarnym płaszczu, żołnierz w kamizelce kuloodpornej, uzbrojona fanatyczka oraz czarnoksiężnik w koszulce z napisem „Jak postąpiłby Jezus”. No właśnie, jak by postąpił? Czasami potrafił wpadać w złość.

Ostatni do środka wszedł Kemsley. Zamknął za nami drzwi, zasunął łańcuch, jakby to mogło w czymś pomóc, a potem zagonił nas do największego pokoju na końcu korytarza.

Uzbrojeni po zęby żołnierze zajęli różne wojownicze pozycje, a mnie zepchnięto pod tylną ścianę. Za nami była ulica. Przez pozbawione zasłon okna do środka wpadało żółte światło latarń. Od czasu do czasu dał się słyszeć przejeżdżający w oddali samochód. Moich uszu dobiegał nerwowy szept rozmawiającej przez telefon Anissiny.

- Tak, są uzbrojeni... uzbrojeni mężczyźni... mają śrutówki... i butelki z benzyną.

Raleigh Court, są... tak... tak... nie, Raleigh Court...

Pomyślałem o telefonie, który miałem w torbie. Gdzie był Nocny Burmistrz, który powinien nas uratować? Zginąłem już raz i ten skurwiel nie przybył mi na pomoc w stalowym skrzydlatym rydwanie, a teraz ów tytuł przypadł mnie i kto pomoże nam wykaraskać się z kłopotów? Otworzyłem tornister i przyjrzałem się puszkom farby oraz starym skarpetkom, które miałem w środku. Telefon

Naira leżał w jednej z przegródek, pogrążony w posepnym milczeniu. Wyciągnąłem go. Przyszło mi do głowy, że na jego długiej liście jest numer, tylko jeden numer, który naprawdę może się do czegoś przydać. Ale jeszcze nie w tej chwili.

Wsunąłem telefon do kieszeni i spojrzałem na drzwi.

- I co teraz? - wyszeptał Kemsley, na wpeł zwracając się ku mnie, ponieważ najwyraźniej tego wymagała chwila.

- Och, musi pan tylko... - zacząłem.

Światła zgasły. Nie tylko w mieszkaniu, na balkonie i na klatce schodowej, lecz również uliczne latarnie, a także maleńkie kontrolki w telewizorach w mieszkaniach naprzeciwko. Zgasły we wszystkich pokojach wszystkich mieszkań gmachu, zgasły pod numerem 53 i zgasły też ostrzegawcze światełka w sennych samochodach na dole.

Londyńczycy niemal nigdy nie oglądają prawdziwej ciemności. Prawdziwej, czarnej i nieprzeniknionej, takiej, która nadchodzi, gdy słońce jest po drugiej stronie Ziemi, a księżyc przesłonią chmury. Nawet jeśli zgaszą światła w pokojach i zasuną kotary, zawsze pozostaje blask latarni zakradający się do środka przez szczeliny, kontrolka paląca się w radiu albo światło niewyłączonej komórki leżącej na stole. Nie ma ciemności głębszej od tej, która zapada w wielkim mieście, gdy zgasną wszystkie światła. Gwiazdy i księżyc nikną za ceglanyimi murami. Kiedy gasła ostatnia latarnia, pochwyciłem ostatni fragment światła i przytuliłem go do piersi, pozwalając, by ogrzewał moją twarz i koniuszki palców - maleńka, żółta iskierka w dławiącej czarnej pustce.

- Światła - odezwał się nagle jeden z żołnierzy.

Usłyszałem grzechot sprzętu i trzask odrywanych rzepów. Gdy zapalono pierwszą latarkę, blaskomal nas nie oślepił. Cofnęliśmy się przed białą luną. Oda również miała latarkę. Wolałem nie zastanawiać się nad tym, gdzie mogła ją schować. Jeśli zaś chodzi o Anissinę i Kemsleya... musieliśmy im się przyjrzeć po raz drugi, ale, tak, z całą pewnością oczy Rajców świeciły. Szalonym, przywodzącym na myśl wirującą szklaną kulkę blaskiem, jak u smoka strzegącego londyńskich bram. Błyskiem czerwonego wiru, jak ślepie tygrysa w gąszczach mroku. Gdy takie spojrzenie kieruje się na ciebie, widzisz tylko nieożywiony obiekt stojący między bestią - bo to nie były ludzkie oczy - a jakimś bardziej obiecującym posiłkiem. Ludzie nie bez powodu boją się Rajców.

Czekaliśmy.

Cisza. Nic. Na całej powierzchni planety nie ma ani jednego miejsca, w którym cisza byłaby absolutna. Zawsze słycać łoskot silnika w oddali, śpiew ptaka, szmer ruchów owada, liść unoszący się na wietrze, odgłos kroków, trzask pękającej cegły. Bezgłos, który zapadł w tej chwili, również nie był całkowity. Wiatr nucił cichą, żalobną melodię wywodzącą się z jakiegoś zapomnianego folkloru, który pogodził się ze śmiercią i teraz uważał ów temat za nudny; mżawka przechodziła w deszcz, tłukący o szyby niczym tysiące maleńkich kulek łożyskowych. Ale nie było żadnych ludzkich odgłosów. Pomacałem kieszeń, szukając telefonu Naira, i poczułem ból w piętnie na prawej dłoni.

- Czuję zapach spalin - odezwała się nagle Oda.

Natychmiast uniosłem wzrok. Wszyscy w pokoju jednocześnie wciągnęli powietrze przez nos i poczuli woń, którą bardziej spostrzegawcza Oda wykryła wcześniej - ciepły, suchy, łatwy do rozpoznania odór samochodowych spalin. Podjąłem ryzyko, każąc światełku, które trzymałem w dłoniach, zapłonąć nieco jaśniej. Popchnąłem pomarańczoworóżową kulkę blasku w stronę drzwi i zobaczyłem rzadką, szarobrązową smużkę dymu, która przenikała do środka przez szczeliny, unosząc się tuż nad podłogą.

Wycofałem światełko, na wpół podczołgałem się do okna i wyjrzałem na dwór. Ulicę spowiło coś, co można by wziąć za mgłę, gdyby nie niezdrowa, brązowawa barwa. Opary bezdźwięcznie wydostawały się z rur wydechowych parkujących na dole samochodów, unosząc się nad ziemią jak jakieś obce, lekko falujące morze. Fala wzbierała z każdą chwilą, wspinając się po ścianach budynków i wciskając przez szczeliny do środka.

Żołnierze sięgali już po maski gazowe. Cokolwiek by o nich powiedzieć, byli przygotowani. Kemsley i Anissina nie sprawiali wrażenia zbytnio zaniepokojonych. Ich skóra nabrała srebrnawego odcienia, a paznokcie już w tej chwili były dwa cale za długie. W oczach Ody dostrzegałem jednak strach, choć zawiązała chustkę na twarzy, zasłaniający nos i usta.

Ośloniłem swoje w podobny sposób, pozostały jednak oczy, które zaczynały już mnie swędzieć od pyłu wbijającego się w górę pod postacią gazu.

Gdzieś w pobliżu rozległo się nagle:

Dededededededededededededede...

Być może również z odrobiną:

Dudedudu dudedudu dudedudu...

Wyjrzałem przez okno. Byliśmy wysoko, a wydawało się, że jesteśmy jeszcze wyżej, bo nie widzieliśmy ziemi. W słabym blasku kulki, którą ściskałem w palcach, dostrzegałem, że oddech Anissiny, wydostający się powoli z jej wykrzywionych w grymasie ust, porusza gęstymi oparami. Rajczyni nadal powierzchownie przypominała człowieka - dwie ręce, dwie nogi i wszystkie fragmenty znajdujące się między nimi - ale jej skóra miała metaliczny połysk, włosy były sztywne jak druty, a rozwidlony czerwony język wysuwał się na zewnątrz.

Opary najwyraźniej jej nie przeszkadzały. Nam wręcz przeciwnie.

Drzwi się otworzyły.

- Nie, zaczekajcie! - zawołałem.

- Ognia! - krzyknął Kemsley.

Strzały z broni palnej w zamkniętej przestrzeni brzmią jak odgłos prażonej kukurydzy pękającej

wewnątrz ucha. Karabiny maszynowe były jak torba kukurydzy, olej i cała mikrofala. W błyskach strzałów dostrzegałem niewyraźną postać - kaptur i pozbawiony twarzy cień - zataczający się do tyłu, gdy kule rozdzierały mu ubranie na strzępy, gdy tkanina pękała, rozpadała się, rozrywała i trzeszczała. Żołnierze opróżnili magazynki, słyszałem stukot sypiących się na ziemię łusek, czułem przebijającą się przez odór spalin słodsza woń płonącego prochu i przegrzanego metalu. Gdy strzały ucichły, nie słyszałem nic poza wypełniającym mi głowę łoskotem, czułem jedynie smak pyłu i dymu, a widziałem wyłącznie wypalone na siatkówkach gwiazdki powidoków.

- Przestańcie! - krzyčeliśmy. - Przestańcie!

W końcu rzeczywiście przestali.

Podniosłem się z wielkim wysiłkiem i przycisnąłem kulkę światła do piersi w dzieciennym geście mającym mi zapewnić bezpieczeństwo. W blasku latarek zobaczyłem stojące w wejściu stworzenie. Z jego ubrania została tylko przypalona, dymiąca pajęczyna, pozrywane strzępy łączyły ze sobą jedynie cieniutkie szare nitki, kaptur był tak pełen dziur, że widziałem obłoki smogu kłębiące się za nim, spoglądając przez nietwarz, przez puste powietrze podtrzymujące niemal nieistniejące ubranie. Widmo sprawiało wrażenie raczej zaskoczonego niż zranionego. Jego kaptur pochylał się, gdy przyglądało się resztkom swego stroju. Nie było pod nim ciała, nic, co sugerowałoby, że spotkało je coś gorszego niż przedzieranie się przez bardzo gęste chaszczce. Wtem głowa widma - pustka będąca jego głową - uniosła się i skierowała ku najbliższemu żołnierzowi. Ten zaczął krzyčec, choć widmo nie dotknęło go nawet palcem.

To był zwierzęcy krzyk, czysty i wyzbyty wszelkiej myśli. Brzmiał, jakby nie tylko struny głosowe mężczyzny zamarły w skurczu agonii i przerażenia, lecz również całe gardło, płuca i wszystkie części ciała mające cokolwiek wspólnego z powietrzem. Potem nogi żołnierza uniosły się nad podłogę, jego palce rozluźniły się spazmatycznie, wypuszczając broń, głowa odchyliła się do tyłu, gardło zapadło w siebie. Nie przestawał krzyčec, przeraźliwie donośnym i wysokim głosem. Widziałem, jak jego klatka piersiowa się odkształca, słyszałem, jak pęka z trzaskiem przywodzącym na myśl suche płatki padające na gorące mleko, by wypychać przez usta mężczyzny jeszcze więcej powietrza.

Potem to zobaczyliśmy. Na jego powiece pojawiła się czerwona linia, cieniutka i jaskrawa w blasku latarek. Potem druga przecięła policzek, trzecia podbródek, czwarta wygięty zarys udrećzonej tchawicy. A później kolejne - przecinające nozdrza, wnikające w nie, przebiegające przez wargi, dziąsła, gałki oczne. Wszystkie wypełniały się szkarłatną krwią, szybciej niż umysł mógł to zarejestrować, jego skóra rozszczepiała się i pękała, rozdzierały ją, rozcinały i dzieliły tysiące maleńkich, ociekających krwią cięć, żadne z nich nie było dłuższe od cala ani szersze niż grubość kartki papieru, a teraz zabrakło mu już powietrza w płucach i nie miał w ciele nic, co pozwoliłoby mu go zaczerpnąć, więc zwisał

bezwładnie, gdy jego skórę znaczyły następnie cięcia, czerwona krew wypełniała oczy i plamiła zęby, a potem była tylko krew, grzechot kości i trzask pękających chrząstek tchawicy.

- Zrób coś, zrób coś! - krzyčzał Kemsley nienaturalnie głębokim i bulgoczącym głosem dobywającym się z głębi gardła i uświadomiliśmy sobie, że chodzi mu o nas, że mamy coś zrobić, a w drzwiach nadal stało widmo przyglądając się temu wszystkiemu i Oda ominęła nas, wycelowała w głowę

żołnierza i strzeliła. Tak po prostu. Strzeliła i już. Jednakże głowa mężczyzny odskoczyła z powrotem, a jego ciało nadal znaczyły niezliczone cięcia, wnikające pod paznokcie, rozrywające tkanki, usuwające wszelkie ślady skóry poza kilkoma luźnymi, białymi strzępkami sterczącymi z krwawiącej masy na podobieństwo zmarszczek pojawiających się po nadmiernym wystawieniu skóry na słońce.

Spojrzeliliśmy na widmo. Rozpostarliśmy dłonie i warknęliśmy wściekle, pozwalając, by otoczył nas neonowy blask, pochyliliśmy głowę jak rozjuszony byk i rzuciliśmy się do szarży, mijając martwe ciało obracane w bryłę mięsa w kamizelce szturmowej, wypadliśmy przez drzwi i uderzyliśmy bykiem w pierś widma. Poczuliśmy lekki opór, przypominający miękką poduszkę, ale nie przestaliśmy napierać, spychając widmo pod balkonową barierkę, a na samej krawędzi wychylił się w dół, złapaliśmy je za modne adidas, unieśliśmy, spoglądając przez niebieską mgłę przesłaniającą nam oczy, i z całej siły cisnęliśmy je w smog kapturem do dołu.

Spadło bezdźwięcznie. Nie miało głosu i nie mogło krzyczeć.

Gdy zniknęło w mroku, obróciliśmy się powoli i spojrzeliśmy prosto w oczy mężczyźnie znanemu jako pan Pinner, śmierć miast. Byliśmy pewni, że to on. Stał na końcu balkonowego przejścia, przechylając głowę, i uśmiechał się do nas. Po prostu się uśmiechał, trzymając ręce w kieszeniach. Wyglądał... normalnie. Zwyczajny facet w śmiesznym garniturze, nie wyższy od nas, być może nawet parę cali niższy, trzydziestokilkuletni i starający się nie myśleć o nadchodzącym wieku średnim, uśmiechał się z wyrazem niemalże czulej wesołości niczym nauczyciel przyglądający się, jak zarozumiały uczeń użera się z problemem, który inne dzieci już zdążyły zrozumieć.

Najwyraźniej nie miał nic do powiedzenia, bo tylko się uśmiechał.

- Pan Pinner? - zapytaliśmy.

Jego uśmiech zwarzył się na chwilę. Mężczyzna rozpoznał nas i się zdziwił.

Nagle Kemsley odepchnął mnie na bok. Z jego ust wyrwał się zwierzęcy ryk.

Zapomniał, który ogień jest gniewem, a który strachem, co jest skutkiem, a co przyczyną, i dlatego pognął przed siebie, ściskając w jednej ręce broń, w drugiej zaś płomień, jasne, śmierdzące gazem płomień. Wystrzelił do pana Pinnera, opróżnił cały magazynek, a potem cisnął ogień, od którego buchał kuchenny zapach oraz palący żar. Zasłoniliśmy oczy, usłyszeliśmy, jak uderzył w cel z cichym łoskotem, poczuliśmy woń spalenizny, w powietrze posypały się płatki węgla, usłyszeliśmy brzęk towarzyszący pękaniu udręczonego szkła.

Otworzyłem oczy. Pan Pinner stał pośród kłębow dymu i spalin. Garnitur w prążki był

nietknięty, nawet nieosmalony, ale kule wniknęły w jego ciało. Widziałem pięć otworów, skupionych pośrodku piersi. Pan Pinner przyglądał się im bez szczególnego zainteresowania.

Unióś rękę i ostrożnie wetknął kciuk oraz palec wskazujący w najbliższy otwór. Zmarszczył

brwi i zacisnął usta w wyrazie skupienia, grzebiąc palcami w otworze we własnym ciele.

Wtem zacisnął palce i wyciągnął je na zewnątrz. Trzymał w dłoni małą, tępo zakończoną kulę.

Wypatrywałem śladów krwi. Nie było ich. Widoczna pod garniturem dziura w piersi była biała, czy raczej biaława. Nie wydostawało się z niej nic poza małym skrawkiem papieru, który wypadł na zewnątrz i pomknął z wiatrem w naszą stronę. Pochyliłem się, by go podnieść. Kemsley wrzasnął i znowu cisnął płomieniami, beknął elektrycznymi iskrami sypiącymi się spomiędzy zaostzonych zębów, jednocześnie sięgając do kieszeni po nową amunicję.

Podniosłem papierek. Napisano na nim wyblakłymi literami: *Dziękujemy za zakupy w Tesco.*

Pan Pinner nadal był nietknięty. Kemsley włożył do pistoletu nowy magazynek.

Złapałem go za bark, ale stracił moją rękę. Złapałem go znowu.

- W ten sposób go pan nie zabije! - wysyczałem i zaciągnąłem Rajcę z powrotem do mieszkania.

Zamknąłem drzwi za nami kopniakiem. Kemsley osunął się na ścianę. Z oczu ciekły mu łzy, zostawiające wyraźne ślady w brudzie pokrywającym jego twarz. A także twarze nas wszystkich, ponieważ wypełniający mieszkanie smog sięgał już sufitu. Oda kasłała, nawet Anissina miała niezadowoloną minę, nasze płuca wypełniał bolesny ogień, oczy nas szczypały, każda część naszego ciała łaknęła wody, ale nigdzie nie można jej było znaleźć.

Nasza głowa pragnęła ulecieć od żołądka, a żołądek miał ochotę zobaczyć, jak się mają sprawy w miejscu, gdzie są stopy. Wcisnęliśmy dłonie w drzwi.

- *Domine dirige nos. Domine dirige...* - szeptałiśmy stare błogosławieństwo miasta,

„Panie, prowadź nas”, powtarzając zamkowi, kochanemu zamkowi, by był naszym przyjacielem, jeszcze tylko przez minutę.

- Moja torba! - wychrypiałem. - Farba!

Oda powlokła się w tamtą stronę, o mało się nie potykając o obdarte ze skóry, pozbawione twarzy i wszelkich śladów człowieczeństwa ciało, które jeszcze przed chwilą było facetem uzbrojonym w karabin, otworzyła torbę wiszącą na moich plecach i wręczyła mi puszkę z farbą. Pośpiesznie namalowałem jaskrawoniebieską farbą pierwszą osłonę, jaka przyszła mi do głowy - krzyż wewnątrz krzyża. Ktoś próbował wyważyć drzwi z zawiasów, ale gdy z puszkę wyciekła ostatnia kropla farby, łomotanie ustało.

- Czy są tam może Rajcy? - zapytał ktoś stojący na korytarzu.

Przemawiał uprzejmym, kulturalnym tonem. Znał odpowiedź na swoje pytanie. Farba na drzwiach zaczęła płonąć. Pokrywała się pęcherzykami i obłaziła.

- Jedyna droga wyjścia - odezwałem się, wskazując na okno.

Nikt, nawet łkający Kemsley, nie miał ochoty się sprzeciwić.

Już nie.

- Nie ma zejścia na dół - zauważyła Oda.

Podeszliśmy do okna i rozpostarliśmy dłonie, kierując je wewnętrznymi powierzchniami ku szybie. Nie dotykaliśmy jej, nie musieliśmy podchodzić aż tak blisko, wystarczyły tylko ruch i magia. Szkło pękło i posypało się z radosnym brzękiem w kłębiący się na dole smog. W ramie nie został nawet najdrobniejszy odłamek. Oda wychyliła się na zewnątrz. Po jej brudnej twarzy spływały łzy - nie wywołane smutkiem, lecz bólem i chemicznym podrażnieniem.

- Nie wiemy, jak jest na dole.

- Na pewno lepiej niż tutaj.

- Nie mamy drogi zejścia.

- Czy żołnierze nie noszą ze sobą lin? - Odwróciliśmy się, by spojrzeć na nich.

Wzruszyli ramionami, nie ofiarując nam ani kawałka liny. - Rewelacja.

Westchnąłem i spojrzałem na sufit, czując zapach tłęcej się farby.

- Przebija się przez drzwi! - zawołała Anissina.

Sięgnąłem do sufitu i poczułem smak elektryczności. Nadal mogła mi dodać trochę siły i odrobinę szybkości. Była bardzo zadowolona, co sugerowało, że znalazła jakiś przyjazny nośnik. Pociągnąłem z całej siły, zamknąłem oczy i powiedziałem, by przyszła do mnie i przyprowadziła ze sobą przyjaciół. Ciągnąłem, wyęzając siły, aż zakręciło mi się w głowie i ugięły się pode mną kolana. Poczułem, że pył sypie mi się na włosy i na twarz, mieszając się z brudem, smogiem i łzami. Potem z sufitu wyłoniły się potężne zwoje przewodów, wijących się i skwierczących niczym rozjuszony węże na gorącej powierzchni, wznoszące się na mój rozkaz. Machałem gwałtownie rękami, nakazując przewodom podejść do okna, błagałem je: *Proszę, proszę, proszę, bądźcie moimi przyjaciółmi...*

Ze ścian posypały się cegły, cały budynek zgrzytał, gdy kolejne fragmenty leciały z poszerzających się szczelin na podłogę. Przewody tworzyły sieć tarantuli, wijący się plac zabaw trzęsienia ziemi, wpełzały na mój rozkaz ze ścian budynku, schodząc na ziemię.

- Ruszaj tyłek! - zawołałem, wskazując na najbliższego żołnierza. - Złaż na dół!

Przez chwilę gapił się niepewnie na poruszający się gniewnie drut niknący w mrocznym smogu, ale w końcu uratowały go dobre szkolenie i jeszcze lepszy mózg.

Przełożył nogę przez parapet i bez słowa zsunął się na dół. Charcząc i pokaślując, skinąłem na pozostałych żołnierzy, nakazując im podążyć za nim. Potem złapałem Odę, chwiejącą się na nogach pośród kłębow dymu, i poczułem, że odsunęła się natychmiast, jakbym był

brudniejszy od niej. Choć śmierć pukała do drzwi, miałem czas, by poczuć w gardle delikatne ciepło, które w lepszym dniu mogło być smutkiem.

- Drzwi! - powtórzyła Anissina.

Odwrociłem się i zobaczyłem błysk światła wokół zawiasów. Zasuwy trzasnęły, a potem wbiły się w sufit. Rajczyni potknęła się na zmieniającej kształt podłodze, gdy wyłoniły się z niej przewody. Wskoczyły również ze ścian, tworząc zygzakowatą barierę z drutu.

Kemsley miał minę oszołomionego dziecka. Działo się zbyt wiele, by jego umysł był w stanie to ogarnąć. Potem zerknąłem ku drzwiom i na moment ujrzałem mężczyznę w garniturze w prążki. Z otworów w jego piersi nie płynęła krew, lecz sypały się z nich skrawki papieru.

Nagle Kemsley zaczął krzyczeć. To był ten sam stłumiony wrzask, który przedtem płynął z gardła Naira oraz zabitego żołnierza, odgłos płuc, które nie mogą przestać się kurczyć, i gardła ściśniętego zbyt mocno, by mogło się z niego wydostać cokolwiek poza dźwiękiem. Złapałem Anissinę i niemalże wyrzuciłem ją przez okno. Kiedy spadała, jej nadgarstek uwiązał w przewodach. Usłyszałem trzask kości pękającej w stawie barkowym. Z

ust kobiety wyrwał się krzyk. Ujrzałem szalone czerwone oczy, które nie były jej oczyma.

- Odo, ruszaj... - zacząłem, ale moje słowa zagłuszył wrzask Kemsleya.

Pan Pinner stał w drzwiach i się uśmiechał. Po prostu się uśmiechał, tak samo jak zawsze. Widma stały za nim, wypełniały balkon, kierując na nas spojrzenia nieoczu.

Poczułem, że coś pękło mi na ramieniu, coś ukłuło mnie w dłoń, coś oparzyło poniżej oka.

Słabiutki, mikroskopijny ból. Spojrzeliśmy na własne palce i zobaczyliśmy, że pierścieniowata skórka rozchodzi się, tworząc cieniutką czerwoną linię, za cienką, by mogła się z niej sączyć krew. Wiedzieliśmy, że za chwilę zacniemy krzyczeć jak Kemsley i zginiemy jak on. To będzie koniec, niewyobrażalny koniec, pożegnanie ze zmysłami, pożegnanie ze światłem, ciemnością, strachem, smutkiem, bólem, krwią. Ciałem, człowieczeństwem, śmiertelnością, z Nocnym Burmistrzem.

- Nie! - zawołałem, ponieważ to było wszystko, co znałem.

Ujrzeliśmy maleńką kropelkę krwi odrywającą się od naszego pękającego ciała. To wystarczyło, musiało wystarczyć. Spojrzeliśmy prosto w szare oczy uśmiechniętego pana Pinnera i unieśliśmy prawą dłoń, o skórze pękającej już pod rękawicą o jednym palcu.

- *Domine dirige nos!* - wrzasnęliśmy początkiem ostatniego tchnienia.

Świat wypełnił błękit.

Piękny elektryczny błękit. Z palców skapywała nam niebieska krew, nasze oczy gorzały niebieskim blaskiem, z rąk wypływał niebieski ogień, żyły wypełniała niebieska furia, niebieska krew wewnątrz i na zewnątrz, niebieski elektryczny gniew w duszy, jesteśmy aniołami, myśmy są światło, ogień,

życie, wolność, furia...

i wiedziałem tylko jedno

podpalmy krew!

nie bał się

nawet nas

ale przecież nie o to nam chodziło.

Zwróciliśmy dłonie ku podłodze, pokrytej wijącym się drutem i sypiącymi skry kablami, które wylaziły z betonu i spod dywanu, a potem skierowaliśmy furię swego ognia na dół, aż wreszcie kropelka krwi, która wydostała się z cienkiego jak kartka papieru nacięcia w naszym ciele, odpadła od niego.

Gdy dotknęła podłogi, rozległo się głośnie *bum*.

Przez chwilę nawet pan Pinner wyglądał na zaskoczonego.

Podłoga podskoczyła gwałtownie. Zaskrzypiała, wygięła się, wypaczyła, zapadła.

Przecięły ją szczeliny wchodzące na ściany i sufit.

A potem się zarwała.

Pode mną, pod Odą i pod Kemsleyem. Runęliśmy na niższe piętro pośród obłoków pyłu przypominającego mąkę wysypaną z rozdartego worka i pozrywanych kabli zwisających z dziury, przez którą spadliśmy, niczym martwe pnącza. Odbiłem się w górę. Głową uderzyłem o koniec sofy, a nogami przewróciłem niski stolik. Wpadliśmy do czyjegoś salonu.

Oda wylądowała na czterech kończynach jak kot, przetoczyła się i wstała jednym ruchem, odsuwając się od kaloryfera i w efekcie uderzając w półeczkę pełną marnych powieścideł.

Kemsley leżał tam, gdzie spadł, w korytarzu, jak bezwładny, krwawiący worek. Przetoczyłem się i wstałem z wysiłkiem. Nie wydawało mi się, bym coś sobie złamał, ale to nic jeszcze nie znaczyło. Płonęliśmy, wypełniały nas furia, przerażenie i ukradziona z sieci elektryczność, ból więc nie będzie miał szans, dopóki nie będzie za późno, by się tym przejmować. Dlatego się nie przejmowaliśmy. Podeszliśmy do Kemsleya i spróbowaliśmy go podnieść, ale jego zakrwawiony rękaw wyśliznął się nam z palców.

- Odo! - zawołaliśmy. - Pomóż nam!

Podbiegła do nas w jednej chwili, wsunęła głowę pod pachę ranego i podniosła go, kucając, a potem wstając, jak ciężarowiec dźwigający sztangę. Z jego twarzy nic nie zostało.

Wyglądała jak spalona kwasem. Zwisaly z niej luźne paski białej skóry. Nadal jednak oddychał, choć włosy sypały mu się z głowy, bo cięcia oddzieliły ich korzenie od czaszki.

Otworzyłem drzwi frontowe i wyjrzałem na balkon. Nie było tu widm, jeszcze nie.

Podbiegłem do jego końca, kradnąc prąd z pobliskich ścian, aż wreszcie moja skóra gorzała niczym biała błyskawica, a włosy stanęły mi dęba. Ujrzałem wewnątrz klatki w bladym świetle przylegającej do mojej dłoni kulki, usłyszałem dobiegające z góry: *De de de de de de de de de de*.

I być może również:

Kabum kabum kakakabum kabum kabum.

Nawet Oda - nadludzka, podludzka, nieludzka, w pełni ludzka, nie wiedziałem właściwie jaka i było mi wszystko jedno - nawet Oda miała trudności z bezwładnym ciałem Kemsleya. Złapałem go za drugą rękę, przerzuciłem ją sobie przez kark i powlokłem Rajcę ku schodom, a potem na dół, potykając się co chwila w bladym blasku kulki oświetlającej drogę naszej ucieczki. Parter, a potem podwórko, to, na którym zginął Nair, smog, tak gęsty, że dwa kroki w nim to było o dwa za dużo, nie kryło się za nim nic poza niejasnymi wspomnieniami pozbawionymi wszelkiego topograficznego znaczenia, a „wyjście” było naiwną iluzją, wywodzącą się z weselszych czasów. Wsadziłem rękę do kieszeni i znalazłem telefon Naira.

- Ulica! - wrzasnąłem do Ody. - Musimy znaleźć ulicę!

Wybrała kierunek, przypadkowo albo kierując się wiarą. Ktoś musiał to zrobić.

Potykaliśmy

się/biegliśmy/spadaliśmy

wewnątrz

bańki

skradzionego,

różowawopomarańczowego światła. Równie dobrze moglibyśmy być na morzu, moglibyśmy być sami na świecie. Nie sposób było tego określić, wokół była tylko cisza i być może:

Czaczaczaczabang czaczaczaczabang...

De de de de de de de...

Kakakabum kabum kabum kakaka...

Telefon Naira potrzebował całego istniejącego czasu i znacznej części przestrzeni, żeby się włączyć, w końcu jednak to zrobił. Znalazłem spis kontaktów i wyszukałem numer, o który mi chodziło. Niewielka szansa, ale zawsze szansa. Obok numeru napisano „Czarna Taksówka” i nic więcej. Nie

było nazwy firmy ani niczego w tym rodzaju. Dlatego właśnie był to strzał w ciemność. Wybrałem numer w tej samej chwili, gdy wędrówka przez smog zaprowadziła nas do muru, nie do wyjścia. Oda przycisnęła rannego do ściany i ruszyła wzdłuż niej. Wszyscy kasłaliśmy i dławiliśmy się, wlokąc się przez ciemność.

- Czarna Taksówka, w czym możemy pomóc? - rozległ się głos w telefonie.

- Potrzebuję taksówki!

Starałem się szeptać, ale mój przedostający się przez chustkę głos zabrzmiał jak charczenie starca.

- Skąd dokąd?

- Z Raleigh Court w Kilburn, w jakieś bezpieczne miejsce.

- Kiedy mamy po pana przyjechać?

- Najszybciej, jak się da!

- Proszę bardzo. Niech pan się skieruje do Raleigh Road i tam zaczeka. Taksówka zjawi się za kilka minut.

Zakończyłem połączenie. Oda znalazła puszki na śmieci. Przypomniałem sobie, że przy nich właśnie spotkałem pana Lisa.

- Tędy! - wysyczałem i pociągnąłem ją za pośrednictwem ciężkiego mostu, jakim był

Kemsley, w stronę, gdzie moim zdaniem powinna się znajdować ulica.

Po kilku krokach Oda nadepnęła na coś i syknęła. Spojrzałem w dół. To był jeden ze sprowadzonych przez Rajców żołnierzy. Leżał na chodniku przed nami. W gardło wbito mu scyzoryk.

- Cicho! - wyszeptałem. - Cicho!

Zatrzymaliśmy się, wytężając słuch.

De de de de de de de de de...

- Gdzie on jest? - syknęła Oda.

- Nie wiem. Cicho!

Kakakabum kakakabum kakakabum...

- Czarnoksiężniku...

To był strach, nie pytanie; pragnęła pocieszenia, nie odpowiedzi. To znaczy, zapewne ucieszyłaby się z odpowiedzi, ale wiedziała, że nie mam żadnych na zbyciu.

Zacisnąłem mocniej dłoń na kulce światła, pozwalając, by stała się tylko małym płomieniem między moimi palcami.

- Tędy - wyszeptałem.

Ruszyliśmy powoli naprzód, chwiejąc się na nogach jak starcy. Każdy krok mógł się okazać ostatnim przed pęknięciem miażdżycowych tętnic... może ten, a może następny.

Posuwaliśmy się przed siebie, przy każdym kroku myśląc, że to może być ten. Ciszę mącił

jedynie słabutki basowy szmer dobiegający ze słuchawek. Oraz monstrualne szuranie naszych stóp.

Gdy wreszcie dotarliśmy na uliczny chodnik, omal się nie potknąłem. Nogi wpadły mi do rynsztoka pełnego cuchnącej deszczówki. Spływ zatkały butwiejące liście.

- Tutaj! - syknąłem i Oda również się zatrzymała.

- I co teraz? - zapytała.

- Cicho! Słuchaj!

Wyteżyliśmy słuch. Pojawił się słaby wietrzyk, dmący od granic chmury smogu i zapowiadający, że gdzieś można znaleźć odrobinę świeższe powietrze. Przyniósł też coś innego. Spojrzałem pod nogi. Kawałek papieru wypadł z rynsztoka i przylepił mi się do kostki. To był oderwany róg gazety.

Napisano na nim:

SZOKUJĄCA WIAD

CHERYL MÓWI

kandaliczne wybryki na zabawie doprowadziły

jakoby powiedziała, że nie

ucie mi mój od

Uniosłem wzrok.

Jedynym źródłem światła były tu koniuszki moich palców. Blask sięgał najwyżej stopę powyżej mojej głowy, zanim zniknął w smogu. Powinienem być poczuć jego oddech, ale on przecież nie miał płuc. Poczulem, że czubki jego butów dotknęły moich, twarda skóra przycisnęła koniuszki moich za dużych adidasów w miejscach, gdzie powinny być palce.

Pan Pinner nadal się uśmiechał.

- Odo, ucie...! - krzyknęliśmy.

Uniół rękę. Trzymał w niej coś błyszczącego, wymierzonego prosto w nasze oko.

Złapaliśmy go za rękę, owinęliśmy palce wokół rękawa i pozwoliliśmy światłu zapłonąć, wypłynąć z wnętrza naszego ciała.

- Odo, uciekaj do końca...! - zawołaliśmy znowu.

Uniół drugą rękę i zacisnął dłoń na naszym gardle, odchylając nasz podbródek do tyłu, a razem z nim całą resztę ciała. Zobaczyliśmy, co trzyma w uniesionej ręce. To było wieczne pióro z tytanu i złota, sugerujących wszystkie najjaskrawsze kolory srebrzystej tęczy.

Gdy opuszczał je ku nam, ze stalówki skapnęła kropla czarnego atramentu. Nawet pomijając to, czym był, czym mógł być, groźba wbicia takiego przedmiotu w nasze oko wypełniła nas przerażeniem, dodała nam siłę. Pozwoliliśmy, by zapłonęła w nas elektryczność. Wstrząs powinien go zabić, człowieka zabiłby z całą pewnością, podpaliłby mu włosy, ale po ciele pana Pinnera ładunki po prostu odpłynęły do ziemi, nawet nie przypalając mu włosów.

Słyszeliśmy kroki oddalającej się z wysiłkiem Ody. Pióro rosło z każdą chwilą, przesłaniając lewą połowę naszego świata.

Telefon zadzwonił w mojej kieszeni.

- Odo, uciekaj do taksówki, uciekaj do...! - zawołałem.

Od strony końca ulicy dobiegł warkot silnika. Ujrzałem jaskrawe pomarańczowożółte światło, litery zniknęły gdzieś w smogu.

- Odo! Odo, uciekaj do...

Pan Pinner zacisnął palce na mojej tchawicy, wbijając je w warstwę mięśni. Jego oczy stały się całym naszym wszechświatem.

- Kim jesteś, niebieskokrwisty? - wyszeptał.

Pomarańczowe światło było coraz bliżej. Słyszałem grzechot starego, potężnego silnika, który pewnego dnia wreszcie się rozpadnie, syjąc na wszystkie strony śrubami i poczerniałym żelazem, ale do owej chwili będzie pracował bez zarzutu.

- My jesteśmy Swift, a ja jestem aniołami! - odpowiedzieliśmy, patrząc panu Pinnerowi prosto w oczy.

Puściłem jego rękę. Nie zważając na wbijające się w moje gardło palce, wykonałem nagle przewrót w tył, jakby wszystkie moje kości zmieniły się w galaretę. Udało mi się go zaskoczyć, pociągnąłem cały jego ciężar za sobą, upadając, uderzyłem nogami i złączyłem razem łokcie, starając się upaść na chodnik najmniej delikatną częścią swego ciała, czyli tyłkiem. Lądowanie okazało się jednak twarde. Poczulem, że noga wygięła się pode mną i przetoczyłem się, przesuwając przeciwnika na bok i odpychając go od siebie. Jego palce zsunęły się z mojej szyi. Podniosłem się, nie puszczając jego marynarki, która się nie rozerwała ani nie zsunęła z ciała, by odsłonić koszulę. Trzymała się mocno, jakby była częścią jego ciała i skóry. Nie ma czasu, nie teraz, nie teraz...

Zatoczyliśmy się do tyłu i rzuciliśmy do ucieczki, czekając na ból tysiąca papierowych cięć, biegliśmy ku żółtemu światłu, widzieliśmy wyraźnie Odę przy jego źródle, wpychała krwawiącego Kemsleya na tylne siedzenie, ujrzeliśmy napis TAXI, wielkie litery na tle światła, pojazd był duży, czarny, pełen krzywizn, buchał czarnym dymem z rury wydechowej, chwiał się na rozklekotanych resorach i był czarną taksówką, nie, to za mało, był Czarną Taksówką, o skórze tak czarnej, że wyglądała jak plama głębszej ciemności, oknach tak zabrudzonych pyłem i nigdy niezmywanym, zanieczyszczonym deszczem, że nie sposób było zajrzeć do środka, z jego kół buchały kłęby dymu, a silnik ryczał jak zwierzę w klatce. Oda wsiadała już do środka. Wlazłem za nią.

- Ruszajmy! Szybko! - zawołałem.

Kierowca nacisnął pedał gazu.

Ruszyliśmy.

* * *

Istnieje wiele różnych opowieści. Niektóre z nich, w przeciwieństwie do innych, są prawdziwe.

Mówią o...

Pociągu, który jeździ bez końca po Circle Line i nigdy się nie zatrzymuje, nigdy nie odpoczywa i nie zabiera nowych pasażerów, poza tymi, którzy znają tajemnicę Ostatniego Pociągu i wiedzą, kiedy kursuje.

Nocnym Autobusie, zabierającym dusze tych, którzy umarli w czasie snu, sami w ciemności.

Lady Neon, której oczy lśnią zbyt jasno, by śmiertelnik mógł w nie spojrzeć, nie wpadając w obłąd.

Czarnej Taksówce, która może dotrzeć wszędzie, jej kierowca słyszał o Isaacu Newtonie i uważa, że pomylił się on w paru sprawach, a także zawsze żąda zapłaty. Z reguły bardzo wysokiej.

Doszliśmy do wniosku, że o to będziemy się martwić potem.

Wszystko we właściwym czasie.

* * *

- On nie umarł - odezwała się Oda.

Kemsley leżał na podłodze samochodu.

- *Jeśli zakrwawi moją podłogę, będziecie musieli zapłacić za czyszczenie* - dobiegł z głośnika głos kierowcy. Jego twarz zniknęła za brudną szybą.

- Przypnij go do czegoś - poleciłem kobiecie.

Skrzywiła się, ale podźwignęła z głośnym stęknieniem Rajcę na jeden ze zwróconych ku tyłowi foteli i przypięła go pasami. Ja również przypiąłem się do siedzenia obok kierowcy.

- Ty też się zapnij - poleciłem, czując na piersi dotyk sztywnego, nieco zbyt śliskiego pasa.

- Dlaczego?

Wskazałem na tabliczkę z napisem: „Pasażerowie zawsze muszą mieć zapięte pasy”.

- Czy to...

- Zapnij się.

Spojrzała na nas, przeniknęła wzrokiem warstwę brudu pokrywającą nam twarz i zrozumiała, że nie ma sensu się spierać. Zapięła pasy. Kemsley wyglądał jak coś, co przez wiele tygodni wisiało na podwórku rzeźni w słońcu i deszczu, i w rezultacie dorobiło się wypaczonej imitacji życia.

- *Dokąd mogę państwa zabrać?* - zapytał kierowca.

Jego głos był stłumionym trzaskiem słyszalnym w głośniku, czerwone diody na drzwiach paliły się nieco za jasno, a dzieląca go od nas szyba była odrobinę zbyt ciemna.

Widziałem tylko smog kłębiący się w blasku reflektorów.

- Do City - odpowiedziałem, pochylając się. - Do Corporation of London. Nad Tamizę.

- *To trzy różne miejsca.*

- Obchodzi nas, czy Rajca umrze? - zapytała Oda ostrożnym tonem.

Zerknąłem na nią i zobaczyłem twarz wyciętą kamiennymi narzędziami z góry lodowej. Potem popatrzyłem na Kemsleya. Przez głowę przemknęła nam myśl, że nas nie obchodzi. To nie był nasz problem.

- Cholera - warknąłem. - Cholera, cholera, cholera. Na Euston Road, do szpitala dla kobiet imienia Elizabeth Garrett Anderson.

- *Już się robi.*

Widziałem czerwone światelka taksometru. Cały czas przesuwały się w nim cyfry i litery, niepodlegające jednak znanym mi prawom matematyki.

- Chcesz jechać do opuszczonego szpitala? - zdziwiła się Oda. Odzyskała dech w piersiach i starła pył z oczu, choć ręce miała brudniejsze od twarzy. Kierował nią instynkt, nie względy praktyczne.

Odwróciliśmy się nagle w jej stronę.

- Jeśli po zakończeniu tej sprawy Zakon napadnie na szpital, jeśli odważą się zaatakować uzdrowicieli, przysięgamy, przysięgamy, że zniszczymy ciebie i was wszystkich.

Uśmiechnęła się tylko.

- No jasne - mruknęła. - Więcej magii.

- Pewnie. Czarne taksówki zawsze zjawiają się na miejscach magicznych bitew ot, tak sobie - warknąłem.

- Zachowuję pełen spokój, tak?

- Przyzwyczajasz się już?

Jej twarz pociemniała, ale Oda nie odezwała się ani słowem. Głowa kierowcy była tylko czarnym zarysem wystającym zza oparcia. Oświetlały ją jedynie rozproszony blask reflektorów oraz słabe, czerwone światelko taksometru.

Spojrzałem na Odę.

- Masz przy sobie dużo gotówki?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Taksówki kosztują drogo.

Zwłaszcza ta taksówka.

- Martwisz się o zapłatę?

- Myślałem, że będziesz ze mnie zadowolona. To szlachetna myśl, unikająca grzechu jak-go-tam-zwał.

- On widzi twoje serce, nie twój uśmiech - zaintonowała.

- A co to znaczy?

- To, że dwadzieścia funtów dane taksjarszowi nie zbawi twojej duszy.

- Chcesz powiedzieć, że nie zapłacisz rachunku, prawda?

- Tak. To właśnie chcę powiedzieć.

- Świetnie. - Odwróciłem się i nasze spojrzenie przesunęło się po Kemsleyu.

Rajca pochylał się, zwisając na pasie, i charczał głośno. Widziałem naczynia krwionośne, pulsujące pod resztkami skóry na jego szyi, jak jakieś ohydne linie produkcyjne w fabryce konserw. Wypełniały się gęstą, siną krwią, a potem się kurczyły, zmieniały w puste przewody biegnące przez zniszczone ciało. Odwróciliśmy wzrok. Smog już się rozpraszał, przez toksyczną mgiełkę przebijał się blask latarni, pomarańczowe snopy światła przesuwwały się po suficie taksówki, za szybko i zbyt chaotycznie, żebyśmy mogli zauważyć jakieś kształty albo cienie. Pomyślałem o Anissinie. Wsunąłem dłoń do kieszeni, wyjąłem telefon Naira, sprawdziłem listę kontaktów, znalazłem jej nazwisko niedaleko szczytu i nacisnąłem przycisk.

- Do kogo... - zaczęła Oda.

- Do Anissiny.

- Po co?

- Może nadal błądzi w smogu.

- Nie możemy jej w niczym pomóc, nawet zakładając, że należy to zrobić - odparła z nutą przygany Oda. - Będzie walczyła albo padnie. Tak to już jest.

Telefon na drugim końcu linii dzwonił i dzwonił, ale nikt go nie odbierał. Wreszcie włączył się nagrany tekst. Przerwaliśmy połączenie. Wiedzieliśmy, że lepiej nie zostawiać swego głosu unoszącego się w elektrycznej postaci w przewodach. Smog za oknem zniknął

już niemal całkowicie, zostały tylko nieliczne, zmywane przez padający deszcz smużki, unoszące się w powietrzu niczym maleńkie, półprzezroczyste węże. Widziałem światła domów, ale nie były one niczym więcej, tylko cieniami przemykającymi w jakiejś niewiarygodnej, zbyt odległej dali. Perspektywa wprowadzała obserwatora w błąd, architektura również, gdy segment przechodził w modny apartamentowiec, ten w walący się barak, a ów z kolei w bungalow. Od patrzenia na to rozboleła nas głowa, taki widok doprowadziłby epileptyka do szału. Oda również to zauważyła.

- Czarnoksiężniku? - zapytała ostrzegawczym tonem.

- Nie przyglądaj się zbyt uważnie.

- Co się dzieje?

- To Czarna Taksówka. Ona dociera wszędzie.

- A czy jeździ Północną Obwodnicą?

- Odo! To zabrzmiało prawie jak sarkazm.

- Nie było nim.

- Nie, ona nie jeździ Północną Obwodnicą. Gdyby Einstein zobaczył, jak się porusza Czarna Taksówka, dałby sobie spokój z fizyką i wrócił do gry na puzonie.

- Einstein grał na puzonie?

- Nie mam pojęcia, ale to by pasowało do jego fryzury.

Odnosiłem wrażenie, że przyspieszamy. Zaryzykowałem spojrzenie przez okno.

Mijaliśmy drogowskazy unoszące się w mrocznej pustce. Nie wskazywały drogi donikąd, nie były na niczym zawieszane, po prostu pływały w ciemności. Nie dostrzegałem też źródeł

oświetlającego je blasku. Droga była jedynie czarną migotliwą wstęgą pod nami, od otoczenia wyróżniały ją wyłącznie namalowane białą i żółtą farbą znaki, zapalające się oślepiającym blaskiem, gdy je mijaliśmy. W oddali widziałem neony unoszące się w mroku jak oświetlone statki na morzu, obiecujące przedstawienia teatralne, zakupy, filmy, długie godziny i niskie ceny. Obok nas przepłynął billboard - za wolno w stosunku do prędkości, z jaką kręciły się koła pojazdu - na którym wyperfumowana modelka o długich rzęsach spoglądała na nas z białej powierzchni. Przechodzień w kapeluszu zsuniętym na oczy - każdy cal jego sylwetki mroczny jak cień, bez żadnych różnic odcienia ani jasności - zniknął za niewidocznym rogiem, ani razu nie unosząc wzroku. Nagle poczuliśmy się zmęczeni, smutni i samotni. Następny jasno oświetlony billboard reklamował samochód, którego przedstawiony na obrazie silnik cały czas pracował. Tablica przesunęła się nad dachem taksówki i zniknęła po drugiej stronie. Wielki tłusty szczur, większy od największego miejskiego lisa, unosił wzrok znad szarozielonego, mokrego od deszczu hamburgera, śledząc nas spojrzeniem jaskrawoczerwonych oczu. Krótka droga rozświetlona jaskraworóżowymi latarniami rozbłysła i zniknęła; wysoka jak dom ciężarówka, jej kierowca niewidoczny w czarnej jak sadza, wypalonej ciemności ryczącego pojazdu, przemknęła obok z głośnym trąbieniem klaksonu. Taksówkę zalały bryzgi wody z nadprzeciętną zawartością złotych rybek oraz miotających się węgorzy rzecznych. Na krótką chwilę rozbłysła para reflektorów, migające żółte światła oznajmiły, że mijamy zebkę, na której pasła się zebra o skórze wyrzeźbionej z łukowatej aluminiowej blachy i nogach sklejonych ze starych rolek papieru toaletowego. Przeżuwała cierpliwie kurczaka tikka, obserwując przemykającą obok taksówkę.

- To plugastwo - wyszeptała Oda. - Potępienie. Plugastwo.

- To piękne - sprzeciwiliśmy się. - Po prostu piękne.

Obrzuciła nas pełnym grozy spojrzeniem.

- Jak możesz udawać, że jesteś człowiekiem, jeśli się tego nie boisz?

- To piękne - powtórzyliśmy. - Trzeba tylko spojrzeć na to we właściwy sposób. Ze wszystkiego, co na świecie straszne i niewytłumaczalne, przerażające i chaotyczne, wybrałaś sobie akurat magię, by bać się jej i nienawidzić, w tej kolejności i w jednakowym stopniu.

- Niech ci się nie zdaje, że mnie znasz, czarnoksiężniku.

- Czy jest jeszcze coś, czego powinienem się dowiedzieć?

To ją uciszyło. Poczuliśmy się niemal zaskoczeni. Znowu dopadło nas dziwne puste uczucie, które mogło być smutkiem. Pulsowanie żył Kemsleya stawało się coraz wolniejsze.

Nie było sensu udawać, że to jedynie wytwór naszej wyobraźni. W ten sposób pogorszylibyśmy tylko sprawę. Nakłanianie kierowcy, by jechał szybciej, również nic nie da.

Jeśli Einstein nie potrafił zrozumieć zasad ruchu Czarnej Taksówki, nam z pewnością również się nie uda. Poza tym, pasażerowie przeszkadzający kierowcy po zakończeniu jazdy często przekonują się, że muszą zapłacić więcej.

Wszystko we właściwym czasie.

- Odo - zacząłem ostrożnie - gdy już dotrzemy na miejsce, będziemy musieli zapłacić.

To będzie coś więcej niż pieniądze. To może być... niemal wszystko. Nie sprzeciwiaj się. Nie krzycz ani się nie targuj. I, na wszystko co święte, nie próbuj niczego zastrzelić.

- Dlaczego więcej niż pieniądze?

- Czarna Taksówka może dotrzeć wszędzie. To znaczy... wszędzie. Wyjdź poza nudne trywialne zasady trójwymiarowej geografii, a to i tak nie wystarczy. Nie jedziemy „tam”.

Ludzie nie mogą funkcjonować „gdziekolwiek”, są... jesteśmy przystosowani do bardzo ściśle określonego środowiska. To naturalne, że opłaty są wysokie.

- Czarnoksiężniku?

Westchnąłem.

- Słucham?

- Ten mężczyzna w garniturze nie jest człowiekiem.

- To prawda.

- Krwawi papierem.

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Istnieją konstrukty, które potrafią krwawić czymś innym niż krew, ale nigdy nie widziałem żadnego, który wyglądałby tak zwyczajnie jak on. A przecież on z pewnością nie jest zwyczajny. Nie jest człowiekiem, nie jest normalnym śmiertelnikiem.

Garnitur jest częścią jego ciała, krwawi paragonami i kawałkami starych gazet. Czy to jakieś przywołanie? Ale on wykazuje znaczną niezależność: mówi, zadaje pytania, umie okazywać wesołość. Większość stworzeń przywołanych zza granic świata potrafi tylko gryźć i toczyć pianę.

- Wiesz, jak zabić to coś?

- Nie.

- W takim razie mamy poważny problem.

- To prawda.

- Krwawisz.

- Słucham?

Uniosła podbródek, wskazując na moją twarz. Dotknąłem miejsca poniżej oka i znalazłem maleńką, niemal niedostrzegalną plamkę brązowej krwi spływającą z powieki w miejscu, gdzie moją skórę przeciął kawałek papieru króciutki jak paznokieć małego dziecka.

- Myśmy są błękitny ogień krwi - stwierdziliśmy z westchnieniem, wycierając plamkę.

- A co to znaczy?

- Znaczy? Tym właśnie jesteśmy. - Wyjrzałem na zewnątrz i zobaczyłem odległe okna oświetlonej stacji metra oraz światła uliczne: czerwone, żółte, zielone, zielone, żółte czerwone. Zmieniały się zbyt szybko i rytmicznie, by mogły być realne. - Chyba nie wiedział, że... - Potarłem prawą dłoń. - Nie wiedział, że jestem Nocnym...

- Ale to ci zbyt nie pomogło, prawda?

- Kemsley... - Kawał ciała o obdartych ze skóry wargach siedzący naprzeciwko nas. -

Wspominał coś o inauguracji. W jej skład wchodzi ponoć duchy, ulice i mistyczne poczynania pośrodku nocy.

- Nairowi inauguracja też nie pomogła, tak?

- Masz rację. - Umilkliśmy na chwilę. Do granic naszej mowy przepychała się pewna myśl,

próbująca się wydostać na zewnątrz. Była silna, gniewna i miała potężne pazury.

Wypuściliśmy ją. - Ale to właśnie może być powód, dla którego Nair zrobił nas Nocnym Burmistrzem.

Oda uniosła nieskazitelny półksiężyc brwi.

- Nocny Burmistrz to tylko człowiek z komplikacjami. A my...

- To coś innego - dokończyła.

Nie skomentowałem tego ani słowem. Za dużo myślenia zawsze oznaczało kłopoty.

- I co teraz będzie?

- W korytarzu na dole była kamera. To jedyna droga wyjścia. Wszędzie tam jest pełno kamer.

- I co z tego?

- Nawet jeśli pan Pinner, mężczyzna w garniturze, śmierć mi... kimkolwiek właściwie jest, nawet jeśli zniszczy tę kamerę, gdzieś będzie jakieś archiwum, zapisy. To lepsze niż dzielenie się pamięcią z gołębiami, one przechowują wspomnienia najwyżej dobie. Gdzieś istnieją jakieś zapisy. Rajcy mogą je odszukać, oni mają... traktują swoją pracę bardzo poważnie. Nadal możemy odnaleźć chłopaka.

- Myślisz, że to aż takie ważne?

- Myślę, że jeśli Kemsley umrze, to znaczy, że pan Pinner z pewnością sądzi, że to aż takie ważne. Myślę, że to interesujące, iż pan Pinner polecił Bum Bumowi porwać chłopaka z klubu. Dlaczego kazał zachować go przy życiu? Tak, jeśli odnajdziemy chłopaka, poznamy kilka odpowiedzi. „Oddajcie mi mój kapelus”. Może wiedzieć... To musi coś znaczyć.

- A jeśli nie będzie nic wiedział?

- No cóż, mam nadzieję, że jeśli zostanę żywcem obdarty ze skóry, a miasto spłonie, wykażesz się dobrymi manierami i zginiesz straszliwą śmiercią razem z nami wszystkimi.

- Czarnoksiężniku, czy kiedykolwiek zadawałeś sobie pytanie, dlaczego nigdy dotąd nie powierzono ci kierowniczego stanowiska?

- Przez moją szczerą twarz?

- Nie schlebiaj sobie. - Przerwała, wbijając wzrok w Kemsleya. - Naprawdę myślisz, że odnalezienie tego chłopaka może poprawić sytuację? Uchronić cię przed losem, który spotkał Naira?

- Tak.

- Jesteś tego pewien?

- Tak.

- A ja nie.

- Dlaczego?

- Myślę, że robisz to dla tej kobiety. Dla Loren. Nie sądzę, żebyś miał wystarczające dowody na prawdziwość swych twierdzeń. Mo, pan Pinner, klub, buty, kruki, Burmistrz, mnóstwo poszlak, ale nic więcej. Podejrzewam, że po prostu chcesz, by chłopak miał z tym coś wspólnego. Wtedy mógłbyś pomóc Loren, załatwiając jednocześnie własne sprawy.

Zastanawiałem się przez chwilę nad jej słowami.

Za szybami taksówki przesuwały się światła, odległe o tysiąc mil, wysokie jak drapacz chmur przyciśnięty do oka okna.

- Dobra - zgodziłem się. - W porządku. Tak. Ona czuje się samotna. Boi się. A my...

nigdy nie mieliśmy przyjaciela. Zналиśmy tylko obcych, którzy czegoś od nas chcieli. Ludzi mających swój cel. To nie to samo, co „przyjaciele”. Pragnę czegoś zwyczajnego. To było miłe. Normalne. Po prostu przyjaźń. Tak ludzie mówią, nieprawdaż? Jesteśmy „tylko”

przyjaciółmi.

- Matthew?

- Tak?

Cisza. Słyszałem tylko warkot silnika taksówki.

Chwila, która mogła się stać czymś innym.

- Zwalniamy.

Zaledwie chwila.

Wyjrzałem przez okno. Ujrzałem uwidaczniającą się powoli pośród ciemności czarną, błyszczącą bryłę stacji Euston oraz migające światła na Euston Road.

- Ehe - mruknąłem. - Jesteśmy na miejscu.

Mój tornister leżał na podłodze. Podniosłem go i wyciągnąłem portfel. Zostało mi czterdzieści funtów. Z pewnością nie wystarczy, ale zawsze to jakiś początek.

Ulice stawały się coraz bardziej realne, z mroku wyłaniały się chodniki, witryny sklepowe były coraz

bliżej, pojawiały się cegły i wszystko nabierało realności.

- *Chodzi panu o jakieś szczególne miejsce?* - dobiegł z głośnika głos kierowcy.

- Gdyby mógł pan po prostu wysadzić nas przed głównym wejściem..

- *Nie ma sprawy.*

Zawróciliśmy, naprawdę zawróciliśmy. Nie przypomniałem sobie, by taksówka zrobiła to choć raz w ciągu całej podróży, skręciliśmy w boczną ulicę, ominęliśmy szary biurowiec i gotycką remizę strażacką, zmierzając ku czerwonemu, ozdobionemu wieżyczkami budynkowi o wybitych szybach i murach przesłoniętych jaskrawoniebieskimi billboardami.

Były wśród nich tablica z napisami „NIEBEZPIECZEŃSTWO” i „ZAKAZ WSTĘPU”, a także plakaty jakichś podejrzanych imprez. Rzecz jasna, na niebieskiej tablicy obok drzwi nabazgrano też wielkimi literami:

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ.

To był nieczynny szpital dla kobiet, imienia Elizabeth Garrett Anderson. Opustoszały, opuszczony przez prawie wszystkich. Prawie robi wielką różnicę.

Taksówka zatrzymała się przed zamkniętymi na kłódkę, zabitymi sklejką drzwiami frontowymi. O tej porze na ulicy nie było żadnego ruchu, nie widziałem nawet nocnych autobusów, skręcających w Euston Road po drodze na King's Cross. Światła w hotelach przed nami pogaszono, tylko w recepcjach utrzymywały się niewyraźne kałuże blasku.

Musiałem pamiętać o oddychaniu, gdy obserwowałem ciemne plamy rąk kierowcy sięgające do taksometru. Potem jedna z nich dotknęła dzielącego nas od siebie pleksiglasu. Czekałem na cios.

- Trzydzieści funtów - usłyszałem głos dobiegający z kabiny kierowcy.

- Słucham?

- Trzydzieści funtów. - Jasne. Świetnie. Dziękuję.

Sięgnąłem do portfela po pieniądze.

- I jej pistolet.

Spojrzałem na Odę. Kobieta wyduła usta. „Proszę”, wypowiedziałem bezgłośnie.

Sięgnęła do kieszeni i z niechęcią wyjęła broń, groźny przedmiot z czarnego metalu. Wsunęła pistolet w szczelinę między przedziałem dla pasażerów a kabiną kierowcy. Gdy wetknęła w nią palce, kierowca złapał ją za nadgarstek i pociągnął naprzód tak mocno i gwałtownie, że pas wpił się jej w piersi. Oda zmarszczyła twarz z bólu.

- Jej ręka - odezwał się kierowca. - Widział pan jej rękę?

Uświadomiłem sobie, że mówi do mnie.

- Hmm... tak - zaryzykowałem.

- Widział pan krew?

Zerknąłem instynktownie na jej palce. Przycisnął je do szyby dzielącej kabinę od reszty samochodu. Nie widziałem żadnej krwi, ani jednej kropelki ciemności na ciemnoczekoladowej skórze, suchej i grubej.

- Nie - wymamrotałem.

- Hej, no wie pan, ja tylko prowadzę taksówkę, ale muszę panu powiedzieć, że jeszcze kilka lat temu tak nie było. Pieprzony rząd!

- Hmm...

- Mówię o imigrantach! Nie jestem rasistą, niektórzy z moich najlepszych przyjaciół

to cudzoziemcy, ale trudno zaprzeczyć, że mamy z tym problem. I niech pan spojrzy na to. -

Pociągnął rękę Ody do przodu.

Kobieta krzyknęła, gdy w jej piersi wpił się pas bezpieczeństwa, który nie chciał ustąpić nawet na cal.

- Niech pan spojrzy! To skandal!

Nie widziałem jego twarzy, nie wiedziałem, czy się uśmiecha, żartuje. Tam, gdzie powinny być jej rysy, dostrzegałem jedynie ciemny owal.

- Oto pańska zapłata - wymamrotałem, wychylając się tak daleko, jak tylko pozwolił mi pas. W dłoni trzymałem czterdzieści funtów. - Reszty nie trzeba.

- Trzydzieści funtów, jej pistolet i jej ręce.

- Co?

- Co?

Oda nigdy nie piszcziała, ale tym razem niewiele jej zabrakło.

- Widzi pan krew? - zapytał kierowca. - Proszę się przyjrzeć! Martwi czarodzieje, martwi magowie, martwe czarownice, martwi czarownicy, martwi, martwi, martwi. Wie pan, to nie mój interes, ale ten

smród! Wszystko to gnije pod skórą, no wie pan, od lat. Braciszek i siostrzyczka i druga siostrzyczka, wszyscy martwi i gniją, no wie pan, pewnie, że pan wie, że pochowała ich w domu, ale i tak gniją. Nie można powstrzymać powietrza, tak? Jest jak pieprzony urząd skarbowy, dostaje się wszędzie, zdziwiłby się pan, ile czasu minie, nim oczy się rozłożą i przestają się gapić? No, wie pan, chodzi o oprawę, jak już zewnętrzne mięśnie znikną, galareta tak jakby paruje. Niech mi pan uwierzy, tak będzie lepiej.

Znowu pociągnął za rękę Ody, tak mocno, że kobieta krzyknęła. Wykrzywiła twarz w grymasie bólu, wciśnięta w pas bezpieczeństwa.

- Niech pan zaczeka! - zawołałem.

Chciał to zrobić, naprawdę chciał to zrobić, ten kierowca o twarzy będącej tylko czarnym owalem. Zamierzał oderwać jej dłoń od kończyny, wyrwać ze stawu i ciągnąć tak długo, aż wreszcie mięśnie puszczą i całość po prostu się oddzieli.

- Niech pan zaczeka!

Chciałem się pochylić, ale pas mnie powstrzymywał. Spróbowałem go odpiąć, lecz zamek odmówił posłuszeństwa. Potem podjąłem próbę pochycenia głowy pod ukośnym pasem, ale ten zacisnął się tak mocno i gwałtownie, że wcisnął mnie w fotel. Charczałem i dławiłem się, ledwie mogąc oddychać. Oda nie zwykła krzyczeć ani jęczeć, ale całe jej ciało drżało z bólu. Widziałem, że skóra na jej nadgarstku nabiera dziwnego, beżowobiałego odcienia, słyszałem każdy przerażony oddech.

- Niech pan zaczeka! - zawołałem. - Na miłość Boską, niech pan zaczeka! Nim pan zostawi jej rękę, proszę się przyjrzeć mojej!

Przestał ciągnąć. Nacisk na rękę Ody ustał na chwilę. Mój pas również stał się nieco luźniejszy. Zaczerpnąłem spazmatycznie tchu, korzystając z niewielkiej przestrzeni, jaką mi zostawił.

- Niech mi pan ją pokaże - zgodził się kierowca.

Pas pozwolił mi pochylić się ku niemu. Zdjąłem rękawiczkę z prawej dłoni, wsunąłem ją przez wąską szparę w szybie i wyprostowałem palce. Dwa krzyże na mojej skórze nadal płonęły w ciemności. Poczułem, że para dłoni - zimnych jak metal, twardych niby stal - ujęła moją rękę, obracając ją w tę i w tę. Kierowca z każdą chwilą przyciągał mnie w stronę kabiny. Pas uciskał mi gardło niczym tępy nóż wbijający się w tchawicę.

Z tak niewielkiej odległości mogłem dokładniej zobaczyć jego twarz.

Nie było tam nic do oglądania.

Czarny, pozbawiony rysów owal wyglądał z bliska tak samo jak z daleka. Był pusty, w hebanowej ciemności uwidaczniały się tylko para rzeźbionych oczu nad rzeźbionym nosem oraz rzeźbione, lekko rozchylone usta. Taksówkarze to jedna z wielu grup ludzi, których mieszkańcy miasta starają się ze wszystkich sił nie zauważać. Są tylko przedłużeniem swoich maszyn. Ten taksówkarz potraktował to dosłownie. Jego plecy stapiały się w jedną całość z fotelem, na którym siedział, a stopy były

pedałami. Gdy przebiegał metalowym paznokciem wzdłuż krzyży na mojej dłoni, jego palce poruszały się z dźwiękiem brzmiącym jak stukanie taksometru.

- To znaczy, że jest pan Nocnym Burmistrzem, tak? - odezwał się wreszcie.

- Na to wychodzi.

- A co się stało z tym poprzednim?

- Zabili go.

- Cholera. Sam pan widzi. A nie mówiłem? W radiu gadają o tym bez przerwy, ale nikt nie chce słuchać. Idą ciężkie czasy. Pieprzeni politycy. Skorumpowana banda. Powinno się wszystkich wykopać, jeśli mnie pan pyta.

Wypuścił moją rękę. Cofnąłem ją, pocierając ślady palców na skórze. Potem uwolnił również Odę i zwrócił jej pistolet.

- Niech pan zatrzyma te trzydzieści funtów.

- Słucham?

- Nocny Burmistrz ma u nas otwarty kredyt. Bezpośredni debet. Prześlę rachunek Rajcom. Chce pan kwit?

- Nocny Burmistrz ma u was otwarty kredyt?

- Ehe. Jezu, nie powiedzieli panu, czy co?

- Jestem nowy.

- Powinien się pan lepiej zorientować. Mówię poważnie. Człowieku, taka robota daje wiele przywilejów. Gdybym ja takie miał, to myśli pan, że chodziłbym gdziekolwiek piechotą? Nie ma mowy. Biurokraci pasą się na naszej krzywdzie. Hej, bez obrazy.

Oda rozpięła pas i ja również. Odskoczył w najzupełniej normalny sposób. Kierowca podsunął mi paperek. Wzięłem go ostrożnie w rękę. To był kwit. Napisano na nim: *Dziękujemy za skorzystanie z usługi Czarnej Taksówki sp. z o.o. Zapłatę pobierzemy z waszego rachunku w późniejszym terminie. Życzymy przyjemnej dalszej podróży.*

Dołączono też numer seryjny.

Wszystko we właściwym czasie.

Pozostawaj w ruchu. Nie zatrzymuj się, nie zastanawiaj. Myślenie powoduje kłopoty.

Pozostawaj w ruchu. Twoje ciało jest mądrzejsze od umysłu. Łatwiej je zranić.

Wspólnie z Odą wyciągnęliśmy Kemsleya z taksówki. Nie obchodziliśmy się z nim delikatnie - to by nie miało sensu. Nic, co zrobimy, nie mogłoby pogorszyć jego stanu.

Taksówka odjechała z warkotem silnika. Oda ciągnęła rannego, wsunawszy mu rękę pod pachę. Zapukałem do drzwi ze sklejki, a potem zaatakowałem kłódkę, która była wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, kiedy nie należy się sprzeciwiać, otworzyłem drzwi i wepchnąłem Odę z Kemsleyem do środka.

- Halo! Potrzebujemy pomocy!

Martwe, ciemne korytarze. Z murów wyrastała budleja, skapująca z sufitu woda tworzyła pokryte rzesą kałuże, farba na ścianach wyblakła, na wszystkich piętach było pełno połamanych, zapomnianych wózków szpitalnych oraz potłuczonego szkła. Wyciągnąłem ze skóry odrobinę światła. Byłem już zmęczony, tak bardzo zmęczony. Chciało nam się spać, zbyt długo już obywaliliśmy się bez snu, przez zbyt wiele dni i nocy, wydawało się nam, że minęło więcej czasu niż w rzeczywistości, stanowczo zbyt wiele. W różowawym blasku, który zdołałem przyciągnąć do dłoni, rozszerzyłem światło na cały korytarz.

- Pomocy! - zawołałem nieludzko donośnym głosem. - Potrzebujemy pomocy!

- No to nie stójcie tak - dobiegł z ciemności głos. - Chodźcie!

Skierowałem światło na cienie obudzone przez słaby blask przedostający się przez powybijane, niedokładnie zabite deski okna. Stała tam pielęgniarka w staromodnym niebiesko-białym mundurku. Dłonie złożyła zgrabnie przed sobą, zawieszony na srebrnym łańcuszku zegarek opadał jej na piersi, a stopy w praktycznych butach rozstawiła lekko, celując palcami u nóg w odległe ściany. Zatrzymała na Kemsleyu spojrzenie stalowoszarych oczu i cmoknęła krytycznie.

- No cóż, to wygląda raczej poważnie, prawda?

Oda obrzuciła mnie spojrzeniem wyrażającym zdziwienie i niewypowiedziane pytanie. Nie odpowiedzieliśmy, ale pomogliśmy jej pociągnąć rannego przez pogrążony w rozkładzie korytarz. Poszliśmy za pielęgniarką do niebieskich drzwi z płyt wiórowych, prowadzących do pomieszczenia pełnego żółtej pianki. Wypełniono nią szczeliny w ścianach i podłodze, a nawet w suficie, próbując powstrzymać ich poszerzanie się i nie wpuścić do środka przeciągu, ale pianka zaczęła się rozrastać i teraz pomieszczenie wyglądało, jakby skolonizował je jakiś wielki żółty grzyb wyrastający z wnętrzości Ziemi, który wypełnił je swymi lepкими, obcymi niemi, pragnąc zagarnąć dla siebie tę ciepłą, przyjazną planetę pełną ociekającej wodą zgnilizny.

Pośrodku sali stał metalowy szpitalny wózek, nakryty cienką białą narzutą, oraz pojedyncza lampa. Nie podłączono jej do żadnego źródła prądu, ale i tak wbrew sobie gorzała białą brzęczącą elektrycznością. Pielęgniarka klasnęła niecierpliwie w dłonie i położyliśmy Kemsleya na wózku. Potem kazała nam się odsunąć.

- Jesteście przyjaciółmi czy rodziną? - warknęła.
- Ani jednym, ani drugim.
- W takim razie nie możecie być obecni przy zabiegu!
- Ale...
- Kto mu to zrobił? - zapytała, spoglądając na zniszczoną skórę.
- Stworzenie, które krwawi papierem i przedstawia się jako śmierć miast - odparłem z westchnieniem.
- Dawaliście mu jakieś leki?
- Nie.
- Nawet na ból?
- Nic nie mieliśmy.
- Czy jest na coś uczulony?
- Nie mam pojęcia.
- A inne choroby? Cukrzyca, astma, kłątwa, pomiot zguby, padaczka i tego typu przewlekłe dolegliwości?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- To Rajca, prawda?
- Tak.
- Znakomicie. Niech pan zadzwoni do biura Rajców i poprosi, by jak najszybciej przysłali tu jego pełną dokumentację medyczną.
- Potrafi pani coś dla niego zrobić?
- Coś zawsze potrafię, ale to może się ograniczyć wyłącznie do złagodzenia bólu. Nie czynimy tu cudów! To tylko oddział wypadkowy, który specjalizuje się również w magicznych obrażeniach! Z tego jeszcze nie wynika, że władamy tu sztuką wykraczającą poza prawa natury!
- Czy on umrze?
- Każdy umrze - odparła. - Ale nikt, nawet publiczna służba zdrowia, nie potrafi przewidzieć dokładnej daty tego wydarzenia. A teraz przepraszam, ale mam do wykonania robotę i pan mi w niej nie pomoże. A kysz!

Wyszliśmy na korytarz.

- Co to właściwie jest? - wyszeptła Oda, wznosząc oczy ku górze.

- To, co napisano na okładce - odparłem. - Oddział wypadkowy, który specjalizuje się w czymś innym niż pozostałe.

- A ile wynosi opłata?

- To zakład publicznej służby zdrowia.

Wzruszyła ramionami, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- To znaczy, że jest bezpłatny.

- Publiczna służba zdrowia prowadzi zakład specjalizujący się w magicznych obrażeniach?

Jej pytanie rozpaczliwie pragnęło przerodzić się w krzyk.

- Tak.

- Pieniądze podatników wydaje się na...

- Magowie też płacą podatki.

- Ty nie płacisz.

- Ale płaciłem. Znam radość płynącą ze zwrotu i tak dalej. Patrz na jasną stronę.

Zakon zabija wielu magów. Robi to tak skutecznie, że rzadko się zdarza, byśmy na starość stawali się obciążeniem dla publicznej służby zdrowia. Albo pijemy krew noworodków w blasku księżyca, by oszczędzić sobie upokorzenia przebywania w domu opieki.

Jej twarz pociemniała.

- W taksówce...

- Nie mówmy o tym.

- To, co powiedział...

- Jest prawdą. Jeśli zaczniemy o tym rozmawiać, pokłócimy się. Chcesz, bym nadal był dla ciebie użyteczny, a ja chcę, żebyś była użyteczna dla mnie. Lepiej nie wchodźmy w szczegóły. Nie rozmawiajmy o tym.

- W porządku - odparła, wzruszając ramionami.

Milczeliśmy przez chwilę.

- I co teraz? - zapytała wreszcie.

- Chyba powinniśmy zrobić to, o co prosiła ta miła pani.

- Miła pani?

- Mówię o pielęgniarce. Porozmawiajmy z Rajcami.

* * *

Tylko myśl.

Anissina?

Martwe mięso w szturmowym kombinezonie.

Smog i gryzące kable wyrwane z podłogi.

Anissina?

To tylko myśl.

Nadmiar myślenia powoduje kłopoty.

* * *

Ktoś musiał zawiadomić Earle'a.

I tym kimś zawsze byłem ja.

- H-H-Harlun i Phelps.

Choć była jeszcze noc, pod jego telefonem znowu miał dyżur młody jakała.

- Mówi Matthew Swift. Może mnie pan pamięta. Chcę porozmawiać z panem Earle'em.

- P-p-pan Earle śpi.

- Czy sypia w gabinecie?

- Jestem jego osobistym asystentem.

- Powinien pan sobie znaleźć inną robotę.

- Cz-czy mogę...

- Proszę powiedzieć panu Earle'owi, że Kemsley jest w szpitalu i zapewne umrze, że Anissina mogła już zginąć, razem z kilkoma waszymi najemnikami, i że śmierć miast jest w Londynie i nosi garnitur

w prążki. Będzie wiedział, jak się ze mną skontaktować.

* * *

Zrobił to.

Połączył się ze mną po niespełna dwóch minutach. Nie mówił jak człowiek, który przed chwilą się obudził.

- Swift? Co się dzieje, w imię Boże?

- W imię Boże nic, chyba że chce pan podyskutować o teologii z Odą. Ale dzieje się wystarczająco wiele dla nas wszystkich.

- Co się stało z Kemsleyem? I z Anissiną?

- On umiera, panie Earle. Zdarto mu skórę z ciała. A przynajmniej większość skóry, sądząc po tym, co widzę. Anissina jest... nie wiem gdzie. Nie odbiera telefonu. Zniknęła w smogu i potem już jej nie widziałem. Zaatakował nas pan Pinner. On krwawi papierem, kule go nie powstrzymają. Magia też nie. Jego garnitur jest przszyty do ciała. I nie, nie, to już chyba będzie wszystko. Nie chcę wyciągać przedwczesnych wniosków, ale sądzę, że mamy przesrane. Aha, i pielęgniarka chce poznać medyczną historię Kemsleya.

- Co za pielęgniarka?

- Jesteśmy w szpitalu Elizabeth Anderson.

- Czy ktoś was śledził? Czy jest tam pan Pinner?

- Wzięliśmy Czarną Taksówkę.

- Wolałbym, żebyście tego nie robili. Rachunek będzie...

- Panie Earle, obdzierał nas żywcem ze skóry człowiek z zadowolonym uśmiechem.

Jestem pewien, że nie chciałby pan sobie zadawać trudu poszukiwania nowego Nocnego Burmistrza tak szybko po tym, jak poprzedni posiadacz tego tytułu zginął w taki sam sposób.

- Jezu. O kurwa. Jezu Chryste - wymamrotał pan Earle. - Nie ruszajcie się stamtąd.

Będę za dwadzieścia minut.

* * *

Zjawił się po piętnastu.

Kto kładzie się do łóżka w garniturze?

Sprowadził ze sobą pachołków. Rajców - bezimiennych mężczyzn i kobiety o kamiennych obliczach. Nie znosiliśmy ich.

- Gdzie jest Kemsley?

Wskazałem głową na drzwi. Musiałem uwolnić światło ze swych palców, bo byłem zbyt zmęczony, by je utrzymać. Znalazłem kawałek ściany, który nie wywoływał wrażenia, że ma się zaraz zawalić, i uczyniłem go swoim przyjacielem. Rajcy mieli latarki. Ich blask raził nasze oczy.

- Tam. Zajmuje się nim pielęgniarka. Lepiej niech pan nie będzie nieuprzejmy.

Publiczna służba zdrowia ma zasady postępowania z nieuprzejmymi gośćmi.

Earle wskazał na drzwi z płyt wiórowych. Jeden z milczących Rajców w czarnym płaszczu wszedł do środka, zatrzasnął je za sobą.

- A co z Anissiną?

- Już panu mówiłem. Nie wiem.

- A co z moimi...

- Tego też nie wiem. Przynajmniej jeden zginął. Rozdzieliliśmy się. Pan Pinner na nas czekał. Na pewno wiedział, że będziemy szukać w miejscu śmierci Naira. Chyba nie miał nic przeciwko temu, dopóki nie trafiliśmy w miejsce, gdzie przetrzymywano chłopaka. Potem zrobił to, co zawsze.

- A co z chłopakiem?

- Tam go nie było.

- To znaczy, że przynajmniej jeden z moich ludzi zginął bez powodu?

- Nie. Przynajmniej jeden z pańskich ludzi zginął po to, by potwierdzić fakt, że pan Pinner to wredny skurwysyn, który zapewne zdrowo by się uśmiechał na widok strategicznego ataku jądrowego. A także fakt, że to ten... stwór zabił Naira. Udało się też udowodnić, że chłopak jest powiązany ze sprawą, potwierdzić, że całe to cholerstwo wiąże się ze sobą w sposób tak skomplikowany, że dostaję migreny, gdy o tym myślę. Dowiedzieliśmy się, że w klatce schodowej jest kamera. Wiem, że to nie to samo, co śmierć dla uratowania życia dzieci i małych piesków, ale pójdę na pogrzeb i uczymy ich pamięć z prawdziwą wdzięcznością.

- Gada pan od rzeczy, Swift - warknął Earle.

- Trochę oberwałem.

- Jak udało się panu przeżyć?

- Wszystko to dla mnie jedna zamazana plama.

Earle zerknął pośpiesznie na Odę, która odwróciła głowę. Ten ruch coś znaczył, ale nie wiedziałem co. Dodałem to do listy.

- Czy ta kamera działała? - zapytał. Facet wiedział, co to priorytet.

- Kiedy ostatnio sprawdzałem, tak. Dysponujecie takim sprzętem, prawda? W końcu macie karabiny szturmowe i tak dalej... - Chciało się nam śmiać albo płakać, czy może wydać z siebie jakiś histeryczny odgłos znajdujący się pośrodku. Do naszego głosu zakradała się nuta szaleństwa. - A to znaczy, że z tym szpiegowskim syfem też musicie być na bieżąco, prawda?

- Coś zapewne wykombinujemy.

- To dobrze. Myślę, że powinniście to zrobić jak najszybciej. Podejrzewam, że pan Pinner się wkurzył, że komuś udało się przeżyć. Zapewne będzie nas szukał. A my nie mamy teraz sił do walki, a już z pewnością nie z facetem, który nie może umrzeć.

- Ma pan podrapaną twarz.

- To ślady papieru.

- Czy to on...

- Tak.

- Czym on jest?

- Mnie pan pyta?

- Tak. Był pan uczniem Bakкера, a kimkolwiek mógł on być za życia, nie sposób zaprzeczyć, że znał się na tych sprawach. Czy ma pan pojęcie, czym może być ten pan Pinner?

- Nie - odpowiedziałem po długim zastanowieniu.

- Na pewno?

- Nawet najmniejszego. Ani na włoska na dupie. On nas wszystkich zabije, prawda?

- Na to wygląda - wyszeptał zamyślonym głosem pan Earle.

Roześmialiśmy się. Uświadomiwszy sobie, że tak naprawdę to chcieliśmy zapłakać, roześmialiśmy się jeszcze głośniej, żeby nikt nie dostrzegł prawdy.

* * *

Bezpieczne miejsca.

To dziwne, jak definicje się zmieniają. Kiedy na ulicy idzie za tobą jakiś facet, bezpieczne miejsce

jest w domu. Parę dzieciaków włamie się do twojego mieszkania i szukasz bezpieczeństwa w domu rodziców. Po drugiej stronie ulicy wybuchnie bomba i pragniesz się znaleźć na wsi. A jeśli ściga cię facet, który krwawi papierem, a gościa piastującego twój obecny urząd przed tobą podarł jak niechciany rachunek na telefon, bezpieczne miejsce jest...

Myślenie powoduje kłopoty.

* * *

Rajcy znaleźli dla mnie pokój. Nie chcieli mnie w biurze i ja też nie chciałem tam przebywać. Nie miałem własnego domu od czasu, gdy wystawiono mi akt zgonu. Dlatego z wielkim narzekaniem odwieźli mnie do hotelu.

Chciałem się przespać.

Chciałem czuć się bezpiecznie.

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, nie było tak źle. Niemagiczne problemy załatwiono na sto procent. Ochrona czuwała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, komisariat był po drugiej stronie ulicy, wszędzie było pełno kamer, a na korytarzach i pod drzwiami czuwali Rajcy. Hotel spełniał również niektóre mistyczne kryteria. Tamiza płynęła tylko kilka jardów od niego, z drugiej strony równie blisko były światła West Endu, nieopodal znajdował się też dworzec Charing Cross, powszechnie uważany za serce miasta. Taka myśl miała w sobie moc, nawet jeśli nie była prawdą. Idee zawsze ją mają, a nieustannie włączone światła budziły tu magię, na której mogliśmy się wręcz unosić, pomarańczowy elektryczny ogień wypełniający powietrze. Widok za oknami był piękny, czy to blask latarni odbijający się w wodzie, czy mrugające światła ulicy Strand. Nawet my mogliśmy spać bezpiecznie otoczeni tak cudownym, ruchliwym życiem, ufając, że nieznajomi ochronią nas dzięki swym metodom.

I wiecie co?

Mieli tu nawet obsługę pokoi.

Z założenia nie lubię hoteli. Zbyt wiele pieniędzy i za mało duszy. Do tego w łózkach było dziesięć warstw pościeli i koców, wymagających pompy hydraulicznej, by nie przylegały do materaca, a kaloryfery grzały za mocno. Było tu jednak spokojnie i bezpiecznie.

Dlatego zwinęliśmy się pod kocami i zasnęliśmy.

* * *

Czarnoksiężnicy powinni mieć prorocze sny.

Chyba nie byłem w zasięgu.

Moje sny wypełniało przerażenie. Budziłem się co pół godziny, łapiąc rozpaczliwie oddech, twarz mi płonęła, a ramiona pokrywała gęsia skórka. Nie potrafiłem nazwać strachu, który ścigał mnie

przez pogrążone w drzemce synapsy mojego mózgu. Gdy znowu zasypiałem, wierząc się pod zmiętym kocem, sen wracał, wybijając wewnątrz mojej czaszki refren:

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ!

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZU

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZU!

To był kolejny punkt, który musiałem dodać do listy spraw wymagających przemyślenia, choć nie miałem najmniejszej ochoty o nich myśleć.

Zasnęliśmy.

* * *

Ranek zaczął się o trzeciej po południu.

Nadal tu byłem.

Nadal nie zginąłem.

Niespodzianka!

Nasze serce ominęło jedno uderzenie, gdy otworzyliśmy drzwi łazienki, ale nie, nie było tam żadnych obdartych ze skóry ofiar ani żadnych zemsty... stworów w garniturach w prążki.

Niespodzianka!!

Nie śpieszyłem się ze wstawaniem, uważając, że gdyby Earle miał mi coś straszliwie ważnego do powiedzenia, z pewnością by to zrobił. Przyszło mi na myśl, że jest trzecia po południu i Earle może już nie żyć, razem z resztą Rajców, a kto wie, może i całym miastem, a my zostaliśmy zupełni sami w ruinach Londynu. Z prysznicza lała się jednak ciepła woda, a pantofle były stanowczo zbyt puchate, jak na dzień Armagedonu.

Tak czy inaczej, nim nadejdzie koniec wszystkiego, śmierć miasta, musiałem jeszcze zadzwonić w jedno miejsce. Nie podjąłem świadomej decyzji, że to zrobię, ale z całą pewnością, jaka nachodzi człowieka, kiedy bierze ciepły prysznic po długim dniu, wiedziałem, że tego nie uniknę.

Kiedy spałem, ktoś wyprał moje ubranie, nawet płaszcz. Wypastowanie butów nie wchodziło w grę, ale zdrapano z nich twardą szczotką większą część brudu, spodnie równo złożono, a T-shirt z napisem „Jak postąpiłby Jezus”, do którego zaczynaliśmy czuć dziwną krępującą sympatię, pachniał środkiem do zmiękczenia tkanin. Udało się nawet usunąć większą część krwi z rękawów płaszcza.

Byłem pod wrażeniem, nawet jeśli wzbudziło to moją podejrzliwość.

Kiedy otworzyłem drzwi, stał za nimi Rajca. Jego twarz wyglądała, jak wysmarowana oliwą z oliwek. Zerknął na mnie. Wlepiłem w niego spojrzenie. Nie uśmiechał się.

Domyślałem się, że był jednym z tych, którzy głosowali za zastrzeleniem mnie.

- Spotkaliście się już? - zapytałem.

- Nie.

- Jestem Matthew.

- Wiem, kim pan jest.

Cztery słowa to było o trzy więcej niż potrzebowałem, by się przekonać, że ta metoda dochodzenia nigdzie mnie nie zaprowadzi. Postanowiłem dać sobie spokój z dobrymi manierami.

- Gdzie jest Earle? - warknąłem.

- Pan Earle pracuje.

- Nad czym?

- Nad obecną sytuacją.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Jego biuro znajduje się w firmie Harlun Phelps, przy Aldermanbury Square.

Rozkazano nam czuwać nad pańskim bezpieczeństwem.

- Kto wydał ten rozkaz?

- Większość.

- Czym się zajmują Harlun i Phelps?

- Zarządzają funduszami powierniczymi.

- Rajcy zarządzają funduszami powierniczymi?

- Opłaca się nam, kiedy nam płacą.

Trudno było zaprzeczyć logice tego rozumowania.

- Czy pan Earle znalazł tego chłopaka? Mo?

- Poinformowałbym pana, gdyby tak się stało.

- A może znalazł Anissinę?

- Nie. Ale z drugiej strony, jej ciała też nie znalazł. W przeciwieństwie do ciał czterech naszych pracowników.

Pomyślałem o najemnikach zjeżdżających po linie w smog Kilburn.

- Przykro mi.

- To byli tylko pracownicy - zaintonował głosem znudzonego księdza, zbyt zobojętniałego, by przejmować się tym, że utracił wiarę. Nie patrzył na mnie, lecz wpatrywał

się w punkt na ścianie tuż za moim lewym uchem. Na lewym palcu miał pierścień naznaczony dwoma krzyżami.

- Gdzie jest Oda?

- Musiała się skonsultować ze swoimi pracodawcami.

- A po co?

- Trzeba skoordynować strategię, jeśli chcemy rozwiązać bieżący kryzys.

- My, to znaczy kto?

- Wszyscy.

- Nie lubi mnie pan, prawda?

- Nigdy bym nie śmiał sprzeciwić się pańskiej opinii - odparł.

Zaczerpnąłem głęboko tchu.

- Świetnie. Chcę porozmawiać z Loren.

* * *

Nie było jej w mieszkaniu.

Rajcy ją przenieśli.

Co prawda, umieścili ją w stosunkowo wygodnym pensjonacie na północ od Mornington Crescent i upewnili się, że jej szef nie będzie miał nic przeciwko temu, ale i tak obcy ludzie wyrwali ją z domu, przenieśli w obce miejsce i nawet nie raczyli niczego wytłumaczyć.

To wyjaśniało, dlaczego, kiedy wykręciłem numer otrzymany od Rajcy, usłyszałem:

- KURWA, KTO MÓWI?! PRZYSIĘGAM, ŻE ZABIJĘ WAS WSZYSTKICH, DO CHOLERY...

- Loren?

Krzyki ucichły. Nastąpiła długa przerwa, wypełniona szybkim, odległym oddechem.

- Kto mówi? - zapytała po chwili.

- Matthew.

- Jezu, niech to szlag.

- Wszystko u ciebie w porządku?

- Nie. Wszystko jest zupełnie nie w porządku. Przez całe moje życie nie było bardziej nie w porządku niż teraz, a przecież moje życie to jeden wielki syf. Gdzie Mo? Znalazłeś go?

Jestem w Camden. Ci ludzie przyjechali do mnie i powiedzieli... powiedzieli, że są z policji, ale kiedy poprosiłam o dokumenty, zmienili zdanie, ale oznajmili, że muszę z nimi pojechać i... Znalazłeś Mo?

- Jeszcze nie. Nie. Przykro mi.

- Boże. Ale to nie dlatego... to znaczy, nie jest tak, że nie znalazłeś go, bo on...

Chciałam powiedzieć, że go znalazłeś i nie chcesz mi tego powiedzieć, bo myślisz, że tego nie... posłuchaj, chcę się dowiedzieć, dobra? W tę albo w tamtą, muszę to wiedzieć...

- Nie znalazłem go. W żadnym sensie tego słowa. Daję słowo. Staram się. Hmm...

pracuję nad tym.

- Ale jeśli nie potrafisz go znaleźć, to dlaczego...

- Loren, muszę się dowiedzieć kilku rzeczy o nim.

- Matthew, co tu jest grane? Powiem ci wszystko, ale...

- Faceci, którzy zabrali cię do Camden, zrobili to, bo chcieli na swój wypaczony sposób zapewnić ci bezpieczeństwo. Nic ci tam nie grozi.

- A co mogłoby mi zagrozić?

- Dzieją się różne rzeczy. Naprawdę bardzo różne. Ale szukam go, wszyscy go szukają. Daję słowo.

- Tu... chodzi o ten mistyczny syf, prawda? Paskudny?

- Być może.

- I Mo się w to wplątał?

- Być może. Tak. Zapewne.

- Opowiedz mi o tym.

- To...

- Powiedziałaś mi prawdę, Matthew. Kiedy ten stwór wylazł spod ziemi, wytłumaczyłaś mi wszystko, bez ogródek używając słów „czarnoksiężnik”, „potwór” i

„magia”. Pomyślałam sobie wtedy: „Cholera albo facet ma takiego świra, że nie wie, co jest rzeczywiste, a co nie, albo to wszystko prawda i musisz się z tym pogodzić”. To jedyny sposób, rozumiesz? Przemyślałam tę sprawę. Jeśli czegoś nie wiem, przewodnictwo przejmuje wyobraźnia i przychodzą mi do głowy najokropniejsze rzeczy, bez żadnych ograniczeń płynących z rozsądku. Muszę mieć pewność, że to ma jakiś sens.

Nie było żadnego powodu, by jej nie powiedzieć.

Żadnego rozsądnego powodu.

Ale nie byliśmy w stanie tego zrobić.

Zdrowy rozsądek nie miał z tym nic wspólnego.

Nie byliśmy w stanie tego zrobić i nie wiedzieliśmy dlaczego.

- Nie wiem, co właściwie się dzieje - zacząłem. - Jeszcze nie. Nie do końca. Obiecuję, że kiedy się dowiem, gdy będzie już po wszystkim, opowiem ci o tym. Teraz mógłbym ci tylko powtarzać niewinne kłamstwa, szkodliwe kłamstwa albo półprawdy pozbawione potwierdzenia. To na razie mogłoby być w porządku, ale gdyby potem się okazało, że się myliłem... Przepraszam. Pracuję nad tym. Proszę. Muszę się dowiedzieć paru rzeczy o Mo.

- I to wszystko?

- Tak. Na razie.

- Rozumiem - odpowiedziała tonem złapanego przestępcy, który wie, że czeka go krzesło, że adwokat przemawia tylko na pokaz, że nie ma wyjścia i płacz nic nie da. - Czego chcesz się dowiedzieć?

- Wszystkiego.

Powiedziała mi tyle, ile tylko mogła.

* * *

Matki i synowie.

Usiłowaliśmy to zrozumieć. Ludzie najwyraźniej uważali, że takie sprawy powinno się pojmować instynktownie. Krew z mojej krwi. Ta myśl budziła w nas niesmak.

Było w tym też coś więcej. Pewnie, że było. Problem z pytaniami polega na tym, że na ogół dowiadujemy się, jak powinny brzmieć, dopiero wtedy, gdy już znamy odpowiedź.

Poznał kilku kumpli.

Na miejskiej farmie, ni mniej, ni więcej. Jeśli ktoś spędza dzieciństwo w mieście, często wozi się go na wieś, by zajął się zdrową pracą na świeżym powietrzu, w nadziei że wyrośnie przez to na lepszego człowieka, aż wreszcie - gdy ma mniej więcej trzynaście lat -

uświadamia sobie nagle, że kozy są wstrętne, a w mieście jest czysto.

Właściwie nie znała tych chłopaków. Pochodzili z regionu Wembley. Czasami wracał

z nimi późną nocą, ale nigdy nie wchodził do mieszkania. Zawsze byli uprzejmi - w pewnym sensie - ale nie chcieli wejść do środka, jakby wstydzi się jej albo bali. Z czasem Mo również zaczął sprawiać wrażenie, że się jej wstydzi.

A potem przestał wracać na noc do domu.

Przychodziły też skargi ze szkoły.

Kazała mu do niej chodzić, ale jak mogła to sprawdzić? Praca nie pozwalała jej stać cały dzień pod szkolną bramą. Praca oznaczała brak czasu, a bezrobocie brak pieniędzy.

Wiedziała, że jego koledzy też nie chodzą do szkoły. Nikt nie musiał jej tego mówić. W

końcu, co chłopak robiłby sam przez cały dzień, gdyby wszyscy jego kumple siedzieli w klasie? Mo zniknął i nie chciał jej powiedzieć, gdzie był. Kiedy wracał do domu - o ile w ogóle wracał - cuchnął piwem i potem. Mówił, że był „w klubie”. Nie wiedziała, co to za klub ani gdzie się znajduje.

Potem zgłosiła się do niej policja.

Mo ukradł rower.

Uczestniczył w tym cały gang, a on był najmłodszy, więc skończyło się na ostrzeżeniu. Nie mogli go zrobić w nic poważniejszego.

Po pewnym czasie przyszli znowu.

Powiedzieli, że dopuścił się „aspołecznego zachowania”. Myślała dotąd, że tej frazy używają tylko dziennikarze w telewizji. Wszczywanie burd, pijaństwo, krzyki i groźby.

Wyrwali jakiemuś staruszkowi torbę z zakupami i cisnęli ją na ulicę. Nie dlatego, że chcieli mu coś ukraść, a po prostu dlatego, że mogli to zrobić. Policjanci powiedzieli, że powinna uważać na Mo, bo wstąpił na szeroką drogę prowadzącą prosto do piekła.

Policja nigdy nie była za silna w metaforach.

Aż nagle, pewnego dnia, kilka tygodni temu, wróciwszy do domu, coś ukrywał. Miał

to w torbie i nie chciał, by do niej zaglądała. Zabronił jej wchodzić do swojego pokoju i nie chciał z nią rozmawiać, gadał tylko z kolegami. Wyczuwała w nim... wstyd. Stało się coś, co było powodem do wstydu, i to on to zrobił. A potem odszedł i już nie wrócił. Jego kumple też nie. Była na policji i dowiedziała się, że nie chodzi tylko o Mo. Funkcjonariusze patrolujący Willesden zauważyli zniknięcie całego gangu, ilu tam właściwie miał członków. Nie kręcili się już pod pubem, nie szaleli na deskorolkach, nie pluli w sklepie monopolowym, nie kradli zakupów staruszkom ani nie robili niczego po prostu dlatego, że mogli to zrobić. Wszyscy ulotnili się jednocześnie.

Zrobili coś, czego się wstydzili.

Banda znudzonych, aroganckich, pyszałkowatych chłopaków, którzy lubili chodzić do klubu w Willesden, zniknęła bez śladu.

Mógłbym jej powiedzieć, że zapewne jeszcze żyją.

To byłoby kłamstwo i najprawdopodobniej znieawdziłaby mnie za te słowa.

Dlatego nie powiedziałem jej nic, tylko powtórzyłem te same zapewnienia.

Obiecuję, że zbadam sprawę. Znajdę Mo.

Poszliśmy pogadać z Earle'em.

* * *

Harlun i Phelps zarządzali funduszami powierniczymi.

Nie byłem do końca pewien, na czym polega ich działalność. Kojarzyła mi się z garniturami, wypastowanymi butami, białymi zębami, gładko zaczesanymi włosami, wątpliwą moralnością i wielkimi przeszkłonymi holami. Nie mogę powiedzieć, że bym poczuł się rozczarowany.

Blask padający na Aldermanbury Square zapowiadał piękną wiosnę i wspaniałe upalne lato, gdy ta część planety wreszcie pochyli się bardziej ku słońcu. Niebo miało cudownie błękitny odcień, zmacony tylko puszystymi chmurkami, wyglądającymi jak na dziecinnym rysunku. Wąskie przestrzenie między budynkami wypełniały młode cienkie drzewka, dodane tu na przyczepkę, a stare domy cechowe rywalizowały z gigantycznymi oszklonymi biurowcami. Nad głową miałem betonowe mostki, pozostałość po szalonych latach sześćdziesiątych, kiedy wszyscy wierzyli, że Przyszłość Jest

Dzisiaj.

Hol w biurze Harlun i Phelps sam w sobie miał trzy kondygnacje wysokości. Wielką jak basen pływacki przestrzeń wyłożono białym marmurem, na którym rósł mały lasek doniczkowych drzew i innych roślin. Ze ściany za recepcją woda spływała powoli do małego stawu, wyłożonego kamykami jak w buddyjskim ogrodzie. Miało to rodzić wrażenie pogodnego, kosztownego spokoju. Nawet recepcjonistki, siedzące za biurkami ozdobionymi efektownie powyginanymi metalowymi tabliczkami, zapewniającymi, że to prawdziwe dzieła sztuki, miały na głowach najdroższe, najnowocześniejsze słuchawki. Przyszłość już przybyła i nosi garnitur w prążki.

- Większość pracowników to cywile - wyjaśnił Rajca przydzielony mi jako przewodnik/obrońca/towarzysz/ewentualny kat, gdy zmierzaliśmy ku windom, ani słowem nie tłumacząc się ochroniarzom. - Zachowują się zgodnie ze wszystkimi standardowymi przepisami i procedurami obowiązującymi w świecie finansjery. Mamy tylko jeden wyspecjalizowany wydział, zajmujący się finansowaniem bardziej... niezwykłych przedsięwzięć i zatrudnionych w nim menedżerów poddaje się bardzo rygorystycznemu szkoleniu, testom psychologicznym, ocenie osobowości oraz analizie zdolności operacyjnych.

- Trudno nam zrozumieć te małe słowa - oznajmiliśmy, gapiąc się na niego.

- Tak też sądziłem - odparł.

Cała winda, nawet podłoga, była z zielonego szkła. Pełzła w górę po ścianie budynku, zwrócona ku rozciągającemu się w dole miastu. Aldermanbury Square przerodził się w niewielką plamę otoczoną labiryntem ulic, zaułków, zakorkowanych autobusami arterii, dźwigów, placów budów, wiktoriańskich biurów i nowych lśniących wieżowców. Dalej była wijąca się jak wąż rzeka oraz znajomy widok Londynu skąpanego w blasku opadającego już ku Richmond słońca. Od strony ujścia Tamizy nadciągał wczesnozimowy półmrok.

Biuro Earle'a znajdowało się na najwyższym piętrze. Zapewne miało być gniazdem triumfującej przedsiębiorczości, z którego mógł spoglądać na trujących się w dole ludzików.

Samo pomieszczenie utrzymano w takim samym bezdusznym stylu jak resztę budynku. Droga od drzwi do biurka Earle'a trwała dziesięć sekund. Dziesięć sekund to cała wieczność, gdy ktoś jest sam na sam z drugim facetem w sali, w której można by urządzić olimpijski konkurs curlingu.

Earle nie nosił stroju Rajcy. Czarny płaszcz powiesił na celowo staroświeckim stojaku ustawionym za czarnym marmurowym biurkiem. Miał nas sobie granatowy garnitur i krawat tego samego koloru, a na spinkach wyryte hebanowe klucze na perłowym tle. Gdy szedłem ku niemu przez bezkresną salę, uśmiechał się, tylko ze względu na dobre maniery, a nie dlatego, że chciał poświęcić mi czas.

- Witam, panie Burmistrzu.

Wskazał mi krzesło, zaprojektowane specjalnie po to, by dbać o dobrą postawę i zły humor siedzącego.

- Witam, panie Earle.

- Dobrze pan spał?

- Spałem. Jakie ma pan wieści?

- Pracujemy nad odnalezieniem tego chłopaka.

- I?

- Poczyniliśmy pewne postępy. Kamery uliczne w okolicach Kilburn zarejestrowały przedwczorajszej nocy, jak wyniesiono go z Raleigh Court i wsadzono do furgonetki. Był

nieprzytomny, ale sprawiał wrażenie żywego. Próbujemy ustalić tożsamość ludzi, którzy go transportowali, ale najprawdopodobniej byli to tylko wynajęci robotnicy.

- Czy pan Pinner był przy tym obecny?

- Nie. Kamery zarejestrowały jednak jego twarz, gdy spotkał się z wami.

Przekazaliśmy zdjęcia wszystkim, którzy mogą coś wiedzieć. Nie udało się nam zdobyć żadnych informacji o Anissinie. Wszystko zasłonił smog.

- Przykro mi.

- To w tej chwili nieistotne. - Wzruszył ramionami. - Musimy skupić wysiłki na poszukiwaniach chłopaka, ponieważ wygląda na to, że to najłatwiej nas doprowadzi do tego pana Pinnera, tej śmierci miast. Udało się nam zidentyfikować pojazd, który zjechał do płatnej strefy śródmieścia Londynu i opuścił ją tej samej nocy przez Waterloo Bridge, najwyraźniej zmierzając na południe.

- Macie dostęp do bazy danych płatnej strefy?

- Oczywiście.

- I gdzie jest teraz ten pojazd?

- Pracują nad tym nasze ekipy.

- Ekipy?

- Dział kadr przydzielił nam niezbędną pomoc.

- Kiedy pozna pan odpowiedź?

- Panie Swift - zaczął. Jego zaciśnięte na brzegu biurka palce zrobiły się zupełnie białe. - Czy wie pan, dlaczego Wielki Brat na pana nie patrzy?

- Dlatego że ma w archiwum mój akt zgonu i wszystko traktuje dosłownie?

- Dlatego, panie Swift, dlatego że w tym mieście mieszka jakieś osiem do dziewięciu milionów ludzi i nie sposób obserwować wszystkich. Każdego dnia przez każdą ze stacji metra przechodzą dziesiątki tysięcy londyńczyków. W ciągu tygodnia są ich setki tysięcy i wszyscy pozostają w nieustannym ruchu. W ciągu miesiąca przez płatną strefę przejeżdżają miliony pojazdów i może być pan pewien, że w każdej chwili gdzieś psuje się pociąg, pęka przeciążona rura, wezwano policję, by usunęła plamę krwi, wybito szybę, odebrano telefon z groźbą o bombie, zabrzmiał alarm przeciwpożarowy, karetka ugrzęzła w korku za niedziałającymi światłami i skołowanym uczestnikiem kursu na prawo jazdy. Wielki Brat na pana nie patrzy, bo ma zbyt wiele innych zajęć, panie Swift. Po prostu... nie jest pan ważny.

- Łamie mi pan serce.

- Rozumie pan, co chciałem powiedzieć?

- Tak, rozumiem. Chciał pan powiedzieć, że powinienem cierpliwie czekać, aż pańscy ludzie znajdą Mo, zgadza się?

- W zasadzie tak.

- Chce pan, żebyśmy zaczekali.

- Tak. Poza tym są jeszcze inne sprawy.

- Jakie sprawy?

- Inauguracja.

Westchnąłem.

- Ach, prawda. To przyjęcie bez ananasów i kiełbasek koktajlowych.

- Jest w tym coś więcej niż się panu zdaje.

- To typowe.

- Wszyscy Nocni Burmistrze muszą odbyć inaugurację.

- Oczywiście.

- To może być niebezpieczne.

- Czekałem z zapartym tchem, aż pan to powie.

- Naprawdę?

- Wyraźnie budował pan napięcie, zmierzając ku jakiemuś punktowi. Słowo

„niebezpieczne” wydawało się w tym kontekście nieuniknione. Czego muszę się dowiedzieć, żeby wyjść z tego z życiem, bo wolałby pan, żeby tak się stało, prawda?

Zastanawiał się nad odpowiedzią chwilę - tylko króciutką chwilę - zbyt długo.

- Oczywiście. Sporo już w pana zainwestowaliśmy. Chcemy coś z tego mieć.

Westchnął, obracając się lekko na krześle.

- Czy wie pan, w jaki sposób wybiera się nowych Rajców? - zapytał.

- Nepotyzm. I członkostwo w odpowiednim klubie.

- Być może myśli pan o naszych niemagicznych odpowiednikach...

- Niewykluczone. Nie wiem o nich zbyt wiele.

- Nie chodzi o nepotyzm, lecz o zaangażowanie - zaczął. - Wierność idei, sprawie większej niż poszczególne osoby. Żeby zostać Rajcą trzeba poświęcić całe życie nauce i pracy, ale przede wszystkim należy sobie uświadomić, jak mały jest człowiek w stosunku do wielkiej maszyny miasta. Londyn jest mrowiskiem, panie Swift. Ogromnym pięknym gniazdem zbudowanym przez dwa tysiące lat ludzkiej pracy, tak głębokim i mrocznym, że jego mieszkańcy nie mają szans poznania całości, a tylko spędzają życie w tym albo w tamtym miejskim kompleksie, drążąc coraz głębiej swe małe jaskinie, ponieważ poznać pełne rozmiary mrowiska znaczy uświadomić sobie, że jest się niczym. Tylko owadem drążącym tunel, który istnieje jedynie dlatego, że przed dwoma tysiącami lat tysiące tysięcy innych owadów również tędy przechodziły, a każdy z nich był dla nas obcy i równie nieważny jak my. Tych mrówek nic ze sobą nie łączy, nic nie powstrzymuje ich przed rozerwaniem się nawzajem na strzępy, poza tylko tym jednym faktem, że dzielą ze sobą tę samą strukturę, to samo miasto, ten sam fizyczny konstrukt, istniejący wyłącznie dlatego, że inne mrówki rzeźbiły go przez dwa tysiące lat. Jesteśmy maleńcy, panie Swift. Jesteśmy nieważni.

Bytujemy w świecie pełnym życia i zachwycających cudów nie dzięki temu, kim jesteśmy albo kogo znamy, ale dzięki otaczającym nas cegłom i kamieniom Londynu, które kształtują nas i prowadzą, dając jedność milionom nieznających się nawzajem ludzi zamieszkujących swe jaskinie. Dlatego wszyscy możemy o sobie powiedzieć: „Mieszkam w mieście”.

Rozumie pan?

- Tak.

- Tym właśnie są Rajcy. Jesteśmy mrówkami, które wspięły się na szczyt kopca, spojrzały w dół z najwyższej wieży w labiryncie, ujrzały ciemność, czas oraz jaskinie i uświadomiły sobie, jak mały jest człowiek wobec tego pełnego życia świata. Zobaczyliśmy to i nie przestraszyliśmy się. Rozumie pan?

- Tak.

- Słyszałem, że dla czarnoksiężników magia to życie i żyć znaczy dla nich mieć w sobie magię. To samo można powiedzieć o Rajcach. Znajdujemy magię w tym, że jesteśmy niczym. Mrówkami na szczycie kopca. Rozumie pan?

Uśmiechnąłem się, splatając palce między kolanami.

- Tak - potwierdziłem. - Rozumiem czym są Rajcy.

- W takim razie z pewnością pojmuje pan również, dlaczego Nocny Burmistrz zawsze, a przynajmniej z reguły, jest jednym z nas.

- Być może.

- Chodzi o miasto, Swift. Jest już bardzo stare. Pochowano pod nim wiele milionów umarłych mężczyzn i kobiet. Wszyscy oni chodzili po ulicach i czynili miasto tym, czym jest, a teraz o nich zapomniano. Miliony zapomnianych, bezdomnych duchów, ale miasto żyje!

Nocny Burmistrz musi go bronić. Rozumie pan, co to znaczy?

- Rozumiem, co to znaczy według pana...

- Panie Swift...

- Mam teorię, która może tłumaczyć, dlaczego Nair uczynił nas Nocnym Burmistrzem.

- Słucham?

- Myślę, że wiedział, że Nocny Burmistrz nie zdoła pokonać pana Pinnera. Musiał to wiedzieć, umierał, kiedy do mnie zadzwonił. Podejrzewam jednak, że chodzi o coś więcej, że zdecydował już wcześniej.

- Niech pan mówi.

- Sądzę, że Nair rozumiał, że miasta się zmieniają.

Earle przez chwilę zastanawiał się nad moimi słowami. Potem pokręcił głową, niemal ze smutkiem.

- Chce pan usłyszeć moją teorię? - zapytał. - Oczywiście, ja również się nad tym zastanawiałem. Wszyscy się nad tym zastanawialiśmy, wszyscy Rajcy, ci, którzy mieli więcej kwalifikacji.

Wzruszyłem ramionami.

- Myślę... - Zaczerpnął głęboko tchu, jakby to, co chciał powiedzieć, było zbyt ważne, by mógł sobie pozwolić na błędy. - Myślę, że Nair zrobił pana Nocnym Burmistrzem, bo chciał wyeliminować groźbę.

- Pana Pinnera?

- Nie... to znaczy, jego też, ale chodziło mi o inną groźbę, być może nawet większą.

- A mianowicie?

- O pana.

- Zbił mnie pan z tropu.

- Czy raczej o was. Nair zrobił pana Nocnym Burmistrzem po to, by przejął pan na siebie odpowiedzialność, by zmusić pana do włączenia się w sprawy, do opowiedzenia się po którejś stronie i walczenia za nią. Myślę, że zrobił to po to, by nad panem zapanować, związać pana z tym urzędem, przekląć nim. Myślę, że chciał w ten sposób wyeliminować groźbę, jaką są niebieskie elektryczne anioły.

Gapiliśmy się na niego długo, zbyt zaskoczeni, by cokolwiek powiedzieć. Pozwalał

nam na to przez pewien czas, aż wreszcie rozciągnął usta w uśmiechu, okrutnym i pełnym ironii.

- „Jeśli nie możesz ich pokonać...”.

- Nie wierzymy w to.

- To nie ma znaczenia, nieprawdaż? Liczy się tylko to, czy Nair w to wierzył. A obawiam się, że tego nigdy się nie dowiemy.

Nie odpowiedzieliśmy ani słowem. Earle wydał z siebie głębokie, płynące z brzucha westchnienie, a potem nagle wstał. Podeszwy jego butów stuknęły o wyfroterowaną podłogę.

- Ale właściwie nic z tego nie ma znaczenia. Chciał się pan dowiedzieć, na czym polega inauguracja i jak ją przeżyć. Odpowiedź brzmi tak, że właściwie nie mogę tego panu powiedzieć. Dla każdego nowego Burmistrza inauguracja wygląda inaczej. W końcu każdy z nich to tylko człowiek z piętnem wypalonym na ręce. Wiem, że trzeba ją odbyć, by przekazanie władzy było pełne. Sugeruję też, że jeśli chce pan ująć z życiem z następnego spotkania z panem Pinnerem, przyda się panu wszystko, co może być użyteczne.

- Co muszę zrobić? - Głos mógł należeć do nas, ale dobiegał z oddali.

- Musi pan przejść wzdłuż starych murów miejskich i zamknąć bramy przed złem.

- To nie tylko w niczym mi nie pomaga, lecz również jest pretensjonalnie niejasne.

- Tak właśnie napisano na kartach.

- A jak właściwie mam to zrobić?

- Nie jestem pewien, bo nie jestem Nocnym Burmistrzem.

- A ja jestem czarnoksiężnikiem, nie Jedi.

- Czy to coś, co powtarza pan sobie w chwilach zwątpienia? - To coś, na co zwróciła moją uwagę religijna maniaczka w chwili proroczego natchnienia.

Wzruszył ramionami.

- Mogę trzymać pana za rączkę tylko do pewnej chwili. Jakoś pan sobie poradzi.

- Nie ma z pana zbyt wielkiego pożytku, prawda?

Znowu obdarzył mnie swym krokodylim uśmiechem.

- Niech moc będzie z panem - oznajmił, a na dodatek pokazał mi vulcański gest na szczęście. - Bo nikt inny nie jest.

* * *

Popołudnie przeszło w wieczór.

Wieczór zapytał noc, czy pójdzie z nim na kawę.

Skępowana noc poszła poszukać butów do tańca, które zostawiła gdzieś, gdzie nie docierają światła.

Na niebo wpełzła pomarańczowa luna miejskiej ciemności.

Zjedliśmy tajskie kotleciki rybne w słodko-kwaśnym sosie.

Poczuliśmy się trochę lepiej.

Zamówiliśmy coś jeszcze.

Makaron Pad Thai z kurczakiem, cytryną i tłuczonymi fistaszkami.

Poczuliśmy się znacznie lepiej.

Uśmiechnięta kelnerka z restauracji, małego lokalu przy Exmouth Market, oświetlonego migotliwym blaskiem świec, zapytała, czy zamówimy coś jeszcze.

Zastanowiliśmy się nad tym i odpowiedzieliśmy, że tak. Wszystko jedno co, byle było z kokosami.

Wieczór mijał nam miło.

Prawie udało się nam zapomnieć.

To szczególne, subtelne „prawie”, które przegania z brzucha ucisk strachu, zostawiając tylko kilka pazurków drapiących miejsce, gdzie jelito cienkie przechodzi w grube.

Chodziliśmy do toalety częściej niż zwykle.

Nie mieliśmy powodów, by wierzyć w Boga, ale jeśli on/ona/ono rzeczywiście istniał, miał niezdrowe poczucie humoru.

Czas upływa.

Czy czas może się nie śpieszyć?

Dzisiaj tak było.

A potem, gdy wreszcie przyzwyczałem się do jego leniwego tempa, ruszył naprzód truchtem.

- Musimy już iść - oznajmił mój opiekun/stróż/strażnik/kat.

Zawieźli mnie samochodem do początku London Bridge, wysadzili na pasie dla autobusów i odjechali, cytując przepisy ruchu. Za plecami miałem blaszaną puszkę stacji London Bridge, a po drugiej stronie ulicy żółte wieże Southwark Cathedral. Była północ w Londynie i czas w mieście płynął powoli, czy może miasto płynęło powoli w nim. Wiatr przynosił dźwięk wybijających godzinę dzwonów od św. Pawła. Na widocznym za HMS

Belfast Tower Bridge kołysały się czerwone i zielone światła. Tower of London, przysadzista i pomarańczowa, wyglądała jak gniewny krasnal ogrodowy, który zbyt długo już należał do rodziny, by komukolwiek mogło przeszkadzać to, że jest stary i brzydki. Na czarnych słupach latarni, ciągnących się aż za Butler's Wharf, paliły się białe żarówki, a szary beton London Bridge oświetlał na całej długości migotliwy, różowy i fioletowy blask.

Zaczerpnąłem w płuca głęboki haust czystego powietrza znad Tamizy.

Dzięki temu ostudziłem swe wnętrze, wyostrzyłem zmysły, przegnałem zmęczenie z oczu i ciężar z mózgu. Ponoć jogini potrafią przeżyć cały dzień na tylko jednym oddechu.

Jeśli był to oddech rzeki z miasta, które kochali, potrafiłem zrozumieć, jak może to być możliwe.

Earle powiedział, że magia to życie.

Mylił się tylko w niewielkim stopniu.

Cała reszta jego słów to były naszym zdaniem totalne brednie.

Ruszyłem przed siebie.

A może lepiej byłoby powiedzieć, że zaczęliśmy procesję.

Cokolwiek właściwie robi Nocny Burmistrz, zrobiłem to tamtej nocy.

Drugie interludium

Inauguracja Matthew Swifta

W którym rozmaite martwe stworzenia mówią,

co mają do powiedzenia,

poddaje się analizie etykę miejskiego planowania,

a nowy Nocny Burmistrz dowiaduje się ważnych rzeczy o kilku starych ideach.

Burmistrz londyńskiego City, podczas swej inauguracji w zimny deszczowy listopadowy wieczór dostaje nie tylko kielbaski koktajlowe, lecz również szampana, ananasy, ser na patyczkach i kogoś, kto trzyma mu parasol.

Mój urząd nie przynosił podobnych korzyści.

Szedłem przez London Bridge, sunąc palcami po poręczy i patrząc na płynącą w dole wodę. Zastanawiałem się, czy Earle nie chciał mi dać tych kielbasek dla zasady. Życie Nocnego Burmistrza najwyraźniej było pełne niebezpieczeństw, a ów tytuł na ogół

zdobywało się po latach niedbałej służby. Nocny Burmistrz musiał stawiać czoło różnym nienaturalnym, a w moim przypadku również niemożliwym do zabicia, niebezpieczeństwom, a wszystkie one chciały go wykończyć, dziękuję serdecznie, i fakt, że musiałem to robić bez choćby kawałka ananasa na patyku jako nagrody wydawał się...

...nienaturalny.

Zapewne o to właśnie chodziło.

Rygorystyczne rozumowanie nie zaprowadzi mnie dalej.

Szedłem przed siebie.

Earle powiedział, że muszę przejść wzdłuż starych murów miejskich. Zburzono je już dawno temu, poza tylko kilkoma fragmentami, a te, które widziałem, schowano w bezpiecznych miejscach.

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

Zamknąć bramy przed złem, cokolwiek mogło to znaczyć. Gdyby miało to być „zło”

w tradycyjnym chrześcijańskim sensie, dziewięćdziesiąt procent mieszkańców miasta nie mogłoby rano dotrzeć do pracy. My również. A nawet gdybym ograniczył ową definicję do zabójstw i okaleczeń z premedytacją, nie usunęłoby to problemów zarówno semantycznych, jak i praktycznych.

Powiedział, że sobie poradzę.

Zakładając, że chciał, byśmy przeżyli inaugurację.

Niemniej warto było zabiegać o wszystko, co mogło się przydać w walce z panem Pinnerem, a przejście wzdłuż starego muru nie zajmie mi więcej niż godzinę, najwyżej półtorej. Nawet jeśli nie osiągniemy nic konkretnego, uspokoi to nas, pozwoli nasiąknąć starszą, łagodniejszą magią, unoszącą się nisko nad ulicą na podobieństwo mgły. Będziemy się mogli karmić rytmem naszej wędrówki.

Mój stary nauczyciel powiedział, że magia to życie.

Jeśli odwrócić to twierdzenie, może do czegoś się dojdzie.

Szliśmy.

Sklepy, zamknięte; sklep ze sprzętem fotograficznym, ekrany kilkunastu telewizorów na wystawie pokazywały ujęcia naszej twarzy z jednej kamery; sklep z garniturami i krawatami; stacja Monument, zamknięta; sam Monument, ze swą złotą kulą ognia górującą nad sąsiednimi budynkami; brukowane uliczki prowadzące do starych, niskich, zapomnianych kościołów przytłoczonych betonowymi budynkami, które wyrosły wokół nich.

Ogromna apteka, sprzedająca środki, od których skóra robiła się jaśniejsza, ciemniejsza, twardsza, miększa, delikatniejsza, cieplejsza, bardziej owłosiona, gładka - kto wie, może nawet znalazłoby się tam jakieś lekarstwa. Po prawej stronie miałem Spitalfields, ulice były puste, wszyscy pracujący dawno już poszli do domu, tylko samotny autobus linii 15 jechał w stronę Blackwall. Wkrótce dzienne autobusy ustąpią miejsca nocnym. Szeroka ulica, betonowe budynki sąsiadujące z czarnymi oknami spoglądającymi gniewnie z góry na wspaniałą dekadencję starszych wiktoriańskich gmachów przycupniętych na wąskich ulicach o nazwach takich, jak Cornhill, Leadenhall, Fenchurch Street, St. Helens Place, Clarks Place, Camomile Street, Houndsditch, Liverpool Street, Wormwood Street, a także ich małymi przyjaciółkami i krewniaczkami tłoczącymi się w mroku opustoszałego na noc miasta. Kilka mil na północ i kilka przecznic na południe stąd noc była głośniejsza i wypełniona zabawą, piciem oraz ogólną radością. Tutaj, gdzie znajdowały się biura i nikt nie mieszkał, nie ruszało się nic poza mną i od czasu do czasu samotnym śmieciarzem.

Zmierałem w stronę Aldgate, tego dziwnego punktu, gdzie stare, sfatygowane ramy okienne East Endu spotykają się z wypieszczonymi, ozdobionymi karniszami drzwiami City, bez żadnych przeprosin ani usprawiedliwień, po prostu *bach* i już jesteśmy w innym miejscu: ruchliwym, pełnym kupowania i sprzedawania, zapachów, straszliwego rozgardiaszu i śmierci nazw firmowych. Przejście podziemne pod wielkim rondem, od którego wąskie miejskie ulice zaczynają przechodzić w zaprojektowane przez planistów szerokie trasy biegnące ku ujściu rzeki; na wschód, do Blackwall Tunnel; gazety unoszące się w słabym świetle latarń; sklepy zbudowane pod ziemią w ramach jakiegoś chytrego planu, który nigdy nie kończył się sukcesem, ukryte za starymi kocami, zbyt podartymi, by żebracy chcieli je sobie zabrać.

Napisy na ścianie, ujawniające takie mistyczne prawdy, jak: **BHN CCI ABP RZONDZI!**

Albo:

KOCHAM CALIPER BOYA.

Albo, wydrapane smętnymi literami:

zrób ze mnie cień na ścianie.

Szedłem cały czas przed siebie, ignorując znaki udzielające kłamliwych informacji na temat tego, które wyjście prowadzi dokąd, opatrzone starymi żółtymi strzałkami, częściowo pozrywanymi ze ścian. Wrażenie, że nie jestem sam, śledziło mnie cichym krokiem uprzejmego zabójcy. Pozwoliłem mu się zbliżyć, aż wreszcie poczułem delikatne mrowienie na karku. Wtedy się zatrzymałem i odwróciłem, trzymając ręce w kieszeniach.

Nikogo tam nie było.

Nie bez powodu poczułem się jak idiota. Odwróciłem się i ruszyłem w dalszą drogę.

Nadal nie byłem sam.

Dotarłem do rampy stanowiącej wyjście z podziemi i znowu się zatrzymałem.

Doszedłem do wniosku, że mam ostatnią szansę, by się upewnić, że nikt mnie nie śledzi, nie robiąc z siebie durnia w miejscu publicznym.

Nadal nikogo tam nie było.

Zauważyłem jednak coś na ścianie.

Przyjrzałem się uważniej.

Ktoś namalował tam farbą w sprayu sylwetkę kobiety. Miała na sobie niebieskie dżinsy i biały T-shirt, i piła jakiś jogurt z plastikowego kubka. Dotykała górną wargą różowej słomki łączącej kubek z jej ustami, pochylając przy tym głowę, ale wzrok miała skierowany na mnie. W oczach widziałem wesołe isierki.

I mrugała. Powieki podnosiły się i opadały, a długie brwi przyćmiewały różowy blask odbijający się w oczach.

Poznałem ją.

- Vero - powiedziałem.

Namalowana twarz przestała pić namalowany jogurt przez namalowaną słomkę i uniosła wzrok.

- O cholera - powiedziała dwuwymiarowa płaszczyzna.

Rozchyliła wargi. W czerwonym wnętrzu jej ust poruszył się różowy przedmiot. Nie było w tym głębi, tylko zmiana barwy sugerująca przekształcenie perspektywy. Komiksowa postać na ścianie. I

ta ściana mówiła. Jej głos niósł się echem w całym tunelu.

- Vero? - powtórzyłem otępiałym głosem.

Wskazała przed siebie plastikowym kubkiem, który poruszał się gładko po poobtlukiwanym betonie, jakby farba była tylko warstwą jedwabiu i można ją było do woli przesuwac.

- Musisz isc dalej - oznajmila mi. - W przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie.

Odwrociłem sie i rusyłem w dalsza droga. Nie wolno sie sprzeczac z surrealistycznymi zjawiskami. Nikt nie wygra w dyskusji z tym, co irracjonalne. Podobizna Very przesunela sie ze sciany za moimi plecami na te z boku. Szla obok mnie. Widzialem tylko jej profil, jak na starozytnych egipskich malowidlach w grobach faraonow. Zarys sylwetki byl nieostry, jakby malarz szkicujacy Verę na betonie nie mogl nadazyć za jej szybkim krokiem.

- To bardzo dziwne - stwierdzilem.

- Tak ci sie zdaje? - Zachichotala. - Jezu.

W miare, jak zblizaliśmy sie do szczytu rampy, postac Very znikala stopniowo z uwagi na brak betonu, na którym mogłaby sie pojawic. Po chwili zostala tylko para kolan, lydek i stop idacych obok mnie. Potem dla nich rowniez zabraklo sciany i zostaly tylko namalowane biala farba slady stop posuwajace sie obok mnie ze slyszalnym *plask, plask plask*. Kiedy przechodziliśmy pod latarnia, na moment pojawila sie znowu. Jej obraz podazal

za krokami, materializujac sie na najblizszej odpowiedniej powierzchni, na przyklad skrzynce pocztowej albo budce telefonicznej.

Fakt, ze nie miala ust, nie przeszkadzal jej mowic. Jej głos dobiegal z powietrza, z miejsca nad tymi sladami.

- I jak ci leci, Swift?

- Nie za dobrze - przyznalem, rozgladajac sie wokol w poszukiwaniu kogos, kto mialby kaftan bezpieczenstwa i nie cierpialby z powodu nadmiaru wyobrazni. -

Niespodziewanie zostalem Nocnym Burmistrzem, scigano mnie, przesladowano i nie chciano zrozumiec, a teraz, z calym szacunkiem, rozmawiam z martwa para malowanych odciskow stop.

- Ehe. To musi sie wydawac osobliwe.

- Mogloby byc gorzej.

- Powaznie?

- Jesli ktos w moim zawodzie wspomina o „inauguracji”, mozna sie zalozyć, ze wiąza sie z tym jakies porabane wydarzenia. Jesli ktos nam każe „odszukać bilet przeznaczenia”

możemy mieć pewność, że nie znajdziemy go na kanapie. Czytałaś, czy chociaż widziałaś, *Władcę pierścieni*?

- Taaak...

- A zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego po prostu nie kazali cholernym orłom wrzucić Jedyne Pierścienia do wulkanu, mimo że tak łatwo im było dolecieć do Mordoru?

- Nieee...

- A widzisz? Pieprzone questy! Dlatego rozmowa z parą martwych śladów stóp to nic takiego.

Minęliśmy białą furgonetkę i na chwilę Vera wróciła. Jej migotliwa sylwetka pojawiła się na blasze i szkle składających się na bok pojazdu. Miała niespokojną minę.

- Dzieje się coś niedobrego, prawda? - zapytała.

- Ehe.

- Bardzo niedobrego?

- Można by tak powiedzieć.

- Ehe. Domyśliłam się tego, kiedy zacząłeś opowiadać o tych questach. To ma sens, że wiem o takich sprawach, tak?

- Pewnie tak. Masz dla mnie jakieś użyteczne rady?

Zniknęła z boku furgonetki. Na chwilę nie zostało z niej nic poza *plask, plask, plask* kroków, świadczącym, że nadal mi towarzyszy.

- Koniec trasy - odezwała się wreszcie.

- Dziękuję.

- Swift?

- Słucham?

- Słyszałaś o śmierci miast?

- Słyszałam.

- Wiesz, że on istnieje naprawdę? Istniał od czasów, gdy Remus spojrział na Romulusa i powiedział: „Hej, niezły kącik, co, braciszku?”.

- Ehe.

- A wiesz, że można go wezwać? Czasami robi to wulkan, piorun albo wojna, ale zawsze coś musi go przywołać.

- O tym też słyszałem.

- Swift?

Jej głos już cichł, namalowane na chodniku odciski stóp stawały się coraz mniej wyraźne.

- Słucham?

- Czy ja naprawdę nie żyję?

- Postrzelili cię i zamieniłaś się w kałużę farby.

- Trupy na ogół tak się nie zachowują.

- Ehe. Nasunęła mi się myśl, że to raczej niezwykle. Jesteś, czy byłaś, przywódcą Białych, klanu, który koncentruje się na życiu, farbie, graffiti i magii, łącząc to wszystko ze sobą. Ale z drugiej strony, jeśli żyjesz, co tu właściwie robisz?

- Cholernie celna uwaga.

Odciski palców zmieniły się w słabe plamy, potem w małe kleksy, aż wreszcie zniknęły. Nie oglądaliśmy się za siebie. To by zmąciło nastrój.

* * *

Tuż za Aldgate skręciłem na zachód, kierując się ku Old Street i Clerkenwell Road.

Biurowce odpływały powoli, ustępując miejsca gęsto stłoczonym sklepom i budynkom mieszkalnym. Potem dotknąłem na moment wiecznie zakorkowanej obwodnicy i ruszyłem dalej, wzdłuż północnej granicy Barbicanu, zmierzając ku miejscu, gdzie miasta strzegły malowane posągi smoków o szalonych spojrzeniach. Smoków trzymających w rękach tarcze z dwoma krzyżami. Niemal wszystkie białe wieże kościołów wybudowanych po Wielkim Pożarze zostały już za mną. Było ich w sumie dwadzieścia sześć, a wnętrza większości zostały zniszczone podczas nalotów.

- Masz trochę drobnych? - usłyszałem nagle czyjś głos.

W wejściu do agencji pośrednictwa pracy siedział żebrak z wielką brodą. Pogrzebałem w kieszeni, ale nic nie znalazłem, sięgnąłem do torby, stłumiłem pragnienie wznowienia rytmu wędrówki, znalazłem portfel, wyciągnąłem z niego trzydzieści funtów - wszystko, co miałem - i wręczyłem żebrakowi.

- Powodzenia - rzekł.

- Nie ma sprawy - odparłem i ruszyłem w dalszą drogę.

- Lubisz się czasem przespacerować? - zapytał mnie ktoś kilkoro drzwi dalej.

To był ten sam głos.

I ten sam żebrak.

- Jasne - odparłem, nie zwalniając kroku.

Gdy dotarłem do zaryglowanych metalowych drzwi na zapleczu punktu ksero, nadal tam był. Podciągnął kolana pod brodę i narzucił sobie koc na ramiona.

- No wiesz, to coś nowego - dodał. - To spacerowanie.

- Nieprawda. W dawnych czasach ludzie wszędzie chodzili na piechotę.

- Ehe... ale jedynie dlatego, że mieli do wyboru tylko to albo siedzieć za srającym koniem w zapchlonej trumnie cuchnącej trocinami i szczynami.

- Może i masz trochę racji, ale podejrzewam, że w epoce nowożytnej prawie wszystko cuchnęło trocinami i szczynami, bez względu na sposób transportu.

Przede mną znajdował się długi ceglany magazyn, zwrócony tyłem do ulicy. Nie było w nim drzwi, w których mógłby usiąść żebrak. To dało mi parę chwil na zebranie myśli. I rzeczywiście pod pierwszymi drzwiami następnego budynku znowu go ujrzałem. Siedział w nich, przypalając papierosa.

- Wiesz co? - podjął. - To zdumiewające, że trzeba było czekać aż do roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego, żeby jakiś bystrzak wybudował porządną kanalizację.

- Mrowiska - odparłem. - Albo gniazda os. Dopóki są małe, nie ma powodów do niepokoju. Dopiero gdy stają się duże, trzeba się martwić, czy nie spadną z drzewa.

- Ktoś użył przeciwko tobie metafor, tak?

Musiałem minąć dwoje kolejnych drzwi, nim miałem szansę mu odpowiedzieć.

- Ehe.

- Dla mnie brzmi to jak pieprzenie bez sensu.

- Trzeba przyznać, że ma pewien chaotyczny urok. Kiedy Londyn spłonął w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym, wszyscy zawołali: „Hurra, odbudujemy go! Wzniesiemy złote miasto!”. I popatrz, co się stało. Chaos i zamęt. Wszyscy tak bardzo pragnęli zamieszkać w tym złotym mieście, że nie mieli czasu go wybudować.

Goswell Road. Na skrzyżowaniu z Clerkenwell Road nie było miejsca dla żebraka, tylko dwa smoki o wytrzeszczonych oczach na wysepce pośrodku. Zatrzymałem się, oparty o słupy świateł ulicznych,

czekając, aż się zmienia. Potem przeszedłem na drugą stronę, nadal zmierzając na zachód. Po tej stronie było bardzo niewiele drzwi. Przede mną znajdował się pub, ale nad butelką wina siedziała w nim grupka ludzi w modnie pociętych dzinsach.

Szedłem dalej, aż wreszcie dotarłem do jakiegoś artystycznego studia o niskich niechlujnych drzwiach.

- Czy mogę ci coś zasugerować? - zapytał żebrak.

- Masz w tym jakiś interes?

- Jasne.

- Dobra, sugeruj.

- Nie kończ tego spaceru. Daj sobie spokój z inauguracją.

- A to dlaczego?

Potem była frytkarnia. Żebrak siedział w drzwiach między nią a lokalem ze striptizem, udającym pub.

- Chcesz zostać Nocnym Burmistrzem?

- Nie.

- A widzisz!

- To nie takie proste.

- Pewnie, że proste. Będziesz wolny.

Szedłem dalej.

A w następnych drzwiach go nie było.

Ani w jeszcze następnych.

Wygłosił już swój tekst.

Szliśmy dalej.

Cały czas przed siebie. Jeśli człowiek nie zatrzymuje się nawet na chwilę, może mu się udać zostawić myśli za sobą, nie pozwolić, by go dogoniły.

Cały czas przed siebie.

Stań się mną...

Ból w prawej dłoni.

Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień!

Jak postąpiłby Jezus?

Wyśpiewujemy elektryczny płomień, dudnimy z podziemnym wiatrem, tańczymy niebo!

Lubię spacerować. Każdy krok jest myślą bez słów, a myśl bez słów jest myślą bez winy, bez kary i konsekwencji.

Stać się nami i bądź wolny...

„Myślę, że zrobił to po to, by nad panem zapanować, związać pana z tym urzędem, przekląć nim”.

...myśmy są niebieskie elektryczne anioły!

Panie Burmistrzu.

- Pierdolony panie Burmistrzu.

Uniosłem wzrok.

Twarz Kemsleya wyglądała jak niedokładnie obdarty ze skóry pomidor upieczony na gorącym grillu i porzucony, by zgnił. Nikt, kto tak wyglądał, nie mógł żyć, nie było też możliwe, by Kemsley, którego widziałem zaledwie kilka godzin temu - a może minęła już cała doba? - wstał przez ten czas z łóżka i zaczął chodzić. Na pewno też nie przyszedłby tutaj, by ze mną porozmawiać. Skręciłem na południe, w stronę Holborn Viaduct, a on podążył za mną. Sklepy rzeźnicze o oknach zabitych deskami, odnowione wiktoriańskie konstrukcje, żelazne pomalowane na zielono, czerwono albo złoto, małe smoki strzegące miejskich murów, tarcze, bliźniacze czerwone krzyże na białym tle, jeden mniejszy od drugiego, jeden krzyż to miecz; *Domine dirige nos*, dewiza miasta, widoczna wszędzie, jeśli tylko się przyjrzeć, jeśli zatrzymać się i popatrzeć.

- Chce się pan dowiedzieć, co naprawdę sądzę? - zapytał.

- Nieszczerze, ale na pewno nie po to zadawał pan sobie tyle trudu, żeby teraz mi tego nie powiedzieć.

- To pierdolona zniewaga dla urzędu Nocnego Burmistrza, że pan nim został.

- Dziękuję. Z pewnością mogłem się tego dowiedzieć tylko od obdartej ze skóry mistycznej projekcji.

- Chce pan usłyszeć moją radę?

- Nie.

- Niech pan umrze. Pozwoli, by pan Pinner zrobił co jego. Niech ktoś lepszy obejmie urząd po panu.

To najlepsze, co może pan zrobić jako Nocny Burmistrz. Po prostu umrzeć.

- Wie pan, ludzie płacą psychoterapeutom za obrzucanie takimi obelgami.

Chrząknął, odwrócił się ode mnie i oddalił dziarskim krokiem.

- Dokąd pan idzie?! - zawołaliśmy za nim.

Odwrócił się.

To był jakiś obcy facet w czarnej kurtce, przestraszony tym, że nieznajomy zawołał go nocą.

Uniosłem ręce w przepaszającym geście, uśmiechnąłem się, pokręciłem głową, a potem odwróciłem się i ruszyłem w dalszą drogę.

Dzięki swym znakomitym talentom detektywistycznym zaczynałem dostrzegać pewne regularności.

Zauważyłem złoty krzyż na katedrze św. Pawła, wystający ponad dachy pobliskich biurowców. Latarnie migały nieregularnie, gdy pod nimi przechodziłem, rozszczepiając mój cień na tuzin odbić, otaczających moje stopy na podobieństwo godzin na zegarze słonecznym.

Usłyszałem pisk.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to namalowany na murze szczur. To miałoby swego rodzaju sens.

Kiedy odgłos się zbliżył, przypominał raczej dźwięk metalu trącego o metal. Szedłem przed siebie, przekonany, że jeśli to coś ważnego, z pewnością mnie dogoni.

Dogoniło, ale fakt, że zmusiliśmy to do wysiłku, sprawił nam dziwną satysfakcję.

Przez chwilę odnosiłem wrażenie, że czuję zapach curry i plastikowych toreb, słyszę odległe mamrotanie szalonej staruszki, z jej wózkiem pełnym toreb: „Chuj, chuj, chuj w dupę dzisiejszej młodzieży...”.

To jednak nie była ona. Nie tej nocy.

- Cześć, Matthew.

Spojrzałem w stronę, z której dobiegał głos, i nie zatrzymałem się. Zacisnęliśmy gniewnie pięści.

Pisk pochodził od pary dużych kół, ulokowanych za dwoma mniejszymi. Poruszał się na nich czarny, skórzany wózek. Spoczywał na nim mężczyzna. Do niego z kolei przytwierdzono dwa stojaki na kółkach, poruszające się z tyłu. Na jednym zawieszono kroplówkę z jakimś przezroczystym płynem, na drugim z krwią. Potrafiłem się domyślić czyją.

Wózek pchał ktoś spowity w cienie i w mój stary płaszcz.

Gniew.

Nie patrz.

Gniew.

- Matthew - odezwał się człowiek siedzący na wózku - jaki koniec może twoim zdaniem mieć ta sprawa?

- Śmiertelny - odparłem. - Ale przynajmniej będzie to koniec. Umarli nie żyją. Pana dotyczy to zwłaszcza.

Pokonaliśmy niewielki odcinek.

- Matthew - podjął mężczyzna z lekką nutą przygany. - Masz pojęcie, co to znaczy być Nocnym Burmistrzem?

- Najmniejszego. Totalnie improwizuję.

- Musisz służyć miastu.

- Tyle zajarzyłem.

- Nie ludziom, Matthew. Miastu.

- Nie podjąłem się funkcji Robin Hooda, jeśli to ma pan na myśli.

- Proszę, nie owijajmy w bawełnę.

- Nie owijam niczego w bawełnę. Po prostu jestem wściekły.

- A dlaczego?

- Dlatego że nie prosiłem o tę fuchę. Dlatego że jakiś skurwysyn mnie wybrał, a ja nie dostałem nawet kiełbaski koktajlowej i kawałka ananasa na patyku, dlatego że Verę zastrzelono, a Anissina wpadła do smogu, dlatego że Mo zaginął, a Loren płakała, dlatego że widma dźgnęły mnie nożem, a Earle siedział sobie w gabinecie i popijał kawę, dlatego że widziałem, jak jeden facet zginął, obdarty żywcem ze skóry, a drugiego skurczybyka w prawie takim samym stanie odwiozłem do szpitala, a także dlatego że pan... - Wskazałem gniewnie palcem na siedzącego na wózku mężczyznę. - Pan, panie Bakker, nie żyje.

Zabiliśmy pana. Zrobiliśmy to dlatego... dlatego... Zabiliśmy pana i powinien pan pozostać martwy, pan i pański pierdolony cień!

Krzyczałem. Mój głos odbijał się echem od domów na pustej ulicy, wypełniał zimne rury wodociągowe. Odwróciłem się i wbiłem wzrok w kamienie chodnika, licząc, ile ich pokonuję za jednym krokiem, ile przez dziesięć albo dwadzieścia, jak wielu kroków będę potrzebował, by

przejsć miłą.

Stukot wózka nie milkł obok mnie. Pan Bakker splótł białe, pokryte plamami starczymi dłonie na brzuchu. Pchał go cień. Jego krwawy cień w splamionych krwią resztkach mojego starego płaszcza. Tego, w którym zginąłem. W którym mnie zamordowano.

Tego płaszcza.

- Czemu to wszystko ma służyć? - zapytałem wreszcie, gdy skręciliśmy w labirynt biegnących w górę i w dół uliczek między Farringdon Road a Fleet Street. - Wiem, że dzieją się różne mistyczne sprawy i tak dalej, ale co z tego za pożytek? Czy ma mi to udzielić jakiejś moralnej lekcji, która uczyni mnie lepszym człowiekiem i sympatyczniejszym Nocnym Burmistrzem? Sądząc po tym, co słyszałem, bycie sympatycznym nie jest zaletą w tej pracy.

- Myślę - zaczął Bakker, wciągając powoli powietrze, jak zwykł to czynić jako nauczyciel, nim udzielił odpowiedzi brzmiącej „być może”. - Myślę, że chodzi o to, byś się dowiedział, jakiego rodzaju Burmistrzem masz zostać. To właściwie nie moja specjalność.

- Rewelacja. No wie pan, to nasuwa różne nieprzyjemne podejrzenia, gdy chodzi o wyższe moce.

- Albo o obecny stan twojego umysłu. Jak on się w tej chwili miewa?

- Nie widzę powodu, by panu o tym mówić.

- Ale czy nie o to właśnie w tym chodzi?

- Nie mam pojęcia. Nikt mi tego nie powiedział. A dopóki ktoś tego nie uczyni, przyjmę założenie, że nie chodzi w tym o nic i będę sobie po prostu szedł.

Tak też zrobiłem.

- Matthew?

- Nadal tu jestem.

- Jeśli chodzi o te wyższe moce...

- Tak?

- Chciałem ci zasugerować jedną, wiesz, czysto hipotetycznie.

- Słucham pana tylko dlatego, że nie mam w tej chwili nic innego do roboty.

Znowu zaczerpnął głęboko tchu.

- Miasto - rzekł.

- Tak?

- Jako wyższa moc.

- Jestem tu tylko dlatego, że miałem cholernego pecha.

- Nieprawda. Jeśli rozumiesz co mam na myśli.

- Nie rozumiem.

- Pozwól, spróbuję ci to wytłumaczyć.

- Życzę szczęścia.

- Kobieta wstaje rano do pracy. Jej budzik jest napędzany z sieci i dzisiaj nie zadzwonił, bo na drugim końcu miasta inna kobieta, która ma budzik na baterie, nie usłyszała sygnału i nie nacisnęła właściwego guzika na stacji transformatorowej. Jest spóźniona. Nie ma czasu zjeść śniadania i biegnie do supermarketu, gdzie o trzeciej w nocy troje studentów i zdegradowany kierownik rozkładali na półkach w miarę świeże kanapki, żeby mogła tam wpaść, kupić jedną i popędzić do pracy. Ale nadal jest spóźniona. Biegnie na przystanek, lecz autobus nie przyjeżdża. Kierowca ugrzązł w korku, bo na ulicy pękły rury, i będzie potrzebował dwudziestu minut, by wreszcie minąć skrzyżowanie, a potem jeszcze pięciu, by pokonać dwukrotnie większy dystans. Wreszcie autobus przyjeżdża. Kobieta wsiada i jedzie do pracy. Tam zasuwa przez osiem godzin niemal bez chwili przerwy, a wieczorem musi iść na spotkanie z przyjaciółkami. Kupują chińszczyznę na wynos. Jedzenie przygotował

kucharz, którego kuzyn prowadzi firmę handlującą chińskimi towarami na skraju Enfield.

Codziennie zaopatruje całe miasto w kaczkę po mandaryńsku z sosem chili i makaronem yaki. Ma do dyspozycji armadę złożoną z ponad dwudziestu furgonetek, i przez całą dobę pięćdziesięciu pracowników do dyspozycji. Odbiera zamówienia z lotnisk, dostarcza towar do miast w promieniu dwustu mil. Kobieta dostaje zamówioną potrawę, ponieważ samochód przybył na czas, kierowca uiścił opłatę za wjazd do płatnej strefy, kontrola techniczna była w porządku, a bak pełen. Kobieta zjada chiński posiłek. Gdy wraca do domu, zapalają się latarnie, sprząta się śmieci, autobusy jeżdżą wzdłuż linii namalowanych na ulicach o dobrze ułożonej nawierzchni, a wodociągi się naprawia, więc może spokojnie sobie usiąść i pooglądać telewizję. Tak mija jej dzień.

Gdy skończył, odczekałem chwilę, by się przekonać, czy powie coś jeszcze.

- Taaaak?

- Matthew, czy przyszło ci kiedyś do głowy, żeby mieszkać w mieście, tak jak my, żyć tu z dnia na dzień, wykonywać swoją robotę, oglądać, co jest do obejrzenia, żyć wśród ośmiu milionów nieznajomych i zależeć od tego, czy będą prowadzić autobusy, przygotowywać posiłki, wywozić śmieci, pompować wodę, dostarczać prąd, odpowiadać...

- Wystarczy, kapuję.

- A więc rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie bardzo...

- Matthew! Lepiej cię nauczyłem!

- Zabił mnie pan też lepiej. Pamięta pan?

- Ty również mnie zabiłeś. Czy musimy się zachowywać jak dzieci w przedszkolu?

Umarli nie żyją.

- Dobra. To o co panu chodzi?

- O to, że miasto istnieje, a nawet żyje. Jest tak pełne życia! Cudownego, wspaniałego, zdumiewającego życia! To cud, że wszystko to może trwać z dnia na dzień. A ponieważ cuda z definicji zdarzają się rzadko, czy nie byłoby możliwe, a nawet rozsądne, uczynić z tego, co wydaje się jedną wielką ich serią, ideę wyższej mocy i nazwać ją miastem?

- W porządku, teraz rozumiem. Podstawy filozofii dla Nocnych Burmistrzów.

- Życie to magia, Matthew. Sam tak powiedziałeś. Nawet takie codzienne, nudne, czynności jak oddychanie, widzenie, postrzeganie i bycie postrzeganym. Życie to magia. To wszystko, czym jest czarnoksiężnik.

- Wiem o tym - odparłem z westchnieniem. - Pamiętam.

Zbliżyliśmy się do Ludgate. Wielkiego punktu styku rozmaitych miejsc, pełnego zbiegającego się ze wszystkich stron chaosu, pomników poświęconych ofiarom wojny, supermarketów zbudowanych dla tych, którzy przeżyli, oraz barów kawowych przeznaczonych dla wszystkich. Pisk kół wózka cichnął. Spojrzałem w stronę Bakкера. Jego twarz skurczyła się, pociemniała, poszarzała i zanikała już w cieniach. Wózek inwalidzki również się rozpuszczał w mroku, stawał się coraz mniej wyraźny.

Odwróciłem wzrok.

Nie musieliśmy już oglądać takich rzeczy.

Coś tu nie grało. Nie chodziło o to, że Bakker rozpuścił się w cieniu, ale o to, że to był

jego własny cień, który z kolei rozpuścił się w moim, ten zaś ciągnął się za mną, wąski jak ołówek, kiedy szedłem ku światłu, ale przede mną i wokół mnie nie był już taki wąski, jakby należało, nie był też tak płaski, jak wymagałyby normalne prawa optyki. Tak właśnie zachowywałaby się woda, gdyby była jedynie blaskiem księżyca padającym na ziemię.

Ręka mnie bolała. A nawet więcej niż bolała.

Przycisnąłem ją do piersi. Szwy rozciągały dotkliwie moją skórę. W głowie czułem pulsujący ból.

Cienkie jak papier skaleczenia na całym ciele piekły dotkliwie. Czuliśmy ciepłą krew wypływającą z małej ranki pod okiem, a także swędzenie w wewnętrznej powierzchni prawej dłoni. Biletu przeznaczenia nigdy nie znajduje się za sofą, tego typu sprawy nie są łatwe jak przyjęcia z ananasami. Otworzyłem dłoń. Dwa krzyże płonęły, wypełniając je krew ogarnął ciepły czerwony ogień. Nie wiedziałem, czy to dobry, czy zły znak. Odwróciliśmy głowę. Ruszyłem południowy skrajem Grays Inn, mijając zamknięte sklepy i pogrążone w mroku banki, a także przystanki autobusowe, gdzie na pomarańczowych tablicach widniały napisy.

1. 341 - North'land Pk - 14 min.

2. 11 - Liverpool St - 15 min.

3. 17 - uciekajuciekajuciekajuciekajuciekajKONIECTRASyuciekajuciekaucie-uciekauciekajuciekaj - wkrótce

4. 11 - Liverpool Street - 18 min.

Pragniesz elastycznych godzin pracy i wysokiej pensji? Zostań kierowcą autobusu! Potem będziesz mógł zostać cieniem na ścianie! Dzwoń do Arrivy, numer 0800 924 7100

Mały pub zamykał się już na noc. Goście, głównie pijani studenci, wysypali się na ulicę z rękami pełnymi ukradzionych torebek z keczupem i brązowym sosem. Zatrzymywali się w świetle latarni, śmiejąc się głośno. Ulicą przejechały dwie taksówki. O okno sklepu ze sprzętem elektronicznym opierała się kobieta. Ręce skrzyżowała na piersiach, a głowę skierowała ku mnie. Kiedy podszedłem bliżej, poznałem ją, ale odwróciłem wzrok od jej twarzy. Podążyła za mną, nie odzywając się ani słowem. Trudno coś powiedzieć, gdy wycięto ci połowę gardła. Na filmach zawsze robią to jednym, zgrabnym cięciem, ciach, i ofiara ma drugi szkarłatny uśmiech, trochę poniżej pierwszego. To jednak nie było zgrabnie poderżnięte gardło, a szeroka na pięć palców dziura wyrwana w ciele, śmiejąca się obrzydliwie przy każdym poruszeniu szczęki.

Za życia kobieta, którą udawała ta ohyda, nazywała się Dana Mikeda. Moja dawna uczennica. Półkrwi Rosjanka, córka właścicielki sklepu z kanapkami w Smithfield. Po mojej śmierci została uczennicą pana Bakker. To ona rzuciła zaklęcie, które przywołało nas z powrotem.

Zginęła paskudną śmiercią.

- Jeszcze możesz uciec - oznajmiła. Jej głos płynął z dziury w szyi. Towarzyszyły mu wielkie, czerwone bąble.

- Ehe - zgodziłem się. - Jasne.

- Mówię poważnie. Znajdź sobie jakieś inne miejsce, inne miasto. Świat jest wystarczająco duży, nawet dla ciebie. Co jesteś winien temu miastu?

- Tutaj się urodziłem.

- A co wy jesteście winni temu miastu?

- My też się tutaj urodziliśmy.

Uśmiechnęła się i jej gardło razem z nią.

- Haha. To było głębokie. Powinieneś pisać wierszyki do wybuchowych niespodzianek. Wielu ludzi ma gdzieś lojalność wobec ojczystych stron.

- Nie ma mowy. Jeśli ktoś urodził się i wychował w Londynie, prędzej czy później wpisze sobie „londyńczyk” w paszporcie. Hej, skoro już tu jesteś, Dano, mogę ci zacytować fragment przemowy motywacyjnej dla Nocnych Burmistrzów. Oto, jaki kit wciskają ludziom Rajcy: „Miasto cię definiuje”. Albo jeszcze lepiej: „Urodziłem się w tym mieście i ono czyni mnie tym, kim jestem. Ulice, kamienie, nieznajomi i wszystko, czy tego chciałem, czy nie, uczyniło mnie mną. Dlatego nie opuścimy miasta”. Co ty na to?

- Wybuchowa niespodzianka.

- Ehe. Moim zdaniem to błędne rozumowanie.

- W takim razie, po co je cytujesz?

- Myślę, że o to właśnie chodzi. To znaczy, w tym spacerze. O poczucie perspektywy.

Ma się we mnie zrodzić przekonanie, że walczę za coś, i również za coś najprawdopodobniej dam się obedrzyć ze skóry.

- I zrodziło się?

Spojrzałem jej prosto w oczy. Czuliśmy się... niemal zadowoleni, że znowu ją widzimy, że chodzi i mówi, pomimo zniszczonego gardła. To była tylko imitacja życia, plugastwo, ale być może również wspomnienie kogoś, kto kiedyś żył i pamięć o nim groziła śmiercią. Pamiętałem ją i dzięki temu żyła, jak zwykli pisać poeci. Łatwo o tym zapomnieć, jeśli się chce.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Słucham?

- Za to, co cię spotkało.

- Mnie? Myślisz, że chodzę po świecie z takim syfem w gardle?

- Nie, nie o to chodzi. Świetnie wiem, że jesteś tylko kolejną metamagiczną manifestacją jakiegoś burmistrzowskiego obłądu, którym jest ten odjazd. Ale nosisz jej twarz, a prawdziwej Dany nigdy nie miałem okazji przeprosić. Dlatego przepraszam. Przepraszamy.

Bardzo cię przepraszam.

- Ech - mruknęła. - Trochę za późno, ale zawsze miło to usłyszeć.

Minąłem Lincolns Inn i znowu zostałem sam na pustych ulicach, trzymając się trasy starego muru tak blisko, jak tylko mogłem. Cienie za moimi plecami gęstniały. Spoglądając kącikiem oka, widziałem, jak tłoczą się, kłębią, wspinają na mury, wypełzają spod nawierzchni - ciemne, pozbawione twarzy, twory pragnące, by je usłyszano. Earle mówił, że pod miastem pochowano miliony mężczyzn i kobiet.

Umarli nie żyją.

To samo dotyczy martwych wspomnień, imion i przedmiotów.

Umarli nie żyją, chyba że ktoś nagle sobie o nich przypomni.

A życie to przecież magia.

Dlatego właśnie tu jesteśmy. Zmierzamy w stronę Fleet Street, a podążające za nami cienie dławią światło latarni. Jesteśmy tu, mijamy staromodne segmenty o murach z czarnej cegły i białych fasadach, grubych drewnianych drzwiach i oknach podzielonych na cztery części, a także spiczastych dachach ozdobionych starymi, dawno nieużywanymi kominami.

Mijamy zapomnianą zieleni, ukrytą na pełnych samochodów ulicach. Tu także są cienie, wspomnienia, których nikomu nie chce się już przechowywać: ci, którzy kładli kamienie, planowali rozkład ulic, malowali linie, pompowali wodę, dostarczali prąd i układali kanapki na półkach, a potem wyzionęli ducha, zostali pochowani i nakryły ich miejskie budynki, a także kości tych, którzy umarli niedawno, a ich rodziny zapłaciły za miejsca na cmentarzach w walucie mogącej umożliwić nabycie ciekawszych rzeczy, tłumiące woń trocin i szczyń. Z

dłoni płynie nam krew, głowa nas boli, a umarli powinni pozostać umarłymi. Umarli nie żyją, tak samo jak ja.

Zrozumieliśmy, co chciała nam powiedzieć Vera - to znaczy, jej malowana wersja.

Jeśli się teraz zatrzymamy, nadejdzie fala ciemności wzbierająca za naszymi plecami.

Złamie się pod swym ciężarem, opadnie na nas i wycisnie życie z naszej piersi. Nie przestanie naciskać, aż nie będziemy już w stanie oddychać, i to będzie koniec: do widzenia, dobranoc, żegnajcie, pa, pa. Idź cały czas naprzód, a nie będziesz musiał patrzeć, nie będziesz musiał się zatrzymywać i zauważać cegieł ułożonych rękami umarłych według planu stworzonego przez również nieżyjącego już nieznanego, wynajętego przez innego nieznanego, który zarabiał pieniądze na myślach nieznanym, jedzącymi posiłki przygotowane przez nieznanym, codziennie siedzącym w pociągu tuż obok innych nieznanym, ponieważ tak właśnie trzeba było podróżować, blisko siebie jak kochankowie, lecz zapewne z większą szczerością. Krew płynęła nam z ręki, a u stóp mieliśmy cienie. I oto była Fleet Street, smok o szalonym spojrzeniu, strzegący swej tarczy z dwoma krzyżami, płonącymi jaśniej niż czerwone światła uliczne. Patrzył na nas z wirującym chaosem w oczach, jakby on również widział bezdenną dziurę, w którą wpadli wszyscy umarli w mieście, i wiedział, jak głęboko pod ziemią spoczywają ich kości.

O postument, na którym spoczywał smok, ktoś się opierał. Nie mogłem się zatrzymać, nie teraz, a on

najwyraźniej nie miał ochoty iść za mną. Przyglądał mi się ze spokojem, popijając kawę z kubka. Przeszedłem tuż obok niego, zmierzając prosto do rzeki, ciągnąc za sobą ciemność, cienie, wspomnienia, malowane ślady stóp i szepczące głosy. Mężczyzna dopił wreszcie kawę, wrzucił kubek do kosza i ruszył za mną, trzymając ręce w kieszeniach.

Miał na sobie płaszcz, który już widziałem dzisiejszej nocy. Dogonił mnie, gdy przechodziłem obok kiosku, na wąskiej uliczce, gdzie paliło się za mało latarni, umieszczonych zbyt wysoko nad zbyt wąskim chodnikiem.

- Czego chcesz, do cholery? - warknąłem przez zaciśnięte zęby. - To spacer dla umarłych.

Krew z mojej zaciśniętej pięści skapywała na ulicę, znikając w szalonych pęknięciach w nawierzchni.

- Och, przecież umarłem - odparł. - Totalnie nie żyję.

- Nieprawda. Chyba że mówisz w sensie profetycznym.

- Nieee - odparł ostrożnie. - Nie. Tu chyba mamy do czynienia z przeszłością.

Posłuchaj, wypruł mi wnętrzności cień mojego byłego nauczyciela. Zostawił mnie na śmierć pod budką telefoniczną nad rzeką. Z moich płuc wydobyło się ostatnie tchnienie, serce uderzyło po raz ostatni, narządy wewnętrzne postanowiły zapoznać się ze świeżym powietrzem, a mózg przestał pracować. Medycyna uważa to za śmierć. Oglądałeś *Star Treka*?

- Pewnie, że oglądałem. Mógłbyś mi nie przeszkadzać? Jestem zajęty.

- Zastanawiałeś się nad tym interesem z teleportacją?

- Nie.

- A powinieneś. Wiązka wychodzi z próżni i rozpuszcza twoje ciało. Wszystko dosłownie znika. Twój mózg, twoje myśli. Zostaje tylko 01010101001 w komputerze. Jezu, jeśli nie jesteś z definicji tak martwy, że mogliby ci wybudować piramidę, to nie wiem, jak inaczej to nazwać. Pewnie, że na drugim końcu składają cię z powrotem do kupy, ale robi to maszyna, która równie dobrze mogłaby wytwarzać żeberka na obiad. Produkuje cię powoli jak kiełbasę wyciskaną z tuby. To nie jest życie. To... w najlepszym razie klonowanie.

Rekonstrukcja, zapewne nie do końca udana, istoty, która zakończyła życie, gdy wiązka ją rozpuściła. Teraz rozumiesz? Jestem trupem. Totalnie trafił mnie szlag.

Widziałem już z przodu rzekę. Na drugim brzegu paliły się niebieskie światła, w czarnej wartkiej wodzie odbijały się plamy o tysiącu różnych kolorów.

- Ale... - wychrypiałem, gdy światła za mną zgasły, a szalone oczy smoka zawirowały i na zawsze zniknęły pod ulicą. - Jeśli ty nie żyjesz, to kim ja jestem, do cholery?

Mężczyzna w moim starym płaszczu wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym zbytnio.

- A dlaczego? Umarli nie żyją.

- Ehe, słyszałem o tym. Ale czujesz się jak Matthew Swift, zgadza się?

- Tak.

- I pamiętasz to, co on pamiętał?

- Tak.

- Nienawidzisz, boisz się i pragniesz tego co on, żyjesz jak on, dziwisz się i krwawisz też jak on?

- Zgadza się we wszystkich punktach.

- Sam widzisz, do chuja. Może i nie żyję, ale ty jesteś doskonałą kopią mnie -
skonkludował.

Popatrzyłem na niego kącikiem oka.

Mówią, że człowiek wpadnie w obłąd, gdy zobaczy tył własnej głowy. Albo wszechświat eksploduje czy coś w tym rodzaju, z powodu paradoksu, fizyki i tak dalej. Nie widziałem tyłu jego głowy, ale miał moją twarz. Był Matthew Swiftem ze wszystkimi szczegółami, łącznie z krwią wsiąkającą mu w płaszcz oraz ranami na jego gardle i piersi, które stały się przyczyną śmierci. Oczy jednak miał brązowe, nie niebieskie, a jego prawej dłoni nie naznaczyła blizna.

- To już nie jest surrealistyczne, tylko po prostu chore - oznajmiłem. - Żądam zwrotu pieniędzy. Chcę wczytać save'a, zrestartować, zacząć od nowa bez tego psychopatycznego syfu!

- Tak myślisz? - Zachichotał. - To zobacz, co jest za tobą.

Nie miałem ochoty patrzeć.

Naprawdę nie miałem.

Ale jeśli nie można zaufać samemu sobie, nawet po śmierci, to w kim mamy pokładać wiarę?

Obejrzałem się.

- Ta-da! - zawołał Matthew, ten drugi Matthew, ten, który umarł i nie wrócił, bo przecież nie można wrócić, umarli nie żyją.

To był...

Słowo „smok” nie oddaje mu w pełni sprawiedliwości.

Sugeruje coś pokrytego łuskami, z cechami świadczącymi o gadzim pochodzeniu.

Skrzyżowanie dinozaura ze skrzydlatym miotaczem ognia. Pewnie, smoki mogą być różne, od miłych przytulank po straszliwe bestie, potrafiliśmy też sobie wyobrazić, że ten mógłby pasować do obu tych kategorii. Byłoby jednak nieuprzejmością próbować go przypisać do jakiejś konkretnej biologicznej klasy. Narzucać mu pojęcia tak nudne i prozaiczne jak góra, dół, boki, przód, tył, wewnątrz, zewnątrz, tu, wtedy, tam, teraz. Uniósłby wtedy czarną brew większą niż niebo nad okiem bardziej szalonym niż u tygrysa w gąszczach mroku, który kiedyś noc rozświetlił w jakimś przeżartym kwasem mózgu, i powiedziałby: „Ach, a więc jesteś aż tak mały”.

Powiedzieć, że składał się z cieni, znaczyłoby zasugerować, że światło albo ciemność miały szansę do niego zajrzeć. To prawda, że wyłonił się z nich, w takim samym sensie, w jakim diplotoki wyłoniły się kiedyś z żyjących w morzu ameb. Gdyby z nieba spadła na niego kometa, nie zmiażdżyłaby go. Po prostu rozpostarłby się tak szeroko po całej Ziemi, że wydawałoby się, że spadła na nią noc, przynosząc ze sobą wszystkie gwiazdy. Potem stworzenie otrząsnęłoby się porządnie, by strącić ze skóry gwiazdny pył, i wróciło do swego cudownego, gniewnego, szalonego kształtu.

Gdyby jego skrzydłom chciało się robić coś tak prozaicznego jak łopotanie, jeden ruch zająłby im sto lat. Gdyby jego język wykrył w powietrzu coś, czego warto by posmakować, jeden zgarniający mżawkę ruch zwałiby wszystkie kominy od Fleet Street aż po Piccadilly.

Gdyby raczył wgnieść łapę w ziemię, pociągi metra zatrzymałyby się gwałtownie, a stukot ich silników zniknąłby w łoskocie wypełniającym drżące od dotknięcia bestii tunele.

A gdyby znalazł jakiś powód - musiałby być cholernie ważny - by na ciebie spojrzeć, ujrzałbyś w jego oczach miliony tłoczących się duchów, wyciągających palce z czarnej źrenicy, by spróbować cię wessać w jej otchłań.

A teraz smok patrzył na nas.

My, którzy zrodziliśmy się z rozmów ludzkości, z tego, co zostawiono w przewodach, większych niż wszystkie miasta i śmiertelnicy, byliśmy niczym, maleńkimi, pozbawionymi znaczenia śladami stóp na kamieniach, po których co roku chodziło tysiąc milionów stóp, zaledwie mrówkami w kopcu. Jedno mgnienie oka, i nasze życie się skończy. Nasze głosy, kroki i wszystko, czym byliśmy, znikną w jego wielkim, czarnym brzuchu. A nawet jeśli nie znikniemy bez śladu, będziemy za mali, by przyciągnąć zainteresowanie kogokolwiek poza małym, pozbawionym znaczenia bibliotekarzem, zainteresowanym małymi, pozbawionymi znaczenia opowieściami dodającymi otuchy małym ludziom, którzy chcieli wierzyć, że bohaterowie mają znaczenie, bo w przeciwnym razie sami przerodzą się w zapomniane duchy, nim miasto zdąży strząsnąć z siebie dzień wczorajszy.

Smok patrzył na nas, a my na niego.

Nie chciałem wiedzieć.

Zamknąłem oczy.

Bestia nas połknęła, choć nie zechcieliśmy przypisać jej posiadania przewodu pokarmowego.

Część 3

Śmierć Miast

W której traci się żonę,

znajduje wroga, a czarnoksiężnik

sprzeciwia się okrucieństwu nieznajomych.

- Zajarasz? - zapytał.

- Słucham? - odparłem.

- Chcesz zajarać?

Zastanowiłem się nad tym pytaniem. Czuliśmy coś bliskiego pokusie. Ludzi ta czynność wyraźnie uspokajała. Mężczyzna trzymał paczkę w ręce, która wykroczyła już poza pojęcie brudu, osiągając absolutną czystość zbitej ziemi, pokrywającą skórę warstwą tak grubą, że trudno było sobie wyobrazić, by kiedykolwiek dało się ją zmyć.

Na paczce napisano: „PALENIE POWODUJE RAKA”.

- Nie, dziękuję - odparłem.

Wzruszył ramionami, wsunął papierosa do ust i zapalił go jaskrawopomarańczową plastikową zapalniczką. Zaciągnął się głęboko, a potem zaczął kasłać. Wypuścił powietrze z płuc.

- Jezu - wychrypiał. - Pierdolone fajki.

Spróbowałem się zorientować w sytuacji.

Leżałem w rynsztoku.

Zdarza się.

Rynsztok znajdował się na moście.

Po lewej stronie miałem Tower Bridge, a po prawej Southwark.

U stóp siedzącego obok faceta stała moja otwarta torba. Przetrzęsnałem jej zawartość.

Mój portfel leżał obok. Sprawdziłem go, ale się rozczarowałem. A teraz chciał mnie poczęstować papierosem. Jego twarz była zbyt bezkrwista, by mogła na niej wyrosnąć broda. Oczy zapadły się w

miękkich tkankach pokrywających przodomózgowie, a szyja była parą długich ścięgien na patyku. Jakiś czas temu, niezbyt dawno, eksperymentował z prochami, a one w zamian eksperymentowały z nim. Usiadłem powoli. Nie bolało mnie aż tak bardzo, jak się spodziewałem. Nawet ręka, napiętnowana dwoma czerwonymi krzyżami, nie dolegała mi tak, jak powinna. Spojrzałem na niebo. Spoza czarnych chmur i pomarańczowej łuny wyglądało kilka nieśmiałych gwiazd. Widziałem też migające światła dwóch samolotów.

Nie umarłem.

Nadal żyłem.

Znowu.

Coś się zmieniło.

Ale nie potrafiłem pokazać palcem co...

...ale nawet my wiedzieliśmy, że pożarcie przez metafizycznego, metamagicznego i meta-wiele-
innych-rzeczy smoka podczas półfilozoficznego narkotykowego odjazdu, jakiego wymaga się od
Nocnych Burmistrzów, musiało coś zmienić.

- Muszę znaleźć chłopaka - odezwałem się.

Facet z papierosem zachichotał.

- Jeśli to cię kręci.

- Mówię poważnie.

- Jasne. Widać, że poważny z ciebie facio.

Po drugiej stronie mostu przemknęła taksówka. Na jego końcu przegubowy autobus minął przystanek. Wczołgałem się na chodnik, gnany myślą o zapale do wyścigów okazywanym przez nocne autobusy.

- Gdzie mnie znalazłeś? - zapytałem brudnego mężczyznę.

- Tutaj - odpowiedział. - Leżałeś w rynsztoku i gapiłeś się w gwiazdy.

- A jak się tu znalazłem?

- Nie mam pojęcia. To nie mój interes.

- Nie zauważyłeś nic... osobliwego.

- Ni chuja.

- A więc nie.

- Hej, masz gotówkę?

- Nie. Przykro mi.

- Zegarek, karty kredytowe, no wiesz?

- Nie mam nic.

- Nie gadaj! Musisz coś mieć. No wiesz, potrzebuję forsy. Tylko trochę.

Podniosłem się ciężko i spojrzałem na wschód. Sądząc po wyglądzie nieba, minęło kilka dobrych godzin. Słońce wszędzie między żółtoniebieskimi wieżami Tower Bridge, jego promienie wespną się na zaporę na Tamizie, a potem padną na białą kopułę Millennium Dome i wreszcie dotrą do miejsca, w którym stałem.

- Mógłbym cię załatwić - oznajmił mężczyzna z papierosem. - Mógłbym cię załatwić, a potem zabrać ci buty.

Nie powiedział tego agresywnym tonem, ale na pewno nie żartował.

Odwróciliśmy się do niego bokiem.

- Nie mógłbyś - zaprzeczyliśmy z westchnieniem.

- Nie jesteś twardy.

- Jasne.

- Mam kumpli, którzy to robili, wiesz? Znają różne miejsca, gdzie można wrzucić ciało i nikt nigdy nie znajdzie nic gęstszego niż zupa. Piątaka? Albo chociaż funta?

- To nie takie proste - odparłem. Pochyliłem się po torbę, włożyłem jej zawartość do środka, a portfel wsunąłem do kieszeni. Nie sprawdzałem, czy czegoś mi nie zabrał, bo wiedziałem, że nie było tam nic wartościowego.

- Kurwa, załatwię cię! - zawołał za mną, nie ruszając się ze swego miejsca na brzegu rynsztoka. Oddaliłem się spokojnie.

* * *

Zimowy wschód słońca w centrum miasta. Cicha szarość wzbierająca między ulicami, latarnie działające jeszcze na krawędzi wygaśnięcia z leciutkim poczuciem niepokoju, niepewności, czy to zmierzch czy świt, i czy słońcu rzeczywiście się uda. Światło przynosiło ze sobą powolną wibrację, subtelną, ale nasilającą się z każdą chwilą. Jedyne autobusy na ulicy zmieniały się w autobus i taksówkę; dwa autobusy, taksówkę i rower; trzy autobusy, taksówkę, dwa rowery i furgonetkę dostawczą. Ruch uliczny gęstniał jak owsianka, gdy wlewało się w niego gorące mleko miasta.

Owo powolne przebudzenie ekscytowało nas, jak witający świt ptasi chór ekscytuje druidów czających się na wsi. Tutaj na chór składał się odgłos gaźników, pisk biletów wkładanych do czytników, brzęk hamulców pocztowej furgonetki, furkot wydających pieniądze bankomatów oraz łoskot pociągów metra. Wyrywał nas ze snu, budził do życia.

Serce biło nam w rytm pracy silnika piętrowego autobusu, nasz oddech dostrajał się do powiewów buchających powoli z tuneli metra, stopy poruszały się w rytm kroków bankowca, szybkiego *stuk, stuk, stuk* skórzanych podeszew butów pracownika londyńskiego City. Z tak wielką łatwością, bez żadnych przeszkód, mógłbym zwrócić palce ku jednokierunkowym ulicom, pochwycić narastające w nich życie, uwięzić je niczym wodę pod tamą moich rąk, a potem wzbić się w powietrze dzięki różnicy ciśnień między stanem obecnym a tym sprzed wschodu słońca.

Szedłem przed siebie.

London Bridge, Monument, Bank, King William Street, Cheapside, Guildhall, Aldermanbury Square.

Harlun i Phelps.

Biura były otwarte, w korytarzach budziło się życie.

Ochroniarz przepuścił mnie skinieniem dłoni.

Wjechałem windą na najwyższe piętro, miasto opadało w dół pod moimi stopami, tylko bogowie i wielcy ludzie mogliby się czuć tak ogromni, spoglądając z góry na coś niezmiernie małego. Ruszyłem korytarzem do gabinetu zaprojektowanego po to, by przekonać gości, że muszą zapracować na prawo otwierania ust w tym miejscu, i niech mnie szlag, jeśli pan Earle nadal nie pozostawał na stanowisku. Siedział za biurkiem, na którym ustawiono wiklinową tackę z jogurtem, dżemem, croissantami, tostami, słodkimi bułeczkami i gorącą kawą. Popijał kawę ze stalowego kubka, zerkając na rozłożoną na kolanach gazetę.

Gdy wszedłem do środka, uniósł wzrok. Przez krótką chwilę sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Pan Swift?

- Ta-da! - odparłem słabym głosem.

- Pan nadal...

- Nadal żyję. To cały ja. Pokazuję te sztuczki na wszystkich przyjęciach. Ludzie są zachwyceni.

- Czy...

- Pokonałem trasę, zaliczyłem rozmowy. Spacer ścieżką wspomnień, w stylu Quentina Tarantino. Gdzie jest chłopak?

- Hmm...

- Chłopak. Chłopak. Nie było mnie całą noc, a kiedy mi mówią, że Wielki Brat nigdy nie śpi, z całą pewnością w to wierzę. Znaleźliście chłopaka?

- W gruncie rzeczy...

- Tak?

- Bardzo możliwe, że znaleźliśmy.

- Panie Earle, mam dobre przeczucia - oznajmiłem z radosnym uśmiechem.

* * *

Kamery uliczne.

Ktoś, zapewne jakiś dziennikarz, napisał, że w Wielkiej Brytanii jedna przypada na dwunastu obywateli.

Innymi słowy, Wielki Brat z łatwością mógłby na ciebie patrzeć, gdyby tylko miał

jakiś dobry powód. Rzecz w tym, że on, czy może ono, a najlepiej oni, mogą cię śledzić za pośrednictwem bankomatów, karty Oyster, komórki, kamer ulicznych, karty lojalnościowej, numerów rejestracyjnych samochodu, kupowanych i sprzedawanych przez ciebie towarów, oglądanych programów i odbywanych rozmów, a choć uczciwi ludzie nie mają się czego obawiać - dlaczego ich życie mieliby oglądać i osądzać nieznajomi? - problem pojawia się wtedy, gdy nikt nie wie, na czym mógłby polegać ten dobry powód. Ani nawet, kto o tym decyduje.

Czasami dobrze jest być oficjalnie uznanym za zmarłego.

Oto jak się miały sprawy:

Mniej więcej dobieg po tym, jak Nair zginął i zadzwonił telefon, pod Raleigh Court zaparkowała niebieska furgonetka o numerze rejestracyjnym LS06 BDL. Trzej wynajęci faceci o niesympatycznych gębach i niestabilnych strukturach morficznych, znajomi kogoś, kto znał człowieka zwanego Bum Bumem, wysiedli z auta, poszli pod numer 53 i wyciągnęli chłopaka z mieszkania. Na kilku sekundach zaśniętego filmu, który udało się zdobyć Rajcom, Mo nie wyglądał za dobrze. Szczerze mówiąc, w ogóle nie wyglądał na żywego. Ale gdyby nie żył, po co zadawaliby sobie trud?

Załadowali go do furgonetki i odjechali na południe.

Inne kamery zarejestrowały furgonetkę podczas wjazdu do płatnej strefy o czwartej nad ranem. Nie pełniły żadnej funkcji, ponieważ o tej porze nikt nie musi płacić ośmiu funtów za przywilej wjazdu, ale nadal działały. A nawet gdyby nie działały, Rajcy mieli swoje metody. Nie chciałem wiedzieć jakie, przekonałem się, że w ogóle mnie to nie obchodzi.

Po jakiejś półgodzinie furgonetka opuściła płatną strefę, zmierzając na południe.

Widziano ją przelotnie pod stacją Elephant and Castle, a także potem, gdy okrążyła Clapham Common. Nie dziwiłem się, że poszukiwania trwały półtorej doby - za dużo kamer, za dużo nagrań, za dużo obiektów do obserwacji. Żaden pojedynczy umysł nie byłby w stanie tego wszystkiego ogarnąć. Kopiec wzniesiony na milionie martwych kopców zbudowanych przez sto milionów umarłych mrówek na zgniecionych szkieletach ich poprzedniczek. Któż zdołałby wytropić w nim jedną furgonetkę?

- Wszystko to bardzo interesujące, ale dokąd w końcu dojechała? - zapytałem.

- To się panu nie spodoba - ostrzegł Earle.

- Niech pan strzela.

- Do Morden.

- Morden?

- Tak. Morden.

Koniec trasy. Nie lubiliśmy Morden.

- A gdzie dokładnie?

- To się panu nie spodoba.

- Już się tego domyśliłem. Gdzie?

Powiedział mi.

Faktycznie mi się nie spodobało.

* * *

Morden.

Zdarzają się miejsca tak odległe, zapomniane, nieprawdopodobne i dziwaczne, że są zupełnie jak...

...no cóż...

...jak Morden...

...i nie ma po co tam jeździć.

Pewna moja znajoma ujęła to kiedyś w ten sposób: „Jeden facet wsiada do pociągu jadącego do Isleworth, a drugi jedzie do Cardiff. Możesz się założyć, że ten, który jedzie do Walii, dotrze na miejsce szybciej”.

To inny przykład tej samej zasady: pociąg zmierzający do Ipswich dotrze na miejsce szybciej niż

samochód wyruszający o tej samej porze z Liverpool Street dojedzie do najmroczniejszych zakątków Morden.

Chcąc poprawić swe szanse, pojechałem Northern Line ze stacji Bank, mijając niezwykle pustkowiec stacji Monument, Borough, Elephant and Castle, Kennington, Oval, Tooting Bec, Colliers Wood i South Wimbledon, aż wreszcie dotarłem do położonego na samym dnie mapy Morden.

Koniec trasy.

Maszynista nawet nam to powiedział.

- Koniec trasy. Wszyscy wysiadać.

* * *

Oda czekała na mnie na szczycie schodów. Przez ramię przerzuciła sobie dużą sportową torbę.

- Jak poszła inauguracja? - zapytała, gdy minąłem barierkę.

- Nie najgorzej. Czy to znaczy, że przesunąłem się teraz w górę listy przeznaczonych do odstrzału?

- Są na ten temat różne zdania. Z jednej strony Nocny Burmistrz jest magicznym jestestwem, którego samo istnienie stanowi zniewagę dla dzieł Nieba. Z drugiej strony, nie potrafimy jeszcze zabić tytułu, choć ci, którzy go noszą, giną jak wszyscy ludzie. Dlatego jedna szkoła myślenia głosi, że powinniśmy pozwolić ci żyć, by wiedzieć, kto jest obecnie Burmistrzem i jak można go w razie potrzeby załatwić.

- Rewelacja.

- Cieszysz się, że mnie widzisz?

- Jestem zachwycony.

- Dokąd idziemy?

- Rajcy odkryli, że niebieska furgonetka dotarła do miejsca położonego niedaleko stąd.

- Dlaczego Morden?

- Dlatego że to koniec trasy.

- Czy to coś znaczy?

- Być może. Chodź.

* * *

Przedmieście. Nędzne przedmieście, ściślej mówiąc. Wystarczająco blisko środka miasta, by

odstraszyć bogatych emerytów marzących o wiejskim rajku w sąsiedztwie dogodnego supermarketu, ale wystarczająco daleko, by zniechęcić zamożnych ludzi dojeżdżających do pracy w centrum miasta. Morden było zapomnianą dzielnicą i mieszkali tu ci, o których nie pamiętano. Przy ulicach stały białe bungalowy; wille bliźniaki w połowie wybudowane z drewna, o oknach z szybami w ołowianych ramach i wypaczonych szybach z pseudoantycznego szkła w każdych drzwiach. A co kilkaset jardów rząd podupadłych sklepów, między innymi frytkarnia, punkt przyjmowania zakładów, kiosk i pralnia samoobsługowa. Przetrwało też kilka nieprawdopodobnych pamiątek z dawnych czasów: tu fronton małego zakładu zegarmistrzowskiego, tam otwarte drzwi punktu naprawy rowerów, po drugiej stronie ulicy poczta, na której sprzedawano piłki plażowe, plastikowe zabawki i karty urodzinowe, a jeśli ktoś miał szczęście, mógł również dostać znaczek na list ekspresowy.

Wszystko to mogłoby się znajdować w dowolnym miasteczku. Tylko obecność metra oraz stara sala koncertowa przerobiona na salon bingo pozwalały Morden podawać się za część Londynu.

Szliśmy tutejszymi ulicami, wzdłuż trasy, którą opisał mi Earle. Liczyłem kamery uliczne, wyobrażając sobie posuwającą się tymi sennymi ulicami niebieską furgonetkę przybyłą z Kilburn. Niebo zasnuły szare chmury, wiatr niósł zapach nadciągającego deszczu, w piekarniach sprzedawano podejrzaną krokiety z mięsem. Wszędzie panował spokój, dzisiaj nie było ruchu w interesie.

- Nie mamy wsparcia? - zapytała Oda.

- Spotkają się z nami na miejscu.

- To znaczy gdzie?

- Niedaleko stąd.

- Nie mam cierpliwości do tajemnic, czarnoksiężnika. Ludzie zachowują się tajemniczo, gdy chcą się popisać, że wiedzą coś, czego inni nie wiedzą.

Westchnąłem, ale Oda miała trochę racji.

- Ludzie Earle'a ustalili, że furgonetka zatrzymała się w miejscu położonym niedaleko stąd. Myślimy, że tam właśnie jest Mo.

- Czy ten chłopak nadal jest ważny?

- Tak.

- Dla kogo?

- Dla mnie.

- Tak też myślałam.

Dalej szliśmy przed siebie.

- I co wczoraj widziałeś?
- Słucham?
- Podobno Nocni Burmistrze widzą różne rzeczy. Przydałoby się nam wiedzieć, co zobaczyłeś.
- Zakon to ostatni ludzie, którym bym o tym opowiedział.
- Ale coś widziałeś, prawda?
- Tak.
- Opowiesz mi o tym?
- A czy jest jakaś różnica?
- Nie rozumiem.
- Jeśli opowiem tobie, to czy nie opowiem też Zakonowi?

Zastanawiała się nad tym przez połowę długości ulicy. Mijaliśmy puszkę na śmieci, zaparkowane samochody, matki z dziećmi w wózkach, czerwoną skrzynkę pocztową, gołębie czmychające ze środka ulicy, gdy przejeżdżał nią samochód nauki jazdy.

- Pewnego dnia cię zabiję - oznajmiła wreszcie.
- Ehe. Wiem o tym.
- Za to, że jesteś czarnoksiężnikiem.
- Ehe.
- A pewnego dnia ty możesz być zmuszony zabić mnie.
- Ta myśl również mi się nasunęła.
- Dlatego że jestem członkiem Zakonu.
- W rzeczy samej. Myślę, że ty zapewne strzelisz pierwsza. Ale co, jeśli chybisz?
- To nie ma nic wspólnego z tym, że ja jestem Oda, a ty jesteś Matthew. Tak już po prostu jest.
- Tak, wiem. - Przeszedłem jeszcze kawałek. - Widziałem smoka.
- To brzmi tandetnie.
- Nie takiego, jak w *Parku jurajskim*. Widziałem coś, co wyglądało jak smok, bo gdybym ujrzał jego prawdziwy kształt, mój umysł nie byłby w stanie go ogarnąć. Jeśli czegoś nie pojmujemy... mózg

stara się nadać temu kształt zrozumiały dla nas, uprościć to, żeby ta część nas, która myśli słowami, nie instynktami, miała szansę to ogarnąć. To nie był smok.

- W porządku.

- To było wszystko. Góra, dół, wewnątrz, zewnątrz, przód, tył, czas, szerokość, długość, głębokość, kamień, cegła, liść, rura, żelazo, stal, gaz, oddech, ziemia, pył, strach, gniew, obłęd, furia, ból, życie...

- Gadasz od rzeczy.

- To było miasto. Zbyt wielkie i dzikie, by można je było kiedykolwiek zrozumieć.

Dlatego muszę nazwać je smokiem i mieć nadzieję, że mózg ci nie wypłynie na tę myśl.

- Ehe.

- Odo?

- Słucham?

- Ja też mam powód, by nie mówić ci wszystkiego.

Rozciągnęła usta w uśmiechu. Na jej twarzy wyglądał on tak dziwnie i niezwykle, że w pierwszej chwili nie zrozumieliśmy, co widzimy. Dało się to jednak wyczuć również w jej głosie. Na chwilę, na krótką chwilę, psychopatyczna suka zniknęła, ustępując miejsca kobiecie noszącej w kieszeni broń.

- Matthew - rzekła - gdybyś nie był już po trzykroć potępiony i nadziany na rożen, ta próba uczyniłaby cię niemal ludzkim.

Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Nic nie przychodziło nam do głowy. Nagle uświadomiliśmy sobie, że wypełniające nam płuca powietrze wysliznęło się na zewnątrz i język nie nadał mu właściwie żadnego rozpoznawalnego kształtu.

Nadmiar myślenia prowadzi do kłopotów.

Zastosowaliśmy swe uniwersalne rozwiązanie.

Szliśmy przed siebie, nie odzywając się ani słowem.

* * *

Wreszcie dotarliśmy do celu.

Miejsce, którego szukaliśmy, wyłoniło się zza rogu, oznajmiając z ogłuszającą pewnością siebie: „*Voilà!* Tu jestem i niech mnie szlag, jeśli potraficie mnie okrążyć!”

Usytuowano je między dwoma torami kolejowymi, biegnącymi na południe, ku jakimś bardziej ekscytującym i mniej cuchnącym okolicom, a na płocie z siatki ktoś zawiesił tablicę, na której prostymi literami namalowano:

!!!SEAL - HANDEL ZŁOMEM, ODPADKAMI I SUROWCAMI

WTÓRNYMI!!!

!!KTO NIE MARNUJE, TEMU NIE BRAKUJE!!

CENY BEZ VAT-U.

- Jeśli to ma być przejaw twojego poczucia humoru... - zaczęła Oda, spoglądając na płot.

- Mówisz, jakby to była jakaś choroba. Nie, to nie ma być żart. Tu właśnie dojechała furgonetka. Musi być gdzieś w środku.

Wskazałem głową na żelazną bramę.

Za nią, daleko za nią, ciągnęły się bez końca piętrzące się ku niebu sterty odpadków.

Widziało się tam wszelkie możliwe rodzaje rozkładu, jakby żelazo i stal mogły, po dziesięciu tysiącach lat składowania, przerodzić się w gęstą, czarną ropę, gotową do wydobycia. Martwe samochody, rozbite i zmiażdżone w imadłach leniwych śpiących dźwigów, martwe pralki, martwe lodówki, połamane rury, rozlane na ziemię albo wypuszczone w powietrze chemikalia, rozbite wanny, stare, połamane wózki, rozerwane wodociągi, zniszczone silniki, z których wyjęto świece, kawałki powyginanej, poczerniałej od ognia sklejki, obrócone w pył

cegły zwalone na podarte torby na śmieci, kawałki potłuczonego szkła i plastiku, biały polistyren wysypany na beton, kartonowe pudełka, w których rosły chwasty. Wszystko to ciągnęło się z pozoru milami, wciskając się w każdą przestrzeń między torami kolejowymi.

Za płotem z siatki umieszczono niewielką budkę, w której dowożący towar mogli się napić herbaty.

- Gdzie jest wsparcie? - zapytała Oda.

Rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu Rajców. Nigdzie ich nie było.

- Nie mam pojęcia.

- Moglibyśmy...

- Widziałem sporo amerykańskich filmów i wiem, co się dzieje z ludźmi, którzy ruszają do akcji bez wsparcia.

- Jack Bauer sobie radzi.

- Oglądałaś *24 godziny*? Czy je również potępiasz?

Wydeła usta.

- Mamy forum poświęcone dyskusji na te tematy. Jak dotąd nie.

- Czy właśnie dlatego zostałaś psychopatyczną suką noszącą broń? - zapytałem ostrożnie. - Oglądałaś za dużo thrillerów?

- Myślę, że oboje wiemy, że to nieprawda, i oboje wolelibyśmy uniknąć dalszej dyskusji na temat.

Tym razem się nie uśmiechnęła. Być może nam się tylko wydawało.

Czekaliśmy. Zaczął padać deszcz. Tak z reguły się dzieje, gdy człowiek przebywa na dworze i nie jest zbyt zajęty, by zwracać uwagę na pogodę.

Oprócz karabinu i miecza Oda miała w sportowej torbie również parasol. Nie zaproponowała, że się nim ze mną podzieli.

Zadzwoiłem do Earle'a.

- H-H-Harlan i...

- Niech pan zapyta Earle'a, kiedy nadjedzie to sławetne wsparcie.

Młody jąkała zapytał.

- Swift? - odezwał się Earle. - Co tu jest grane? Powinni się zjawić przed godziną.

Mówił tak głośno, że stojąca obok Oda wszystko słyszała. Popatrzyła na mnie. A ja na nią.

Potem oboje spojrzeliśmy na złomowisko.

- Earle - rzekłem - chcę, żeby pan wiedział, że jeśli zginę, wszystkie telefony wykrzyczą zemstę, gdy będzie pan spał.

Przerwałem połączenie, przekonany, że sam potrafi rozwiązać ten problem.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Oda.

- Czy potępiasz *Obcego*?

- Nie.

- A dlaczego?

- To tylko film.

Wskazałem palcem na złomowisko, coraz słabiej widoczne w padającym deszczu.

Czułem się brudny od samego patrzenia na nie. Nie pomagała mi też woda wsiąkająca w ubranie na intensywnym londyńskim deszczu.

- Załóżmy hipotetycznie, że wsparcie tu było, weszło do środka i wszystko skończyło się źle. Największym błędem, jaki popełnili bohaterowie *Obcego*...

- Było ruszenie w pościg za potworem.

- Tak.

- Mówisz, że powinniśmy sobie pójść?

- W tym właśnie rzecz. Niebieska furgonetka przywiozła tu chłopaka, który może być kluczem do całej tej pieprzonej farsy. Już stąd nie wyjechała. Jeśli pójdziemy za nią...

- Chłopak zapewne nie żyje.

- W takim razie, czemu nie zabili go w Raleigh Court?

- Chcesz, żeby żył.

- Tak! Pewnie, że chcę! Z bardzo wielu różnych powodów i tylko jeden z nich jest prywatny. A jeśli rzeczywiście żyje, a my sobie stąd pójdziemy, będziemy się czuć bardzo głupio, gdy wszystko trafi szlag.

- Chcesz iść po niego? Teraz?

- Tak.

- Na złomowisko?

- Tak.

- Wiesz co? Nigdy nie uważałam cię za głupca.

- Dziękuję. Chyba.

- Za tchórza tak, ale nie za głupca.

- W takim razie zaczekaj tutaj. Zaoszczędzisz na kulach.

Sięgnęła z westchnieniem do torby i wyciągnęła z niej karabin, wielki, czarny i brzydki.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Wiem, dokąd pójdzie moja dusza - odparła ostro. - Nie sądzę, by to przedsięwzięcie pomogło

twojej sprawie.

Poczułem się niemal wzruszony myślą, że moja dusza ma sprawę.

Weszliśmy na teren złomowiska.

Deszcz nasilał się z każdą chwilą.

* * *

W budce przy bramie nie było nikogo. Znalazłem tam czajnik, wystygły jak trup.

Przerażenie z nas odpłynęło, przechodząc w spokój i zimną furię, jakby wszystkie receptory zmysłowe były tak przeciążone, że cały system zdecydował się na diagnostyczny restart, nie potrafiąc uwierzyć, że wszystko to są informacje, które ma przetworzyć. Czyniło to ruchy naszych dłoni i stóp czymś odległym, co nas nie dotyczyło. Byliśmy tylko świadkami, obserwowaliśmy kogoś innego, nic więcej.

Deszcz tworzył na nierównej nawierzchni szaroczarne kałuże. Kilka zakrętów i wszystko zniknęło za wielkimi stertami odpadków, ciągnącymi się bez końca kurhanami martwego sprzętu, sięgającego wyżej niż trzech koszykarzy z talentem do akrobatyki, stojących jeden drugiemu na ramionach. Tory kolejowe szybko zniknęły za chwiejnymi piramidami połamanego metalu, powyginanego plastiku, zardzewiałego żelastwa, nadgryzionej przez korozję stali, gnijącej wyściółki i pociętego na kawałki styropianu -

pozostałości po wygodnym życiu porzuconych tu z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów. Deszcz przydawał temu niewielkiego poczucia realizmu. Woda spływała mi po karku, dotykała moich pleców zimnymi jak lód palcami, przesączała się przez buty - nadal nie moje, nadal za duże - aż swędziały mnie palce u nóg. Wsadziłem ręce do kieszeni, wcisnąłem podbródek w kołnierz i szedłem przed siebie, przyglądając się każdemu stosowi porzuconych, bezużytecznych przedmiotów w poszukiwaniu czegoś bardziej miękkiego niż metal.

Nie czułem żadnego zapachu, deszcz zmył wszystkie swym ciężkim chłodem. Można było wyczuć smak soli i rozlanych chemikaliów, starego środka odkażającego oraz zawartości potłuczonych butelek, z których nigdy nie powinno się zdejmować zabezpieczenia. Dwa kolejne zakręty w labiryncie i dźwięki ulicy zostały daleko za nami - stukot przejeżdżającego pociągu, hamulce piszczące jak oszałała czarownica. Pośliznąłem się na stosie podartych worków budowlanych. Do ich wewnętrznej powierzchni nadal przylegał piasek. Minałem stertę potłuczonego szkła bezpiecznego - tak bardzo bezpiecznego, że żaden z milionów zielonkawych odłamków nie miał serca odpaść od towarzyszy. Tłusty czarnobrazowy szczur umknął ku nadpalonej, rozwalonej sofie, z której dawno już zniknęły poduszki. Popędziłem za nim. Pochylałem się ku ziemi, wyciągając ręce i wzywając go łagodnym tonem.

- Chodź do mnie, chodź do mnie...

Szczur popatrzył na mnie niepewnie, zawahał się u wejścia do dziury wygryzionej w materacu

skolonizowanym przez cienką warstewkę pomarańczowego grzyba. Potem ruszył

powoli w moją stronę. Jego podłużne ciało lśniło w kroplach deszczu, a różowe łapki ślizgały się w kałużach. Oda patrzyła na nas z niesmakiem, ale nie odezwała się ani słowem.

Pochyliliśmy się, wzięliśmy zwierzątko w ręce, czując zapach mułu i zgnilizny przesycający jego futerko, zobaczyliśmy ostre ząbki w małym pyszczku, czuliśmy, jak ostre pazurki tańczą po wewnętrznej powierzchni naszej dłoni. W wielkim mieście nikt nie wie więcej niż gołębie i szczury.

Głaskaliśmy gryzonia po grzbiecie, nasze palce ślizgały się po ubłoconym futerku, szeptaaliśmy mu ciche błagania i uprzejme rozkazy. Potem pochyliśmy się i wypuściliśmy zwierzątko. Gdy ruszyło krętą trasą między coraz większymi kałużami, podążyliśmy za nim.

Właziło na stare wiktoriańskie rury wydobyte z jakiegoś zapomnianego zakątka kanałów, miało wazy i dzbanki potłuczone na kilkanaście małych kawałków, setki szczelin, w których trawa zdołała jakoś przebić się przez szary beton, połączyć cuchnącej gliniastej gleby, gdzie próbowała się zakorzenić budleja - fioletowe kwiatki o mocnych brązowych korzeniach.

Niemalże musiałem biec, by za nim nadążyć. Minęliśmy zniszczony kadłub jachtu z wielkim rozdarciem w dnie; szczątki rozbitego samochodu o masce prawie że wciśniętej w kabinę; fragmenty żeliwnego stelażu, fotel na biegunach, z którego wypadały śruby.

- Czarnoksiężniku... - wyszeptała Oda głosem pełnym niecierpliwości.

Obejrzałem się na nią, a potem znowu popatrzyłem przed siebie. Nie widziałem nic poza stertami rupieci przesłaniającymi niebo na podobieństwo metalowych wzgórz.

- Już niedaleko - mruknąłem, w równym stopniu próbując uspokoić samego siebie jak i ją. - Już niedaleko...

Czułem ostrą, intensywną woń kanapki gnijącej na deszczu, widziałem przez oczy szczura, czułem ruchy jego wąsików, jakby wyrastały z mojej twarzy, a tam gniło coś innego, to był odmienny rodzaj rozkładu, który nie pachniał jaskrawopomarańczową rdzą i połamanym metalem. Przypomniałem sobie lisa z Kilburn. Pan Pinner nie miał zapachu.

Stare garnki o białych od wapiennych osadów wnętrzach, połowa nasady kominowej, z której zaczynała już wyglądać budleja, połamana antena telewizyjna, nadal oblepiona gołębimi odchodami, antena satelitarna zwracająca ku niebu wypełniony wodą talerz. Nocą nadejdzie mróz, wszystko pokryje lód, a oddech stanie się białym dymem.

Nagle szczur się zatrzymał.

Popatrzył na coś, a potem zerknął na mnie i wbiegł do tunelu tylko o cal szerszego niż jego ciało, biegnącego pod wieżą zwalonych na kupę śmieci. W pierwszej chwili nie mogliśmy zauważyć tego, co spostrzegł, widzieliśmy tylko zardzewiałe i nadpalone odpadki.

Potem Oda musnęła naszą rękę, tylko na sekundę. Zaskoczeni dotykem, zerknęliśmy na nią, a potem

tam, gdzie padało jej spojrzenie.

Pośród śmieci coś leżało.

To był but. Do niedawna zapewne modny. Wielkie rozmiary, białe, złote i niebieskie barwy oraz wszystkie znaki świadczące, że właściciel jest kimś, kto zna się na rzeczy i wie, że o stopy trzeba dbać. Ale to było kiedyś. Teraz butgnił, jak wszystko w tym miejscu. Splamiły go ziemia i woda, w miękkiej wyściółce pojawiły się rozdarcia, a ociekające wodą brązowe sznurowadła zwisały luźno. But wystawał ze sterty zniszczonej maszynerii pod dziwnym kątem, jakby ktoś zatknął go tam na znak wyzwania. Przyjrzałem się uważniej. Z buta coś się wysuwało. To mogła być skarpetka.

- O Boże - wyszeptała Oda.

W skarpetce coś było.

Być może kostka.

- Pomóż mi! - warknąłem.

Wdrapaliśmy się na pewną wysokość i zaczęliśmy ściągać ze sterty kolejne elementy.

Zardzewiałe ramy rowerowe, zmiażdżone puszki po napojach, potłuczone butelki, coś składającego się tylko z kości i sierści, co mogło kiedyś być zdechłym kotem włożonym do tekturowego pudełka, potłuczoną lampę, radio o wyprutych wnętrzościach, pulpit sterowniczy ze zwisającymi przewodami, szuflady z jakiejś starej komody, połamane na liniach, wzdłuż których powinny się otwierać. Kostka przerodziła się w nogę, niebieskie pocięte dżinsy nabrały odcienia czarnej rdzy, noga łączyła się z biodrem pod niewłaściwym kątem, odchylała się za daleko na zewnątrz, biodro zaś częściowo okrywał przemoczony podarty T-shirt. Pod koszulką kryła się pierś, w którą jakiś czas temu wbiła się połowa miotły, wystarczająco głęboko, by przyszpilić ciało do podłoża. Odrzuciliśmy miotłę na bok, czując, że wielka sterta rozkładających się odpadków zakołysała się pod nami z głośnym stukiem, gdy usunięto jej kolejny filar. Znaleźliśmy ręce, dłonie i palce. Były czarne, ale to nie była normalna czerń. Nie przypominała ciemnoczekoladowej skóry Ody, którą głupi śmiertelnicy zwali czarną, lecz była czarna jak ocean bezgwiezdną nocą, jak węgiel, jak śmierć. Jak atrament. Widziałem czarną krew płynącą w naczyniach pod skórą, nadal się poruszającą, nadal żywą. Wiedzieliśmy z całą pewnością, że jest czarna, czarna jak atrament, czarna, bo jest atramentem.

Na twarz spadła mu trzepaczka, w gardło i zuchwę wbiły się połamane druty. Kiedy ją zdejmowaliśmy, metal pobrzękiwał radośnie. Z maleńkich ranek płynął atrament. Białka jego oczu zabarwił ten sam płyn, który wypełniał żyły, wargi miały kolor starych siniaków, włosy wychodziły garściami, na szarej czaszce zostało ich tylko trochę. Żył jeszcze, nadal krwawił, charczał, drżał z zimna, oddychał, wybierzcie, co chcecie, wszystkie te objawy zmierzały w tym samym kierunku, ścigając się o pierwsze miejsce na mecie.

- Czy to... - wyszeptała Oda.

- A jak ci się zdaje?

Pociągnąłem go za rękę. Był bezwładny jak marionetka, z której usunięto wypełniacz.

Oda wzięła go za drugą rękę, przerzuciła ją sobie przez ramię i wspólnymi siłami wywlekliśmy go na wierzch. W plecy, tuż obok kręgosłupa, wbił mu się zardzewiały śrubokręt. Wyglądał jak jakaś odrażająca modna ozdoba. Oda go wyrwała. Rozległo się głośnie mlaśnięcie martwych mięśni, a z dziur popłynął czarny atrament, spływając ku jego brudnym spodniom. Chłopak śmierdział moczem i gównem, zwisał nam asymetrycznie w ramionach, kiedy go ciągnęliśmy. Nie poruszał nogami, nie unosił głowy, nic w nim nie sugerowało życia poza powolnym pulsem czarnej krwi. Odwróciłem się, poszukując drogi wyjścia, starałem się ją odnaleźć dzięki odległemu stukotowi pociągów. Po chwili wybrałem kierunek. Wlokłem się, szedłem, biegłem, potykałem się, lałem, uparcie zmierzając w stronę wyjścia.

- Pogotowie? - wyszeptała Oda.

- Nic już go nie uratuje.

- A... tamten szpital?

- Być może. Mają spore możliwości... mogłabyś wyjąć telefon z mojej torby?

Tornister kołysał mi się niewygodnie na ramieniu, ale żeby do niego sięgnąć, musiałbym puścić ociekającego atramentem chłopaka. Gdy Oda sięgnęła po torbę, przyjrzałem się twarzy Mo i zauważyłem, że pod czarnymi plamami policzki zachowały młodzieńczą pulchność. To był tylko dzieciak i wkrótce umrze. Oda wyjęła komórkę.

- Czarna Taksówka - poleciłem. - Tylko ona może nas tam dowieźć na czas.

Wybrała numer. Telefon włączał się jak dryf kontynentów.

- Czarnoksiężniku... - Strach, nieskrywany, paraliżujący strach. - Nie ma zasięgu.

Nigdy nie nazywamy złych wiadomości „przypadkiem”.

- Pomóż mi. - Stęknąłem i znowu przejęła na siebie większą część ciężaru chłopaka. -

Musimy uciekać.

Zerwaliśmy się do biegu, potykając się i ślizgając w strugach deszczu. Mroczne posępne niebo nad nami nie czyniło żadnych ustępstw na rzecz pory dnia, zdecydowane przez cały czas zachowywać taką samą martwość. Ogień wypełniał mi dłoń, głowę, a nawet oczy.

Czułem w nich ból i szczypanie.

- On tu jest, on tu jest, on tu jest, on tu jest - jęczeliśmy.

- Zamknij się.

- On tu jest.

- Zamknij się!

Przypomniałem sobie szalone oczy smoka. Był za duży, za... był za bardzo wszystkim, za bardzo za bardzo, nieskończony upadek w coś zbyt wielkiego, by umysł mógł to ogarnąć.

Biegliśmy, ciągnąc za sobą chłopaka, który w swoim czasie zapewne reagował na imię Mo, syna Loren. Jego krew zamieniła się w atrament, oczy przybrały czarny kolor, po brudnej twarzy spływały czarne łzy, z dziury po śrubokręcie w jego plecach i z pokaleczonej drutem szyi sączyła się czarna krew, ubranie przybrało kolor rdzy, spodnie śmierdziały gównem, a buty pokryły brązowe plamy zgnilizny i rozkładu. Wyszliśmy zza rogu i natychmiast się cofnęliśmy, wciskając się w piramidę odpadków.

- On tu jest - wydyszeliśmy.

Oda wyjrzała zza nas, spoglądając w stronę wyjścia, i również się cofnęła. Z

najwyższym trudem zaczerpnęła tchu. Zobaczyła to samo co ja. W wyjściu stał facet w garniturze. Zastanawiałem się, czy ludzie Earle'a również go ujrzeli i czy pożyli wystarczająco długo, by zobaczyć coś więcej.

- Co zrobimy? - wysyczała.

Raz jeszcze wyjrzałem zza rogu. Nadal tam stał. Garnitur w prążki, jedna ręka swobodnie wsunięta do kieszeni. W drugiej trzymał wielki niebieski parasol. Z jego brzegów spływała woda. Pan Pinner się uśmiechał. Po prostu się uśmiechał, czekając w wyjściu cierpliwie jak śmieciarz.

Mo jęknął, jakby wyczuwał nasze przerażenie.

Odwrociłem się spoglądając na sterty złomu nad nami.

- Zabierz go na stację - poleciłem Odzie. - Kup mu bilet. Schowamy się za barierkami.

- A co ty zrobisz?

Złapaliśmy za koniec starej, złamanej wędki i wyciągnęliśmy ją ze sterty czarnych cuchnących śmieci.

- Śmieciuchu - wyszeptaliśmy, zaciskając palce na rozszczepionym końcu wędki i łamiąc ją jak suchą letnią gałązkę - musimy porozmawiać.

Zacisnęliśmy dłoń na końcu wędki, zaczerpnęliśmy głęboko tchu i poszliśmy na spotkanie z panem Pinnerem.

* * *

Uśmiechał się.

Czy kiedykolwiek było inaczej?

Stał pod parasolem w bramie złomowiska i się uśmiechał.

Pan Pinner, śmierć miast.

W końcu, jeśli kruki, rzeka, Kamień i, niech Bóg nam pomoże, Nocny Burmistrz bronią miasta, sugeruje to, że istnieje coś, przed czym trzeba go bronić.

Zatrzymaliśmy się dziesięć kroków od niego. Choć trzęśliśmy się ze strachu, liczyliśmy na to, że można to wziąć za drzenie z zimna. Włosy nas swędziały w miejscach, gdzie spływające strużki wody ścigały je na oczy, a żołądek sprawiał wrażenie, że wyczyszczono go odkurzaczem, który ktoś zapomniał potem wyłączyć. Chcieliśmy coś powiedzieć, ale przekonaliśmy się, że nie jesteśmy w stanie.

- Cześć - odezwał się. - Nazywam się pan Pinner i jestem śmiercią miast. Chciałeś o czymś porozmawiać?

Skinąłem głową z otępiałą miną.

- Zamieniam się w słuch.

Przemawiał uprzejmym, spokojnym tonem wykształconego człowieka, słyszało się w nim jednak coś bardziej agresywnego, co w głębi duszy gardziło poprawną gramatyką, jaką się posługiwał, a także eleganckim garniturem i drogim zegarkiem. Coś, co marzyło o piątkowych wieczorach w pubie i starych pierdzących motocyklach, na jakich kiedyś jeździły chłopaki.

- I co? - zapytał, gdy gapiliśmy się na niego już zbyt długo.

Obliziałem wargi, poczułem smak padającego deszczu i ścisnąłem kawałek wędki tak mocno, że dłoń wypełnił mi ogień.

- Po co tu przyszedłeś?

- Żeby zabić ciebie i twoją przyjaciółkę - odparł ze spokojem. - Gdzieś tam leży kilku facetów, którzy mieli pecha. A przynajmniej ich fragmenty. Nie przywiązuję wielkiej wagi do szczegółów.

- Dlaczego?

- Dlatego że jestem śmiercią miast - wyjaśnił z lekko zdziwioną miną. - Czyżbym nie wyraził się jasno?

- Chciałem... tylko to uściślić... - wyjąkałem. - Mówisz w sensie dosłownym, tak? Nie jesteś po prostu jakimś ćwokiem, który w młodych latach za dużo grał w Dungeons & Dragons, ale prawdziwą... dosłowną...

Rozpromienił się.

- Gdy na Hiroszimę spadła bomba, widziałem niebo otwierające się nade mną niczym kwiat, widziałem piękno płomieni, ich majestat. Kiedy płonęło Drezno, oddychałem dymem.

Nigdy nie było tak jasnej nocy! Kiedy tama pękła podczas burzy, pozwoliłem, by woda przepływała mi między palcami, zmywając zepsucie i nadmiar czasu; kiedy do tego miasta przybyła zaraza, głaskałem po grzbietach czarne szczury uciekające ze statku. Gdy piekarz na Pudding Lane zapomniał zamknąć piec, to ja byłem ostatnim klientem, który kupił chleb, nim węgielki posypały się na słomę i podpaliły ją. To był najśłodszy chleb, jaki kiedykolwiek jadłem. Kiedy płonął Rzym, stałem na najwyższym wzgórzu i patrzyłem na walące się świątynie, a gdy upadł Babilon, zliząłem pył z warg, by poczuć jego smak na języku. Stałem na murach Jerycha, tańczyłem na brzegu, gdy trzęsienie ziemi wstrząsnęło Bosforem, kąpałem się w płonących rzekach Pompejów, piłem wódkę na dachach Stalingradu, a gdy wydano rozkaz, by nie oszczędzać mężczyzn, kobiet ani dzieci, uniosłem wysoko sztandar z bojowym okrzykiem, który bali się wydać śmiertelnicy. Jestem stary jak pierwszy kamień, który ułożono obok drugiego. Karmię się upadkiem murów, druzgotaniem dachów, rozbijaniem ulic, pękaniem rur, zrywaniem przewodów, wylaniem ścieków i ucieczką ludzi.

Byłem w tym mieście już sześć razy, by obserwować płonące katedry i czuć smak przerażenia uchodźców na chwilę przed tym, nim mosty załamiały się pod ich ciężarem. A teraz wróciłem, by dokończyć tego, co się zaczęło, gdy położono pierwszy kamień. - Uśmiechnął się. - Czy to zadowalająca odpowiedź?

- Ehe - pisałem. - Można by tak powiedzieć.

Uniósł rękę, by zamknąć parasol.

- Chociaż - dodałem pośpiesznie - mam wrażenie, że w dosłownym sensie wcale nie spowodowałeś tych wszystkich wydarzeń. Ułatwiłeś je, być może się nimi cieszyłeś, znajdowałeś w nich... piękno, to wszystko prawda. Nikt nie zaprzeczy, że chmura w kształcie grzyba jest magiczna, okropna, ohydna i piękna. Wszystko naraz. Niemniej odnoszę wrażenie, że byłeś raczej konsekwencją niż przyczyną, chyba że chcesz mi wmówić, że stałeś obok Trumana i szepnąłeś mu do ucha: „Naciśnij czerwony guzik” albo powiedziałaś Arthurowi „Bomber” Harrisowi, że to będzie tylko maleńki pożar. Jesteś pasożytem, który znajduje magię w życiu, a życie w śmierci. Dlatego muszę zapytać, co cię tym razem sprowadziło do Londynu?

Zawahał się na króciutką chwilę. Potem się uśmiechnął.

- Na pewno jesteś uczniem Bakkera - stwierdził. - Wszyscy czarnoksiężnicy nie żyją.

To oszczędziło mi trudu zabijania ich. Wieża upadła, więc nie musiałem jej niszczyć.

Zabijając Bakkera, znacznie ułatwiłeś mi życie. Gdyby żył, z pewnością bym tu nie przybył.

Powinienem ci za to podziękować, czarnoksiężniku.

Odkurzacz w moim żołądku przełączył się ze ssania na pompowanie, wypełniając go lodem,

wymiocinami i pyłem.

- Oddajcie mi mój kapelusz - rzekłem, ponieważ wiedziałem, że jeśli nie zapytam, nigdy się nie dowiem.

Jego twarz pociemniała, zacisnął palce ukryte w kieszeni spodni. Uśmiechnęliśmy się.

- No, gadaj - zażądałem. - Chyba nie myślałeś, że się od tego wykręcisz?

Przez chwilę, bardzo krótką chwilę, pan Pinner, śmierć miast, bał się.

Potem po mojej twarzy spłynęła pierwsza strużka krwi. Poczułem pierwsze cięcie papieru. Schowaliśmy prawą rękę za plecami, a potem wysunęliśmy ją nagle, rzucając ułamaną końcówką wędki jak strzałką, jak włócznią. Wbiła mu się prosto w pierś, w miejsce, gdzie powinien być mostek. Popatrzył na nią z lekkim niedowierzaniem, a potem przeniósł

wzrok na nas.

- Nic nie może mnie powstrzymać - wyszeptał. - Nie jesteś w stanie tego pojąć.

Wzruszyłem ramionami. Otworzyliśmy dłonie, rozpościerając ręce na boki, poczuliśmy trzaski wypełniającej naszą krew elektryczności.

- Kto nie marnuje, temu nie brakuje - odparliśmy.

Złapał za końcówkę wędki, zupełnie nieprzejęty tym, że sterczy ona z jego ciała. W tej samej chwili popchnęliśmy.

Nie jego. Skierowaliśmy swe pchnięcie na boki, do tyłu i w dół. Zamknęliśmy oczy i wyciągnęliśmy palce ku wielkim stertom śmieci, przypominając sobie ich woń, dotyk rdzy, muł i zgniliznę, smród i rozkład, zdechłego kota w kartonowym pudełku, warstewkę grzyba pokrywającą gnijące przedmioty, wyłazającą wyściółkę, kaleczący drut, ostre jak brzytwy krawędzie, potłuczone szkło, stopiony plastik, zardzewiała stal, połamane rury, zgniecione puszkę, wypaczone zawiasy i wszystko, co tu porzucono. Wszystko, czego nie chcieliśmy widzieć i o czym nie chcieliśmy wiedzieć, co odrzucaliśmy, o co nie dbaliśmy, o czym nie myśleliśmy, czego nie potrzebowaliśmy, nie używaliśmy, co się nam nie przydawało, co lekceważyliśmy, wyrzucaliśmy, o czym zapominaliśmy i co zostawiliśmy w samotności.

Życie to magia, a magia to życie. Czarnoksiężnicy zawsze borykali się z tą zagadką.

Jest tak wiele rzeczy, które były ongiś częścią życia, a potem je porzucono i zapomniano o nich. Było logiczne i naturalne, najoczywistsze na świecie, że jeśli tak wiele skojarzeń i zaniedbania zgromadzi się w jednym miejscu, nadal przetrwa w nich okruczeństwo zapomnianego życia, pragnący się przebudzić. A ponieważ porzucono go na śmierć i doskwierała mu samotność, był wściekły.

Pan Pinner wyszarpnął sobie z piersi kawałek wędki i przyjrzał mu się z zaskoczeniem. Z rany posypały się małe kawałki papieru. Przez chwilę unosiły się w górę na wietrze, ale potem deszcz

cisnął je do kałuży u jego stóp.

Po naszej lewej stronie rozległo się ciche *lups*.

Uniósł nagle wzrok i, chwilę za późno, zrozumiał prawdę. Coś innego zabrzmiało *iiiiiiiiiiiiiiiiiiiikkkkkkkkkkkkkkkk...*

Plastikowa butelka zsunęła się, podskakując, ze stosu. Kawałek butwiejącego brązowego sznurka uwolnił się z węzła gordyjskiego. Pęd fioletowej budlei skurczył się nagle i uschnął, wyrwany z korzeniami. Potem rozległy się szmery. Najpierw przypominały odległe stepowanie cyrku pcheł, później przeszły w kapanie lodowatej wody z topniejącego śniegu, a wreszcie w jazgotliwy hałas. Dopiero wtedy uświadomiliśmy sobie, że to szczury wyłażą ze śmieci. Setki tłustych brązowych gryzoni. Wysuwały się ze stosów odpadków, spadały z łoskotem na ziemię i na siebie nawzajem, a potem pędziły ku wyjściu, omijając moje kostki, ocierając się o nogi, włączając na stopy. Nie zwalniały nawet na chwilę, ich strumień opływał

pana Pinnera, a potem pędziły w stronę ulicy i rynsztoków, szukając drogi ucieczki.

Nagle poczułem, że coś przemknęło mi obok głowy. Uchyliłem się instynktownie, osłaniając twarz dłońmi. Przez rozchyłone palce zobaczyłem, że to wędka o ułamanym końcu.

Przeleciała obok mojego ucha i walnęła pana Pinnera w skroń, zbyt szybko, by mógł się uchylić. Połamany parasol zerwał się do lotu szpicem naprzód i wbił w jego bark; plastikowa futbolówka, z której uszło powietrze, potoczyła się, podskakując, ku niemu, by zbić go z nóg; osmalony grill przeleciał obok mnie i uderzył z impetem w pana Pinnera. Nie były to już tylko pojedyncze przedmioty, lecz dziesiątki, setki. Całe wysypisko wzbilo się w powietrze ze świstem i grzechotem, wszystko wirowało, koziółkowało i spadało, sypało się w dół z wielkich piramid niczym żelazne opiłki przyciągane przez magnes albo lecąca ku słońcu rakietą.

Rzuciliśmy się na ziemię. Betonowa nawierzchnia pękała pod nami. Zakryliśmy głowę rękami, zasłoniliśmy uszy i oczy, wypełnialiśmy otaczające nas stare martwe przedmioty życiem i wolą, wciskaliśmy każdą kroplę swego strachu, gniewu i siły w rdzę i pleśń, powtarzając im: „Załatwcie go”. Niejasno docierał do mnie odgłos szybkich kroków słyszalny gdzieś w pobliżu. Miałem wrażenie, że Oda wykrzyknęła moje imię, ale nie uniosłem głowy.

Poczołgałem się na brzuchu w stronę, gdzie moim zdaniem powinno być wyjście, ostatnie uciekające desperacko szczury przebiegały mi po karku i plecach.

Nic nie widziałem. W powietrzu było za dużo połamanych przedmiotów, które gubiły w locie zbędne części, spadające ze stukiem na ziemię. Wszędzie unosił się gęsty pomarańczowy pył złożony z metalowych opiłków, trocin, piasku, rdzy, rozlanych chemikaliów, strzępków pleśni, i mchu, kawałków gęstego fioletowego grzyba oraz kropli rzadkiego zielonego szlamu. Proste linie perspektywy zmieniały się z jej powodu w plątaninę olejnego obrazu namalowanego przez naćpanego wariata. Oddychałem przez rękaw płaszcza, ale nawet to sprawiało mi ból, w nosie paliło mnie od rdzy rozdzierającej miękkie tkanki, oczy mi łzawiły, a nadmiar informacji zalewał wszystkie zmysły, uniemożliwiając myślenie.

To byłoby zbyt kłopotliwe, za bardzo za bardzo, po prostu się czołgaj...

Uderzyłem o płot, wygięty jak drzewo rosnące na klifie podczas burzy, i poczołgałem się wzdłuż niego, wymacując drogę przed sobą. Wydawało mi się, że znowu usłyszałem Odeę, ale nie mogłem być pewien, bo wszystko zagłuszał łoskot tysięcy martwych kawałków stali, żelaza, plastiku, cegły, betonu, gumy, szkła, pleksiglasu, gliny, sklejk, płyt wiórowych...

wtem na naszej kostce zacisnęła się dłoń. Pisnęliśmy przeraźliwie, spoglądając za siebie w sztorm, na wpół oślepieni wszystkim, co sypało się nam prosto w oczy, tak bardzo maleńcy, słabi, bezbronni i śmiertelni.

Pan Pinner

miał dłoń z papieru

zamrugaliśmy, patrząc przez chwilę pod prąd, i zobaczyliśmy zdartą z niego skórę. To był tylko biały papier, pokryty maleńkim nieczytelnym pismem. Przyszyto do niego garnitur, jego garnitur rozdzierany przez wiatr. Zauważyłem maleńkie szwy, gdy tornado oderwało mankiet. Oczy pana Pinnera były pełne niebieskiego atramentu, włosy mu wylaziły, każdy kosmyk przeradzał się w rurkę, paragon, bilet autobusowy albo małą zakładkę do książki, które rozwijały się, unoszone przez wiatr. Jego zęby były gumkami, maleńkimi białymi gumkami wprawionymi w większą gumę dziąseł, język był zrobiony z grubej skóry albo moleskinu, w jakie oprawia się adresowniki. Nasunęła się nam myśl, że zdecydowanie wygląda jak coś przywołanego, wytwór czyjejś furii: konsekwencja, nie przyczyna...

Uniósł drugą rękę, w której trzymał pióro o nie do końca złotej stalówce. Skapywały z niego krople czarnego atramentu, porywane natychmiast przez wichurę. Leżał na brzuchu, ręka i część głowy wystawały mu spod wielotonowej sterty odpadków, wijącej się niczym wielki, rozgniewany robak. Fragmenty starej lodówki czy połamane krzesło wylaniały się na powierzchnię tylko po to, by zaraz znowu zniknąć w głębi, jakby całość była płynnym stworzeniem, a nie czymś złożonym z litej materii. Kopnąłem rękę próbującą mnie złapać za kostkę, zebrałem całą siłę, jaka została mi w piersi, cały żar i strach, a potem wysłałem wzdłuż swej nogi buchający iskrami i kłębam dymu elektryczny gniew. Gdy dotarł do jego palców, pan Pinner zwolnił na chwilę uścisk. Uwolniłem się, wstałem na ręce i kolana. Pan Pinner wydał z siebie wrzask frustracji. Z serca tornada runęła na niego szafa o drzwiach otwartych na podobieństwo paszczy.

Odwróciłem się od burzy i zacząłem uciekać. Z mojej skóry sypały się skry. Staralem się nad nimi zapanować. Za dużo magii, za dużo elektryczności, za dużo wszystkiego, za dużo za dużo...

Przede mną była ulica, jezdnia, samochody, wyjące wściekle alarmy, otwierające się wszędzie okna, kołyszące się niebezpiecznie przewody telefoniczne oraz Oda, która pokonała już połowę drogi do rogu, zmierzając w stronę stacji. Przerzuciła sobie Mo przez ramię i nie oglądała się za siebie, nie obejrzała się ani razu. Powlokłem się za nią. Za moimi plecami wielka góra śmieci, która zwała się na pana Pinnera, poruszała się, drżała, podskakiwała, zgrzytała i

zaraz miała się rozpaść.

Zerwałem się do biegu, chwając się na nogach i obijając o samochody, słyszałem za sobą cichy brzęk ustępującego pod naciskiem żelaznego płotu, zgrzyt przewodów telefonicznych wyrywanych ze słupów, odległy odgłos hamującego pociągu, a na koniec ciche, niemalże smutne *umpf*.

Rzuciłem się do rynsztoka, wczółgałem się pod zderzak najbliższego samochodu i osłoniłem głowę rękami. Nad złomowiskiem eksplodowała chmura w kształcie grzyba.

Wznosiła się ku górze, rozprzestrzeniała na boki jak na filmie w zwolnionym tempie, a potem zaczęła opadać. Z nieba posypały się druty, wyściółka, kawałki rur, stare lodówki i dziurawe opony. Połowa kredensu wpadła przez okno do sypialni w sąsiednim domu, dach ciężarówki wgniotła furgonetka bez silnika, opon i szyb w oknach, zwrócona kołami ku górze i spadająca z nieba na podobieństwo krzaka gorejącego. Fotel zdołał się zatrzymać na zaostrzonych końcach anteny dachowej, nasada kominowa spadła na krasnalą ogrodowego. Wszędzie unosiły się kłęby pyłu, ziemi i rdzy, opadające na ziemię jak pomarańczowy śnieg. Wydawało się, że trwa to cały wiek, choć w rzeczywistości zapewne minęło najwyżej pięć sekund.

Rozejrzałem się wkoło. Stojący zegar wylądował spodem do góry w odległości pół

stopy od mojej kryjówki. Jego poczerniałe mechanizmy wysypały się na chodnik. Stary łom wbił się jak miecz króla Artura w maskę samochodu przede mną, styropianowa płyta opadła mi do stóp. Wszystkie alarmy - w każdym domu i w każdym samochodzie - zawodziły wniebogłosy. Podniosłem się i spojrzałem na złomowisko. Wszystko przesłaniały czarne kłęby dymu, ale wyglądało to tak, jakby cała zawartość rozsypała się na w przybliżeniu pięć razy większej przestrzeni, pokrywając ją pięciokrotnie cieńszą warstwą. Do moich stóp opadł

kawałek papieru, szarzejący szybko na deszczu. Napisano na nim: *Rachunek za gaz za okres 06-07 do 12-07 - 257, 13 funtów.*

Uniosłem wzrok.

W kłębach dymu stał mężczyzna.

Wyglądał garnitur.

Uciekliśmy.

* * *

Odę podmuchał na ziemię. Kiedy ją dogoniłem, starała się podnieść. Moją jedną ręką, jednocześnie wyciągając z włosów resztki żółtej pianki uszczelniającej.

- Pomóż mi! - warknęła. Domyśliłem się, że chodzi jej o pomoc przy chłopaku.

Złapałem go i wspólnie powlekliśmy się w stronę rogu.

- Zabiłeś go? - zapytała.

- Ha, ha - odparłem.

- Rewelacja. To gdzie teraz jest?

- Poprawia sobie garnitur. Jeśli mamy szczęście, trochę go wystraszyłem i zyskamy kilka minut. W przeciwnym razie...

- Dokąd idziemy?

- Na stację.

Obrzuciła mnie ostrym spojrzeniem.

- Masz zamiar...

- Magia biletu travelcard - odparłem. - Wiesz, jak brzmi ta śpiewka.

* * *

Jeśli ktoś zwracał uwagę na to, co się dzieje na ulicach Morden, zwracał jej wystarczająco wiele, by zejść nam z drogi.

Ludzie usłyszeli, że coś eksplodowało, i pomyśleli o zamachach terrorystycznych oraz o wiadomościach telewizyjnych. A teraz, gdy wlekliśmy Mo zalewaną deszczem ulicą, poruszaliśmy się zbyt szybko, by cokolwiek mogło nas powstrzymać. Słyszałem coraz bliższe syreny, zawodzące we wszystkich możliwych tonacjach, widziałem ludzi uciekających od miejsca wybuchu albo biegnących ku niemu. Przeprowadziliśmy Mo przez ulicę, zmierzając w stronę stacji, ujrzeliśmy znak metra, ten najświętszy ze wszystkich symboli, oznaczający ochronę, bezpieczeństwo, ruch i wolność, wpadliśmy do środka, gdy strażnik zaczął zamykać bramę.

- Hej, ogłoszono...

- On ma pistolet, ty skurwysynu! - wrzasnęła Oda.

Mężczyzna spojrział na mnie, na Mo i na Odę. Ta, by dowieść prawdziwości swych słów, wyciągnęła własną broń i wystrzeliła dwa razy w powietrze.

- Uciekajcie stąd! - krzyknęła.

Strażnik zwał i pasażerowie razem z nim. Zostawiłem cały ciężar Mo w rękach Ody i powlokłem się do automatów. Grzebałem w torbie w poszukiwaniu drobnych chyba przez całą wieczność. Wreszcie coś znalazłem, wyciągnąłem własny bilet i podałem bilet Mo Odzie.

- Przeprowadź go! - zawołałem.

Przeszliśmy przez barierki i niemalże wpadliśmy do sali. Oda wlokła brutalnie Mo za sobą, trzymając w zębach dwa bilety.

- Na dół, na dół! - warknąłem, wskazując na schody. Poczulem jakiś ruch za swoimi plecami, odwróciłem się w stronę na wpół otwartej bramy wejściowej i zobaczyłem pana Pinnera. Wszedł spokojnie do środka, strząsając krople wody z parasola, który nawet nie był

draśnięty, podobnie jak jego właściciel. Na twarz wróciła iluzja skóry, zniknęły wszelkie ślady papieru, nic nie było rozerwane, w całym garniturze nie puścił ani jeden szew. Pan Pinner uśmiechnął się do mnie i ruszył w stronę barierki. Wyciągnąłem bilet, przygotowując się do rzucenia zaklęcia, i rozpocząłem recytację:

- Warunki przejazdu wyglądają następująco: „Ten, kto nie ma karty Oyster z ważnym biletem okresowym lub sumy potrzebnej do wyrównania różnicy, musi posiadać ważny drukowany bilet...”.

Pan Pinner zawahał się, widząc, co próbuję zrobić, wyczuł, że powietrze między nami zgęstniało, gdy zanurzyłem się w ochronnym zaklęciu, przywołując wszystko, co było w metrze świętego.

- „Musi posiadać ważny drukowany bilet na całą długość planowanej trasy. By korzystać z drukowanego biletu, należy wypełnić niniejsze warunki. Wszystkie takie bilety pozostają naszą własnością i możemy je w każdej chwili wycofać bądź unieważnić”.

Odwrócił się nagle i ruszył w stronę najbliższego automatu z biletami. Opuściła mnie odwaga, o mało co nie przewróciłem się pod ciężarem własnego biletu. Nacisnął guzik, wybrał bilet i sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu drobnych, ale nic nie znalazł. Spojrzał na pustą kasę, w której powinien siedzieć sprzedawca, rozbił szybę czubkiem parasola i sięgnął

do środka po drobne.

- To nic nie da! - krzyknąłem do Ody. - Ruszaj się!

Zdołała już ściągnąć Mo na sam dół. Zbiegliśmy za nią, pokonując przy każdym kroku po dwa stopnie. Na dole pośliznęliśmy się na przeżartych brudem kafelkach, złapaliśmy ją za rękaw i pociągnęliśmy za sobą w stronę peronu.

- Jak to nic nie da? - zawołała. - Myślałam, że to twoje zaklęcie zatrzymuje wszystko!

- Zatrzymuje wszystko, co nie ma prawa wstępu do metra - odpowiedziałem, wypatrując tablicy przyjazdów i odjazdów. - A on po prostu poszedł kupić pierdolony bilet.

Znalazłem tablicę:

1. High Barnet przez Bank - 3 min.

2. Edgware przez Bank - 9 min.

3. Edgware przez Charing X - 15 min.

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE MI

- Czy możemy uciec pociągiem?

- Zależy, ile pieniędzy znajdzie na bilet - warknąłem, popychając ją w stronę drugiego końca peronu. Rzuciliśmy Mo na beton. Obejrzałem się za siebie w poszukiwaniu inspiracji, ochrony, czegokolwiek. Pomacałem swój tornister, znalazłem puszkę niebieskiej farby i zacząłem malować symbol metra, ale po zastanowieniu przerzuciłem się na czerwoną i namalowałem dwa krzyże, jeden wewnątrz drugiego.

- *Domine dirige nos* - mruczałem. - Proszę, proszę, *domine dirige nos*, do cholery...

Farba na betonie przede mną stanęła w płomieniach.

- Czarnoksiężniku! - wrzasnęła Oda.

- Nie teraz!

- Matthew!

Obejrzałem się za siebie.

Leżący na peronie Mo mrugał.

- Ocknął się!

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE

MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE MI

- Bardzo się z tego cieszę! - warknąłem. - Naprawdę!

- Matthew!

Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że Mo wyciąga rękę koloru wylanego z tuszu długopisu, wskazując na tablicę świetlną.

- Oddajcie mi... - wyszeptał. Z ust wydobywały mu się pękające, czarne jak tusz pęcherzyki. - Oddajcie mi...

- Oddajcie mi mój kapelusz - dokończyła Oda. Przez chwilę można ją było niemal wziąć za pełną współczucia kobietę pochylającą się nad umierającym chłopakiem. - Co to znaczy?

- Oddajcie mi...

- Co to znaczy? - wysyczała, potrząsając lekko jego ramieniem. - Co to znaczy?

- Zabrałem go - wyszeptał. - Zabrałem jej kapelusz. Przepraszam, przepraszam, przepraszam, tak bardzo przepraszam. Mamo? Przepraszam, mamo! Kurwa, w dupę, przepraszam, Boże, kurwa!

- Komu? Komu zabrałeś kapelusz? Jemu? Panu Pinnerowi? Zabrałeś mu kapelusz?

Czy dlatego to wszystko się wydarzyło? Komu zabrałeś kapelusz, Mo?

- Mamo! Przepraszam, przepraszam, już nigdy, daję słowo, kurwa, pomóż mi, kurwa, pomóż mi do cholery, pomóż, ty suko, pomóż, przepraszam, tak bardzo przepraszam, pomóż mi, proszę...

Uniosłem nagle wzrok i zobaczyłem, że na końcu peronu coś się dzieje. W korytarzu pojawił się jakiś cień.

- Komu zabrałeś kapelusz? - wrzasnęła Oda. Znowu nim potrząsnęła, tym razem bez śladu delikatności. - Powiedz mi!

Na końcu peronu zgasło światło, potem drugie i trzecie. Długie jarzeniówki wygasły powoli wokół nas. W ciemności ktoś się poruszał, to był mężczyzna, dwa czerwone krzyże namalowane na peronie skwierczały gniewnie, buchając kłębamii dymu. Wypuściłem puszkę z rąk, cofając się przed smrodem. Jedna minuta, mówiła tablica, tylko jedna minuta, i wszystko będzie w porządku, przyjedzie pociąg, odjedziemy nim, Mo będzie żył, Loren nie będzie płakała i będziemy żyli takbardzobardzobardzobardzodobrze, tylko musimy żyć, proszę, pożyć jeszcze trochę, żeby widzieć, wąchać i...

- Komu zabrałeś kapelusz?! - wrzasnęła Oda, gdy ciemność się zbliżała.

- Jej - wyszeptał Mo. - Jej. Strażniczce ruchu.

- Odo - wyszeptałem, gdy czerwone krzyże przestały się żarzyć i zgasła ostatnia lampa jarzeniowa. - Odo, uciekaj...

- Jakiej strażniczce ruchu, co za strażniczce ruchu...

- W Dollis Hill - odparł szeptem. - Kapelusz strażniczki ruchu.

- Odo! Uciekaj od niego!

Wstała w tej samej chwili, gdy chłopak zaczął krzyczeć. Złapałem ją, odwróciłem jej głowę, odwróciłem twarz, krzyczał przeraźliwie, słyszałem, jak pęka mu skóra, ujrzałem w dogasającym świetle lamp czarną krew wylewającą się z jego ciała, spływającą do wykopu i skapującą na tory z głośnym skwierczeniem, a Mo krzyczał, krzyczał i krzyczał, aż wreszcie zabrakło mu tchu i na peronie leżał tylko martwy, obdarty ze skóry kawał mięsa, a Oda podtrzymywała nas, podtrzymywała nas, jakbyśmy mogli się na coś zdać w tych pograżonych w mroku podziemiach.

To był koniec.

Uprzejma milcząca śmierć.

Kap, kap, kap w ciemności, skażona atramentem krew spływająca ze skraju peronu.

Szybki oddech Ody, jej twarz wciśnięta w mój bark, moja twarz w jej włosach. Jedyne źródłem światła była tablica przyjazdów i odjazdów, pomarańczowe literki przebiegające przez cienki, prostokątny ekran.

1. High Barnet przez Bank - 1 min.

2. Edgware przez Bank - 7 min.

3. Edgware przez CharingX - 13 min.

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE MI

Kroki, stukot skórzanych podeszew, zbliżający się po peronie, uśmiechnięta twarz ledwo widoczna w pomarańczowej poświacie. Pan Pinner nie miał na sobie żadnych śladów.

Przyglądał się wypalonym krzyżom, namalowanym przeze mnie na betonie.

- *Domine dirige nos* - odezwał się wreszcie. - Błogosławieństwo miasta.

Nie mogłem nic powiedzieć, nie byliśmy w stanie oddychać. Uniósł powoli wzrok, popatrzył na mnie, potem na Odę, a później znowu na mnie. Uśmiechnął się.

- Och - wydyszał. - To niespodziewane! Nie tylko czarnoksiężnik i grupka Rajców.

Nocny Burmistrz zdążył zadzwonić przed śmiercią.

Uniosłem prawą dłoń, drżąc ze strachu i z zimna. Dwa krzyże płonęły na mojej skórze.

- *Domine dirige nos* - wyszeptałem. - Nie zbliżaj się.

- To ty! - wydyszał pan Pinner. - No cóż... muszę przyznać, że jestem zaskoczony, biorąc pod uwagę fakt, że to ty zabiłeś Bakkerę, ty doprowadziłeś do upadku Wieży, zniszczyłeś jedyną instytucję, która mogła ocalić twoje miasto przed moją zemstą... a mimo to, Nair uczynił cię Nocnym Burmistrzem?

- Uwierz, jestem tak samo zdziwiony jak ty.

1. High Barnet przez Bank

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ ODDAJCIE MI

Tablica nie informowała, kiedy przyjedzie pociąg. To zawsze jest niejasne. Czy brak informacji „1 min.” oznaczał, że zjawi się on zaraz, czy za 59 sekund? Wątpiłem, byśmy mieli szanse przeżyć 59 sekund tej rozmowy.

- A więc jesteś... kim? Czarnoksiężnikiem i Nocnym Burmistrzem? To nadzwyczajne połączenie! Jak możesz spać w nocy, jak to się dzieje, że nie gubisz się w tym wszystkim, w całej mocy, jaką możesz zdobyć, gdy twoje serce bije w rytm warkotów silników samochodów czekających na światłach, oddech bucha z ust jak powietrze z kuchennych odpowietrzników, a ruchy oczu śledzą lot gołębi i przesuwanie się kamer ulicznych? Tak wiele życia, tak bardzo rozległego, szalonego, dzikiego i jasnego... jestem pod wrażeniem, że się nie ślinisz. Poważnie, jak to mówią, szacun. Ale to nie wystarczy, by ocalić ci życie.

Ostatnie popioły moich krzyży wypaliły się na peronie i zgasły. Objąłem Odę, poczułem, że napięta mięśnie pod moim dotykiem, spojrzałem jej prosto w oczy i uśmiechnąłem się w nadziei, że zrozumie, że to przeprosiny za to, co będziemy zmuszeni zrobić.

- No dobra - wyszeptaliśmy. - No dobra. Załatwiłeś nas. Czarnoksiężnik nie zdoła cię powstrzymać i Nocny Burmistrz też nie.

Odległy łoskot, wydostający się z tunelu powiew, białe światło w ciemności...

Za daleko.

- Ale o czymś jeszcze nie wiesz - dodałem.

- O czym? - zapytał z autentycznie brzmiącym zainteresowaniem w głosie.

Zimny wicher wypadający z tunelu, para białych świateł zbliżająca się do nas, gwiazdka, która przebiegała po tablicy świetlnej, usuwając wszystkie poprzednie informacje, czysta tablica, koniec trasy, dobranoc, życzę szczęścia, reset, restart.

- O nas.

Objęliśmy Odę w talii i skoczyliśmy razem z nią na tory.

* * *

To niezły pomysł: trzecia szyna.

Zawsze nam się podobał.

Żywa elektryczność.

Ludzie mówią, nie nadepnij na trzecią szynę.

Przetoczyliśmy się po torach dudniących od ruchu czarnych, ostrych jak brzytwy metalowych kół, zbliżających się z każdą chwilą, i wsunęliśmy się do pełnego myszy i śmieci zagłębienia pośrodku. Usłyszałem westchnienie, które wydała z siebie Oda, gdy jej nos znalazł się w odległości cała od szyny pod prądem, wspartej na białych izolujących podkładach. Kobieta napięła mięśnie, próbując mnie odepchnąć. Usłyszałem, że stojący na peronie pan Pinner śmieje się i bije brawo.

Oda spojrzała na nas i ujrzała błękit w naszych oczach.

- Nie - wyszeptwała.

Uśmiechnęliśmy się, unieśliśmy dłoń napiętnowaną znakiem Nocnego Burmistrza i gdy maszynista zobaczył nas w wypełniającej stację ciemności, za późno, stanowczo za późno, przyciągnęliśmy Odę do naszej piersi i zacisnęliśmy palce na szynie prądowej.

Potrzeba mnóstwa elektryczności, by napędzać pociąg.

Wstrząs uniósł nas i cisnął w bok. Przekoziołkowaliśmy w powietrzu, nasze palce łączyło z metalem wijące się kłębowisko białych huczących błyskawic, węży, które kasały nas jadowitymi zębami, paliły powietrze swym ogniem, sypiąc wściekłymi skrami z każdej spoiny w szynach. Pozwoliliśmy, by ogień nas wypełnił, podpalił naszą krew, by gorzał, huczał, płonął, tańczył, świecił, płonął i

i krzyknąłem Boże po prostu krzyknąłem i

wessaliśmy go w siebie przez palącą dłoń

moja skóra płonęła

uwięziliśmy go między stopami, pozwoliliśmy, by nas wypełnił, wyssaliśmy z trzeciej szyny każdą kroplę energii, a potem jeszcze trochę, karmiliśmy się pozostałościami przylegającymi do wygaszonych świateł, pożarliśmy pomarańczowy blask tablicy świetlnej, wessaliśmy smak czarnej krwi spływającej po szynach, syciliśmy się zgrzytem hamulców pociągu i czymś jeszcze więcej.

poczułem smak czegoś więcej, gdy mój język zapłonął niebieskim ogniem przemieszczaliśmy się z miejsca na miejsce szybciej niż prąd w przewodach to tylko mały śmiertelnik spłonie stanie w płomieniach i oto jest...

...ogień niebieskiej krwi...

...niebieskie elektryczne anioły...

Rozpostarliśmy skrzydła.

Wyciągnęliśmy ogień z trzeciej szyny, z pędu pociągu, z zimnego powiewu wypełniającego tunele, ze

światła, ciemności, krwi, żaru w moim żołądku, którego nie mogłem wypuścić, z sił w mojej krwi, których już nie miałem, ciepła w ciele Ody przytulonym do naszej piersi; wciągnęliśmy w siebie milion milionów milionów duchów, które zginęły, by wykopać tunele, które przeżyły całe życie w pociągu jeżdżącym tam i z powrotem, w tę i we w tę, bilet, schody ruchome, peron, krzesło, milion milionów milionów martwych i żywych, którzy codziennie modlili się, by pociąg przyjechał na czas, by można było usiąść, by zostawiono gazety, pasażerowie byli uprzejmi dla obcych, by podróż była szybka, bilety tanie, by w tunelach panował chłód, a komunikaty nie były za głośne. Dzięki temu wszystkiemu do tuneli pod ulicami napływało życie i czy ktokolwiek miał prawo się dziwić, że tutaj, akurat tutaj, mogła nam wyrosnąć para niebieskich elektrycznych skrzydeł?

Czy ktokolwiek miał prawo się dziwić, że tutaj, gdzie podstawą wszystkiego był ruch, gdy nasza ręka przywarła do szyny prądowej, mogliśmy latać?

Elektryczność uniosła nas w głąb tunelu, przed nadjeżdżającym pociągiem.

Pozwoliliśmy jej na to. Wznosiliśmy nogi nad ziemię, ogień wypełniał nasze ciało i otaczał je ze wszystkich stron. Przez czas jednego uderzenia niebieskich elektrycznych skrzydeł, pięknych i nieśmiertelnych jak ciemność w tunelach, lecieliśmy w czekającą na nas otchłań metra.

* * *

Kiedy zbudowano pierwszy pociąg, w czasach królowej Wiktorii, pasażerowie bali się, że podróż z prędkością czterdziestu mil na godzinę może ich zabić, gdyż ludzkie ciało nie jest w stanie znieść podobnych obciążeń.

W NASA zapewne żywiono podobne obawy, gdy wystrzelono pierwszego człowieka w przestrzeń pozaziemską z prędkością jedenastu kilometrów na sekundę. Okazało się jednak, że i to niczym nie grozi.

To nie była prędkość ucieczki. Londyńskie metro nie jest przystosowane do prób z raketami. Z drugiej strony nasz lot napędzała elektryczność, a niebieskie skrzydła, jakie nam dała, wypełniały ciemność szafirowym blaskiem. To była moc wystarczająca do rozpędzenia pociągu do niemałej prędkości, a my byliśmy zdecydowanie lżejsi niż pociąg.

Wynika z tego, że poruszaliśmy się znacznie szybciej.

Tunel zakręcał przed nami, ciemność ustępowała przed niebieskim ogniem płynącym z każdego cala naszego ciała, trzecią szynę, tak daleko, jak sięgałem wzrokiem, pokrywały białe, wijące się błyskawice. Za sobą zostawialiśmy niebieskie skry, padające z sykiem i trzaskiem na czarną ziemię tunelu. Byliśmy przykuci do trzeciej szyny i to pozwalało nam pokonywać zakręty. Pochłanialiśmy jej energię do ostatniego wolta. Światło, które minęliśmy, mogło być stacją South Wimbledon, ale zostało z tyłu w mgnieniu oka. Krzyki pasażerów uchylających się przed jasnym, wirującym płomieniem, jakim byliśmy, ucichły w jednej chwili, zagłuszone przez świst przeszywanego powietrza, umykającego przed naszym płomieniem. Kolejny błysk pojawił się i zniknął za nami Colliers Wood

i zaczęliśmy się śmiać, wirując i koziółkując w powietrzu, poruszając elektrycznymi skrzydłami, słuchając ryku płomieni a także niezliczonych innych dźwięków stukotu szyn w rytmie tysiąca pociągów tchnienia metra specyficznego suchego odoru czarnej ziemi zanieczyszczającej ślinę pasażerów szumu otwierających się drzwi niosących się bez końca echem głosów miliona milionów milionów komunikatów proszę uważać na przerwę proszę uważać na przerwę proszę uważać na

Tooting Broadway

splonę splonę splonę och Boże proszę

śmialiśmy się śmialiśmy i śmialiśmy, tańczyliśmy w ogniu, podekscytowani palącymi płomieniami i za dużo

za dużo dlatego właśnie czarnoksiężnicy zapominają jak się nazywają Jestem

Gorejącym elektrycznym błękitem

Tooting Bec

Wysłuchaj mnie!! Wysłuchaj!!

Płonęliśmy niebieskim ogniem światłem życiem furją wolnością *Wysłuchaj mnie!! Spalimy się!!*

Światło przed nami, jedno mrugnięcie i zniknie, znajdziemy się w sercu miasta szybciej niż ktokolwiek zdoła wyszeptać nasze imię jedno mrugnięcie i zniknie uciekniemy za szybko by nas powstrzymać i złapać i

Pociąg przed nami.

I będziemy

Pociąg przed nami!!

na zawsze wolni szybcy tak samo jak przed tym ludzkim ciałem i *Przed nami jest pierdolony pociąg!*

Stał na stacji Balham. Jego tylne światła paliły się czerwono, a drzwi się zamykały.

Wyruszał w drogę do tunelu, jego silnik buczał cicho, próbując się karmić elektrycznością, którą pochłanialiśmy. A choć byliśmy więksi i potężniejsi niż jakakolwiek śmiertelna maszyna, pochłaniał moc i odbierał nam prędkość, rywalizując z nami o zasoby szyny prądowej. Poza tym, w tunelu było za mało miejsca dla nas i dla niego, ktoś musiał ustąpić, a my nie zamierzaliśmy się zatrzymać nigdy się nie wyrzekniemy ognia ani jasności ani Oderwałem naszą rękę od szyny.

Gorejące błękitne ognie zgasły.

Potężne anielskie skrzydła, niebieskie elektryczne skrzydła, które zaniósł nas od końca trasy aż tutaj, zaczęły skwierczeć, rozpływać się i rozpadać na tysiąc wijących się niebieskich iskier, pękających

niczym eksplodujące robaki, nim zniknęły w mroku.

Obróciłem się w locie, gdy ostatni gorejący fragment elektryczności opuścił naszą skórę, a potem zwróciłem się w stronę peronu. Elektryczny ogień na trzeciej szynie zgasł ze smętnym *trzask*, a my wpadliśmy na peron stacji Balham z głośnym świstem, buchając obłokami dymu.

Kiedy upadliśmy na peron, ślizgając się po betonie i płytkach, Oda uwolniła się z moich ramion. Ludzie rozbiegali się na wszystkie strony, schodząc nam z drogi. Poczułem tępy ból, a potem gorący ogień krwi sączącej się ze skóry. Stał się już niemal moim przyjacielem, wiedziałem, jak sobie z nim radzić. Nie próbowałem z nim walczyć, przetoczyłem się tylko po peronie aż wreszcie uderzyłem o ścianę oblepioną plakatami oraz starą gumą do żucia i zatrzymałem się pod nią.

Wyglądający na Hindusa mężczyzna o minie tak męskiej i bohaterskiej, że dziwiłem się, że zuchwa nie wyskoczyła mu ze stawów, spoglądał na mnie z góry, z plakatu głoszącego: Potężny Ali śpiewa największe hollywoodzkie przeboje. Spojrzałem w lewo.

Stamtąd gapił się na mnie cały zestaw celebrytów klasy B i C w najrozmaitszych charakterystycznych pozach. Napis na plakacie brzmiał: **NADSZEDŁ CZAS**

BOHATERÓW!!! Przetoczyłem się z jękiem na bok. Czuję, że krew spływa mi po lewym ramieniu i gromadzi się w zagłębieniu prawej dłoni. Nasze spojrzenie przesunęło się po brzegu peronu i padło na trzecią szynę. Z naszych ust wyrwał się jęk. Spróbowaliśmy poczołgać się ku niej, wbijając palce w suche matowe płytki. Podjąłem próbę wstania, ale zachwialiśmy się i znowu padliśmy, cały czas czołgając się w stronę szyny. Potem spróbowałem odwrócić głowę, ale nie byliśmy w stanie tego zrobić. Nadal czuliśmy na języku smak elektryczności pięknego jasnego ognia.

- Proszę - jęczeliśmy. - Proszę, proszę, proszę.

Zamknąłem oczy.

- Proszę, proszę, proszę - jęczeliśmy.

Skryłem twarz w dłoniach, podciągnąłem kolana do piersi, czuję krew wypływającą z dwóch krzyży w mojej dłoni i płamiącą włosy w miejscu, gdzie zaciskaliśmy rękę.

- Tak bardzo piękne - wyszeptaliśmy.

Tak bardzo piękne.

Oto dlaczego czarnoksiężnicy wpadają w obłąd.

Czołgałem się na rękach i kolanach, odwracając głowę od trzeciej szyny. Chcieliśmy na nią spojrzeć proszę tylko jedno ostatnie spojrzenie ostatni oddech ostatni...

Wstałem z wysiłkiem, odwróciłem się i oparłem o najbliższą ścianę, wciągając w płuca haust cudownego powietrza metra, tak brudnego, że czerniała od niego ślina. Chciało nam się krzyczeć jak dziecko, jak ranne zwierzę, które nie ma słów, mogących wyrazić świadomość nadchodzącej śmierci,

chciało nam się krzyknąć.

- Hej, proszę pana? - odezwał się ktoś.

Otworzyłem oczy i spojrzałem w twarz nieznajomego. Miał na sobie nieco pozbawiony godności niebiesko-biały mundur pracownika metra. W jednej ręce trzymał

radio, a w drugiej lizak kolejowy. Miał około dwudziestu lat. Wyglądał na przerażonego: ręce mu drżały i jąkał się, nie mogąc wymówić najprostszycy słów.

- Hmm... - podjął.

Ruszyłem przed siebie i odepchnąłem go na bok, uważając, by nasze spojrzenie nie skierowało się przypadkiem na szynę. Oda, która upadła kilka jardów za mną, również próbowała się już podnieść. Pomogliśmy jej, pociągając ją za rękę. Spojrzała na nas, a potem odwróciła się i ruszyła chwiejnie ku schodom ruchomym. Podążyłem za nią.

- Proszę pana? - odezwał się znowu pracownik metra słabym niepewnym głosem.

Nie obejrzałem się, nie mogłem tego zrobić. Dowlekliśmy się do początku schodów ruchomych i zaczęliśmy się na nie wspinać, opierając się o czarną gumową poręcz, poruszającą się nieco szybciej niż same schody.

Na szczycie schodów stał kierownik stacji w towarzystwie pomocnika. W ręce trzymał radio.

- Czy mogę zamienić słówko? - zapytał, unosząc drugą rękę, gdy byliśmy już blisko.

Oda pokazała mu bilet. Ja również.

Odepchnęliśmy go na bok, przeszliśmy przez barierkę i oddaliliśmy się, nim zdążył otrząsnąć się z zaskoczenia.

* * *

Pewien dowcipniś oznajmił kiedyś z tym specyficznym akcentem z lat pięćdziesiątych, którego obecnie da się używać tylko jako parodii:

- Balham, brama na Południe!

Balham - ostatnia szansa na to, by zawrócić, uciec z powrotem do miasta. Ostatnie miejsce, w którym kolej podziemna styka się z naziemną, ostatni punkt, w którym można udawać, że mieszka się w centrum.

Balham. Miejsce, dokąd wszystkie dobre sklepy sieci Woolworths udają się, by umrzeć.

Przedmieście, które chciałoby stać się czymś więcej.

Krwawiłem.

- Szwy mi puściły - poinformowałem Ode, gdy opuszczaliśmy chwiejnym krokiem stację.

Spojrzała na mnie i przez chwilę znowu zacząłem się bać. Potem ujęła mnie mocno za nadgarstek i pociągnęła jak dziecko do najbliższej apteki. Kupiła apteczkę i gruby zwój bandaży, a następnie poprowadziła do najbliższego automatu fotograficznego.

Budka nie była przeznaczona dla dwóch osób, ale nie zamierzałem się skarżyć.

- Płaszcz! - rozkazała Oda.

Zdjąłem go.

- T-shirt!

Koszulkę również ściągnąłem.

- Ale syf! - zauważyła z cmoknięciem i zaczęła wycierać mi skórę.

Po kilku minutach do środka zajrzał ochroniarz, chcąc sprawdzić, co tam robimy. Oda powiedziała mu, że może wezwać policję, pogotowie, jedno i drugie albo zmiatać.

Sparaliżowany szerokim zakresem możliwości stał tylko i gapił się na nas. Gdy Oda mnie zabandażowała i znowu włożyłem koszulkę z Jezusem, kazał nam jak najszybciej wyjść i wymknąć się, by zadzwonić na policję.

Oda oparła mnie o okno supermarketu i pobiegła na drugą stronę ulicy, gdzie był sklep z używanymi rzeczami. Po minucie wróciła z czarnym T-shirtem w papierowej torbie. Napis głosił:

GARAMOND TO NAJLEPSZA CZCIONKA NA ŚWIECIE.

- Błagam, tylko nie to - sprzeciwiłem się.

- Zamknij się i wkładaj ją.

Tym razem poszliśmy do baru kawowego. Oda kupiła dwie mocne kawy, które okazały się gorącą brązową wodą w kartonowych kubkach. Niemniej doceniałem jej dobre chęci. Przynajmniej miałem czym popić tabletki przeciwbólowe. Gdy wyszliśmy z lokalu, trzymając w rękach kubki, w pobliżu było już słychać syreny.

- Czy może nas wytropić? - zapytała.

- Kto?

- Pan Pinner.

- Nie mam pojęcia. Lepiej stąd zmiatajmy.

Pojechaliśmy naziemnym pociągiem do Clapham Junction, siedząc w milczeniu przy oknie. Nie mógłbym wejść do metra, po prostu nie mógłbym.

Dotarliśmy na miejsce i przesiedliśmy się do pociągu do Waterloo.

Oda nie patrzyła mi w oczy. Wyglądała w milczeniu przez okno, próbując usunąć brud spod paznokci. Był czarny i czerwony od zakrzepłej krwi. Nadal nie chciała na mnie spojrzeć.

- Czy musimy znaleźć ci lekarza? - zapytała na dworcu Waterloo.

- Prędzej czy później będziemy musieli - odparłem. - Ale najpierw chcę zobaczyć rzekę.

* * *

Zeszliśmy do przejść podziemnych biegnących pod rondem przed Waterloo Bridge, okrążyliśmy Imap i skierowaliśmy się na północ. Czulem zapach rzeki, smak jej starej magii w powietrzu chłodził mi poparzoną skórę i łagodził ciężar dźwigany przez moje nogi. Deszcz przestał padać, chodnik błyszczał od czystej, umytej ciemności, nadszedł odpływ i pod nadrzecznymi murami było widać miękki, absolutnie gładki piasek. Osunąłem się z radością na ławkę przed National Theatre, pod bezlistnymi gałęziami obwieszonych lampkami choinkowymi drzew. Drewniana ławka nadal była wilgotna po deszczu, a przesłonięte monotonną mgiełką miasto miało szarawy kolor. Było cicho i pięknie. Gdzieś za tymi wszystkimi murami milion ludzi zajmował się tym, czym tam właściwie zajmują się ludzie w takich biurach po przerwie obiadowej. Nie musiałem nic wiedzieć o żadnym z nich, wystarczyło mi, że mogę siedzieć tu, w samym środku wszechświata, i słuchać rzeki, która płynęła dla mnie, tylko dla mnie.

Oda stała za moimi plecami.

Bang, pomyślałem.

Bang, trzy razy w pierś i dwa razy w głowę.

Bang, bang, bang.

To było publiczne miejsce, pełne wszechobecnych kamer ulicznych, oczu w oknach teatralnych kawiarni, kupujących bilety, czytających książki, spacerujących brzegiem rzeki, turystów z małymi dziećmi trzymającymi balony.

Wsunąłem palce pod koszulkę z napisem **GARAMOND TO NAJLEPSZA CZCIONKA NA ŚWIECIE** i poczułem lepką krew, przesączającą się przez bandaż, który zawiązała mi Oda. Przyjrzałem się koniuszkom swych palców. Krew była rzadka i czerwona.

Wytarłem ją od niechcenia o spodnie, wciągając jednocześnie w płuca nieco głębszy haust rzeczno-powietrza.

Potem, ponieważ Oda najwyraźniej nie miała ochoty ze mną rozmawiać, wstałem, podszedłem do barierki i przeszedłem nad nią. Schody, prawie zupełnie pozbawione tarcia od cienkiej warstwy zielonego szlamu, prowadziły na nadrzeczną, niemal całkowicie piaszczystą plażę. Zlazłem na dół, podszedłem do miejsca, gdzie zaczynała się Tamiza, umyłem ręce w rzecznej wodzie i wróciłem na piasek. Oda przystanąła na szczycie schodów. Wyglądała jak...

nic. Ręce skrzyżowane na piersi i twarz pozbawiona wyrazu. Nie odzywała się, nic nie robiła, tylko się przyglądała.

Pogrzebałem stopą w piasku, zobaczyłem sączącą się z niego wodę, i bardzo ostrożnie napisałem czubkiem buta:

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ.

- Czy to rozsądne? - zapytała kobieta.

- Odo? - odezwałem się, spoglądając na nią.

- Słucham?

- Chyba wiem, co tu jest grane.

- Naprawdę.

To nie było pytanie, nie czekała na odpowiedź. Ja jednak znałem rozwiązanie i podniecenie kazało mi mówić dalej.

- Odo?

- Słucham?

- Chyba wiem, jak zabić pana Pinnera.

Po raz pierwszy na twarzy mojej towarzyszki pojawiło się zainteresowanie.

* * *

Trzeba będzie trochę pochodzić.

Nie znosiłem Rajców, ale miło jest mieć kogoś, kto będzie łaził za ciebie.

Poszliśmy na Aldermanbury Square.

- Pan nadal...? - odezwał się Earle.

- Żyje, tak. Zauważyłem.

W dalszym ciągu siedział za biurkiem. Wciąż miał na sobie nieskazitelny garnitur i sprawiał

wrażenie, że nic go nie rusza. Znowu pił kawę. Nic dziwnego, że najwyraźniej nigdy nie spał.

- Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem, by to zabrzmiało tak...

- Moja sztuczka ma tę jedną zaletę, że zawsze wszystkich zaskakuje - odparłem, osuwając się na krzesło ustawione przed jego wielkim biurkiem. - Pańscy ludzie nie żyją.

Jego twarz pociemniała.

- Znalazł pan...

- Nie żyją. Wszyscy. I chłopak... Mo... też nie żyje.

Loren.

Nie pomyślałem o tym, ale co mogliśmy jej powiedzieć?

- Ale pan najwyraźniej...

- Nadal żyję, tak, wiem o tym. To dziwne, prawda? Mam pewną teorię, panie Earle.

Dokładniej mówiąc, mam całą masę wiarygodnych hipotez, które razem składają się na imponującą rewelacyjną teorię. Chce pan ją usłyszeć?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli ma związek z naszym obecnym dylematem.

- Panie Earle, czy nie niepokoi pana fakt, że beznadziejny palant, za jakiego najwyraźniej mnie pan uważa, nadal żyje?

- Nie można wykluczyć możliwości, że nie jest pan palantem, lecz czarnym charakterem, panie Swift.

- Chce pan usłyszeć tę teorię, czy nie?

- A czy ona wyjaśni przyczynę śmierci, do których coraz częściej tu dochodzi?

- Całkiem możliwe. Potrzebuję tylko pół godziny medycznych zabiegów, by się nią z panem podzielić.

* * *

W gmachu firmy Harlun i Phelps mieli mały gabinet lekarski.

To oczywiste.

Mieli tu też salę gimnastyczną, dwie stołówki, bankomat i psychoterapeutę. Wszystko, co usprawnia działanie korporacji.

Podali nam środki przeciwbólowe.

Zaczynaliśmy rozumieć dlaczego w czasach przed wynalezieniem anestezji Biblia musiała podkreślać, że samobójstwo jest grzechem. Tylko groźba wiecznego potępienia mogła powstrzymać całą ludzkość przed skończeniem ze sobą na pierwszą wzmiankę o dentyście.

Oda stała przy drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi, jej ciemne oczy kryły się pod opadającymi powiekami. Earle siedział na małym krześle, założywszy nogę na nogę.

Wyglądał na bardzo niezadowolonego, że musi się z nami spotykać w miejscu, gdzie nie było projektora kompatybilnego z Power Pointem. Ja siedziałem na przykrytym papierem łóżku i jadłem. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy głodni, dopóki ktoś nie zaproponował nam posiłku. Teraz wycieraliśmy palcami sos z talerza i oblizywaliśmy je, żałując, że brak nam śmiałości, by po prostu wylizać naczynie.

- Oddajcie mi mój kapelusz - odezwałem się.

- Lepiej niech to zabrzmii przekonująco, panie Swift.

- Czy nie wydaje się panu dziwne, że te napisy pojawiły w chwili przybycia śmierci miast? Kruki zabito i wypisano te słowa, Mur sprofanowano i napis głosi „oddajcie mi mój kapelusz”. Londyński Kamień rozbito i znowu to samo. Wszędzie „oddajcie mi mój kapelusz”. Wiem, że mistycy często wyrażają się niejasno. Tylko dzięki temu mogą w ogóle funkcjonować w naszym skłonny do pieniactwa wieku. Z pewnością jednak ta fraza, powtarzająca się bez końca na miejskich ulicach, jako zapowiedź zagłady jest równie osobliwa jak Abba podczas Armagedonu. To musi coś znaczyć, musi w tym być coś więcej niż tylko przypadkowe słowa. W przeciwnym razie, czemu służyłby ten napis? To jest pierwszy punkt. Drugi to śmierć miast. Dlaczego przybył do Londynu akurat teraz? Niech pan zwróci uwagę, gdzie dotąd się pojawiał. W Hiroszynie, kiedy spadła bomba. W Rzymie, gdy nadeszli Wandale. W Babilonie, w chwili upadku murów. W Londynie, podczas wielkiego pożaru. Do Pompejów sprowadził go wybuch wulkanu, a do Nowego Orleanu przerwanie tamy. Czy mamy przyjąć założenie, że był przyczyną tych wszystkich wydarzeń? W takim razie, dlaczego jeszcze nie zniszczył Londynu? Śmierć miast nie jest twórcą tych wydarzeń.

One go tylko wzywają. Rzecz jasna, może swą obecnością pogorszyć sytuację, rozniecić ogień albo zapalić światła w ciemności, by wskazać bombowcom drogę do celu. Zawsze jednak przybywa tam, gdzie ma się coś wydarzyć. Karmi się śmiercią miast, ale nie jest jej przyczyną. Co więc sprowadza go do Londynu? Dlaczego teraz? Jaka katastrofa sprawiła, że przybył do naszego miasta i zainteresował się poczynaniami chłopaka, który lubił się kręcić po Willesden? Że zadał sobie trud, by zabić Nocnego Burmistrza i otruć kruki z Tower? Co wezwało go do nas teraz, gdy nie ma wojny, a zapora przeciwpowodziowa na Tamizie trzyma się mocno? Sądzę, że śmiało możemy przyjąć założenie, że jego obecność zapowiada katastrofę o mistycznej naturze. Gdyby chodziło o zamach bombowy w Westminster, podejrzewam, że pan Pinner byłby zbyt zajęty zabijaniem oficerów MI5, by zawracać sobie głowę nami. Tu chodzi o magię i tylko o nią. Innymi słowy, do Londynu zwabiło go jakieś magiczne wydarzenie. Czy do tej pory wszyscy są zadowoleni?

Rozejrzałem się, spoglądając na wszystkich obecnych w pokoju.

Wyglądali na niezadowolonych, ale nikt nie chciał się odzywać.

- Mo powiedział przed śmiercią, zanim pan Pinner zadał sobie sporo trudu, by się upewnić, że chłopak umrze, nim zadał mu ból, ukarał go, przysporzył mu... straszliwych cierpień... Mo powiedział, że zabrał kapelusz strażniczce ruchu. Za to właśnie spotkała go kara. Śmierć miast, sądzę, że możemy być pewni, że mamy do czynienia właśnie z nim, nie zawraca sobie głowy indywidualnymi ludźmi. Obchodzą go cegły, kamienie i ulice, idee większe niż ktokolwiek z nas. Dlaczego więc zainteresował się Mo? Karał go bardzo okrutnie i z pełną świadomością. Kazał Bum Bumowi porwać go z klubu, tylko jego i nikogo innego.

Podkreślił też, że chłopak musi być żywy. Chciał mu zadać ból, porzucić go na wysypisku, obrócić jego krew w atrament. Mo zabrał kapelusz strażniczki ruchu i na murach pojawiły się napisy mówiące „oddajcie mi mój kapelusz”. Pan Pinner powiedział też, że ułatwiłem mu zadanie. Przez to, że zabiłem Bakkera. Że... doprowadzając do upadku Bakkera, otworzyłem mu drogę do miasta. Co prawda, Wieża była potężna, ale nie sądzę, by nawet pan Bakker był

w stanie powstrzymać pana Pinnera, gdyby ten zapragnął przybyć do Londynu. Była jednak pewna rzecz, którą pan Bakker robił bardzo dobrze i właściwie bez zastanowienia. Świetnie mu szło zabijanie czarnoksiężników. Kiedy Nair zginął, uznał pan, że to ja go zabiłem, ponieważ byłem ostatnim wyszkolonym czarnoksiężnikiem w mieście. Nie lubi pan czarnoksiężników, panie Earle. Uważa nas pan za niebezpiecznych, niestabilnych i zawsze zagrożonych szaleństwem. Przede wszystkim to ostatnie. Myli się pan, ale w tym przypadku nie o to akurat chodzi. Zabijając pana Bakkera, położyłem kres systematycznemu mordowaniu czarnoksiężników, ale przedtem zginęliśmy niemal wszyscy. Nie ma komu szkolić nowych uczniów. A jeśli komukolwiek grozi obłąd, niewyszkolony czarnoksiężnik z pewnością jest pierwszoplanowym kandydatem. Oto więc co moim zdaniem się wydarzyło.

Myślę, że „oddajcie mi mój kapelusz” to ostrzeżenie. Nie pochodzi od pana Pinnera, lecz od miasta. Londyński Kamień, Nocny Burmistrz, kruki, wszystko to są elementy systemu obronnego miasta, a dopóki choć jeden z nich istnieje, magiczna obrona nadal działa. Myślę, że to ostrzeżenie, mające nam powiedzieć, co się wydarzyło. Przypuszczam, że gdy Mo ukraść kapelusz strażniczce ruchu, jego ofiarą padł ktoś, kto miał w sobie mnóstwo gniewu, żądy zemsty, furii i mocy. Wystarczająco wiele, by wezwać śmierć miast. Pana Pinnera przywołała strażniczka ruchu. Mo powiedział, że ukraść jej kapelusz. Dlatego właśnie musiał

umrzeć na złomowisku. To była kara, zemsta na chłopaku, który był tak pełen pychy i pogardy dla obcych ludzi, że okradał ich tylko dla zabawy. Dlatego inny obcy wywarł na nim zemstę. Otruł go i porzucił, by Mo umarł możliwie najbardziej bolesną śmiercią. „Oddajcie mi mój kapelusz”. Tak brzmią napisy na murach. Proszę pomyśleć o geografii. Mo kręcił się po Willesden, przetrzymywano go w Kilburn, Nair zginął również w Kilburn, a kapelusz ukradziono w Dollis Hill. Wszystkie te miejsca dzieli od siebie zaledwie kilka mil. Proszę pomyśleć o napisach na murach, o tym, kiedy się zjawiał pan Pinner, co spotkało chłopaka i dlaczego zginął Nair. O naturze wszystkiego, co wydarzyło się do tej pory. Żadna grupa zawodowa w mieście nie jest bardziej zniechęcona niż strażnicy ruchu. Nawet policja nie jest narażona na tak wiele ataków, obelg i pospolitego okrucieństwa. Proszę pomyśleć, jak coś takiego musiałoby wpłynąć na niewyszkolonego czarnoksiężnika, który wie, co krzyczy do niego miasto, czuje w powietrzu smak życia oraz magii i nie znajduje w nim nic poza

wrogością. Proszę pomyśleć, dlaczego podejrzewał pan mnie. Czarnoksiężnik mógłby to zrobić. W tym mieście być może tylko czarnoksiężnik mógłby to zrobić, potrafiłby wezwać coś tak potężnego i mściwego jak śmierć miast. Ta strażniczka ruchu jest chodzącą mistyczną bombą. Zniszczy nas wszystkich. Śmierć miast jest jej zemstą za pogardę okazaną przez nieznanego. Oczywiście, wszystko to tylko hipoteza, pewna na 99 procent, ale jeśli nie ma pan lepszego pomysłu, sugeruję, że powinniśmy odnaleźć strażniczkę ruchu, której ukradziono kapelusz, i powstrzymać ją, powstrzymać śmierć miast. Uważam, że powinniśmy ją zabić, nim będzie za późno.

Część 4

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

W której dyskutuje się o potępieniu,

znajduje się kapelusz, a naturę obcych

gruntownie omawia się na London Bridge.

Znowu trzeba było trochę pochodzić.

Ale tym razem miałem ludzi, którzy robili to za mnie.

Kierownicze stanowiska mają swoje zalety.

Rozwaliłem się na ozdobnej puchatej sofie w gabinecie ulokowanym piętro niżej od gabinetu pana Earle'a i czekałem cierpliwie.

Od czasu do czasu zjawiali się tu różni ludzie. Lekarz zakładowy przychodził

sprawdzić szwy i zmierzyć mi ciśnienie, pracownik roznoszący posiłki zaopatrywał mnie w kawę i herbatniki o tak wysokiej jakości i cenie, że moje kubki smakowe, przyzwyczajone do ciasteczek z tanimi kremami albo dżemami, odczuwały lekki niepokój. Kilkakrotnie zjawiała się Oda. Sprawiała wrażenie, że ma coś do powiedzenia, ale potem tylko spoglądała na nas, kiwała głową, jakby chciała rzec: „nadal tu jesteś, dobrze, nigdzie nie idź”, a potem wychodziła.

Raz - tylko raz - przyszedł Earle.

Przyniósł wielkie białe pudło i postawił je na stole przede mną.

- Niech pan je otworzy - powiedział.

Zrobiłem to, bardzo ostrożnie, spodziewając się węży.

To był wielki czarny płaszcz.

- Hmm...? - mruknąłem.

- To dla pana.

- He?

- Płaszcz Rajcy. Symbol naszego urzędu.

- Ale ja nie jestem Rajcą.

- To prawda, ale jest pan Nocnym Burmistrzem, a związek między naszymi urzędami zawsze był bliski. Poza tym, płaszcz, który obecnie pan nosi, wygląda fatalnie i trzeba go zastąpić. Dołączyliśmy też wizytówkę krawca, który uszyje panu garnitur. Nie ma pan garnituru, prawda?

Przypomniałem sobie wygodny dotyk mojego wyblakłego, spranego płaszcza oraz lepkie zakłątka wszyte w jego podszewkę. Uśmiechnąłem się najlepiej, jak potrafiłem.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - odparłem. - Doceniam ten gest, to bardzo piękny płaszcz, ale wolałbym zachować swój jeszcze przez pewien czas, bo... rozumie pan... są w nim zakłęcia i inne takie rzeczy, a żeby je przeszyć, potrzeba by sporo czasu. Jestem pewien, że pan to zrozumie.

Rozciągnął usta w uśmiechu szerokim jak oko tasiemca, zostawiając na stole cholerne białe pudło z pieprzonym czarnym płaszczem.

* * *

Ktoś chodził za mnie.

Popołudnie powoli zmieniało się w wieczór.

Wieczór zapalił światła za wielkimi szybami biur, pokrywając ściany miejskich wieżowców szalonymi geometrycznymi wzorami jasności i mroku.

Gdzieś, w jakimś gabinecie na innym piętrze, ktoś, kto nie wiedział dlaczego przydzielono mu to zadanie, i nie rozumiał, co właściwie może w ten sposób osiągnąć, trzymał w nieco zabrudzonych rękach sprawozdanie policyjne z Dollis Hill.

W innym miejscu jakaś druga osoba, która nie wiedziała, co robi, ale zdawała sobie sprawę, że drogą do awansu jest niezachwiane posłuszeństwo w połączeniu z odrobiną inicjatywy potrzebną, by zostać zauważonym, znalazła zapis pewnej kamery ulicznej w północno-zachodnim Londynie.

Kilka minut później ta sama osoba miała zadzwonić do kogoś w Brent Council, wymienić kilka nazwisk, podać trochę cyfr i zadać parę uprzejmych pytań na temat kontroli ruchu drogowego w Kilburn.

Awans był coraz bliżej.

Gapiałem się na sufit.

Wyłożono go białymi panelami wspartymi na metalowym szkielecie, a pośrodku umieszczono lampę jarzeniową. Wyglądał jak coś, po czym mógłby się czołgać Bruce Willis w przepoconej kamizelce.

Godzina szczytu.

Nie musiałem patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że nadeszła. Wystarczyło zamknąć oczy i natychmiast czułem ją na granicy postrzegania: narastające ciepło na skórze, niepokojące ruchy w żołądku, swędzenie czubków palców u nóg. Godzina szczytu w mieście tak wielkim, że próba wyobrażenia sobie jego skali groziła szaleństwem. Oto była ona: łokieć wciskał się w łokieć w metrze, głowa uderzała o głowę, gdy tylko pociąg się zakołysał, a udo muskało udo, bliskie jak kochankowie w zimną noc. Torby stukały o siebie, wyrzucano gazety, śmieci sypały się na ulice, autobusy uginały się pod ciężarem spoczywających na siedzeniach tyłków i posuwających się ku wyjściu nóg, drzwi otwierały się na *bipbipbip*, było za mało miejsca, by oddychać, szyby pokrywał jasny opar, tysiące nieznajomych na peronach przepychały się ku śmiercionośnej żółtej linii trzeciej szyny. Silniki włączały się z głośnym skowytom, z kawiarń buchała para, pachnąca kawą i mleczną pianką, na ulicach zapalały się światła, stopy stukały o mokry chodnik, parasole wywracały się na drugą stronę na porywistym wietrze. Trzecia szyna.

Tak łatwo wpaść w obłąd, jeśli tylko do tego dopuścimy. Dlatego właśnie istnieli czarnoksiężnicy i uczniowie czarnoksiężników, mili staruszkowie, którzy znajdowali cię, gdy byłeś nastolatkiem, odprowadzali na bok i mówili: „Posłuchaj, Matthew, muszę ci wytłumaczyć zapewniające bezpieczeństwo i zachowanie zdrowia procedury, których musisz przestrzegać, używając magii”. Dlatego że jeśli ktoś przyjrzy się jej zbyt uważnie, zacznie pojmować jej wielkość i piękno, może czasami zapomnieć o własnym ja.

Tymczasem w jednym z biur firmy Harlun i Phelps, młody pracownik, mający przed sobą wspianą karierę pod warunkiem, że nie będzie zadawał zbyt wielu pytań, czytał skargę napisaną kilka tygodni temu przez strażniczkę ruchu, zaatakowaną na służbie w Dollis Hill, i uświadamiał sobie powoli, że znalazł to, czego szukał pan Earle.

W skardze było nawet nazwisko i adres.

* * *

Oda otworzyła drzwi i wsunęła głowę do środka.

- Znaleźli ją - oznajmiła.

- He? - zapytałem, otwierając zaspane oczy.

- Strażniczkę ruchu. Rajcy ją znaleźli.

* * *

To nie jest takie trudne, jeśli ktoś wie, jak się do tego zabrać.

Chwała londyńskiej policji i jej efektywnemu systemowi rejestracji danych.

Spotkaliśmy się w sali konferencyjnej - Earle, ja, Oda, i ci Rajcy, którzy jeszcze nie padli na posterunku. A nawet Sinclair. Siedział kilka miejsc od mnie i nie chciał patrzeć mi w oczy.

Bał się nas.

Sądząc po tym, jak wielu Rajców również nie chciało nam spojrzeć w oczy, nawet ze złością, oni również się bali.

Nadal żyłem. Niespodzianka!

Na biurku Earle'a leżała sterta papierów. Ktoś zadał sobie trud, by wydrukować wiele egzemplarzy i pozszywać strony.

- Będę się streszczał, bo nie znoszę długich zebrań - zaczął Earle. - Pani McGuinness będzie protokołowała, chciałbym też powitać pana Sinclaira... zatroskanego obywatela...

którego wszyscy z pewnością pamiętają z poprzednich spotkań, a także panią... - Zawahał się.

- Wystarczy Oda - odpowiedziała spokojnie kobieta.

- Panią Odę reprezentującą Zakon i oczywiście pana Swifta, naszego nowego Nocnego Burmistrza. Plan zebrania jest krótki i rzeczowy. Wszyscy powinniście mieć egzemplarze.

Mieliśmy, wydrukowane na białym papierze ze znakiem firmy. Składał się z dwóch punktów:

1. Najpilniejsze sprawy i wyrazy żalu.

2. Śmierć miast.

Zastanawiałem się, która sekretarka go pisała.

- Jak z pewnością wiecie, pan Kemsley przebywa w szpitalu. Jego stan się ustabilizował, ale pozostaje krytyczny. Wysłano kwiaty i po budynku krążą życzenia powrotu do zdrowia. Chciałbym, by wszyscy je podpisali. Druga stojąca przed nami sprawa to problem, który nazwaliśmy „śmiercią miast”. Zdaję sobie sprawę, że ten termin brzmi bardziej szumnie i melodramatycznie niż wszystko, do czego jesteśmy przyzwyczajeni na podobnych zebraniach, obawiam się jednak, że może być trafny. Tym, którzy potrzebują dokładniejszych wyjaśnień, radzę sprawdzić protokół naszego poprzedniego zebrania. Jakiś czas po nim pan Swift wystąpił z dość niezwykłą sugestią.

Spojrzał na mnie. Cała reszta również. Wzruszyłem ramionami.

- Jasne - zgodziłem się. - Myślę, że to wszystko przez strażniczkę ruchu. To ona wezwała śmierć miast. Jest dla niej narzędziem zemsty, zniszczenia, odwetu, jak to tam zwał.

To ona będzie przyczyną katastrofy. Coś jeszcze?

Pan Earle obdarzył mnie uśmiechem, jaki zapewne rezerwował dla specjalnej grupy pracowników,

k którzy przychodzili do jego gabinetu o pierwszej po południu w piątek, by oznajmić, że nie mają już nic do roboty i chcieliby iść do domu, zgoda? Taki uśmiech gwarantował delikwentowi pogrzeb w trumnie ze sklejki.

- Sprawdźcie to w aktach, które wam wydano - zaczął. Przemawiał do wszystkich, ale patrzył tylko na mnie. - Przed trzema tygodniami strażniczka ruchu pełniąca służbę w Dollis Hill przysłała na miejscowy posterunek, by zameldować, że banda rowerzystów ukradła jej kapelusz i odjechała, jak to ujęła „śmiejąc się i obrzucając mnie rasistowskimi obelgami”.

Policyjne sprawozdanie wspomina, że kobieta była skrajnie zdenerwowana, co może być zrozumiałe w świetle faktu, że to była jej trzecia wizyta na policji w ciągu trzech miesięcy.

Dwa tygodnie przed tym wydarzeniem opluto ją na ulicy, a jeszcze miesiąc przedtem kierowca corsy zaparkowanej nieprawidłowo na podwójnej żółtej linii pobił ją tak mocno, że potrzebne były szwy i dwudniowy pobyt w miejscowym szpitalu. Zdaniem autora raportu, fakt, że kapelusz ukradł jej jakiś chłopak, który potem odjechał ze śmiechem na rowerze, stał

się dla niej ostatnią kroplą przepełniającą czarę. Akt chaotycznego bezsensownego okrucieństwa, jakiego dopuścił się ktoś całkowicie nieznamy, może w odpowiednim miejscu w przypadku odpowiedniej osoby będącej w odpowiednim nastroju stać się motywacją do nierozsądnych uczynków. Następnego dnia kobieta rzuciła pracę strażnika ruchu. Powiniennem też dodać, że nasze służby kredytowe meldują, że jej sytuacja finansowa jest kiepska. Pochodzi z rodziny imigrantów, uzyskała prawo pobytu dzięki temu, że urodziła się w Zjednoczonym Królestwie, ale rodzice szybko ją porzucili i wrócili tam, skąd przyjechali, pozostawiając ten problem państwu, które uporało się z nim w typowy dla siebie sposób. Panie i panowie, śmiem zauważyć, że właśnie tego typu skrajnie nieprzystosowana i niestabilna osoba może w odpowiednich warunkach, być może nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, okazać się skłonna do nierozsądnych uczynków mogących stać się potężnym ciosem dla naszego miasta. Gdybyśmy byli Samarytanami, zasugerowałbym kubek gorącej zupy i miłą rozmowę z psychologiem, ale sytuacja zaszła już za daleko. Macie przed sobą fakty. Jeśli ta kobieta rzeczywiście jest powodem, dla którego pan Pinner przybył do naszego miasta, jak sugerują poszlaki, zgłaszam wniosek o przegłosowanie sugestii zgłoszonej przez Naszego Nocnego Burmistrza. Proponuję uznać tę strażniczkę ruchu, której kapelusz tak pechowo ukradziono, za niemożliwą do zaakceptowania groźbę dla bezpieczeństwa miasta i wyeliminować ją, nim do Londynu przybędzie śmierć, którą z całą pewnością próbuje sprowadzić pan Pinner. Proponuję przegłosować to natychmiast, jeśli nie ma sprzeciwów.

Nie było.

Wszyscy zagłosowali.

Nikt nie podniósł ręki na „przeciw”.

- Panie Swift? - odezwał się Earle. - Pan nie zagłosował.

- Nie wiedziałem, że jestem uprawniony.

- Jest pan członkiem tej rady.
- Naprawdę?
- Tak. To był pański pomysł, pańskie rozumowanie i pańska propozycja.
- Aha. Rozumiem.
- Jak więc pan głosuje?
- Nie wiem... nie wiemy... to znaczy, nie wiem...

Opuściłem głowę.

- Jak ona się nazywa? - zapytałem.
- Czy to ważne?
- Pytam tylko z ciekawości.
- Nazywa się Penny Ngwenya. Jak pan głosuje, panie Swift?

Gapiliśmy się na własne stopy.

Jak postąpiłby Nocny Burmistrz?

Uniosłem rękę.

* * *

Penny Ngwenya.

Opluto ją, pobito, ukradziono jej kapelusz.

Oddajcie mi mój kapelusz.

Dollis Hill.

Za dużo przypadków.

Mo ukradł kapelusz strażniczce ruchu w Dollis Hill i ukarano go za tę zbrodnię.

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

Penny Ngwenya, imigrantka uwięziona w systemie, niemająca pieniędzy, opluwana, bita i okradana, zgłosiła zawiadomienie o przestępstwie, ale policja nie podjęła żadnych kroków.

I do miasta przybył pan Pinner.

Penny Ngwenya.

Biedna mała Penny Ngwenya zapewne nawet nie miała pojęcia, co zrobiła i co będziemy musieli uczynić w odpowiedzi. Miałem jednak nadzieję, że o tym wie. Wtedy to byłoby łatwiejsze. Wtedy mógłbym powiedzieć Loren.

Wsiedliśmy do samochodu.

* * *

Okazało się, że to wcale nie tak daleko.

St Pancras International. Gdzieś około roku 1830 jakiś mędrak wykombinował, że ponieważ gmachy Parlamentu się spaliły, trzeba ogłosić konkurs na projekt nowych. St Pancras to była jedna ze zgłoszonych prac. Gdyby brytyjscy premierzy nosili powłóczyste płaszcze i chichotali złowieszczo do księżyca, byłoby to świetne miejsce na siedzibę rządu.

Czerwone ceglane wieże o ostrych zakończeniach, zegar, który nigdy nie mógł się zgodzić ze swym sąsiadem na wieży King's Cross, długi jasnoszaroniebieski łuk widoczny aż ze szczytu Pentonville Hill albo z dachów bloków w Camden. Wyłożone płytkami schody, marmurowe kolumny, czerwone cegły kryjące rozkładające się wewnątrz pełne nagich kabli i rur, niedbale osłoniętych przed okiem ogółu. To nie był delikatny budynek. Nie było też pod nim gdzie zaparkować. Umieszczanie międzynarodowych dworców na linii przebiegu głównych ulic ma swoje wady.

- Jesteście pewni...? - zapytałem.

- Tu pracuje.

- Jako kto?

- Jako sprzątaczką.

Spojrzałem na jasny zegar na głównej wieży, na intensywny ruch zatrzymujący się co chwila przed niezliczonymi światłami na Euston Road, na ludzi czekających na taksówki pod metalowym dachem King's Cross.

- Wysadźcie mnie tutaj i znajdźcie jakieś miejsce do parkowania.

- Dokąd chce pan iść?

- Jeśli ta Penny Ngwenya rzeczywiście jest wszystkiemu winna, odszukam ją. Mówię poważnie. Przyprawdźcie mi kogoś, kto znajdzie ją szybciej ode mnie, a oddam mu płaszcz.

Oda poszła ze mną. Nie było sensu się sprzeciwiać. Wysadzili nas tuż za British Library. Złamali przepisy ruchu, wjeżdżając na chwilę na pas dla autobusów, bym mógł skryć się w cieniu wielkich beżowych gmachów, odwróconych plecami do ulicznego ruchu, a przodem zwracających się ku spokojniejszym ulicom Bloomsbury. Od lodowatego wiatru szczypało mnie w nos, a uszy chciały mi

odpaść. Zapiąłem szczelniej płaszcz pod szyją i pośpieszyłem w stronę świateł. Rajcy w swych wielkich samochodach, za które słusznie płacili wysoki podatek ekologiczny, pojechali poszukać miejsca do parkowania.

- Bez Rajców nic nie zrobimy - zapowiedziała Oda.

- Jasne. Chcę się tylko rozejrzeć.

- Czarnoksiężniku...

W jej głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

- Musimy się upewnić. Nie chciałabyś, żeby załatwili niewinną osobę, prawda?

- Błędnie zrozumiałaś przyczyny mojego niepokoju. Chodzi mi o szersze spojrzenie.

- No pewnie. To głupio z mojej strony.

Dworzec podzielono na trzy części: międzynarodową, krajową i stację metra.

Wyglądało na to, że łatwiej dostaniemy się do środka przez niskie, rzeźbione wejście do metra niż przez wysoki łuk prowadzący do głównego dworca. Szkło i jaskrawe światła, piszczące bramki, furkoczące automaty biletowe, mężczyźni i kobiety w granatowych mundurach policyjnych. Oczywiście - policja. W końcu to międzynarodowy dworzec.

- Wiesz co? - wyszeptałem. - Jeśli ta Ngwenya rzeczywiście jest winna, St Pancras może nie być najlepszym miejscem na...

- Są na to sposoby.

- Naprawdę? Chcesz powiedzieć, że mogłabyś...

- Gdybym opowiedziała ci o swoich metodach - przerwała mi ze spokojem -

mogłabym nie być w stanie ich później wykorzystać.

Odwróciliśmy wzrok.

Z głównej stacji odjeżdżały pociągi do Glasgow, Paryża, Brukseli, Lille oraz, dla prawdziwych masochistów, do Disneylandu. Zbudowano ją z myślą o imponującym wrażeniu. Dach usytuowany był wyżej niż przeciętne chmury zimą w mieście, peron był

dłuższy niż większość przystanków autobusowych. Wszystkie pomieszczenia wypełniało takie samo zimne, bladoniebieskie światło, padające na szkło i stal, łączone tu ze sobą, jakby były elementami o tej samej naturze - nowoczesna prostota przechodząca w gotycką wspaniałość. Podobne połączenie starego z nowym powinno budzić irytację, tu jednak oba style celowały w przestronny splendor, mający uzmysłwić każdemu pasażerowi, który jeszcze się tego nie domyślił, że dotarł do Londynu,

do samej stolicy, i powinien uważać na portfel.

W powietrzu unosił się łoskot silników lokomotyw linii Eurostar, które od głównego holu dzieliła tylko cienka tafla szkła, grupka niesympatycznych gliniarzy oraz prawo międzynarodowe. Wyruszający w drogę turyści mogli nabyć szampana za siedemdziesiąt funtów w sąsiadującym z najbliższym długim peronem barze, gdzie zamiast krzeseł były skórzane sofy. Kupujący, którzy mieli jeszcze wolne miejsca w torbach, mogli zjechać na dół, gdzie były budki kontroli paszportowej i w słoczonych obok maszyn rentgenowskich sklepach kupić różne rzeczy - od kiczowatych powieści aż po musującą sól do kąpieli. W

kawiarniach przybyszom z Paryża oferowano croissanty i mocną czarną kawę, mające złagodzić wywołany fasolką w sosie pomidorowym szok kulturowy, jaki ich czekał. W

sklepach monopolowych sprzedawano alkohol po obniżonych cenach na prezenty dla rodziny, w sklepach z artykułami skórzanymi biznesmeni mogli zaś zaopatrzyć się w najlepsze teczki. Cały dworzec lśnił od handlowych atrakcji.

I cały dworzec lśnił, bo było komu go sprzątać.

Zatrzymaliśmy się z Odą na szczycie schodów ruchomych, obserwując główną salę handlową znajdującą się na dole. Na stacji roiło się od ludzi, którzy przed chwilą przyjechali albo właśnie zmierzali do ostatniego pociągu odjeżdżającego na kontynent. Wszędzie było pełno bagaży, policjantów, celników, kupujących i sprzedających.

- Wiemy chociaż, jak ona wygląda? - zapytała Oda.

- Poznamy ją.

- Dzięki swej naturze Jedi? - burknęła.

- Dlatego że jeśli ktoś wezwał śmierć miast, z pewnością musi się czymś wyróżniać.

Czy szersze spojrzenie, o którym mówiłaś, nie znaczy, że powinnaś korzystać z moich potężnych i nadzwyczajnych zdolności?

- Do tej pory nie okazałeś się zbyt potężny - poskarżyła się.

- Uratowaliśmy ci życie.

Umilkła.

- Nie liczyłem na to, że... - Urwałem. - Przepraszam - dodałem po chwili.

- Przepraszasz? Mówisz, jakby to coś dla ciebie znaczyło. Jest ci przykro, żałujesz, czujesz skruchę?

- Nie wiem. Po prostu wydawało mi się, że chciałabyś to usłyszeć.

- Powinam cię załatwić.

- Ustaw się w kolejce. Nadal mnie potrzebujesz.

- Mniej, niż ci się zapewne zdaje. Mamy twoje teorie.

Wzruszyłem ramionami.

- To tylko teorie. Jeśli się mylę, nadal będziecie potrzebowali Nocnego Burmistrza.

Jak uważasz, dlaczego Nair mnie w to wrobił? - zapytałem ze szczerym zainteresowaniem.

Wzruszyła ramionami.

- Czy to ważne?

- Bardzo ważne. On chyba był bystrym facetem. Wystarczająco bystrym, by odnaleźć Raleigh Court i mieć w komórce dobrą książkę adresową. Earle myśli, że chciał nas oswoić.

Wciągnąć w sprawy.

- To brzmi logicznie.

- To mogło po prostu być szczęśliwe połączenie. Czysty przypadek. Jeśli ktoś nieznajomy wybiera przypadkowy numer, możesz się założyć, że prędzej czy później dodzwoni się do nas. Na pewno palce aż cię świerzbią na tę myśl. Nienawidzisz czarnoksiężników jako takich, nie znosisz niebieskich elektrycznych aniołów i boisz się Nocnego Burmistrza. Jeśli połączyć to wszystko w jednym... jestem pod wrażeniem, że nadal mnie nie załatwiłaś.

- Jesteś użyteczny.

- To samo mówili o bombie atomowej. Zatrzymajmy ją, może się kiedyś przydać.

- Matthew - zaczęła ostrym tonem, ale umilkła nagle i zaczerpnęła głęboko tchu, jakby chciała połknąć to słowo. - Czarnoksiężniku - dodała, bardziej stanowczo - jeśli nie masz nic pożytecznego do powiedzenia, zamknij się i bierz do roboty.

Zamknąłem się.

Wzięliśmy się do roboty.

Nie trwało to długo. Ludzie zadają sobie sporo trudu, by nie zauważać sprzątaczek.

Chodzi o wstyd. Pozwalamy, by rozmaity syf wypadał nam z odrętwiałych palców, a potem ktoś musi go usuwać.

Szukajcie, a znajdziecie.

Kiedy wreszcie się pokazała, ciągnąc za sobą wózek z dwoma wiadrami i całym zestawem szczotek, poznaliśmy ją, nim jeszcze mieliśmy czas to przemyśleć.

- Zaczekaj chwilkę - warknęliśmy na Odę i zeszliśmy dziarskim krokiem na dół.

Przepchnęliśmy się przez grupkę szkolnych dzieci, które przed chwilą wysiadły z pociągu, uchylił się przed banjo w rękach przebranego za Myszkę Miki muzyka wybierającego się do Disneylandu i podeszliśmy prosto do miejsca, gdzie kobieta z uwagą ustawiała żółty znak z napisem „Uwaga, śliska podłoga!”. Była zwrócona do mnie plecami.

Czarnoksiężnicy świetnie sobie radzą z zabijaniem ludzi. Ta czynność może nie wchodzić w zakres naszych obowiązków, ale... przychodzi nam naturalnie.

Zatrzymaliśmy się przed znakiem.

Uniosła wzrok. Otworzyliśmy usta.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała.

Sto sposobów na to, by zabić.

Mogłem to wszystko zakończyć już teraz. Tak właśnie wyglądał plan. Wypal jej serce, podpal mózg, zagotuj krew, połam kości. Sto sposobów, by umrzeć. Tysiąc rzeczy, które mogłem zrobić. To tylko człowiek.

- Hej, w czym mogę panu pomóc?

Do niebieskiego kombinezonu miała przypięty identyfikator z napisem „P. Ngwenya - asystentka do spraw higieny”.

Spojrzałem w parę ciemnych owali oczu osadzonych w twarzy, która również była niemal idealnym owalem, mąconym tylko zarysem lekko spłaszczzonego nosa. Czarne loki powięzała sobie w warkoczyki przylegające do czaszki tak ściśle, że kręcone włoski rosnące w przerwach między nimi wyglądały jak cienka warstewka szarej farby pokrywająca karbowaną powierzchnię.

Kobieta miała w sobie coś znajomego.

- Hmm... - mruknąłem.

Pozbawione znaczenia dźwięki pozwalające nam zyskać na czasie.

Czekała cierpliwie. Nie uśmiechała się ani nie ruszała z miejsca, tylko czekała cierpliwie, by się przekonać co zrobię. Można by niemal pomyśleć, że wie, co się musi wydarzyć.

- Hmm... - powtórzyłem.

Zauważyłem, że Oda schodzi na dół.

- Sprzątała pani kiedyś na Uniwersytecie Londyńskim? - usłyszałem czyjś głos. Ten głos należał do mnie.

- Tak - odpowiedziała, jakbym był dzieckiem pytającym, czy spada się zawsze na dół.

- Czy pana znam?

- Hmm, nie. Ja tylko...

Jak postąpiłby Nocny Burmistrz?

Uratowałby miasto.

Uratowałby kamienie, ulice, drogi, opowieści, skarby.

Umarli nie żyją.

(Ta-da! Nadal żyję).

- Wie pani, która godzina? - zapytałem.

Przez chwilę spoglądała na mnie z ukosa, starając się ukryć sceptycyzm, a potem powoli uniosła rękę w gumowej rękawicy i wskazała w górę. Na głównej ścianie naprzeciwko terminalu wyświetlano zegar wielkości parkowego placu zabaw. Była 21:23.

- Dziękuję - powiedziałem z uśmiechem.

Ponieważ Oda zdążyła już zjechać na dół, odwróciłem się i odszedłem pośpiesznie.

* * *

- I co? - zapytała moja towarzyszka.

- Słucham?

- Czy to ona?

- Co?

- Czy to czarnoksiężniczka? Poznałeś ją? Czy to Ngwenya?

- To jest Penny Ngwenya - potwierdziłem z westchnieniem.

- W takim razie musimy jakoś ją odprowadzić od tych wszystkich ludzi. Sprzątacze na pewno mają jakąś komórkę, miejsce, gdzie...

- Ona nie jest czarnoksiężniczką.

Znowu to ja się odezwałem?

Niespodzianka.

- Słucham?

- Przyjrzałem się jej. Przeczytaliśmy ją jak książkę. To zwyczajna Śmiertelniczka, sprzątaczką, nic więcej. To nie ona jest przyczyną tego wszystkiego.

- Przecież mówiłeś...

- Miałem dobrą hipotezę, która zdawała się pasować do faktów. Ale to nie ona. Albo teoria jest błędna, albo Rajcy spieprzyli sprawę. To nie Ngwenya jest winna.

Ruszyłem po schodach na górę. Chcieliśmy odetchnąć porządnym londyńskim powietrzem, zimnym i wilgotnym od deszczu, poczuć woń samochodów i autobusów, wypełnić płuca czymś czystym, iść na spacer, zastanowić się, pójść nad rzekę, oddajcie mi mój kapelusz, po prostu pomyśleć.

- Dokąd idziesz?

- Przejść się.

- A dokąd właściwie?

- Nie wiem. Nieważne. Nie wiem.

- Czarnoksiężniku!

Odwróciłem się tak szybko, że o mało na mnie nie wpadła. Potknęła się na szczycie schodów.

- Jeśli nadal będziesz wykrzykiwać to słowo publicznie, nie będę się już musiał bać strzału w ciemnościach, milczących nieznanym, noża, drutu, trucizny, igły ani bomby.

Pierdoleni sanitariusze zjawiają się szybciej z kaftanem bezpieczeństwa!

Odwrócić się, wyjść stąd, reset, restart, zacznijmy od nowa bez towarzystwa psychopatów!

(Zobacz, co jest za tobą!).

Oda popędziła za mną. Bolały mnie wszystkie części ciała. Grupa nieznanym postanowiła zadać mi ból bez żadnego cholernego powodu, po prostu dlatego że żyłem, że byłem mną, nami, czarnoksiężnikiem, nami, wybierzcie, co chcecie.

Wyjść na dobry zimny wiatr, porządny wiatr szarpiący płaszczem, wnikaający do nosa i docierający do płuc. Potrzebowaliśmy skubanej miejskiej nawałnicy. Przebiegliśmy przez Euston Road, nie

zważając na gniewny ruch, skręciliśmy w przypadkowo wybraną ulicę i ruszyliśmy przed siebie, mijając podejrzane hotele o ledwie się palących neonach, stare posępne pensjonaty, domy bliźniaki, które wyglądały na odpowiednie dla milionerów, ale mieszkali w nich studenci, a wybite okna przesłonięto sklejką. Pozwoliliśmy ceniom wlec się za nami, znowu czuliśmy w powietrzu ich smak, tak samo jak tamtej nocy, gdy wybraliśmy się na przechadzkę i umarli przyszli z nami pogadać, łapiąc nas za poły płaszcza i próbując zatrzymać.

Płyty chodnikowe poruszały się lekko pod naszymi stopami. Mijaliśmy antykwariaty, bary kawowe, w których sprzedawano podejrzane kanapki, szkoły nauki angielskiego, sklepy z częściami dla hydraulików - wszystko to wciskało się z zażenowaniem w miejsca, gdzie kiedyś spadły bomby, burząc starsze budynki - oraz zamknięte za bramami podwórka pokryte zwiędłą trawą i bezlistnymi drzewami. Neonowe światła oświetlały czarną mżawkę tak rzadką, że gdybym jej nie widział, nie zauważyłbym, że pada.

- Czarnoksiężniku!

Oda wciąż szła za nami.

- Czarnoksiężniku!

Chodzenie i myślenie w naturalny sposób łączą się ze sobą. Myślenie bez słów.

- Czarnoksiężniku, zatrzymaj się!

Złapała nas za ramię.

My również ją złapaliśmy, a potem potrząsnęliśmy zdrowo i zepchnęliśmy na jezdnię.

- Zostaw nas! - warknęliśmy. - Odejdź!

Potknęła się i upadła na środek ulicy, spoglądając na nas z wyrazem czegoś, co na niewinnej twarzy uznalibyśmy za zaskoczenie i grozę. W jej przypadku przypominało to raczej pogardę.

- Nie zabiję jej - oznajmiłem.

W oczach kobiety rozbłysło zrozumienie.

- A więc jednak jest...

- Nie.

- Jest czarno...

- Nie.

- To dlaczego nie chcesz jej zabić?

- Potępienie.

- Słucham?

- Potępienie. Ogień piekielny, Odo. Potępienie. Jeśli ktoś zabije niewinną osobę, idzie do piekła, czy nie tak to wygląda? Myślisz, że twój Bóg prowadzi rachunki? Hej, to prawda, że zastrzeliła niewinną kobietę z zimną krwią, odebrała jej życie i w związku z tym powinna przez całą wieczność dusić się w kadzi pełnej słoniowego gówna, ale hej! Popatrzcie!

Zabijała też winnych! Załatwiała ich tak samo jak niewinnych, *bang, bang*, dwie kule w głowę i trzy w pierś, czyż nie tak to wygląda? Proste rachunki, szersze spojrzenie, pozwólmy złym żyć, by dobrzy nie cierpieli nadmiernie, i, spójrzcie, złamała swe zasady i darowała życie niebieskim elektrycznym aniołom, bo dzięki temu winni mogli ratować niewinnych, a niewinnych nie wolno zabijać, nie można im robić *bang!* Ułóżmy równanie. Przyjmijmy, że jedna niewinna dusza jest warta stu winnych. Czy zabiłaś stu jeden winnych ludzi? Czy ich śmierć pozwoli ci wejść do nieba, czy raczej uważasz, że pod perłowymi bramami krew to krew, wszystko jedno z czyich żył wypłynęła? Większe zło, mniejsze zło, przeprowadźmy analizę ryzyka, zważmy wszystkie za i przeciw, przyznajmy im procentowe współczynniki, zależne od tego, kto z większym prawdopodobieństwem zamorduje nowo narodzone dziecko, a kto zadowolony się trzytygodniowym niemowlęciem z upośledzeniem słuchu? Spłoń w piekle, Odo, razem z całą resztą potępionych! Ja jej nie zabiję!

Patrzyła na nas jak... nie wiemy co. Nie potrafiliśmy tego zarejestrować.

- Zakończę tę sprawę - oznajmiłem.

- Jak? Jeżeli nie chcesz...

- Ona nie jest czarnoksiężniczką.

- Przed chwilą mówiłaś...

- Nie jest nią. Powiedz to Rajcom. Krzycz, aż przyjadą ludzie z kaftanem. Zakończę tę sprawę.

- Jak?

- Znajdę ten cholerny kapelusz. Trzymaj się z dala od nas.

- Czarnoksiężniku!

- Spłoń w piekle, Odo. Zagłosuj za zabójstwem nieznajomej. Przeprowadź obliczenia.

A potem spłoń. Opuść miasto. Uciekaj. Tak właśnie byśmy zrobili, gdybyśmy mieli szansę.

Tym razem za nami nie podążyła.

* * *

Szliśmy.

Nieważne dokąd.

Szliśmy i myśleliśmy.

Brunswick Square; restauracje, supermarket, kino - specjalność tygodnia: rumuńskie kino autorskie. Russell Square. Hotele i bankomaty. British Museum - wielkie doryckie kolumny, okna za duże, by mogły się pomieścić na jednym piętrze, plakaty. Te szczególne sklepy, przeznaczone tylko dla turystów: setki małych, machających łapkami misiów Paddingtonów, shortbread za dwa funty kawałek, tartanowe kilty i „dzieła sztuki”, wykonane niemal wyłącznie z taśmy maskującej. New Oxford Street; Gower Street; Tottenham Court Road; Oxford Street. Sklepy nadal były otwarte, nawet te, w których sprzedawano T-shirty z napisem „I LOVE LONDON” oraz wielkie skórzane buciory. W kawiarniach było tłoczono, na każdym rogu i w każdym zaułku klienci pubów wylewali się na zewnątrz, nie zważając na chłód i mżawkę. Kobiety z przekłutym nosem, noszące więcej kolczyków niż ubrania, mężczyźni o ogolonych głowach, ubrani w białe koszulki uwypuklające się pod naciskiem próbującej eksplodować na zewnątrz nadwagi. Tysiące jaskrawych świateł tak daleko, jak okiem sięgnąć; na południu gorąca, stłoczona magia Soho, na północy łatwe złudzenia i uroki Great Portland Street; czułem ich smak, mógłbym zanurzyć w nich palce. Cienie podążały za mną, zahaczały się o moje palce, owijały wokół nadgarstków jak woda odrzucana na boki przez wichurę. Tak wiele magii, tak wiele życia, a wszystko to splonie.

Penny Ngwenya.

Oddajcie mi mój kapelusz.

Jestem śmiercią miast.

Jak postąpiłby Nocny Burmistrz?

To nasza wina - nie, nie do końca tak. Nasza odpowiedzialność. Nasz problem. Reset, restart, bez towarzystwa psychopatów!

Znajdziemy kapelusz.

Jej kapelusz.

Kiedy mijalem stację Bond Street, przyszło mi do głowy, że wiem, gdzie go szukać.

* * *

Przez stację Bond Street biegnie również Jubilee Line. Ten szczegół czasami trudno jest zapamiętać, bo gdy ludzie pomyślą o Bond Street, odruchowo zaczynają wymieniać stacje usytuowane wzdłuż Oxford Street - Marble Arch, Oxford Circus, Tottenham Court Road - ciesząc się, że choć w tym jednym przypadku plan metra i plan miasta łączą jakieś topograficzne szczegóły.

Dlatego łatwo uznać, że stacja Bond Street to tylko kolejny postój na drodze dla ludzi, którzy nie

bardzo wiedzą, dokąd jadą albo chcą kupić coś bardzo rzadkiego i drogiego.

Ulicami wokół stacji zawładnęli jubilerzy, ale ona sama nadal znajduje się na Oxford Street, tylko jedne drzwi po drodze do czegoś bardziej konkretnego.

Wsiedliśmy do pociągu. Jubilee Line, nowe, otwierające się ze świstem drzwi, czyste siedzenia w niebiesko-czerwonej kratce, słabo jeszcze podrapane szyby i zwyczajowe napisy: *kEN TU BYŁ*

Albo:

MEGA!!

I oczywiście:

ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ

Pojechaliśmy na północ. Baker Street, St John's Wood, Swiss Cottage, Finchley Road

- wyprzedził nas pociąg do *Coventry*, *fiuu*, wagony lekko się zakołysały od powiewu - West Hampstead, Kilburn, Willesden Green, Dollis Hill.

Znowu w Dollis Hill.

Na tablicy napisano:

1. Stanmore - 5 min

2. Potępienie - 9 min

3. KONIECTRASYKONIECTRASYKONIECTRASYKONIECTRASY-

KONIEKONIECTRA

Ta informacja zdążyła już do mnie dotrzeć.

Wyszedłem na mroczną, senną ulicę. Deszcz wciąż się nasilał, chłód ustępował z powietrza, zdając sobie sprawę, że przewagę obecnie ma woda, a nie jest jeszcze tak zimno, by można ją było zamienić w lód.

Zapуściłem się w głębokie, mroczne pustkowia wietrznego Willesden, gdzie żaden wędrowiec nie śmie wyruszać bez przewodnika po Londynie, mapy autobusowej, biletu travelcard i uniwersalnego miejskiego pakietu przetrwania. Natura tamtejszych ulic zmienia się co pięć minut, jakby cała okolica utraciła wiarę w siebie i musi pytać sąsiadki, czy ten styl będzie odpowiedni, czy też lepiej było się trzymać brudnych segmentów.

Wróciłem na szeroką główną ulicę. Jej środkiem od czasu do czasu przejeżdżały wielkie czerwone autobusy. Dotarłem do drzwi z napisem **NAPIĘCIE**, ale były zamknięte na klucz. Nie było bramkarza ani wchodzących do środka dzieciaków. Na drzwiach umieszczono obwieszczenie zawiadamiające, że lokalowi odebrano licencję na sprzedaż alkoholu, a jeśli ktoś chce się dowiedzieć czegoś więcej, powinien się zwrócić do swej miejscowej rady.

Załomotałem do drzwi, wykrzykując rozmaite przekleństwa, aż wreszcie przyciągnąłem czyjąś uwagę. Na górze otworzyło się okno i wyjrzał z niego jakiś mężczyzna.

- Facet, weź spierdalaj - warknął.

Cofnąłem się w deszcz i spojrzałem nieznajomemu prosto w oczy.

- Szukam gościa, który był tu kierownikiem - oznajmiłem. - Palanta z chorym sercem, który kazał na siebie mówić Bum Bum! Wiesz, gdzie mógł się podziać?

- Wywieźli go stąd w cholerę - padła odpowiedź. - Pogadaj z doktorem.

Okno się zatrasnęło.

Zakląłem pod nosem, podszedłem do drzwi **NAPIĘCIA**, wsadziłem palce w zamykającą łańcuch kłódkę i szeptałem do niej czułe słówka, aż wreszcie otworzyła się z uprzejmym trzaskiem, uwalniając moje ręce. Otworzyłem drzwi, nie zobaczyłem w środku nic poza ciemnością, pochwyliłem kulkę blasku z pobliskiej latarni, która przygasła, skarżąc się głośnym sykiem, a potem ruszyłem na dół.

Niewiele rzeczy budzi większy niepokój niż widok opustoszałego miejsca, które powinno tętnić życiem. Nie było tu okien, nie było żadnych świateł ani dźwięków poza odgłosem naszych kroków. Wypełniliśmy unoszącą się w powietrzu kulkę blasku ciepłem z naszych palców, a potem zmusiliśmy ją do powiększenia się, by jej blask przegnał ciemność, wysuwającą się z każdego kąta niczym luźny jedwab. Pusty bar, pusty parkiet lepki od rozlanego piwa. Puste stołki i milczące głośniki, otwarte drzwi i przełączniki, które niczego nie włączały. Czuję gęsty pałący posmak tutejszej magii, czuję

milczące, smutne cienie, twarze, które, zamiast tańczyć, zapadły w posępny, znudzony, pełen urazy sen.

Na dół. Żadnych świateł ani dźwięków, tylko my.

Znalazłem gabinet, który poprzednim razem zignorowałem, podążając za rytmem.

Teraz drzwi były otwarte. Wszedłem do środka. Na biurku były papiery, komputer oraz zabawka zrobiona z kulek łożyskowych i drutu. Podnieśliśmy ją za jedną kulkę, a potem opuściliśmy, patrząc, jak się kołysze. Wywierało to hipnotyczne wrażenie. Jak ktokolwiek mógł pracować, gdy jego uwagę odwracało coś takiego? Na ścianach wisiały plakaty rozmaitych didżejów oraz grup o nazwach takich jak „Thunderchazz!”, „DJ Grindhop”, „The Bassline Slut” i innych, równie ekscytująco nieortograficznych. Usiadłem w fotelu za dużym dla mnie, ale za małym dla kierownika lokalu, i zakręciłem się kilka razy, obserwując, jak mój cień na ścianach rośnie i się kurczy, ponieważ ja się ruszałem, a kulka ukradzionego blasku wisiała nieruchomo nad moją głową, brzęcząc cicho. Sprawdziłem parę biurek.

Dziwne kawałki przewodów, części elektroniczne, wtyczki i gniazdko, przeznaczone do urządzeń, które nigdy nie były tak proste w obsłudze, jak zapewniała instrukcja. Stare baterie toczące się na dnie szuflady, wypisane długopisy, papier do notatek, w połowie pełne pudełko serwetek jednorazowych, nieotwarte opakowanie prezerwatyw Her Pleasure, paczka masy klejącej Blu-Tack, zniszczona klawiatura, która miała wyrwany przewód i brakowało jej większości klawiszy 0-9. Nie tego potrzebowałem. Szukałem dalej.

Rozwiązanie znalazłem w czarnym notesie menedżerskim oprawionym w coś, co nie było do końca skórą, ale marzyło o tym, że pewnego dnia osiągnie ów cel. Przerzuciłem notatnik, sprawdzając „D” jak doktor i „L” jak lekarz pierwszego kontaktu, aż wreszcie znalazłem to, czego szukałem, pod „S” jak szarlatan. Adres wyglądał następująco: *Howard Umbar*,

158 Fryer Walk, London W 11 58P

(W pilnych przypadkach dzwonić pod: 0208 719 9272).

Zabrałem notes na wypadek, gdybym się mylił. Cienie sunęły za mną, smętna pustka obserwowała nas, gdy wychodziliśmy. Jeśli nic się nie zrobi, za kilka lat w tej piwnicy pojawią się duchy. Będą tańczyły do niesłyszalnego rytmu aż po kres czasu. Nie trzeba było wiele, by coś takiego stało się realne.

* * *

Chcąc sprawdzić trafność swych domysłów, ruszyłem deszczowymi ulicami Willesden, aż wreszcie znalazłem przystanek autobusowy. Wdrapałem się na automat do sprzedaży biletów, sięgnąłem na dach wiaty i wyciągnąłem z brudnej kałuży stojącej wody przemoczony, lepki egzemplarz katalogu firm. To, w jaki sposób trafiał on na dachy większości wiat w Londynie, było tajemnicą wykraczającą poza nasze pojmowanie.

Uważaliśmy, że winne są wyższe moce i staraliśmy się o tym nie myśleć. Usiadłem na ławeczce, strzepnąłem z książki większą część wody i zacząłem przerzucać posklejane strony.

Skąd katalogi firm brały się na dachu wiat to była tajemnica, której nie badaliśmy, natomiast pytanie, dlaczego zawierają one rozdział o tytule „czarodzieje”, było tajemnicą, którą omijaliśmy szerokim łukiem. Ja również gdzieś tam figurowałem. Matthew Swift (czarnoksiężnik) czekał, aż jakiś nieudolny głąb weźmie książkę z dachu wiaty i wyczyta z niej nasze nazwisko.

Sprawdziliśmy „U” jak uzdrowiciele, i „M” jak mistycy, a potem, z narastającą frustracją „S” jak szarlatani.

I tam właśnie znaleźliśmy Howarda Umbarasa.

Okazało się, że wyższe moce mają poczucie humoru.

Cisnąłem książkę z powrotem do kałuży na dachu i ruszyłem na spotkanie z szarlatanem.

* * *

Acton.

Acton to gmina dumna z tego, że nie jest Acton. Jeśli ktoś przypadkiem jest jego mieszkańcem, stawia sobie stanowczy i szlachetny cel wykazania, że w rzeczywistości mieszka gdzie indziej. Może w Ealing albo, jeśli naprawdę ma pecha, na jego pograniczu.

Może to też być Park Royal, prawie Chiswick albo rubieże Harlesden. Każdy, kto mieszka w Acton, choćby w samym jego środku, daleko od granic gminy, musi mieszkać gdzie indziej.

Tam właśnie prowadził swą działalność Howard Umbaras. Z pewnością nie chciałby się do tego przyznać, ale każdy, kto mieszka w promieniu pięciu minut drogi od stacji North Acton, jest mieszkańcem Acton.

Niskie domy bliźniaki. Fałszywe drewno ich doskonale trójkątnych dachów wprawione w białą, szorstką substancję, zbyt dumną, by przyznać, że jest malowanym betonem. Podjazdy wypełnione mieszanką lekko zardzewiałych samochodów i zupełnych wraków, puby o wielkich ogrodach, oferujące drogie piwo, miejscowe całodobowe sklepy sprzedające podejrzane torty, francuskie papierosy i czekoladowe paluszki.

158 Fryer Walk mogło się znajdować gdziekolwiek, ale z pewnością było w Acton.

Na dachu przed drzwiami frontowymi umieszczono sześcioramienną gwiazdę. W

dawnych czasach, gdy Acton leżało w praktyce na wsi, zatrzymywali się tu imigranci z Polski. Same drzwi pomalowano na niebiesko. W oknach wisiały zasłony z łańcuchów, nie było dzwonka, na górze panowała ciemność, a z dołu dobiegał blady żółty blask. Zapukałem do drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

Zapukałem mocniej i czekałem.

Po chwili drzwi się uchyliły, ale łańcucha nie otworzono.

- Słucham? - dobiegł ze środka czyjś głos.

- Szukam pana Howarda Umbarsa. Właściwie to wciskam kit. Szukam totalnego zasrańca z chorobą serca, który korzysta z usług pana Umbarsa jako mistycznego szarlatana.

Jest może tutaj?

Na moment zapadła cisza.

- Proszę chwilę poczekać - rzekł wreszcie mężczyzna.

Czekałem.

Drzwi nadal były zamknięte na łańcuch. W mroku za nimi coś się poruszało. W szczelinie pojawiły się załzawione niebieskie oczy i obejrzały mnie od stóp do głów.

- Kim pan jest? - zapytał z oburzeniem inny mężczyzna.

- Ja? Jestem Matthew Swift, ostatni żywy czarnoksiężnik w tym cholernym mieście, niebieskie elektryczne anioły obleczone w ciało, a do tego pierdolony Nocny Burmistrz. Każe mi pan czekać na deszczu, aż rozwalę te cholerne drzwi, czy co?

Ponownie nastąpiła chwila ciszy. Potem drzwi zamknięto, zdjęto łańcuch z grzechotem i znowu je otworzono. W ciemnym korytarzu za nimi był wieszak na ubrania (pusty), lustro (czyste) i niski stolik (nienakryty). Wszedłem ostrożnie do środka, przyglądając się właścicielowi załzawionych niebieskich oczu. Stał u podstawy wąskich stromych schodów, ściskając w rękach pokojową antenę telewizyjną, którą zasłaniał się jak tarczą. Był łysy - nie tylko miał wygoloną czaszkę, lecz również każdy widoczny fragment jego anatomii pokrywała blada, gładka, naciągnięta skóra, jakby przestrzeń dzieląca jego kości od powietrza była tak wąska, że włosy po prostu nie miały szansy w niej wyrosnąć. Miał na sobie białą koszulę i ciemne spodnie, a na twarzy, zbyt drobnej w stosunku do szyi, malował się wyraz głębokiej nieufności.

- Kim pan jest? - zapytał znowu. - Czego pan tu chce?

- To dziwne, ale powiedziałem panu czystą prawdę. Liczy pan na to, że zrobi nam krzywdę tym? - Wskazałem głową na antenę.

- Jeśli rzeczywiście jest pan tym, za kogo się podaje, to na nic się nie zda.

- To prawda.

- Zakładając, że panu uwierzę.

Wzruszyłem ramionami.

- To jest jak z bombą atomową. W zasadzie nie chce pan zapłacić terroryście miliona funtów, żeby jej nie eksplodował, ale z drugiej strony, czy naprawdę pragnie pan podjąć takie ryzyko? Co, jeśli ten mały czerwony guzik nie jest fałszywy?

- Czego pan tu chce?

Spojrzałem w górę mrocznej klatki schodowej, a potem za plecy pana Umbarasa, w głąb ciemnego korytarza prowadzącego do pomieszczenia, które zapewne było kuchnią.

- Niech pan posłucha - zacząłem. - Jest pan szarlatanem, tak? Na poważnie zajmuje się pan taką działalnością, jak próby zamiany ołowiu w złoto i tak dalej. Nic mnie to nie obchodzi. Zna pan faceta, którego szukam. Używa imienia Bum Bum i jest kierownikiem klubu o nazwie Napięcie. Sądzę, że leczył go pan z powodu choroby serca, ale ostatnio jego stan się pogorszył, bo jakiś... pechowy dureń... ścisnął jego bijące serce w gniewnej naelektryzowanej dłoni tak mocno, że omal nie pękło. Gdzie on jest?

- Dlaczego chce pan z nim rozmawiać?

Zachichotałem.

- Próbuję uratować to pierdolone miasto.

- Mówi pan poważnie?

- Nie dowie się pan tego, dopóki nie naciśnie pan tego guzika. Nie jesteśmy w nastroju do gier. Gdzie on jest?

* * *

W domu była piwnica. W podobnych miejscach zawsze można ją znaleźć. Wchodziło się do niej przez małe trójkatne drzwi ulokowane w boku prowadzących na górę schodów.

Szare betonowe stopnie wiodły w dół, a pod sufitem kołysała się lśniąca białym blaskiem żarówka.

- Jak na człowieka parającego się medycyną nie dba pan zbyt o zapewnienie dostępu niepełnosprawnym - zauważyłem.

Spojrzał na mnie z miną człowieka myślącego o czerwonych guzikach.

- Mam poczucie humoru - oznajmiłem radośnie. - To moja jedyna pozytywna cecha.

Piwnicę przerobiono na...

Powiedzieć o tym „sala operacyjna” byłoby przesadą. To sugerowałyby jasno świecące lampy, wyszorowaną podłogę, igły, plastikowe krzesła, stalowe łóżka, ludzi w kombinezonach i maszyny,

które robią „ping”. To nie była sala operacyjna. To był koszmar pacjenta, któremu jutro rano mieli zrobić bypass, a on wiedział, po prostu wiedział, że okaże się jedną z tych osób, na które znieczulenie nie działa. Pod najdłuższą ze ścian ustawiono wszystkie alchemiczne ingrediencje, jakich mógł potrzebować miejski mag - pióro gołębia albinosa, szczurzą nóżkę zanurzoną w stuprocentowych ściekach, tłuszcz z dna frytkownicy, budleję z walącej się posiadłości na rogu ulicy, spaloną oponę starannie oddzieloną od tyłu strawionego ogniem autobusu, ogon wiewiórki, która uznała, że zima jest za ciepła, by ją przespać, trochę oleju z roweru, który wpadł na betoniarkę, odrobinę asfaltu zdrapanego z ulicy, gdy zaczął topnieć w letnich promieniach słońca, podsypkę z torów na najdalej położonych peronach stacji Paddington, kebab nadgryziony przez pana Lisa, butelkę po wódce ze śladem uszmkowanych ust Lady Neon, znaną za barem w klubie w Soho.

Młodzi uczniowie wielkich alchemików nie szukali już srebra na dnie zaczarowanych kopalń.

Nastąpiła epoka asfaltu i plastiku, syntetycznych tworzyw i rozkładających się chemikaliów trzymanyh w słoiku.

Pośrodku pomieszczenia ustawiono stół wielkości małżeńskiego łoża, wykonany ze stali tytanowej. Potężne, tłuste, wypaczone ciało kierownika klubu mieściło się na nim ze sporym trudem. Nad nim umieszczono kilka warstw pleksiglasu, oddzielonych od siebie powietrzem, które na spółkę zdołały wyciszyć ogłuszający łoskot jego serca, przegradzając go w ciche *deDum*. Między tymi taflami przebiegały rozmaite rury i przewody, zaopatrujące jego żyły w krew (z domieszką benzyny), płuca w powietrze (z odrobiną spalin) oraz (oczywiście, po co o to pytać?) serce w prąd elektryczny. Widziałem wnikające w jego pierś przewody, czułem w powietrzu ich musujący smak. Bum Bum, kierownik klubu Napięcie, utrzymywał

się przy życiu właściwie tylko dzięki szczęściu oraz zaklęciom.

Był jednak przytomny.

Podeszliśmy do wielkiego stołu obudowanego pleksiglasem i zapukaliśmy w pokrywę.

Rozchylił powieki i zobaczył nas. Jego skóra przybrała kolor starej pościeli rozwieszanej na deszczu.

Uśmiechnęliśmy się i pomachaliśmy do niego ręką.

- Pamięta pan nas?

Dwa tłuste palce dotknęły powierzchni stołu pod przezroczystą osłoną, znalazły przełącznik i nacisnęły go.

- Kurwa, zabierz go stąd! - dobiegł z głośnika chrapliwy głos Bum Buma.

Pamiętał nas.

Byliśmy z tego niemal dumni.

- Hej! - sprzeciwiłem się. - Gdybyśmy mieli zamiar pana zabić, nie wahałobyśmy się ani chwili. Potrzebuję jeszcze jednej informacji i przyszło mi do głowy, że może pan być facetem, który ją zna.

- Umbars! Zabierz go ode mnie!

Zerknąłem na drzwi. Pan Howard Umbars stał pod nimi z założonymi rękami, a jego twarz była spokojna jak u mnicha buddyjskiego. Wpatrywał się w jakiś punkt położony kilka lat za tyłem mojej głowy.

- Hej, grubasie! Ja chcę uratować miasto, a ty możesz znać cenne informacje. Przestań się wygłupiać!

Przyszło nam do głowy, że nim pod drzwiami zjawił się pan Umbars, słyszeliśmy jakiś inny głos. W domu był ktoś jeszcze. Usłyszałem trzask. Cichy i nieprzyjemny. Kojarzył

mi się z Odą.

- Ze wszystkich rzeczy w świecie śmiertelników, które budzą w nas strach, broń palna znajduje się na samym dole listy - oznajmiliśmy.

Odwróciłem się lekko, by zobaczyć źródło dźwięku. Broń palna przesunęła się jeszcze niżej na liście przerażających rzeczy, zepchnięta w dół przez...

...formalnie rzecz biorąc, był człowiekiem. Miał na sobie elegancką białą koszulę, czarne dżinsy, parę skórzanych mokasynów i luźną kurtkę z polaru. W jednej ręce trzymał

pistolet, a od szyi w dół wyglądał jak zwyczajny, nudny przedstawiciel gatunku ludzkiego.

Problemy zaczynały się wyżej. Tchawicę wycięto mu bardzo ostrym nożem, usuwając też mięśnie, a potem zastąpiono ją jaskrawoniebieską plastikową rurą, wyłaniającą się z ciała poniżej żuchwy i znikającą za mostkiem. Do jej brzegów starannie przyszyto skórę, w środkowym odcinku sięgającą nawet środka przewodu, ktoś też bezskutecznie próbował

pomalować go na różowo. Wszystkie te wysiłki nie mogły jednak zamaskować prawdy.

Połowę żuchwy również usunięto, zastępując ją metalową ramką. Przez otwór w niej widziałem zęby i wnętrze ust. Do tej ramki podłączono coś, co wyglądało jak staromodny magnetofon kasetowy. Jego klawisze wmontowano w dziąsła. Widziałem obracające się szpulki i słyszałem słaby stuk działającej wewnątrz ust maszyny. Uświadomiliśmy sobie, że w jakiś sposób, którego woleliśmy nie rozumieć, urządzenie służy mu do mówienia.

Choć wszystko to wstrząsnęło nami do głębi, większa groza czekała nas, gdy przenieśliśmy wzrok wyżej. Jego lewe oko całkowicie usunięto, razem z większą częścią twarzy po tej stronie oraz lewym uchem. W to miejsce do czaszki przyszyto, przylepiono i wtopiono w nią długą kamerę uliczną ze szklaną szybką. Metalowy nos urządzenia był trzy, może cztery cale dłuższy od nosa mężczyzny. Gdy kamera skierowała się na mnie, usłyszałem cichy furkot i zobaczyłem własne słabe odbicie w jej szybcie. Przewody najwyraźniej podłączono bezpośrednio do mózgu. Odepchnięto też nos na bok, by zrobić miejsce dla kamery. Stworzenie, które miałem przed sobą, było połączeniem śmiertelnika z

maszyną, ale żadnym z nich do końca. Jego drugie oko miało intensywnie zielony kolor i kierowało się prosto na mnie, podobnie jak pistolet, który trzymał w ręce.

Zaczerpnałem tchu i przekonałem się, że nie mogę zrobić nic więcej, zahipnotyzowany przez to okropieństwo.

- Addison jest moim asystentem - oznajmił pan Umbars, odsuwając się od drzwi. -

Powinien się pan bać pistoletu, a nie jego, panie Swift.

- No jasne - mruknąłem. - Pistolety nie zabijają ludzi. Ludzie zabijają ludzi. Niech żyje National Rifle Association. Co właściwie...

- Addison cierpi na rzadkie schorzenie. Nie jest zaraźliwe. Jego mózg kolejno wyłącza losowo wybrane części ciała. Najpierw był głos, potem lewe oko, lewe ucho i w końcu płuca.

Publiczna służba zdrowia nie potrafiła mu pomóc, więc ja to zrobiłem, Dlatego został moim asystentem.

Pan Umbars wyciągnął rękę i ujął moją prawą dłoń w stanowczym, nieczułym uścisku typowym dla wszystkich lekarzy. Zdjął mi rękawiczkę i uniósł rękę pod światło.

Obserwowałem kamerę zastępującą Addisonowi oko, a ona obserwowała mnie.

- To fascynujące - wyszeptał szarlatan, przebiegając palcami po krzyżach wyciętych na mojej dłoni. - Piętno Nocnego Burmistrza.

Wypuścił moją rękę i bez słowa ostrzeżenia sięgnął do głowy. Wcisnął mi palce w szyję poniżej podbródka i pochylił moją głowę, poruszając nią przez chwilę w tę i we w tę.

Potem spojrzał mi prosto w oczy.

- Jaskrawoniebieskie - wyszeptał. - To nie jest ich naturalny kolor, prawda, panie Swift?

- W ogóle nie mam nastroju do takich zabaw - warknąłem. - Powiedziałem panu wszystko, co powinien pan wiedzieć, a, jak już wspominałem, pistolety są dość nisko na liście rzeczy, których się boję.

- Wie pan co? - rzekł z westchnieniem pan Umbars. - Gdybym panu nie wierzył, wytoczyłbym z pana każdą kroplę krwi i zarobiłbym fortunę na jej sprzedaży. Fortunę. W

końcu nie co dzień udaje się zdobyć krew niebieskich elektrycznych aniołów.

- Więksi twardziele od pana próbowali i zginęli - odparłem. - Na szczęście, pan mi wierzy, a to znacznie ułatwi sprawę. Muszę pogadać z facetem, który leży na stole.

Pan Umbars zawahał się na krótką chwilę. Widziałem, że myśli o krwi, ogniu, telefonach,

elektrycznych bogach i drogich kursach golfa. Potem się uśmiechnął i wskazał na pistolet.

- W porządku - powiedział. - Schowaj go.

Asystent opuścił powoli broń. Pan Umbars wskazał na plastikową obudowę.

- Proszę bardzo. Niech pan się postara nie zabić go po raz drugi. I proszę o mnie pomyśleć, jeśli kiedyś zawiedzie się pan na publicznej służbie zdrowia.

- Pomyślę o panu - zapewniłem zimno - ale sądzę, że już nigdy więcej się nie spotkamy. Mam rację, panie Umbars?

Uśmiechnął się.

- To możliwe, panie Swift. To bardzo możliwe. Addison!

To był rozkaz. Asystent posłuchał szefa i powlókł się za nim na górę, zostawiając mnie sam na sam z Bum Bumem, kierownikiem klubu Napięcie.

Słyszałem bicie jego serca, przebijające się słabo przez osłony: *deDumdeDumdeDum*.

- Proszę się uspokoić - odezwałem się, opierając łokcie na przezroczystej pokrywie. -

Nerwy szkodzą na serce.

- Czego chcesz? - dobiegł głos z głośnika.

- Najpierw spokój. Gdybyśmy mieli zamiar cię zabić, wykończylibyśmy też wszystkich świadków. - Zauważyłem, że jego ogromne serce zadrżało nagle pod sterzącymi na zewnątrz kawałkami żeber. - Doprowadziłeś się do naprawdę paskudnego stanu.

- Czego chcesz? Opowiedziałem ci o chłopaku.

- Ehe, i serdecznie za to dziękuję. Znalazłem go i musiałem patrzeć bezradnie, jak obdzierają go żywcem ze skóry. No wiesz, rozumiem, dlaczego tak bardzo przestraszyłeś się pana Pinnera i zgodziłeś wykonywać jego polecenia. A teraz porozmawiamy o kapeluszu strażniczki ruchu.

- Nie mam pojęcia o czym mówisz.

- O kapeluszu. Mo, to znaczy ten chłopak, ukradł go strażniczce ruchu. Ukradł jej kapelusz, a ona jest czarnoksiężniczką, choć zapewne o tym nie wie. Wystarczyło mi tylko raz na nią spojrzeć, by to zrozumieć, a potem okłamałem Rajców, więc przyjmijmy założenie, że nie mam zbyt wiele czasu. Mo ukradł jej kapelusz, a ona, Bóg wie w jaki sposób, wezwała śmierć miast. Nie sądzę, by zrobiła to celowo, nie naprawdę. Nadal nie jestem pewien szczegółów, ale w skrócie tak to wygląda. Dlatego muszę się dowiedzieć, gdzie jest ten kapelusz.

- Nic nie wiem o żadnym kapeluszu!

- Z pewnością nie próbujesz mnie okłamać, prawda? W końcu odnoszę wrażenie, że jesteś facetem zamkniętym w szczelnym pojemniku, zależnym od masy rozmaitych płynów dostarczanych z zewnątrz. Nawet Gestapo nie wymyśliłoby nic lepszego, gdyby próbowało...

- Nic nie wiem! - zawył.

- A więc jednak próbujesz?

- Przysięgam, przysięgam, przysięgam...

- No dobra. - Westchnąłem. - Aczkolwiek przyznaję, że czuję się nieco rozczarowany.

Miasto strawi ogień sprowadzony przez gniew niewyszkolonej czarnoksiężniczki i tak dalej.

Skóra zdarta z ciała, śmierć dziesięciu tysięcy papierowych cięć. No wiesz, dobra wiadomość brzmi tak, że w swym obecnym stanie zapewne zginiesz pierwszy. Czy więc znasz jakieś informacje, które mogłyby ocalić Londyn przed zniszczeniem przez nieokiełznaną magiczną furię?

- Ta... kobieta - wyjąkał.

- Jaka kobieta? Strażniczka ruchu?

- Kontakt. To była kobieta. Kontaktowałem się z nią, by zorganizować porwanie chłopaka. Pracowała dla niego. Panu Pinnerowi ktoś pomaga.

Wsparłem obie ręce na plastikowej pokrywie i wcisnąłem w nią nos, uśmiechając się szeroko.

- Co to za kobieta? - zapytałem tonem delikatniejszym niż ciepły miód letniego dnia.

- Pan Pinner powiedział, że gdyby coś się wydarzyło, mam się z nią skontaktować...

- Kontakt? Wspólniczka pana Pinnera? Wie, że ma do czynienia z żyjącą śmiercią miast, zwiastunem zagłady, uczującym pośród pożarów itede, itepe?

- Powiedział mi tylko, że mam się z nią skontaktować.

- I zrobiłeś to?

- Nie. Nie było potrzeby. Mówił, że mam do niej dzwonić tylko w nagłych wypadkach. Powiedział, że jeśli mu pomogę, ocaleję, będę mógł żyć, zacząć od nowa, dostanę nowe serce i...

- Powiedział wszystko, co chciałeś usłyszeć, a ty uznałeś, że w końcu jakoś to będzie.

- Westchnąłem. - Rewelacja. A teraz powiedz mi, jak mogę się skontaktować z tą kobietą.

- Mam numer.

- Gdzie?

- W moim notatniku.

- Widziałem go, ukradłem go, mam go. Jakie nazwisko?

- Smith. Pani Smith.

- Bardzo pomysłowe. Naprawdę nie jesteś w tym za dobry, prawda? Jesteś tylko grubasem z chorym sercem. Gdybyś nie był takim wielkim ropniakiem jądra, byłoby mi niemal żal, że poraziłem cię prądem. Ale wiesz co? - Przerzuciałem notatnik, aż znalazłem ją pod „S”. Tylko nazwisko i numer telefonu, napisane tym samym drobnym pismem. - Jeśli to nic nie da albo jeśli zginiemy, ty też nie ujdiesz śmierci, tak?

- Powiedziałem wszystko...

- Nie o to nam chodziło. - Westchnęliśmy. - Ale pracuj dalej nad odnową moralną!

Poszliśmy sobie, tak samo jak poprzednio.

* * *

To był numer na komórkę. I dobrze, to powinno nam pomóc.

Poszliśmy na stację North Acton, usiedliśmy na najbliższym peronie wyjęliśmy komórkę i zaczęliśmy wpisywać tekst wiadomości. Łatwiej jest wymyślić krótkie kłamstwa niż długie.

Napisaliśmy:

MÓWI BUM BUM, POWAŻNY PROBLEM POTRZEBNA POMOC

NIEBEZPIECZEŃSTWO SPOTKANIE?

Pisanie SMS-ów metodą słownikową zapewnia dobrą ortografię, ale z interpunkcją jest gorzej. Wybrałem numer „pani Smith” i wysłałem wiadomość.

Odpowiedź nadeszła po niespełna pięciu minutach.

JAKI PROBLEM, JAKIE NIEBEZPIECZEŃSTWO, BĘDZIE ZŁY.

Odpowiedziałem:

NOCNY BURMISTRZ RAJCY POMOC SPOTKANIE?

Tym razem musiałem czekać prawie dziesięć minut. Patrzyłem na przejeżdżające pociągi, licząc czas pozostały do północy i do ostatniego z nich.

W końcu się doczekałem:

HACKNEY MARSHES: SZKOŁA KADETÓW MARYNARKI. DWIE

GODZINY.

To leżało w zakresie naszych możliwości.

Wsiadłem do pierwszego pociągu jadącego na wschód.

* * *

Czuliśmy smak początku końca.

Ja czułem się po prostu zmęczony.

Zaburzony rytm snu?

Za dużo za dużo.

Ta-da!

Nadal żyję.

Żyję.

Patrzcie, jak płoniemy.

* * *

Central Line na wschód. North Acton, East Acton, White City, zejście do tuneli, Shepherds Bush, Holland Park. Odcinek biegnący pod Oxford Street. Czułem jej wibrację, intensywną, tandetną, krzykliwą radość, od której ogarnęło mnie jeszcze większe zmęczenie, wielki pożar gorzał tuż nad moją głową, a ja siedziałem w zimnym, pustym wagonie mknącym przez tunele. Holborn, Chancery Lane, ręka nas bolała, tak bardzo bolała, gdy przejeżdżaliśmy pod Miłą Kwadratową, Złotą Miłą, londyńskim City, Corporation of London, zwijcie to, jak chcecie, najstarszą częścią miasta, gdzie cienie są najgęstsze, a smoki o szalonych spojrzeniach strzegą dawno zapomnianych bram. *Domine dirige nos*, Panie, prowadź nas, miasto, broń nas, wyższa mocy, cudzie wykraczający poza wszelkie pojmowanie.

St Paul's, Bank - wir czasoprzestrzenny powodujący, że dziwaczne korytarze Barbicanu wydają się proste jak rzymskie drogi - Liverpool Street, Bethnal Green. Wyszliśmy z pociągu, ostatniego pociągu - no, może niezupełnie ostatniego - i wjechaliśmy na górę. Po jednej stronie mieliśmy tory kolejowe, a po drugiej muzeum i park. Samochody nadal stały przed światłami, a pasażerowie czekali na autobusy. Bethnal Green to dziwne miejsce. Leży na skrzyżowaniu czegoś więcej niż tylko geograficzne granice. Druidzi nazywają to liniami mocy, ścieżkami sił, ale jednodniowe kursy kontaktowania się z krainą czarów urządzane w Glastonbury odebrały nieco prestiżu tym, którzy wierzą w takie rzeczy. To jednak jeszcze nie znaczy, że one nie są możliwe. W Bethnal Green łączy się ze sobą kilka różnych elementów.

Hackney styka się z Tower Hamlets i po obu stronach ulicy wiszą olbrzymie transparenty oznajmiające, że to właśnie ta dzielnica jest najlepsza w całym Londynie i nie wierzcie w kłamstwa sąsiadów! Bogate wieżowce śródmieścia leżą tylko kilka minut drogi na zachód stąd, a niskie bryły Mile End są równie blisko na wschód. Bethnal Green znajduje się między nimi - wystarczająco daleko od nędzy, by zasłużyć na miano szacownego, lecz na tyle blisko bogactwa, by zwano je biednym; kręte uliczki sprawiają, że wydaje się stare, ale otwarte przestrzenie czynią je nowym. Tu właśnie spotykają się wszystkie autobusy, by zabrać pasażerów w jakieś miejsce bardziej jednoznaczne niż skrzyżowanie dróg.

Pewnie, że linie mocy istnieją. Ich mapa zapewne pokrywa się z mapą tras komunikacji miejskiej.

Z Bethnal Green łatwo było przeskoczyć do Hackney Marshes. Zadanie utrudniał

jedynie kordon znaków z napisami „Droga zamknięta - Prace nad obiektami olimpijskimi”.

Wysiadłem z autobusu na granicy Hackney Marshes. Gęste cienie pokrywające chodnik podgryzały nasze stopy, wypełniały bólem palce u rąk. Przeszłość umiera, szeptały, łypiąc ze złością na olimpijskie symbole. Wszystko zostanie wyburzone, zmyte. East End, położone najdalej na wschód miejsce, gdzie wszystko się kończy, slumsy i wyrzutki, żałosna historia zaniedbania mająca ustąpić miejsca lśniącej stali i szkła. Wymażmy historię, wymażmy wstyd, zapomnijmy, że cienie kiedyś żyły.

Nocny Burmistrzu, obrońco miasta.

Czy przechowasz te wspomnienia?

- Teraz nie mam czasu - warknąłem do ciemności. - Następnym razem.

Hackney Marshes - oglądajcie je, dopóki możecie. Jeszcze kilka lat i wszystko to zniknie, by zrobić miejsce dla stadionu lekkoatletycznego, kortu tenisowego, boiska, basenu, czy czegoś w tym rodzaju, by cały świat mógł się zachwycać tą dziwną imprezą, która tak bardzo fascynuje śmiertelników - igrzyskami olimpijskimi. Nie rozumiemy, dlaczego śmiertelnicy, uwięzieni w cielesnej powłoce, skazują swe ciała na takie cierpienia.

Kiedyś były tu bagna albo mokradła i nadal daje się to zauważyć. Dolinę rzeki Lee uporządkowano, a samą rzekę skierowano ku Tamizie bardziej użyteczną trasą, biegnącą przez droższe tereny, ale zwiędła, zielonobrazowa trawa i grube trzciny o ostrych łodygach mówią tym, którzy nie zauważyli gąbczastego gruntu, że ludzie nie oswoili do końca historii tego miejsca. Z całą pewnością nie był to publiczny park - to by oznaczało ławki, kosze na śmieci, place zabaw, klomby, przyszytych żywopłoty i taktownie rozmieszczone drzewa.

Hackney Marshes nie miało podobnych udogodnień i to czyniło je czystszy. Ludzie wałęsali się tu z psami, dzieciaki się obijały, wędkarze czekali godzinami, by złowić wyrzuconą plastikową torbę. Kiedyś, tysiąc lat temu, w tak posępnej podmokłej okolicy mogło być pełno niebezpiecznych dołów i zagłębień, niezwykłych zapachów oraz podejrzanych nieznajomych. Podobało nam się tutaj, choć jako miejsce spotkania ta okolica miała jedną zasadniczą wadę. Było stąd daleko do ulic, przewodów elektrycznych, rur gazowych i wodociągów, wszystkiego, co było najbardziej naturalnym

narzędziem miejskich czarnoksiężników. Można tu było znaleźć magię - czas, cień i dumny upór spod hasła „tu jesteśmy i nic nas stąd nie ruszy” - ale była ona słabsza i nie znaliśmy jej, trudniej nam było opleść ją wokół palców i zmusić do posłuszeństwa. Krótko mówiąc, było to właśnie takie miejsce, w którym szanse zabicia czarnoksiężnika były szczególnie wysokie.

Trzeba było zabrać pistolet z domu pana Umbarsa.

Nie zapomniałem jednak o pewnych środkach ostrożności. Wyjąłem z torby scyzoryk, schowałem go w prawej skarpetce i nakryłem nogawką spodni, nie wiedząc, czy wykazałem się nadzwyczajnym sprytem, czy totalną głupotą. Wsadziłem latarkę do kieszeni płaszcza, nie chcąc ryzykować przywoływania światła tak daleko od wszelkich latarni. Zdjąłem rękawiczki i wrzuciłem je do torby. Nie mieliśmy pojęcia o walce na pięści, ale gdy przyjdzie co do czego, ignorancja nas nie powstrzyma.

A potem napisałem SMS-a do Ody, bo ona miała broń, a ja nie.

HACKNEY MARSHES. SZKOŁA KADETÓW. NIEBEZPIECZEŃSTWO.

NAOSTRZ NOŻE. SWIFT.

Nie odpowiedziała mi, więc udałem się na poszukiwania pani Smith.

* * *

Budynek Szkoły Kadetów okazał się barakiem z blachy falistej, którego prapradziadek mógł kiedyś służyć do przechowywania *Titanica*. Zostało z niego niewiele więcej niż łukowaty dach nakrywający kawałek betonowej podłogi. Nadal jednak posiadał wewnątrz różniące się od podmokłych traw mokradeł. Nad poobtłukiwanymi drewnianymi drzwiami widniał równie sfatygowany drewniany szyld z napisem:

SZKOŁA KADETÓW MARYNARKI

WIK 14-21 LA

DO AĆZ DO NA LEPSZYCH

Zapukałem do drzwi kostkami naznaczonej piętnem dłoni.

Wiatr kołysał trzciniami, mizerne wody uregulowanej rzeki sączyły się swymi niesamowitymi ścieżkami. Druid mógłby tu znaleźć piękno i magię, potrafiłby zaczerpnąć głęboko w płuca haust zimnego powietrza o słabym zapachu błota i wydobyć z niego błyskawicę. Byłem w stanie zrozumieć, jak coś takiego może być możliwe. Życie to magia.

Ale to nie był ten rodzaj magii, który lubiłem.

Nikt mi nie odpowiadał, więc zacząłem kopać w drzwi, aż wreszcie otworzyły się nagle, niemalże wypadając ze starych przerdzewiałych zawiasów. Wnętrze blaszanego baraku składało się z czterech

pomieszczeń. Wszystkie były tak samo niskie, szare i nieciekawe.

Jedno mogło kiedyś być kuchnią, ponieważ stały w nim wielkie, zardzewiałe garnki, w których można było za jednym zamachem ugotować całe litry fasolki w sosie pomidorowym.

Drugie było jadalnią, ale wszystkie stoły przewracano na boki. Trzecie służyło jako łazienka, lecz zlew dawno już pękł, a kranie były zbyt przygnębione, by choćby kapać złowieszczą w ciemności. Na podłodze leżało szkło z potłuczonych żarówek. Ostatni pokój był miejscem, w którym ongiś ludzie mogli czuć się dumni. Na rozmieszczonych tu i ówdzie na ścianie hakach nadal wisiły zdjęcia przedstawiające radosnych chłopaków (a także kilku nieco mniej radosnych). Fotografie sięgały aż do czasów, gdy skarpetki w paski po kolana i berety były szczytem mody. Tutaj machali dumnie rękami, stojąc w kanoe. Tam siedzieli w szeregach z poważnymi minami, ich kapitan trzymał w rękach futbolówkę, a trener ścisnął

mocno gwizdek. Do ścian przybito drewniane płyciny z uwiecznionymi na nich nazwiskami nadzwyczajnych chłopaków, którzy jako kadeci Marynarki Wojennej wsławili się takimi to a takimi czynami. Małe srebrne tarcze zaśniedziały, przybierając lekko zielonkawą barwę, a flagi - pamiątki zwycięstw w meczu rugby albo pozytywnych wyników inspekcji takiego to a takiego kontradmirała - wyblakły i zwisały smętnie. W takim budynku z pewnością były szczury, ukrywające się w ciemności. A gryzonie mogliśmy wykorzystać.

Nie było tu nikogo poza nami.

Przybyliśmy za wcześnie.

Z brązowej sofie stojącej w rogu ukradziono poduszki, odsłaniając cienką tkaninę.

Usiedliśmy i rozprostowaliśmy nogi, splatając palce za głową. Wymacaliśmy grubego strupa, pamiątkę po nocy - nie pamiętaliśmy już, ile dni od niej minęło - gdy zadzwonił telefon i wszystko się zaczęło. Czekaliśmy. Z reguły radzimy sobie z tym bardzo źle, ale dzisiaj nuda była ekscytująca jak nigdy.

* * *

Choć czuliśmy się bardzo zmęczeni, nie było ryzyka, że zaśniemy.

To ciężar, nie znużenie, był wyznacznikiem naszego niepokoju, potężny ucisk na serce i pierś.

Nie spaliśmy i usłyszeliśmy, jak się zbliżają, z odległości ćwierci mili. Ich kroki szeleściły w trzcinach, gdy wiatr nad bagnem szeptał z cichą urazą w głosie.

Więcej niż jedna para nóg. Zwróciliśmy głowę ku oknu, zobaczyliśmy blask latarek i usłyszeliśmy ciche głosy zaplątane w szelest trawy. W kołyszących się snopach ich światła na ścianę

padały

szalone

cienie.

Wiły

się

i

tańczyły,

krzycząc

uciekajuciekajuciekajuciekajuciekajuciekajUCIEKAJUCIEKAJUCIEKAJ!

Wcisnąłem się jeszcze głębiej w zniszczoną sofę i czekałem. Przyglądałem palcami włosy i potarłem stare strupy i blizny. Lekki ból pomagał mi zachować czujność. Coś poruszyło się pod stopą jednego z intruzów. Usłyszałem tupot szczurzych nóżek na betonie.

Potem drzwi się otworzyły. Do środka wpadli dwaj mężczyźni z pistoletami oraz latarkami i odprawili cały komandoski rytuał. Wyglądali zupełnie jak w telewizji - gesty, broń i kamizelki kuloodporne. Zauważyli mnie natychmiast.

- Hej-oj! - krzyknął jeden z nich, a drugi natychmiast zwrócił się w moją stronę.

- Niespodzianka! - zawołałem.

Do pokoju weszli dwaj kolejni faceci, uzbrojeni nieco ciężiej od kolegów. Wszyscy czterej otoczyli sofę półokręgiem. Siedziałem, dotykając stopami betonowej podłogi, i nasłuchiwałem tupotu szczurzych nóżek.

- Ta-da - dodałem słabo.

Gapili się na mnie bez wyrazu. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia, by miał poczucie humoru.

- Pani Smith? - zapytałem miło.

W drzwiach pojawiła się kolejna sylwetka, do pokoju weszła jeszcze jedna osoba.

Kobieta miała na sobie wielki czarny płaszcz.

- Panie Swift - przywitała mnie.

Takie płaszcze można dostać prawie wszędzie.

I nie było mnie tak trudno poznać, do cholery.

Niemniej znałem również jej głos.

Sięgnąłem do kieszeni po latarkę i natychmiast broń, która do tej pory nie robiła nic poza celowaniem, zbliżyła się, celując nieco bardziej celująco. Opuściłem ostrożnie rękę, uśmiechając się najładniej jak potrafiłem.

- Chciałem tylko wyjąć latarkę - zapewniłem. - Tu jest ciemno. Cześć, pani Smith -

dodaliśmy, bo zaczynało nas ogarniać przerażenie. - Nie mogła pani wymyślić sobie oryginalniejszego nazwiska?

Cień stojący w drzwiach przerodził się w ciemność za czterema zapalonymi latarkami, a potem przeszedł między nimi.

- On nadchodzi, panie Swift - oznajmiła kobieta. - Położy kres wszystkiemu. Tym razem nie będzie telefonów, ponownych połączeń, niespodziewanych nocnych rozmów.

Koniec trasy. On nadchodzi i potem to się stanie.

- Jak rozumiem, mówiąc „on”, ma pani na myśli pana Pinnera?

Nie odpowiedziała.

- Wiedziała pani, że to ja proszę o spotkanie... bo miała pani mój numer w telefonie? -

dodałem, rozważając z uwagą tę myśl.

Nie odpowiedziała.

- Milczenie oznacza pogardę.

Ponieważ nawet ludzie, którzy nie mają nic do powiedzenia, bywają drażliwi, kobieta weszła w krąg światła latarek. Jej obszerny czarny płaszcz zabrudziły ziemia i smog, ale twarz była czysta i znajoma. Gdy nie była panią Smith, pozbawioną wyobraźni towarzyszką śmierci miast, nadal pozostawała kobietą, którą znałem jako Anissina.

- Nie potrafi pan tego zrozumieć - oznajmiła.

- Proszę spróbować mi wytłumaczyć.

- Jeśli się pan ruszy, zastrzelimy pana - ostrzegła.

- Domyśliłem się tego.

- Nie chcę tego zrobić.

- Bardzo się cieszę.

- Jeśli pan zginie, Nocny Burmistrz wróci. Pan Pinner mówi, że ma swoje sposoby.

Czekamy na niego.

- Pan Pinner... śmierć miast? Ten, który karmi się pożarami, stoi w deszczu bomb, pije wody powodzi, wścieka się razem z ogniem i oblizuje wargi, czując strach śmiertelników?

Ten pan Pinner? Czy o tym kochasiu mówimy? Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale wolałbym zginąć od kul.

Postąpiłem krok do przodu. Wszyscy wycelowali we mnie, wciągając powietrze.

- Stop! - warknęła. - Nie bez powodu wybrałam to miejsce na spotkanie. Wiedziałam, że z dala od ulic, świateł i elektryczności jest pan słabszy. Proszę nie pogarszać sytuacji.

- Miło usłyszeć, że to panią obchodzi.

- Nie obchodzi.

- Aha. No cóż, nici z pocieszenia. Wiem, że to zabrzmiało banalnie, ale muszę panią zapytać, co właściwie robi tu Rajczyni, i to taka, która teoretycznie powinna zginąć razem ze swoimi ludźmi.

Zastanowiła się nad tym pytaniem, a potem, ponieważ nie mieliśmy nic do roboty poza czekaniem, odpowiedziała mi.

Trzecie interludium

Potępienie, pogarda i strażnicy ruchu

W którym wszystko tłumaczy się pod groźbą pistoletów.

- Miasto spłonie - zaczęła. - Przeklęto je, potępiono, skazano. Wezwano śmierć miast, zabito kruki, sprofanowano Mur, rozbito Kamień i osłabiono Nocnego Burmistrza. On nie może być słaby. Powinien bronić kamieni, ulic, historii i duchów. Na brzegach Tamizy siedzą duchy nagromadzone przez dwa tysiące lat. Na ich ciałach zbudowano domy i wmurowano kamienie. To historia za długa, życie zbyt obszerne, by mógł je ogarnąć jakikolwiek umysł.

Dlatego właśnie smoki są szalone, Swift, te, które strzegą bram Londynu. Ten, kto spojrzy w ich oczy, nie zobaczy nic poza bezkresnym obłędem. Rozumieją, jak ogromne jest miasto, jak piękne i mroczne. To właśnie doprowadza je do szaleństwa.

Ale pan... Nocny Burmistrz... skoro pan tu przybył, na pewno szuka pan kapelusza strażniczki ruchu. Wie pan o niej. Dowiedział się pan, że Penny Ngwenya jest czarnoksiężniczką, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. A mimo to, nie zabił pan jej. Tego nie można wybaczyć. Pozwoli pan, by Londyn spłonął, dla jednej ośmiomilionowej, dla 0,0000000125 części miasta. Czeka pana potępienie, Nocny Burmistrzu. Taka jest cena porażki na tym urzędzie.

Jestem pewna, że dowiedział się pan wiele - stanowczo zbyt wiele - o Penny Ngwenya. Nie interesuje mnie, jakie motywy stoją za pańskimi błędami. W ostatecznym rozrachunku, bez względu na piętno na dłoni i jaskrawoniebieskie oczy, pan również jest 0,0000000125 miasta i pański zgon zauważy jeszcze mniej ludzi niż poprzednim razem.

Idzie po pana śmierć miast, panie Swift.

Dzieciak ukradł jej kapelusz, chłopak jadący na rowerze zabrał kapelusz Penny Ngwenya, nieznajomy pobił ją za to, że wykonywała swoją robotę, a inny nieznajomy splunął

jej w twarz. Obcy ludzie znęcali się nad nią i obrzucali ją obelgami. Mała, zastraszona czarnoksiężniczka, która widziała życie, piękno i magię miasta, czuła bicie jego serca, jakby było jej własnym, gapiła się na jego światła, potrafiła w nich dostrzec blask gwiazd świata rozpościerający się u jej stóp i stąpała po nim delikatnie jak wietrzyk. Pamięta pan, czarnoksiężniku, jak to było, gdy po raz pierwszy odetchnął pan magią miasta, poczuł smak jego gorejącej jasności, miał sny w barwach neonów i radował się smrodem ulic wypełniającym pańskie rękawy? Mała Penny Ngwenya mogłaby świecić bardzo jasno, ale z tym już koniec. Pobili ją, okradli i opluli nieznajomi, ludzie, których twarze nigdy już nie ujrzy, gdyż dzieli ją od nich wielomilionowy tłum. Nie chodziło im o to, kim była ani skąd się tam wzięła. Po prostu była pod ręką i nie musieli się nią przejmować. Była nieznajomą.

Okrucieństwo bez konsekwencji, czyn bez odpowiedzialności.

Nocą, gdy ten chłopak, Mo, ukradł jej kapelusz, Penny Ngwenya poszła nad rzekę. To łączy ze sobą

was dwoje. Szukacie ukojenia nad rzeką, wciągacie głęboko w płuca jej magię, zatracacie się w czasie i w ruchu, którym jest. Poszła nad rzekę, tak samo, jak pan by to zrobił, i stanęła na moście w najruchliwszej chwili godziny szczytu, zwracając głowę ku niebu, a ręce w stronę wody. Turyści, ludzie jadący do pracy, robotnicy, wędrowcy i jak ich tam zwał - most był całkowicie zapchany. London Bridge, serce miasta, najstarszy most, ostatni odcinek miejskich murów. Stała tam i miasto poruszało się wokół niej, a ona - z jakiegoś powodu, pod wpływem jakiegoś okrucieństwa - zwróciła dłonie w stronę wody, a głowę ku niebu, i zawołała do przechodzących nieznajomych: „Oddajcie mi mój kapelusz!”.

I nikt jej nie wysłuchał.

Ani jedna osoba nie odwróciła głowy.

To tylko wariatka stojąca na moście.

Samotna krzycząca wariatka.

Nie zwracajmy na nią uwagi.

Oddajcie mi mój kapelusz. To była jej klątwa, czarnoksiężniku. Oddajcie mi mój kapelusz!

I nikt jej nie wysłuchał.

Poza panem Pinnerem.

Czarnoksiężnicy uwielbiają płonąć.

Dlatego właśnie niebieskie elektryczne anioły kochają czarnoksiężników. Jesteście ulepieni z tego samego światła i furii, tego samego oblędu.

Widzicie magię tam, gdzie jest życie.

Tak samo było z Penny Ngwenyą.

Stała na moście i zobaczyła magię miasta, brutalną, okrutną i pozbawioną miłości.

Stała sama i krzyczała, a setki obcych ludzi ją ignorowały. Uświadomiła sobie wtedy, że to miejsce, to miasto, które uważała za tak piękne, jest diamentem, którego nigdy nie będzie mogła posiadać. Błyszcząca ozdobą na eleganckim płaszczu kogoś innego. Czymś kupionym za pieniądze, wyrzeźbionym krwią, zimnym, pięknym, nieustępliwym i okrutnym. I nie wiedząc, co uczyniła, utkała na London Bridge zaklęcie, tak samo zimne i okrutne jak miasto, które nią gardziło. Potępienie na okrucieństwo obcych ludzi, wydyszała. Przekleństwo na nieuprzejmą obcość. Niech wszyscy, którzy są obcy, poczują strach, a ci, którzy są samotni, niech zostaną sam na sam ze swoimi furiami. Oddajcie mi mój kapelusz! - krzyknęła.

Potępienie na to miasto!

Z pewnością słyszały ją setki ludzi.

Ale podobnie jak unikamy zauważania zmiataaczy, śmieciarzy, kierowców, ludzi malujących pasy na drogach oraz kanalarzy, wszyscy starali się jej nie słyszeć.

Usłyszał ją tylko pan Pinner.

Jej gniew wydał mu się równie piękny jak diament chciwemu człowiekowi. Wezwał go, przywołał na ulice, zbudował go z unoszących się na wietrze papierów, a potem związał z jednym i tylko jednym celem. Zagładą miasta! On jest narzędziem jej zemsty, środkiem mającym zgubić miasto. To jej magia go stworzyła i ona go napędza. Pan Pinner nie może umrzeć, dopóki jej furia żyje. Nie zdołasz go zabić, Matthew Swift. Przykro mi, że dwóch Nocnych Burmistrzów musiało umrzeć, by poznać tę prawdę.

Pan Pinner - śmierć miast - jest wcieleniem zemsty Penny Ngwenyi. Zniszczył

obrońców miasta, wyeliminował ich, dokonał zemsty na wszystkich, którzy próbowali ją skrzywdzić. Tego, który ją opluł, utopił w jego własnej plwocinie, a z tego, który ją pobił, zdarł żywcem skórę i rozwiesił ją na suficie jego sypialni, gdy jeszcze mógł ją zobaczyć.

Natomiast chłopaka, który ukradł jej kapelusz, zaraził powolną śmiercią i wyrzucił jak śmiecia, którym był, zostawił na wysypisku z taką samą pogardą, jaką Mo okazał obcej kobiecie. Jednakże potępienie nie ograniczało się do osobistych wrogów Penny Ngwenyi.

Rzuciła przekleństwo na nieuprzejmość obcych ludzi, a miasto nie jest niczym innym jak komuną obcych. Osiem milionów obcych, a każdy z nich zna najwyżej kilkaset twarzy, maleńki ułamek procenta wszystkich, i chodzi po zaledwie kilkuset ulicach, stanowiących drobny ułamek kopca. Potępiła miasto. Niech się stanie jej wola. Pan Pinner tego dopilnuje.

Już niedługo Penny Ngwenya wróci na London Bridge.

Zwróci głowę ku niebu i ręce w stronę wody.

Miasto spłonie, panie Swift.

Pan Pinner dopilnował, by nic nie mogło powstrzymać jej zemsty. To tylko kwestia czasu, zniszczenia barier obronnych. Dziwne, że był pan jedną z nich. Drugi czarnoksiężnik.

Za późno. Koniec trasy.

Osobiście...

Nie mam zbyt wiele do powiedzenia.

Jestem prawdziwą Rajczynią.

Patrzę na miasto i widzę, że jest cudem. Jego ulice stały i rosły przez dwa tysiące lat, przez dwa tysiące lat luźny związek obcych ludzi, stłoczonych tak bardzo, że krew wrzała im w żyłach, żył, jadł i pracował wspólnie, aż wreszcie osiem milionów osób może się tu tłoczyć, blisko siebie, jak kochankowie. I to działa! Cud! Chwała! Nasz świat jest pełen obcych ludzi i to właśnie czyni go tak pełnym życia. Żyjemy w tym miejscu i czasie dzięki uczynom obcych ludzi, twarzom, których nigdy nie poznamy, cudom, których nigdy nie pojmimy, i historii, której nigdy nie zrozumiemy. W głębinach kryje się obłęd, a my możemy dotknąć tylko drobnego ułamka życia i mocy, która jest miastem. Zrozumieć więcej niż naszą maleńką część, znaczy wpaść w otchłań szaleństwa. Sądzę, że pan to widział, czarnoksiężniku. Sądzę, że wie pan, o co mi chodzi.

A teraz wszyscy uważają to za coś normalnego.

Ohyda.

Potępienie.

Jak ktoś, ktokolwiek żyjący w tym mieście, śmie ignorować taki cud? Jak ludzie mogą wzruszać ramionami i mówić: „No i co z tego?”, jak mogą zapominać o wielkości, pięknie, niezwykłości, skali, życiu, energii, chwale, cudzie! Jak jakiś obcy śmie splunąć komuś w twarz, jak śmie uderzyć kobietę, wiedząc, że to okrucieństwo bez konsekwencji, jak śmiecie rzucać papierki na ulice i liczyć na to, że sprzątną je zmiatacze, jak śmiecie parkować samochód z lekceważeniem zasad, jak śmiecie wrzeszczeć na policjanta, jak śmiecie przeklinać kierowcę autobusu, jak śmiecie ukraść kapelusz strażniczce ruchu, jak śmiecie okazywać taką pogardę? Pogardę! Uważacie to wszystko za oczywiste. Potępienie, pogarda!

Szukacie siły w mieście, w przetrwaniu, w byciu silnym, byciu twardym, w dbaniu tylko o siebie i o nikogo innego! Miasto jest dżunglą.

Dbaj o siebie, a inni niech spłoną. Jak śmiecie chodzić ulicami i nie widzieć ich cudów, jak śmiecie patrzeć tylko na własne buty, jak śmiecie odwracać twarz, jak śmiecie zostawiać człowieka na śmierć, jak śmiecie, jak śmiecie!

Jestem prawdziwą Rajczynią.

Magia jest w obcych.

W ich okrucieństwie.

W ich uprzejmości.

W tym, co uczynili, zbudowali, stworzyli i utrzymywali przy życiu.

W pięknie miasta.

Jestem prawdziwą Rajczynią.

Miasto spłonie.

Skończyła mówić.

Zastanowiliśmy się nad jej słowami.

- No cóż - odezwałem się wreszcie. - Widzę, że przemyślała pani sprawę.

Nie odezwała się ani słowem.

- Prawdę mówiąc, większości tego domyśliłem się sam.

Nadal milczała.

- Nie mogła pani po prostu pójść do psychoterapeuty?

- Słabość - odparła. - Kemsley miał rację. Nie nadaje się pan na Nocnego Burmistrza.

- Ehe - przyznałem z westchnieniem. - Też tak myślę. Ale jeśli zgadzamy się ze sobą w jakiegokolwiek sprawie dotyczącej miasta, to w tej, że nadeszła pora na zmiany. Jak pani myśli, ile czasu zostało do nadejścia pana Pinnera?

Wzruszyła ramionami.

- On nie porusza się na sposób śmiertelnych istot.

- Jasne. Czemu by nie? Hej, jeśli mnie teraz zastrzelicie, to czy będę mógł

zdecydować, kto zostanie następnym Nocnym Burmistrzem? Na przykład, czy mógłbym w ostatnim tchnieniu przekazać ten tytuł pani? To by trochę skomplikowało sprawę, prawda?

- Nie potrafiłby pan tego zrobić.

- Odbyłem inaugurację.

Wzruszyła ramionami, ale wyczułem w tym geście cień niepokoju.

- I co z tego?

- Widziałem smoka.

- I?

- Wiem, jak potężny jest ten obłąd, Anissina. Pani Smith. Wszystko jedno. Chciałaby pani go spotkać? Chciałaby pani spojrzeć mu w oczy i poczuć, jak mózg wycieka pani przez nos?

Milczała.

- Boi się pani?

Nadal milczała.

- Ogień i furia - stwierdziliśmy z westchnieniem. - Ludzie wypowiadają te słowa, jakbyśmy powinni się ich wstydzić. Jakby wybuchająca bomba nie była na swój skrywany, obsceniczny, niemoralny, nieokreślony sposób piękna. Obyczaje panujące na tym świecie nie pozwalają nam mówić podobnych rzeczy. Uważa się, że to niezdrowe. Niemniej to prawda.

Było tak już od chwili, gdy pierwszy jaskiniowiec zaczął się wpatrywać w ognisko. Gdzie jest kapelusz strażniczki ruchu? Zniszczyła go pani? To byłoby oczywiste posunięcie.

Nadal cisza.

- Nie sądzę, by pani to zrobiła. On jest jak Nocny Burmistrz, tak? To symbol wszystkiego, co nie podoba się pani w mieście. Okrucieństwa obcych ludzi. Takich jak chłopak, który ukradł kapelusz obcej kobiecie. Nie chciałbym snuć zbyt daleko posuniętych spekulacji na temat pani upodobań seksualnych, ale idę o zakład, że nie potrafiłaby pani go zniszczyć. Gdzie jest kapelusz Ngwenyi, Anissina? Gdzie Mo go ukrył?

- Koniec trasy - odparła.

- Byłem tam, widziałem go. Gdzie jest kapelusz?

- Nie bierz tego do siebie, czarnoksiężniku.

- Ehe, słyszałem już te słowa. Wszystko sobie obliczyłaś, ty głupia kobieto! Gdzie jest kapelusz Ngwenyi?

- Nic pan nie może zrobić. Nie tutaj, gdzie...

- Jesteśmy niebieskimi elektrycznymi aniołami! Zrodziliśmy się z oddechów pozostawionych przez ludzi, z ich obaw, myśli, idei i prawd oraz kłamstw, które waliśmy w przewody telefoniczne. To wy nas stworzyliście i jesteśmy więksi, jaśniejsi oraz bardziej żywi niż jakikolwiek śmiertelnik! Nie mów nam, co możemy, a czego nie możemy zrobić!

Gdzie jest jej kapelusz?!

Uzbrojeni mężczyźni mieli ochotę wystrzelić, czuliśmy to pragnienie, widzieliśmy, jak gapią się na nasze płonące oczy, wystarczy tylko jeden ruch palca.

- Zrób to, a będziesz miała zamię na ręce, pani Nocny Burmistrz - warknęliśmy. -

Niech miasto na ciebie patrzy, a cienie się za tobą wloką. Śnij sny śpiących kamieni, pani pierdolony Nocny Burmistrz! Broń miasta, broń jego ulic i kamieni. A czy nikt ci nie mówił, że ta maleńka mrówka łącząca wewnątrz kopca jest najlepszą koleżanką innej mrówki, która zna mrówkę, która zna mrówkę mieszkającą na drugim końcu miasta, której rodzina zna te wszystkie mrówki, które znają

mrówkę znającą tę pierwszą mrówkę. Dlatego nie jesteśmy sobie obcy. Nikt z nas nie jest obcy, Anissina! To nie obcy człowiek ukradł kapelusz strażniczki ruchu. To by było w porządku, to by nic nie znaczyło! Zrobił to londyńczyk!

Członek rodziny zjednoczonej przez te wszystkie kamienie, ulice i opowieści! Dlatego właśnie miasto spłonie. To była zdrada! Zabijemy cię, zanim zginiemy, Anissina. Zgiń i bądź

potępiona. ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ!

Wykrzyčeliśmy klątwę miasta i w tej samej chwili unieśliśmy prawą rękę.

Poczuliśmy, że w dwóch krzyżach zapłonął niebieski ogień, zobaczyliśmy, że uzbrojeni mężczyźni wzdrygnęli się trwożnie. Poczuliśmy też coś więcej, nagłą sztywność skóry, zerknęliśmy na swoje ciało i zobaczyliśmy... spowijającą je ciemność, której przedtem tam nie było, drapiący, rozszerzający się mrok, który wychodził z wewnętrznej powierzchni naszej dłoni, ale teraz nie było na to czasu, wszystko po kolei, coś było nie w porządku z naszymi oczami, coś gorącego i szczypiącego...

Tu były!

Chodźcie, moje śliczne, znacie tę pieśń.

Szczury nadeszły. Wypadały ze wszystkich dziur w ścianach, obnażając kły i strosząc sierść na grzbietach, wylażyły z rur i ze szczelin w suficie, wchodziły na siebie nawzajem, by przedostać się przez drzwi. Były wściekłe, ponieważ my się wściekliśmy, ponieważ na ich dom dokonano inwazji, mimo że nikogo tu nie prosiły. Jeśli nie było zaproszenia, nie będzie też drugiej szansy. Gryzonie ominęły moje stopy i wlażyły na nogi uzbrojonych mężczyzn, którzy zaczęli krzyczeć i

oczywiście, jak zawsze robią przestraszeni ludzie,

strzelać.

Rozległo się głośnie *bum*. Nie potrafiłem określić, skąd dobiega hałas, podmuch za szybko ogarnął moją skórę, wdzierając się do gardła. Kolana ugięły się pode mną, moje nerwy wypełniła ogromna skłębiona chmura w kształcie grzyba. Padłem na plecy, ponieważ wyglądało na to, że ból zmierza w tamtym kierunku, a nie zamierzałem się z nim spierać.

Szczury rozstąpiły się pode mną, wlażyły mi na ramiona, twarz i pierś, nadal wybiegały setkami ze ścian, atakując mężczyzn, którzy nie mieli już ust i nie mogli krzyczeć, zostały z nich tylko czarne bryły topniejące pod warstwą równie czarnych ciał, latarki zgasły, światła zgasły, wszystko w pokoju przestawało działać. Słyszałem krzyki, wrzaski, strzały do szczurów, czułem eksplozje małych tłustych ciał, pękających, gdy uderzały je kule, czułem drżenie łapek, ruchy wąsików w powietrzu, zębki wnikające w ciepłe miękkie ciała ludzi, jakby gryzonie jadły różowe surowe kurczaki. Na dłoniach miałem krew płonącą jaskrawoniebieskim ogniem, wijącą się jak błękitne czerwie, i postrzelili mnie, o w dupę, po tym wszystkim, co mogło się zdarzyć, jakiś skurwysyn

szczury odchodziły

uciekały w noc

bały się tu zostać

nie mogłem ich powstrzymać, przyjaciele, wróćcie i zaśpiewajcie tę pieśń, co za skurwysyn strzela do obcych ludzi?

Na podłodze, kilka stóp ode mnie, leżał jakiś mężczyzna. Jeszcze żył. Zawodził jak ranne dziecko, głosem zbyt cichym i żalnym, by można go nazwać krzykiem, za słabym, by mógł uchodzić za ryk. Po prostu czołgał się i zawodził. Połowa ucha zwisała mu luźno, a reszta zamieniła się w krwawą masę, w której nie mogłem dostrzec żadnych szczegółów.

Cieszyliśmy się z tego. Jego towarzysze leżeli dalej. Jeden z nich powtarzał:

- *Huh... huh... huh...*

Wypełniająca jego gardło krew sprawiała, że głos w nim grzął.

Reszta w ogóle się nie ruszała.

Spróbowałem unieść głowę.

Pod najdalszą ze ścian stał jakiś cień.

Widziałem parę czerwonych oczu mrugających w ciemności. Były idealnymi kulkami na tle czarnego owalu głowy stworzenia, ich bezdenną otchłań wypełniało szaleństwo.

Ruszyły w moją stronę. Z ręki jednego z mężczyzn wypadła latarka. Jej światło padało na nogi stworzenia. To były ludzkie nogi, skryte pod długim czarnym płaszczem, ale połączone z szalonymi czerwonymi oczami. Istota uklękła przy mnie. Jej skóra miała srebrną metaliczną barwę, pod powierzchnią uwidaczniały się czarne żyły. Włosy były czarnymi drutami bezpiecznikowymi, ciągnącymi się za głową, palce zaś zakrzywionymi pazurami tego samego koloru, sterczącymi z dziwnie połączonych w stawach rąk. Kiedy stworzenie oddychało, z jego ust i nozdrzy buchał czarny dym. Jeśli smoki były srebrne i wyglądały jak ludzie, miałem przed sobą smoka. Oczy istoty wypełniał szalony blask typowy dla strażników miejskich bram.

- Anissina - wyszeptałem i z zadowoleniem poczułem, że powietrze się poruszyło. A więc nie płuca, nadal jeszcze je miałem.

Półludzka istota rozchyliła srebrne wargi, odsłaniając zaostrome zęby. Za jej plecami poruszyły się cienie. Metalowe ściany baraku zaskrzypiały. Miałem wrażenie, że jeden z tych cieni przybył tu dla mnie. Będzie jeszcze czas się tym zająć.

- Anissina - wydyszałem znowu. - Prawdziwa Rajczyni. Zobacz, co jest za tobą -

dodałem, ponieważ czułem się przygnębiony.

Nie rozumiała tych słów. Zaciśnęła metalowe palce na naszej szyi.

- To mi nie wygląda na pierwszą pomoc - odezwał się stojący za nią cień.

Anissina odwróciła się z sykiem, wyciągając pazury w stronę cienia. Zamknąłem oczy, ale strzał padł bardzo blisko i rozbłysk był tak jasny, że widziałem jego eksplozję, na moich siatkówkach wypalił się obraz rozpryskującej się na wszystkie strony gwiazdy, a moim mózgiem targnął wstrząs. Usłyszałem zwierzęcy krzyk, żalosne, piskliwe zawodzenie.

Otworzyłem oczy akurat na czas, by oślepił mnie drugi błysk, któremu towarzyszył huk.

Anissina padła na podłogę i przetoczyła się z krzykiem na bok, metaliczny połysk zniknął z jej skóry, pazury skurczyły się, przechodząc w paznokcie, a z metalicznych pasm na głowie znowu wyrosły włosy. Krzyczała przeraźliwie! Z kikuta odstrzelonej lewej nogi płynęła krew, co gorsza, sączyła się też z brzucha. Kobieta złapała się obiema rękami za ranę i leżała, krzycząc, na podłodze, aż wreszcie cień, który nacisnął spust, uklęknął obok i zdecydowanym ruchem zakrył jej usta dłonią.

Światło latarki padło na tę dłoń. Miała kolor czekolady stopionej w ciemnym garnku.

- Pomóż mi - wychrypiałem.

- Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć lepiej - odparła Oda.

To był jej głos, jej ręka, jej broń i jej poczucie humoru.

- Postrzelili mnie - wydyszałem. - Postrzelili.

- Ehe. Zauważyłam. Rana wlotowa i wylotowa, Swift, w górnej lewej części brzucha, tuż poniżej żeber. Przestań się skarżyć. Jak na złe wiadomości, to jest jedna z najlepszych.

Możesz mi wyjaśnić, dlaczego ta Rajczyni, która powinna nie żyć, próbowała cię udusić?

Czyżby znowu winna była twoja natura?

- Ona współpracuje z panem Pinnerem - jęknąłem. Spróbowałem usiąść, ale szybko dałem za wygraną. Jezu, on tu idzie! Musimy zwiewać!

- Rajczyni? Ta Rajczyni? Ze śmiercią miast? Dlaczego?

- Wszystko przez pokrętne rozumowanie.

- Czy ona coś wie?

- Kapelusz - wysyczałem. - Kapelusz strażniczki ruchu.

Oda szerzej otworzyła widoczne w blasku latarki oczy. Ostrożnie uniosła rękę z ust Rajczyni. Anissina zaczęła dyszeć chrapliwie, ale brakowało jej sił na pełen krzyk. Nadal ścisnęła ranę w

brzuchu. Oda pochyliła się w moją stronę, trzymając w ręce broń, i delikatnie przebiegła palcami po moim gardle.

- Kłamca - wyszeptała. - Czarnoksiężniczka! Ngwenya...

- Możemy znaleźć jej kapelusz.

- Możemy ją zabić i to zakończyć! Tak właśnie powinniśmy zrobić!

Jej palce spoczywały na mojej tchawicy, naciskały ją bardzo delikatnie, ale wystarczająco mocno, bym to zauważył.

- Jest niewinna - wyszeptałem. - Nie wiedziała... nie wiedziała! Opluto ją, pobito, okradziono, skrzywdzono! Jest niewinna! Potępienie, obcy ludzie, potępienie, piekło, spłon!

Pomóż mi, na Boga!

- Na Boga?

- Pomóż mi - jęknąłem. - Proszę. Anissina wie, gdzie jest kapelusz. Oddajcie mi mój kapelusz! Mogę złamać zaklęcie! Proszę! Nadal nas potrzebujesz!

- Mogę zabić czarnoksiężniczkę.

- On nadchodzi. Pan Pinner nadchodzi, koniec trasy, potępienie, oddajcie mi mój kapelusz, on nadchodzi, proszę...

- Nie nadajesz się nawet na Nocnego Burmistrza, prawda? - wydyszała Oda.

- Proszę - wyszeptałem. - Uratowałem ci życie. Mogłem pozwolić ci umrzeć. Proszę.

Pomóż mi. Uratowałem ci życie! Odo!

Chrząknęła w odpowiedzi, zdjęła palce z mojego gardła i zwróciła się ku leżącej na podłodze Anissinie. Pochyliła się nad nią tak nisko, że ich twarze dzielił od siebie zaledwie cal. Oddychała lekko, owiewając spoconą twarz rannej kobiety swym gorącym tchnieniem, a potem, delikatnie jak matka głaszcząca dziecko po brzuszku, wepchnęła pistolet w jej ranę.

Anissina krzyknęła.

Odwróciłem głowę, próbując wcisnąć policzek w podłogę.

- Gdzie jest kapelusz? - zapytała Oda.

Anissina wrzeszczała tak głośno, że aż drżała podłoga.

Zamknęliśmy oczy i zaczęliśmy liczyć. Jeśli jestem jedną ośmiomilionową miasta, to jaki to będzie

procent? Podzielmy to i...

- Gdzie jest kapelusz Ngwenyi?

- On... on... on...

- Tak, pan Pinner obedrze cię żywcem ze skóry - zgodziła się cicho Oda. - Pewnie, że to zrobi. Ale rzecz w tym, że postrzelono cię w brzuch i w tej chwili zawartość twoich jelit przedostaje się do krwiobiegu. Kał, soki trawienne, kwas żołądkowy, enzymy. Wnikną w twoje żyły i zaczną gryźć. Kwas wypali cię od środka, a enzymy rozpuszczą ciało, aż nic nie pozostanie, strawią cię całkowicie. Kał obróci twoją krew w ściek. Jeśli będziesz miała szczęście, wstrząs septyczny zabije cię, nim dojdzie do najgorszego. W przeciwnym razie obdzieranie żywcem ze skóry wyda ci się balsamiczną łaską Wszechmocnego w porównaniu ze śmiercią, która cię czeka. A to będzie dopiero początek. Potem nadejdzie potępienie, Rajczyni. Nie potrafię przewidzieć, jaką postać przybiorą twoje męczarnie. Tę tajemnicę poznacie wyłącznie ty i diabeł, a on nie dba o żadne zasady. Gdzie jest kapelusz, Anissina?

Gdzie jest kapelusz strażniczki ruchu?

- H-H-Harlun i Phelps - wyszeptała. - Bum Bum go zabrał, ale n-n-nie rozumiał jego mocy, n-nie wiedział, co to znaczy. Ukryłam go w gmachu firmy. M-M-Myślałam, że tam n-nigdy...

Oda pogłaskała jej brodę lufą pistoletu.

- Bóg cię kocha - wyszeptała. - Pamiętaj o tym, gdy nadejdzie diabeł. Bóg cierpi razem z tobą, krzyczy z bólu tak samo jak ty. Kocha cię. Płacze nad tobą. Wie, że tylko w ten sposób możesz się czegoś nauczyć.

Pochyliła się i ostrożnie pocałowała Anissinę w czoło. Potem wstała dziarsko i spojrzała na mnie.

- Jeszcze nie umarłeś? - zapytała.

- Nadal żyjemy - zgodziliśmy się. - Ta-da!

- Czy chcesz z tym skończyć?

- To zależy, o czym mówisz.

Oda, psychopatyczna suka, prawie że uśmiechnęła się na chwilę.

- Szczęściarz z ciebie - stwierdziła i pochyliła się, by pomóc nam wstać. - Ciebie Bóg na pewno też kocha, na swój szczególny sposób.

Pomogła mi wstać.

Poczułem, że pod moją skórą poruszają się rzeczy, które nie powinny tego robić.

Słumiliśmy krzyk, zaciskając zęby tak mocno, że przygryźliśmy sobie język. Przez chwilę ból wydał się nam niemal ulgą.

- Swift? - jęknęła Anissina. - Pomóż mi?

Spojrzeliliśmy na nią z góry.

- Pamiętasz Verę? - zapytaliśmy.

Nie odpowiedziała.

Oda nas podtrzymała i oddaliliśmy się, utykając.

* * *

Hackney Marshes.

Biegliśmy. Krew spływała mi między palcami i ściekała po boku, za szybkim, zbyt gorącym strumieniem.

- Postrzelili mnie... - wysyczałem.

- Wiem. Śpiesz się.

Trawa, nierówności, lepkie, wilgotne błoto, małe strumyczki sięgające kostek i trzciny, w których więzy nam nogi. Nie widziałem tu żadnej magii, nie dzisiejszej nocy, ale z przodu była jaskrawa neonowa łuna miasta, tak bardzo blisko, jeszcze tylko kawałek i odnajdę elektryczny ogień!

- Jesteśmy... prawie... na miejscu - wydyszeliśmy.

- Wiem. Spiesz się!

Ukradła samochód, volkswagena passata, najnudniejsze auto kiedykolwiek wyprodukowane przez człowieka, i zaparkowała go na granicy bagien. Otworzyła tylne drzwi, wrzuciła mnie do środka, usiadła za kierownicą, przekręciła kluczyk w stacyjce, zwolniła ręczny hamulec, nacisnęła sprzęgło i wcisnęła gaz do dechy. Przetoczyłem się z jękiem na plecy na tylnych siedzeniach, wyciągnąłem z kieszeni latarkę i oświetliłem własny brzuch. W jego górnej lewej części, tuż poniżej żeber, pojawił się mały gniewny uśmiech o poszarpanych brzegach. Krew skapywała z niego wesoło. Z moich ust wyrwały się przekleństwa. Na wszelki wypadek dorzuciłem do nich parę bluźnierstw, złapałem za torbę, wyciągnąłem z niej bandaż, i wcisnąłem jeden do rany, ale zaraz zrobił się czerwony i musiałem go wyrzucić.

- Odo - wychrypiałem.

- Wiem - warknęła. - Tracisz mnóstwo krwi. To zapewne znaczy, że pocisk uszkodził

śledzionę. Ogarnie cię niepokój, twój puls i oddech przyśpieszą. Potem stracisz jeszcze więcej krwi i

uspokoisz się, ale to nie będzie dobry znak. Ciśnienie spadnie ci gwałtownie, dopadną cię zawroty głowy, twój obwodowy układ nerwowy będzie się stopniowo wyłączał. Potem stracisz przytomność i koniec. Zostało jeszcze kilka godzin. Jak już mówiłam, mogło być gorzej. Szczęściarz z ciebie.

- Anissina...

- Jedziemy do Harluna i Phelps'a. Jeśli nie znajdziemy kapelusza, zabiję Ngwenyę.

Zabiję ją, Swift. A jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, ciebie też wykończę. Opowiem o wszystkim Rajcom. Wiem... dlaczego... osłaniałeś Penny Ngwenyę. To była... ludzka słabość.

Nocny Burmistrz nie może być taki... miękki. Jeśli nie potrafisz złamać zaklęcia, zastrzelę ją.

Rozumiemy się?

- Tak.

- To świetnie. Leż spokojnie, uciskaj ranę i zastanawiaj się, czy potrzebujesz w życiu pierwiastka boskiego.

- Myślałem, że już za późno na skruchę?

- Na nią nigdy nie jest za późno. Tylko na odmianę losu.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Nie, naprawdę ci dziękuję.

- Rozumiem, co chciałeś powiedzieć.

Światła śpiącego miasta.

Która była godzina?

- Odo?

- Słucham?

- Przepraszam za wszystkie krzywdy, które ci wyrządziłem. I za te, które uważasz, że ci wyrządziłem. I za wszystkie przypadki, kiedy należałoby coś powiedzieć... ale nie wiedzieliśmy co.

- To brzmi jak przedśmiertna mowa.

- Mówię poważnie.

- Wiem. Jest już za późno, czarnoksiężniku. Za późno. Ale dziękuję, że próbowałeś, Matthew Swift.

Dla mnie to nic nie znaczy, ale dla ciebie najwyraźniej jest ważne.

Senne drogi, senne ulice. Nawet w Bethnal Green gaszono światła. Autobusy przemykały się wzdłuż Mare Street ku tajemnicom Dalston, Clapton, Stamford Hill oraz północy. Patrzyłem na przesuwaną się za tylną szybą światła, wciskając palce w spływającą po skórze krew. Niepokój, przyspieszenie pulsu i oddechu. Do czego właściwie służyła śledziona? Mała śmierć małego śmiertelnika, kropla po kropli.

Nad nami biegły tory kolejowe, twarz, która mogła należeć do mnie odbijała się w czarnym tle za szybą. Na ulicznych tablicach widniały nazwy o stuletniej historii, cienie obserwowały śmigający mokrymi ulicami samochód. Nocny Burmistrz, obrońco miasta, zostań tu i walcz o kamienie, cienie, wspomnienia, obcych ludzi, rodzinę, wszystko jedno, wybierz jedną możliwość, wybierz wszystkie. Za wszystkie warto zginąć, gdyby miało do tego dojść. Three Colts Lane, Dunbridge Street, Shoreditch, Grimsby Street, Oakly Yard, Great Eastern Street, Holywell Lane, Curtain Road, Willow Street, Blackall Street, Old Street, City Road - i wreszcie go ujrzałem! Srebrnoskóry smok trzymający tarczę, krzyże w krzyżach, oczy zbyt szalone, by je pojąć, wysunięty język i syk unoszący się w nocnym powietrzu! Omal nie szarpnęliśmy się od jego dotyku, magia dotknęła nas z siłą prądu, zamknęliśmy oczy i cienie nadal tam były, krwawiły do czerwonych linii miejskiego krzyża.

Domine dirige nos, Panie prowadź nas, zaufaj wyższej mocy, codziennemu cudowi, to właśnie znaczyło bycie Nocnym Burmistrzem, szalone oczy smoka, City Road, Finsbury Road, Moorgate, Swan Alley, White Horse Lane, King's Yard, tak blisko, Masons Alley, Basinghall Street, prawie na miejscu, Aldermanbury Square.

Puste, pogrążone we śnie, ale światła nadal się paliły we wszystkich biurach, okna prowadzące do pustego pokoju, do tysiąca pustych pokojów, płaszcze zawieszane na oparciach krzeseł, zdjęcia dzieci i żon, zabawki dla menedżerów skutecznie odwracające uwagę od wszelkiej pracy, oraz inne gadżety nadające pustym pokoikom osobisty charakter.

Model jachtu na oświetlonym szóstym piętrze pogrążonego we śnie biurowca, sala konferencyjna, stół zastawiony starymi kubkami po kawie, druga, mniejsza, w której geometrycznie rozłożono poduszki na podłodze, całe piętro wypełnione ustawionymi w szeregach komputerami, biuro, gdzie w rogu stała zwijana plansza do gry w minigolfa.

Zamknij oczy i będziesz mógł sobie wyobrazić, że okna biurowców patrzą na ciebie, tysiąc owadzych oczu wygląda z gmachów zupełnie jak cienie.

- Odo! - wysyczeliśmy. - Widzisz to?

- Co mam widzieć? - mruknęła, wyciągając nas z tylnego siedzenia.

- Popatrz! - zwołaliśmy, wskazując na rozświetlone wieżowce.

- Co mam zobaczyć?

- Magię! - zawołaliśmy. - Nie widzisz jej? Miasto jest magią, i to my je stworzyliśmy, my

wydobyliśmy magię z kamieni, ulic i życia! Jak możesz tego nie widzieć?

- Mam nadzieję, że to ból przez ciebie przemawia - warknęła i wyciągnęła nas, czy może raczej wywlokła, na jasno oświetlony dziedziniec gmachu firmy Harlun i Phelps.

Drzwi były zamknięte, ale na nasz widok senny ochroniarz usunął blokadę i wielkie skrzydła zaczęły się obracać automatycznie, wyczuwszy, że się zbliżamy. Weszliśmy chwiejnym krokiem do środka. Oda puściła mnie w holu, podeszła do ochroniarza i złapała go za kłapy.

- Wezwij Earle'a, wezwij Rajców, wezwij lekarza, a potem zmiataj stąd. Rozumiesz?

Skinął głową z otępiałą miną.

- Świetnie. Na którym piętrze jest biuro Anissiny?

* * *

Pojechaliśmy windą prawie na sam szczyt. Opierałem się o szyby, wciągając w płuca światła ciągnącego się na dole miasta. Nasza dłoń zostawiła krwawy ślad na nieskazitelnie czystym szkłe. Czuliśmy krew spływającą nam po nodze, za dużo krwi, nie wytrzymamy tego długo.

Drzwi się otworzyły, ukazując słabo oświetlone piętro pełne białych jarzeniówek i milczących komputerów. Kiedy wysiadaliśmy, zachwiałem się, a potem runąłem na ręce i kolana. Oda mnie podniosła.

- Ruszaj się! - warknęła. - Pomyśl o Ngwenyi, o jej mózgu na ścianie i jej krwi też.

Mała Penny Ngwenya zginie, bo jeśli teraz umrzesz, nie znajdziesz jej kapelusza i nie zdejmiesz rzuconej przez nią klątwy, przysięgam na Boga, że ją zabiję. Myślisz o tym, Matthew? Widzisz, jak Ngwenya ginie, słyszysz, jak jej czaszka pęka, a krew bryzga na wszystkie strony? Jesteś już w tym miejscu?

Pokiwałem głową z otępiałą miną. Wlokła mnie przez korytarz. Z obu stron mieliśmy jasnobezowe drzwi, białe gipsowe ściany, tak miękkie, że można by w nie wbić ołówek, portrety cenionych klientów oraz przypadkowo dobrane obiekty, które mogły być dziełami sztuki, dziwne kawałki rzeźb sąsiadujące z automatami z kawą albo chłodzoną wodą, doniczkowe rośliny tak jaskrawe i błyszczące, że powinno się zrobić je z gumy i zaoszczędzić wszystkim wysiłku. Tabliczki z nazwiskami na zamkniętych drzwiach; przechodząc obok jednych, zauważyłem nazwisko Kemsleya. Okna zasłonięte żaluzjami.

(To pierdolona zniewaga dla urzędu Nocnego Burmistrza, że pan nim został.

Dziękuję. Z pewnością tylko obdarta ze skóry mistyczna projekcja mogła mi to powiedzieć).

Minęliśmy kuchnię. Oda zatrzymała się na chwilę, oparła mnie o ścianę, zdjęła zieloną apteczkę wiszącą nad zlewem, a potem pociągnęła mnie dalej.

- Ruszaj się! - wrzasnęła, prawie że unosząc mnie nad podłogę, i pomknęliśmy korytarzem.

Wreszcie je znaleźliśmy.

Na nudnych beżowych drzwiach widniała biała plastikowa tabliczka z napisem „Pani Anissina, członek kierownictwa”. Były zamknięte. Oda spróbowała otworzyć je kopniakiem, ale nic to nie dało, więc przestrzeliła zamek. Gabinet był cichy, nieciekawym i pozbawiony natchnienia. Na ścianie wisiał nieszkodliwy korporacyjny obraz, przedstawiający parę drzew nad wodospadem; w róg wciśnięto szarą szafę z szufladami na akta; półka nad nią ugięła się pod ciężarem niebudzących entuzjazmu segregatorów. Na biurku stał laptop, nie stacjonarny komputer, biały i cienki, tak bardzo trendy, że nie trzeba go było do niczego podłączać. Obok leżał plik nieskazitelnie białych papierów oraz idealnie równy szereg długopisów. Oda cisnęła mnie na najbliższe krzesło i zaczęła zrzucać segregatory z półek.

Otworzyłem szufladę, znalazłem w niej zszywacz, parę pisaków, notes oraz pudełko spinaczy. Przeszedłem do tej, która znajdowała się niżej. Pełno w niej było pokrytych cyframi papierów. Niektóre były stanowczo za wysokie, by mogły mieć cokolwiek wspólnego z pieniędzmi, chyba że chodziło o londyńskie City. W trzeciej znalazłem jedynie kalendarz z napisem „I co ty na to, 2001?”. Był zniszczony, wytarty, powyginany i najwyraźniej bardzo kochany. Przerzuciłem go. Rozmaite męskie twarze przytwierdzono do męskich ciał

wciśniętych na siłę w niepokojąco ciasne spodnie. Modele wydymali usta, uśmiechali się albo toczyli pianę, spoglądając zalotnie z półkartonowych stron. Położyłem ostrożnie kalendarz na biurku obok komputera Anissiny, a potem gapiłem się na niego, długo i intensywnie.

Zastanawialiśmy się, jak to jest być trawionym od wewnątrz.

- Odo? - wyjąkałem.

Usłyszałem za sobą jakiś łoskot i odsunąłem się instynktownie od źródła dźwięku, unosząc ręce, by osłonić twarz. Gdy śmierć nie nastąpiła, obejrzałem się ostrożnie za siebie.

Oda otworzyła szuflady szafy z aktami i przerzucała ich zawartość, ciskając na podłogę wielkie naręczki papierów i segregatorów.

- Odo? - powtórzyliśmy.

- Masz apteczkę - warknęła.

Wzięliśmy apteczkę w zakrwawione dłonie i spróbowaliśmy otworzyć ekspres. Ręce nam drżały. Najpierw nadejdzie niepokój, ale potem minie i pożegnany się z obwodowym układem nerwowym. Tak powiedziała i cieszyliśmy się, że nie zrozumieliśmy tego w pełni.

Bandaże i opatrunki, za mało, środki odkażające, jakby to nie było najmniejsze z naszych zmartwień.

- Odo?

Za moimi plecami zapadła cisza. Obróciłem się na krzesło, odpychając się nogami.

Kobieta stanęła przed wielką szybą, spojrzała na własne dłonie, a potem uniosła je ku sufitowi. Trzymała w nich coś dziwnego, małego i czarnego. Przedmiot wykonano z mieszanki filcu z plastikiem, a w jego szczycie słabo odbijało się białe światło. Wzdłuż jego podstawy, tuż nad wąskim, zadartym ku górze rondem, biegł pas białych i żółtych kwadracików, a z przodu przytwierdzono do niego małą srebrną tarczę, którą jakieś dziecko mogłoby z radością wziąć za odznakę szeryfa. Krótko mówiąc, był to bardzo nudny, nie za duży, staromodny kapelusz przypominający nieco melonik. To nakrycie głowy w latach pięćdziesiątych minionego stulecia byłoby najnowszym krzykiem mody, a teraz wyglądało...

raczej smętnie. Fragment umundurowania, o którym zapomniał czas.

- Hmm... - wyszeptała Oda.

Wziąłem ostrożnie kapelusz z jej rąk i obróciłem go w dłoniach.

W środku wszyto pas elastycznego materiału, żeby łatwiej było go nosić. Napisano na nim wyblakłymi żółtymi literami: *PENNY*.

Położyliśmy ostrożnie kapelusz na biurku Anissiny.

Przyjrzelśmy się mu.

W milczeniu.

- I co? - zapytała Oda. - Czy to...

- Cicho!

Posłuchała nas.

- Co się stało? - zapytała szeptem po chwili.

- Chciałem uczyć go chwilą ciszy. Myślałem, że potrafisz to zrozumieć.

- Boże, nie mam na to czasu. Czy to...

- Tak, to kapelusz strażniczki ruchu. Jej kapelusz.

- A czy będziesz mógł...

- Tak. Potrafię złamać klątwę.

Nastąpiła chwila przerwy.

- No to złam ją! - odezwała się wreszcie Oda. - Na co czekasz? Na pełnię?

Wyciągnęliśmy niepewnie ręce, przebiegliśmy palcami po czarnej kopule kapelusza, ujęliśmy go za bok i odwróciliśmy do góry dnem.

- On nadchodzi - mruknąłem. - Pan Pinner idzie po nas.

- Słucham?

- Właśnie przekroczył linię starego Muru Londyńskiego. Czujemy go. Jest bólem w naszej prawej dłoni. Wie, że mamy kapelusz. To klucz do zaklęcia, które go wezwało. Jeśli złamiemy tę klątwę, zginie. Nadchodzi.

- W takim razie zrób to! Zrób to!

- Potrzebuję Ngwenyi.

- Czy to...

- Strażniczka ruchu? - dobiegł od drzwi czyjś głos.

Uniosłem powoli wzrok i zobaczyłem czarny płaszcz pana Earle'a, jego nieskazitelny garnitur i poważną twarz. Za nim tłoczyli się kolejni Rajcy. Żaden nie wyglądał na zadowolonego. Earle powoli ściągnął czarne rękawiczki, podał je stojącemu w korytarzu Rajcy, wszedł do środka i sięgnął po kapelusz. Odsunęliśmy go pośpiesznie i przycisnęliśmy do piersi. Uśmiechnął się na ten widok.

- A więc Ngwenya nie jest czarnoksiężniczką, Swift? Po tym, jak uciekł pan na St Pancras, Oda poinformowała nas, że to... tylko niewinna kobieta. A mimo to, trzyma pan w rękach coś, co wygląda na kapelusz strażniczki ruchu, i najwyraźniej sądzi pan, że śmierć miast zmierza do nas. Mógłbym też dodać, że postrzelono pana i włamał się pan do gabinetu jednej z grona zaginionych osób. Widzę, że ostatnio miał pan mnóstwo zajęć. Czyżby...

okłamał nas pan w sprawie Ngwenyi?

Spojrzeliliśmy mu prosto w oczy.

- Tak - odparliśmy. - Musi się pan z tym pogodzić.

Zacisnął palce na krawędzi biurka.

- Okłamał nas pan w sprawie kobiety, która przeklęła miasto, skazała je na zagładę, potępiła. Kobiety, której gniew wezwał śmierć miast, a jej moc ściągnie na nasze ulice deszcz mistycznej zemsty? Śmiał pan to zrobić?

Zastanowiliśmy się nad tym pytaniem i pokiwaliliśmy głową.

- Tak. I zrobilibyśmy to jeszcze raz. Swoją drogą, Anissina to zwariowana zdradziecka suka i serdecznie dziękuję za okazaną troskę. Tak, kurwa, postrzelono mnie i pan Pinner rzeczywiście tu

Idzie. Jest już blisko, słyszymy jego kroki na kamieniach City. Idzie po to. -

Zakręciłem kapeluszem w powietrzu. - Ponieważ nie zostało już panu zbyt wiele czasu na gniew, panie Earle, czemu nie zada mi pan niewiarygodnie ważnego pytania: „Panie Swift, dlaczego, ach dlaczego, dał się pan postrzelić, by znaleźć ten kapelusz, i jak właściwie zamierza pan ocalić miasto za jego pomocą?”.

- To już nie ma znaczenia. Wiem, że musimy zabić Ngwenyę - odparł i zaczął się odwracać.

Złapaliśmy go za ramię i pociągnęliśmy w stronę biurka.

- Dla nas ma znaczenie. Potrafimy złamać zaklęcie i Ngwenya nie musi zginąć.

- Słabość! Głupia, nieefektywna, ślepa, głupia słabość! To...

- Zniewaga dla urzędu Nocnego Burmistrza, tak, wiem o tym! - warknąłem, wstając z krzesła. - Każdy cholerny nieznajomy w tym pierdolonym mieście powtarza mi to, gdy tylko nadarzy się okazja. Wie pan co? Mam tego już potąd! Jestem zniewagą dla wszystkiego, czym był kiedyś ten urząd, dla szerszego spojrzenia, rozsądnych rozwiązań, pragmatycznych uczynków, koniecznych poświęceń, dla kamieni i ulic! I dobrze! A szczerze mówiąc, znakomicie! To dla mnie zaszczyt, że noszę to piętno i mogę wam powiedzieć, całujcie mnie, to duże miasto! Istniejemy po to, by zmieniać zasady i właśnie w tej chwili zmieniam jedną z nich! Ngwenya nie musi ginąć! Potrafię zdjąć klątwę. Mogę załatwić pana Pinnera, powstrzymać śmierć miast. Możemy tego dokonać!

- A jak właściwie zamierza pan osiągnąć ten cel? - zapytał Earle przez zaciśnięte zęby.

- Oddam jej kapelusz.

Zapadła cisza. Rajcy zastanawiali się nad moją odpowiedzią.

- Słucham? - odezwała się wreszcie Oda.

- Dziękuję ci za totalną nieznajomość mistycznych procedur. Odo - odparłem z westchnieniem. Do moich kości wróciła nagle energia. Sięgnąłem ręką do krzesła. - Oddam jej kapelusz.

- I to wszystko? To wystarczy do zdjęcia klątwy?

- Nie widziałaś napisów na murach? „Oddajcie mi mój kapelusz?”.

- Przecież... sam powiedziałeś, że to tylko...

- Ostrzeżenie. Rozwiązanie. Zastanawiałaś się kiedyś, jak właściwie kruki, Londyński Kamień, rzeka, Mur i Nocny Burmistrz bronią miasta? Cholerne mistyczne moce mają swoje niejasne bezużyteczne sposoby.

- Mogliśmy ją zabić, czarnoksiężniku - warknął Earle.

- Ehe. Najefektywniejsze rozwiązanie strategiczne, oparte na analizie czynników ryzyka. Policja o niczym by się nie dowiedziała. Zbrodnia bez konsekwencji. Obcy zabija obcego i to wszystko, do widzenia, dobranoc, koniec trasy. Zimne i wydajne rozwiązanie.

Typowe dla finansistów. Okrutne i zdystansowane, jak to tylko możliwe dla ludzi. Nie niżymy się do waszego poziomu. Oddamy jej kapelusz.

Zapadła cisza.

Westchnąłem, potarłem powieki i natychmiast tego pożałowałem. Lepka krew z palców została na twarzy. Słyszałem, jak trzeszczy niczym rzep.

- W porządku - odezwał się wreszcie Earle.

- Jest pan pewien? - zapytałem z zamkniętymi oczyma, zwracając się ku zbyt jasno świecącej lampie.

- Tak.

- Dobrze. W takim razie wybaczenie, panowie, ale muszę zanieść kapelusz Penny Ngwenyi, zanim wykrwawię się na śmierć. - Podniosłem się chwiejnie, odepchnąłem Rajcę na bok i ruszyłem ku drzwiom.

- I to wszystko? - zdziwił się Earle. - Koniec sprawy? Śmierć śmierci miast?

- Ha-ha - odparłem.

- Nie...

- Pan Pinner nie zamierza nam pozwolić oddać kapelusza! Klątwa, którą rzuciła Ngwenya, jest jego życiem. To ona go wezwwała i podtrzymuje jego byt. Zrobi wszystko, co tylko może, by nas powstrzymać. A, niestety, może wiele.

- Ale jeśli...

Wskazałem na okno.

- Niech ktoś wyjrzy na dwór i powie mi, co widzi.

Oda stała najbliżej okna, więc ona pierwsza wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła. Z jej ust wyrwało się długie, smętne westchnienie.

- Chłopaki w dresach z kapturami - oznajmiła.

- I co z tego? - warknął Earle.

- Ilu ich jest? - zapytałem.

- Może z pięćdziesięciu. Patrzą prosto na nas, jeśli to kogoś interesuje. Nie widzę twarzy.

- Na pewno? I co pan na to, panie Earle?

Zacisnął mocno szczęki. A dłonie w pięści.

- W porządku - mruknął. - Panie Burmistrzu, czego pan od nas oczekuje?

- Liczy pan na długą przemowę? Ruszajcie stąd te leniwe tyłki i walczcie, do cholery.

Aha, i jeszcze *trzask*.

- Trza...?

Wszystkie światła zgasły z cichym trzaskiem.

W gabinecie, na piętrze, w całym gmachu, w sąsiednich budynkach, na skrzydłach przelatujących w górze samolotów, w podziemnych tunelach metra.

- A nie mówiliśmy? - zapytaliśmy, szczerząc zęby w uśmiechu. - Gdzie tu jest najbliższe wyjście?

* * *

Widma.

Nie cierpieliśmy widm.

Zgaszenie światel było tanią efekciarską sztuczką, drobną przeszkodą, pozbawioną znaczenia w porównaniu z główną atrakcją. Pan Pinner się zbliżał, nie zatrzymywał się nawet na chwilę, nie sposób zatrzymać śmierci miast, prędzej czy później każde z nich umrze, tak samo jak wszystko inne, a on był tu teraz i siedł po nas.

Jakże nienawidziliśmy mistycznych mocy i ich niejasnych bezużytecznych sposobów.

Dlaczego bilet przeznaczenia nie mógł zawsze leżeć za sofą, a prorocy losu nie tworzyli diagramów logicznych, pełnych pomocnych uwag i odniesień?

Znajdowaliśmy się w budynku firmy Harlun i Phelps, otoczeni przez Rajców (jakże ich nie znosiliśmy!), których z kolei otaczały puste kaptury ze słuchawkami emitującymi basowe rytmy, a gdzieś na dole mężczyzna w garniturze w prążki obserwował czarne oka pogrążonego w mroku gabinetu, bo przecież wiedział, z całą pewnością musiał wiedzieć, że znalezienie kapelusza nic nie zmieni, jeśli nie będzie go można później oddać.

- Macie tu gdzieś piwo albo fajki? - zapytałem.

- Naprawdę sądzi pan, że to odpowiednia chwila?

- Butelki piwa i paczki papierosów - odparłem ostrym tonem. - To broń.

Twarz Earle'a była szarym cieniem w mroku. Cieszyłem się, że nie widzę jego miny.

- Mamy dział cateringowy - odparł. - Może pan tam sprawdzić.

- Świetnie. Na pewno są tu jakieś osłony, zaklęcia ochronne, tak? W końcu pracują tu Rajcy...

- Tak, mamy trochę takich rzeczy. Osłony przed złem, wrogimi zamiarami i tak dalej.

- Czy zadziałają automatycznie?

- Gdy tylko intruz przekroczy próg. Ale nie sądzę, by mogły powstrzymać śmierć miast. Tego ubezpieczenie nie pokrywa.

- Panie Earle! Czyżby spróbował pan zasztartować?

- Nie.

- Aha. No pewnie. Przepraszam, popełniłem błąd. Nie sądzę, by ktoś tu wiedział, do czego służy śledziona?

Zapadła cisza. Po chwili zmaćło ją uprzejme kasznięcie.

- Ja wiem - oznajmiła Oda. - Ale nie powiem ci, żeby nie odrywać twoich myśli od pana Pinnera.

- Rewelacja. Panie Earle?

- Słucham, panie Swift?

- Zróbcie to, co zwykli robić Rajcy, gdy siły pierwotnego zła próbują zniszczyć was i tych... o mało nie powiedziałem „których kochacie”, ale rozumie pan, w czym rzecz...

- A pan dokąd idzie?

- Po fajki i butelki piwa - odparłem. - Odo?

- Pójdę z tobą - dobiegł z mroku jej głos. - Na wszelki wypadek.

- Miło jest znaleźć w życiu pewność. Te osłony...

Gdzieś z dołu dobiegł nas trzask, łoskot, słaby, odległy, niemal zawstydzony faktem, że efekt zepsuł wpływ mroźnego zimowego powietrza między jego źródłem a nami. Rajcy natychmiast zwrócili twarze ku oknu, a ponieważ jest to osobliwe zachowanie dla wszystkiego, co nie jest gołębiem, podążyliśmy za ich przykładem.

W mroku na zewnątrz pojawiło się czerwone światło, gdzieś na drugim końcu Aldermanbury Square. Potem drugie i trzecie, cały szereg czerwonych światełek, tu wprawionych w mury domów, ówdzie

przyklepionych do szczytów znaków drogowych, jeszcze gdzie indziej umieszczonych na czubkach słupków ulicznych. Coraz dłuższa linia jaskrawoczerwonych świateł posuwała się ku nam, odbijając się w podwójnych liniach na ulicy, czerwonych tablicach znaków drogowych, ciemnych oknach złowrogich budynków i innych obiektach. Światło skradało się ku nam, zalewało plac, przesączało się między nogami zakapturzonych chłopaków - ile widm może wezwać jeden facet? - rozjaśniało pustkę pod ich kapturami, szczeliny nicości pod luźnymi szarymi dresami, z każdą chwilą szerząc się coraz dalej.

Dotarło do ściany wieżowca i wniknęło do wnętrza przez okna. Cały czas rosło i jaśniało - jaskrawy, nieubłagany, szkarłatny blask, od którego bolała nas głowa, lampa fotograficzna wzmocniona do rażącej oczu siły. Czerwone światło wypełniło cały wieżowiec, wspinało się na ściany, pokrywało sufity i podłogi. Wszystkie powierzchnie, które mogły lśnić, lśniły czerwonym blaskiem. Gdy Rajcy się poruszali, światło ciągnęło się za nimi, jakby było cienkimi paskami litej substancji albo unoszącą się w powietrzu mgłą, nie niematerialną energią. Nasunęła nam się myśl - wlokąca się powoli, jakby się wstydziła, że przybyła za późno na przyjęcie - że wszechobecne światło ma taki sam czerwony kolor, jak krzyże smoka, a jeśli spojrzeć na gmach firmy pod odpowiednim kątem, mógł on się stać punktem wyjścia dla nakreślenia tego samego krzyża na ulicach Londynu.

Spojrzałem na rysującą się w krwawym blasku sylwetkę Earle'a.

- Muszę przyznać, że...

Uniósł jednak rękę, nakazując mi milczeć.

- *Domine dirige nos* - wydyszał. - *Domine dirige nos* - zaśpiewali w odpowiedzi Rajcy.

- Są w budynku - odezwał się po chwili. - Wchodzą na schody. Widma i... i coś jeszcze.

Earle nigdy jeszcze nie spotkał śmierci miast.

- On krwawi papierem. Nie zdołacie go zabić, dopóki klątwa nie straci mocy -

oznajmiłem pośpiesznie. - Ale możecie spowolnić jego marsz dzięki ochronnym zaklęciom, inkantacjom i efektownym wybuchom. Muszę znaleźć drogę wyjścia z budynku, żeby zanieść kapelusz Ngwenyi.

Skinął głową.

- Siódme piętro. Jest tam zeskok, ale jeśli będzie pan rozsądny...

- Odo?

Była przy mnie. Jej twarz lśniła we wszechobecnym czerwonym blasku.

- Earle - zacząłem.

- Niech pan ucieka, panie Burmistrzu - wydyszał. - Spowolnimy ich marsz, odwrócimy uwagę,

będziemy z nimi walczyć wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Niech pan ucieka i zanieś kapelusz tej swojej strażniczce. Niech cię piekło pochłonie, czarnoksiężniku, ruszaj!

* * *

Uciekliśmy.

Krew skapywała za nami, niepewna i roztrzepana, tworząc na cienkim dywanie romboidalne plamy. Windy nie działały, nie było sensu nawet próbować, schody były szare i betonowe. Oda miała latarkę i pistolet, ja też miałem latarkę, wyjętą z kieszeni, ale wolałem nie ryzykować jej zapalania. Nie zostało nam zbyt wiele śmiertelnej siły i nie zamierzaliśmy jej marnować, zwłaszcza że nadal mieliśmy szansę przeżyć noc. Biały blask naszych latarek natychmiast pochłaniała wszechobecna rubinowa luna, bijąca z każdego cala ścian i podłogi.

Widziałem, jak blask rozstępuje się pod moimi stopami, gdy biegliśmy na łeb, na szyję w dół.

Dyszeliśmy z wysiłkiem, bicie serca wypełniało nam uszy, baliśmy się, baliśmy, to tylko lęk, to tylko strach, to tylko nic, to tylko uczucie, to tylko śmiertelne sprawy i niech śmiertelnicy się nimi martwią, to tylko ucieczka!

Osiemnaste piętro. Dlaczego dręczeni obsesją na punkcie penisów architekci projektują tak wysokie domy? (Ceny gruntu, myśl o cenach gruntu, myśl o ucieczce...).

Szesnaste piętro, piętnaste, nie mogłem oddychać, po prostu spadaj, niech grawitacja wykona pracę za ciebie, czternaste piętro i moją uwagę przyciągnął napis...

- Odo!
- Co jest?
- Dział cateringowy.
- Ale...
- Chodź!

Pociągnąłem ją za sobą przez wyjście ewakuacyjne na czternaste piętro i popchnąłem ku najbliższemu szeregowi brudnych biur ze sklejki.

- Fajki, taśma klejąca! Tyle papierosów, ile tylko znajdziesz!

Skrzywiła się i zaczęła przerzucać szuflady. Pobiegłem korytarzem do białych dwuskrzydłowych drzwi. W oba ich skrzydła wprawiono okrągłe szyby. Popchnąłem drzwi i wpadłem do kuchni pełnej nierdzewnej stali oraz wielkich garów przeznaczonych do gotowania podejrzanych zup zrobionych głównie z kawałków wrzuconej do wody marchewki. Zacząłem sprawdzać wszystkie półki. Chciało nam się krzyczeć z frustracji. Kto słyszał, żeby w wielkim biurowcu nigdzie nie było zakamuflowanego alkoholu?

Wielkie kartony z wodą mineralną „Perrier”, wodą gazowaną, lemoniadą, wodą gazowaną o smaku owocowym, wodą z dodatkiem witamin, wodą z dodatkiem wulkanu, soku owocowego zrobionego głównie z cukru, soku owocowego zrobionego głównie z tłuczonego imbiru, jogurtu, napojów „energetycznych”, napojów proteinowych, znowu wody, gazowanej i odgazowanej, nawadnianej i odwadnianej, zmieszaj to wszystko w jednym kubku i zobaczymy, czy eksploduje ci głowa.

- Matthew! - dobiegł zza drzwi głos Ody.

- Co jest?

- Nadchodzą!

- Chodź tutaj! Przybiegła do kuchni bez słowa skargi, przynosząc ze sobą przygnębiająco małe narzędzie papierosów oraz rolkę taśmy klejącej.

- Piwo - mruknąłem. - Musimy znaleźć piwo. Gdzie je trzymają?

- Widziałam twarz... nie twarz... pusty kaptur w drzwiach.

- Butelkowe piwo!

Otworzyłem drzwi kolejnej szafki z nierdzewnej stali i wyciągnąłem z niej worki mąki oraz wielkie paczki żelatyny. Potem otworzyłem następne. Nareszcie! Schowany dyskretnie z tyłu szereg butelek z zielonego szkła. Wyciągnąłem całe narzędzie i dorwałem się do kapsli.

- Czarnoksiężniku!

Głos Ody dobiegał z lewej. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem dwa stojące w wejściu widma. Kołysały się w rytm niesłyszalnej muzyki, pod kapturami miały pustkę, a w rękach scyzoryki. Uniosłem ku nim ręce, rozpościerając okrwawione dłonie.

- Odo, zapal papierosy, opróżnij butelki i wrzuć zapalone papierosy do środka, rozumiesz?

Podniosła butelki z podłogi i sięgnęła do kieszeni po nóż, by zdjąć kapsle. Widma posuwały się w moją stronę, kołysząc się od bioder w dół w rytm swojej muzyki i poruszając barkami, jakby chciały powiedzieć: „Wydaje ci się, że wielki z ciebie twardziel?”. Uniosłem dłonie ku plamom aroganckiej pustki w dresach i poczułem ból w krzyżach wyciętych w mojej skórze.

- Nie ulega dla mnie wątpliwości, że jako... stworzenia... w wieku co najmniej dziesięciu lat - zacząłem - (a) od dnia rozpoczęcia okresu próbnego zachowywaliście się aspołecznie, to znaczy nekaliście, zastraszaliście lub powodowaliście inne trudności dla jednej lub więcej osób niedzielących z wami mieszkania i (b) ten nakaz jest konieczny, by...

Powietrze wokół moich palców zgęstniało, krew ściekająca mi z dłoni na nadgarstek skapywała na podłogę. Widma były coraz bliżej...

- ...by zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom regionu, w którym dochodzi lub może dochodzić do

nękania, zastraszania albo piekielnie dokuczliwych trudności spowodowanych przez was. Jako przedstawiciel prawowitych władz... Odo, pośpiesz się!

Na mojej skórze pojawiło się gęste światło, spływające wzdłuż ramiona na podłogę.

Widma były coraz bliżej. Zaczęły zwalniać kroku, ich ręce przesywały powietrze, jakby były mściwymi guru t'ai chi. Zwalniały z każdą chwilą, ale nie przestawały się zbliżać.

- ...by się upewnić, czy spełniono warunki wymienione w podpunkcie (1) (a), sąd odstąpi od wymierzenia kary za wszelkie uczynki, które w zaistniałej sytuacji można było uznać za rozsądne. Zakazy, które prawo pozwala nałożyć... Odo, szybko!

Widma były już tylko kilka stóp ode mnie. Zakłęcie uderzyło w nie z całą siłą i poruszały się bardzo powoli. Gdy wykrzykiwałem jego słowa, czułem moc przepływającą przez moje ręce, płonącą w czubkach palców. To był nowy, młody czar, nie zgromadził

jeszcze potrzebnej mocy. Czułem, jak wypełnia moje płuca, moją krew. Zakłęcie niemalże uniosło mnie nad podłogę, wkładałem w nie wszystko, co miałem:

- ...zakazy, które prawo pozwala nałożyć w ramach kary za społeczne zachowanie są konieczne, by ochronić przed skutkami dalszego społecznego zachowania pozwanych (a) osoby mieszkające w ich regionie i (b) osoby z sąsiednich regionów wymienionych w dodatku...

Jedno z widm uniosło nóż, poruszając się w zwolnionym tempie. Ostrze skwierczało i syczało, syjąc wściekle iskrami, przesywało powietrze powoli jak fala fenomenalna w gwiazdzistą noc. Odpychałem je od siebie wszystkimi siłami, jakie mi zostały, i zobaczyłem, że zwolniło jeszcze bardziej, nie zatrzymało się jednak. Włożyłem w zakłęcie każdą cząsteczkę powietrza w płucach i ryknąłem do pustego kaptura widma:

- Ograniczenia nałożone za społeczne zachowanie będą obowiązywały przez okres (nie mniej niż dwóch lat) wymieniony w nakazie albo do czasu wydania następnego nakazu.

W związku z podpunktem (9) znajdującym się poniżej powód albo pozwani mogą złożyć do sądu wnioski o zmianę lub uchylenie kary wymierzonej za społeczne zachowanie... Odo!

Wepchnięto mi w rękę coś poruszającego się szybko w gęstym jak owsianka powietrzu. To była zielona butelka po piwie, lepka od wylanego przed chwilą napoju.

Wewnątrz tlił się smętnie papieros, z szyjki buchały ciemne opary. Omal nie wybuchliśmy śmiechem. Unieśliśmy rękę i pchnęliśmy z całej siły flaszką w miejsce, gdzie powinna być twarz widma.

- Hej, stary! Szacun! - wrzasnęliśmy w chwili ataku.

Rzucane przeze mnie zakłęcie rozpląnęło się. W zasadzie widmo powinno krzyknąć, ale kurczyło się już wewnątrz butelki, znikało w papierosowym dymie za szkłem. Jego ubranie osunęło się na podłogę, a nóż złamał się, uderzając o jasne kafelki. Wyrwałem butelkę spod zapadającego się kaptura, zatkałem szyjkę kciukiem, wyrwałem z rąk Ody taśmę klejącą i zakleiłem butelkę, odrywając

taśmę zębami.

Drugie widmo, uwolnione spod wpływu zaklęcia, ruszyło w moją stronę. Ale wyrwałem z rąk Ody kolejną butelkę i zamachałem nią przed sobą, rycząc:

- Chodź tutaj! Czeka cię wieczna pustka!

Widmo cofnęło się o kilka kroków. Podążyliśmy szybko za nim. Spróbowało pchnąć mnie nożem między żebra, ale było już za późno. Wbiliśmy wypełnioną kuszącym dymem flaszkę w pustkę pod kapturem i po chwili została tylko sterta workowatych ubrań oraz kolejna wypełniona dymem butelka po piwie.

- Tak po... - wyjąkała Oda, spoglądając na smętne łachy.

- Ehe. Tak po prostu.

- To były fragmenty przepisów dotyczących społecznego zachowania...

- Ehe, wiem. Dlatego zaklęcie nie zadziałało zbyt dobrze. Dawaj flaszki!

Wręczyła mi cztery, piątą włożyła do kieszeni mojego płaszcza, a dwie następne zatrzymała dla siebie, trzymając po jednej w obu dłoniach.

- I to zabija widma?

- Więzi je. Przywołanie przepisów dotyczących społecznego zachowania spowalnia ich ruchy, jeśli mamy do czynienia z więcej niż jednym, ale, jak sama widziałaś, zaklęcie nie jest doskonałe. A jeśli papieros zgaśnie, nim widmo wniknie do butelki, również nic z tego nie wyjdzie. To powinno wystarczyć, by doprowadzić nas na siódme piętro.

- Nie mogę...

- Wepchnij butelkę w twarz widma, a jeśli to nie zadziała, powiedz mu „szacun”.

Tylko szczerze, jakbyś w to wierzyła.

- Nie mogę uprawiać ma...

- Możesz.

- Nie jestem jakąś...

- To tylko proste zaklęcie wiążące. Magia sympatyczna. Chcesz żyć?

- Nie za cenę potępienia!

- No cóż, będziesz musiała wybrać jedno albo drugie. Ruszajmy!

Pociągnąłem ją za sobą, albo to ona pociągnęła mnie, czy raczej wchodziliśmy sobie nawzajem w drogę. Opuściliśmy kuchnię, przeszliśmy przez nudne biurowe piętro, które przybrało kolor krwi albo krzyży czy smoczyc oczu, a może po prostu niegustowny odcień burdelowej czerwieni, a potem dotarliśmy do klatki schodowej. Wypełniał ją rytm, odbijający się echem od betonowych ścian:
dumdumdumdumDUdumdumdumdumDUdumdumdumdum...

- Znowu schody? - wydyszałem. - Jasne, wiem, że...

- Właściwie to nie było pytanie!

Na przeciwnym końcu piętra znajdowała się druga klatka schodowa.

sszssszsssCZAsszssszsssCZAsszssszsssCZA...

- Dokąd teraz?

- Na dół, musimy zejść na dół....

- Wiesz chociaż, gdzie jest ta Ngwenya?

- Pewnie, że wiem - mruknąłem. - Śmierć miast chce zabić Nocnego Burmistrza, ostatniego obrońcę Londynu, jedyne człowieka, który może ocalić miasto przed pożarem.

Pewnie, że wiem, gdzie jest Penny Ngwenya.

- Pajęcze zmysły Jedi?

- Niejasne mistyczne moce.

- Widma są tutaj, Swift! I pan Pinner też. Naprawdę wierzysz, że możemy po prostu stąd wyjść?

- Dobra. - Skrzywiłem się i pociągnąłem ją z powrotem. - Jak sobie chcesz.

Czerwone światła, kręczone krzesła, matowe biurka, milczące uśpione komputery, wielkie szyby okien za drzwiami gabinetów kadry kierowniczej, drzwi z deski, gipsowe ścianki działowe.

- Myślisz, że są tu te wielkie przewody powietrzne, jak w amerykańskich filmach? -

zapytałem z nadzieją w głosie.

Oda chrząknęła w odpowiedzi, nie spuszczając wzroku z drzwi na klatkę schodową.

Zza nich dobiegały dźwięki:

sszssszsssCZAsszssszsssCZAsszssszSsSCZa ...

dumdumdumdumdumDUdumdumdumdumDUdumdumdumdum...

- Dobra.

Spojrzałem na podłogę. Ręce nam drżały. Tym razem nic nie zauważyliśmy, skraj naszego pola widzenia najwyraźniej zajął się własnymi sprawami.

- Widzę je! - syknęła Oda, odsuwając się od drzwi. - Są już prawie na miejscu!

- Ile mamy butelek?

- Może z sześć? Czy można zamknąć w butelce więcej niż jedno widmo?

- A jak myślisz?

- Myślę, że życia nie stworzono po to, by było łatwe.

- Moje myśli brzmiały mniej uprzejmie, ale w zasadzie można to ująć i tak.

Widzieliśmy poruszające się za drzwiami cienie, czuliśmy ich smak. A także coś więcej, coś, co sprawiło, że palce naszej prawej dłoni podkuliły się z obrzydzenia i strachu.

- Wycofajmy się do gabinetu - wysyczałem. - Tamtego.

Oda posłuchała i otworzyła kopniakiem drzwi ze sklejki. Za nimi znajdował się gabinet ozdobiony rekwizytami kojarzącymi się z golfem: kijami, zdjęciami, pucharami i tak dalej. Przeciwległą ścianę tworzyła jedna wielka szyba, lekko wygięta na zewnątrz. Za nią ciągnęło się skąpane w mrocznej czerwieni miasto. Przebiegłem dłońmi po szkle, poczułem jego zimno, wcisnąłem w nie nos, dotknąłem go językiem i poczułem pozbawiony wyrazu smak kurzu.

- Nada się - mruknąłem.

- Do czego? - wysyczała Oda.

- Masz jeszcze ten scyzoryk?

Wręczyła mi go. Sprawdziłem wszystkie ostrza, aż znalazłem klucz do okien.

Zwróciłem go końcówką do szyby.

- Oddaj mi mój kapelusz, czarnoksiężniku! - dobiegł od strony drzwi pełen nieskrywanego gniewu głos.

Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem pana Pinnera. Tym razem już się nie uśmiechał.

Kurtkę miał wydętą, twarz zimną i bladą, a włosy stały mu dęba. Cały gabinet zadrżał. Meble podskoczyły lekko, kołysząc się jak kwiaty na wietrze, ekrany monitorów pękły, krzesła zawirowały, segregatory na półkach otworzyły się i posypał się z nich papier, najpierw kilka kartek, a potem dziesiątki, setki, niekończący się deszcz papieru, targany towarzyszącym panu Pinnerowi tornadem,

wypełniający wejście śnieżycą w formacie A4.

- Oddaj mi mój... - zaczął pan Pinner. W tej samej chwili z całej siły uderzyłem kluczem w szybę.

Rozległo się *tup*. Cofnąłem powoli rękę. Na szybie została maleńka biała blizna, nie większa niż koniec dziecięcego palca. Potem na brzegu szyby pojawiło się małe pęknięcie.

Podzieliło się, posunęło nieco dalej, znowu się podzieliło, znowu posunęło, podzieliło, posunęło, podzieliło i posunęło. Trwało to tylko kilka sekund, ale czułem się, jakbym obserwował marsz lodowca w dół górskiego stoku.

Za moimi plecami pan Pinner wrzasnął z wściekłości i gniewu, uniósł ręce i rzucił się ku nam. Papierowe tornado zasłoniło na mgnienie oka jego sylwetkę, wypełniając pokój tysiącem wściekłych ostrych kart, które cięły, raniły i kaleczyły. Wsparłem dłoń o zranione szkło i nacisnąłem, wspierając ten ruch ciężarem ręki, barku i całej reszty. Podskoczyłem, by wzmocnić nacisk, i szyba pękła z głośnym hukem, rozpadając się na tysiące tysięcy sypiących się na wszystkie strony odłamków.

To było nic. Nic w gabinetach nad nami, na dole, po obu naszych stronach i wszędzie, dokąd dotarły pęknięcia. Szkło posypało się w karmazynową noc i ze wszystkich okien buchnęły tornado papieru, unoszącego się w zimnym nocnym powietrzu. Gdy odpryski zaczęły spadać na ziemię, złapałem Odę i oboje pochyliliśmy się nisko, niemalże padając na podłogę. Potem usunąłem kopniakiem ostatnie odłamki trzymające się jeszcze stalowej ramy i skoczyłem w noc, pociągając kobietę za sobą.

* * *

Ale niezbyt daleko, jako że pomagały mi szczęście i rozwaga. Odwróciłem się w locie i złapałem się ramy, kołysząc się za oknem. Sprytna silna Oda, która tak świetnie potrafiła zabijać wszystko, co próbowało zabić ją, kołysała się obok mnie. Wspólnymi siłami pokonaliśmy krótki odcinek dzielący nasze wybite okno od wybitego okna poniżej, a potem zeskoczyliśmy na podłogę pokrytą połamanymi segregatorami oraz kawałkami plastiku. Oda pociągnęła moją głowę w dół, gdy oburzony tą sytuacją komputer eksplodował w bezsilnym gniewie. Potem znowu powlokła mnie ku oknu i zaczęła wylazić na zewnątrz nad ostrą stalową krawędzią, na której dywan stykał się z wolnym powietrzem. Wywijała nogami, próbując dosięgnąć niższego piętra. Spojrzałem w dół. Teraz było to znacznie łatwiejsze, bo nie przeszkadzała mi szyba, uniemożliwiająca pochylenie głowy. Ziemia była daleko.

- Odo, nie mogę... - wychrypiałem.

- Ngwenya zginie z kulką w głowie! - warknęła kobieta, która zdążyła już zeskoczyć do pogrążonego w mroku gabinetu na dole. - Przysięgam na Boga, Swift, przysięgam na wszystko, co święte, że wpakuję jej kulkę w mózg i to będzie twoja wina, ten grzech spadnie na ciebie! Czeka cię piekło, Matthew Swift! Ruszaj się!

Uniosłem wzrok i zobaczyłem pana Pinnera stojącego na krawędzi okna. Patrzył na mnie z góry, jakby gmach firmy Harlun i Phelps był tylko otwartym domkiem dla lalek, a my jedynie jego mieszkańcami. Warknęliśmy, poruszyliśmy palcami w powietrzu, złapaliśmy garść szkła i cisnęliśmy nim w niego z furją. Uchylił się, ale jeden szybko wirujący odłamek skaleczył go w policzek i

przeciął oko. Z białego centrum rany wydostał się kolejny kawałek papieru. Pan Pinner wyciągnął go niedbale i odrzucił.

Schodziliśmy na dół, miotając się jak zdychająca ryba. Oda łapała nas na każdym kolejnym piętrze i ciskała w głąb pokoju. Jej atutem była raczej szybkość niż siła.

Pokonaliśmy w ten niezgrabny sposób trzy piętra, nim dotarliśmy do miejsca, gdzie w oknie pozostało zbyt wiele szkła, byśmy mogli zeskoczyć do pokoju. Osunąłem się na kolana.

- Zaczekaj chwilkę, proszę, tylko...

- Nie ma czasu!

Oda złapała mnie za ramię i pociągnęła do najbliższej klatki schodowej. Nadal rozbrzmiewało w niej: *du-du... de-dum! Du-du... de-dum!*

Dziesiąte piętro, dziewiąte, hałas był coraz bliższy, coraz głośniejszy. Z góry dobiegał

mnie huk wysadzanych drzwi i ryk oraz smród papieru, wypełniający klatkę schodową, schodzący nią w dół niczym tornado, by nas rozszarpać. Ósme piętro, siódme. Oda otworzyła drzwi kopniakiem i widmo czekało na nas za nimi. Uniosło nóż, a ja byłem za daleko, nadal na schodach. Oda szła pierwsza, a ono tam czekało, gotowe rozerwać nas na strzępy. Uniosła odruchowo rękę, a w jednej z nich trzymała butelkę, jeszcze niedawno zawierającą piwo.

Wbiła ją głęboko w kaptur widma, bez zastanowienia, za szybko, by miała czas odetchnąć, a ono natychmiast zaczęło się zapadać, wciągane do gorącego, wypełnionego dymem wnętrza.

Złapałem kobietę za ramię, gdy zaczęła rozluźniać palce, chwyciłem butelkę i wpychałem ją coraz głębiej, aż wreszcie po stworzeniu została tylko sterta ubrania na podłodze. Potem zatkałem butelkę kciukiem i zakleiłem ją taśmą. Oda stała nieruchomo, gapiąc się na to.

Rozdziawiła szeroko usta. Złapałem ją za ramię i pociągnąłem przed siebie. Wszystko nas bolało. Ciągnęliśmy za sobą kobietę, mijając biurka, komputery, automaty z chłodzoną wodą i inne rekwizyty znajdujące we wszystkich biurach na świecie. Nasze stopy zaplątały się po drodze w pozostały po widmie dres.

Szukaliśmy jakichś znaków, wskazówek, czegoś, co pokazałoby nam trasę wiodącą do tego cudownego wyjścia, o którym mówił Earle. Znaleźliśmy je. Na zielonej tablicy napisano wielkimi białymi literami „DROGA EWAKUACYJNA”. Popędziliśmy w tamtą stronę, otworzyliśmy drzwi i znaleźliśmy się w korytarzu, gdzie nie było nic poza kilkoma smętnymi koszami na śmieci stojącymi na podłodze. Podbiegliśmy do końca, zobaczyliśmy drzwi, klamkę i znak ostrzegający przed alarmem. Faktycznie tam był: dwa bliźniacze krzyże, gorejące ogniem zbyt jasnym, by można było patrzeć na nie wprost. Zasłoniłem oczy rękawem, nacisnąłem klamkę łokciem, otworzyłem drzwi kopniakiem i wyrząłem na dach.

Choć noc była bezchmurna, panowała tam nieprzenikniona ciemność.

Na dół nie wiodły żadne schody. Był tam tylko dach, lekko spadzisty i pokryty czerwoną dachówką. Staromodny komin, nowomodne anteny telewizyjne i satelitarne oraz drzwi prowadzące do gmachu firmy Harlun i Phelps. Dach należał do jakiegoś starego domu cechowego, był etapem na drodze z punktu A do punktu B, gdziekolwiek mógł on leżeć.

Tak czy inaczej, wolałem go od punktu A. Pociągnąłem Odeę za sobą i wyszedłem na spadzisty dach. Pośliznąłem się, przewróciłem i złapałem za dachówki, czując pod palcami ich twarde ostre krawędzie. Zsunąłem się kilka kroków w dół i wcisnąłem mocno w dach, leżąc na brzuchu. Oda leżała obok mnie, dysząc jeszcze szybciej niż my. Byliśmy... nasze oczy były... nasze dłonie zajęły się czymś innym i zsunęliśmy się niżej, pod stopami mieliśmy krew, własną krew. Co powiedziała Oda? Do czego właściwie służy śledziona?

Torbę nadal miałem na plecach.

Kapelusz ciągle był w niej. Uniosłem wzrok i zobaczyłem gmach firmy, rozświetlony niczym ogromne szkarłatne ostrzeżenie przed zabawą z zapalkami. Niemalże mi się zdawało, że słyszę krzyki walczących i ginących Rajców, dobiegające z jego wnętrza.

- Musimy stąd zwiewać - syknąłem do Ody. - Ruszaj się! Musimy znaleźć Ngwenyę.

Kobieta spoglądała na krwawy wieżowiec, otwierając szeroko oczy.

- Oni... - zaczęła.

- Nie zdołamy go zabić! Nie powstrzymamy Pinnera, jeśli nie rozproszymy zaklęcia!

Ruszaj się! Odo! Musisz mi pomóc!

Odwróciła się i spojrzała prosto na nas. Jej twarz wypełniała przygnębiona pustka, tak wielka, że przez chwilę zdawało mi się, że widzę kaptur widma, nie kobietę z krwi i kości.

- Potępienie - wyszeptała. - Potępienie.

- Możemy to odwrócić!

- Nie to.

- Odo! Wysłuchaj mnie. Potrzebuję twojej pomocy. Musimy dotrzeć do Ngwenyi.

Wiem, gdzie ona będzie, musisz mi pomóc! Odo!

Nasz krzyk wstrząsnął nią na chwilę, coś w niej jeszcze żyło, stara psychopatyczna suka, twarda jak stal. Uniosła głowę, spoglądając na szczyt dachu, i zaczęła się wspinać, czołgając się po starych dachówkach w stronę komina. Ciągnęła mnie za sobą. Moja dłoń wyslizgiwała się z jej palców, warstewka krwi dzieliła moją skórę od jej skóry. Oda złapała mnie za nadgarstek i powlokła aż na szczyt dachu. Potem spojrzała w dół. Po drugiej stronie dach opadał w ciemność, obiecując coś innego: drugi budynek o bardziej płaskim dachu.

Zsunęliśmy się na dół, podskakując na stukających nieprzyjemnie dachówkach, dotarliśmy do rynny i przeczołgaliśmy się przez nią. Stary czarny metal zaskrzypiał niepokojąco. Potem przeskoczyliśmy przez szeroką na mniej więcej stopę przestrzeń dzielącą nas od sąsiedniego budynku i wylądowaliśmy na sąsiednim dachu. Przywitała nas tam stojąca woda, gołębie łajno, zardzewiałe milczące odpowietrzniki oraz stary popękany beton.

- London Bridge - wysyczałem. - Musimy dotrzeć do London Bridge.

Gmach firmy Harlun i Phelps za naszymi plecami był gorejącą plamą szkarłatnej jasności. Blask wypełniał już cały wieżowiec. W drzwiach, tych samych, przez które wyskoczyliśmy, ktoś stał. Trzymał ręce w kieszeniach i patrzył na nas. Po prostu patrzył.

Oda również go zauważyła i najwyraźniej nie mogła oderwać od niego spojrzenia.

Potrząsałem nią, ale się nie odwróciła. Spoliczkowaliśmy ją mocno i zacisnęła odruchowo rękę w pięść, zatrzymując ją zaledwie cal od naszego nosa.

- Słuchaj! - syknęliśmy. - Ngwenya rzuciła klątwę na London Bridge, tam właśnie go wezwała i tam musi się to skończyć.

Podczołgała się do skraju dachu i spojrzała w dół. Był tam pokryty betonowymi płytami chodnik, pamiątka po czasach, gdy architekci mieli wielkie marzenia, ale ograniczone budżety, fragment sieci przejść nadziemnych, ciągnącej się od północnych granic Barbicanu przy Goswell Road, aż po południową granicę Moorgate i Mur Londyński. W latach sześćdziesiątych minionego stulecia uznano by to za science fiction, ale obecnie prawie nikt nie wiedział o istnieniu tych przejść. Oda zsunęła się z dachu i zeskoczyła na położony nieco niżej chodnik. Rozległ się głuchy łoskot. Nikt nie zwracał sobie głowy kładzeniem zaprawy.

Poczółgałem się za nią, zsunąłem na dół, wylądowałem na palcach u nóg i opadłem na kolana, uderzając otwartymi dłońmi o kamienie.

Oda ujęła mnie pod pachy, uniosła i odciągnęła od płonącego krwawym ogniem budynku. Znowu ujrzałem przyjazne żółte linie o mistycznej mocy, które zawsze zaprowadzą człowieka gdzieś, gdzie nigdy by się nie spodziewał trafić. Wskazałem ręką w przeciwnym kierunku.

- Tam! Do Moorgate!

Zerwaliśmy się do biegu, pełnego gracji jak rozgotowany burak. Płyty chodnikowe, włączające się wokół nas światła, obszar ciemności zostający z tyłu, w miarę, jak oddalaliśmy się od gmachu firmy, martwe rośliny doniczkowe, opakowania po papierosach walające się na ulicy, krew między naszymi palcami. Z mostku w dół prowadziły schody, dziwne, mroczne, betonowe stopnie cuchnące moczem i starą pleśnią zbiegały w dół pod tylną ścianą oszklonego budynku wtopionego w historyczne ściany nakrytego kopułą pubu. Na wszystko padał żółtopomarańczowy blask latarni. W sennych sklepikach sprzedawano czekoladę, kawę i garnitury. Była tam stacja metra, ale o tej porze pociągi nie kursowały. Był też przystanek autobusowy, ale musielibyśmy liczyć na nocną albo całodobową linię. W obu przypadkach oznaczało to, że autobus z samej swej natury nigdy nie zjawia się wtedy, gdy jest

najbardziej potrzebny.

Nigdzie nie było żadnych samochodów, nie widziałem też taksówek ani ciężarówek.

Ulice były tak martwe, jak to tylko możliwe. Na pustych drogach, które powinien wypełniać intensywny ruch, panowała niczym niezmacona cisza. Wystarczyło, byśmy przymknęli oczy, i ujawniały się cienie. Podbiegały do naszych stóp, wylaniały się z chodnika i ze szczelin w asfalcie. Pamiętaliśmy, jak wygląda to za dnia, gdy biegały, tłoczyły się i przepychały w oszalałym pośpiechu, koniecznie pragnąc jak najszybciej dotrzeć z punktu A do punktu B.

Miały do załatwienia pilne sprawy, miasto było pełne pilnych spraw. Wszędzie unosiła się woń ruchu ulicznego, a ziemia drżała od narzędzi budowlańców. Cisza w mieście jest piękna i przerażająca, przypomina człowiekowi, jak bardzo małe jest wobec ulic, które wybudował.

Biegliśmy środkiem jezdni, pozwalając, by cienie podążały za nami. Karmiliśmy się wspomnieniami niektórych, pamięcią o godzinie szczytu, a nasze ruchliwe, tak bardzo ruchliwe stopy uderzały z głuchym łoskotem o białą linię pośrodku ulicy, za wąskiej, by za dnia pomieścić intensywny ruch. Oda podążała za nami, potykając się jak obłąkany zombie.

Jej oczy wpatrywały się w pustkę, a nogi poruszały się tylko dlatego, że nie wiedziały, co jeszcze mogłyby ze sobą zrobić.

Światła uliczne na skrzyżowaniu Moorgate z ulicą London Wall zmieniły się z czerwonych na zielone i z powrotem, polecając niewidzialnym kierowcom zająć się swoimi sprawami. Skręciliśmy. W ziemi była wielka dziura, odsłaniająca plastikowe rury oraz ich przastare sąsiadki oblepione czarną warstwą ziemi. Obok ustawiono tablicę dziękującą nam za okazanie cierpliwości podczas ważnych prac remontowych. Jaskrawoczerwony żar budynku firmy Harlun i Phelps przygasał już, widziałem, że szkarłatna luna słabnie. Osłony, które ją stworzyły, przestały działać, nie wiedziałem dlaczego, nie potrafiłem tego odgadnąć i wołałem nawet nie próbować. W miarę, jak mijaliśmy kolejne światła na skrzyżowaniach, ulica stawała się coraz węższa. Wysokie mroczne budynki przesłaniały niemal całe niebo poza wąskim pasmem nad naszymi głowami, a za ich wysokimi oknami w stylu imperialnym zgaszono na noc światła. Mieściły się w nich banki. Nazwy nad każdymi kolejnymi drzwiami napisano w innym języku i innym alfabetem. Nie zajmowano się tu zwykłymi pieniędzmi, funtami i pensjami, do jakich byliśmy przyzwyczajeni. Cyfry, o które tu chodziło, miały tyle zer, że większość śmiertelników nie potrafiła ich nazwać. Od ulicy odchodziły kręte zaułki, wspomnienie czasów, gdy ulice powstawały spontanicznie, nie zważając na miejskich planistów - nie możecie nam zabronić budować tutaj, nie macie prawa, to nasze miasto. Puby z obitymi skórą sofami, mosiężnymi kurkami i niskimi stołami pokrytymi zabrudzonymi zielonymi obrusami, w jednym z zaułków budka telefoniczna, na jej ścianie białymi literami napisano:

CIE MI MÓ

Przed nami był budynek. Wyloty rynien wyrzeźbiono na kształt cherubinków. Potem drugi, gdzie dach podtrzymywały greckie dziewczęta w powłóczystych szatach. Jeśli dokładnie się przyjrzeć, można było zauważyć małego smoka z blachy stalowej, kierującego na południowy wschód spojrzenie oczu osadzonych nad paszczą otwartą w permanentnej furii. Owe budynki miały głosić chwałę i

wspaniałość imperium, proklamować władzę bogactwa. Były potężnymi bryłami z żółtego kamienia, o dachach pełnych ornamentów. Przechodzień był tu zmuszony zadzierać głowę, by podziwiać biegi murarzy.

Lothbury, potężne urwiska murów Bank of England, pałacu godnego aroganckiego faraona. Strzegły go Brytanie o nagich piersiach oraz ogromne żelazne drzwi. Kolejne mury, zbyt wysokie, by śmiertelnik mógł zobaczyć coś nad nimi, jeszcze jedna uliczka za wąska dla panującego tu za dnia ruchu. Po jednej stronie kamienny mur wzniesiony dla uczczenia bogactwa i chwały, po drugiej zaś ściany z czarnego szkła refleksyjnego, zbudowane przez ludzi wiedzących, że prawdziwe bogactwo jest niestałe i istnieją lepsze sposoby, by je zatrzymać. Widziałem z przodu miejsce, które powinno być rondem, gdzie spotykają się najrozmaitsze rzeczy: Cheapside, Poultry, Moorgate, Bank, Threadneedle Street, King William Street, Merchants Exchange i Mansion House. To najbogatsze skrzyżowanie w całej Anglii, pełne starych nazw i nierówno dzielonego dobrobytu. Posągi dawno nieżyjących mężczyzn o srogich twarzach spoglądają na punkt złączenia wąskich, krętych uliczek; zegar tyka w plastikowej obudowie, oświetlony, choć nikt go nie widzi; w sklepowych wystawach nadal palą się jasne, zimne światła, pozwalające obejrzeć oferowane na sprzedaż garnitury, rozmaite spinki oraz butelki najlepszej whisky.

Wybiegłem na środek skrzyżowania, słysząc kroki podążającej tuż za mną Ody.

Poczułem, że coś się poruszyło, spojrzałem w lewo i ujrzałem cień na ścianach Bank of England. Uniosłem ręce i usłyszałem ogłuszający ryk strumienia powietrza. Spojrzałem w prawo i za późno ujrzałem, że bramy stacji Bank eksplodowały. Ryk dobiegał ze środka. To nie było tylko powietrze, lecz również tupot kroków, łoskot pociągów i schodów ruchomych, krzyki, wrzaski, rozkazy i wszystko na raz - donośny zgiew metra. Skryłem głowę w dłoniach i padłem na ziemię.

Na całym skrzyżowaniu eksplodowały wszystkie bramy prowadzące pod ziemię. Na ulice sypały się fragmenty metalu. Zabrzmiał ogłuszający huk, na wolność wyrwał się uwięziony, niesłyszalny na zewnątrz hałas puszczonej z głośników muzyki, zapowiedzi, ostrzeżeń, dźwięki samochodów na górze i pociągów na dole, pras drukarskich i kluczy telegraficznych. Podmuch był tak gorący i brudny, że przypominał popiół buchający z wulkanu. Wznosił się po spirali ku niebu buchał spod ziemi i ze wszystkich wejść jednocześnie, zamieniając zimny pomarańczowy blask sodowych lamp w czarny żar wściekłych popiołów. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że Oda odczołguje się na rękach i kolanach od najbliższego zejścia do metra. Z jej włosów buchał dym, twarz miała poparzoną, a jej uszy krwawiły. Stała za blisko, jeszcze bliżej ode mnie. Pognałem ku niej na czworakach, wziąłem ją w ramiona i odciągnąłem od skłębionej fali rozwścieczonego mroku, która wypadła z tuneli z gorącą furią, próbując przesłonić niebo. Nie widziałem ukrytych za nią ulic, wydostające się z otwartych ust metra tumany pyłu i kurzu otoczyły skrzyżowanie nieprzeniknioną ścianą pyłu i kurzu. Potrząsnąłem delikatnie Odą.

- Możesz wstać? - wysyczałem i poczułem, że wichura porwała mój oddech, a język zamienił się w kawał suchego, brudnego mięsa.

Potrząsnęła głową.

- Przerwij to - wyszeptwała. - Przerwij!

Dotknąłem torby, wyczułem ukryty w niej kapelusz, pogłaskałem go niczym krucyfiks, szukając pocieszenia, rozejrzałem się po coraz ciaśniejszym, otoczonym płonąca ciemnością kręgu, wypatrując jakichś narzędzi, poczułem... drżenie śpiących kamieni, które coś nagle zaniepokoiło... i zobaczyłem jego. Szedł przez wściekłą, ryczącą, niszczyielską nawałnicę i płonąca, dławiący brud, jakby wybrał się na letni spacer po lasku. Był absolutnie czysty i nieskalany. Miał też swój parasol. Wsparł się na nim lekko, gapiąc się na nas.

Wyglądał... może niezupełnie tak jak zawsze, ale zdołał się uśmiechnąć.

- Koniec trasy! - oznajmił, przekrzykując wycie burzy.

Uniosłem ku niemu drżącą rękę.

- Hej. Blackwall - wyjąkałem.

Na twarzy pana Pinnera pojawiło się na moment zwątpienie. Zwróciłem rękę w kierunku, w którym powinna się znajdować ulica Poultry.

- No wiesz, jestem Nocnym Burmistrzem - dodałem, widząc jego zdziwienie.

Zrozumiał, ale chwilę za późno. Poczulem wibrację nawierzchni, usłyszałem warkot starego, źle utrzymanego silnika, zobaczyłem parę reflektorów wyłaniających się z ciemności i pociągnąłem Odę na swoją pierś, ale nie zamierzaliśmy odwracać wzroku. Zrobilibyśmy to, gdyby chodziło o kogoś innego, lecz nie dla tego czegoś.

Autobus przemknął głośno przez burzę, jakby była ona po prostu kolejną bezużyteczną przeszkodą, mającą spowalniać ruch na trasie przeznaczonej do wyścigów. To była nocna linia i pojazd nie zamierzał zwalniać z jakiegokolwiek powodu. Z opon czerwonego piętrusa o porysowanych szybach buchał dym, a jego kierowca był tylko cieniem, ledwie się rysującym w mrocznym wnętrzu. Z przodu autobusu umieszczono numer i miejsce przeznaczenia. To była piętnastka, zmierzająca do Blackwall, i biada każdej istocie, która spróbuje stanąć jej na drodze. Pan Pinner stał między nią a jej celem. Nocne autobusy nie uznają hamowania, chyba że jest ono absolutnie, bezwzględnie i niewątpliwie konieczne.

Ten nie zahamował. Walnął w śmierć miast tak szybko, że nie sposób było zauważyć, co się stało. Poczuliśmy coś bliskiego rozczarowania. Powinniśmy zobaczyć powolne zapadanie się ciała, jak na filmach instruktażowych, jakie pokazują w kinie, kończyny wyginające się na niefortunne sposoby, głowę odskakującą powoli do tyłu, gdy złamał się kręgosłup szyjny, pęknięcie kości nóg, a potem ciało zgięłoby się w pasie, dolna połowa dostałaby się pod pojazd, a górna uderzyłaby w szeroki czerwony przód. Nie ujrzeliśmy jednak nic w tym rodzaju. W

jednej sekundzie autobus jechał w stronę mężczyzny, a w następnej mijał miejsce, w którym ten przed chwilą stał. Przyszło nam na myśl, że mogłoby to bardziej przypominać sceny pokazywane w tego rodzaju filmach, gdyby pan Pinner posiadał kręgosłup.

Autobus potoczył się dalej, nie zwalniając nawet na chwilę, i zniknął w czarnych skłębionych

chmurach, które również zaczęły opadać. Niczym obmierzły oddech wciągany z powrotem do pary martwych płuc, znikwały w otwartych drzwiach zejść do metra. Leżąca pośrodku drogi postać była płaska i cienka jak kawałek papieru.

Zaczęła się poruszać.

Złapałem Odę za nadgarstek i zerwałem się do biegu. Nieumarłe stworzenie podnosiło się powoli z czarnego asfaltu. Popędziliśmy w stronę King William Street, mijając kościół o spiczastych wieżach, zbudowany z czerwonej cegły, długie wąskie uliczki prowadzące krętą drogą do Cannon Street i Monumentu, bary kawowe oraz resztki wyjścia ze stacji Bank.

Lombard Street, St. Swithin's Lane, Abchurch Lane, widziałem już z przodu skrzyżowanie z Monumentem. Kamery w sklepie z elektroniką na rogu śledziły nasz ruch, pokazując nas na kilkunastu ekranach. Obraz stawał się coraz większy, w miarę jak się zbliżaliśmy.

Coś za nami podążało. Słyszałem donośny gniewny łoskot unoszący się w powietrzu.

Zaryzykowałem spojrzenie za siebie i zobaczyłem wypełniającą ulicę falę, wyższą niż domy, rozświetlającą noc odbitym blaskiem sodowych lamp. Nie miała żadnego kształtu, któremu mógłbym przypisać nazwę jakiegoś stworzenia. To była tylko fala, czoło burzy, potężna nawałnica papieru, tysiący tysięcy karteczek, kwitów, rachunków, wezwań, ulotek, banknotów, kopert, listów, czeków, faktur, oświadczeń, reklam, map i agitek. A gdzieś w jej sercu, pośród tej bezładnej masy, ukrywał się pan Pinner. Wznosił ręce ku niebu i papiery wypadały z jego ciała, pędząc ku niebu nad dachami budynków, a potem opadając ku nam chmurą gęstsza niż śnieżna lawina.

Oda również to zobaczyła. Wyprzedziła mnie, pędząc w stronę Monumentu. Żadne z nas nie zdoła tam dotrzeć. Masa papieru nas utopi, rozszarpie, udusi, zmiażdży. Była już tylko trzydzieści stóp za nami, dwadzieścia, zbliżała się z łoskotem jak ogromna zardzewiała lokomotywa pędząca ulicą. Dziesięć stóp. Złapałem kobietę i przyciągnąłem ją do siebie, unosząc w stronę nawałnicy napiętnowaną rękę.

Domine dirige nos.

(Cóż za głupia śmierć).

Z czubków moich palców skapywała krew. Zobaczyłem wielką czerwoną kroplę, która spłynęła do nadgarstka, zatrzymała się tam na niepewną chwilę i skapnęła na ziemię.

Domine dirige nos.

Spadając, zmieniła się nagle. Ciemnoczerwona krew zapłonęła, rozjarzyła się, zaślniła, stanęła w ogniu, nie była już skapującym płynem, lecz wirującą kuleczką energii, która w mgnieniu oka, cienkim jak kartka papieru, jeśli przeliczać grubość na czas, przybrała barwę gorejącego błękitu.

Potem krew ciekąca nam z boku również zapłonęła szalonym niebieskim ogniem, podobnie jak krew w naszych żyłach, w naszych oczach oraz ta, która sączyła się z dwóch krzyży wyciętych w naszej dłoni. One także rozgorzały, wracając do swego naturalnego stanu oślepiającej elektrycznej furii.

Pozwoliłem krwi płonąć, gotować się w żyłach, wypływać z moich ran, ust i oczu. Ze wszystkich możliwych sposobów śmierci, byłem zdeterminowany wybrać ten. Spalimy się, staniemy w płomieniach, eksplodujemy czystą niebieską elektrycznością, piękni jak bomba, wystrzelimy pod niebo ogniem, czarownym, cudownym i wyzywającym!

Mknące ku nam kartki papieru uderzały w coraz potężniejszą niebieską burzę naszego ognia, zapalały się, kurczyły i obracały w popiół, delikatny szary pył unoszący się na szalonym wicherze. Spalimy się, staniemy...

...nie widziałem nic poza szalejącym niebieskim ogniem, który w jakiś sposób nadal wylał się z dwóch płonących krzyży na mojej dłoni. Papier, ulice, niebo, wszystko zniknęło wewnątrz tego kokonu, wszystko spłonie, spłonie, skóra pęka, niebieski ogień w oczach, ustach, nosie, uszach i na języku, ogień krzyk zachwyty spalimy...

Przez zasłonę ognia przebiła się dłoń. Była cienka jak papier i przytwierdzona do rękawa. Rękawa w prążki. Sięgnęła spokojnie na drugą stronę bez chwili wahania, złapała Odę za gardło, wyrwała z moich objęć i odrzuciła na bok z siłą tarana hydraulicznego.

Kobieta przeleciała przez zasłonę płomieni, mknąc ku nawałnicy, ulicom, brukowi, czy co tam właściwie leżało po drugiej stronie naszej gorejącej jasności. Zakrzyknęliśmy, unosząc ręce nad głowę, i pozwoliliśmy, by ogień wypłynął z każdej części naszego ciała.

Wciągaliśmy w siebie oślepiającą elektryczną furię spod nawierzchni, wdychaliśmy gaz z pękniętych rur, wysysaliśmy wodę spod cementu, czerpaliśmy z okiennych szyb, sygnałów telefonicznych, jazgotu fal radiowych. Wzięliśmy to wszystko w siebie, a potem pchnęliśmy w kierunku bladej jak papier dłoni poruszającej się w płomieniach, aż eksplodowała od ognia, furii, światła, elektryczności, dźwięku, błyskawic, cyfrowego wrzasku, szkła, kamieni, ziemi, żaru i cieni - ile ich może pomieścić jedno miasto? - je również cisnęliśmy w wir, wysysaliśmy z ulic, sprawiliśmy, że pomknęły ku panu Pinnerowi z wrzaskiem gniewu, tworząc przesłaniającą świat chmurę, zamknęliśmy oczy pod ich naporem, osunęliśmy się na ulicę pośrodku jezdni, skrywając głowę w dłoniach, a ze wszystkich stron otaczał nas wrzask cieni, zbyt licznych, by to pojąć - za dużo cieni, za dużo tłoku, za dużo za dużo. Otwórz oczy i zrozum to, a dowiesz się, dlaczego smoki wpadły w obłąd, za dużo za dużo, nie zdołamy tego powstrzymać, nie możemy tego zrobić, spłon!

Coś szarpnęło nas naprzód, jakby powiew ciągnął nas do ognia. Potem jednak pożar nasycił się tym, co mógł pochłoniąć, i cisnął nami do tyłu. Zawirowaliśmy w powietrzu i spadliśmy na ulicę. Kamienie, szkło, elektryczny ogień i papier, tak wiele papieru, wzniosły się ku niebu, a następnie spadły z powrotem na ziemię. Wylądowaliśmy w rynsztoku.

Uderzenie wytrząsnęło ogień z naszych kości, walnęliśmy się w jakąś głupią nudną część swej śmiertelnej czaszki, a kruche śmiertelne ciało zadrżało z bólu. Mogłem jedynie podciągnąć nogi pod brodę i zasłonić naszą twarz przed falą uderzeniową mknącą wzdłuż ulicy, rozbijającą po drodze wszystkie cegły i szyby, które przetrwały burzę, niosącą ze sobą wirujący w powietrzu papier i wypełniającą zimną noc dławiącym żarem.

Powoli ta fala również opadła.

Otworzyłem oczy, wyglądając przez szpary między zakrwawionymi palcami. Pan Pinner stał pośrodku ulicy, a wszędzie wokół niego na ziemię spadały skrawki papieru. Włosy miał rozczochrane, płaszcz podarty, a ze skóry sypały mu się małe paragony oraz kawałki taśmy do dalekopisu. Nie był sam. Unosił głowę, spoglądając na stworzenie wyrastające z mroku za nim, wlepił wzrok w dwa punkty czerwonego obłędu gapiące się na niego.

Usłyszałem, że zaczął się śmiać, lecz mimo to nie odrywał wzroku od istoty.

- I to wszystko? - Zachichotał. - Twojego miasta nie stać na nic lepszego?

Stojące za nim stworzenie dorównywało wysokością najwyższym budynkom na ulicy.

By zrobić dla nich miejsce, musiało złożyć niewygodnie skrzydła na grzbiecie. Przechyliło głowę, spoglądając z góry na pana Pinnera. Nazwać je smokiem byłoby...

...niezłym sposobem na opisanie czegoś, czego woleliśmy nie rozumieć.

- Jestem śmiercią miast! - ryknął pan Pinner, rozpościerając naderwane ręce. - Jestem twoją zgubą, niszczycielem legend, opowieści i cieni! Twoje miasto przeklęli jego mieszkańcy, skazały je usta twoich ludzi! Zdrada i zemsta! Nie możesz mi nic zrobić!

Podniosłem się ciężko. Fragmenty mojego ciała, które powinny się poruszać bezgłośnie, wydawały jakieś dźwięki. Serce wypełniało mi klatkę piersiową swym miarowym głuchym *dedum* - zbyt miarowym i za bardzo głuchym, jakby nie miało już sił bić szybciej.

- Panie Pinner! - zawołałem.

Odwrócił się nieco, zobaczył mnie i rozciągnął usta w uśmiechu.

- Panie Burmistrzu! - zawołał radośnie. - Ma pan domowego smoka?

- Nie - zaprzeczyłem z westchnieniem. - To on ma mnie.

Uniosłem głowę, spoglądając na czarną sylwetkę zrodzonej z cieni bestii, przesunąłem wzrok obok jej szalonych oczu - nie mogłem w nie spojrzeć, nie potrafiłem się na to zdobyć, to by groziło niekończącym się upadkiem w czerwoną pustkę.

- Fido! Spacerek! - zawołałem, gapiąc się na punkt położony tuż obok nich.

Pan Pinner odwrócił się, wznosząc ręce ku smokowi. Ten otworzył paszczę, a potem runął na niego wirem ciemności i upadku w bezdenną szkarłatną pustkę.

* * *

Londyn jest smokiem.

A Nowy Jork najpewniej King Kongiem.

To tylko pojęcia, umożliwiające śmiertelnikom zrozumienie czegoś, co jest za wielkie dla ich mózgów.

Z drugiej strony, pan Pinner miał trochę racji.

Cóż może działać miasto przeciwko swej Nemezis?

Odwróciliśmy twarz od ciemności King William Street i pokuśtykaliśmy w stronę Monumentu. Papier sypał się powoli z nieba. Za plecami słyszeliśmy... dźwięki, nienadające się dla ludzkiego ucha. Nie potrafiliśmy ich wyjaśnić ani pojąć, brakowało nam słów, by je opisać. Nazwaliśmy je dźwiękami wyłącznie dlatego, że ludzki mózg nie potrafi znaleźć innego sposobu, by pojąć, bez wpadania w obłąd, starcie między smokiem a mężczyzną w garniturze w prążki. Gdybyśmy byli tylko niebieskimi elektrycznymi aniołami mieszkającymi w przewodach, potrafilibyśmy o nich mówić, ja jednak nie mógłbym ich opisać i nie zwariować, powiem więc tylko prostą prawdę - owej nocy na King William Street smok przywołany z substancji miasta zmierzył się ze stworzeniem wezwanym po to, by je zniszczyć.

I stworzenie musiało zwyciężyć w tej walce.

Chodziło o to, by zyskać na czasie. Widzieliśmy *Terminatora* i wiedzieliśmy, ile to warte.

Minęliśmy Monument, papier nie przestawał się sypać z nieba, zobaczyliśmy setkę odbić swej twarzy w wystawie sklepu elektronicznego, usłyszeliśmy stukot własnych kroków, odbijający się echem od szyby wystawy drogerii oraz okna baru sushi, potknęliśmy się o najwyższy stopień schodów prowadzących na Cannon Street wijącą się w dół. Skręciliśmy w lewo i w luce pojawił się przed nami szczyt samego Monumentu, złoty ogień palił się słabo.

Wokół podstawy wzniesiono rusztowanie, mające pomóc staremu pomnikowi dotrzeć do czasów, gdy do Londynu znowu przybędzie śmierć miast, kolejnego pożaru, następnej żałoby. Po prawej miałem biurowiec, symbole wyryte w kamieniu - wszystkowidzące oko, para kompasów oraz coś, co w innym świetle można by wziąć za swastykę - pozostałość dni, gdy Londyn lubił się chełpić swymi tajemnicami.

Budynki nagle zniknęły.

Z obu stron otaczał mnie rozświetlony neonowym blaskiem mrok.

Ulica poszerzyła się, przechodząc w most, pustą wstęgę przerzuconą nad wodą. Dalej były mosty kolejowe i pokryte szkłem refleksyjnym budynki ustawione pod dziwnymi kątami: Hays Wharf i Tower Bridge na wschodzie, Southwark na zachodzie, Southwark Cathedral wystająca z za pubów i biurowców, *Golden Hinde* siedząca w swym suchym doku, z dziobem lekko wystającym nad wodę, łuk Londyńskiego Oka sterczący nad najwyższymi budynkami, pozbawiony cyfr zegar na Waterloo Bridge, biały brzeszczot Millennium Bridge, wieżowiec Tate Modern. Proszę, dobry Boże, proszę, wszelkie wyższe moce, które na nas patrzą lub tego nie robią, to właśnie jest odpowiedni moment na interwencję, proszę...

Londyn jest smokiem.

Obrońca miasta.

Światło, życie, ogień.

London Bridge wczesnym zimowym porankiem.

Na moście nie było ruchu. Żadnych autobusów, taksówek ani ciężarówek. Tylko pusta ulica, oświetlona z góry przez długi szereg milczących smętnych latarni oraz przez czerwone reflektory, iluminujące boki mostu. Bariereki oddzielały chodniki od jezdni. Zszedłem chwiejnym krokiem na lewy pas, przyciskając tornister do boku. Dyszałem ciężko i musiałem się trzymać barierki. Ktoś wypełnił moje oczy pustym pszczelim plastrem, grubym, twardym, upowietrznionym i lepkiem. Miał wszystkie te cechy naraz i żadna z nich nie była naturalna.

Ból, który powinien wypełniać wszystkie części mojego ciała, stał się tylko odległym dotykiem igieł i szpilek, za dużo krwi między palcami, jakiś skurwysyn nas postrzelił! Za dużo krwi...

Gdzie się podziała Oda?

I Earle?

Gdzie byli Rajcy?

Strawieni od środka.

Biedna Loren, sama w swym pokoju w Camden.

Vera, zabita i obrócona w farbę.

Nair krzyczał, tak samo jak młody Mo i wszyscy zabici, gdy byli jeszcze ludźmi i mogli to robić.

Oddajcie mi mój kapelusz.

Światło, życie, ogień.

Obrońca miasta.

Własność smoka.

* * *

Na samym środku mostu stała samotna kobieta.

Patrzyła na wschód, ku miejscu, gdzie za kilka godzin miało się zjawić coś imitującego wschód słońca.

Ręce zwracała w stronę wody, a twarz ku niebu.

Oddychała nadržecznym powietrzem. Pięknym, łagodnym, uspokajającym powietrzem, chłodzącym balsamem dla czarnoksiężnika po całym dniu pracy z wysokim napięciem. Czas, nieruchomość i ruch połączone w jeden oddech na moście.

Wewnętrzne powierzchnie jej dłoni miały różowy odcień, zewnętrzne zaś były ciemnobrązowe. Włosy związała sobie w warkoczyki tak ciasno przylegające do czaszki, że to musiało ją to boleć, nie było innego wyboru.

Powlekliśmy się ku niej.

Nie zauważyła nas.

Oczy miała zamknięte, a jej serce biło w rytmie spływającej pod mostem wody.

Dziesięć kroków, pięć, trzy, dwa.

Zatrzymaliśmy się jeden krok od niej i oparliśmy o poręcz, by odetchnąć.

Penny Ngwenya nie poruszyła się, nawet nie mrugnęła, tylko stała na moście i uśmiechała się, czując zapach rzeki.

- Przepraszam? - odezwałem się.

Cisza.

- Przepraszam?

Nadal cisza.

Wsadziłem rękę do tornistra i wyciągnąłem kapelusz strażniczki ruchu, brudząc go zakrwawionymi palcami.

- Panno Ngwenya?

Skrzywiła się. Odwróciła lekko głowę i rozchyliła powieki. Była odległa, ale obecna, patrzyła na mnie, lecz nie widziała mnie w pełni.

- Penny Ngwenya? - zapytałem, unosząc kapelusz.

Jej spojrzenie powędrowało ku nakryciu głowy, które trzymałem w zakrwawionych dłoniach. Poruszyła nerwowo palcami i uniosła kącik ust, wypuszczając powietrze.

Wyciągnąłem drżącą dłoń i uściśnąłem rękę kobiety. Potem wsunąłem w nią kapelusz i zacisnąłem jej palce. Nie stawiała oporu, czułem to przez czarną tkaninę.

- Przyniosłem pani kapelusz - oznajmiłem.

Moment.

Przerwa.

Wyraźnie nic nie rozumiała.

Opuściła wzrok, spoglądając na trzymany w dłoni przedmiot.

- Mój kapelusz?

- Tak. Słyszałem, że go pani straciła. Chciałem go oddać.

- Czy ja pana znam? - zapytała. Obróciła kapelusz w dłoniach i spojrzała na żółty napis „Penny”, umieszczony wewnątrz.

- Nie - odparłem. - Mam na imię Matthew.

- Wygląda... wygląda pan jak... - zaczęła głosem odległym o milion mil, nie spuszczać wzroku z kapelusza.

- Akurat wtedy przechodziłem - wyjaśniłem ostrożnie. - Nie ma sprawy.

- Nigdy się nie spotkaliśmy, prawda?

- Prawda - potwierdziłem.

W tej samej chwili, ponieważ góra wyraźnie miała ochotę zapoznać się z dołem, a dół

był w ustępliwym nastroju i zamierzał choć raz jej na to pozwolić, osunąłem się na ziemię, chwytając się palcami zimnego betonu na wypadek, gdyby bok spróbował wykręcić mi taki sam numer. Moje pole widzenia zaczęło się kurczyć.

- Jezu! - zawołała Penny. Usiadła obok mnie i spróbowała mnie podnieść. - Pan...

pan...

- Wszystko w porządku - mruknąłem. - Nic mi nie będzie, to tylko... musiałem oddać pani kapelusz, tak?

- Kurwa, postrzelili pana?

- Ehe, zauważyłem.

- Proszę się nie ruszać, dobra? To tylko pogorszy sytuację. Wezwę... wezwę karetkę.

Na chwilę oderwała spojrzenie od kapelusza, ale gdy sięgnęła do kieszeni po komórkę, jej wzrok znowu padł na czarną tkaninę. Kobieta zamarła w bezruchu. Rozchyliła lekko usta, gapiąc się na małe, brzydkie, staromodne nakrycie głowy.

- Gdzie pan...? - wyjąkała.

- Słyszałem, że jest dla pani ważny, więc pomyślałem sobie, że skoro i tak jestem w okolicy, mogę go pani oddać.

- Dlaczego miałby pan to robić?

- To pani kapelusz. Uważałem, że tak właśnie należy postąpić.

- Ale...

W jednej ręce trzymała kapelusz, a drugą sięgała po telefon.

- Odsuń się od niego - rozległ się czyjś głos.

Uniosła wzrok.

Ja też.

Pośrodku jezdni stał stwór, który mógł kiedyś być panem Pinnerem. Jego garnitur był

namalowany na podartym papierze, sterczącym we wszystkie strony z cienkiego, pofałdowanego ciała. Szyja wygięła się do tyłu, a potem nagle znowu do przodu i wyglądała jak stary, złamany fajerwerk. Spodnie oblepiała gruba warstwa starych kwitów oraz nasiąkniętych wodą kawałków gazet. Jego ciało zadano tysiąc cięć. Kawałeczki papieru sypały się z nich na ulicę. Jedno oko przecięto mu na pół i po jego policzku spływał niebieski tusz do długopisów. Przemawiał zniekształconym, urywanym głosem.

- Odsuń się od niego, Penny - zażądał znowu. - Nie możesz mu ufać.

- Kim pan jest? - wyjąkała. - Nie znam pana.

- Jestem pan Pinner - odparł. - Przybyłem, by ci pomóc. Jestem twoim przyjacielem, Penny. On próbuje cię wykorzystać. Pragnie cię skrzywdzić.

- Ale... oddał mi mój kapelusz...

- A czy zastanawiałaś się, w jaki sposób go zdobył? Mały skurwysynek na rowerze ukradł ci kapelusz! - Pan Pinner krzyczał. Nigdy przedtem tego nie widziałem. - Arogancki zarozumiały skurwysynek ukradł go i popedałował ze śmiechem przed siebie, a ty naprawdę wierzysz, że jakiś przypadkowy obcy człowiek zadałby sobie trud, by ci go oddać, że to go obchodzi choć w najmniejszym stopniu! Nie ma powodu ci pomagać, to po prostu jeszcze jeden kutas z ulicy, kolejny facet, któremu nie możesz zaufać, następny nieszkodliwy nieznajomy, któremu wystarczy jedno słowo, by cię uderzyć, pchnąć nożem, opluć albo nakrzyczeć na ciebie, zrobić wszystko, co robią takie skurwysyny, dlatego że mogą, że są pierdolonymi obcymi i nie wolno im ufać! Odsuń się od niego!

Penny popatrzyła na mnie niepewnie.

- Myślisz, że on tak po prostu znalazł twój kapelusz, Penny? - kontynuował pan Pinner. - W tym mieście mieszka osiem milionów ludzi! Jesteś maleńka, jesteś dla nich niczym, niedostrzegalną częścią ogromnej maszyny, zbyt wielkiej, by ktokolwiek mógł ją zrozumieć. Nie obchodzisz ludzi! Mogłabyś milion razy przechodzić tą samą ulicą i nigdy nie ujrzyć tych samych twarzy, nikt nigdy cię nie rozpozna, nie doceni, nie uśmiechnie się do ciebie, nie będzie się z tobą śmiał, nie będzie cię kochał ani cię nie pozna, ponieważ jesteś dla nich niczym, jeszcze jedną pierdoloną osobą mieszkającą w tym samym mieście i płaczącą im się pod nogami, więc czemu mieliby zwracać sobie tobą głowę? Kto, kurwa, kiedykolwiek to zrobił? Widziałaś to, Penny Ngwenya, stanęłaś na szczycie wzgórza i wiedziałaś, że wystarczy unieść stopy, a będziesz przez całą wieczność spadała w bezkresną pustkę i nikt nic nie zauważy, nikt się o tym nie dowie! Kretyni! Robaki! Hołota! Głupie dzieciaki w pierdolonych kapturach, debilne skurwysyny szczające na ulicach! On jest częścią tego wszystkiego! Przyszedł tu dzisiaj, bo chce cię skrzywdzić! Jest częścią upadku, jednym z tych, którzy śmieją się z ciebie, gdy tylko odwrócisz się plecami, częścią obłędu! Oddaj mi ten kapelusz, Penny. Oddaj mi go, a będziemy mogli położyć temu kres. Możemy to zakończyć dzisiejszej nocy, tylko daj mi kapelusz...

Penny uniosła się lekko, zwracając się w stronę pana Pinnera. Złapałem ją za rękę i pociągnąłem ku sobie, ale wyrwała się z uścisku, jakby się dziwiła, że jeszcze tu jesteśmy.

- Nie ma obcych ludzi, Penny Ngwenya. Przynajmniej nie w mieście. Wszyscy jesteśmy londyńczykami. Nie jesteśmy obcy.

Skierowała na mnie spojrzenie pary idealnie owalnych oczu osadzonych w idealnie owalnej twarzy.

Uśmiechnęła się, uwolniła ostrożnie palce z mojego uścisku, wytarła od niechcenia krew o spodnie, a potem wstała.

Wyprostowała się i zwróciła ku panu Pinnerowi. Ten wyciągnął ku niej rękę. Przez jego papierowe ciało przebiegały drżenia, jakby brakowało mu tchu.

Kobieta uniosła kapelusz w rękach, i obróciła go główką w stronę nieba.

Pan Pinner się uśmiechnął.

Przesunęła kapelusz ku niemu, a potem zatoczyła nim długi powolny łuk i bez słowa włożyła go sobie na głowę, naciskając lekko, by przybrał znajomą, wygodną pozycję.

Z ust pana Pinnera wyrwał się cichy dźwięk, coś pośredniego między zdławionym jękiem a szelestem starych zmiętych papierów.

Penny uniosła wzrok i z uśmiechem spojrzała panu Pinnerowi w oczy.

- Spierdalaj, porąbany psychopato, bo zadzwonię na policję. Jezu.

Pan Pinner jęknął. Zatoczył się kilka kroków do tyłu. Ręce opadły mu bezwładnie.

- Ale ja... ja... - wyjąkał.

- Mówię poważnie. To nie żaden kit. Skąd się biorą tacy popaprańcy?

- Chciałem... ja tylko chciałem... chciałem ci... - bełkotał. Papier odrywał się od jego rąk, wypadał z lewego ucha i prawego nozdrza długimi jasnymi pasmami.

- Posłuchaj, zaraz dzwonię na policję. Mówię poważnie. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej komórkę. - Możesz sobie wrzeszczeć do woli. Przeszłam szkolenie funkcjonariusza wsparcia społecznego i mam potąd porąbanych psychopatów, którzy myślą, że wszystko im wolno. Popatrz na siebie! Chcesz trafić do więzienia, dupku? Chcesz? Daję słowo, że ostatni raz jakiś popieprzony samiec do mnie pyskuje! Popatrz! Dzwonię!

Wcisnęła 999 i uniosła telefon do ucha.

Pan Pinner wyciągnął ręce w błagalnym geście. Jego kciuk zaczął się rozpadać, z palców sypały się długie białe taśmy papieru, wyglądające jak bandaże mumii.

- Proszę - jęknął. - Chciałem tylko pomóc, chciałem... chciałem...

Spod jego wystrzępionych spodni sypał się papier, unoszący się na nadrzecznym wietrze.

- Tak, proszę o wóz policyjny i karetkę. Słucham? Tak, to ten numer. Penny Ngwenya.

Tak.

Wzrok pana Pinnera skierował się na mnie. Z jego oczu wypływał niebieski tusz.

- Ja... to... ja... - wychrypiał, ale dławił się już grubymi plikami papieru wypełniającymi mu usta. Jego marynarka rozpadała się na kartki i zwoje sypiące się z coraz cieńszej klatki piersiowej, jak plasterki skóry odkrawane od trupa.

- Jeszcze tu jesteś? - zapytała kobieta, zasłaniając jedną ręką słuchawkę.

Pan Pinner spróbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Jego żuchwa rozpadała się na cienkie, wirujące w powietrzu świstki. Ramiona osypywały się mu wzdłuż pleców, nogi zaczynały się uginać, odsłaniając cienkie tekturowe rury, odkształcające się pod niewielkim ciężarem ocalałej dokumentacji tułowia.

- Hej, tak, na London Bridge. Na samym środku mostu. Jest tu taki facet... chyba jest ranny, tak, inny facet do mnie pyskował, ale... - Penny zatoczyła oczyma, kierując je wzrok ma papierowy szkielet pozostały z pana Pinnera - ...chyba nie będzie już z nim kłopotów.

Tak. Karetkę. Tak.

- Ja... ja... ach... - westchnął pan Pinner. Potem nie miał już gardła ani płuc potrzebnych do wzdychania.

Obok mnie przelatwały kawałki zmiętego papieru.

Złapałem kilka w okrwawione palce.

...kup teraz i zaoszczędź £ 25 na początkowym...

Wodomierz podłączony do twojego systemu może znacznie zmniejszyć...

...Przewidywania zysków z inwestycji...

- DZIEWCZYNY DZIEWCZYNY DZIEWCZYNY DZIEWCZYNY

Ostatnia karta, która wypadła z ciała pana Pinnera miała wielkość połowy formatu A4

i pokrywało ją drobne urzędowe pismo. Tekst brzmiał:

Zawiadomienie o wystawieniu mandatu

Zgodnie z ustawą o ruchu drogowym z r. 1991 (z poprawkami) (Paragraf 48, 66, 75, 77, załącznik 3 i załącznik 6)

Zawiadomienie nr: *0215911*

Data: *03-10-2009*

Godzina: *15:19*

Pojazd silnikowy o numerze rejestracyjnym: *L602 BIM*

Marka: *Volvo*

Kolor: *Zielony*

zauważony na: *Dudden Hill Lane*

przez strażnika ruchu numer: *11092*

który miał wystarczające powody, by sądzić, że doszło do następującego naruszenia przepisów o parkowaniu:

Wypuściłem kartkę z rąk i patrzyłem, jak przelatuje nad brzegiem mostu, unosi się i opada w ciemność za rzeką. Stojąca na skraju chodnika Penny opuściła telefon.

- Ten facet przed chwilą zamienił się w papier - oznajmiła ostrożnie.

- Ehe - zgodziłem się. - I co ty na to?

- Hmm...

- Miasto jest smokiem, Penny Ngwenya. Potężnym, ogromnym, szalonym, obłąkanym, mrocznym, ponurym, wściekłym, dzikim, szybkim, ognistym, pięknym smokiem.

Wiesz, do czego służy śledziona?

- Nie...

- No tak. - Westchnąłem. - Ja też nie wiem.

Potem, ponieważ wydawało się to najrozsądniejszym wyjściem, zamknąłem oczy i położyłem głowę na chodniku, słuchając łagodnego szumu rzeki w dole, i szelest sypiącego się z góry papieru powiódł mnie ku spadaniu w bezdenną mroczną otchłań.

Epilog

Uczennica czarnoksiężnika

W którym wszystko się kończy, a zaczyna się coś nowego i niespodziewanego.

I rzekł Bóg: „Niech się stanie światło!”.

I ludzkość postanowiła schwytać rzeczne światło, uwięzić je w lampach jarzeniowych i zainstalować we wszystkich szpitalach na całym świecie, by świeciły o niezdrowych godzinach, gdy rozsądni przedstawiciele rodu *Homo sapiens* powinni spać.

Otworzyliśmy oczy raczej z tego powodu, niż dlatego że mieliśmy na to ochotę.

Szpital.

Znowu.

Zawieszenie życia.

To nie było nasze ulubione miejsce.

Izolotka, to dobrze. Opaska na rękę z napisem „John Doe”. To też mnie ucieszyło.

Monitor akcji serca, który robił „ping” w nieregularnych odstępach czasu, bez widocznego powodu ani wyjaśnienia. Kobieta śpiąca w nogach łóżka. O tym właśnie śnią samotni sentymentalni mężczyźni potrzebujący matkowania.

- Oda? - zapytałem.

Kobieta poruszyła się powoli i uniosła wzrok.

- Kto to jest Oda? - zapytała.

Obok niej leżał kapelusz strażniczki ruchu.

* * *

Odwiedziła mnie jakaś Rajczyni.

Nie znałem jej, ale obszerny czarny płaszcz i złowroga mina zdradzały, z kim mam do czynienia.

- Jestem pani Dees - przedstawiła się. - Uścisnęłabym panu dłoń, ale może zaczekajmy z tym do chwili, gdy nie będzie pan podłączony do maszyn, które robią „ping”.

- Gdzie jest pan Earle?

- Pan Earle... nie przeżył. Jutro po południu odbędzie się nabożeństwo żałobne. Wyślę kwiaty w pana imieniu. Proszę się nie martwić o koszty. Załatwimy to, gdy poczuje się pan lepiej...

- Czy wielu...

- Rajcy zginęli. Rajcy przeżyli. Szczegóły są nieważne - odparła.

- A Kemsley? - zapytałem. - Czy...

- Stan pana Kemsleya jest stabilny. Przeniesiono go ze szpitala Elizabeth Garrett.

Czeka go poważna operacja rekonstrukcyjna, która ma... naprawić... pewne konsekwencje wynikłe z jego spotkania z panem Pinnerem, gdy tylko jego ciało odzyska siły i będzie mogło wytrzymać tę procedurę. O stan pana Kemsleya również nie musi się pan martwić.

- A czy jest coś, o co muszę? - zapytałem ostrożnie.

- W tej chwili prawie nie ma! - odparła. - Miasto ocalało, pan Pinner zniknął, Nocny Burmistrz żyje, powiedziałabym, że zasłużył pan na bożonarodzeniową premię, tak? Zostało tylko jedno pytanie.

- Słucham?

- Miasto ocalało. Ale na jak długo?

Wzruszyłem ramionami, czując ból w szwach.

- Na pewien czas? - zasugerowałem.

- Kiedy niewykształcona czarnoksiężniczka chodzi po ulicach?

- Ma pani na myśli Penny?

- Jeśli mamy w tak nieformalny sposób określać kobietę, która wezwała na nasze ulice śmierć miast, to tak, mówię o pani Ngwenya.

- Wie pani, że siedzi w korytarzu, jedząc curry na wynos, tak?

- Wiem - potwierdziła. - Rajcy ją obserwują.

- Pani Dees? - zapytaliśmy ostrożnie. - Wie pani, do czego służy śledziona?

- Jest częścią układu odpornościowego - odparła. - Magazynuje rezerwy krwi i rozkłada jej stare komórki. Dlaczego to pana interesuje? Mam wrażenie, że nadal ją pan ma.

- Po prostu chcieliśmy was zrozumieć trochę lepiej - wyjaśniliśmy. - To wszystko.

Uśmiechnęła się i pochyliła nad łóżkiem. Nasze twarze dzieliło od siebie tylko kilka cali.

- Panie Burmistrzu, prędzej czy później wszystko się zmienia - oznajmiła. - A zwłaszcza miasto. Niech pan uważa na siebie, panie Burmistrzu. Jestem pewna, że będziemy mieli czas, by o tym porozmawiać.

Wyszła.

Następnego dnia dostałem kwiaty, tak wiele kwiatów, że trzeba je było umieścić pod przeciwległą ścianą, w wielkim wiklinowym koszu.

A trzy tygodnie później dostałem rachunek.

* * *

Musiałem też załatwić kilka innych spraw.

Piekielnie trudno jest usunąć krew z ubrania, jeśli nie zamoczy się go natychmiast.

Szpital spisał moje stare łachy na straty i dał mi w zamian strój chirurgiczny, który służył mi jako zaskakująco wygodna piżama.

Po wypisaniu kupiłem sobie nowe buty.

Pozwoliłem też sobie na spędzenie kilku nocy w hotelach. Czasami miło jest sobie dogadzać.

Krzyże na lewej dłoni bolały mnie niekiedy, gdy próbowałem zasnąć.

Przyzwyczailiśmy się do tego.

Musiałem jeszcze wykonać pewien telefon.

Nie zastanawiałem się nad tym do chwili, gdy to się wydarzyło, o dziesiątej w deszczowy wtorkowy wieczór. Po prostu wzięłem telefon i wybrałem numer, nawet nie patrząc na klawisze.

Telefon dzwonił bardzo długo, aż wreszcie ktoś go odebrał.

- Słucham?

- Loren?

Zapadła cisza.

- Kto mówi? - zapytała wreszcie.

- Matthew. Mówi Matthew.

Cisza.

- Loren?

- Do widzenia, Matthew.

Przerwała połączenie.

Więcej już nie próbowaliśmy.

* * *

Zjedliśmy kolację z Sinclairem.

Była uprzejma, bezcelowa i pompatyczna.

Ale potem poczuliśmy się lepiej.

Nigdy nie odrzucamy darmowych poczęstunków.

* * *

Była też Oda.

Włosy miała spalone, a połowę twarzy pomarszczoną i zwiędłą. Oznajmiła, że przysłała do mnie tylko dlatego, że prosili ją o to Rajcy. Jedną rękę spowijała jej warstwa bandażu, grubsza niż skóra, na którą je nałożono. Skóra opadała jej na prawe oko, jak na suszonej śliwce. Nie chciała na nas patrzeć ani z nami rozmawiać. Nie powiedziała nic więcej, poza tylko jednym słowem.

- Odo... - odezwaliśmy się, zatrzymując ją przy windzie.

- Potępienie - odpowiedziała i weszła do windy, nie oglądając się za siebie.

* * *

Czas mijał.

Świetnie z tym sobie radzi.

Bezosobowy, bierny, po prostu płynął jak rzeka, za wielka, by zauważyć kawałki papieru porwane przez nurt.

Zostało mi do zrobienia tylko jedno. Nie dla Nocnego Burmistrza, ani nawet nie dla nas, z naszymi obawami i pragnieniami. Musiałem zrobić jeszcze jedno, by mieć to wszystko za sobą.

Wróciłem na London Bridge.

Wyszedłem na środek mostu i wysunąłem ręce poza poręcz. Szwy w boku znowu mnie zaboląły, ale nie przejmowałem się tym. Oddychałem pięknym nadrzecznym powietrzem, pozwalałem, by wypełniało moje ciało niczym płynny diament, oczyszczając wszystko, czego dotknie. Nie wiedziałem, jak długo czekałem. Niezbyt długo.

- Cześć, czarnoksiężniku - odezwała się Penny Ngwenya, przerzucając ręce przez balustradę obok mnie.

- Cześć, czarnoksiężniczko - odparłem. - Jak się dziś czujesz?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba nieźle.

Gapiliśmy się na rzekę bez słowa.

- Rozmawiała dziś ze mną kobieta, która przedstawiła się jako pani Dees - odezwała się wreszcie Penny.

- Naprawdę? I co ci powiedziała?

- Zaproponowała mi dwa tygodnie wakacji. Wszystko opłacone i gwarantowany powrót do pracy. Po prostu podeszła do mnie i powiedziała: „Niech pani się zgodzi. Wszystko będzie w porządku”.

- I co ty na to?

- To miało być w Szkocji.

- Tam może być bardzo ładnie, jeśli nie pada.

- Na wsi. Zresztą kiedy w Szkocji nie pada?

Westchnąłem.

- Nie zgadzaj się. Pani Dees wyśle cię do Szkocji. I już nigdy stamtąd nie wrócisz.

Dopilnuje, żebyś już nigdy nie wróciła do żadnego miasta. Na tym między innymi polega jej praca.

- W porządku.

Znowu zapadła cisza.

- Po... powiedzieli mi, że o mało nie zniszczyłam miasta - oznajmiła po chwili bardzo cicho Penny.

- To bardzo miło z ich strony.

- Rajcy.

- Wiem. Poznałem ich brak taktu.

- Poinformowali mnie, że jestem niebezpieczna. Stanowią zagrożenie. Że przeze mnie zginęli dobrzy ludzie.

Zastanowiłem się nad tym.

- Ludzie zginęli - przyznałem wreszcie. - Czy byli dobrzy... kto wie? Ale tak, ludzie zginęli. I to przez ciebie. Mówię ci to z przykrością, ale to twoja wina. Stałaś na tym moście i przekłęłaś miasto, zesłałaś na nie ogień i cierpienie za to, co ci uczyniło, przywołałaś śmierć miast, by prześladował jego mieszkańców. Był twoją zemstą, twoją klątwą. Ale byłaś absolutnie, stuprocentowo niewinna. Nie mogłaś nic na to poradzić. Jesteś czarnoksiężniczką.

Przykro mi. Można powiedzieć, że masz przerąbane.

Cisza.

- Czy powinnam wyjechać? - zapytała po chwili.

- Wyjechać? Dokąd?

- Na przykład... do Szkocji, jak powiedziała ta kobieta.

- To by było trochę niesprawiedliwe dla Szkocji.

- Jeśli ja to zrobiłam, jeśli w jakiś sposób...

- Wiesz, że to ty. Gdybyś tego nie wiedziała, nie czuła w trzewiach, nie słyszała mówiących ci to cieni i szeptów rzeki, gdybyś nie wyczuwała tego w swej krwi i kościach, wykrzykiwałabyś teraz mnóstwo obelg. Wiesz, kim jesteś. Po prostu nie miałaś nikogo, kto wytłumaczyłby ci to na czas.

Pokiwała głową, nie odrywając spojrzenia od wody.

- I co powinnam zrobić? Ja... nie chciałam...

- Są też inni czarnoksiężnicy - odparłem. - Mogą cię wyszkolić, nauczyć nad tym panować, pokazać, co trzeba robić, by nie wzywać pierwotnych mocy ciemności i śmierci.

Swoją drogą, powinnaś na to uważać. Mogłabyś się zwrócić do Fleming z Edynburga, jest bardzo dobra. Jest też Graham z Newcastle. A jak tam u ciebie z francuskim? W Paryżu praktykuje obecnie trochę świetnych czarnoksiężników. Aod jest bardzo miła. Posmak magii jest tam zupełnie inny, bardziej stylizowany, różni się od sodowych lamp Londynu. Niemniej, to sympatyczne miasto i możesz tam opanować wiele użytecznych umiejętności.

Znowu zapadła cisza.

- Chyba nie mam ochoty wyjeżdżać do żadnego z tych miast - oznajmiła po chwili Penny.

- Są też inne - odparłem. - Potrafię zrozumieć, jeśli po tym wszystkim nie zechcesz mieć nic wspólnego z Londynem. W Hongkongu jest trochę znakomitych użytkowników sztuki, a do tego wszyscy tam mówią po angielsku...

- Nie - oznajmiła stanowczo. - Nie o to mi chodzi. To... to miasto jest moim domem.

Chcę tu zostać.

- Omal go nie unicestwiłaś w nieświadomej eksplozji magicznego zniszczenia -
zauważyłem. - No wiesz, niektórzy mogą to uznać za groźbę.

Uniosła nagle wzrok.

- Ty też?

- Ja? Nie.

- Kto jest dobry w Londynie?

- Naprawdę chcesz tu zostać?

- Tak.

- A Rajcy?

- Powiedziałeś, że mogę się nauczyć. W przeciwnym razie to by było trochę niesprawiedliwe dla Hongkongu.

Kiedy tego potrzebowała, potrafiła zaciskać zęby z bardzo upartą miną.

Westchnąłem.

- Posłuchaj, z czarnoksiężnikami w Londynie jest taki problem... że nie zostało ich zbyt wielu... to
znaczy...

- Znasz w mieście jakichś dobrych?

- Nie znam.

- A potrafisz uczyć?

- Nie.

- Dlaczego?

- Penny, nie jestem tylko... hmm, to oczywiste, że nie tylko... ale nie wiesz o mnie jeszcze kilku
rzeczy...

- Czy jesteś mordercą?

- Nie.

- Pedofilem?

- Nie!

- Chcesz, żeby inni zmywali za ciebie naczynia?

- Co? Nie!

- Masz potajemnie żonę i dwoje dzieci, które bijesz, gdy tylko wracasz do domu?

- Nie!

- Więc na czym polega problem?

- Hmm, na początek... jestem Nocnym Burmistrzem!

- A co to znaczy?

Zawahałem się.

- Nie jestem tego do końca pewien - przyznałem. - Obrońca miasta to dość niejasny zakres obowiązków. Ale nie w tym rzecz. Nie chcemy... nie jestem skłonny podejmować takiego ryzyka, tak?

- Ryzyka uczenia mnie? Czy jestem aż tak niebezpieczna?

- Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie.

Odchrząknęła.

- Już to kiedyś słyszałam.

- Penny! - warknęliśmy. - Wysłuchaj nas! Nie jesteśmy tylko czarnoksiężnikiem!

Jesteśmy czymś więcej! Jaśniejszym i szybszym! Jesteśmy mną, a ja jestem nami. I my...

palimy wszystko, czego dotkniemy. Robimy to dlatego, że ogień jest piękny, że życie jest czymś cennym i nadzwyczajnym, i pragniemy je przeżyć tak, jakbyśmy płonęli od jego jasności. Życie to magia. Żyjemy po to, by dowieść tej prawdy. Tego ognia śmiertelnicy nie są w stanie znieść. Pewnego dnia spłonę. Skóra mi popęka, krew ze mnie wypłynie, a gdy to się stanie, będzie niebieskim elektrycznym ogniem. Wszystko, co jest we mnie ludzkie i śmiertelne, rozplynie się w ogniu, prędkości, furii i zachwycie, nawet nie zauważając, że umarło, choć będę nieprzytomny i samotny. Nie mogę cię uczyć. Nie chcę, byś podzieliła mój los, jasne?

Zastanawiała się nad tym przez długą trudną chwilę.

- Wal się w dupę ananasem - oznajmiła wreszcie.

- Słucham?

- Powiedziałam...

- To zrozumiałem.

- Oto, co na ten temat sędzę - warknęła. - Jeśli jesteś obrońcą tego miasta, a ja jestem w gruncie rzeczy chodzącą bombą, mogącą wybuchnąć w każdej chwili, to czy jako pierdolony obrońca nie masz obowiązku zapobiec temu, by groźby chodziły po ulicach? A ja będę chodziła po twoich ulicach, Matthew Swift, ponieważ to one uczyniły mnie tym, kim jestem, zdecydowały, w co będę wierzyła, jak będę myślała i podróżowała. I jeśli totalnie mi przy tym odbije, to wal się w dupę, obrońco. To będzie znaczyło, że zawiodłeś, dlatego że bałeś się zrobić mi krzywdę. Kiedy miałam zniszczyć miasto, bo... kurwa, było mnóstwo powodów... oddałeś mi kapelusz. Mogłeś mnie zabić, a do tego postrzelili cię, kiedy go szukałeś. I naprawdę myślisz, że mógłbyś mnie skrzywdzić? Jezu! Idź do psychoterapeuty!

Gapiliśmy się na nią z przerażeniem w oczach.

- Ale my...

- Gównu mnie to obchodzi!

- Nie mogę...

- Mówię poważnie! Spójrz mi w oczy! Od tej chwili stanę się upierdliwą żołą, dopóki nie zrealizuję swych pragnień, a ty, Matthew Swift, stoisz między mną a moim planem zostania potężnym czarnoksiężnikiem, który naprawdę potrafi czegoś dokonać. Albo mi pomóż, albo zejdz mi z drogi, panie Swift, a zejść mi z drogi możesz tylko, pomagając mi.

Wybór należy do ciebie.

- Trudno to nazwać wyborem.

- W takim razie decyzja powinna być łatwa.

Popatrzyłem na nią uważnie od stóp do głów w świetle latarń na London Bridge.

Uniosłem wzrok ku rozjaśnionemu ich blaskiem nocnemu niebu, a potem spojrzałem na płynącą w dole rzekę. Słyszałem łoskot ruchu ulicznego i skrzeczenie utuczonych frytkami mew, czułem zapach kawy i spalin, a także odległy łoskot dobiegający ze stacji London Bridge. Przebiegłem palcami po dwóch krzyżach wyciętych na mojej dłoni, potarłem potylicę, przeciągnąłem się od nosa aż po czubki palców u nóg i wypuściłem ustami długi haust czystego powietrza znad Tamizy. Pomyślałem o szalonych oczach nocnego smoka, o pieśniach, które ongiś śpiewały telefony, i o kształcie kapelusza strażniczki ruchu.

- Jeśli się zgodzimy... - zacząłem.

- Tak?

- ...to czy obiecasz mi, że nie rzucisz pracy?

Wzruszyła ramionami.

- Za późno. Już to zrobiłam. To kiedy zaczynamy?

Obróciłem się z westchnieniem na pięcie, spoglądając na otaczające mnie ze wszystkich stron miasto, na jasno oświetlone cuda, Tower Bridge, Londyński Ratusz (który zawsze już będzie znany jako Syf Kena), Hays Wharf, HMS *Belfast*, Southwark Cathedral, *Golden Hinde*, Southwark Bridge, Millennium Bridge, Tate Modern, Blackfriars, katedrę św.

Pawła, Old Bailey, Monument z jasnym złotym płomieniem, który uwieczniono na szczycie kamiennej kolumny, by przypominał miastu o czasach, gdy ostatnio prawie zginęło...

...prawie robi różnicę...

Uśmiechnąłem się.

- Życie to magia - zaczęliśmy.